

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Charles Dickens**

# **Klub Pickwicka**

**Tom I**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## Rozdział pierwszy

### *Pickwickczycy*

Pierwsze promienie światła, które rozjaśniły grube ciemności towarzyszące ukazaniu się nieśmiertelnego Pickwicka na horyzoncie uczonego świata, jak też pierwszą urzędową wzmiankę o tym niepospolitym mężu, znajdujemy w protokołach Klubu Pickwicka. Wydawca niniejszego dzieła szczęśliwym się mieni, że może przedstawić je swym czytelnikom jako dowód sumienności, uwagi, usilnej pracy i zdolności badawczych, jakie rozwinął przy poszukiwaniach w licznych powierzonych mu starych dokumentach.

Dnia 12 maja 1827, przewodniczący Józef Smigger Esq., D. W. P. C. K. P. Postanowiono jednogłośnie:

„Towarzystwo z uczuciem niczym nie zamąconego zadowolenia i bezwzględne uznania wysłuchało czytania dokumentów udzielonych przez Samuela Pickwicka Esq., D. P. C. K. P., a zatytułowanych:

»Badania spekulatywne stawów hampsteadzkich tudzież niektóre spostrzeżenia nad teorią skakania żab«

Towarzystwo wyraża swoje najszczerze podziękowanie rzeczonemu Samuelowi Pickwickowi Esq., D. P. C. K. P.

Towarzystwo, uznając wielkie korzyści, jakie nauka odnieść powinna z wyżej przytoczonego dzieła, jak również z niezmiernych poszukiwań Samuela Pickwicka w Hornsey, Highgate, Brixton i Camberwell, nie może także nie uznać nieobliczalnych skutków, jakie by, o ile sobie pochlebiać można, miało to dla rozpowszechnienia pożytecznych wiadomości i rozwoju oświaty, gdyby prace tego znakomitego męża przeniesione zostały na rozleglejsze pole, to jest gdyby podróże jego i spostrzeżenia obszerniejszy obejmowały zakres.

Dlatego też Towarzystwo poddało gruntownej rozprawie wniosek wyżej wymienionego Samuela Pickwicka Esq. D. P. C. K. P. i trzech innych pickwickczyków wymienionych poniżej, mający na celu utworzenie nowego związku zjednoczonych pickwickczyków pod nazwą: Korespondujący Oddział Klubu Pickwicka.

Po przyjęciu i zatwierdzeniu wzmiankowanego wniosku przez Towarzystwo, Oddział Korespondujący Klubu Pickwicka uznaje się niniejszym za ukonstytuowany. Samuel Pickwick Esq., D. P. C. K. P., August Snodgrass Esq., C. K. P., Nataniel Winkle Esq., C. K. P., Tracy Tupman Esq., C. K. P. zostają również wybrani i mianowani członkami rzeczonoego stowarzyszenia korespondentów, z zaleceniem, ażeby od czasu do czasu przesyłali Towarzystwu Klubu Pickwicka w Londynie autentyczne szczegóły o swych podróżach i poszukiwaniach, spostrzeżenia nad charakterem i obyczajami, na koniec opisy przygód, jak również opowiadania i inne utwory będące wynikiem uwag nad miejscowymi wydarzeniami lub wynikiem wspomnień w związku z nimi pozostających.

Towarzystwo z wdzięcznością zatwierdza zasadę, że członkowie Oddziału Korespondującego sami będą ponosić koszty podróży, i nie ma nic przeciw temu, ażeby członkowie

rzeczonego stowarzyszenia robili swe poszukiwania, dopóki im się będzie podobać, byle poszukiwania te odbywały się na tych samych warunkach.

Na koniec uwiadamia się niniejszym członków wyżej wymienionego oddziału, że wniosek ich w sprawie opłacenia portorii od listów i posyłek roztrząsany był przez Towarzystwo, że Towarzystwo wniosek ten poczytuje za godny wielkich umysłów, z których łona wyszedł, i udziela mu swego zupełnego zatwierdzenia”.

Powierzchnowy obserwator – dodaje sekretarz, z którego papierów zaczerpujemy opowiadanie – powierzchnowy obserwator może by nie dostrzegł nic nadzwyczajnego w łysej głowie i okrągłych okularach, stałe zwróconych na jego (sekretarza) twarz, gdy ten czyta wyżej przytoczone statuty; był to jednak widok ze wszech miar godny zastanowienia dla każdego, kto wiedział, że potężny mózg Pickwicka pracował pod tą łysiną i że wyraziste oczy Pickwicka błyszczały poza tymi okularami. I w samej rzeczy mąż, który dotarł aż do źródeł stawów hampsteadzkich, który poruszył cały świat uczoną swoją teorią o żabim skoku, siedział tam tak spokojny i nieruchomy jak wody tych stawów, gdy je lód zetnie, albo raczej jak pojedynczy egzemplarz żaby w przepaścistych głębiach gliniastych jam.

Ale o ileż widok ten stał się bardziej zajmujący, gdy na wielokrotne wołania: „Pickwick! Pickwick!”, które jednocześnie wyrwały się z ust wszystkich jego wielbicieli, znakomity ów mąż podniósł się, pełen życia i wzruszenia, wstał powoli na prostą ławkę, na której przedtem siedział, i przemówił do klubu, którego był założycielem. Jakim to studium dla artysty mogłaby być ta zajmująca scena! Wymowny Pickwick stał przed nami, jedną rękę wdzięcznie kryjąc pod połą fraka, drugą poruszając w powietrzu dla nadania większej wyrazistości swej gorącej wymowie. Wzniesione stanowisko mówcy pozwalało widzieć jego obcisłe spodnie z kamaszami, na które nie zwrócono by pewnie wielkiej uwagi, gdyby okrywały innego człowieka, ale które uświetnione, ilustrowane, jeżeli tak można wyrazić się, osobą Pickwicka, mimowolnie przejmowały widzów uszanowaniem i czcią.

Otaczali go ludzie, którzy oświadczyli gotowość podzielenia niebezpieczeństw jego podróży i których przeznaczeniem było dzielić sławę jego odkryć. Po prawej jego ręce siedział pan Tracy Tupman, wielce zapalny Tupman, który z mądrością wieku dojrzałego łączył uniesienie i zapał młodego chłopca w tym, co dotyczy najbardziej zajmującej i najgodniejszej przebaczenia słabości ludzkiej – miłości. Czas i dobre jądło rozszerzyły mu kibić niegdyś tak romantyczną; czarna jedwabna kamizelka uwypuklała się coraz więcej; złoty łańcuch od zegarka zniknął cał po calu sprzed własnych jego oczu; szeroki podbródek coraz więcej wyłaniał się spoza białego krawata, ale dusza Tupmana nie zmieniła się: uwielbienie dla płci pięknej było w niej zawsze górującym uczuciem.

Na lewo od mistrza siedział poetyczny Snodgrass; tajemniczo otulony w niebieski płaszcz podszyty psami. Obok niego Winkle, myśliwiec, rybak, jeździec, bokser, sportsmen, z wdziękiem ukazywał zupełnie nową kurtkę, szkocki krawat i szaraczkowe spodnie.

Mowa pana Pickwicka i rozprawy, które się wywiązały następnie, przytoczone są w protokołach klubu. Przedstawiają one uderzające podobieństwo do rozpraw najznakomitszych zgromadzeń, a ponieważ budujące jest zawsze porównanie czynów wielkich ludzi, podajemy tu protokół tego pamiętnego posiedzenia.

„Pan Pickwick zrobił uwagę – mówił sekretarz – że sława jest droga sercu każdego człowieka. Sława poetycka jest droga sercu jego przyjaciela Snodgrassa. Sława miłosnych podbojów jest tak samo droga jego przyjacielowi Tupmanowi, a żądza zdobycia sobie sławy we wszystkich ćwiczeniach ciała płonie w wysokim stopniu w piersi jego przyjaciela Winkle’a. On (pan Pickwick) nie może zapomnieć, że i na niego samego wywierają wpływ namiętności ludzkie, ludzkie uczucia (Okłaski), może nawet ludzkie słabości (Głośne wołania: – Nie! Nie!). Ale powie i to, że jeżeli kiedy ogień miłości własnej zapałał w jego ło-

nie, to wnet tłumila go żądza, aby być pożytecznym rodzajowi ludzkiemu. Chęć zjednania sobie szacunku rodu ludzkiego była zawsze jego bodźcem, filantropia jego gwiazdą przewodnią. (Gwałtowne oznaki uznania). Czuł on pewną dumę, wyznaje to otwarcie, i niech jego przyjaciele zużytkują to wyznanie, jeżeli im się podoba, czuł on pewną dumę, gdy przedstawił uczonemu światu swoją teorię skoku żab. Teoria ta może być znakomitą albo nią może nie być. (Jeden głos: – Jest nią! – Głośne oklaski). Zgadza się mówca ze zdaniem szanownego pickwickczyka, którego głos usłyszał. Teoria jego jest znakomita. Ale choćby sława tego traktatu doszła do krańców uczonego świata, i wtedy дума, jaką by uczuwał autor tego dzieła, nie była niczym wobec uczucia dumy, jakiego doznaje w tej chwili najszcześniejszej w jego życiu (Oklaski). Jest on tylko bardzo mizerną jednostką (– Nie! Nie!); nie może jednak nie uznać tego, że powołany został przez Towarzystwo do czynności wielkiej wagi, połączonej z pewnym narażeniem się, dziś zwłaszcza, gdy nieład panuje na wielkich drogach, a woźnice są zdemoralizowani. Spójrzycie na stały ład Europy i na sceny zdarzające się we wszystkich krajach. Wszędzie wywracają się dyliżanse, konie ponoszą, statki idą na dno, kotły parowe pękają. (Oklaski. Jeden głos: Nie!) Nie?!... (Oklaski). Byłaby to zbita z tropu miłość własna człowieka... nie chcę powiedzieć niedowarzonego (Żywe oklaski), który zazdroszcząc pochwał oddanych może niezasłużenie uczonym pracom mówcy i urażony skarceniem, jakiego doznały jego własne słabe wystąpienia, natchniony zazdrością, powodowany zatem niskim uczuciem...

Pan Blotton (z Algate) powstaje i żąda przywołania pana Pickwicka do porządku oraz zapytuje, czy szanowny pickwickczyk do niego robił aluzję? (Wołania: – Do porządku! Tak! Nie! Słuchajcie! Dość tego! itd.).

Pan Pickwick oświadcza, że go nie zastraszą te hałasy. Tak, zrobił aluzję do szanownego gentlemana! (Żywe wzburzenie).

W takim razie pan Blotton odpowie w dwóch tylko słowach: z największą pogardą odrzuca on zarzut szanownego gentlemana, jako fałszywy i oszczerzy (Głośne oklaski). Szanowny gentleman jest blagier (Okropne wzburzenie. Wielkie krzyki: – Do porządku!).

Pan Snodgrass wstaje żądając przywołania do porządku pana Blottona (– Słuchajcie! Słuchajcie!). Zapytuje, czy nie zostanie zamknięta niewłaściwa dyskusja między dwoma członkami klubu (– Słuchajcie! Słuchajcie!).

Prezydent jest przekonany, że szanowny pickwickczyk cofnie wyrażenie, którego użył.

Pan Blotton, pomimo całego szacunku dla prezydenta, oświadcza, że tego nie uczyni.

Prezydent jest zdania, że obowiązek nakazuje mu zapytać szanownego gentlemana, czy wyrażenia, które mu się wyrwało, użył w znaczeniu, jakie mu się nadaje pospolicie.

Pan Blotton nie waha się odpowiedzieć, że nie i że użył tego wyrażenia w znaczeniu pickwickowskim (– Słuchajcie! Słuchajcie!). Czuje się w obowiązku oświadczyć, że oświadczenie przejęte jest najgłębszym szacunkiem dla tak szanownego gentlemana, jakim jest pan Pickwick. Nazwał go blagierem tylko z punktu widzenia czysto pickwickowskiego (– Słuchajcie! Słuchajcie!).

Pan Pickwick oświadcza, że najzupełniej poprzestaje na szlachetnym i szczerym wyjaśnieniu swego szlachetnego przyjaciela. Życzy on sobie, by należycie zostało zrozumiane, iż własne jego spostrzeżenia powinny być także pojmowane w znaczeniu czysto pickwickowskim (Oklaski)”.  
Tu kończy się protokół. I w samej rzeczy dyskusja nie mogła już być prowadzona dalej, doszedłszy do konkluzji tak zadowolającej i jasnej. Nie mamy urzędowych dowodów co do faktów, jakie czytelnik znajdzie w rozdziale następnym, lecz ułożone one zostały podług listów i innych dokumentów rękopiśmiennych, których autentyczność nie podlega wątpliwości.

## Rozdział drugi

### *Pierwszy dzień podróży i pierwszy wieczór przygód z ich skutkami*

Słońce, ten punktualny sługa pracy, zaledwie wstało i rzuciło światło na poranek trzynastego maja 1827 roku, gdy pan Pickwick, podobny do drugiego słońca, wyrwał się z objęć snu; otworzył okno i spojrzął na świat. Ulica Goswell leżała u jego stóp, ulica Goswell po prawej ręce – jak daleko wzrok sięgał – ulica Goswell po lewej ręce; a naprzeciwko niego druga strona ulicy Goswell.

„Takie to są – pomyślał pan Pickwick – ciasne poglądy filozofów poprzestających na badaniu powierzchni rzeczy i nie usiłujących zbadać ukrytych tajemnic. I ja mógłbym tak jak oni poprzestać na badaniu ulicy Goswell, nie robiąc żadnych usiłowań, by dostać się do otaczających ją nieznanymi okolic!”

Wynurzywszy tę szczytną myśl, pan Pickwick zajął się ubieraniem i układaniem rzeczy w torbie podróżnej. Wielcy ludzie bardzo rzadko bywają wybredni pod względem ubrania, toteż golenie brody, toaleta i śniadanie następowały szybko po sobie. Po upływie godziny pan Pickwick znajdował się już na placu St. Martin le Grand z torbą podróżną pod pachą i perspektywą w kieszeni surduta, w kieszeni zaś kamizelki umieścił notatnik do zapisywania godnych upamiętnienia odkryć, jakie dałyby się zrobić.

– Dorożka! – zawołał pan Pickwick.

– Jestem, panie! – odpowiedział szczególny gatunek rodzaju ludzkiego w bluzie i płóciennym fartuchu, z blachą numerowaną na szyi, jakby był skatalogowany w jakiej kolekcji osobliwości. Był to miejscowy posługacz dorożek.

– Jestem, panie! Hej! Kolejna dorożka! Gdy woźnica wyszedł z szynku, gdzie palił fajkę, pan Pickwick i jego torba wsadzeni zostali do powozu.

– Golden Cross – rzekł pan Pickwick.

– Nędzny kurs szylingowy, Tomie! – zawołał woźnica w złym humorze, dla informacji posługacza, gdy powóz ruszał.

– Ile lat, mój przyjacielu, ma ten koń? – zapytał pan Pickwick, pocierając sobie nos szylingiem przygotowanym na zapłacenie.

– Czterdzieści dwa – odrzekł woźnica, spojrzawszy boki na pana Pickwicka.

– Co? – zawołał znakomity człowiek, sięgając ręką po notatnik.

Woźnica powtórzył swe twierdzenie, pan Pickwick uważnie spojrzął mu w oczy, ale nie dostrzegł w ich wyrazie żadnego wahania i bezzwłocznie fakt zanotował.

– I jak długo bywa w zaprzęgu? – pytał dalej pan Pickwick, zawsze starający się o zbieranie pożytecznych wiadomości.

– Dwa albo trzy tygodnie.

– Dwa albo trzy tygodnie w zaprzęgu! – zawołał filozof, pełen zdumienia, i znowu wyciągnął notatnik.

– Stajnie – dodał obojętnie woźnica – znajdują się w Pentonwill, ale on tam rzadko staje, z powodu osłabienia.

– Z powodu osłabienia? – powtórzył Pickwick ze zdumieniem.

– Tak, pada, jak się go tylko wyprzeże z dorożki, a przeciwnie, gdy jest zaprzężony jak należy i lecce trzyma się krótko, to nawet się nie potknie. Mamy przy tym parę znakomitych kół, tak że byle koń ruszył, już się toczą za nim; musi więc biec, nie może się oprzeć!

Pan Pickwick zapisał każdy wyraz tego opowiadania, by udzielić klubowi wiadomości o tym szczególnym dowodzie żywotności koni w okolicznościach najmniej przyjaznych. Kończył właśnie pisać, gdy dorożka dotarła do Golden Cross. Woźnica zeskoczył, pan Pickwick wysiadł z wszelką ostrożnością, panowie Tupman, Snodgrass i Winkle, z niecierpliwością oczekujący na przybycie swego znakomitego mistrza, przystąpili, aby go przywitać.

– Masz – rzekł pan Pickwick, podając woźnicy szylinga. Ale jakież było zdziwienie uczonego męża, gdy ów nieobliczalny człowiek, rzuciwszy pieniądze na bruk, oświadczył w mowie wielce wyrazistej, iż nie żąda innej zapłaty, jak tylko przyjemności przeboksowania z panem Pickwickiem całego szylinga.

– Szalony! – zawołał pan Snodgrass.

– Pijany! – dodał pan Winkle.

– I jedno, i drugie – dorzucił pan Tupman.

– Dalejże! – krzyknął woźnica, rękami wyczyniając w powietrzu mnóstwo młynków przygotowanych. – Występujcie wszyscy czterej.

– A to gratka! – zawołało pół tuzina innych woźniców. – Do roboty, Samie! – I z wielkim zadowoleniem ustawili się w półkole.

– Co to, Samie? – zapytał jakiś gentleman, właściciel mankietów z czarnego perkalu.

– Co to? – odrzekł woźnica. – Ten stary zanotował mój numer.

– Nie notowałem numeru! – odpowiedział z oburzeniem pan Pickwick.

– A więc dlaczegoś go pan zapisywał? – zapytał woźnica.

– Nie zapisywałem! – zawołał pan Pickwick tonem jeszcze większego oburzenia.

– Czy uwierzycie – ciągnął dalej woźnica, zwracając się do tłumu – czy uwierzycie, że ten oto szpicel siadł do mej dorożki, zapisał numer i notował każde powiedziane słowo! (Notatnik, jak błysk światła, przychodzi na myśl panu Pickwickowi).

– Zrobił to? – mruknął inny woźnica.

– Tak, zrobił. A teraz, swymi szykanami doprowadziwszy mnie do wyznania, ma gotowych trzech świadków przeciwko mnie. Ale zapłaci mi za to, choćbym miał pół roku siedzieć!... Występuj!

I w uniesieniu, ze szczytną obojętnością dla własnych ruchomości, woźnica cisnął swój kapelusz na bruk, zrzucił okulary panu Pickwickowi, zaaplikował jedno uderzenie pięścią w nos pana Pickwicka, drugie uderzenie pięścią w piersi pana Pickwicka, trzecie w oko pana Snodgrassa, czwarte dla rozmaitości w kamizelkę pana Tupmana, potem jednym skokiem wypadł na środek ulicy, następnie wskoczył znów na chodnik i w końcu wyparł tę odrobinę powietrza, jaką zawierały jeszcze płuca pana Winkle'a. Wszystko to odbyło się w jakie dwanaście sekund.

– Czy nie ma tu konstabla? – zapytał pan Snodgrass.

– Wpakujcie ich pod pompę – doradzał jakiś przekupień z gorącymi pasztecikami.

– Zapłacisz mi za to! – zawołał pan Pickwick, oddychając z trudnością.

– Szpicel! – krzyknęło kilka głosów z tłumu.

– Występujcie! – bełkotał woźnica, nie przestając przez ten czas młynkować pięściami w próżni. Aż dotąd tłum zachowywał się biernie wobec tej sceny; ale kiedy z ust do ust przeszła wiadomość, że pickwiczczyce są policyjnymi szpiegami, obecni zaczęli roztrząsać z wielkim roznamiętnieniem, czy nie należałoby postąpić według wniosku przekupnia z gorącymi pasztecikami. Niepodobna odgadnąć, do czego by to doprowadziło, gdyby interwencja pewnej nowo przybyłej osobistości nie położyła końca tej awanturze.



– Co to jest? – zapytał młody wysmukły człowiek w zielonym fraku, wychodzący z biura postoju dorożek.

– Szpicel! – wrzasnął tłum.

– To fałsz! – zawołał pan Pickwick z wyrazem, który powinien był przekonać każdego nieuprzedzonego słuchacza.

– Czy tak? Czy tak? – pytał młody człowiek, torując sobie drogę przez tłum za pomocą niezawodnego sposobu polegającego na szturchaniu łokciami na prawo i na lewo.

Pan Pickwick w kilku zwięzłych słowach przedstawił mu rzeczywisty stan rzeczy.

– Jeśli tak, to chodźcie – rzekł zielony frak, pociągając za sobą znakomitego człowieka i nie przestając mówić przez całą drogę. – Ty, nr 924, weź, co ci się należy za kurs, i wynoś się. To szanowny gentleman, ja odpowiadam za niego. Żadnych głupstw. Tędy, panie! Gdzie pańscy przyjaciele? Jak widzę, zaszła omyłka. Mniejsza o to... wypadek... każdemu to się może zdarzyć... odwagi! Od tego nikt nie umarł... Trzeba mężnie stawić czoło przeciwnościom. Zaskarż go pan do komisarza... A to łotry!

Wygłaszając z niepospolitą potoczystością długi szereg podobnych sentencji, nieznajomy wprowadził pana Pickwicka i jego uczniów do pokoju, gdzie zwykle podróżni czekają na odejście dylżansów.

– Chłopcze! – zawołał nieznajomy, targając za dzwonek z nadzwyczajną gwałtownością – szklanek dla wszystkich, gorącego grogu, mocno ucukrzonego i sporo. Oko podbite, panie! Chłopcze! Kawalek surowego mięsa na oko dla pana. Nic tak nie pomaga na sińce jak surowe mięso. Słup latarni gazowej także doskonały, ale niewygodny. Strasznie głupio stać pół godziny na ulicy z okiem przyłożonym do latarnianego słupa. Dobry żart, co? Cha! Cha!

I nieznajomy, nie zatrzymując się nawet dla nabrania oddechu, przełknął od razu pół kwarty gorącego ponczu, potem rozwalił się na krześle z taką obojętnością, jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło.

Pan Pickwick miał teraz czas przyjrzeć się ubiorowi i postawie tego nowego znajomego, a tymczasem trzej jego towarzysze zajęci byli wyrażaniem wybawcy swej wdzięczności.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, ale że był szczupły i miał długie nogi, wydawał się więc nierównie słuszniejszy. Jego zielony frak musiał być niegdyś elegancki, za owych pięknych dni fraków o krótkich połach; na nieszczęście w owych dniach był on na pewno robiony na męczyznę znacznie niższego aniżeli nieznajomy, ponieważ zabrudzone rękawy dochodziły mu zaledwie do łokcia. Bez względu na poważne lata tego ubioru, nieznajomy zapiął go pod sam podbródek, narażając tym na pęknięcie na grzbiecie. Szyja nieznajomego okręcona była czarną chustką, ale nie dostrzegłbyś na niej ani śladu kołnierza od koszuli. Wąskie spodnie ukazywały tu i ówdzie połyskujące miejsca, co znamionowało długą służbę; były mocno naciągnięte za pomocą strzemiączek na połatanych zapewne trzewikach, ażeby ukryć pończochy niegdyś białe, które zdradzały się jednak pomimo tej zbytecznej ostrożności. Z każdej strony jego kapelusza o podniesionych kryzach spadały w zaniedbanych kędziorach długie, czarne włosy, a pomiędzy rękawiczkami a rękawami ubrania widać było nagie części rąk. Na koniec twarz jego była blada i wychudzona, a cała osoba tchnęła bezwstydem, niedbalstwem i niczym nie zachwianą zarozumiałością.

Takiemu to indywiduum pan Pickwick przypatrywał się przez okulary (które na szczęście znalazły się) i w wyborowych słowach wyrażał swe podziękowanie, gdy trzej jego znajomi wyczerpali już swoje dziękczynienia.

– Nie mówmy więcej o tym – rzekł nieznajomy, przerywając komplementy – dość tego. Zresztą woźnica dzielnie wywijał pięściami; ale gdybym był na miejscu pańskiego przyjaciela w myśliwskiej kurtce, to – niech mnie Bóg skarże! – rozwaliłbym mu głowę w jednej sekundzie... i temu przekupniowi z pasztecikami także, słowo honoru.

Mowa ta, wygłoszona jednym tchem, przerwana została przez konduktora z Rochester, oznajmiającego, że Kommodor odjeżdża.

– Kommodor! – mruknął nieznajomy, wstając. – W tym powozie mam miejsce. Miejsce na imperiale. Płaćcie za ten grog trzeba by zmienić banknot pięciofuntowy – w obiegu jest dużo fałszywej monety – znamy to.

I potrzęsął głową z przebiegłą miną.

Właśnie pan Pickwick i jego trzech towarzysze zamierzali zrobić pierwszy przystanek w Rochester. Oświadczyli więc nowemu swojemu znajomemu, że jadą tą samą drogą, co on, i umówili się, że zajmą miejsca z tyłu powozu, gdzie pomieszczą się wszyscy pięciu.

– Hop! Do góry! – zawołał nieznajomy, pomagając Pickwickowi wgramolić się na imperiał z pośpiechem, który materialnie naruszył zwykłą powagę filozofa.

– Pakunków nie ma pan? – zapytał woźnica.

– Kto? Ja? – odparł nieznajomy. – Pakiecik zawinięty w bibułę, to wszystko! Resztę wyprawilem wodą! Wielkie skrzynie obite gwoździami, wielkie jak domy! Ciężkie, ciężkie, diabelnie ciężkie!

To mówiąc, pakował do kieszeni pakiet owinięty w brązowy papier, a zawierający, jak można było wnosić z powierzchowności, koszulę i chustkę do nosa.

– Ostrożnie! ostrożnie z głowami! – krzyczał gadatliwy nieznajomy, gdy przejeżdżali pod jednym ze sklepień – straszne to miejsce – bardzo niebezpieczne – niedawno – pięćoro dzieci – matka – słuszna kobieta – jadła chleb z masłem... zapomniała o sklepieniu; trach! dzieci oglądają się – matka bez głowy!... chleb z masłem w ręku, a nie ma gęby, by go włożyć – głowa rodziny zginęła. Okropność! okropność! Pan przypatruje się pałacowi Whitehall? – piękny pałac – małe okienka; tu także zleciała jedna głowa!... Także nie uważał! Och! och! panowie! och!

– Myślałem właśnie – rzekł pan Pickwick – o dziwnej zmienności rzeczy ludzkich.

– A! domyślam się. Dziś wchodzi się do pałacu drzwiami, jutro wylatuje się oknem. Pan filozof?

– Badacz natury ludzkiej, panie.

– Ja także, jak większa część ludzi nie mających nic lepszego do roboty, a jeszcze mniej do zarobienia. Pan poeta?

– Mój przyjaciel, pan Snodgrass, ma bardzo wybitne zdolności poetyckie – odpowiedział pan Pickwick.

– Ja także – rzekł nieznajomy – napisałem poemat epiczny – dziesięć tysięcy wierszy – rewolucja lipcowa – stworzony na miejscu – w dzień Mars – w nocy Apollo – w dzień karabin – w nocy lira.

– Czy był pan obecny przy tych sławnych zdarzeniach? – zapytał pan Snodgrass.

– Obecny? Tak, cokolwiek; mierzyłem w Szwajcarów i wymierzyłem wiersze – spisywałem je w handlu win – na ulicy pif! paf! nowa myśl! – wracam do handlu – pióro, atrament – na ulicy siekanina. Szczytny czas, panie. Pan myśliwy? – zapytał, zwracając się nagle do pana Winkle'a.

– Trochę – odrzekł zagadnięty.

– Piękne zajęcie! Bardzo piękne! A pies?

– Teraz nie mam.

– Ach, powinien by pan mieć. Szlachetne zwierzę – istota inteligentna! Miałem niegdyś psa – legawca – zdumiewający instynkt. Pewnego dnia, polując, wchodzę do lasu – gwizdź – pies nie rusza się – gwizdź znowu: Ponto! Nic nie pomaga – stoi jak wryty. Ponto! Ponto! – ani drgnie. Skamieniał przed jakąś tablicą. – Napis: Strażnicy leśni mają rozkaz zabijać wszystkie psy, które się znajdują w tym lasku. – Nie chciał iść dalej. Zdziwiający pies. Sławny pies. O tak! Sławny!

– Szczególny wypadek! – rzekł pan Pickwick. – Czy pozwoli pan, bym go zanotował?

– Owszem, owszem: sto innych anegdot o tym samym zwierzęciu. Piękna dziewczyna, panie – mówił nieznajomy zwracając się do pana Tracy’ego Tupmana, który zajęty był antypickwickowskim zerkanem na młodą kobietę, idącą brzegiem drogi...

– Bardzo piękna – odpowiedział pan Tupman.

– Angielki niewarte Hiszpanek – szlachetne istoty! Włosy hebanowe – oczy czarne – kształty ponętne – słodkie istoty – cudne!

– Byłeś pan w Hiszpanii? – zapytał pan Tracy Tupman.

– Wieki tam przeżyłem.

– Musiał pan mieć wiele przygód miłosnych...

– Przygód miłosnych? Tysiące! Don Bolaro Fizzgig – grand hiszpański – córka jedy-naczka – donna Krystyna – wspaniała dziewica – kochała mię do szaleństwa. Ojciec za-zdrosny – córka namiętna – Anglik piękny – donna Krystyna w rozpacz – kwas pruski – pompa do płukania żołądka w mojej torbie podróżnej – wykonywam operację – stary Bolaro w uniesieniu – zgadza się na nasz związek – łączy ręce – strumień łez – historia roman-tyczna – bardzo romantyczna.

– Czy dama ta znajduje się obecnie w Anglii? – przerwał pan Tupman, na którym opis tyłu wdzięków żywe wywarł wrażenie.

– Umarła, panie, umarła! – odrzekł nieznajomy, przykładając do oczu szczątki batysto-wej chustki. – Nigdy nie przyszła do siebie po operacji z pompą do płukania żołądka – de-likatna konstytucja wstrząśnięta – ofiara miłości.

– A ojciec? – zapytał poetyczny Snodgrass.

– Wyrzuty sumienia – nagłe zniknięcie – gadanina o tym w całym mieście. Szukają po wszystkich kątach – nie ma! Wtem fontanna na publicznym placu zatrzymuje się – mija jakiś czas – nie ma wody – rzemieślnicy biorą się do roboty – mój teść w wielkiej rurze wodociągowej – w prawym bucie wyznanie, że zgryzoty skłoniły go do samobójstwa. Wy-dobywają go – fontanna tryska w najlepsze.

– Pozwoli mi pan spisać ten mały romans? – zapytał Pan Snodgrass, głęboko rozczulo-ny.

– Z największą chęcią, z największą chęcią. – Pięćdziesiąt innych do usług pańskich. Dziwna to historia – nie nadzwyczajna – ale ciekawa.

Nie przestawał mówić w ten sposób przez całą drogę, zatrzymując się tylko na przy-stankach dla przełknięcia szklanki piwa; coś w rodzaju interpunkcji. Toteż gdy powóz przytoczył się do Rochester, notatniki panów Pickwicka i Snodgrassa były całkowicie za-pełnione opisem jego przygód.

Gdy ujrzano stary zamek, pan August Snodgrass zawołał z cechującym go poetycznym zapalem:

– Co za wspaniałe zwaliska!

– Jakie studium dla archeologa! – to były słowa wyrzeczone przez samego pana Pic-ckwicka w chwili, gdy przykładał perspektywę do oka.

– Piękna miejscowość – odrzekł nieznajomy. – Wspaniała masa! Ciemne mury – zbu-rzone arkady – ponure przejścia – zawalone schody. Stara katedra! Także zapach stęchli-zny – stopnie wydeptane nogami pielgrzymów – małe furtki saksońskie – konfesjonały jak budki kontrolerów odbierających bilety w teatrze... Dziwni to ludzie ci zakonnicy – ci pa-pieże – ci przełożeni i wszelkiego rodzaju nieboszczyki o wielkich obliczach, o obtłuczo-nych nosach, których wykopują codziennie. Pasy z bawolej skóry – muszkiety – sarkofagi. Piękne miejsce – stare legendy – szczytne historie – zadziwiające.

Nieznajomy ciągnął ten monolog, dopóki powóz nie zatrzymał się na ulicy Wielkiej przed oberżą „Pod Bykiem”.

– Czy pan zatrzymuje się tutaj? – zapytał go pan Nataniel Winkle.

– Tu? Nie, panie. Ale radzę panom, byście tu się zatrzymali, dom dobry, łóżka czyste. Tuż obok jest hotel „Wright”, bardzo drogi; pół korony dopisują do rachunku za spojrzenie na garsona; każą płacić drożej, gdy się je obiad w mieście, niż gdyby się jadło w hotelu; szczególnie ludzie, doprawdy.

Pan Winkle zbliżył się do pana Pickwicka i szepnął mu parę słów do ucha. Szeptanie przeszło od pana Pickwicka do pana Snodgrassa, od pana Snodgrassa do pana Tupmana, a gdy następnie zamieniono pomiędzy sobą znaki zgody, pan Pickwick tak przemówił do nieznajomego:

– Dziś rano wyświadczył nam pan ważną usługę. Zechciej pan zatem przyjąć słaby dowód naszej wdzięczności i zrób nam zaszczyt obiadując z nami.

– Z wielką przyjemnością... Nie chciałbym wyjawić panom swego gustu, ale pieczony drób i grzyby rzecz wysmienita – o której godzinie?

– Teraz – rzekł pan Pickwick wyjmując zegarek – jest około trzeciej. O piątej, jeśli pan chce.

– Bardzo dobrze, punkt o piątej; aż do tej chwili niech się panowie zajmą swoimi sprawami.

Tak powiedział nieznajomy, a potem podniósł o kilka cali swój kapelusz o zadartych kryzach, niedbale osadził go znowu na bakier, przeszedł dziedziniec z miną zamyśloną i skręcił w ulicę; pakiet owinięty w brązowy papier sterczał mu ciągle z kieszeni.

– Widocznie wielki to podróżnik po rozmaitych krajach i skrupulatny obserwator ludzi i rzeczy – rzekł pan Pickwick.

– Chciałbym widzieć jego poemat – dodał pan Snodgrass.

– A ja tego psa – rzekł pan Winkle.

Pan Tupman nie mówił nic, ale myślał o donnie Krystynie, pompie do płukania żołądka i fontannie – i oczy jego napełniły się łzami...

Zamówiwszy osobny pokój jadalny, obejrzawszy łóżka i ułożywszy dania obiadu, nasi znajomi wyszli, by przyjrzeć się miastu i jego okolicom.

Pilnie przewertowaliśmy notatki pana Pickwicka o czterech miastach: Strood, Rochester, Chatham i Brompton, ale nie sądzimy, by zdanie jego o nich różniło się co do istotnej treści od zdania innych uczonych, którzy zwiedzali te same miejsca. Opis jego można streścić w tych wyrazach:

Głównymi produktami tych miast są, zdaje się, żołnierze, majtkowie, Żydzi, kreda, raki, oficerowie i urzędnicy marynarki. Najważniejsze towary, wystawione na ulicach, to: zboże dla floty, cukier lodowaty, jabłka, ryby i ostrygi. Ulice są wielce ożywione, co jest po największej części wynikiem dobrego humoru wojskowych. Mężni ci ludzie, pod wpływem nadmiaru wesołości i napojów spirytusowych, wyśpiewując i robiąc zygzaki po ulicach, przedstawiają widok prawdziwie zajmujący dla umysłu filantropijnego, zwłaszcza jeżeli zważymy, jakiej niewinnej i taniej uciechy dostarczają wszystkim miejskim ulicznikom biegającym za nimi i przedrzeźniającym ich. Nic – dodaje pan Pickwick – nie zdoła dorównać ich dobremu humorowi. W przeddzień mego przybycia jeden z wojskowych został w pewnej oberży grubiańsko obrażony. Dziewczyna nie chciała mu pozwolić więcej pić. Wskutek tego, z prostej swawoli, żołnierz wy dobył bagnet i ranił ją w ramię, lecz już nazajutrz zuch ten udał się do oberży i sam oświadczył pierwszy, że nie zachowuje żadnej urazy i zapomina o tym, co zaszło.

Konsumpcja tytoniu musi być w tym mieście bardzo znaczna – pisze dalej pan Pickwick – a zapach tej rośliny, rozchodzący się po wszystkich ulicach, musi być szczególnie przyjemny dla lubiących palić. Podróżnik nie zgłębiający istoty rzeczy może by krytykował błoto charakteryzujące ulice miejskie, gdy przeciwnie, przedstawia ono prawdziwy przedmiot zadowolenia dla tych, którzy widzą w tym dowód ruchu i pomyślności handlowej.

Piąta godzina sprowadziła jednocześnie obiad i nieznanego. Pozbył się on pakietu w brązowym papierze, ale nie dokonał żadnej zmiany w swym kostiumie i jak przedtem, odznaczał się gadatliwością:

– Co to? – spytał, gdy garson zdejmował pokrywę z półmiska.

– Flądry, panie.

– Flądry! ach! kapitalna ryba! wszystkie flądry pochodzą z Londynu! przedsiębiorcy dylizansów popierają obiady polityczne – całe wozy fląder – tuziny kosztów – chytre sztuki – szklaneczkę wina, panie?

– Z przyjemnością! – odrzekł pan Pickwick. I nieznanego napił się wina naprzód z nim, potem z panem Snodgrassem, potem z panem Tupmanem, potem z panem Winkle'em, wreszcie z całym zebranych towarzystwem, a wszystko to uczynił, nie przestając mówić ani na chwilę.

– Jakieś szczególne bachanale na schodach. Wnoszą ławki, uwijają się stolarze – szklanki – arfa. Co to znaczy, garsonie?.

– Bal, panie.

– Piknik?

– Nie, panie. Bal publiczny, panie, na rzecz ubogich, panie...

– Powiedz mi pan – zapytał pan Tupman z żywym zajęciem – czy w tym mieście kobiety są piękne?

– Pyszne, wspaniałe. Kent, panie. Cały świat zna hrabstwo Kent słynące z jabłek, wiśni, chmielu i kobiet. Szklanek wina?

– Z wielką przyjemnością – odparł pan Tupman. Nieznanego nalał swoją szklankę i wychylił.

– Bardzo bym chciał pójść na ten bal – rzekł pan Tupman – bardzo bym chciał.

– Bilety, panie, mamy w kantorze, po pół gwiney – rzekł garson.

Pan Tupman powtórnie wyraził życzenie, że chce być obecny na tej uroczystości, ale nie znajdując żadnej odpowiedzi w pociemniałym oku pana Snodgrassa ani w roztargnionym wzroku pana Pickwicka, rzucił się z nowym zajęciem do wina porto i do deseru, który przyniesiono. Garson oddalił się, a towarzystwo mogło rozkoszować się spokojem kilku poobiednich godzin.

– Za pozwoleniem panów – rzekł nieznanego – butelka drzemie, zmuszę ją do krążenia jak słońce.

I wypił szklankę, którą napełnił był przed dwiema minutami, po czym nalał sobie drugą, ze świadomością człowieka przyzwyczajonego do podobnych manipulacji.

Wypito wino i żądano więcej, nieznanego rozprawił, pickwickczycy słuchali, pan Tupman co chwila odczuwał coraz to większą ochotę pójścia na bal, twarz pana Pickwicka jaśniała wyrazem uniwersalnej filantropii, panowie Winkle i Snodgrass wpadli w głęboki sen.

– Na górce już zaczynają – rzekł nieznanego – słuchajcie! Stroją skrzypce, a teraz arfę, już zaczęli!

W samej rzeczy dźwięki orkiestry zapowiadały początek kontredansa.

– Bardzo bym chciał pójść na ten bal – powtórzył pan Tupman.

– Ja także. Przekłete bagaże, statek opóźnił się, nie mam w co się ubrać.

Powszechna uprzejmość była charakterystycznym rysem pickwickczyków, a pan Tupman był nią obdarzony w wyższym od innych stopniu. Przeglądając protokoły klubu zdumiewać się trzeba, ile razy ten zacny człowiek odsyłał do innych członków towarzystwa rozmaitych biedaków udających się do niego z prośbą o stare suknie lub pieniądze zapomogę.

– Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł panu na ten bal pożyczyć mego fraka – rzekł do nieznanego – ale pan jest dość szczupły, a ja...

– Dość otyły. Stary zdemontowany Bachus w pantalonach. Złazł z beczki! Winne liście, do diabła! Cha! cha! Przysuń no pan wino!

Nie umiemy powiedzieć, czy pan Tupman był oburzony zbyt swobodnym tonem, z jakim nieznajomy wzywał go, by przysunął wino, które tak szybko przesuwało się znów przez gardło, lub też czy słusznie zgorszony tym, że wpływowy członek Klubu Pickwicka porównany został do zdemontowanego Bachusa – ale przysunawszy wino, odchrząknął dwa razy i patrzył na nieznajomego przez kilka sekund z surową stanowczością. Jednak, gdy indywiduum to zachowało najzupełniejszy spokój i pogodę pod tym badawczym spojrzeniem, pan Tupman zmniejszył stopniowo jego natężenie i znowu zaczął mówić o balu.

– Chciałbym właśnie powiedzieć panu – odezwał się – że gdyby moje ubranie było dla pana za przestronne, suknie mego przyjaciela, pana Winkle’a, mogłyby być dla niego w sam raz.

Nieznajomy zmierzył pana Winkle’a i zawołał z zadowoleniem:

– Takich właśnie nam trzeba!

Pan Tupman spojrzał dokoła. Wino, które wywarło swój wpływ usypiający na panów Snodgrassa i Winkle’a, ciążyło również nad zmysłami pana Pickwicka. Gentleman ten kolejno przeszedł wszystkie fazy poprzedzające obezwładnienie wywołane obiadem i winem. Przeszedł wszystkie stopnie od nadmiaru wesołości do bezdenne go smutku. Jak płomień gazowy na ulicy, gdy wiatr dostanie się do rury, roztaczał on chwilami to nadzwyczajną jasność, to znów tak mała, iż zaledwie go można było dojrzeć; po krótkiej przerwie błysnął oślepiającym blaskiem, potem drgnął i zgasł zupełnie. Głowa pochyliła mu się na piersi i jednostajne chrapanie, któremu czasem towarzyszyło głucho mruczenie, były jedy nymi dowodami słuchowymi mogącymi świadczyć o istnieniu tego wielkiego męża.

Pana Tupmana opanowała gwałtowna pokusa znalezienia się na balu, aby wydać sąd o pięknościach hrabstwa Kent. Chciało mu się również zaprowadzić tam nieznajomego, słyszał bowiem, że mówi o mieszkańcach miasta, jak gdyby mieszkał w nim od urodzenia, gdy on sam znajdował się w miejscu zupełnie mu obcym. Pan Winkle spał głęboko, a pan Tupman zbyt dobrze znał z doświadczenia stan, w jakim się znajdował jego towarzysz, by nie wiedzieć, że według zwykłego przebiegu praw natury przyjaciel jego, przebudziwszy się, nie będzie myślał o niczym innym, tylko o tym, by się jakoś dowlec do łóżka. Mimo to jednak był jeszcze niezdecydowany.

– Napełnij pan sobie szklanke i przysuń wino – rzekł niezmordowany gość.

Pan Tupman spełnił to żądanie i ta ostatnia, uzupełniająca szklanka wymogła na nim postanowienie.

– Z sypialnego pokoju pana Winkle’a – rzekł do nieznajomego – są drzwi do mojego pokoju, a gdybym go teraz obudził, nie potrafiłbym mu dać do zrozumienia, czego żądam; ale wiem, że w swej torbie podróżnej ma on kompletne ubranie. Gdyby pan przywdział je na bal, a po powrocie zdjął, mógłbym je łatwo złożyć na tym samym miejscu, nie niepokojąc mego przyjaciela.

– Doskonale – odparł nieznajomy – wybory plan! Głupie położenie, śmieszne. Czternaście franków mieć w swoim kufrze i być zmuszonym przywdziewać cudzy! Bardzo głupio! Doprawdy.

– Trzeba wziąć bilety – rzekł pan Tupman.

– Nie warto mieniać gwinei. Zagrajmy, kto zapłaci za obu. Rzuć pan złotą monetę w górę, ja będę zgadywał. Zaczynaj pan. Kobieta, kobieta, kobieta czarodziejka!

Złoty pieniąż upadł i ukazała się postać smoka przez grzeczność nazywanego kobietą. Skazany losem pan Tupman zadzwonił, wziął bilety i zażądał światła. Po kwadransie nieznajomy był kompletnie ustrojony w szaty pana Nataniela Winkle’a.

– To frak zupełnie nowy – rzekł Tupman, podczas gdy nieznajomy z zadowoleniem przyglądał się sobie – to pierwszy frak, który został ozdobiony guzikami naszego klubu.

I wskazywał towarzyszowi duże złocone guziki, na których wyryte były litery K. P. po obu stronach popiersia pana Pickwicka.

– K. P. – powtórzył nieznajomy – śmieszna dewiza, portret tego dziada i K. P.! Co to znaczy to K. P.? Komiczny portret? Co?

Pan Tupman z wielką powagą i źle ukrywanym oburzeniem objaśnił mistyczny symbol Klubu Pickwicka, a tymczasem nieznajomy wykręcił się, by zobaczyć tył fraka, którego stan dochodził mu do połowy pleców.

– Stan cokolwiek za krótki, co? Jak kurtki tragarzy: śmieszne ubiory, robi się bez miary, na hurt; tajemnicze drogi opatrności, wszystkim ludziom małego wzrostu dostają się długie ubrania, wszystkim słusznego – krótkie.

Mieląc w ten sposób językiem, nowy towarzysz pana Tupmana kończył poprawiać swe ubranie, a raczej ubranie pana Winkle'a, i w chwilę potem dwaj miłośnicy balu weszli razem na schody.

– Nazwiska panów? – zapytał jakiś jegomość przy drzwiach stojący. Pan Tupman podszedł, by wygłosić swe tytuły i charakter, gdy nieznajomy zatrzymał go, mówiąc:

– Żadnych nazwisk! – i mruknął do ucha panu Tupmanowi: – Po co nazwiska? Nieznajomi! Doskonałe nazwisko, w swoim rodzaju incognito, to przyjemność! Gentlemani z Londynu, szlachetnie urodzeni i basta.

Po tych ostatnich wyrazach, głośno wymówionych, otworzyły się drzwi i pan Tupman wraz z nieznajomym weszli do sali balowej.

Był to długi pokój z karmazynowymi kanapami wzdłuż ścian i oświetlony świecami w kryształowym żyrandolu. Muzykanci byli umieszczeni na estradzie: trzy lub cztery koła kontredansowe rozwijały się i zwijały systematycznie. W bocznym pokoju

znajdowało się parę stołów do gry, przy których cztery stare damy, z taką samą ilością otyłych mężczyzn, z całą powagą grały w wista.

Po przetańczeniu ostatniej figury tancerze zaczęli przechadzać się po sali, a nasi dwaj znajomi stanęli w kącie, by przyjrzeć się towarzystwu.

– Śliczne kobiety! – rzekł z westchnieniem pan Tupman.

– Zaczekaj no pan. Zobacysz jeszcze. Matadory jeszcze się nie pojawiły. Śmieszne zwyczaje! Wyżsi urzędnicy marynarki nie rozmawiają z niższymi urzędnikami; niżsi urzędnicy nie rozmawiają z mieszczanstwem; komisarz rządowy nie rozmawia z nikim.

– Co to za jasnowłosy chłopak z czerwonymi oczyma i w fantastycznym ubraniu?

– Ts! Milcz pan, jeżeli możesz! Czerwone oczy! Fantastyczne ubranie! Chłopak!... Ho, ho! Ciszej, ciszej, to chorąży z 97 pułku, szanowny Wilmot Snipe. Snipy wielka rodzina, liczna rodzina.

– Sir Tomasz Clubber, pani Clubber i panny Clubber – zawołał donośnym głosem anonsujący.

Głębokie wrażenie owładnęło całą salą, gdy wszedł ogromny gentleman w niebieskim fraku ze złotymi guzami, z nim dorodna dama w niebieskim atłasie tudzież dwie młode panienki, wykrojone według tegoż modelu, w strojnych sukniach takiej samej barwy.

– Komisarz rządowy, naczelnik marynarki, wielki człowiek, niezaprzeczalnie wielki! – cicho mówił nieznajomy do pana Tupmana, gdy gospodarze balu prowadzili sir Tomasza Clubbera na drugi koniec sali. Szanowny Wilmot Snipe i znakomici goście pośpieszyli złożyć swe uszanowanie pannom Clubber, a sir Tomasz Clubber, wyprostowany jak głoska I, majestatycznie spoglądał na zgromadzonych z wysokości swego czarnego krawata.

– Pan Smithie, pani Smithie i panny Smithie – zaanonsowano następnie.

– Co to za państwo Smithie? – zapytał pan Tupman.

– Także coś z marynarki – odpowiedział nieznajomy.

Pan Smithie uklonił się z uszanowaniem sir Tomaszowi Clubber, a sir Tomasz Clubber oddał mu ukłon z widoczną przychylnością. Lady Clubber przez lornetkę przypatrywała

się pani Smithie i jej córkom, a znowu pani Smithie z góry spoglądała na jakąś damę, której mąż nie służył w marynarce.

– Pułkownik Bulder, pani Bulder, panna Bulder.

– Dowódca garnizonu – rzekł nieznajomy odpowiadając na pytający wzrok pana Tupmana.

Panna Bulder bardzo serdecznie została przyjęta przez panny Clubber; powitanie pani Bulder i lady Clubber było najczulsze, pułkownik Bulder i sir Tomasz Clubber poczęstowali się nawzajem tabaką i obaj spojrzeli dokoła jak para Aleksandrów, władców wszystkiego, co ich otaczało.

Podczas gdy miejscowa arystokracja, Buldery, Clubbery i Snipy, zachowywała w ten sposób swoją godność na honorowym miejscu w sali, inne klasy towarzystwa naśladowały ich na szarym końcu, ile tylko mogły. Najmniej arystokratyczni oficerowie 97 pułku poświęcali się rodzinom pomniejszych urzędników marynarki, żona adwokata i żona kupca win stały na czele dwóch osobnych frakcji, żona piwowara składała swe uszanowanie państwu Bulder, a pani Tomlinson, żona dyrektora biura pocztowego, zdawało się, za powszechną zgodą obrana została na przewodniczącą partii kupieckiej.

Jedną z najpopularniejszych osobistości w swym kółku był mały, tłusty człowieczek o łysej głowie, otoczonej wieńcem czerwonych, twardych włosów. Był to doktor Slammer, chirurg 97 pułku. Doktor Slammer zażywał tabakę ze wszystkimi, śmiał się, tańczył, żartował, grał w wista, był wszędzie, robił wszystko. Do tych i tak już licznych zajęć doktor dołączył jeszcze jedno: największymi i niezmordowanymi względami otaczał starą, małą wdowę, której toaleta i liczne klejnoty znamionowały znaczny majątek, co czyniło z niej pożądaną dodatek do ograniczonych dochodów.

Oczy pana Tupmana i jego towarzysza były już od niejakiego czasu zwrócone na doktora i wdowę, gdy nieznajomy przerwał milczenie.

– Kupa pieniędzy – stara baba – doktor zawraca jej głowę – wyborna myśl – doskonała sztuka!

Podczas gdy te uwagi, niezbyt zrozumiałe, wybiegały z ust nieznajomego, pan Tupman patrzył nań okiem badawczym.

– Pójdę tańczyć z wdową.

– Kto to?

– Nie wiem, nigdy nie widziałem. Wykurzyć doktora! Naprzód marsz!

Domawiając to nieznajomy przeszedł salę, oparł się o gzyms kominka, i utkwiał wzrok, z wyrazem uwielbienia i melancholii, w tłuste policzki starej wdowy. Pan Tupman patrzył na to oniemiały z podziwu. Nieznajomy robił widocznie szybkie postępy; doktor tańczył z inną damą. Wdowa upuściła wachlarz; nieznajomy zerwał się i podał go jej pośpiesznie: uśmiech, ukłon, wymiana kilku grzeczności. Nieznajomy zuchwale przeszedł przez salę, by wyszukać mistrza ceremonii, powrócił z nim do pani Budger i po kilku chwilach przedwstępnej prezentacji pochwycił swą zdobycz za rękę i stanął z wdową do kontredansa.

Zdziwienie pana Tupmana na widok tego sumarycznego trybu postępowania było wielkie, ale zdziwienie doktora, zdaje się, było jeszcze większe. Nieznajomy był młody, pochlebiało to wdówce; nie zwracała już teraz uwagi na nadszkiebania doktora – a jego oburzenie nie wywarło żadnego wrażenia na rywalu. Doktor Slammer stał jakby paraliżem tknięty. On, doktor Slammer, z 97 pułku, w jednej chwili wniwecz obrócony przez człowieka, którego nikt dotąd nie widział, nikt nie znał! Doktor Slammer! Doktor Slammer z 97 pułku! To nie do uwierzenia! To być nie może! A jednak tak było! Dobrze. Oto nieznajomy przedstawia swego przyjaciela! Doktor nie wierzy własnym oczom. Patrzy znowu i znajduje się w przykraj konieczności uznania, że go nie łudzą jego nerwy wzrokowe. Pani Budger tańczy z panem Tupmanem; trudno mylić się. Jego wdowa, z ciałem i kośćmi, jest



tu przed nim i hasa z niezwykłą energią! Jest tu także przed nim i pan Tupman, wyskakujący to w prawo, to w lewo, z miną pełną powagi, tańczący (co się zresztą zdarza wielu osobom) tak, jak gdyby kontredans był jakąś uroczystą próbą, dla której odbycia trzeba zawsze uzbroić swą moralną stronę w niewzruszoną stanowczość.

Doktor zniósł to wszystko w milczeniu i cierpliwie. Widział, jak nieznajomy podawał wdowie poncz, potem odnosił szklanki, rzucił się na biszkopty; widział tysiące wzajemnych umizgów i nie powiedział nic. Ale w kilka sekund po zniknięciu nieznajomego z panią Budger, którą rywal odprowadził do powozu, doktor wyleciał z sali, a każdy atom jego długo powstrzymany gniewu, zdawało się, tryskał mu z twarzy strumieniem.

Nieznajomy powrócił i począł rozmawiać po cichu z panem Tupmanem; śmiał się, był rozpromieniony i triumfował. Mały doktor zapragnął jego życia.

– Panie – odezwał się groźnie, podając swój bilet wizytowy i odchodząc nieco na stronę – nazwisko moje Slammer, doktor Slammer, panie! Z 97 pułku, koszar Chatham. Oto mój bilet, panie! Bilet mój!

Chciał mówić dalej, ale oburzenie mowę mu odjęło.

– A! – odrzekł nieznajomy, jakby od niechcienia – Slammer, bardzo dobrze, dziękuję, teraz nie jestem chory. Slammer... Gdy zachoruję, udam się do pana.

– Pan... jesteś intrygant... jesteś tchórz... jesteś nikczemny... jesteś głaz... jesteś... jesteś... Czy pan zdecyduje się dać mi swój bilet?

– A! rozumiem – rzekł nieznajomy półgłosem – poncz za mocny – przyjęcie zbyt hojne – limoniada lepsza – w pokojach za gorąco – gentleman już w pewnym wieku – nazajutrz daje się to odczuć – nieznośne cierpienia... – i zrobił kilka kroków.

– Mieszkasz pan w tym domu! – krzyknął wzburzony mały jegomość. – Teraz jesteś pan pijany, panie! ale usłyszysz pan o mnie jutro rano, panie! Dowiem się, coś pan za jeden! Dowiem się, kto pan zacz!

– Prędzej dowie się pan, kto jestem, niż gdzie mieszkam! – odrzekł niewzruszony nieznajomy.

Doktor Slammer spojrział na niego z nieopisaną zawziętością i oddalił się, nasuwając na głowę kapelusz w sposób wymownie świadczący o oburzeniu.

Nieznajomy poszedł do pana Tupmana, by zwrócić garderobę pożyczoną u niewinnego pana Winkle'a, którego znaleziono w głębokim śnie; zwrot został niebawem dokonany. Nieznajomy był nadzwyczaj żartobliwie usposobiony, a pan Tupman, oszołomiony winem, ponczem, światłem i widokiem tylu kobiet, całą tę sprawę uważał za doskonały żart. Po odejściu nowego swego przyjaciela napotkał na pewne trudności przy szukaniu otworu szlafmicy, wywrócił lichtarz i dopiero po całym szeregu wielce skomplikowanych ewolucji zdołał dostać się do łóżka. Pomimo tych drobnych wypadków rychło znalazł pożądany spoczynek.

Na drugi dzień rano, zaledwie wybiła siódma, uniwersalny umysł pana Pickwicka został gwałtownym kołataniem do drzwi wyrwany ze stanu odrętwienia, w którym pogrążył go sen.

– Kto tam? – zawołał filozof, podnosząc się.

– Garson, panie.

– Czego chcesz?

– Czy nie może mi pan powiedzieć, który z towarzyszy pańskich ma niebieski frak ze złoconymi guzikami i literami na nich?

„Zapewne wziął go do wyczyszczenia – pomyślał pan Pickwick – i zapomniał, do kogo należy”.

– Pan Winkle – odrzekł – trzecie drzwi na prawo.

– Bardzo panu dziękuję – odpowiedział garson i odszedł.

– Co się stało? – zawołał pan Tupman, gdy głośnie stukanie do jego drzwi wyrwało i jego ze snu.

– Czy mogę mówić z panem Winkle? – spytał czyścibut zza drzwi.

– Winkle! Winkle! – zawołał pan Tupman do pokoju w głębi.

– Halo! – odpowiedział słaby głos spod kołdry.

– Pytają o ciebie... ktoś przy drzwiach – zmusiwszy siebie do wypowiedzenia aż tylu słów, pan Tracy Tupman odwrócił się do ściany i zasnął.

– Pytają o mnie! – zawołał pan Winkle wyskakując z łóżka i nakładając na siebie coś niecoś z garderoby. – Pytają o mnie! W takiej odległości od Londynu! Kto, do licha, może mieć do mnie interes?

– Jakiś gentleman na dole w kawiarni, panie... Powiada, że chce tylko chwilkę pomówić z panem, ale nie chce czekać.

– To dziwne – mruknął pan Winkle. – Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

Zawinął się w szlafrok, szyję obwiązał chustką i poszedł. Stara baba i dwaj chłopcy zamiatali kawiarnię. Przy oknie stał jakiś oficer, który, ujrawszy wchodzącego pana Winkle'a, skłonił mu się zimno, potem kazał wyjść sprzątającym, starannie zamknął drzwi i powiedział:

– Panie Winkle, jak sądzę?

– Tak jest, panie, nazywam się Winkle.

– Przychodzę tu w imieniu mego przyjaciela, doktora Slammera, z 97 pułku. To pana nie powinno dziwić.

– Doktora Slammera? – powtórzył pan Winkle.

– Doktora Slammera. Poleciał mi, bym oznajmił panu w jego imieniu, że postępowanie pańskie wczorajszego wieczora było niehonorowe i że człowiek honorowy darować tego nie może.

Zdumienie pana Winkle'a było zbyt prawdziwe i widoczne, by go nie dostrzegł wysłannik doktora Slammera, który też tak dalej mówił:

– Przyjaciel mój, doktor Slammer, jest zdaje się najmocniej przekonany, że przez znaczną część wieczoru był pan mocno podchmielony i niemal bez możliwości zrozumienia wyrządzonej mu obrazy. Poleciał mi przeto oznajmić panu, że jeżeli w ten sposób wytłumaczysz się ze swego postępowania, on przyjmie takie tłumaczenie, napisane przez pana własnoręcznie tak, jak ja je panu podyktuję.

– Tłumaczenie na piśmie! – powtórzył znowu pan Winkle tonem najwyższego zdumienia.

– W przeciwnym razie – mówił dalej oficer – wiadomo panu, czym się to powinno skończyć.

– Czy zlecenie, którego się pan podjął, dotyczy mnie? – zapytał pan Winkle, którego siły umysłowe doszczętnie zdeorganizowała ta niezwykła rozmowa.

– Nie byłem obecny przy tej scenie, a więc i przy tym, jak pan uparłeś się, by nie dać swej karty doktorowi Slammerowi. Uprosił więc mnie, bym się dowiedział, kto jest właścicielem fraka niebieskiego ze złożonymi guzikami i literami K. P.

Pan Winkle aż drgnął ze zdziwienia usłyszawszy tak szczegółowy opis swego ubioru. Przyjaciel doktora Slammera mówił dalej:

– Dowiedziałem się, że właściciel rzeczzonego fraka przybył tu wczoraj z trzema innymi panami. Posłałem do tego z nich, który zdaje się być przewodniczącym całego towarzystwa, a ten odesłał mię do pana.

Gdyby wielka wieża zamku Rochester zlaźła nagle ze swych fundamentów i stanęła na przeciw okien, zdziwienie pana Winkle'a nie byłoby większe nad to, jakiego doznał usłyszawszy te wyrazy. Pierwszą jego myślą było, że mu skradziono frak. Rzekł więc oficerowi:

– Czy zechce pan poczekać tu na mnie przez chwilę?

– Dobrze – odpowiedział niepożądany gość.

Pan Winkle pobiegł prędko go schodach i drżącą ręką otworzył swą torbę podróżną. Niebieski frak leżał w zwykłym miejscu; ale przypatrzawszy się mu starannie, można było poznać, że był w użyciu poprzedniej nocy.

– Prawda! – powiedział do siebie pan Winkle upuszczając frak. – Za wiele piłem wczoraj po obiedzie i coś mi się marzy, jakobym potem chodził po mieście i palił cygaro. Faktem jest, że byłem tego ścięty. Musiałem zmienić ubranie i łaźnię gdzieś; musiałem kogoś obrazić – to pewne... i oto jakie okropne skutki!

Dreńczony tymi myślami, zeszedł do kawiarni z ponurym postanowieniem przyjęcia wyzwania śmiałego doktora i poddania się najgroźniejszemu tego skutkom.

Różne względy doprowadziły go do takiej decyzji. Naprzód dbałość o swą reputację w klubie. Tam uchodził zawsze za pierwszorzędną powagę we wszystkim, co dotyczyło ćwiczeń ciała, tak zaczepnych jak odpornych i bezspornych. Gdyby się cofnął przy pierwszej próbie, w oczach prezydenta klubu stanowisko jego byłoby na zawsze stracone. Po wtóre, przypominał sobie, iż słyszał (od niewtajemniczonych), że świadkowie zwykle umawiają się i nie kładą kul do pistoletów. Na koniec sądził, że gdy wybierze sobie za świadka pana Snodgrassa i przedstawi mu całe niebezpieczeństwo, gentleman ten uwiadomi pewno o wszystkim pana Pickwicka, który niezawodnie da znać władzy miejscowej zapobiegając zabiciu albo uszkodzeniu jego ucznia.

Obliczywszy wszystkie te szanse powrócił do sali i oświadczył, iż przyjmuje wyzwanie doktora.

– Czy zechce mi pan wskazać swego świadka, bym się z nim ułożył co do czasu i miejsca spotkania? – zapytał wtedy oficer nader uprzejmie.

– To zbyt ciężkie, wskaż mi pan tylko czas i miejsce, świadek przyjdzie razem ze mną.

– Niech i tak będzie – rzekł oficer obojętnie – dziś o zachodzie słońca, jeżeli pan nie ma nic przeciw temu.

– Bardzo dobrze – odparł pan Winkle myśląc w duchu, że bardzo źle.

– Zna pan warownię Pitt?

– Widziałem ją wczoraj.

– Pójdzie pan więc polem, koło wałów, potem ścieżką na lewo od rogu fortyfikacji, a potem prosto, aż tam, gdzie ja stać będę. Następnie pójdziemy razem w miejsce ustronne, gdzie rzecz odbędzie się bez żadnej przeszkody.

„Bez przeszkody!” – pomyślał pan Winkle.

– Sądzę, że nie mam nic więcej do omówienia.

– Zdaje się, że nic.

– A więc żegnam.

– Żegnam.

I oficer odszedł, wygwizdując jakąś wesołą melodię.

Przy śniadaniu w dniu tym było jakoś niewesoło naszym podróżnikom.

Pan Tupman po niezwykłych zdarzeniach ubiegłej nocy nie był w stanie podnieść się z łóżka; pan Snodgrass, zdawało się, doświadczał poetyckiego zaćmienia umysłu; sam pan Pickwick okazywał niezwykłą skłonność do sodowej wody i milczenia; co do pana Winkle’a, ten szukał przede wszystkim sposobności do porozumienia się ze swym świadkiem. Sposobność ta wkrótce się nadarzyła; pan Snodgrass zaproponował zwiedzenie zamku, a ponieważ z całego towarzystwa jeden tylko Winkle był usposobiony do tej przechadzki, poszli więc we dwóch.

– Snodgrass – rzekł pan Winkle, gdy znaleźli się na ulicy – Snodgrass, mój przyjacielu! Powiedz mi, czy mogę liczyć na twoją dyskrecję?

A mówiąc to pragnał gorąco, by na nią liczyć nie mógł.

– Możesz – odparł pan Snodgrass. – Przysięgam...  
– Nie, nie! – przerwał mu Winkle, przerażony myślą, iż przyjaciel jego najniepotrzebniej może się zobowiązać do niewydania go. – Nie przysięgaj! To zbyteczne.

Pan Snodgrass opuścił rękę, którą podniósł był poetycznie ku niebu, i przybrał postawę wyczekującą.

– Potrzebuję, mój przyjacielu, twych usług w sprawie honorowej.

– Gotów jestem – odparł pan Snodgrass, ściskając rękę swego towarzysza.

– Z doktorem, doktorem Slammerem, z 97 pułku – dorzucił pan Winkle, chcąc przedstawić rzecz jak można najpoważniej. – Sprawa jest z oficerem, który będzie miał za świadka innego oficera. Dziś przed zachodem słońca, w ustronnym miejscu, poza warownią Pitt.

– Możesz liczyć na mnie – odrzekł pan Snodgrass, zdziwiony, ale nie przejęty. I rzeczywiście, nie masz nic godniejszego uwagi nad obojętność, z jaką dowiadujemy się o podobnego rodzaju sprawach, gdy sami nie jesteśmy główną stroną działającą.

Pan Winkle zapomniał o tym. Sądził o uczuciach swego przyjaciela według własnych uczuć.

– Skutki mogą być okropne – przemówił pan Winkle.

– Spodziewam się, że nie.

– Doktor, jak sądzę, strzela bardzo dobrze.

– Większa część wojskowych strzela dobrze – zauważył pan Snodgrass ze spokojem – ale i ty strzelasz doskonale?

Pan Winkle odpowiedział twierdząco, lecz widząc, że niedostatecznie przeraził swego towarzysza, zmienił baterię.

– Snodgrass – rzekł doń głosem drżącym ze wzruszenia – jeżeli zginę, znajdziesz w moim pugilaresie list do...

Ten atak także się nie udał. Pan Snodgrass był wzruszony, ale zobowiązał się doręczyć list, i to z taką łatwością, jakby przez całe życie był listonoszem.

– Jeżeli zginę – mówił dalej pan Winkle – albo jeżeli doktor zginie, ty, mój przyjacielu, będziesz sądzony jako współnik czynu działający z rozmysłem. Czyż mam narażać przyjaciela na wygnanie? Może dożywotnie więzienie?

Tym razem pan Snodgrass zawahał się: ale heroizm jego był niepokonany.

– Dla przyjaciela – zawołał z zapalem – gotów jestem na wszystkie niebezpieczeństwa.

Bóg to jeden wie, jak nieszczęśliwy pan Winkle przeklinał w duchu poświęcenie swego przyjaciela. Przez jakiś czas szli w milczeniu, obaj pogrążeni w myślach. Dzień upływał, a z nim zniknęła wszelka nadzieja ratunku.

– Snodgrass – zawołał wreszcie pan Winkle stanawszy nagle – nie wydaj mię przed miejscową władzą, nie żądaj konstablów dla zapobieżenia pojedynkowi; nie staraj się o to, by przytrzymano mnie albo doktora Slammera z 97 pułku, obecnie mieszkającego w koszarach Chatham. Proszę cię, byś nie czynił tego w zamiarze niedopuszczenia do pojedynku.

Pan Snodgrass pochwycił rękę swego przyjaciela i zawołał z uniesieniem:

– Nie! Za nic w świecie!

Dreszcz przeszedł po ciele pana Winkle'a, gdy się przekonał, że i z tej strony nie ma się czego spodziewać i że nieodwołalnym jego przeznaczeniem jest służyć za żywy cel.

Opowiedziawszy sobie ze wszystkimi szczegółami powody pojedynku wstąpili obaj do rusznikarza. Tu wynajęli skrzynkę z pistoletami, używanymi zwykle przy dawaniu satysfakcji, i dołączyli do tego odpowiednią ilość prochu, kapsli i kul. Potem powrócili do obozów: pan Winkle, by rozmyślać o mającej nastąpić walce, pan Snodgrass, by uporządkować broń.

Gdy udali się następnie na niemiłą wyprawę, nadchodził wieczór, smutny i jakiś ociężały. Pan Winkle z obawy, by nie być spostrzeżonym, owinał się w szeroki płaszcz, pan Snodgrass pod swoim płaszczem niósł narzędzia zniszczenia.

– Czyś wziął ze sobą wszystko, co potrzeba? – zapytał pan Winkle głosem wzruszonym.

– Wszystko. Mam zapasowe naboje na wypadek, gdyby pierwszy strzał nie dał rezultatu, ćwierć funta prochu w skrzynce i dwa dzienniki w kieszeni dla zrobienia przybitek, gdy będzie potrzeba.

Były to dowody przyjaźni, za które niepodobna było nie czuć wdzięczności. Przypuszczać należy, iż wdzięczność tę pan Winkle uczuwał aż nadto żywo, aby mógł ją wyrazić, gdyż nie wyrzekł ani słowa, tylko zaczął iść nieco wolniej.

– Przybywamy w sam czas – powiedział pan Snodgrass, przechodząc przez miedzę pierwszego zagonu – właśnie słońce zachodzi.

Pan Winkle spojrzął na czerwoną tarczę chyłącą się za widnokrąg i z boleścią pomyślał, iż może już jej nie zobaczy więcej.

– Oto oficer! – zawołał po jakimś czasie.

– Gdzie? – zapytał pan Snodgrass.

– Tam! Ten gentleman w niebieskim płaszczu.

Oczy pana Snodgrassa zwróciły się w kierunku palca pana Winkle'a i ujrzał drugą figurę, która dała znak ręką i poszła przodem. Dwaj nasi przyjaciele podążyli za nią w milczeniu.

Wieczór nadchodził. Melancholijny wiatr dął po pustym polu, rzekłbyś – daleki poświst olbrzyma nawołującego psy. Wszystko to wywarło ponure wrażenie na panu Winkle'u. Przechodząc obok rogu wartowni zdrzął: wydawało mu się, iż widzi jakiś olbrzymi grobowiec.

Wtem oficer zeszedł ze ścieżki i przeskoczywszy przez płot, wszedł na ustronne pole. Tu czekało dwóch panów. Jeden młody, tłusty, czerwonołłosy; drugi – słuszny i przystojny mężczyzna w surducie z potrzebami, siedział na składanym krześle w najdoskonalszym spokoju.

– Nasi przeciwnicy – rzekł pan Snodgrass – jak mi się zdaje, z chirurgiem. Przełknij no łyk wódki.

Pan Winkle chciwie chwycił oplataną butelkę, podaną mu przez towarzysza, i długim łykiem wciągnął w siebie wzmacniający płyn.

– Mój przyjaciel, pan Snodgrass – rzekł potem do zbliżającego się oficera.

Świadek doktora Slammera uklonił się i podał szkatułkę podobną do tej, jaką przyniósł ze sobą pan Snodgrass.

– Sądzę, mój panie, że nie mamy sobie nic do powiedzenia – zauważył zimno, otwierając szkatułkę. – Żadne tłumaczenie nie wchodzi w grę.

– Nie wchodzi – odpowiedział pan Snodgrass, któremu zaczęło się robić niedobrze.

– Czy zechce pan wymierzyć ze mną plac? – zapytał oficer.

– Naturalnie – odparł pan Snodgrass.

– Może jest pan zdania, że moje pistolety są lepsze niż panów. Widziałeś pan, jak je nabijałem. Czy ma pan co przeciwko temu, byśmy się nimi posłużyli?

– Nie mam nic – odpowiedział pan Snodgrass. Propozycja ta wybawiła go z wielkiego kłopotu, gdyż wiadomości jego o sposobie nabijania pistoletów były cokolwiek nieokreślone i niejasne.

– Sądzę więc, iż możemy ustawić przeciwników – mówił dalej oficer z taką obojętnością, jakby chodziło o partię szachów.

– Sądzę, że możemy – odparł pan Snodgrass, który by zresztą zgodził się na każdą inną propozycję, gdyż nic a nic nie znał się na tego rodzaju sprawach.

Oficer podszedł ku doktorowi Slammerowi, a tymczasem pan Snodgrass zbliżył się do pana Winkle'a.

– Wszystko gotowe – rzekł wręczając pistolet. – Daj mi swój płaszcz.

– Masz tu mój pugilares – rzekł nieszczęśliwy pan Winkle.

– Wszystko pójdzie dobrze. Zachowaj spokój i mierz prosto w piersi.

Pan Winkle pomyślał, iż rada ta była podobna do rady dawanej zwykle przez widzów przypatrujących się borykaniu dwóch uliczników: – Powal go na ziemię i trzymaj pod sobą. – Doskonała rada, byle tylko wiedzieć, jak ją wykonać! Ale koniec końców pan Winkle zdjął płaszcz w milczeniu (płaszcz ten miał tę właściwość, że zdejmowanie go wymagało dość długiego czasu) i wziął pistolet. Świadkowie odeszli na bok: jegomość ze składanym krzesłem, a także dwaj wrogowie poczęli podchodzić ku sobie.

Pan Winkle odznaczał się zawsze wysokim humanitaryzmem. Są poszlaki pozwalające przypuszczać, że i tym razem wstręt, jakiego doznawał widząc się zmuszonym do szkody z rozmysłem jednemu ze swych bliźnich, zniewolił go do zamknięcia oczu w chwili, gdy się zbliżał do fatalnego punktu, i że ta właśnie okoliczność nie dozwoliła mu dostrzec niczym nie wytłumaczonego postępowania doktora Slammera. Człowiek ten zbliżając się do pana Winkle'a zadrżał, otworzył szeroko oczy, jak tylko mógł, i w końcu zawołał:

– Stójcie! stójcie!

– Co to ma znaczyć? – mówił dalej, gdy pan Snodgrass wraz z jego świadkiem nadbiegli. – To nie ten.

– Nie ten? – zawołał świadek doktora Slammera.

– Nie ten? – zawołał pan Snodgrass.

– Nie ten? – zawołał jegomość ze składanym stołkiem pod pachą.

– Nie ten – powtórzył raz jeszcze doktor. – Tak, to nie ten człowiek, który mnie wczoraj obraził!

– To szczególne! – zawołał oficer.

– Szczególne – powtórzył jegomość ze stołkiem. – Ale teraz – dodał – zachodzi następująca kwestia. Czy pan znajdujący się obecnie na placu nie powinien być dla zachowania formalności uznany za osobę, która wczoraj wieczorem obraziła naszego przyjaciela, doktora Slammera?

Rzuciwszy tę nową myśl, z miną niezwykle mądrą i tajemniczą, jegomość ze stołkiem zażył tęgi niuch tabaki i spojrzał dokoła z powagą osoby przywykłej być autorytetem.

Ale teraz i pan Winkle otworzył oczy, a także i uszy, usłyszawszy, że przeciwnik jego żąda zawieszenia kroków nieprzyjacielskich. Domyśliwszy się tego, co następnie powiedziano, iż zaszła jakaś omyłka co do osoby, pojął od razu, ile może zyskać jego reputacja, jeżeli ukryje rzeczywiste powody, które go skłoniły do pojedynkowania się. Poszedł więc śmiało naprzód i powiedział:

– Wiem dobrze, że to nie ja jestem przeciwnikiem doktora.

– W takim razie – rzekł jegomość ze stołkiem – jest to afront dla doktora Slammera, a co za tym idzie, dostateczny powód do pojedynku.

– Daj pokój, Payne – przerwał świadek doktora. A potem, zwracając się do pana Winkle'a, zapytał:

– Dlaczego nie powiedział mi pan tego dziś rano?

– Tak! tak! Dlaczego nie powiedział dziś rano? – wyrwał się znowu oburzony jegomość ze stołkiem.

– Proszę cię, Payne, daj spokój! – odezwał się świadek i znów, zwracając się do pana Winkle'a, dodał: – Czy mam powtórzyć moje pytanie?

– Ponieważ – odrzekł pan Winkle, który miał już czas obmyślić odpowiedź – ponieważ powiedział mi pan, iż osoba, o którą chodzi, ubrana była we frak, który ja tylko mam honor

nosić, który sam wynalazłem. Jest to uniform zaprojektowany dla Klubu Pickwicka w Londynie. Czuję się w obowiązku bronić honoru tego uniformu i w takim to celu, bez dalszych wyjaśnień, przyjąłem wyzwanie.

– Kochany panie – odrzekł na to mały, poczciwy doktor, podając mu rękę – szanuję pańską odwagę. Pozwól mi pan dodać, iż wysoko cenię jego postępowanie i że bardzo żałuję, że go niepotrzebnie fatygowałem.

– Nie mówmy o tym więcej – odrzekł grzecznie pan Winkle.

– Będę miał sobie za zaszczyt bliżej poznać pana – ciągnął dalej mały doktor.

– I dla mnie, panie, będzie to największą przyjemnością – odpowiedział pan Winkle.

Następnie uściśnął rękę doktora, jego świadka, porucznika Tappletona, jegomościa ze składanym stołkiem, na koniec pana Snodgrassa, który z niesłychanym uwielbieniem patrzył na szlachetne zachowanie się swego bohaterskiego przyjaciela.

– Sądzę, że teraz możemy się rozejść – rzekł porucznik Tappleton.

– Naturalnie – odpowiedział doktor.

– Chybaby pan Winkle – wtrącił jegomość ze stołkiem – chybaby pan Winkle czuł się obrażony wyzwaniem. W takim razie jestem zdania, iż ma prawo żądać satysfakcji.

Pan Winkle, z najdalej idącą abnegacją swego własnego „ja”, oświadczył, że czuje się najzupełniej usatysfakcjonowany.

– Może – zaczął znowu jegomość ze stołkiem – może świadek pana Winkle’a czuje się osobiście obrażony niektórymi moimi uwagami w początkach tego spotkania. W takim razie gotów jestem dać mu bezzwłocznie satysfakcję.

Pan Snodgrass pośpieszył oświadczyć, że jest wdzięczny za tę uprzejmą propozycję i że tylko jedno stoi mu na przeszkodzie do jej przyjęcia, a mianowicie to, że czuje się wielce usatysfakcjonowany obrotem, jaki wzięła sprawa.

Po tak szczęśliwym rozwiązaniu świadkowie powkładali do skrzynek mordercze przyrządy i opuścili plac boju, nierównie weselsi, niż gdy tam szli.

– Czy pan długo tu pozostanie? – zapytał doktor Slammer pana Winkle’a, gdy powracali.

– Sądzę, że odjedziemy pojutrze.

– Bardzo bym był szczęśliwy, gdybyś pan po tym śmiesznym *qui pro quo* zrobił mi zaszczyt i zechciał odwiedzić mnie wraz ze swym przyjacielem. Czy jest pan gdzie zaproszony?

– Mam kilku przyjaciół w oberży „Pod Bykiem” i chciałbym być z nimi. Ale bardzo by nam było przyjemnie, gdybyście panowie spędzili wieczór z nami.

– Z największą chęcią. Czy nie będzie późno o dziesiątej godzinie?

– Bynajmniej. Bardzo mi będzie miło przedstawić panów moim przyjaciołom, panu Pickwickowi i panu Tupmanowi.

– I mnie także – odpowiedział doktor nie przypuszczając, że zna pana Tupmana.

– Więc panowie przyjdą z pewnością? – zapytał pan Snodgrass.

– O, najniezawodniej.

Tak rozmawiając, wyszli na gościniec. Pożegnano się z wielką serdecznością. Doktor ze swymi przyjaciółmi udał się do koszar, a panowie Winkle i Snodgrass wesoło powrócili do oberży.

## Rozdział trzeci

### *Nowa znajomość – Opowieść włóczęgi – Niemila przeszkoda – Przykre spotkanie*

Pan Pickwick doznawał pewnego niepokoju z powodu za długiej nieco nieobecności dwóch swoich przyjaciół, przypomniawszy sobie zwłaszcza niepojęte ich ranne zachowanie się. Toteż z prawdziwą przyjemnością powitał ich i z niezwykłym zajęciem zapytał, gdzie bawili tak długo. W odpowiedzi na to pan Snodgrass zabierał się już do treściwego opisu zaszłych wypadków, gdy spostrzegł między panem Tupmanem, a towarzyszem ich podróży w zielonym fraku jakiegoś nowego nieznanego, wyglądającego nie mniej oryginalnie. Był to człowiek widocznie zestarzały wśród trosk, którego wychudłym policzkom, sterczącym kościom, błyszczącym, chociaż mocno zapadłym oczom nadawały jeszcze ostrzejszego wyrazu czarne, długie włosy spadające w nieładzie na kołnierz. Szczęki jego były tak długie i tak chude, iż można by sądzić, że naumyślnie je wyciągał, gdyby nieruchomość rysów i na pół otwarte usta nie przekonywały, że jest to zwykły jego wygląd. Szyję miał okręconą zielonym szalem, którego szerokie końce, spadające na piersi, wyglądały spomiędzy guzików starej kamizelki. Miał na sobie długi, czarny surdut, spodnie z grubego sukna i buty mocno sfatygowane. Oczy pana Winkle'a zatrzymały się na tej nie umytej figurze; pan Pickwick, dostrzegłszy to, powiedział wskazując ręką na nieznanego:

– Przyjaciół naszego nowego przyjaciela. Dziś rano odkryliśmy, że nowy nasz przyjaciel jest zaangażowany do tutejszego teatru, chociaż nie życzy sobie, by to rozgłaszano. Gentleman należy również do tej profesji i właśnie, gdyście wchodzili, miał nam opowiedzieć pewną anegdotę.

– Masa anegdot! – rzekł nieznanomy w zielonym fraku, podchodząc do pana Winkle'a i dodając po cichu: – Szczególnego rodzaju człowiek, nie artysta, grywa role drugorzędne, dziwny człowiek, wszelkiego rodzaju nędza. Nazywamy go Jakubem Ponurym.

Panowie Winkle i Snodgrass skłonili się gentlemanowi noszącemu to dziwne przezwisko i zasiadłszy do stołu zażądali grogu, naśladując w tym resztę towarzystwa.

– Teraz, panie – rzekł pan Pickwick – zechciej zrobić nam tę przyjemność i zacznij.

Jakub Ponury wyjął z kieszeni zwój zasmolonego papieru i zwracając się do pana Snodgrassa, zapytał ochrypłym głosem, będącym w najdoskonalszej harmonii z jego powierzchownością:

– Czy pan jest poetą?

– Tak... próbuję sił w tej dziedzinie – odrzekł pan Snodgrass, nieco zmieszany niespodziewanym zapytaniem.

– O! Poezja jest dla życia tym, czym światło i muzyka dla teatru. Ogołoć pan jedno z jego fałszywych ozdób, a drugie ze złudzeń, cóż zajmującego pozostanie w obu? Tak na przykład: przed kinkietami patrzy pan na królewski orszak, podziwia pan jedwabne szaty świetnego tłumu, a stanąwszy za kulisami jesteś ludem wyrabiającym te piękne stroje, mo-



tłochem nic nie znaczącym i pogardzanym, który może upadać i podnosić się, żyć i umierać, jak się podoba losowi, i nikogo to nie obchodzi.

– Niewątpliwie – odpowiedział pan Snodgrass, gdyż zapadłe oczy nieznanego były weń utkwione, czuł więc potrzebę powiedzenia czegokolwiek.

– No, Jakubie – zawołał hiszpański podróżnik – nabierz no otuchy, dość tego skrzeczenia.

– Czy pozwoli pan jeszcze jedną szklaneczkę przed zaczęciem? – zapytał pan Pickwick.

Ponury człowiek przyjął propozycję, nalał sobie szklanekę grogu, z wolna odpił połowę, rozwinął rulon papieru i zaczął ni to czytać, ni to opowiadać następujące zdarzenie, które zostało wniesione do protokołów klubu jako „Opowieść włóczęgi”.

## OPOWIEŚĆ WŁÓCZĘGI

– W tym, co chcę państwu opowiedzieć, nie ma nic cudownego – powiedział ponury człowiek – nawet nic nadzwyczajnego. Niedostatek i choroba nazbyt są znane w wielu warunkach życia, aby zasługiwały na większą uwagę, niż w ogóle okazuje się najpowszechniejszym słabostkom natury ludzkiej. Zebrałem tu luźne notatki, gdyż przedmiot ich był mi dobrze znany od wielu lat. Śledziłem jego upadek, krok za krokiem, aż wreszcie osiągnął to dno nędzy, z którego nigdy nie mógł się już podnieść.

Człowiek, o którym mówię, był nędznym aktorem pantomimicznym. I jak wielu ludzi tej sfery, zwyczajnym opojem; za lepszych swoich dni, zanim wyczerpały go hulanki i wyniszczyły choroby, otrzymywał dobre honorarium, które, gdyby był rozsądny i zapobiegliwy, mógłby otrzymywać jeszcze przez jakiś czas, niezbyt długi, gdyż ci ludzie albo umierają wcześniej, albo przez nadmierne opodatkowanie swojej energii cielesnej tracą przedwcześnie owe fizyczne uzdolnienia, na których wyłącznie mogą oprzeć swoje istnienie. Uparty nałóg opanował go jednak tak szybko, że było rzeczą niemożliwą używać go w sytuacjach, w których naprawdę był pożyteczny teatrowi. Karczmy miały dla niego urok, któremu nie potrafił się oprzeć. Gdyby nie zmienił na czas kursu, choroba i beznadziejna nędza oczekiwałyby go równie pewnie jak śmierć; a że go nie zmienił, więc rezultatu łatwo się domyślić. Nie mógł otrzymać *engagement* i nie miał na kawałek chleba.

Każdy choć trochę obeznany ze sprawami teatru wie, że całe zastępy obdartych, zjedzonych nędzą ludzi kręcą się koło sceny większych przedsiębiorstw teatralnych; nie są to aktorzy stale zaangażowani, ale baletnicy, ludzie z tłumu, akrobaci itp., których się bierze do jakiejś pantomimy lub przedstawienia wielkanocnego, a potem zwalnia do czasu, aż nowe uroczyste przedstawienie da sposobność do korzystania z ich usług. Do tego rodzaju życia został zmuszony ów człowiek. Gdyby znalazł zajęcie co noc w którymś z podrzędnych teatrów, miałby o kilka szylingów więcej tygodniowo i jednocześnie mógłby hołdować swojemu dawnemu nałogowi. Ale i te źródła zawiodły go wkrótce. Zanadto brykał, by mógł zarobić sobie na nędzne pokrzepienie, i wkrótce został doprowadzony do stanu graniczącego z głodem; zaledwie od czasu do czasu zdobywał marne grosze, gdy udało mu się pożyczyć od którego z dawnych kompanów lub gdy pozwolono mu pokazać się w którymś z mniejszych teatrów, a gdy zdobył w końcu jakieś pieniądze, trwonił je w zwykły sposób.

W tym czasie, kiedy mniej więcej od roku żył nie wiadomo z czego, otrzymałem małe *engagement* w jednym z teatrów na brzegu rzeki od strony Surrey. Tam spotkałem owego człowieka, którego od dawna straciłem z oczu, gdyż podróżowałem po prowincji, on zaś walał się po alejach i zaułkach Londynu. Ubrałem się do wyjścia i właśnie przechodziłem przez scenę, gdy uderzył mnie po ramieniu. Nigdy nie zapomnę odpychającego widoku, jaki ujrzały moje oczy, gdy się odwróciłem! Był ubrany do pantomimy z całą absurdalnością błazeńskiego stroju. Upiorne postacie „Tańca Śmierci”, najpotworniejsze kształty, jakie najbardziej utalentowany malarz kiedykolwiek rzucił na płótno, ani w połowie nie

były tak upiorne. Jego opuchłe ciało i drżące nogi – efekt ten tysiącrotnie powiększał fantastyczny strój – szkliste oczy stanowiły potworny kontrast z grubą warstwą białej szminki pokrywającej twarz. Groteskowe przybranie głowy, trzęsącej się jak u paralityka, i długie, kościste ręce wysmarowane białą kredą – wszystko to nadawało mu straszny i nie-naturalny wygląd. Najdokładniejszy opis nie może dać o tym właściwego pojęcia – dziś jeszcze drzę na to wspomnienie. Głos miał głęboki i tremolujący, gdy odciągnął mię na stronę. Urywającymi słowami wygłosił długą litanie chorób i braków, kończąc, jak zwykle, gorącą prośbą o pożyczanie mu trochę pieniędzy. Włożyłem mu kilka szylingów do ręki, a kiedy się odwróciłem, usłyszałem wybuch śmiechu towarzyszący jego skokom na scenie.

W parę wieczorów później jakiś chłopiec wsunął mi do ręki brudny skrawek papieru, na którym było kilka słów donoszących, że ów człowiek jest niebezpiecznie chory i prosi, abym po przedstawieniu odwiedził go w jego mieszkaniu na jakiejś tam ulicy – zapomniałem już nazwy – niezbyt odległej od teatru. Obiecałem stawić się, jak tylko będę wolny; gdy kurtyna zapadła, poszedłem spełnić swą smutną misję.

Było późno, gdyż grałem w ostatniej sztuce. A ponieważ był to wieczór benefisowy, przedstawienie ciągnęło się niezwykle długo. Noc była ciemna, zimna, przejmujący wicher gnał strumienie deszczu w okna i fronty domów. Kałuże wody potworzyły się w nie uczęszczanych i wąskich zaułkach, a ponieważ większość latami olejnych zgasił wicher, przechadzka była nie tylko niewygodna, ale i niepewna. Szczęśliwie poszedłem we właściwym kierunku i po pewnych trudnościach udało mi się odnaleźć dom, do którego mnie skierowano – skład na węgle z jednopiętrową nadbudówką. W ubogim pokoju, w głębi, leżał przedmiot moich poszukiwań.

Kobieta o nędznym wyglądzie, żona owego człowieka, spotkała mię na schodach i mówiąc, że właśnie wpadł w rodzaj otępienia, wprowadziła mię ostrożnie i przysunęła mi krzesło do łóżka. Chory leżał z twarzą obróconą do ściany, a ponieważ nie zwrócił żadnej uwagi na moją obecność, miałem możność rozejrzeć się, gdzie jestem.

Leżał na lichym łóżku; zniszczone szczątki poszarpanych firanek wisały w głowie łóżka, aby zasłonić chorego od wiatru, który pomimo to torował sobie drogę do ubożego pokoju przez liczne szpary we drzwiach i dał w rozmaitych kierunkach. Na żelaznym ruszcie tlił się ogień. Zniszczony trójkątny stół, na nim kilka flaszek od lekarstw i stłuczona szklanka. Na prowizorycznym posłaniu na podłodze spało dziecko, przy nim na krześle siedziała kobieta. Pod ścianą – półki, na nich kilka talerzy, kubków i salaterek; obok para trzewików teatralnych i kilka blach. Z wyjątkiem garści szmat i gałganów, rzuconych niedbale w kąt, nic więcej nie było w pokoju.

Miałem czas dostrzec te szczegóły i zauważyć ciężki oddech oraz gorączkowe ruchy chorego, zanim on zdał sobie sprawę z mojej obecności. Niespokojnie szukając miejsca, w którym mógłby położyć głowę, wyciągnął rękę z łóżka i dotknął mojej ręki. Zerwał się i spojrzał badawczo w moją twarz.

– Pan Hutley, Johnie – powiedziała żona – pan Hutley, po którego posyłałeś wieczorem.

– A! – powiedział chory, trąc ręką czoło. – Hutley... Hutley... pozwólcie... – Przez chwilę usiłował zebrać myśli, po czym schwycił mię za przegub dłoni i zawołał: – Nie zostawiaj mnie... nie zostawiaj mnie... Ona mnie zamorduje, zamorduje mnie!

– Czy to już dawno? – spytałem, zwracając się do płaczącej niewiasty.

– Od wczoraj wieczorem – odpowiedziała. – John! John! Czy mnie nie poznajesz?!

– Nie puszczaj jej do mnie! – zawołał chory i zdrygnął się. – Zabierz ją! Nie znoś jej obecności. – Spojrzał na nią dziko, z wyrazem śmiertelnego przestachu, po czym szepnął mi do ucha: – Biłem ją, Jakubie. Biłem ją wczoraj i nieraz przedtem... Głodziłem ją i małego również. A teraz, kiedy jestem słaby i bezbronny, ona mię zamorduje. Jakubie, wiem, że mię zamorduje! Gdybyś słyszał ją, jak płacze – ja słyszałem! – też byś wiedział,

że mię zamorduje! Nie dopuszczaj jej do mnie! – Zwolnił uścisk i, wyczerpany, opadł na poduszkę.

Wiedziałem aż nadto dobrze, co to znaczy. Gdybym miał choć cień wątpliwości, jedno spojrzenie na bladą twarz niewiasty i na jej wychudzoną postać wytłumaczyłoby mi dostatecznie całą prawdę.

– Lepiej niech pani nie podchodzi – powiedziałem do nieszczęśliwej. – Nic mu pani nie pomoże. Może się uspokoi nie widząc pani. – Usunęła mu się z oczu. Otworzył powieki po chwili i obejrzał się trwożliwie.

– Poszła? – spytał gorączkowo.

– Tak, tak! – potwierdziłem z zapalem. – Nic ci nie zrobi!

– Coś ci powiem, Jakubie – powiedział cichym głosem. – Ona już mi coś robi... Jest w jej oczach coś, co budzi w moim sercu taki strach, że dochodzę do szaleństwa! Przez całą zeszłą noc jej badawcze oczy i blada twarz były tuż przy mnie. Gdzie ja się obróciłem, obracały się i one. Ile razy budziłem się ze snu, siedziała przy łóżku, patrząc na mnie. – Kazał mi się przysunąć bliżej i mówił głębokim, trwożliwym szeptem: – Jakubie, to musi być zły duch! Diabeł! Brr! Wiem, że jest diabłem! Gdyby była kobietą, dawno by umarła. Kobieta nie zniosłaby tego, co ona.

Słabo mi się zrobiło na myśl o tym potwornym zaniedbywaniu żony i znęcaniu się nad nią, które musiało go doprowadzić do takiego wniosku. Nie znalazłem odpowiedzi; któż bowiem znalazłby wyrazy nadziei lub pociechy dla tej nikczemnej kreatury, którą miałem przed oczyma?!

Siedziałem przy nim około dwóch godzin. Przez ten czas rzucał się, jęczał z bólu lub niecierpliwości, nieustannie wymachiwał rękami i przewracał się z jednego boku na drugi. W końcu popadł w stan półświadomości, w której myśli wędrują od sceny do sceny bez kontroli rozumu. Niezdolny był jednak uwolnić się od cierpienia. Przekonawszy się ze skoków jego myśli, że zaszedł ten właśnie wypadek, i wiedząc, że według wszelkiego prawdopodobieństwa gorączka natychmiast się podniesie, opuściłem go, obiecując nieszczęsnej żonie, że ponowię swoje odwiedziny następnego wieczora, a jeżeli zajdzie tego potrzeba, będę czuwał nad chorym w nocy.

Dotrzymałem obietnicy. Ostatnie 24 godziny sprowadziły straszliwą zmianę. Oczy, olbrzymie, głęboko zapadłe, błyszczały tak, że trudno było wytrzymać ich spojrzenie. Wargi miał spieczone i popękane w wielu miejscach. Sucha skóra była rozpalona. W twarzy tego człowieka wyczytałem jakiś niesamowity wyraz strachu, zdradzający jeszcze wyraźniej postępy choroby. Gorączka doszła do najwyższego stopnia.

Siadłem na krześle, które zajmowałem poprzedniej nocy, i siedziałem przy nim długie godziny, słuchając dźwięków, które trafić muszą do głębi serc najbardziej zatwardziałych ludzi. Było to potworne bredzenie konającego. Z tego, co usłyszałem od felczera, wiedziałem, że nie ma żadnej nadziei. Siedziałem przy łożu śmierci. Patrzyłem na schorzałe kończyny, które przed kilkoma godzinami wykrzywiały się ku ucieście burzliwej galerii, wijące się w mękach gorączki, słyszałem ostry śmiech kłowna poprzez charczenie konającego.

Jest to moment wzruszający, gdy słyszy się, jak mózg czepia się zwykłych zajęć i zdrowia, a ciało leży bezsilne i słabe. Ale gdy charakter owych zajęć jest najbardziej krańcowym przeciwieństwem naszych pojęć o tym, co uważamy w życiu za uroczyste i poważne, natenczas wrażenie jest jeszcze potężniejsze. Teatr i karczmia – oto główne tematy majaczeń nieszczęśliwego. Zdawało mu się, że jest wieczór; ma grać tej nocy; jest już późno, musi natychmiast wyjść z domu. Dlaczego go zatrzymują? I nie dają mu iść! Straci zarobek – musi iść! Nie! Nie! Nie puszczają go! Ukrył twarz w rozpalonych dłoniach i słabym głosem skarżył się na swoją słabość i na okrucieństwo swego otoczenia. Krótka pauza – a potem wyrzucił z siebie kilka wierszydeł o podłych rymach; ostatnie, których się na-

uczył. Podniósł się na łóżku, zmógł się w sobie i przybrał dziwaczną pozycję; był w teatrze... Chwila milczenia, po czym szeptem zaczął śpiewać jakąś piosenkę. Jest znowu w swoim starym domu! Na koniec! Jak ciepło w tym pokoju! Był chory, bardzo chory, ale już jest zdrow i bardzo szczęśliwy. Napełnić szklanę! Kto to odejmuje ją od warg?! Ten sam prześladowca, który dokuczał mu przedtem. Znowu opadł na poduszki, jęcząc głośno. Krótki okres zapomnienia, i oto znowu wędruje przez szereg niskich, sklepionych izb – tak niskich, że chwilami musi zginać ręce i nogi, żeby móc przejść. Ciemno tu było i ciasno, w którąkolwiek stronę się zwrócił, wszędzie napotykał przeszkody. Roilo się tam od insektów – wstrętne, pełzające stworzenia z oczyma utkwionymi w niego, zdawało się, wypełniały powietrze – błyszczały groźnie w nieprzepartym mroku. Ściany i sufit były jakby żywe od ruszających się płazów. Sklepienie przybierało potworne rozmiary – straszne postacie uwijały się wszędzie – twarze ludzi, których znał, wykrzywione grymasem, migwały między nimi. Przypiekały go rozpalonym żelazem, ścisnęły głowę sznurami, aż krew krzepła. Wściekle walczył o życie.

Po jednym z takich ataków (z trudem utrzymałem go na łóżku) popadł w stan, który wydawać się mógł snem. Zmęczony czuwaniem i mocowaniem się z nim, zamknąłem na chwilę oczy, gdy nagle uczułem, że ktoś schwycił mnie za ramię. Zbudziłem się natychmiast. Uniósł się tak, że prawie siedział na łóżku. Twarz miał strasznie zmienioną, ale wróciła mu przytomność – gdyż wyraźnie poznał mnie. Dziecina, którą dawno już zbudziły jego jęki, podniosła się na swym posłaniu i biegła do ojca krzycząc ze strachu – matka szybko pochwyciła ją w ramiona, bojąc się, że ojciec skrzywdzi ją w napadzie szału. Ale przerażona zmianą, jaka w nim zaszła, stanęła nieruchomo przy łóżku. Konwulsyjnie schwycił mnie za ramię i dotknął ręką piersi... Rozpaczliwie próbował wydobyć z piersi głos... Nie mógł. Wyciągnął do nich ręce – i zrobił jeszcze jeden rozpaczliwy wysiłek... Charkot – błysk oczu – stłumiony jęk – i opadł z powrotem... nieżywy!

Sprawiłoby nam najwyższą radość, gdybyśmy mogli zaprotokołować opinię pana Pickwicka o opowiedzianej przed chwilą anegdocie. Nie wątpimy, że moglibyśmy przedstawić tę opinię naszym czytelnikom, gdyby nie pewne nieszczęśliwe okoliczności.

Pan Pickwick postawił na stół szklanę, której podczas ostatnich zdań opowiadania nie wypuszczał z rąk. Pan Pickwick gotował właśnie swój wzniosły umysł do wypowiedzenia w tej sprawie sądu i nawet otworzył już usta (o czym mamy wiadomości z notatek pana Snodgrassa), gdy garson wszedł do pokoju i powiedział:

– Panie, przybyło tu kilku panów.

Pan Pickwick surowo spojrział na garsona, a potem po całym towarzystwie, jakby zapytując, kto by to mógł przyjść.

– O! – zawołał pan Winkle, wstając – to moi przyjaciele, prosz, niech wejdą.

A gdy garson oddalił się, rzekł:

– Bardzo przyjemni ludzie, oficerowie z 97 pułku, z którymi zaznajomił mnie dość szczególny traf. Pewny jestem, że będą się podobać nam wszystkim.

Pogoda powróciła na twarz pana Pickwicka. Garson wprowadził do pokoju trzech gentlemanów i pan Winkle począł ich przedstawiać.

– Porucznik Tappleton; pan Pickwick – doktor Payne; pan Pickwick... Panowie znają już mego przyjaciela, pana Snodgrassa... Przyjaciół mój, pan Tupman. Doktor Slammer; pan Pickwick... pan Tup...

Tu pan Winkle nagle zatrzymał się, dostrzegłszy wielkie wzruszenie doktora i pana Tupmana.

– Już spotkałem raz tego gentlemana – rzekł doktor z energią.

– A! a! – zawołał pan Winkle.

– I to indywiduum także, jeżeli się nie mylę – mówił dalej doktor Slammer, utkwivszy badawczy wzrok w nieznanego w zielonym fraku. – Sądzę, że zeszłej nocy wystosowałem do tego indywiduum aż nazbyt dosadne wezwanie, które uznał za właściwe odrzucić.

Wymawiając te wyrazy, doktor rzucił na nieznanego wzrok pełen oburzenia i począł rozmawiać po cichu, ale żywo z porucznikiem Tappletonem. Gdy skończył, porucznik zawołał:

– Czy tak?

– Tak – odpowiedział doktor Slammer.

– Trzeba z nim skończyć od razu – rzekł z największą powagą właściciel składanego stołka.

– Proszę cię, Payne, bądź spokojniejszy – odezwał się porucznik, potem zwracając się do pana Pickwicka, szczególnie zaintrygowanego całym tym niegrzecznym zachowaniem, mówił dalej:

– Pozwoli pan zapytać, czy ta osoba należy do towarzystwa panów?

– Nie, panie – odrzekł pan Pickwick – to tylko jeden z naszych gości.

– Sądzę, że jest członkiem klubu?

– Bynajmniej.

– I nie nosi nigdy klubowego uniformu?

– Nigdy – odpowiedział zdumiony pan Pickwick.

Porucznik Tappleton zwrócił się do swego przyjaciela, doktora Slammera, lekko wzruszywszy ramionami, co zdawało się wyrażać pewne powątpiewanie o dokładności wspomnień doktora.

Doktor był w najwyższym stopniu rozgniewany, ale zarazem jakby zbity z tropu. Uprzejme zachowanie się pana Pickwicka doprowadziło pana Payne'a niemal do wściekłości.

– Pan byłeś na balu zeszłej nocy! – wykrzyknął nagle doktor do pana Tupmana tonem, od którego ten drgnął tak widocznie, jak gdyby kto niespodzianie wsadził mu szpilkę w tydkę.

Pan Tupman odpowiedział słabym głosem: – Tak – nie przestając patrzeć na pana Pickwicka.

– Ten jegomość był z panem? – mówił doktor dalej, wskazując na niczym nie wzruszonego nieznanego.

Pan Tupman stwierdził to.

– Teraz, mój panie – powiedział doktor do nieznanego – zapytuję pana raz jeszcze w obecności wszystkich tych gentlemanów, czy chce mi pan dać swą kartę i być traktowanym jak gentleman, czy też chce mnie pan zmusić do skarcenia go osobiście tu, w tym miejscu?

– Za pozwoleniem – przerwał pan Pickwick – nie mogę zgodzić się na dalsze posuwanie się tej sprawy bez pewnych wyjaśnień. Tupman, opowiedz, jak to było.

Pan Tupman, wezwany w sposób tak uroczysty, opowiedział całą rzecz w niewielu słowach; lekko dotknął szczegółu wypożyczenia fraka, szeroko rozwiódł się nad tym, że stało się to po obiedzie, wynurzył nieco żalu, jeśli chodzi o jego osobę, i pozostawił nieznanemu wydobywanie się z kłopotu, jak umie.

Ten zabierał się właśnie do przemówienia, gdy porucznik Tappleton, który przypatrywał mu się z wielką ciekawością, zapytał tonem wyniosłym:

– Czy nie widziałem pana na scenie?

– Bardzo być może – odrzekł nieustraszony nieznanomy.

– To wędrowny komediant! – zawołał porucznik z pogardą, a potem zwracając się do doktora Slammera dodał: – Gra w sztuce, którą na żądanie oficerów 52 pułku dają jutro. Nie możesz więc, doktorze, prowadzić dalej tej sprawy. Wykluczone!

– Wykluczone! – powtórzył doktor Payne.

– Przykro mi, że wprowadził pana w tak niemiłe położenie – rzekł następnie porucznik Tappleton do pana Pickwicka. – Ale pozwól pan powiedzieć sobie, że najlepszym sposobem uniknięcia podobnych scen w przyszłości jest zachowanie większej rozwagi w doboraniu sobie towarzystwa. Najniższy sługa!

– I rzekłszy to, wyszedł z pokoju.

– I pozwól pan także powiedzieć sobie – dodał drażliwy doktor Payne – że gdybym ja był na miejscu porucznika Tappletona lub Slammera, to nakręciłbym uszu panu i wszystkim obecnym tu indywiduom. Nazwisko moje jest Payne, doktor Payne z 43 pułku. Dobranoc.

Ukończywszy tę przemowę, której ostatnie wyrazy wygłoszone były głosem bardzo doniosłym, poszedł majestatycznie za porucznikiem, a za nim Slammer, który wprawdzie nic nie powiedział, ale użył swej żółci, rzuciwszy na całe towarzystwo wzrok pełen pogardy.

Podczas tych długich prowokacji niesłychane oburzenie i gniew, wzmagający się straszliwie, napęliły szlachetną pierś pana Pickwicka tak, że omal nie pękła mu kamizelka. Stał jak skamieniały, spoglądając na miejsce zajmowane przed chwilą przez doktora Payne'a, aż trzask zamykanych drzwi opamiętał go nieco. Rzucił się tedy naprzód, z gniewną twarzą i błyskawicami w oczach. Ręka jego była już na klamce. Jeszcze chwila, a znalazłaby się na gardle doktora Payne'a z 43 pułku, gdyby pan Snodgrass nie pochwycił czcigodnego swego mentora za poję i nie począł ciągnąć w tył.

– Winkle! Tupman? – zawołał z wyrazem rozpaczony – trzymajcie go! Nie powinien narażać swego drogiego życia w podobnej sprawie.

– Puśćcie mnie! – krzyczał pan Pickwick.

– Trzymajcie! – wołał pan Snodgrass. Aż dzięki połączonym wysiłkom całego towarzystwa udało się posadzić pana Pickwicka w fotelu.

– Dajcie mu spokój – rzekł wtedy nieznajomy w zielonym fraku. – Szklanę grogu! A to dzielny stary! Przełknij no pan trochę. Znakomity napój.

Mówiąc to i wprzód sam pociągnąwszy spory łyk dymiącego płynu, nieznajomy przyłożył szklanę do ust pana Pickwicka, aż reszta tego, co się w niej znajdowało, znikła w niedługim czasie w gardle znakomitego filozofa. Nastąpiła krótka pauza; grog skutkował i wkrótce znowu pogoda zajaśniała na obliczu pana Pickwicka. Nieznajomy odezwał się:

– Oni nie są godni pańskiej uwagi.

– Ma pan słusność – odparł pan Pickwick – nie są godni. Wstydzę się, że tak puścił wodze moim namiętnościom. Przysuń pan swe krzesło.

Komediant nie dał się prosić dwa razy. Wszyscy zasiedli dokoła stołu i harmonia zapanaowała znowu. Tylko pan Winkle, zdawało się, był nieco zirytowany. Czyżby przyczyną tego usposobienia była samowolna pożyczka fraka? Ale tak błaha okoliczność nie mogła wzbudzić uczucia gniewu, choćby przelotnego, w sercu pickwickczyka. To pewne że wyjąwszy ten szczegół, dobry humor powrócił w towarzystwie i wieczór zakończył się wesoło, tak jak się zaczął.

## Rozdział czwarty

### *Mała wojna – Nowi znajomi – Zaproszenie na wieś*

Wielu autorów upiera się przy zasadzie nie tylko głupiej, ale właściwie nieuczciwej, żeby nie podawać źródeł, z których czerpią najważniejsze informacje. Nie podzielamy tych zasad. Będziemy starali się jedynie o to, by wywiązać się w sposób właściwy z obowiązków, jakie nakłada na nas nasz zawód wydawcy. I jakkolwiek w innych okolicznościach ambicja skłoniłaby nas, byśmy rościli sobie prawa do autorstwa tych przygód, względ na prawdę pozwala nam jedynie przypisać sobie zasługę opracowania szczegółów i nadania im formy bezstronnej opowieści. Za źródła służą nam dokumenty pickwickowskie. Można nas więc porównać z Kompanią Eksploatacji Nowych Źródeł Wody. Praca innych stworzyła dla nas olbrzymie rezerwuary doniosłych faktów. Zbieramy je po prostu i za pośrednictwem tych stronice w postaci wesołego i wartkiego strumienia dajemy do użytku tym, którzy są spragnieni wiedzy pickwickczyków.

Działając w tym duchu i odważnie wprowadzając w czyn postanowienie wymieniania autorytetów, do których zwracaliśmy się o radę, wyznajemy otwarcie, że notatnikowi pana Snodgrassa zawdzięczamy szczegóły umieszczone w tym rozdziale. Szczegóły te (teraz, gdyśmy ulżyli swemu sumieniu) podamy bez dalszych komentarzy.

Cała ludność Rochester i okolicznych miasteczek zerwała się nazajutrz wcześniej z łózek, bardzo wzruszona i podekscytowana. Wielka rewia miała się odbyć na Błoniach. Orli wzrok dowódcy miał dokonać przeglądu pół tuzina pułków. Wzniesiono tymczasową twierdzę, którą miano oblegać, zdobyć szturmem i w końcu wysadzić w powietrze.

Czytelnicy nasi mogli już wywnioskować z notat pana Pickwicka o mieście Chatham, że mąż ów był namiętnym wielbicielem wojska. Nic też nie mogło być przyjemniejszego, tak dla niego, jak i dla jego towarzyszy, jak widok małej wojny. Wcześniej więc zerwali się i szybkim krokiem poszli ku twierdzy, dokąd już ze wszystkich stron zdążyły tłumy ciekawych.

Wszystko zapowiadało, że manewry będą niezwykle świetne. Ustawiono warty, by zabezpieczyć wolny plac dla wojska. Sierżanci biegali na wszystkie strony, roznosząc kartki z rozkazami. Pułkownik Bulder, w galowym mundurze, galopował to w jedną, to w drugą stronę, cofał swego konia na ciekawych, kazał mu wykonywać wolty i kurbety i krzyczał tak głośno, iż twarz mu poczerwieniała i głos zachrypł, chociaż nikt nie mógł pojąć, na co to się wszystko przyda. Oficerowie latali tu i tam, odbierali rozkazy od pułkownika Buldera, powtarzali je sierżantom, potem znikali w galopie. Nawet szeregowcy patrzyli spoza płotu błyszczących luf z minami tajemniczo uroczystymi, co dostatecznie tłumaczył wyjątkowy charakter sytuacji.

Pan Pickwick i trzej jego towarzysze umieszcili się w pierwszym rzędzie ciekawych, cierpliwie oczekując na rozpoczęcie manewrów. Tłum powiększał się ciągle, a wysiłki, jakie zmuszeni byli czynić dla utrzymania się na swych stanowiskach, dostatecznie im zajęły dwie godziny oczekiwania. Czasami odczuwano nagłe pchnięcie od tyłu i pan Pickwick wylatywał naprzód z szybkością i elastycznością nie bardzo zgodną ze zwykłą po-

wagę jego ruchów. To znowu żołnierze wzywali widzów do cofnięcia się, opuszczając kolby karabinów na nogi pana Pickwicka, by przypomnieć mu, aby się nie wysuwał naprzód, lub też rzeczono kolby przykładali mu do piersi, wzywając do utrzymania się w szeregu. Innym razem żartobliwy jakiś gentleman, nacisnąwszy pana Snodgrassa, doprowadziwszy go w ten sposób do możliwie najmniejszej objętości i wystawiwszy na najostrejsze tortury, zapytał go, dlaczego pozwala sobie tak się rozpychać. Zaledwie pan Winkle miał czas wyrazić całe swe oburzenie na tę niczym nie usprawiedliwioną pretensję, gdy jakieś indywiduum, stojące tuż za nim, wtoczyło mu kapelusz na oczy prosząc, by był na tyle grzeczny i schował do kieszeni swą głowę. Te dowcipy, połączone z niepokojem, jakim napełniało ich nagłe i niepojęte zniknięcie pana Tupmana, sprawiały, że w ogóle położenie naszych znajomych było bardziej niewygodne aniżeli przyjemne.

Na koniec rozległ się w tłumie gwar, zapowiadający, że nadchodziło to, na co tak długo czekano. Oczy wszystkich zwróciły się ku twierdzy i ujrzano bataliony jedne po drugich rozwijające się na równinie, z wdzięcznie powiewającymi sztandarami i bronią połyskującą od słońca. Wojsko zajęło stanowiska. Zwięzłe słowa komendy przebiegły po całej linii; broń zaprezentowano ze szczękiem; naczelny dowódca, pułkownik Bulder, z licznym sztabem przejechał galopem przed frontem. Nagle zagrała muzyka wszystkich pułków, konie stanęły dęba i cofnęły się; psy poczęły szczekać, tłum krzyżeć, wojsku zakomenderowano: – Baczość! – a jak daleko sięgał wzrok, na prawo i na lewo, widać było tylko długi szereg czerwonych mundurów i białych spodni, nieruchomych, jakby skamieniałych.

Pan Pickwick był tak zajęty cofaniem się i wymijaniem nóg końskich, iż nie miał czasu zachwycać się tym widokiem. Gdy wreszcie udało mu się odzyskać nieco równowagi, wojsko stało już nieruchomo, jak to opisaliśmy wyżej; wtedy zachwyty filozofa doszedł do najwyższego punktu.

– Czy jest coś piękniejszego, cudniejszego? – rzekł do pana Winkle’a.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział ten ostatni, który od kwadransa dźwigał na sobie dwóch wyrostków.

– Tak! – zawołał pan Snodgrass, w którego łonie zapłonął nagle ogień poezji. – Tak, wspaniale to i wzniosłe widowisko, gdy tylu mężnych obrońców ojczyzny rozwija się w świetnych szeregach przed spokojnymi obywatelami. Twarze ich nacechowane są nie tyle wojowniczą gwałtownością, ile raczej duchem cywilizacji, ich oczy nie błyszczą dzikim ogniem rozboju i zemsty, ale łagodnym światłem inteligencji i ludzkości.

Pan Pickwick najzupełniej zgadzał się z tymi pochwałami, jeśli chodzi o ducha, który je natchnął, ale niezupełnie przystawał na wyrażenia. Bo rzeczywiście łagodne światło inteligencji błyszczało tu dość słabo, zważywszy, że znowu zakomenderowano: – Baczość! – i widzowie mieli przed sobą nie mniej niż kilka tysięcy par oczu, spoglądających prosto przed siebie i najzupełniej pozbawionych wszelkiego wyrazu.

Tymczasem tłum z wolna usunął się i podróżnicy nasi pozostali prawie sami.

– Teraz jesteśmy w doskonałym punkcie – rzekł pan Pickwick spoglądając dokoła siebie.

– Doskonałym – odpowiedzieli panowie Winkle i Snodgrass.

– Zda... zdaje mi się... – wybełkotał nagle pan Winkle, blednąc – zdaje mi się, że będą strzelać...

– Ale cóż znowu! – zawołał szybko pan Pickwick.

– Sądzę... sądę, że... że Winkle ma słuszność – dodał Snodgrass, cokolwiek przerażony.

– To być nie może! – powtórzył pan Pickwick. Zaledwie jednak wymówił te słowa, gdy sześć pułków, jak jeden mąż i jakby miały jeden cel tylko, skierowało lufy na nieszczęśliwych pickwickczyków i rozległ się huk, jaki może nigdy nie wstrząsnął ziemią ani odwagą gentlemana w latach dojrzałych.



W tym krytycznym położeniu, wystawiony na ciągły ogień ślepych naboju, zaniepokojony ruchami wojska, dla którego nadchodziły nowe posiłki, rozwijające swe szeregi z tyłu, poza panem Pickwickiem, mąż ten okazał zimną krew, nieodstępną towarzyszkę wielkich umysłów. Uchwyciwszy za rękę pana Winkle'a i umieściwszy się między nim a panem Snodgrassem, przedstawiał im przekonywająco, że wyjąwszy niebezpieczeństwo ogłuchnięcia od strzałów, nie ma się czego obawiać.

– Ale... ale... – rzekł pan Winkle, blednąc – przypuśćmy, że który z żołnierzy ma ostry nabój... przez pomyłkę... Słyszałem ostry świst tuż koło...

– Czy nie byłoby dobrze położyć się plackiem na ziemię? – zapytał pan Snodgrass.

– Nie, nie, wszystko już się skończyło – odrzekł pan Pickwick.

Gdy mówił to, usta jego mogły drżeć, policzki blednąc, ale żaden okrzyk strachu lub niepokoju nie wyrwał się z ust tego nieśmiertelnego męża.

Pan Pickwick miał słuszną; strzelanie skończyło się. Myślał więc już tylko o niezawodnej trafności swej hipotezy, gdy dostrzegł na całej linii szybkie ruchy. Krzyki komendy rozległy się znowu i pierwszej nim nasi podróżni mieli czas poczynić domysły, co to może być za nowy manewr, sześć pułków przyśpieszonym krokiem poszło na bagnety ku miejscu, gdzie stał pan Pickwick z towarzyszami.

Człowiek jest śmiertelny, a odwaga ludzka ma swe granice. Przez chwilę pan Pickwick spoglądał przez okulary na posuwającą się naprzód kolumnę, potem odwrócił się do niej tyłem i począł... nie powiemy uciekać, najprzód dlatego, że jest to wyrażenie ubliżające, po wtóre, że sama osoba Pickwicka zupełnie nie nadawała się do tego rodzaju odwrotu – począł tylko dreptać tak szybko, jak mu pozwalały na to niezbyt długie nogi i ciężar ciała; ale za późno ocenił całe niebezpieczeństwo położenia.

Wojsko przeciwnika, którego ukazanie się z tyłu zaniepokoiło pana Pickwicka przed kilkoma sekundami, teraz rozwinęło się w szyk bojowy dla odparcia ataku oblegających twierdzę, tak że trzej nasi znajomi ujrzeli się pomiędzy dwoma długimi rzędami bagnatów, z których jeden szybko się przybliżał, a drugi w miejscu czekał na natarcie.

– Na bok! Na bok! – wołali oficerowie posuwającej się kolumny.

– Usuńcie się! – krzyczeli oficerowie kolumny nieruchomej.

– Gdzie się podział? – krzyknęli przerażeni pickwickczycy.

– Na bok! Na bok! – było odpowiedzią. Potem nastąpiła chwila niesłychanego zamieszania; odgłos miarowych kroków, gwałtowne uderzenia, stłumione śmiechy; wojska cofnęły się pięćset kroków, a podeszwy butów pana Pickwicka ujrzyć można było w powietrzu.

Pan Snodgrass i pan Winkle wykonali również z najzupełniejszą dokładnością po jednym obowiązkowym koziołku. Właśnie pan Winkle, siadłszy na ziemi, tamował sobie chustką krew z nosa, gdy wtem ujrzeli w pewnej odległości swego czcigodnego mentora, biegnącego za kapeluszem, który oddalał się coraz bardziej, złośliwie podskakując.

Mało jest chwil w życiu, w których by człowiek doznawał większej przykrości, nie zjednywając sobie przy tym żadnego współczucia, jak wówczas, gdy odbywa polowanie na swój własny kapelusz. Trzeba mieć wielki zasób zimnej krwi i zdolność do szybkiej decyzji, by go złowić. Biegając zbyt szybko, wyprzedza się go; jeżeli schylamy się zbyt wolno, gdyż sądzimy, iż go już trzymamy, kapelusz odbiega gdzieś daleko... Najlepsza metoda polega na tym, by biec równolegle do przedmiotu naszych zabiegów, zachować największą przezorność, umieć skorzystać ze sposobnej chwili, stopniowo wyprzedzać, potem nagle pochylić się, ująć kapelusz za rondo i mocno osadzić go na głowie, wdzięcznie uśmiechając się podczas tej gonitwy, jak gdybyśmy sami, jak wszyscy inni, widzieli w tym tak dobry żart.

Lekki wietrzyk podmuchiwał i kapelusz pana Pickwicka potoczył się przed nim jakby igrając. Wiatr dmuchał, pan Pickwick sapał, a kapelusz bujał jak rybka w bystrym nurcie. I

pewno dotoczyłby się Bóg wie jak daleko, gdyby nie trafił na opatrnościową przeszkodę w chwili, gdy nasz podróżnik zamyślał już pozostawić go nieszczęśliwemu losowi.

Pan Pickwick, niezwykle zmęczony, miał już zaniechać pogoni, gdy kapelusz wplątał się w koło jednego z kilkunastu powozów stojących rzędem. Filozof potrafił wnet skorzystać z tej pomyślanej chwili, szybko pochylił się, pochwycił niesforne nakrycie głowy, silnie nasunął je na czoło i stanął, by odetchnąć. Upłynęło może nie więcej niż pół minuty, gdy usłyszał swoje nazwisko wymówione donośnym i przyjaznym głosem. Podniósł oczy i wtedy przedstawił mu się widok, który go napełnił zarazem zdziwieniem i radością.

W wielkim otwartym powozie, od którego wyprzężono konie, stały osoby poniżej wymienione: stary dorodny gentleman w niebieskim fraku ze złotymi guzikami, aksamitnych spodniach i długich butach; dwie młode damy w szarfach i stroikach; młody człowiek, prawdopodobnie zakochany w jednej z młodych panien; dama wieku niewątpliwego, prawdopodobnie ciotka dwóch wyżej wymienionych panien, wreszcie pan Tupman, tak spokojny i swobodny, jakby należał do rodziny od samego dzieciństwa. Z tyłu powozu przywiązane było pudło wielkich rozmiarów, jedno z tych pudeł, które przez asocjację idei wzbudzają zawsze w organizacjach spostrzegawczych myśli o kapłonach na zimno, wędzonych ozorach i butelkach dobrego wina. Na koniec, na koźle powozu, w stanie błogiej drzemki, siedział chłopak tłusty, czerwony i pyzaty, na którego badawczy spostrzegacz nie mógł patrzeć przez kilka minut, by nie dojść do wniosku, że jest to właśnie urzędowy rozdawca zawartych w pudle skarbów, gdy nadejdzie właściwa chwila ich spożywania.

Zaledwie pan Pickwick ogarnął wzrokiem wszystkie te zajmujące przedmioty, gdy wierny jego uczeń znów począł go nawoływać:

– Pickwick! Pickwick! Właż pan tu prędko!

– Choć pan! Proszę – dodał stary gentleman. – Joe! Przeklęty chłopak! Znowu śpi! Joe! Spuść stopień!

Pyzaty chłopiec z wolna zsunął się z kozła, spuścił stopień i w uprzejmy sposób otworzył drzwiczki. W tej chwili nadeszli panowie Snodgrass i Winkle.

– Wszyscy się tu pomieścimy – zaczął znowu właściciel powozu. – Dwóch wewnątrz, jeden zewnątrz. Joe! Zrób na koźle miejsce dla jednego z panów. Teraz prosimy.

I stary gentleman wyciągnął żyłastą rękę, wwindował do powozu naprzód pana Pickwicka, potem pana Snodgrassa. Pan Winkle siadł na koźle. Pyzaty chłopak pochylił się ku niemu i natychmiast zasnął.

– Cieszy mię, że oglądam panów – mówił dalej stary gentleman – znam panów bardzo dobrze, chociaż być może, iż panowie nie przypominacie mię sobie. Niejeden wieczór spędziłem w klubie panów ostatniej zimy. Dziś rano spotkałem mego przyjaciela, pana Tupmana, co mię wielce uradowało. No i cóż, panie? Jak się pan ma! Wygląda pan dzielnie, ale to bardzo dzielnie!

Pan Pickwick, do którego były zwrócone te ostatnie słowa, odwdziczył się odpowiednim komplementem i silnie uścisnął dłoń starego gentlemana.

– A pan – ciągnął dalej mówca, spoglądając z ojcowskim zajęciem na pana Snodgrassa. – Doskonale! Nieprawdaż? Tym lepiej, tym lepiej. A pan jak się ma, panie Winkle? Dobrze? To mię cieszy. Moje córki, panowie. A to moja siostra, panna Rachel Wardle. Dziewica, a nie dziewczątka, co? He? – dodał, śmiejąc się na całe gardło i uprzejmie szturchając łokciem w bok pana Pickwicka.

– Ależ, bracie! – zawołała miss Wardle z błagalnym uśmiechem.

– Tak, tak – zaczął znów stary gentleman – nikt temu zaprzeczyć nie może. Panowie! Przedstawiam wam mego przyjaciela, pana Trundle'a. A teraz, kiedy już wszyscy znacie się, bądźmy dobrej myśli i patrzmy, co się dzieje. Takie jest moje zdanie.

To rzekłszy, włożył okulary. Pan Pickwick wy dobył swoją perspektywę i wszyscy stojąc w powozie, przypatrywali się manewrom wojskowym.

Były to manewry godne podziwu. Jeden szereg strzelał ponad głowami drugiego szeregu i natychmiast cofał się, potem drugi szereg strzelał ponad głowami trzeciego i także cofał się; formowano czworoboki z oficerami w środku; włożono po drabinach na wały, burzono barykady utworzone z koszu, a wszystko to robiono z nieźrównaną odwagą. Na okopach armatnich artylerzyści pakowali ogromne naboje w działa, a gdy wystrzelili, żałosny krzyk trwożliwych kobiet długo rozlegał się w powietrzu. W powozie młode panny Wardle tak były przerażone, że pan Trundle był zmuszony podtrzymywać jedną z nich, a pan Snodgrass drugą. Nerwy miss Racheli Wardle były tak okropnie podrażnione, że pan Tupman uznał za nieodzowną konieczność ująć ją za kibić, by nie upadła. Jednym słowem, wszyscy doznali niezwykłego wzruszenia, wyjąwszy pyzatego chłopca, który przy huku działa spał tak głęboko, jak przy zwykłej piosence piastunki.

Gdy zdobyto twierdzę i tak obleżonym, jak i oblegającym zastawiono obiad, stary gentleman zawołał:

– Joe! Joe! Przeklęty chłopak, znowu śpi. Bądź pan tak dobry i uszczypnij go w łydkę. Tylko w ten sposób można go obudzić.

Dziękuję panu. Joe, rozpakuj pudło. Pызaty chłopak, rzeczywiście rozbudzony za pomocą ściśnięcia mięsnych części nogi wielkim i wskazującym palcem pana Winkle’a, znowu zsunął się z kozła i rozpoczął rozpakowywanie pudła z nierównie większym pośpiechem, aniżeli by to można było przypuszczać po jego poprzedniej niemrawości.

– Teraz siadajmy, jak można – rzekł gentleman. Po wielu żartobliwych napomknięciach o szerokości kobiecych sukien, po wielu rumieńcach, spowodowanych propozycją, by damy siadły na kolanach u panów, całe towarzystwo usadowiło się w powozie, a stary gentleman jał puszczać wkoło przedmioty podawane mu przez pyzatego chłopca.

– Teraz, Joe, podaj noże i widelce.

Rozdano noże i widelce. Damy i mężczyźni w powozie, a pan Winkle na kozle, zaopatrzeni zostali w te niezbędne narzędzia.

– Talerze, Joe! Talerze!

Talerze również podano w ten sam sposób.

– Teraz, Joe, podaj drób. Przeklęty chłopak, znowu śpi. – Kilka energicznych szturchańców wyrwało go z letargu.

– No, dawaj jeść!

W dźwięku tych słów było coś takiego, co zupełnie rozbudziło zaspanego chłopca. Drgnął, a jego ołowiane oczy, na pół zatopione w tłustych policzkach, miłośnie spoglądały na jadło, w miarę jak je wydobywał.

– No, żywo! – zawołał pan Wardle, bo pyzaty chłopiec pożerał wzrokiem kapłona, z którym, zdawało się, nie był w stanie rozstać się. Wreszcie westchnął głęboko, rzucił rozpaczliwe spojrzenie na pulchne pieczyście i smutno podał je panu.

– Dobrze, tylko żywiej! Teraz ozór. Teraz pasztet z gołębi. Uważaj na cielęcinę i szynkę. Pilnuj raków. Wydobądź sałatę, podaj pieprzu...

Wydając te szybkie rozkazy, pan Wardle rozdawał wewnątrz powozu wymienione wyżej artykuły i stawiał niezliczoną ilość półmisków na kolanach biesiadników.

Gdy rozpoczęto dzieło zniszczenia, wesoły starzec zapytał:

– Co? Czy nie doskonałe?

– Przewyborne – odrzekł pan Winkle krojąc kawałek kapłona.

– Szklaneczkę wina?

– Z wielką przyjemnością.

– Czy nie lepiej będzie, gdy podam panu na kozioł całą butelkę?

– O! Jeśli pan tak łaskaw!

– Joe!

– Słucham pana. (Tym razem pyzaty chłopiec nie spał, gdyż zwędził kawał cielęciny).

- Butelkę wina dla pana na koźle. Za pańskie zdrowie.
- Bardzo jestem panu wdzięczny – odrzekł pan Winkle, stawiając butelkę przy sobie.
- Czy zechce pan wypić ze mną szklanek wina? – zapytał pan Trundle pana Winkle’a.
- Z największą przyjemnością – odpowiedział zapytany i obaj wychylili po szklance, a wszyscy obecni, nie wyłączając dam, naśladowali ten dobry przykład.
- Jak nasza kochana Emilka kokietuje tego młodego człowieka – szepnęła panu Wardle’owi ciotka-panna z zazdrością właściwą ciotkom-pannom.
- Ba! – odpowiedział ojciec. – Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. To rzecz całkiem naturalna. Panie Pickwick! Szklanek wina?
- Pan Pickwick, przerwawszy na chwilę głębokie poszukiwania we wnętrzach pasztetu z gołębi, przyjął propozycję z wdzięcznością.
- Emilio, moja droga – rzekła ciotka, niezadowolona – nie mów tak głośno, moje życie.
- Co ciocia mówi?
- Zdaje się, że ciotka i ten mały tłusty jegomość chcieliby, by tylko im wszystko było wolno – szepnęła panna Izabela Wardie do swej siostry Emilii. Potem obie panny poczęły serdecznie śmiać się, a stara panna wysilała się, by nadać sobie przyjemny wyraz twarzy, co się jej jednak nie udawało.
- Młode dziewczęta są zwykle takie puste! – rzekła do pana Tupmana z miną czulego ubolewania, jak gdyby wesołość była rodzajem kontrabandy i jakby nie wolno było nosić jej z sobą bez osobnego świadectwa; ale pan Tupman nie dał odpowiedzi, jakiej żądano.
- Ma pani słuszność – rzekł – to bardzo miłe.
- O! – zawołała miss Wardle z powątpiewaniem.
- Czy pozwoli pani – zaczął znowu pan Tupman, dotykając w sposób nadzwyczaj ujmujący lewą ręką dłoni ponętnej Racheli, podczas gdy prawa ręka z wolna podawała butelkę. – Czy pozwoli pani?
- O, panie!
- Pan Tupman przybrał postawę jeszcze bardziej ujmującą. Miss Rachela wyraziła obawę, by nie strzelano z dział, co by naturalnie znowu zmusiło kawalera do podtrzymywania jej.
- Czy uważa pan, że moje siostrzenice są piękne? – szepnęła następnie ciotka bardzo słodko do ucha panu Tupmanowi.
- Uważałbym je za piękne, gdyby nie było tu ich ciotki – odpowiedział ugrzeczniony pickwickczyk, spoglądając namiętnie.
- O! Szkaradny z pana człowiek. Ale doprawdy, gdyby miały nieco więcej świeżości, czy nie wyglądałyby efektownie... przy świetle?
- Tak sędzę – odrzekł pan Tupman obojętnie.
- Kpiarz z pana. Domyślam się, co chce pan powiedzieć. Wiem, wiem! Mężczyźni mają szczególnie dar dostrzegania wszystkiego! Tak! To prawda! Nie mogę temu zaprzeczyć! Bo niezawodnie, jeżeli jest coś wadliwego w młodej osobie, to trzymanie się pochyło. Często jej to powtarzam, że gdy wejdzie nieco w lata, będzie szkaradna. O! Widzę, że pan jest złośliwy!
- Pan Tupman, zachwycony zjednaniem sobie takiej opinii tak tanim kosztem, usiłował przybrać minę dyplomatyczną i uśmiechnął się tajemniczo.
- Co za sarkastyczny uśmiech! – zawołała zapalna Rachela. – Przestrasza mnie pan.
- Ja przestraszam?
- O! Przedemną nic się nie ukryje. Wiem ja, co ten uśmiech znaczy!
- Cóż takiego? – zapytał pan Tupman, który sam nie miał o tym najmniejszego wyobrażenia.
- Chcesz pan przez to powiedzieć – rzekła miła ciocia, jeszcze więcej zniżając głos – chce pan powiedzieć, że sztywność Izabeli jeszcze mniej podoba się panu aniżeli trzpioto-

watość Emilii. To prawda, Emilia jest płocha. Nie uwierzy pan, jaką mi to nieraz sprawia przykrość. Nieraz całymi godzinami płacę z tego powodu. Brat mój jest tak łatwowierny, iż tego zupełnie nie widzi. Ale gdyby widział, jestem pewna, że serce by mu pękło. Chciałabym wmówić w siebie, iż w gruncie rzeczy nie ma w tym nic złego. Serdecznie pragnę, by tak było. (Tu czuła ciotka westchnęła głęboko i smutno potrząsnęła głową).

– Pewna jestem, że ciotka mówi o nas – szepnęła miss Emilia Wardle do swej siostry – nie ma wątpliwości, bo przybrała bardzo złośliwą minę.

– Tak sądzisz? – zapytała Izabela. – Ciociu! Ciociu!

– Co chcesz, moja droga?

– Ciocia dostanie kataru. Proszę okręcić sobie szalem swą sędziwą główkę. W twoim wieku, ciociu, należy więcej dbać o zdrowie.

Chociaż takie wet za wet było słuszne, ale było zarazem tak dokuczliwe, iż nie wiadomo, jak by się przejawiał gniew ciotki, gdyby pan Wardle nie zrobił był dywersji, zawoławszy donośnym głosem:

– Joe! Przeklęty chłopiec! Znow śpi!

– Szczególny chłopak – rzekł pan Pickwick – czy zawsze taki zaspany?

– Zaspany? Ciągłe śpi! Śpiąc wypełnia zlecenia, a przy stole chrapie.

– To szczególne!

– O! Bardzo szczególne! – odpowiedział stary gentleman. – Dumny jestem z tego chłopca. Za żadną cenę nie pozbyłbym się go. Jest to w swoim rodzaju osobliwość. Hej! Joe! Zabierz to wszystko i odkorkuj jeszcze jedną butelkę! Czy słyszysz?

Pyzaty chłopiec otworzył oczy, połknął wielki kawał pasztetu, który właśnie zaczął był przeżuwać, gdy zasnął, i wykonując rozkazy, spoglądał czule na resztki uczyty, w miarę jak je układał w pudle. Odkorkowano nową butelkę i wypróżniono bardzo prędko, pudło przymocowano na dawnym miejscu, a pyzaty chłopak znow włożył na koziół; okulary i perspektywy zwrócono na wojsko, które znow rozpoczęło manewry. Było jeszcze dużo huków dział i niemało przestachu kobiet. Potem podpalono minę, ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich. Wreszcie wojsko i widzowie rozeszli się.

Kończąc rozmowę przerwana strzelaniem, stary gentleman rzekł do pana Pickwicka, podając mu rękę:

– Pamiętaj pan, że jutro macie wszyscy nas odwiedzić.

– Niezawodnie – odrzekł pan Pickwick.

– Ma pan adres?

– Manor Farm w Dingley Dell – odpowiedział pan Pickwick, zaglądając do swego notatnika.

– Tak. I pamiętaj pan, że zatrzymam was u siebie przynajmniej tydzień. Podejmuję się pokazać wam wszystkie osobliwości okolicy, a poza tym będziemy studiowali wiejskie życie. O! Tylko przyjeździecie! Joe! Przeklęty chłopak! Znow śpi! Joe! Pomóż Tomowi zaprzęgać konie.

Konie zaprzężono; woźnica siadł na koźle, pyzaty chłopiec umieścił się obok niego; nastąpiły pożegnania i powóz potoczył się. W chwili gdy pickwickczycy odwrócili się, by jeszcze raz spojrzeć na odjeżdżających, zachodzące słońce oświetliło oblicze starego gentlemana i tłuste policzki pyzatego chłopca. Po chwili głowa tego ostatniego pochyliła się i znow zasnął.

## Rozdział piąty

*zawierający między innymi opis, jak to pan Pickwick podjął się powożenia, a pan Winkle jazdy konnej, i jak się obaj z tego wywiązali*

Niebo było jasne i spokojne, powietrze balsamiczne, a wszystko jakby oblane niewysłowionym urokiem. Pan Pickwick, wsparty na poręczy mostu w Rochester, przypatrywał się krajobrazom w oczekiwaniu śniadania.

Widok, jaki miał przed oczyma, mógłby zachwycić każdego nawet w mniejszym stopniu zdolnego do uniesień nad wiejską przyrodą. Po lewej stronie wznosił się mur, w wielu miejscach poszczerbiony, ponurą swą masą panując nad zielonymi brzegami rzeki Medway. Zwoje bluszczu smutno wieńczyły czarne blanki, a pęki morskich roślin, zwieszonych na kamieniach, drżały za powiewem wiatru. Poza tymi zwałiskami wznosił się stary zamek, którego wieża bez dachów i wałące się mury świadczyły o ubogiej wielkości owych chwil, gdy szczęk broni i donośne śpiewy rozlegały się pod wspaniałymi arkadami. Po obu stronach, jak daleko wzrok sięgał, widać było brzegi rzek, pokryte łąkami i polami, spośród których tu i ówdzie wznosiły się młyny i kościoły; bogaty i urozmaicony to krajobraz, któremu jeszcze dodawały wdzięku lekkie obłoczki pływające w świetle porannego słońca. Rzeka Medway, odbijając lazur niebieski, płynęła w milczeniu, połyskując pod wiosłami rybaków posuwających się z jej nurtem w ciężkich, ale malowniczych łódkach. Widok tego uśmiechniętego krajobrazu pograżył pana Pickwicka w słodkim marzeniu. Wywarło go zeń głębokie westchnienie, które usłyszał tuż koło siebie, i lekkie dotknięcie ramienia. Odwrócił się i poznał Jakuba Ponurego.

– Przypatruje się pan krajobrazowi? – zapytał ten poważnym głosem.

– Tak jest – odparł pan Pickwick.

– I jest pan rad, żeś wstał tak rano?

Pan Pickwick przytaknął temu skinieniem głowy.

– O! to prawda! Trzeba wcześnie wstać, by oglądać słońce w całym jego przepychu, bo jasność jego rzadko trwa cały dzień. Początek dnia i początek życia są, niestety, aż nadto podobne do siebie.

– Ma pan słuszność.

– Często mówią – ciągnął dalej Jakub Ponury – często mówią: ranek zbyt piękny, to nie potrwa długo. Jakże trafnie można zastosować tę uwagę do naszego istnienia! Czegóż bym nie dał, by mi wróciły dni mojej młodości albo bym o nich zapomniał na zawsze!

– Miał pan wiele smutnych przeżyć? – zapytał pan Pickwick ze współczuciem.

– Miałem – odrzekł Jakub Ponury drżącym głosem – więcej, niżby można przypuszczać, patrząc na mnie.

Zatrzymał się przez chwilę, a potem zapytał nagle:

– Czy nigdy w taki piękny poranek nie przychodziła panu myśl, że byłoby rzeczą bardzo miłą i błogą – utopić się?

– Nie! Niech mię Bóg uchowa! – zawołał pan Pickwick, cofając się nieco z obawy, by nieznanemu nie przyszła chętka zepchnąć go na próbę do wody.

– Ja często o tym myślałem – mówił dalej Ponury, który, zdawało się, nie dostrzegł tego ruchu. – Ta woda, zimna i spokojna, szmerem swym zdaje się wzywać mię, bym w niej szukał pokoju i zapomnienia. Jeden skok!... Buch!... Szamotanie przez chwilę... Fala wznosi się nad głową... odmęt... Woda się wygładza... i koniec wszystkich cierpień!

Zapadłe oczy błyszczały mu ponuro, gdy to mówił. Ale to chwilowe uniesienie wkrótce minęło. Jakub odwrócił się i rzekł najspokojniej:

– Dajmy temu pokój! Chcę pomówić z panem o czymś innym. Wczoraj wieczorem wezwał mię pan, bym mu odczytał powieść...

– Tak jest – odrzekł pan Pickwick – i sądzę...

– Obędę się bez pańskich sądów – przerwał Ponury – niepotrzebne mi one. Pan podróżuje dla rozrywki i kształcenia się... Rękopis nienadzwyczajny, ale zajmujący jako kartka z rzeczywistego życia. Czy odda go pan klubowi, o którym mówi pan tak często?

– Oczywiście, zamieścimy go w pamiętnikach klubu, jeżeli pan sobie tego życzy.

– Więc będzie go pan miał. Adres pański?

Pan Pickwick objaśnił, dokąd mniej więcej zamierza się udać. Jakub Ponury zanotował wszystko starannie w grubym pugilaresie, odprowadził uczonego gentlemana do oberży i wymówiwszy się od śniadania, odszedł powolnym krokiem.

Trzej towarzysze pana Pickwicka czekali właśnie na niego, by zasiąść do przekąski ustawionej na stole w sposób bardzo ponętny. Zasiadli wreszcie, a szynka, jajka, kawa, herbata i tym podobne przysmaki zaczęły znikać z szybkością dającą wymowne świadectwo tak o jakości jadła, jak i o apetycie podróżnych.

– Teraz – rzekł pan Pickwick – trzeba obmyślić, jak dostaniemy się do Manor Farm.

– Najlepiej zapytać garsona – zauważył pan Tupman i zdrowa ta rada została przyjęta, jak na to zasługiwała. Wezwano garsona.

– Dingley Dell, panie? Piętnaście mil, panie, droga boczna, zła... Może bryczkę pocztową?

– W bryczce mogą się pomieścić tylko dwie osoby – odparł pan Pickwick.

– To prawda, przepraszam, ale mamy bardzo piękną czterokołową bryczkę podwójną z siedzeniem dla gentlemana powożącego... Ale przepraszam, i w tej mogą się pomieścić tylko trzy osoby.

– Cóż więc pocniemy? – zapytał pan Snodgrass.

– Może który z panów zechce odbyć drogę konno – rzekł garson, spoglądając na pana Winkle'a. – Mamy doskonałego wierzchowca. Ludzie pana Wardle'a, idąc do Rochester, mogliby go nam odprowadzić.

– Bardzo dobrze! – zawołał pan Pickwick. – Winkle, chcesz jechać konno?

W najgłębszych tajnikach swej duszy pan Winkle żywił wielką wątpliwość co do swej umiejętności konnej jazdy; ale ponieważ za nic w świecie nie chciał, by ktokolwiek go o to podejrzewał, więc natychmiast odpowiedział zuchowato:

– I owszem, bardzo mnie to cieszy! – Sam rzucił rękawicę swemu losowi i niepodobna było się cofnąć.

– Sprowadź konia i bryczkę na jedenastą – rzekł pan Pickwick do garsona.

– Dobrze, panie.

Po śniadaniu podróżni rozeszli się do swoich pokoi, by spakować rzeczy, które mieli zabrać ze sobą.

Pan Pickwick, ukończywszy te przygotowania, stał przed oknem w kawiarni i spoglądał na ulicę, gdy wszedł garson z wiadomością, że wszystko gotowe, co rzeczywiście potwierdziło ukazanie się bryczki przed domem.

Było to małe, zielone pudło, ustawione na czterech kołach, na przedzie znajdowało się wysokie siedzenie dla woźnicy, w tyle wąska ławka dla dwóch pasażerów. Interesujący ten mechanizm wprowadzony był w ruch za pomocą ogromnego karego konia, na którym z

zupelną latwością można było studiować osteologię. Chłopak stajenny trzymał dla pana Winkle'a drugiego ogromnego konia, prawdopodobnie bliskiego krewnego zwierzęcia zaprzęgniętego do powozu.

– Niech nas Bóg ma w swojej opiece! – zawołał pan Pickwick, podczas gdy układano rzeczy w bryczce. – Niech nas Bóg ma w swojej opiece. A kto będzie powoził? Nie pomyślałem o tym.

– Naturalnie, że pan – odrzekł pan Tupman.

– Naturalnie – dodał pan Snodgrass.

– Ja?! – zawołał pan Pickwick.

– Nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, panie – odezwał się chłopiec stajenny. – Zaręczam panu, że koń jest spokojny, dziecko mogłoby nim kierować.

– A czy nie jest lękliwy?

– Lękliwy? Nie drgnie, choćby widział przejeżdżający cały wóz mały z ognistymi ogonami.

Ostatnia pochwała była niezaprzeczalna. Pan Snodgrass i pan Tupman wleźli do pudła. Pan Pickwick usiadł na koźle, umieszczając nogi na stolku pokrytym ceratowym pokrowcem.

– Teraz, świętny Williamie – rzekł chłopak stajenny do swego pomocnika – podaj lejce gentlemanowi.

Świętny William, nazywany tak zapewne dlatego, że twarz i włosy świeciły mu się od tłuszczu, umieścił lejce w lewej ręce pana Pickwicka, a tymczasem jego przełożony wpakował bicz w prawą rękę filozofa.

– Hola! – krzyknął pan Pickwick, bo wielki czworonóg okazywał stanowczą skłonność do wjechania oknem do kawiarni.

– Hola! – zawołał panowie Tupman i Snodgrass z powozu.

– Bawi się trochę, ot i wszystko – rzekł chłopak dla ośmielenia. – Przytrzymaj no go, Williamie.

Pomocnik poskromił zapędy konia, a naczelný koniuszy pobiegł, by dopomóc panu Winkle'owi sięść w siodle.

– Nie z tej strony, panie.

– Niech mnie powiesz, jeżeli ten gentleman nie zamierza sięść twarzą do ogona – rzekł wykrzywiający się jakiś pocztylion do garsona hotelowego, który z nieopisaną rozkoszą przypatrywał się całej tej scenie.

Pan Winkle, otrzymawszy powyższą przestrożę, wgramolił się na siodło z taką niemal trudnością, jakiej by doznał wchodząc po raz pierwszy na okręt wojenny.

– Czy już wszystko dobrze? – zapytał pan Pickwick, dręczony wewnętrznym przecuciem, że wszystko źle.

– Wszystko dobrze – odrzekł słabym głosem pan Winkle.

– W drogę! – krzyknął posługacz stajenny. – Trzymaj go pan mocno!

I wśród głośnego śmiechu obecnych bryczka i wierzchowiec ruszyły z miejsca, z panem Pickwickiem na koźle tej pierwszej, a panem Winkle'em na grzbiecie drugiego.

– Dlaczego on tak bokiem idzie? – zapytał pan Snodgrass pana Winkle'a z głębi pudła.

– Albo ja wiem! – odpowiedział nieszczęśliwy jeździec, którego koń w samej rzeczy kroczył bokiem w sposób wielce ekscentryczny, z głową zwróconą w jedną stronę ulicy, a ogonem w drugą.

Pan Pickwick nie miał czasu zwracać uwagi na to, co się działo poza nim, gdyż sam musiał wyczerpać wszystkie siły umysłowe, by zdać sobie sprawę z postępowania zwierzęcia zaprzęgniętego do bryczki. Stworzenie to wyrabiało szczególne jakieś sztuki, mogące bardzo ubawić postronnego widza, ale wcale nie uspokajające tych, którzy znajdowali się w pewnej od niego zależności. Potrząsając nieustannie głową w sposób niesmaczny i niewła-



ściwy, koń szarpał zarazem tak gwałtownie, iż pan Pickwick zaledwie był w stanie utrzymać lejce. Na domiar nieszczęścia, tenże koń znalazł szczególne upodobanie w rzucaniu się ku jednej stronie ulicy, gdzie nagle stawał, po czym znów ruszał nagle z miejsca z szybkością, którą pokonać było fizycznym niepodobieństwem. Już po raz dwudziesty wykonywał ten manewr, gdy pan Snodgrass zapytał swego towarzysza:

– Co temu koniowi?

– Nie pojmuję – odparł pan Tupman. – Czy nie jest czasem płochliwy? Coś tak mi się widzi.

Pan Snodgrass chciał odpowiedzieć, gdy wtem przerwał mu krzyk pana Pickwicka.

– Aj! – zawołał mistrz. – Upuściłem bicz!

W tej chwili pan Winkle, w kapeluszu nasuniętym po same uszy, nadjechał na olbrzymim koniu, który wstrząsał nim z taką gwałtownością, iż zdawało się, że jeździec się rozsypie.

– Winkle! – krzyknął pan Snodgrass. – Tyś dobry chłopak, podnieś no bicz!

Pan Winkle, pochylając się w tył, ściągnął konia tak silnie, że aż sam poczerwieniał. Gdy udało mu się wreszcie zatrzymać olbrzymiego rumaka, zlął, podał bicz panu Pickwickowi i ująwszy cugle, zamierzał znowu wsiąść.

Nie umiemy tego powiedzieć (jak łatwo się domyślić), czy wielki koń z niewinnej tylko wesołości chciał poigrać nieco z panem Winkle'em, czy też wyobraził sobie, że większą będzie miał przyjemność, gdy odbędzie podróż bez jeźdźca, ale czy takie, czy inne były jego motywy, faktem jest, że zaledwie pan Winkle dotknął cugli, zwierzę pochyliwszy głowę, cofnęło się o całą swą długość.

– Kosiu, dobry kosiu – odezwał się pan Winkle ujmującym głosem – dobry, stary kosiu!

Ale dobry kosio nie dał się uwieść tym pochlebstwem i im bardziej pan Winkle usiłował zbliżyć się do niego, tym uporczywiej koń się odsuwał, tak że w ciągu dziesięciu minut, pomimo pieszczot i podstępów, pan Winkle i wielki koń, obracając się ciągle jeden dookoła drugiego, znajdowali się zawsze w jednej i tej samej odległości. Była to sytuacja wcale nieprzyjemna pod każdym względem, zwłaszcza na bezludnej drodze, gdzie niepodobna było znaleźć żadnej pomocy.

Gdy wirowanie to nie ustawało, pan Winkle krzyknął na swych towarzyszy:

– Co tu robić? Nie mogę dosiąść konia.

– Najlepiej doprowadzić go gdzie do jakiego płotu – odpowiedział pan Pickwick z kozła.

– Ale kiedy nie chce iść – zawołał pan Winkle – chodźcie no, proszę, przytrzymajcie go.

Pan Pickwick był prawdziwym uosobieniem uprzejmości i ugrzecznienia. Zsiadł więc z kozła, odprowadził konia wraz z bryczką pod płot, by nie zagradzać drogi, i zwrócił się ku swemu towarzyszowi gwoli dopomożenia mu w jego kłopotcie, pozostawiając panów Tupmana i Snodgrassa w bryczce.

Gdy tylko koń ujrzał pana Pickwicka podchodzącego z wielkim biczem, wnet zaniechał ruchu kolistego, w który się dotąd bawił, i rozpoczął ruch wsteczny tak stanowczy, iż zmusił pana Winkle'a, nie chcącego wypuścić cugli, do biegnięcia za nim z nadzwyczajną szybkością w kierunku Rochester. Pan Pickwick pośpieszył z pomocą, ale im prędzej biegł pan Pickwick, tym szybciej koń się cofał. Kopyta jego dźwięczały po bitej drodze, kurza wa wznosiła się w górę. W końcu pan Winkle, któremu ręka zdrętwiała od trzymania, zmuszony był puścić lejce. Koń stanął, spojrzął ze zdziwieniem dookoła, odwrócił się i pokłusował spokojnie ku stajni, pozostawiając pana Winkle'a i pana Pickwicka spoglądających na siebie i mocno skonfundowanych. Wtem jakiś podejrzany niedaleki łoskot zwrócił uwagę obu panów. Odwrócili głowy.

– Tego tylko brakowało! – zawołał pan Pickwick rozpaczliwie – i drugi koń ucieka!

Tak było rzeczywiście. Bucefał zaprzęzony do bryczki przeraził się hałasowi sprawianemu przez towarzysza: lejce miał zarzucone na grzbiet, więc nietrudno wyobrazić sobie, co z tego wynikło. Rzucił się naprzód, szybko unosząc panów Tupmana i Snodgrassa. Niestety! Trwało to niedługo. Pan Tupman, przerażony, wyskoczył z bryczki, a pan Snodgrass instynktownie poszedł za jego przykładem. Koń rozbił powóz uderzywszy nim o poręcz mostu, aż pudło oddzieliło się od kół, potem stanął nieruchomy, przypatrując się ruinom, które sprawił.

Pierwszym staraniem dwóch nie uszkodzonych przyjaciół było wydobycie spomiędzy krzaków dwóch innych przyjaciół. Po dokonaniu tego spostrzeżono z zadowoleniem, trudnym do opisanego, iż ci dwaj drudzy nie ponieśli żadnego poważniejszego szwanku i tylko w wielu miejscach porozdzierali sobie ubranie i własną skórę. Natenczas wszyscy razem zajęli się wyplątaniem konia ze szczątków powozu; a ukończywszy tę skomplikowaną operację, wzięli go pomiędzy siebie i poszli wolnym krokiem, pozostawiając resztki bryczki ich smutnemu losowi.

Po godzinie drogi podróżni nasi znaleźli się przed małą oberżą stojącą pomiędzy dwoma wiązami przy drodze. Z przodu widać było wielką stągiew i ogromny szyld, z tyłu kilka popsutych narzędzi rolniczych, z jednego boku ogród warzywny, z drugiego na pół rozwalone budynki gospodarcze porośnięte mchem. Wieśniak o rudych włosach pracował w ogrodzie. Pan Pickwick, ujrzawszy go, zawołał:

– Hej, ty!

Wieśniak podniósł się z wolna, przetarł oczy ręką i z najzimniejszą krwią począł przyglądać się panu Pickwickowi i jego towarzyszom.

– Hej, ty – powtórzył pan Pickwick.

– A co tam? – zapytał rudowłosy.

– Daleko stąd do Dingley Dell?

– Siedem dobrych mil.

– A droga dobra?

– Nie! – odparł krótko wieśniak.

Potem raz jeszcze bacznie obejrzawszy naszych podróżników, wziął się do roboty, nie zajmując się nimi więcej.

– Chcielibyśmy zostawić tu konia – zaczął pan Pickwick.

– Konia zostawić? – zapytał wieśniak, oparłszy się na łopacie.

– Tak – odrzekł pan Pickwick, podsunąwszy się wraz z rumakiem do samego płotu.

– Jejmość! – krzyknął rudowłosy, wychodząc z ogrodu i podejrzliwym okiem spoglądając na konia. – Jejmość!

Wysoka, koścista i wyprostowana jak tyka kobieta odezwała się na to wołanie.

– Dobra kobieto – zaczął znowu Pickwick podchodząc bliżej i nadając swemu głosowi ton ujmujący – czy nie moglibyśmy zostawić tu tego konia?

Wieśniak powiedział coś do ucha kobiecie. Ta spojrzawszy z góry na całą karawanę i pomyślawszy chwilę odrzekła:

– Nie! Nie mam jakoś do tego serca.

– Serca! – powtórzył pan Pickwick – co ona mówi tu o sercu?

– Już raz mieliśmy z tym kłopot – odrzekła kobieta, odchodząc do domu – i drugi raz mieć nie chcemy.

– To szczególnie! – zawołał pan Pickwick, mocno zdziwiony – w żadnej mojej podróży nie zdarzyło mi się nic podobnego.

– Zdaje mi się... doprawdy, zdaje mi się – szepnął pan Winkle do swych przyjaciół – iż baba ta podejrzewa nas, że tego konia skradliśmy.

– Co?! – krzyknął pan Pickwick z oburzeniem.

Pan Winkle skromnie powtórzył swe zdanie.

– Hej, ty! Rudy! – zawołał pan Pickwick na wieśniaka – czy sądzisz, żeśmy tego konia skradli?

– Nie sądzę, ale jestem tego pewny – odpowiedział rudowłosy z uśmiechem, który mu rozszerzył usta od ucha do ucha. Powiedziawszy to, wszedł do domu i starannie zamknął drzwi za sobą.

– To jakby sen! – zawołał pan Pickwick – szkaradny sen! O nieba, wystawcie sobie człowieka idącego pieszo cały dzień i ściganego przez straszliwego konia, którego nie może się pozbyć!

Zmartwieni pickwickczycy poszli dalej drogą ze zwieszonymi głowami; ogromny czworonóg, do którego czuli głęboką odrazę, kroczył z wolna w ślad za nimi.

Już było dobrze po południu, gdy czterej nasi przyjaciele, wciąż w towarzystwie nieznośnego zwierzęcia, doszli do drogi skracającej ku Manor Farm. Ale chociaż byli już prawie u kresu podróży, zadowolenie ich znacznie słabło na myśl, jak głupio będą wyglądali, gdy się pokażą. Podarta odzież, podrapane twarze, powalane buty, wycieńczone postacie, na domiar wszystkiego ten koń okropny! O! Jakże go przeklinał pan Pickwick! Od czasu do czasu rzucał na niego wzrokiem, w którym wyrażała się cała nienawiść i żądza straszliwej zemsty. Niejednokrotnie obliczał, ile mniej więcej wypadłoby zapłacić za przyjemność poderżnięcia mu gardła; chęć zamordowania go i porzucenia w pustym polu zajmowała gwałtownie jego umysł. Pomimo to szedł ciągle, aż wreszcie na jednym z zakrętów drogi okropne te myśli rozwiały się na widok dwóch osób. Był to pan Wardle i wierny jego sługa, pyzaty chłopak.

– Gdzieście to przepadli? – zapytał gościnny gentleman. – Czekam na panów dzień cały. Widzę, żeście zmęczeni. Co? Podrapani? Ale spodziewam się, żeście nie ranni? Nie? To mię cieszy. Wywróciliście się? Nie myślmy o tym więcej: to rzecz zwyczajna w tych stronach. Joe! Przeklęty chłopak! Znowu śpi! Joe! Zaprowadź konia do stajni!

Joe ujął za uzdę fatalnego rumaka i powłókł się leniwym krokiem, a tymczasem stary gentleman pocieszał swych gości...

Przybywszy do Manor Farm, zaprowadził ich najpierw do kuchni, mówiąc:

– Tu wszystko naprawimy, a potem zaprowadzę was do salonu. Emmo! Przynieś no wiśniówki? Joanno! Igły i nici! Mario! Wody i ręczników! No, dziewczęta! Żywo!

Trzy czy cztery hoże dziewczyny pobiegły szybko po żądane przedmioty, podczas gdy sprzed kominka podniosło się kilku osobników rodzaju męskiego (choć był to wieczór majowy, przywiązanie ich do płonących dREW zdawało się nie mniej silne niż w okresie Bożego Narodzenia) o wielkich głowach i szerokich twarzach, którzy zniknęli w jakichś zakamarkach i zjawili się uzbrojeni we flaszkę czernidła i pół tuzina szczotek.

– Żywo! Żywo! – powtarzał stary gentleman. Ale to wezwanie było zbyteczne, gdyż już jedna służąca nalewała wiśniówki, druga podawała ręczniki, a jeden ze sług, pochwyciwszy pana Pickwicka za nogę i narażając filozofa na utracenie równowagi, czyścił mu buty z taką gorliwością, że aż poczerwieniały odciski. Jednocześnie drugi służący ogromną szczotką czyścił Winkle'a, wydając rodzaj świstu, właściwego masztalerzom czyszczącym konie.

Co do pana Snodgrassa, ten, dokonawszy ablucyj, odwrócił się tyłem do pieca i z błogością pociągając z kieliszka, począł oglądać kuchnię.

Według jego opisu, była to obszerna izba wyłożona czerwoną cegłą. Piec miała ogromny, sufit zdobiły pęki cebul, szynki i słonina; na ścianach wisiały bicze, uzdy, siodła i stara, zardzewiała strzelba; pod nią mieścił się napis wielkimi literami: „Nabita”, który zarówno dziś, jak i przed pół wiekiem budził ten sam respekt. Stary zegar z kukułką poważnie tykał w kącie.

– Czyście już gotowi? – zapytał swych gości stary gentleman, gdy byli już umyjni, wyczyszczeni i połatani jak należy.

– Zupełnie gotowi – odrzekł pan Pickwick.

– A więc chodźmy!

Trzej podróżni poszli licznymi korytarzami. Dopiero przed drzwiami salonu przyłączył się do nich pan Tupman, który pozostał z tyłu w zamiarze skradzenia Emmie całusa, ale otrzymał tylko kilka szturhańców. Stary gentleman wprowadził gości do salonu, mówiąc:

– Panowie! Witam was w Manor Farm.

## Rozdział szósty

### *Jak za dawnych czasów przepędzano wieczór na wsi – Wiersz wikarego – Powrót skazańca*

Liczni goście zgromadzeni w salonie powstali dla przywitania nowo przybyłych. Gdy odbywały się ceremonialne formalności przyjęcia, pan Pickwick miał czas obejrzeć zebranych i poczynić wnioski co do ich charakterów i zajęć. Był to rodzaj rozrywki, której chętnie się oddawał, jak i wielu innych wielkich ludzi.

Bardzo stara dama, w wysokim czepku i jedwabnej wypłowiałej sukni – ni mniej, ni więcej tylko matka pana Wardle'a – zajmowała honorowe miejsce po prawej stronie kominka. Liczne dowody, że w młodości otrzymała wychowanie takie, jakie powinna była otrzymać, i że później nie sprzeniewierzyła się tym zasadom, porozwieszane były na ścianach w postaci robótek wykonanych w zamierzchłych czasach, haftowanych landszaftów z tejże epoki i czerwonego jedwabnego sznura do kociołka z nieco nowszego okresu. Ciotka-panna, dwie młode panienki i pan Wardle, ugrupowani dokoła starej damy, współzawodniczyli w okazywaniu jej nieustających względów. Jedna trzymała jej akustyczną trąbkę, druga pomarańczę, trzecia flakonik z pachnidłami, sam zaś pan Wardle starannie poprawiał poduszki, na których była wsparta.

Z drugiej strony kominka siedział stary gentleman, obdarzony uprzejmą postawą i łysą głową. Był to wikary z Dingley Dell; koło niego mieściła się jego żona, zacna stara kobieta, której czerstwa twarz i ożywione rysy zdawały się świadczyć, że jeżeli była wysoce biegła w wyrabianiu rozmaitych kordiałów, jak przystoi na dobrą gospodynię, to znała się również i na właściwym ich użyciu. Mały człowieczek, właściciel głowy podobnej do jabłka, rozmawiał w kącie ze starym tłustym gentlemanem, a dwaj czy trzej inni starcy i tyleż starych pań siedziało sztywno i nieruchomo na krzesłach, litośnie spoglądając na pana Pickwicka i jego towarzyszy podróży.

– Matko! – rzekł pan Wardle, mocno natężając głos – pan Pickwick.

– Och! – zawołała stara dama, potrząsając głową – nie słyszę.

– Pan Pickwick, babciu! – głośno krzyknęły razem dwie młode panny.

– A! – odrzekła stara dama – to wszystko jedno. I tak niewiele dba o taką starą kobietę jak ja, jestem tego pewna.

– Zapewniam panią – powiedział pan Pickwick, ujmując rękę starej damy i mówiąc tak głośno, że aż łagodna twarz jego nabrała szkarłatnej barwy – zapewniam panią, iż nic mnie tak nie zachwyca jak oglądanie, na czele tak pięknej rodziny, osoby w jej wieku, która przy tym wygląda tak młodo i zdrowo.

– Ach! – zaczęła znowu stara dama po krótkim milczeniu – wszystko to bardzo pięknie, jestem tego pewna, ale nic nie słyszę.

– Babcia jest teraz źle usposobiona – rzekła łagodnie miss Izabela Wardle – ale po jakim czasie będzie rozmawiać z panem.

Pan Pickwick okazał znakiem swą gotowość uwzględnienia ułomności wieku; potem odwrócił się i przyjął udział we wspólnej rozmowie.

– Śliczne mieszkanie! Cudna okolica! – zawołał.

– Prześliczna! – powtórzyli panowie Snodgrass, Tupman i Winkle.

– O! Pochlebiam sobie! – odrzekł pan Wardle.

– Panie – rzekł właściciel głowy podobnej do jabłka – nie ma lepszego gruntu w całym hrabstwie Kent. Doprawdy, panie, że nie ma. Jestem tego pewny, że nie ma!

I spojrzął dokoła z miną triumfującą, jak gdyby ktoś zaprzeczał mu gwałtownie i jak gdyby on zmusił go do milczenia.

– Nie ma lepszego gruntu w całym hrabstwie Kent – po krótkiej pauzie powtórzył właściciel głowy podobnej do jabłka.

– Wyjawszy Mullins – wygłosił uroczyście tłusty gentleman.

– Mullins! – wykrzyknął pierwszy z głęboką pogardą.

– To bardzo piękna ziemia – dodał inny tłusty gentleman.

– O! Piękna! – dorzucił trzeci tłusty gentleman.

– Wszyscy o tym wiedzą – nadmienił zamaszysty gospodarz. Właściciel głowy podobnej do jabłka spojrzął z powątpiewaniem dokoła, ale znalazłszy się stanowczo w mniejszości, przybrał minę zapoznanej wyższości i nie powiedział nic więcej.

– O czym mówią? – zapytała stara dama jedną ze swych wnuczek głosem mocno podniesionym, gdyż według zwyczaju głuchych nie mogła wyobrazić sobie, by ją mógł kto usłyszeć inaczej.

– O gruntach, babciu.

– Co mówią o gruntach? Czy co się stało?

– Nie, nie. Pan Miller mówi, że nasze grunta są gorsze aniżeli w Mullins.

– Któż to utrzymuje? – zapytała dama z oburzeniem. – Miller jest samochwał, impertinent, powiedzcie mu to ode mnie.

Wypowiedziawszy to zdanie stara dama podniosła się i spojrzała surowo na delikwenta, nie wątpiąc ani na chwilę, iż mówiła tak, że wszyscy mogli ją słyszeć.

– No! No! – zawołał pan Wardle usiłując, naturalnie, zmienić temat rozmowy. – Co powie pan o wiście, panie Pickwick?

– Lubię tę grę nade wszystko, ale proszę, byś jej pan nie aranżował dla mnie jedynie.

– O! Zapewniam pana, że moja matka bardzo lubi wista. Prawda, matko?

Stara dama, która co do tego punktu była nierównie mniej głucha, odpowiedziała twierdząco.

– Joe! Joe! – zawołał stary gentleman. – Joe! Przeklęty chłopak!... A! Jesteś! Przygotuj stół do gry.

Flegmatyczny młodzieniec postawił dwa stoły; jeden do wista, drugi do „pół do dwunastej”. Do wista zasiedli: pan Pickwick, stara dama, pan Miller i tłusty gentleman. Reszta towarzystwa zajęła się drugą grą.

Wist prowadzony był z całą ścisłością i powagą, jakich wymaga ten uroczysty akt, który, według naszego zdania, niewłaściwie i krzywdząco nazwano grą. Ale przy okrągłym stole weselono się tak hałaśliwie, iż to przeszkadzało widocznie kombinacjom pana Millera. Nieszczęśliwy ten człowiek, nie mogąc zająć się grą, jak by należało, popełniał błędy nie do przebaczenia, wzbudzając w wysokim stopniu gniew tłustego gentlemana i w tej samej mierze dobry humor starej damy.

– Aha! – zawołał pan Miller zwycięskim tonem, biorąc siódmą lewę. – Myślę, że nie można by lepiej zagrać; niepodobna było wziąć ani jednej lewy więcej.

Stara dama niedługo go pozostawiła w tym szczęśliwym przekonaniu.

– Miller powinien był bić dzwonkę – powiedziała – prawda, panie?

Pan Pickwick skłonił się twierdząco.

Nieszczęśliwy gracz odwołał się do swego partnera, mówiąc z powątpiewaniem:

– Czy tak, panie?

– Naturalnie – odpowiedział sucho tłusty gentleman.  
– Bardzo tego żałuję – odrzekł Miller, zbity z tropu.  
– W samą porę – mruknął jego partner.  
– Dwa honory to czyni razem osiem – rzekł z powagą pan Pickwick.  
Znowu rozdano karty.  
– Czy może pan zrobić jeszcze jedną lewę? – zapytała stara dama.  
– Mogę – odrzekł pan Pickwick. – Dubla, sympl i rober. – Nigdy nie widziałem takiego szczęścia! – zauważył pan Miller.  
– Ani ja takich nędznych kart – dodał tłusty gentleman.  
Nastąpiło uroczyste milczenie. Pan Pickwick był ożywiony, stara dama bardzo uważna, tłusty gentleman złośliwy, a pan Miller w ciągłej trwodze.  
– Jeszcze jedna dubla, panie – rzekł pan Pickwick.  
– Wiem o tym – odrzekł cierpko tłusty gentleman.

W ciągu drugiej partii, której rezultat był taki sam, pan Miller miał nieszczęście zrobić renons. Tłusty gentleman nie mógł dłużej powstrzymać swego gniewu. Stara dama, przeciwnie, słyszała coraz lepiej, gdy tymczasem pan Miller, zdawało się, był tak mało w swoim żywiole, jak delfin w klatce.

Gdy wista skończono, tłusty gentleman usunął się w kąt i tam przesiedział w najzupełniej szym milczeniu dwadzieścia siedem minut, po czym, wyszedłszy ze swego ustronia, podał panu Pickwickowi szczyptę tabaki ze wspaniałomyślnością człowieka, któremu miłość bliźniego nakazuje przebaczać doznane urazy.

Podczas tych wypadków gra przy okrągłym stole szła dalej wesołym trybem. Tymczasem utworzyły się nierozłączne pary: Izabela Wardle – pan Trudle, Emilia Wardle – pan Snodgrass; pan Tupman z ciotką-panną utworzyli także spółkę co do punktów i wzajemnych grzeczności. Stary Wardle był u szczytu dobrego humoru. Prowadził bank tak przebiegle, damy okazywały taką chęć wygrania, że grzmoty śmiechu rozlegały się prawie nieustannie. Była tam stara dama, ciągle płacząca najmniej za sześć kart. Wszyscy śmiali się z tego regularnie za każdym razem, a gdy stara dama, płacąc, krzywiła się, śmiano się jeszcze głośniej. Wtedy twarz jej rozpromieniała się stopniowo i kończyło się na tym, że sama śmiała się w ogólnym chórze. Gdy ciotka-panna dostawała króla do damy, inne panny parskwały śmiechem, a ciotka-panna wpadała w bardzo zły humor, zaraz jednak czuła rękę pana Tupmana ściskającą jej rękę pod stołem, i twarz jej wypogadzała się natychmiast; potem przybierała minę, jakby chciała powiedzieć, że mariaż nie był bynajmniej tak daleki, jak sądzono.

Wtedy wszyscy znów śmiać się poczynali, zwłaszcza pan Wardle, którego każdy żart rozweselał przynajmniej w tym stopniu, co najmłodszych.

Pan Snodgrass tymczasem ciągle szeptał do ucha swojej partnerce coś wielce poetycznego, co skłoniło pewnego starszego gentlemana do robienia żartobliwych, acz nie pozbawionych złośliwości uwag o dobieraniu sobie partnerów w kartach i w życiu, czemu towarzyszyły trącania łokciem i uśmiechy. Wesołość wzrastała jeszcze wskutek tego; szczególnie zaś cieszyła się żona wzmiankowanego gentlemana.

Pan Winkle od czasu do czasu rzucał żarty, dobrze znane w Londynie, które jednak były nowością na prowincji, a ponieważ wszyscy śmiali się z nich serdecznie i uważali je za doskonałe, pan Winkle jaśniał humorem i sławą.

Zacny duchowny spoglądał na te sceny z zadowoleniem, gdyż dobrego starca cieszył widok tylu szczęśliwych twarzy dokoła. Wesołość bowiem, choć hałaśliwa, szła z serca, nie z ust tylko, a na tym właśnie polega prawdziwa, szczerza wesołość.

Wśród takich rozrywek wieczór upłynął szybko. Po prostej, lecz posilnej wieczerzy zebrano się wokół kominka, pan Pickwick oświadczył, że nigdy w życiu nie czuł się tak

szczęśliwy, nigdy nie był tak usposobiony do używania terażniejszości, niestety tak szybko przemijającej.

– To właśnie – powiedział gościnny gospodarz, który umieściwszy się wygodnie w pobliżu fotela matki, ujął jej rękę – to właśnie lubię. Najszczęśliwsze lata mego życia upływały przy tym starym kominku... Tak jestem do niego przywiązany, że każę rozpalać co wieczór ogień, chyba że upał czyni to niemożliwym. Stara matuchna, tu obecna, siadywała na tym małym taborecie, gdy jeszcze była dzieckiem. Prawda, matko?

Łzy, które napływają do oczu na niespodziewane wspomnienie dawnych czasów i minionego szczęścia, spływały po policzkach starej damy, gdy z melancholijnym uśmiechem pochylała głowę.

– Musi pan wybaczyć, panie Pickwick, że ciągle mówię o tej starej dziurze – podjął po krótkiej pauzie gospodarz. – Ale kocham ją nade wszystko i nie znam innej; stare domy i pola są dla mnie jak żywi przyjaciele, i kościółek obrosły bluszczem również... Nasz doskonały przyjaciel napisał o nim wiersz, gdy przyjechał do nas po raz pierwszy. Panie Snodgrass, czy ma pan co w szklance?

– Pełno, dziękuję – powiedział ów gentleman, którego poetycka ciekawość została silnie podrażniona ostatnim zdaniem opowiadającego. – Przepraszam pana, ale pan wspominał o pieśni o bluszczu.

– Musi pan zapytać o to naszego przyjaciela siedzącego tam naprzeciw – powiedział gospodarz, pochyleniem głowy znacząco wskazując wikarego.

– Czy wolno mi powiedzieć, że pragnąłbym usłyszeć tę pieśń? – zapytał pan Snodgrass.

– Co, naprawdę? – zapytał wikary. – To taka drobnostka! Mogę tylko powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że byłem wtedy bardzo młody. Ale jeżeli pan chce, może ją pan usłyszeć!

Odpowiedzią był oczywiście szmer zaciekawienia i stary gentleman zaczął, ponaglony przez żonę, recytować następujące wiersze:

## BLUSZCZ

*Dziwne to ziele ów bluszcz zielony,  
Co stare oplata mury!  
Starannie strawę dobiera sobie  
W swej celi zimnej, ponurej!  
Wszystko w proch zmienić, zetlić się musi,  
By mu do smaku przypadło,  
A pleśń wiekowa, pleśń dawnych czasów —  
Najmilsze jego jadło.  
Tam, gdzie już życie zgasło w popiele,  
Bluszcz pnie się. – Dziwne, dziwne to ziele!  
Rzekłbyś, że leci, choć skrzydeł nie ma,  
Lecz serce jakież ma czułe!  
Jak tuli, pieści swojego druha,  
Starego dęba gadułę!  
Wesoło błyszczą mu liście szklane,  
Chociaż pełzanie go trudzi  
–Lecz nic to – kiedyż otuli wszystkie  
Mogiły pomarłych ludzi.  
Tam, gdzie Śmierć przeszła na swych wojsk czele,  
Bluszcz pnie się. – Dziwne, dziwne to ziele!  
Mijają wieki, narody giną*



*I w grób się kładą miliony,  
Ale bluszcz stary nie więdnie nigdy,  
Liść jego zawsze zielony.  
Tuczy się stary bluszcz jadłem ruin,  
Przeszłością tuczy się krwawą:  
Gdyż najdumniejszy twór ludzki w końcu  
Dla bluszczu tylko jest strawą.  
I tam gdzie Czas w swym królował kościele,  
Bluszcz pnie się. – Dziwne to ziele!*

Kiedy stary gentleman powtórzył wiersz po raz drugi, aby ułatwić panu Snodgrassowi notowanie, pan Pickwick nadał rysom swojego oblicza wyraz największego zainteresowania. Gdy stary gentleman skończył dyktować, a pan Snodgrass schował notatnik do kieszeni, pan Pickwick oznajmił:

– Wybacz pan, że pozwolę sobie na zrobienie uwagi pomimo krótkiej znajomości. Gentleman, jak pan, nie mógł, sędzę, pełniąc przez długie lata służbę bożą, nie zaobserwować wielu scen i wydarzeń godnych zapamiętania.

– Niejedno, oczywiście, widziałem – odrzekł stary gentleman. – Ale ludzie i wypadki były, powiedziałbym, natury codziennej i domowej, gdyż sfera mego działania jest bardzo ograniczona.

– Sędzę, iż zanotował pan wypadek Johna Edmunda, prawda? – zapytał pan Wardle, którego pożerała chęć wyciągnięcia na słowa przyjaciela ku zbudowaniu nowych gości.

Stary gentleman wolno pochylił głowę na znak potwierdzenia i już chciał zmienić temat, gdy głos zabrał pan Pickwick:

– Proszę mi wybaczyć, ale czy wolno mi zapytać, kto to był John Edmunds?

– Właśnie to miałem na końcu języka – dodał gorąco pan Snodgrass.

– Nie wywinie się pan – powiedział jowialnie gospodarz. – Wcześniej czy później będzie pan musiał zaspokoić ciekawość tych gentlemanów. Radzę skorzystać z miłej sposobności i opowiedzieć to zaraz.

Stary gentleman uśmiechnął się pogodnie i wysunął nieco swój fotel; całe towarzystwo zbliżyło krzesła, zwłaszcza pan Tupman i ciotka-panna (możliwe, że słuchanie sprawiało im pewną trudność); gdy podano trąbkę starej damie, a pana Millera (który zasnął podczas recytowania wierszy) zbudzono ze snu wymownym kuksańcem, który wymierzył mu eks-partner, tłusty gentleman, stary pan bez dalszych wstępów zaczął poniższe opowiadanie, któremu pozwoliliśmy sobie nadać tytuł:

#### POWRÓT SKAZAŃCA

– Kiedym po raz pierwszy przybył do tego miasteczka – powiedział stary gentleman – to jest równo przed 25 laty, najgorzej notowanym między moimi parafianami był człowiek nazwiskiem Edmunds, który dzierżawił małą fermę niedaleko stąd. Był to ponury, zatwardziały leniuch i rozpustnik, okrutny i zawzięty z natury. Z wyjątkiem kilku leniwych i niespokojnych włóczęgów, z którymi łąził po polach lub zalewał pałę w piwiarni, nie miał przyjaciół ani znajomych. Nikt nie chciał mówić z tym drabem, wielu się go bało, a wszyscy nienawidzili go. Kto żyw – unikał Edmundsa.

Człowiek ten miał żonę i jednego syna, który, gdym tu przybył, liczył około 12 lat. Trudno wyobrazić sobie ogrom cierpień tej kobiety oraz pogody i pokory, z jaką je znosiła, wreszcie troskliwości, z jaką wychowywała chłopca. Niech Bóg wybaczy mi moją podejrzliwość, jeżeli nie ma ona litości, ale mocno wierzę, że człowiek ów przez wiele lat systematycznie usiłował złamać serce swej żony. Ale ona znosiła wszystko ze względu na

malca i jakkolwiek wielu wyda się to dziwne, ze względu na ojca. Chociaż bowiem był to brutal i okrutnie się z nią obchodził, kochała go niegdyś, a wspomnienie, czym był wtedy dla niej, budziło w jej zbolełym sercu cierpliwość i powolność, uczucia obce wszystkim stworzeniom ludzkim z wyjątkiem niewiast.

Byli ubodzy. Nie mogło być inaczej, skoro człowiek ów wybrał taki sposób postępowania. Ale ciągła i nieustanna praca tej kobiety, od rana do nocy, w świętek i w piątek, broniła ich od ostatecznej nędzy. Za trudy te otrzymywała nędzne wynagrodzenie... Ludzie, którzy mijali ich dom wieczorem, a czasami późną nocą, opowiadali, że słyszeli jęki i szlochy nieszczęśliwej kobiety oraz odgłosy razów. Nieraz dobrze już po północy chłopczyna pukał do drzwi sąsiada, wysłany przez matkę, która chciała go ochronić przed pijaną furją nieprzytomnego ojca.

Przez cały ten czas nieszczęśliwa ta kobieta chodziła stale do naszego kościółka, chociaż często nie mogła ukryć śladów znęcań i razów męża. Regularnie każdej niedzieli, z rana i po południu, zajmowała tę samą ławkę. Chłopiec siadał przy niej i chociaż oboje odziani ubogo, o wiele gorzej niż sąsiedzi, od których byli w gorszej sytuacji, zawsze wyglądali czysto i schludnie. Każdy miał przyjacielski ukłon i uprzejme słówko dla „biednej pani Edmunds” i często, gdy po nabożeństwie zatrzymywała się, by zamienić z kimś kilka słów w alei brzostowej, prowadzącej do drzwi kościoła, albo z dumą i miłością matczyną patrzyła na swego chłopaka, bawiącego się opodal z towarzyszami, jej stroskane oblicze jaśniało wyrazem głębokiej wdzięczności. Miała wówczas uśmiech, jeżeli nie wesoły, to w każdym razie zawsze spokojny i pogodny.

Upłynęła pięć czy sześć lat. Chłopak wyrósł na silnego i dorodnego młodzieńca. Czas, który wzmocnił delikatne członki chłopca i nadał męski wygląd jego kształtom, zgiął postać matki i osłabił jej kroki. Ale ramię, w którym powinna była znaleźć oparcie, nie podtrzymywało jej. Oblicze, które powinno było ją rozweselać, nie zwracało się do niej. Zajmowała tę samą ławkę. Ale miejsce obok niej było puste. Biblia była przechowywana starannie jak zawsze, odpowiednie miejsca zakreślone, kartki zagięte, ale nie miał kto czytać matce Pisma, więc łyzy, ciężkie i obfite, padały na księgę i zalewały słowa przed oczyma biedaczki. Sąsiedzi byli uprzejmi, jak dawniej. Skończyły się jednak pogawędki w alei brzostowej... i radosne oczekiwanie szczęścia, które przyjść miało. Nieszczęśliwa kobieta nasuwała głębiej czepek na oczy i szybko odchodziła.

Czy mam wam powiedzieć, że młodzieniec, spoglądając wstecz na lata swego dzieciństwa (do czego zmuszały go pamięć i sumienie), wracając wspomnieniami do tych chwil, nie mógł sobie przypomnieć nic, co nie byłoby w ten czy inny sposób związane z długą serią ofiar dobrowolnych, jakie matka przyjmowała na siebie przez wzgląd na niego, z krzywdą i cierpieniem swoim... wszystko dla niego?! Czy mam państwu powiedzieć, że lekkomyślnie lekceważąc jej zbolełe serce, umyślnie nie pamiętając o niczym, co uczyniła dla niego, wdał się ze zdeprawowanymi i zepsutymi ludźmi i po wariacku, bez opamiętania, zanurzył się w życie, które miało przynieść wyrok śmierci jemu, a hańbę jej. Niestety! Taka jest natura ludzka! Domyśliliście się tego, zanim wam powiedziałem.

Miara udręczeń i cierpień nieszczęśliwej kobiety miała się przepęnić. W okolicy popełniono kilka zbrodni. Sprawców nie wykryto, więc czelność ich wzrosła. Napad niezwykle śmiały i zuchwały wzmógł czujność. Złoczyńcy nie przewidzieli tego. Młody Edmunds został ujęty wraz z trzema towarzyszami. Schwymano go, aresztowano, stawiono przed trybunał, osądzono na śmierć.

Dziki i przejmujący krzyk kobiety, który rozległ się w sali sądowej, gdy uroczyście przeczytano wyrok, dotychczas dźwięczy mi w uszach! Krzyk ten przejął strachem serce zbrodniarza. Nie dokonał tego sąd ani wyrok, ani pewność śmierci. Wargi, zaciśnięte aż do tej chwili z upartym gniewem, zdrząły i rozchyliły się teraz wbrew jego woli. Twarz na-

brała ziemistej barwy. Nogi ugięły się pod zbrodniarzem, aż zwałił się na ławę oskarżonych.

W pierwszym przystępie rozpaczy zboleła matka upadła u moich nóg, gorąco błagając Wszehmocnego, który dotychczas ratował ją w każdym nieszczęściu, aby zabrał ją z tego świata udreki i bólu w zamian za życie jej syna. Potem nastąpił wybuch rozpaczy takiej, jakiej nigdy nie widziałem. Czułem, że od tej chwili serce w niej zamarło, ale nigdy nie usłyszałem z jej ust skargi...

Codziennie zjawiała się na dziedzińcu więziennym, gorąco i serdecznie usiłując zmiekczyć syna. Widok ten był zaiste żaloszny, bo wszystko okazało się daremne! Był wciąż ponury, uparty, niewzruszony... Nawet niespodziewana wiadomość, że wyrok śmierci zamieniono na 14 lat zesłania, ani na chwilę nie zmieniła jego ponurej zatwardziałości.

Ale duch rezygnacji i wytrwania, który tak długo podtrzymywał ją, nie mógł oprzeć się niemocy i chorobom ciała. Zaniemogła. Zwlokła się z łóżka, żeby raz jeszcze odwiedzić syna, ale siły ją zawiodły i upadła na podłogę.

Wtedy uparty chłód i obojętność młodzieńca wystawione zostały na ciężką próbę. Cios, który weń uderzył, doprowadził go niemal do szaleństwa. Dzień minął... matka nie przyszła. Minął dzień drugi... a ona się nie zjawiała... Zapadł trzeci wieczór, a on jej nie widział... A za 24 godziny miał się z nią rozstać – może na zawsze! Dawno wygasłe wspomnienia wirowały mu w mózgu, gdy biegł tam i z powrotem po ciasnym dziedzińcu, jak gdyby to bieganie mogło przyspieszyć pracę myśli! Ileż gorzkości było w uczuciu beznadziejności i rozpaczy, gdy serce pojęło prawdę! Matka, jedyna krewna, leży chora – w odległości mili od tego miejsca! Gdyby był wolny, w jednej chwili znalazłby się przy niej! Biegł do furty i schwyciwszy za żelazne sztaby z taką siłą, jaką daje rozpacz, potrząsał nimi, tłukł głową o mur, jak gdyby w ten sposób mógł utorować sobie drogę! Ale twardy kamień uragał jego słabym siłom, więc gryzł ręce i płakał jak dziecko.

Przyniosłem mu do więzienia przebaczenie i błogosławieństwo matki. Do jej łóżka zaś zanieśliśmy jego uroczyste zapewnienie poprawy i gorące modły o przebaczenie. Słuchałem z litością i współczuciem, kiedy skruszony zbrodniarz robił tysiące planów, jaką otoczy ją troskliwością, gdy powróci, ale wiedziałem, że na parę miesięcy przedtem, zanim dojedzie do miejsca swego przeznaczenia, matka jego odejdzie z tego świata.

Zabrano go tejże nocy. W parę tygodni później dusza nieszczęśliwej kobiety uleciała – ufam i wierzę głęboko – do miejsca wiecznej szczęśliwości. Pochowałem szczątki jej doczesnej powłoki. Na mogile jej nie leży kamień: smutki jej były znane ludziom, zasługi – Bogu.

Umówiłem się ze skazańcem, zanim go zabrali, że napisze do matki, jak tylko otrzyma pozwolenie, i że list adresowany będzie do mnie. Ojciec stanowczo odmówił widzenia się z synem. Było mu obojętne, czy syn żyje, czy nie. Kiedy minęła prawie połowa czasu, na jaki został zesłany, a ja nie odebrałem żadnej wieści o nim, doszedłem do przekonania, że umarł. Nie ukrywam: miałem nadzieję, że się tak rzeczywiście stało.

Edmunds został jednak wysłany daleko w głąb kraju, do którego go deportowano. Temu, być może, przypisać należy fakt, że chociaż kilka listów wysłał, ani jeden nie doszedł do moich rąk. Pozostał na tym miejscu przez całe 14 lat. Kiedy się skończył czas kary, wierny swemu postanowieniu i przysiędze danej matce, udał się w powrotną drogę do Anglii i po wielu trudach piechotą wrócił do rodzinnej wioski.

Pewnego pięknego sierpniowego wieczora, była to niedziela, John Edmunds zjawił się we wsi, którą przed siedemnastu blisko laty opuścił z hańbą i wstydem. Najbliższa droga prowadziła przez cmentarz. Serce mu biło, gdy wszedł na schody. Wysokie stare brzozy zbudziły wspomnienie dawnych lat. Słońce przeświecało gdzieniegdzie przez gałęzie... Wyobraził sobie teraz, jak trzymając rękę matki, jako mały chłopak, szedł do kościoła. Wspomnił, jak patrzył na jej bladą twarz i jak oczy jej napelniały się łzami, gdy spoglą-

dała mu w oczy... jej gorące łzy, które nieraz spadały mu na czoło... i jak płakał on sam, nie rozumiejąc jednak, jak gorące były jej łzy! Przypomniawszy sobie, ile razy wesoło biegał po tych ścieżkach z kolegami, odwracając się raz po raz, by pochwycić uśmiech matki i posłyszeć jej miły głos! A potem... jak gdyby nagle z pamięci jego spadła zasłona: zrozumiał nie docenione słowa dobroci, zlekceważone przestrogi, nie dotrzymane obietnice, aż serce nie wytrzymało i załamał się...

Wszedł do kościółka. Nabożeństwo popołudniowe już się skończyło, pobożni wyszli, ale kościół był jeszcze otwarty. Kroki jego dźwięczały głucho pod niskim sklepieniem. Cisza i spokój świątyni przerażały go prawie. Nic się nie zmieniło... Kościółek tylko wydał mu się mniejszy niż dawniej. Ale stare nagrobki, na które nieraz jako dziecko patrzył z zachwytem, były na dawnym miejscu... mały pulpit z wygniecioną poduszką... Stół Ofiarny, przed którym tyle razy powtarzał przykazania: szanował je jako chłopiec, zlekceważał jako mężczyzna... Zbliżył się do starej ławki. Wydała mu się zimna i opuszczona. Usunięto poduszki, zabrano Biblię... może matka zajmowała inną, uboższą ławkę, a może jest tak schorowana, że nie może chodzić na nabożeństwa. Nie miał odwagi myśleć o tym, czego się obawiał. Poczł nagły chłód, zadrżał, wyszedł.

W chwili gdy zbliżył się do drzwi, zobaczył jakiegoś staruszka. Znał go dobrze. Ileż razy przypatrywał mu się, gdy kopał groby na cmentarzu! Jak ten przywita zbrodniarza?

Stary podniósł oczy, spojrzał na twarz przybysza i z cichym „dobry wieczór” przeszedł... Nie poznał go!

Poszedł w dół pagórka, potem przez wieś. Wieczór był ciepły, mieszkańcy siedzieli przed drzwiami domów lub w ogródkach, rozkoszując się piękną pogodą i odpoczynkiem po ciężkim trudzie dnia. Niejedno spojrzenie biegło ku niemu, a on patrzył na nich, czy czasem nie odwrócą się, gdy go poznają. Prawie przed każdym domem widział obce twarze. Tu i ówdzie poznawał dawnych kolegów... Znał ich, gdy byli małymi chłopcami, a teraz każdy z nich siedzi w otoczeniu gromadki malców... Tam znowu zobaczył na fotelu staruszka: pamiętał go, jak był młodym i silnym robotnikiem. Ale wszyscy zapomnieli o nim i tak przeszedł niepostrzeżenie.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca padły na ziemię, nadając czerwony odcień żółtym łanom zboża i wydłużając cienie drzew. Stał przed swoim starym domem, domem lat dziecińczych, do którego serce rwało mu się z nieopisaną tęsknotą przez długie lata smutków i udręki. Ogrodzenie było niskie (pamiętał jednak, że kiedyś wydawało mu się ogromnie wysokie), spojrzał w ogródek. Nie było w nim, jak dawniej, klombów wesołych kwiatów, ale stare drzewa pozostały te same... i to, pod którym kładł się setki razy, żeby odpocząć po gonitwie w słońcu, pod którym zasypiał szczęśliwym snem dziecka! Z domu dochodziły jakieś głosy. Słuchał, ale dźwięk ich wydał mu się obcy... Były wesołe, a on wiedział, że matka jego nie może być wesoła, zwłaszcza odkąd go zabrano. Drzwi się otworzyły i gromadka dzieci, krzycząc i śmiejąc się wybiegła z izby. Ojciec z małym dzieciątkiem na ręku zjawił się na progu, więc obstały go, klaszcząc w ręczęta i prosząc, żeby szedł się z nimi bawić. Skazaniec przypomniał sobie, że na tym samym miejscu on jako dziecko chował się przed ojcem... Przypomniał sobie, jak często ukrywał drżącą głowinę pod kołdrą, żeby nie słyszeć głośnych słów, donośnych razów i płaczu matki. I chociaż jęknął głośno opuszczając to miejsce, pięści miał zaciśnięte i zęby zwarte w dumnej pasji.

Taki był jego powrót, o którym marzył przez tyle lat, dla którego tyle przecierpiał! Nikt go nie wita, nikt nie ma dlań słowa przebaczenia, nikt mu nie pomoże – i to tutaj, w jego rodzinnej wiosce! Czym wobec tego była samotność w dziewiczych lasach, gdzie nie spotkałeś żywej duszy?..

Czuł, że na wygnaniu myślał o swojej wiosce takiej, jaką porzucił, nie jaką zastanie. Smutna rzeczywistość przeniknęła mu serce, upadł na duchu. Nie miał odwagi o nic pytać ani stawić się przed jedynym człowiekiem, który przyjąłby go z miłością i wyrozumie-

niem. Odszedł wolnym krokiem, unikając gościńca jak zbrodniarz. Skręcił na dobrze znaną łąkę. Ukrywszy twarz w dłoniach, rzucił się na trawę.

Nie zauważył, że obok leży jakiś starzec. Łachmany zaszeleściły, gdy się odwrócił, aby spojrzeć na przybysza. Edmunds podniósł głowę.

Człowiek ów przybrał pozycję siedzącą. Postać miał zgarbioną, twarz w zmarszczkach. Suknie wskazywały, że był pensjonarzem przytułku. Wyglądał na bardzo starego, ale miało się wrażenie, że choroby i nałogi wyniszczyły go więcej niż lata. Patrzył surowo na przybysza i chociaż na pierwszy rzut oka wzrok jego zdawał się jasny, wyczytać w nim mogłeś jakiś nienaturalny lęk. Edmunds wolno podniósł się na kolana, badawczo przyglądając się starcowi. Patrzyli na siebie w milczeniu.

Stary był upiornie błądy. Drgnął i zerwał się na nogi. Edmunds uczynił to samo. Stary cofnął się parę kroków. Edmunds postąpił ku niemu.

– Niech usłyszę twój głos – powiedział skazaniec grubym, łamiącym się głosem.

– Nie podchodź – zawołał stary. Wściekły z gniewu, podniósł laskę i uderzył Edmunda w twarz.

– Ojciec! Diabeł! – zawołał skazaniec przez zaciśnięte zęby. Jak oszalały rzucił się naprzód i schwycił starego za gardło. Ale był to ojciec, więc ręka opadła...

Stary wydał przeciągły krzyk, który dźwięczał na pustym polu jak wycie złego ducha. Twarz mu szerniała. Krew rzuciła się nosem i ustami... upadł na twarz barwiąc trawę... Pękło mu jakieś naczynie krwionośne; umarł, zanim syn zdążył go podnieść...

W tym kącie cmentarza – ciągnął dalej stary gentleman po krótkiej pauzie – w tym kącie cmentarza, o którym mówiłem, leży pochowany człowiek, który po tym zdarzeniu służył u mnie przez trzy lata. Okazywał szczery żal i skruchę. Był pokorny, jak tylko człowiek pokorny być może. Nikt prócz mnie nie wiedział, skąd przyszedł ani jak się nazywa. Był to nawrócony zbrodniarz, John Edmunds.

## Rozdział siódmy

*Jak pan Winkle zamiast mierzyć do gołębia i trafić wronę, mierzył do wrony, a zranił gołębia – Jak klub graczy w krykieta z Dingley Dell walczył z klubem z Muggleton i jak Muggleton jadł obiad na koszt Dingley Dell, tudzież rozmaite inne materie pouczające, a zarazem ciekawe*

Nużące przygody dnia poprzedniego tak oddziały na nerwy pana Pickwicka, iż znalazłszy się w łóżku, w pięć minut zasnął głębokim snem. Obudziły go dopiero nazajutrz świetlne promienie wschodzącego słońca, które wdartwszy się do sypialni zdawały się czynić mu wyrzuty.

Pan Pickwick nie był leniwy: jak dzielny wojownik wyskoczył ze swego namiotu-łóżka.

– Cudny krajobraz – zawołał w uniesieniu, otwierając okno. – O! kto raz widział taki krajobraz, czyż może przystać na to, by żyć, nie widząc nic codziennie oprócz cegieł i bruku? Czy podobna istnieć na miejscu, gdzie siano można widzieć tylko w stajni, roślinność tylko na dachu, krowy tylko na sztydach? Czyż można wlec życie w takim miejscu? Pytam się, czy można wytrzymać takie istnienie?

Przez długi czas zadając sobie, obyczajem wszystkich wielkich poetów, takie pytanie w samotności, pan Pickwick wysunął głowę za okno i spojrzał dokoła.

Ostry, a zarazem przyjemny zapach siana tylko co skoszonego dochodził aż do niego. Tysiączne kwiaty w ogrodzie napełniały balsamiczną wonią powietrze; zielona łąka błyszczła od rosy i każde źdźbło połyskiwało, poruszone lekkim wietrzykiem. Wreszcie ptaki śpiewały, jakby każda łąka poranna była dla nich źródłem natchnienia. Przypatrując się temu pan Pickwick wpadł w słodką i tajemniczą zadumę.

– Hej! hej!

Dźwięki te przywoływały go do rzeczywistego życia. Wzrok jego zwrócił się nagle w prawo i nic nie odkrył. Więc skierował się w lewo, ale na próżno błędził w przestrzeni. Śmiałym okiem zmierzył firmament, ale nie stamtąd go wołano. Na koniec uczynił to, co pospolity umysł uczyniłby od razu: spojrzał prosto w ogród i zobaczył pana Wardle'a.

– Jak się pan miewa? – zapytał wesoły gospodarz. – Piękny poranek, prawda? Cieszę się, żeś pan wstał tak rano. Ubieraj się pan, czekam tu na niego.

Pan Pickwick nie potrzebował, by go zapraszano dwa razy. W dziesięć minut był gotów i stał już przy starym gentlemanie.

– Co to będzie? – zapytał widząc, że gospodarz uzbrojony jest w strzelbę, a druga leży tuż koło niego na trawie.

– Przyjacieli pański i ja – odrzekł pan Wardle – chcemy przed śniadaniem strzelać do wron. Jest on doskonałym strzelcem, prawda?

– Słyszałem, że mówił o tym, ale nigdy nie widziałem, by co trafił.

– Ale dlaczego nie przychodzi? – zapytał pan Wardle i zawołał: – Joe!Joe!

Wkrótce ujrano wychodzącego z domu pyzatego chłopca, który pod orzeźwiającym wpływem poranka był zaspany tylko w trzech czwartych.

– Idź, zawołaj gentlemana – rzekł mu jego pan. – I powiedz mu, że znajdzie mnie z panem Pickwickiem w lasku. Pokażesz mu drogę, rozumiesz?

Joe oddalił się, by wykonać to zlecenie, a pan Wardle, niby jaki drugi Robinson Cruzoe, wyprowadził pana Pickwicka za ogród, zabrawszy z sobą obie strzelby.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł po kilku chwilach, zatrzymując się wśród alei. Było to zresztą zbyteczne wyjaśnienie, gdyż ciągle krakanie biednych wron najdokładniej wskazywało miejsce ich pobytu.

Stary gentleman położył jedną strzelbę na ziemi, a drugą nabił...

– A otóż i nasi! – rzekł pan Pickwick. Rzeczywiście z daleka ukazali się pan Tupman, pan Snodgrass i pan Winkle, gdyż Joe, nie wiedząc, którego mianowicie z tych trzech gentlemanów miał sprowadzić, osądził w swej głębokiej mądrości, iż dla zapobieżenia omyłkom najlepiej będzie, gdy zawoła wszystkich trzech razem.

– Chodźże pan, chodź! – wołał stary gentleman na pana Winkle'a – Taki znakomity strzelec, jak pan, powinien być gotów od dawna, nawet i dla tak drobnej zwierzyny.

Pan Winkle odpowiedział wymuszonym uśmiechem i strzelbę dla niego wyznaczoną podniósł z wyrazem twarzy, który by przystał raczej wronie obdarzonej darem jasnowidzenia i dręczonej myślą o gwałtownym bliskim zgonie. Może to była obojętność, ale w każdym razie niezwykle podobna do upadku na duchu.

Stary gentleman dał znak i dwóch obdartych chłopaków zaczęło z wolna gramolić się na drzewo.

– Po co te dzieci? – spytał ostro pan Pickwick. Był nieco zaniepokojony. Nie był w stu procentach pewny, czy to nie panująca na wsi nędza, o której tyle słyszał, zmuszała te biedne dzieci, by służyły za cel niedoświadczonym sportowcom.

– Do rozpoczęcia zabawy – odrzekł ze śmiechem pan Wardle.

– Do czego? – nalegał pan Pickwick.

– Mówiąc po prostu, do płoszenia wron.

– Tylko tyle?

– Zadowolony pan?

– Najzupełniej.

– Doskonale. Mam zaczynać?

– Jeżeli pan łaskaw – rzekł pan Winkle rad, że zyskuje na czasie.

– Usuńcie się nieco! No! Teraz!...

Jeden z chłopców krzyknął, potrząsając gałąź, na której znajdowało się gniazdo, i w tej samej chwili około tuzina młodych wron, którym przerwano hałaśliwą rozmowę, rzuciło się naprzód, by zobaczyć, o co chodzi. Stary gentleman w odpowiedzi wystrzelił. Jeden z ptaków upadł, inne odleciały.

– Podnieś, Joe – rzekł stary gentleman. Pyzaty chłopak wystąpił, a twarz jego wypogodziła się niby do uśmiechu, niejasne zarysy pasztetu z młodych wron zamigotały mu w wyobraźni.

Podniósłszy ptaka, już się śmiał rzeczywiście, bo ten był tłusty i pulchny.

– Teraz kolej na pana, panie Winkle – rzekł stary gentleman, nabijając strzelbę po raz drugi. – Strzelaj pan!

Pan Winkle wystąpił naprzód i zmierzył. Pan Pickwick i jego towarzysze cofnęli się mimowolnie, pewno dla ukrycia się przed gradem wron, które niezawodnie padną od niszczącego śrutu ich towarzysza. Nastąpiła uroczysta chwila, potem krzyk, trzepotanie skrzydeł, lekki szcęk...

– A to co? – zawołał stary gentleman.  
– Nie wystrzeliło? – zapytał pan Pickwick.  
– Nie wypaliło – odrzekł pan Winkle, który strasznie pobladł, zapewne wskutek doznanego zawodu.

– To szczególne – rzekł stary gentleman biorąc strzelbę. – To się nigdy nie wydarzyło. Ale cóż to? Nie widzę ani śladu pistona!

– No, proszę! – zawołał pan Winkle – zupełnie o nim zapomniałem...

Poprawiono to drobne przeoczenie. Pan Pickwick znów usunął się, pan Tupman stanął za drzewem, pan Winkle zrobił z determinacją krok naprzód, oburącz przytrzymując strzelbę. Chłopiec krzyknął: zerwały się cztery wrony, pan Winkle podniósł broń; rozległ się strzał, a potem krzyk, ale w niczym niepodobny do krakania wrony. Oto pan Tupman uratował życie wielu niewinnym ptakom, przyjąwszy we własne ramię część naboju. Trudno opisać zamieszanie, jakie nastąpiło wskutek tego; trudno opowiedzieć, jak pan Pickwick w pierwszych chwilach wzruszenia nazwał pana Winkle'a nędznikiem, jak pan Tupman leżał rozciągnięty na trawie, jak pan Winkle, trwogą zdjęty, ukląkł przy nim, jak pan Tupman w gorączce wymieniał rozmaite imiona kobiet, otwierał to jedno, to drugie oko i znowu obydwaj zamykał. Scena ta tak trudna jest do opisanego, jak trudne jest przedstawienie samego nieszczęśliwego rannego, stopniowo przychodzącego do siebie, widzącego, jak mu przewiązują ranę chustkami, wolnym krokiem powracającego do domu i wspartego na ramionach swych zaniepokojonych przyjaciół.

Panie znajdowały się na progu, oczekując przybycia panów na śniadanie. Ponad wszystko jaśniała ciotka-panna, uśmiechała się i dawała znaki, by szli prędzej. Widocznie nie wiedziała o tym, co zaszło. Biedna istota! Są chwile, w których nieświadomość jest prawdziwym dobrodziejstwem. Zbliżano się coraz bardziej...

– Co się stało temu małemu staruszkowi? – zapytała półgłosem miss Izabela Wardle. Ciotka-panna nie zwróciła uwagi na te wyrazy, sądziła, że chodzi o pana Pickwicka, ponieważ w jej oczach pan Tracy Tupman był młodzieńcem. Patrzyła na jego lata przez szkła pomniejszające.

– Tylko się nie trwóście – rzekł pan Wardle do córek. Małe grono mężczyzn tak okrzykiwało pana Tupmana ze wszystkich stron, iż nie można było jeszcze rozpoznać natury wypadku.

– Nie przestraszcie się! – zawołał znowu pan Wardle o kilka kroków bliżej.

– Co się stało? – krzyknęły razem wszystkie damy.

– Panu Tupmanowi zdarzył się mały przypadek, to wszystko. Ciotka-panna krzyknęła przeraźliwie, zamknęła oczy i padła na wznak na ręce dwóch młodych miss.

– Kropcie jej twarz zimną wodą! – zawołał stary gentleman.

– Nie! Nie! – szepnęła ciotka-panna. – Już się czuję lepiej. Bello... Emilio... chirurga! Raniony! Czy żyje?... Ach! ach! ach!

I ciotka-panna, znów krzyknąwszy przeraźliwie, dostała ataku nerwowego nr 2.

– Uspokój się, pani – rzekł pan Tupman, do łez prawie rozczulony takim współczuciem dla jego cierpień. – Droga pani, uspokój się!

– To jego głos! – zawołała ciotka-panna i gwałtowne symptomy ataku nerwowego nr 3 nastąpiły bezzwłocznie.

– Niech się pani nie przeraża, błagam cię, najdroższa pani – rzekł znowu pan Tupman rzewnym głosem. – Jestem bardzo lekko raniony, zapewniam panią.

– Więc pan żyje? – zawołała histeryczna ciotka. – O, powiedz pan, żeś nie umarł!

– Nie pleć głupstw, Rachelo! – zawołał pan Wardle, trochę może zbyt brutalnie, jak na tę pełną poezji scenę. – Po cóż u diabła ma mówić, że nie umarł?

– Nie, nie umarłem...

A do ucha dodał: – O! Miss Rachelo!



Wzruszona dama jego myśli podała mu rękę. Razem weszli do salonu. Pan Tracy Tupman przycisnął lekko do ust rękę, której nie cofnięto, a potem padł na kanapę.

– Czy panu niedobrze? – zapytała miss Rachela znowu zaniepokojona.

– Nic, to nic, zaraz będzie lepiej – odrzekł pan Tupman, zamykając oczy.

– Śpi – szepnęła ciotka-panna (od dwudziestu sekund pan Tupman miał zamknięte oczy). – Śpi, drogi Tupman.

Pan Tupman skoczył na równe nogi.

– O! Powtórz, pani, raz jeszcze te słowa – zawołał. Kobieta zadrżała.

– Przecież pan ich nie słyszał – rzekła wstydliwie.

– O! Słyszałem – odrzekł pan Tupman z ogniem. – Powtórz, pani, te słowa, jeżeli chcesz, bym wyzdrowiał, powtórz!

– Ts!... – zawołała dama.

Pan Tracy Tupman rzucił się znów na kanapę. Do pokoju wszedł pan Wardle z chirurgiem.

Obejrzano ramię, przewiązano ranę, uznawszy ją za bardzo lekką. Po zaspokojeniu w ten sposób umysłów zajęto się śniadaniem. Wesołość znów zajaśniała na wszystkich twarzach. Tylko pan Pickwick był milczący i zamyślony. Wątpliwość i nieufność malowały się w jego wyrazistych rysach, jego wiara w pana Winkle'a była wstrząśnięta porannymi wypadkami.

– Czy gra pan w krykieta? – zapytał nagle pan Wardle pana Winkle'a.

W każdym innym wypadku pan Winkle odpowiedziałby twierdząco, ale rozumiejąc delikatność swego położenia odpowiedział skromnie:

– Nie.

– A pan? – wesoło zapytał pan Snodgrass starca.

– Dawniej grywałem, teraz już nie. Chociaż jednak nie gram, ależę zawsze do klubu.

– Wszak to dziś podobno ma być rozegrana wielka partia między dwoma przeciwnymi obozami: Muggleton i Dingley Dell? – rzekł pan Pickwick.

– Tak jest – odpowiedział gospodarz – pójdziemy tam, co?

– Owszem – odrzekł pan Pickwick – lubię bardzo przypatrywać się zabawom, którym można oddawać się bez niebezpieczeństwa i przy których niezręczność ludzka nie naraża życia istot podobnych sobie.

To rzekłszy pan Pickwick zrobił wymowną pauzę i ostro spojrzął na pana Winkle'a, który nie mógł bez drżenia wytrzymać przenikliwego wzroku swego mentora. Pan Pickwick mówił dalej:

– Zdaje mi się, iż najwłaściwiej będzie powierzyć naszego rannego przyjaciela opiece dam.

– Nie możecie umieścić mnie w lepszych rękach – rzekł pan Tupman.

– Niepodobna! – dodał pan Snodgrass. Ułożono się więc tak, że pan Tupman pozostanie w domu pod dozorem dam, a męska część towarzystwa pod dowództwem pana Wardle'a pójdzie popatrzeć na walkę, która wyrwała Muggleton z ospałości i napełniła Dingley Dell gorączkowym wzruszeniem.

Było tylko dwie mile do tego miejsca. Droga szła pomiędzy cienistymi drzewami. Rozmowa toczyła się głównie o pięknych krajobrazach ukazujących się kolejno, a pan Pickwick, znalazłszy się na wielkiej ulicy w Muggleton, żałował prawie, że podróż trwała tak krótko.

Wszystkie osobistości, których geniusz obdarzony jest jakimi takimi wiadomościami z geografii, wiedzą niewątpliwie, iż miasto Muggleton posiada radę miejską, burmistrza, obywateli i wyborców, zażywających przez parlament określonych przywilejów korporacji. Ktokolwiek by zaś zechciał przejrzeć odezwy burmistrza do mieszkańców lub adresy mieszkańców do burmistrza, lub burmistrza i mieszkańców do rady miejskiej, lub burmi-

strza, mieszkańców i rady miejskiej do parlamentu, ten dowiedziałby się z nich o tym, co by powinien był dawno wiedzieć, a mianowicie, że Muggleton jest miastem starożytnym i lojalnym, łączącym gorliwość dla zasad chrystianizmu ze stałym przywiązaniem do ustaw handlowych. Na dowód tego burmistrz, rada miejska i inni mieszkańcy w rozmaitych czasach przedstawili sześćdziesiąt osiem petycji o zezwolenie na sprzedaż beneficjów

kościelnych, osiemdziesiąt sześć petycji o wzbronienie sprzedaży ulicznej w dniu niedzielnym, tysiąc czterysta dwadzieścia petycji o zniesienie handlu niewolnikami w Ameryce i takąż samą ilość petycji przeciw wszelkiemu mieszaniu się prawodawstwa do spraw przeciążania dzieci pracą w fabrykach angielskich.

Pan Pickwick, znalazłszy się na wielkiej ulicy tego świetnego grodu, spoglądał na sceny rozciągające się przed jego oczami z ciekawością połączoną z zainteresowaniem.

Rynek miał kształt czworoboku, w którego środku wznosiła się wielka oberża. Ogromny jej sztyl przedstawił przedmiot bardzo zwyczajny w dziedzinie sztuk pięknych, ale niezmiernie rzadko spotykany w naturze, a mianowicie niebieskiego lwa z trzema łapami w powietrzu, kołyszącego się na środkowym pazurze czwartej łapy. W pobliżu widać było biuro towarzystwa ubezpieczeń od pożarów i lombard, magazyny handlarza zbożem i handlarza płótnem, sklep siodlarza, handlarza wódek, korzennika i sklep z obuwem. Ten ostatni odznaczał się tym, że był przystosowany do sprzedawania kapeluszy, czapek, ubrania, bawełnianych parasoli i rozmaitych pożytecznych wiadomości. Stał tu prócz tego mały dom z czerwonej cegły, z niewielkim brukowanym podwórzem, o którym każdy wiedział, że należy do adwokata. Był tam inny jeszcze dom, także z czerwonej cegły, nad którego drzwiami zawieszona blacha miedziana bardzo czytelnym pismem objaśniała, że dom ten należy do chirurga. Kilku młodych ludzi szło na plac, gdzie miano grać w krykieta, a dwóch czy trzech kupców, stojących na progu swych sklepów, widocznie miało wielką chętkę udać się w to samo miejsce, co zresztą, według wszelkich pozorów, mogli zrobić nie tracąc wielkiej liczby kupujących.

Pan Pickwick już się był zatrzymał, by robić spostrzeżenia, które potem zamierzał spisać, ale ponieważ towarzysze jego zeszli z głównej drogi, pośpieszył wraz z nimi na plac boju. Tu, oprócz przyrządów do gry, znajdowały się dwa namioty mające służyć za miejsce wypoczynku i posiłku dla stron wojujących. Ale gra jeszcze nie rozpoczęła się. Dwaj czy trzej dingleydellczy i tylu muggletonczyków zabawiało się przerzucaniem od niechcenia piłek z ręki do ręki. Kilku innych jegomościów, ubranych jak oni w słomiane kapelusze, flanelowe kurtki i białe spodnie (strój ten upodabniał ich do amatorów-mularzy), przechadzało się przed namiotem, ku któremu pan Wardle poprowadził swe towarzystwo.

Kilka tuzinów „Jak się masz?” powitało starego gentlemiana; jednocześnie nastąpiło generalne podniesienie kapeluszy słomianych z widocznie zaraźliwym pochyleniem flanelowych kurtek, gdy pan Wardle przedstawił swych gości jako gentlemanów z Londynu, pragnących gorąco być obecnymi przy uroczystościach dnia tego, które, nie wątpi o tym, zyskają ich uznanie.

– Sądzę, że najlepiej będzie, gdy panowie pójdą pod namiot – rzekł ogromnie tłusty mężczyzna, którego ciało zdawało się być olbrzymią półsztuką flaneli, nawiniętą na parę poduszek.

– Tam będzie panom nierównie wygodniej – dodał inny gentleman, tak potężnych jak pierwszy rozmiarów i podobny do drugiej półsztuki tejże flaneli.

– Panowie bardzo łaskawi – odrzekł pan Pickwick.

– Tędy – zaczął znów stary gentleman – tu najlepsze miejsce. – I poszedł naprzód, sapiąc jak koń dychawiczny.

– Pyszna gra – szlachetne zajęcie – doskonałe ćwiczenie – wyborne!

Takie okrzyki doszły uszu pana Pickwicka, gdy wchodził pod namiot, a pierwszym przedmiotem, który ukazał się jego oczom, był jego przyjaciel z dyliżansu w Rochester, te-

raz perorujący z zapalem ku niemałemu zadowoleniu i zbudowaniu wybranego kółka elity Muggleton. Ubrany był trochę lepiej i nosił buty. Ale to był nieomylnie on.

Nieznajomy natychmiast poznał swych przyjaciół. Podbiegł, schwycił za rękę pana Pickwicka, zaciągnął go na krzesło ze zwykłą sobie żywością, gadając bez przerwy, jakby urządzenie tej zabawy było jego dziełem i zasługą.

– Tędy! Tędy! Będzie tu siarczyście wesoło! Kadzie piwa – góry wołowiny – beczki musztardy – świetny dzień – siadaj pan – rozgość się – cieszę się, że pana widzę – bardzo się cieszę.

Pan Pickwick usiadł, panowie Winkle i Snodgrass poszli również za wskazaniem swego tajemniczego przyjaciela. Pan Wardle oglądał go z milczącym zdumieniem.

– Pan Wardle, nasz przyjaciel – rzekł pan Pickwick do nieznanego.

– Przyjaciel panów? – wykrzyknął nieznajomy. – O, kochany panie! Jakże się pan ma? Przyjaciele naszych przyjaciół są... Niechże uściskną pańską dłoń!

Wygłaszając te frazesy nieznajomy pochwycił rękę pana Wardle'a z ogniem dawnej życzliwości, potem cofnął się parę kroków, jakby chciał lepiej przypatrzeć się jego twarzy i postawie, potem znów uściskał pana Wardle'a jeszcze serdeczniej niż za pierwszym razem.

– Skąd się pan tu wziął? – zawołał pan Pickwick z uśmiechem, w którym życzliwość walczyła ze zdziwieniem.

– Skąd? Mieszkam „Pod Koroną” w Muggleton. Spotkałem towarzystwo. Flanelowe kurtki – białe pantalony – butersznyt – smażone cynadry – dzielni chłopcy – dzielni!

Pan Pickwick znał dość dobrze stenograficzny styl nieznanego, by wywnioskować z tej gadaniny, szybkiej i bez związku, że w ten czy ów sposób zaznajomił się z muggietończykami i że następnie, także we właściwy sobie sposób, udało mu się otrzymać zaproszenie. Zadowolony swą ciekawością pan Pickwick poprawił okulary i zaczął przypatrywać się grze, która już się zaczęła.

Muggleton miało pierwszeństwo, a zainteresowanie było ogromne, gdyż dwaj najznakomitsi gracze ze słynnego klubu w Muggleton: pan Dumbkins i pan Podder, stanęli uroczyście z kijami w ręku przy swych bramkach. Pan Luffey, duma i ozdoba Dingley Dell, wybrany został na przeciwnika straszliwego Dumbkinsa, a pan Struggles miał stawić czoło niezwyciężonemu Podderowi. Inni gracze rozeszli się po placu dla łapania piłek i każdy z nich przyjął odpowiednią postawę, to jest oparł ręce o kolana i pochylił się jak do zabawy, gdy chłopcy skaczą jeden przez drugiego. Wszyscy klasyczni gracze tak stają. Panuje nawet ogólne przekonanie, iż w innej postawie niepodobna dojrzeć piłki.

Sędziowie ustawili się za bramkami, liczący punkty gotowi byli do zapisywania. Nastąpiła głęboka cisza. Pan Luffey cofnął się o kilka kroków w tył poza bramkę i przez kilka sekund trzymał piłkę pod prawym swym okiem. Dumbkins czekał na piłkę ze szlachetną dufnością i śledził poruszenia Luffeya.

– Baczność! – krzyknął pan Luffey i w tejże chwili piłka jak błyskawica wyleciała mu z ręki. Roztropny Dumbkins pilnował się: chwycił ją na koniec kija i przerzucił ponad głowami otaczających graczy, którzy byli właśnie pochyleni dość głęboko, by pozwolić piłce przelecieć nad sobą.

– Punkt – punkt – jeszcze – rzucić – dalej – spalony – drugi – nie – tak – nie – jest, jest.

To były okrzyki, które nastąpiły po uderzeniu, dzięki któremu muggietończykom zapisano dwa punkty.

Podder uzbierał dość laurów, by ustroić nimi siebie i cały Muggleton. Przytrzymywał podejrzane piłki, przepuszczał złe, chwycił dobre i odbijał je w rozmaitych kierunkach. Inni gracze byli zgorączkowani i zmęczeni; rzucający piłki zmieniali się i rzucali je, aż im ręce opadały; tylko Dumbkins i Podder byli nie zmęczeni. Kiedy który ze starszych panów próbował zatrzymać piłkę, przewijała mu się ona między nogami lub wymykała z rąk. Gdy usiłował ją schwycić który ze zręcznych graczy, piłka uderzyła go w nos i z podwójną mo-

cą odskakiwała wysoko, a oczy nieszczęśliwca napelniały się łzami, na czoło zaś występował pot przerażenia. Podług rachunku Dumbkinsa i Poddera, Muggleton miał czterdzieści pięć, gdy tablica dingleydelczyków była biała jak ich twarze; różnica była zbyt wielka, by można było myśleć o odegraniu się. Na próżno impetyczny Luffey, na próżno roznamiętniony Struggles robili wszystko, co umiejętność i wprawa dyktowały, by zdobyć pole – nic nie pomagało. Dingley Dell zmuszone było uznać Muggleton za zwycięzcę.

Przez cały ciąg gry nieznajomy w zielonym fraku jadł, pił i gadał bez przerwy. Przy każdym trafnym rzucie wyrażał się o grających z pochwałą. Ale też za każdym razem, gdy gracz piłki pochwycić nie mógł, piorunował przeciw niezręcznemu. „Ach, niezdara... Niezgrabny!” itp. wykrzykniki przekonywały obecnych, że nieznajomy był najnieomylniejszym sędzią w szlachetnej grze w krykieta.

– Świetna partia! Wybornie zagrana! Niektóre rzuty doskonałe – rzekł, gdy grę skończono i obie strony wtoczyły się do namiotu.

– Czy pan grywa? – zapytał pan Wardle, którego bawiła ta gadatliwość.

– Czy grywam?! Ja myślę – tysiące razy ~ nie tutaj – w Indiach Zachodnich – bardzo podniecające – gorąca robota – bardzo.

– Klimat tamtejszy wydaje mi się za ciepły na takie przedsięwzięcia – rzucił uwagę pan Pickwick..

– Ciepły, gorący – wrzący – rozpalony do czerwoności. Grałem kiedyś – o zakład – z przyjacielem pułkownikiem – Sir Tomaszem Blazo – który z nas zrobi najwięcej rund. – Wygrywam – pierwsza tura – siódma rano – sześciu krajowców do pomocy – zaczynam – upał wzmaga się – wszyscy krajowcy mdleją – wynoszą ich – świeża szóstka. – Blazo ugotowany – dwóch krajowców podtrzymuje go – nie może dotrzymać mi placu – mdleje – wynoszą go – nie chce ustąpić – wiemy adiutant Guanko Samba – on jeden na placu – słońce pali – kije do piłek zwęglone – piłki opalone na brązowo – pięćset siedemdziesiąt rund – trochę wyczerpujące – Guanko gra ostatkiem sił – kąpiel – idę na obiad.

– A co się stało z tym panem, jakże mu?.. – zapytał jakiś stary gentleman.

– Z kim? Z pułkownikiem Blazo?

– Nie, z tym drugim gentlemanem.

– Guanko Samba?

– Tak.

– Biedny Guanko! Nigdy już nie przyszedł do siebie. Skończył grę i skończył życie, umarł, panie.

Tu nieznajomy zasłonił sobie twarz kuflem piwa, ale czy dla przełknięcia tego, co kufel w sobie zawierał, czy dla ukrycia wzruszenia, tego nigdy nie mogliśmy ustalić. Wiemy tylko, że po chwili zatrzymał się nagle, westchnął długo i głęboko, potem z niepokojem spojrzął na dwóch głównych członków klubu z Dingley Dell, którzy zbliżywszy się do pana Pickwicka powiedzieli:

– Idziemy na skromną przekąskę „Pod Błękitnego Lwa”.

Spodziewamy się, że zechce pan przyjąć w niej udział ze swoimi przyjaciółmi.

– A, rozumie się – rzekł pan Wardle – w liczbie naszych przyjaciół liczymy i pana...

I zwrócił się ku nieznajomemu.

– Jingle – odrzekła ta uniwersalna osoba. – Alfred Jingle, Esq. z Niemanic.

– Przyjmuję zaproszenie z wielką przyjemnością – odpowiedział pan Pickwick.

– I ja także! – odpowiedział pan Alfred Jingle, biorąc pod jedną rękę pana Pickwicka, a pod drugą pana Wardle’a i szepcząc do ucha panu Pickwickowi:

– Pyszny obiad! Zimny, ale doskonały. Zaglądałem tam dziś rano: drób, pasztety i reszta. Bardzo mili ludzie, a przy tym grzeczni, bardzo grzeczni.

Towarzystwo małymi grupami poszło przez miasto i w kwadrans potem wszyscy siedzieli już w wielkiej sali hotelu „Pod Błękitnym Lwem”.

Pan Dumbkins sprawował urząd przewodniczącego, a pan Luffey wiceprezydenta.

Panował tam wielki zgiełk głosów i szcęk talerzy, noży i widelców. Wielka bieganina trzech obciążonych półmiskami garsonów i szybkie znikanie zawartości półmisek na stole; do wzmożenia hałasu wesoly pan Jingle przyczyniał się tyleż, co przynajmniej sześciu przeciętnych biesiadników. Gdy każdy zjadł tyle, ile mógł, sprzątnięto obrusy i postawiono na stole deser, butelki i szklanki. Służba usunęła się, żeby „sprzątnąć”, innymi słowy – zagarnąć na prywatny użytek i pożytek wszystko, co zostało zjadła i napojów, a na co mogli położyć rękę.

Wkrótce słychać było tylko gwar rozmów i wybuchy śmiechu. Między innymi znajdował się tam pewien mały, nadęty człowieczek, mający minę taką, jakby chciał powiedzieć: „nie mów nic, bo ci zaprzeczę”, ale który do tej pory zachowywał się bardzo spokojnie. Czasami tylko, gdy rozmowa przycichła, spoglądał dokoła, jak gdyby miał wielką ochotę wygłosić coś zajmującego, i odkasliwał z niewysłowioną godnością. Wreszcie, gdy zapanaowała względna cisza, mały człowieczek wykrzyknął donośnym i uroczystym głosem: – Panie Luffey!

Wszyscy umilkli. Osoba zainteresowana odrzekła wśród głębokiej ciszy:

– Co, panie?

– Mam zamiar przemówić kilka słów do panów, jeżeli pan zechce wezwać ich do napełnienia szklanek. Pan Jingle tonem protekcyjnym zawołał:

– Słuchajcie! Słuchajcie!

Wyrazy te powtórzyło chórem całe towarzystwo. Wiceprezydent, przybrawszy minę poważnego człowieka, powiedział:

– Pan Staple!

– To, co chcę powiedzieć – rzekł mały człowieczek, powstając – zwracam do pana, nie do naszego czcigodnego prezydenta, ponieważ nasz czcigodny prezydent jest pod wieloma względami, mogę nawet powiedzieć – w większej części, przedmiotem tego, co mam powiedzieć i mogę powiedzieć, tego, co mam... tego, co mam...

– Wykazać – dodał pan Jingle.

– Tak, wykazać – zaczął mały człowieczek – dziękuję memu szanownemu przyjacielowi, jeśli ten pozwoli mi tak się nazwać (cztery – Słuchajcie! – i jedno – Najchętniej! – ze strony pana Jingle’a). Mogę przypisać sobie ten zaszczyt, iż powiększam o jedną jednostkę liczbę ludności Muggleton. Ale wyznam otwarcie, panie, że nie pragnę tego zaszczytu. Powiem dlaczego, panie. (Słuchajcie!) Chętnie przyznaję Muggleton wszystkie zalety, wszystkie zaszczyty, jakich żądać może; są one zbyt liczne i zanadto znane, by trzeba było je wymieniać. Ale, panie, gdy pamiętamy, że Muggleton dał życie takiemu Dumbkinsowi i takiemu Podderowi, to nie zapominajmy, że Dingley Dell może się szcycić wydaniem takiego Luffeya i takiego Struggiesa. (Hałaśliwe oklaski). Niech nikt mnie, panie, nie posądza o chęć przyćmienia sławy gentlemanów, których wymieniłem na pierwszym miejscu; zazdroszczę im przyjemności, jakiej doznawać muszą w tym dniu pamiętnym. (Oklaski). Wszyscy panowie znacie odpowiedź daną Aleksandrowi Wielkiemu przez indywiduum, które, że użyję pospolitego wyrażenia, mieszkało w beczce: „Gdybym nie był Diogenesem, chciałbym być Aleksandrem”. Sądzę, że ci panowie powinni by powiedzieć: „Gdybym nie był Dumbkinsem, chciałbym być Luffeyem, gdybym nie był Podderem, chciałbym być Strugglesem”. (Entuzjazm). Ale, gentlemani z Muggleton, czyż nasi współobywatele odznaczają się tylko w grze w krykieta? Czyście nigdy nie słyszeli nazwiska Dumbkina, przytaczanego jako przykład wytrwałości? Czyście nie przywykli łączyć nazwiska Poddera z pojęciem prawa własności? (Wielkie oklaski). Walcząc o wasze prawa, waszą wolność, wasze przywileje, czyście nigdy nie byli doprowadzeni, choćby na chwilę, do zwątpienia i

rozpaczy? A gdy upadaliście na duchu, czyż imię Dumbkinsa nie ożywiało w waszych sercach ognia nadziei? Jedno słowo tego kolosalnego człowieka czyż nie nadawało jej takiego blasku, jakby nigdy nie gasła? (Wielkie oklaski). Panowie! Wzywam was, byście świetną aureolą oklasków otoczyli imiona Dumbkinsa i Poddera!

Tu mały człowieczek zamilkł, a towarzystwo poczęło okropnie hałasować i stukać, co z małymi przerwami trwało przez resztę wieczora... Pan Luffey i pan Struggles, pan Picwick i pan Jingle byli kolejno przedmiotem pochwał i każdy z nich kolejno dziękował za zaszczyt.

Rozmówczani w szlachetnym przedsięwzięciu, któremu poświęciliśmy się, doznaliśmy niczym niewysłowionego uczucia dumy i bylibyśmy pewni nieśmiertelności, gdybyśmy byli w stanie dać naszym czytelnikom najslabsze streszczenie tych mów. Jak zwykle pan Snodgrass robił wiele notat i nie ulega wątpliwości, iż moglibyśmy w nich znaleźć mnóstwo niesłuchanie ważnych wskazówek, gdyby ognista wymowa oratorów, czy też wpływ wina, nie sprawiły, że ręka tego gentlemana trzęsła się do tego stopnia, iż pismo stało się zupełnie nieczytelne, a styl ciemny. Uzbroiwszy się w wielką cierpliwość, zdołaliśmy zaledwie wyczytać niektóre wyrazy, nieco podobne do nazwisk mówców. Rozpoznaliśmy również szkic piosenki (zapewne śpiewanej przez pana Jingle'a), w której w krótkich odstępach rymują się z sobą wyrazy: wina i przyczyna, troski i boski. Sądzymy również, że pod koniec notat wyczytaliśmy kilka aluzji do resztek pieczeni i smażonych kurcząt; potem wyróżniliśmy wyrazy: „zimny”, „grog”. Ale ponieważ hipotezy, które moglibyśmy budować na tych wskazówkach, nie miałyby nigdy innej wartości nad przypuszczenia, więc nie chcemy robić domysłów, jakie się nam nasuwają.

Dlatego też powracamy do pana Tupmana, poprzestając na nadmienieniu, że w kilka minut po północy słyszano, jak połączone znakomitości Dingley Dellu i Muggletonu wyśpiewywały energicznie tę znaną a poetyczną piosenkę:

*Dopiero rankiem przyjdziemy,  
I dopiero w dzień zaśniemy! Dopiero rankiem przyjdziemy,  
I dopiero w dzień zaśniemy!  
Jutro rano z brzaskiem dnia,  
Aż z dnia brzaskiem jutro rano!*

## Rozdział ósmy

*jasno udowadniający, że koleje prawdziwej miłości nie zawsze bywają tak gładkie jak koleje żelazne*

Spokojna samotność Dingley Dell, obecność tylu osób płci pięknej, pomoc i serdeczna opieka, jakie okazywano panu Tupmanowi – wszystko to wpłynęło na rozwinięcie zarodka i wzrost słodkiego uczucia, które natura zasiała w jego łonie, a które zdawało się obecnie skupiać na jednym miłym przedmiocie. Młode panny były piękne, obejście ich ujmujące, charaktery nadzwyczaj miłe, ale w ich latach nie można mieć pretensji do godności ruchów, do postawy *noli me tangere*, do majestatu wzroku, który zdaniem pana Tupmana wyróżniał ciotkę-pannę wśród wszystkich kobiet, na jakie zerkał kiedykolwiek. Widoczne było, że dusze ich są sobie pokrewne, że w ich naturach było coś sympatyzującego z sobą, jakaś tajemnicza zgodność uczuć. Imię ciotki-panny wyrwało się pierwsze z ust pana Tupmana, gdy ranny upadł na trawę; rozzwierający jej krzyk najpierw obił mu się o uszy, gdy go prowadzono do domu. Ale czy wzruszenie to było wynikiem zwykłej kobiecej czułości i wrażliwości, które by równie zamaifestować się mogły wobec każdego innego, czy też wyrwało je uczucie bardziej namiętne, gorętsze, które on jeden między śmiertelnikami zdołał rozbudzić w tym sercu? Takie to wątpliwości dręczyły umysł pana Tupmana, leżącogo na sofie, i takie to wątpliwości postanowił rozwiązać bezzwłocznie i raz na zawsze.

Był wieczór. Izabela i Emilia przechadzały się z panem Trundle'em; stara głucha dama usnęła w swym fotelu; jednostajne chrapanie pyzatego chłopca dolatywało z odległej kuchni; służące gapiły się przy bramie, flirtując w sposób bardzo pierwotny z kilkoma wiejskimi drągami. Interesująca para siedziała w salonie, na wszystko obojętna, marząc tylko o sobie, podobna do pary rękawiczek z jagnięcej skóry, razem złożonych i zwiniętych.

– Zapomniałam o moich biednych kwiatkach – szepnęła ciotka-panna.

– Niech je pani teraz podleje – odrzekł pan Tupman przekonywająco.

– Może wieczorne powietrze zaszkodzi panu? – szepnęła czule miss Rachela.

– Nie! Nie! – zawołał pan Tupman wstając. – Owszem, to mi pomoże. Pozwoli pani, bym jej towarzyszył?

Interesująca dama starannie poprawiła szarfę, na której zawieszona była ręka młodzieńca, i razem poszli do ogrodu.

W jednym z jego końców znajdowała się altana z kapryfolium, jaśminu i innych wonnych roślin, jeden z tych miłych przytułków, jakie właściciele ogrodów wnoszą dla wygody pajaków.

Ciotka-panna wzięła w altanie wielką konewkę i już zamierzała wyjść, gdy pan Tupman zatrzymał ją i posadził koło siebie na ławce.

– Miss Wardle – rzekł z westchnieniem.

Ciotkę-pannę opanowało tak mocne drżenie, że kamyczki znajdujące się przypadkowo w konewce poczęły stukać o dno, jak w grzechotce.

– Miss Wardle – powtórzył pan Tupman – pani jesteś aniołem.

– Panie Tupman! – zawołała Rachela poczerwieniawszy jak jej konewka.

– Tak – mówił dalej wymowny pickwickczyk – wiem o tym... aż nadto... na moje nie-szczęście.

– Wszystkie kobiety są aniołami, powiadają mężczyźni – odpowiedziała żywo Rachela.

– Więc czym jest pani? Do czego mam panią porównać? Gdzie jest kobieta podobna do pani? Gdzie znajdę takie rzadkie połączenie wysokich zalet i piękności? Gdzie mam szukać? Ach!

Tu pan Tupman zatrzymał się i uściskał rękę trzymającą za ucho szczęśliwą konewkę. Trwożliwa heroina odwróciła nieco głowę, mówiąc słabym głosem:

– Mężczyźni to tacy zwodziciele.

– Tak jest, ma pani słuszość – zawołał pan Tupman – ale nie wszyscy... istnieje jedna przynajmniej istota, która nigdy się nie zmieni! Istota, która by uważała się za szczęśliwą, gdyby poświęcić mogła całe swe życie uszczęśliwieniu pani. Istota ta, która żyje, patrząc na panią, oddycha tylko uśmiechem pani! Istota, która tylko dla pani znosi ciężkie brzemię życia!

– Czyżby istota taka istniała? – powiedziała dama.

– Może istnieć! – przerwał ognisty Tupman. – Istnieje! Oto ona, panno Wardle – i zanim dama zdążyła odgadnąć jego zamiary, upadł na kolana u jej stóp.

– Panie Tupman, wstań pan! – zawołała Rachela.

– Nigdy! – odpowiedział z mocą. – O! Rachelo! – I pochwycił jej rękę, która upuściła konewkę, i przycisnął ją do ust.

– O! Rachelo! Powiedz, że mnie kochasz!

– Panie Tupman – szepnęła młoda niegdyś osoba, odwracając głowę – zaledwie mam siłę odpowiedzieć panu... ale... ale pan mi nie jest obojętny.

Gdy pan Tupman usłyszał to słodkie wyznanie, natychmiast pośpieszył spełnić to, do czego go natchnęło namiętne wzruszenie i co każdy spełnia w podobnych okolicznościach (przynajmniej tak sądzimy, bo z tego rodzaju sprawami nie jesteśmy obeznani), zerwał się, objął kibić czulej dziewicy i wycisnął na ustach mnóstwo pocałunków. Po przyzwoitym oporze dama poddała się im tak biernie, iż nie wiadomo, ile by pan Tupman tych pocałunków nawyciskał, gdyby Rachela nagle nie drgnęła bez żadnej tym razem afektacji, i nie krzyknęła, przerażona:

– Panie Tupman! Widzą nas, podglądają!

Pan Tupman odwrócił się. Za nim stał pyzaty chłopiec, najzupełniej nieruchomo, wytrzeszczywszy na altankę wielkie, okrągłe oczy, ale z twarzą tak pozbawioną wszelkiego wyrazu, że najrzęczniejszy fizjonomista nie zdołałby dopatrzeć się w niej ani zdziwienia, ani ciekawości, ani żadnej z namiętności wzruszających serca ludzkie. Pan Tupman patrzył na pyzatego chłopca, pyzaty chłopiec patrzył na pana Tupmana, a im dłużej pan Tupman studiował kompletną nieruchomość jego rysów, tym mocniej przekonywał się, że zaspany młody człowiek nic nie widział albo też nie pojmował tego, co widział. W tym przekonaniu zapytał go z wielką stanowczością:

– Co tu robisz?

– Kolacja na stole, sir – brzmiała szybka odpowiedź.

– Od dawna tu jesteś? – spytał pan Tupman, patrząc na niego ostro.

– Przyszedłem przed chwilą – odrzekł pyzaty chłopiec.

Pan Tupman przyjrzał mu się badawczo. Chłopiec nie mrugnął okiem, twarz mu nie drgnęła.

Pan Tupman podał ramię ciotce-pannie i poszli ku domowi. Pyzaty chłopiec za nimi.

– Nie widział – szepnął pan Tupman.

– Nie! – powiedziała ciotka-panna.



Poza nimi dał się słyszeć lekki szmer, podobny do tłumionego śmiechu, pan Tupman żywo obrócił się. Nie... to nie mógł być pyzaty chłopiec. Na twarzy jego nie było śladu wesołości i w ogóle żadnego innego wyrazu oprócz wyrazu żarłoczności.

– Zapewne spał, idąc tu – szepnął pan Tupman.

– Nie ma najmniejszej wątpliwości – odrzekła ciotka-panna, po czym oboje poczęli się śmiać.

Jednak mylili się. Raz tylko w życiu letargiczny młodzieniec nie spał. Czuwał on, czuwał najzupełniej i wszystko widział.

Podczas wieczerzy nikt nie silił się na podtrzymanie rozmowy. Stara dama poszła spać, Izabela Wardle zajęła się wyłącznie panem Trundle'em, ciotka-panna Tupmanem, a myśli panny Emilii Wardle zdawały się być zajęte jakimś dalekim przedmiotem. Może błędziły około pana Snodgrassa.

Jedenasta i dwunasta godzina wybijały kolejno, a gentlemani nie wracali jeszcze z Muggletonu. Niepokój malował się na wszystkich twarzach. Może ich napadnięto i obrabowano?.. Czy nie należałoby wysłać im naprzeciw ludzi z latarniami? Czy może?.. Słuchajcie! Otóż i oni! Dlaczego tak się spóźnili? Jakies głosy nieznajome! Kto by to mógł być? Wszyscy rzucili się do kuchni, gdzie wylądowali wędrowcy, i od pierwszego rzutu oka poznali rzeczywisty stan rzeczy.

Pan Pickwick z rękami w kieszeniach i kapeluszem nasuniętym na bakier, oparty o fotel, kołysząc głową od prawej strony ku lewej, produkował całą serię uśmiechów najśłodszych i najbardziej uprzejmych w świecie, ale bez widocznego powodu. Stary pan Wardle, z twarzą szczególnie rozpromienioną, ścisnął rękę nieznajomego gościa, bełkocząc coś o wiecznej przyjaźni. Pan Winkle, trzymając się skrzynki zegara, przywoływał słabym głosem zemstę niebios na każdego, kto by mu doradzał iść spać. Na koniec pan Snodgrass osunął się na krzesło, a każdy rys jego wyrazistej twarzy nosił piętno najokropniejszej i najgłębszej rozpaczki, jaka tylko może się malować w rysach ludzkich.

– Co się stało? – zapytały trzy damy.

– Nic, nic – odrzekł pan Pickwick – wszyscyśmy... w dobrym... stanie, prawda... Wardle?.. żeśmy... w dobrym stanie?..

– Tak, w niezłym – odrzekł gospodarz. – Moje kochane... Oto mój przyjaciel, pan Jingle, przybył... w odwiedzinach...

– Pani!... – zapytała Emilia z niepokojem – co się stało panu Snodgrassowi?

– Nic zupełnie – odrzekł pan Jingle. – Obiad w klubie – wesołe towarzystwo – wyborne śpiewki – stare porto – stare bor-deaux – dobre, bardzo dobre. Wino – pani – wino.

– To nie wino – wybełkotał pan Snodgrass poważnym tonem – to łoś. (Trzeba wiedzieć, że w podobnych wypadkach to nigdy nie jest wino).

– Czy nie lepiej, żeby panowie poszli spać? – powiedziała pokojówka Emma. – Po dwu służących odnieś każdego z panów do jego pokoju.

– Nie pójdę spać! – zawołał pan Winkle z mocą.

– Żaden żywy człowiek nie odnieś mnie! – rzekł nieustraszony pan Pickwick, a potem znów począł się uśmiechać jak przedtem.

– Hura! – wybełkotał słabo pan Winkle.

– Hura! – powtórzył pan Pickwick, po czym zdjął kapelusz i rozpląszczył go na podłodze, a pochwywszy okulary cisnął je na kuchnię; po dokonaniu tego szczęśliwego żartu począł się znów śmiać jak szalony.

– Przynieście nam jeszcze jedną... butelkę! – zawołał pan Winkle, zaczynając bardzo donośnym głosem, a kończąc bardzo cicho. Ale powoli głowa zaczęła mu się chylić ku pierścionom, raz jeszcze powtórzył swe niezłomne postanowienie, że nie pójdzie spać, wybełkotał melancholijne ubolewanie z powodu tego, że rano nie dokończył starego Tupmana, po czym usnął głęboko. W takim stanie zaniesiony został do sypialnego pokoju przez

dwóch olbrzymów, pod bezpośrednim dozorem pyzatego chłopca, któremu w chwilę potem pan Snodgrass powierzył swoją osobę, pan Pickwick przyjął ramię pana Tupmana i znikł spokojnie, uśmiechając się słodziej niż kiedykolwiek. Pan Wardle pożegnał swą rodzinę tak czule i patetycznie, jak gdyby rozstawał się z nią, by iść na rusztowanie; wyrządził panu Trundle'owi ten zaszczyt, że pozwolił się odprowadzić po schodach, i oddalił się, czyniąc bezowocne wysiłki, by nadać sobie minę uroczystą i poważną.

– Co za gorsząca scena! – zawołała ciotka-panna.

– Niesmaczna! – odrzekły młode damy.

– Okropna! Okropna! – rzekł pan Jingle uroczystym tonem. (Wypił przynajmniej półtora raza więcej od swych towarzyszy).

– Okropny widok! Bardzo okropny!

– Miły człowiek! – rzekła cicho ciotka-panna do pana Tupmana.

– I przystojny – szepnęła Emilia Wardle.

– O! bardzo przystojny – dodała ciotka-panna. Pan Tupman pomyślał o wdówce z Rochester i zasepił się. Następne pół godziny rozmowy nie mogło go uspokoić. Nowy gość mówił wiele, ale zawsze ilość jego anegdot nie dorównywała ilości komplementów. Pan Tupman czuł, że papiery jego spadały, w miarę jak wzrastały względy dla pana Jingle'a. Uśmiech jego był wymuszony, wesołość udana, a gdy w końcu przyłożył do poduszki rozpalone skronie, pomyślał z okrutną rozkoszą, iż chciałby trzymać w tej chwili głowę pana Jingle'a pomiędzy rzeczoną poduszką a materacami.

Niez mordowany pan Jingle obudził się nazajutrz wcześniej i podczas gdy towarzysze jego spali jeszcze, zmęczeni wczorajszą hulanką, z wielkim skutkiem zajął się rozweseleniem towarzystwa przy śniadaniu. Usiłowania jego w tym względzie były tak szczęśliwe, iż stara dama kazała sobie powtórzyć przez akustyczną trąbkę dwie czy trzy lepsze anegdoty i doprowadziła nawet łaskawość swą do tego, iż głośno powiedziała ciotce-pannie, że on (pan Jingle) jest bardzo miłym łobuzem. Inni członkowie rodziny najzupełniej podzielali to zdanie.

W pogodne dni letnie stara dama miała zwyczaj chodzić co rano do altany, w której pan Tupman odznaczył się tak znakomicie. Rzecz odbywała się w sposób następujący: najpierw pyzaty chłopak przynosił z sypialni starej damy kapelusz, a raczej czarny, atłasowy kapiszon, i ciepły, wełniany szal, potem zaś mocną laskę z wygodną rączką. Następnie stara dama włożywszy, jak należy, szal i kapelusz, z jedną ręką opartą na lasce, drugą na ramieniu pyzatego pazia, szła wolnym krokiem ku altanie, gdzie przez pół godziny rozkoszowała się świeżym powietrzem, po czym chłopiec przychodził znowu, by odprowadzić ją do domu.

Stara dama lubiła porządek i punktualność, a ponieważ od trzech lat pielgrzymka ta odbywała się bez najmniejszego naruszenia ustanowionych prawideł, zdziwiła się więc niemało w ów poranek, o którym właśnie mowa, gdy ujrzała, że pyzaty chłopiec, zamiast ciężkim swym krokiem opuścić altanę, obejrzał się uważnie na wszystkie strony, po czym przystąpił do niej na palcach z miną nadzwyczaj tajemniczą.

Stara dama była bojaźliwa, jak prawie wszystkie stare damy, pierwszą więc jej myślą było, że pyzaty chłopiec zamyśla popełnić jakiś okropny gwałt, by wydrzeć jej trochę drobnych pieniędzy, które miała przy sobie. Chciała wołać ratunku, ale wiek i niemoc od dawna pozbawiły ją możliwości krzyczenia. Poprzestała więc na śledzeniu ruchów swego pazia z głębokim strachem, który bynajmniej nie zmniejszył się, gdy chłopak podszedł do niej i krzyknął do ucha wzruszonym, jej zaś wydawało się, że groźnym głosem:

– Pani!

Otóż tak się właśnie zdarzyło, iż w tym samym czasie pan Jingle przechadzał się niedaleko altanki i także usłyszał ten wykrzyknik – Pani! – zatrzymał się więc, by słuchać dalej. Trojakiego rodzaju powody nakazywały mu tak postąpić. Naprzód, nie miał żadnego

zajęcia, a był ciekawy, po wtóre, nie miał żadnych skrupułów, po trzecie, ukryty był za krzakami. Zatrzymał się więc i słuchał.

– Pani! – krzyknął powtórnie pyzaty chłopak.

– Co takiego, Joe? – zapytała stara dama, cała drżąc. – Wiesz, że zawsze byłam dobra dla ciebie. Zawsze dobrze obchodziłam się z tobą, Joe! Nigdy nie miałeś wiele do roboty, a jadła zawsze pod dostatkiem.

Zręczna ta przemowa dotknęła najczulszej strony pyzatego chłopca. Odpowiedział z uczuciem:

– Wiem o tym.

– A więc dlaczego tak mnie przestraszasz? Czego chcesz? – mówiła dalej stara dama, nabierając odwagi.

– Chcę, żeby pani zadrżała.

Szczególny to sposób przekonywania o wdzięczności, a ponieważ stara dama z pewnością nie pojmowała, jak można tą drogą dojść do takiego rezultatu, więc czuła, że strach jej wzmagą się znowu.

– Czy wie pani, com widział w tej altanie wczoraj wieczorem? – zapytał pyzaty chłopak.

– Boże, zlituj się! Cóż takiego? – zawołała stara dama, przerażona uroczystą miną pytającego.

– Gentleman z przewiazaną ręką całował!...

– Kogo, Joe? Kogo? Spodziewam się, że nie żadną służącą.

– Gorzej jeszcze! – krzyknął pyzaty chłopiec do ucha starej damie.

– Żadną z moich wnuczek?

– Gorzej jeszcze!

– Gorzej jeszcze? Joe! – krzyknęła stara dama, która była tego zdania, że całowanie jej wnuczki jest największą okropnością, jakiej mężczyzna dopuścić się może. – Więc kogo, Joe? Chcę wiedzieć!

Szpieg spojrział badawczo dokoła, a potem krzyknął do ucha starej damie:

– Miss Rachelę!

– Co? – zapytała stara. – Mów głośniej. – Miss Rachelę! – krzyknął pyzaty chłopiec.

– Moją córkę?!

Joe odpowiedział całym szeregiem znaków potwierdzających, co nadało jego policzkom ruch falisty.

– I ona pozwoliła na to? – zawołała stara dama.

– Sama go całowała! Widziałem – rzekł pyzaty chłopiec z przebiegłą miną.

Gdyby pan Jingle ze swej kryjówki mógł dostrzec wyraz twarzy starej damy, kiedy usłyszała powyższe słowa, prawdopodobnie nagły wybuch śmiechu zdradziłby jego obecność. Ale słyszał tylko urywki gniewnych frazesów, jak to:

– Bez mego pozwolenia!... W takich latach... O, biedna ja stara!... Mogła poczekać, aż umrę! – Potem usłyszał ciężkie kroki

pyzatego chłopca, który oddalił się pozostawiając starą damę samą.

Być może, iż wyda się to dziwne, niemniej jednak faktem jest, że pan Jingle w pięć minut po swym przybyciu do Manor Farm w głębi swej duszy postanowił opanować bezwzględnie serce ciotki-panny. Był dość dobrym obserwatorem, aby dostrzec, że jego swobodne obejście nie budziło odrazy w pięknym przedmiocie jego ataków, a podejrzewał mocno, że ciotka-panna posiada najpożądanejszą ze wszystkich doskonałości: mały, niezależny majątek. Gwałtowna potrzeba wyparowania w ten lub ów sposób rywala natychmiast przyszła mu na myśl, bezwzględnie więc postanowił działać w tym kierunku.

Fielding mówi, że mężczyzna jest ogniem, a kobieta hubką i że księżę ciemności upodobał sobie w zbliżaniu ich. Pan Jingle wiedział, że młodzi ludzie są dla ciotek-panien

tym, czym iskra dla prochu, i postanowił zaraz na miejscu zrobić próbę wybuchu. Rozmyślając nad sposobami wykonania tego ważnego postanowienia, wysunął się ze swego ukrycia i pod osłoną krzaków powrócił niepostrzeżony do domu. Los zdawał się stanowczo sprzyjać jego zamiarom. Widział, jak pan Tupman i inni gentlemani zagłębiali się w ogród, wiedział, że młode panny wyszły razem po śniadaniu: teren był zatem wolny.

Drzwi salonu były otwarte, pan Jingle wsunął przez nie głowę i zajrzał do wnętrza. Ciotka-panna robiła pończochę. Kaszlnął: ciotka-panna podniosła oczy i uśmiechnęła się. Wahanie nie leżało bynajmniej w charakterze pana Jingle'a; przyłożył więc tajemniczo palec do ust, wszedł do salonu i zamknął drzwi za sobą.

– Miss Wardle – rzekł z udanym zapałem – przebacz pani tę śmiałość – krótka znajomość – nie ma czasu na ceremonie – wszystko odkryto!...

– Panie! – zawołała ciotka-panna bardzo zdziwiona, wątpiąc nawet, czy pan Jingle jest przy zdrowych zmysłach.

– Ts! – szepnął pan Jingle z teatralnym gestem. – Pызaty chłopak – twarz mazgajowata – oczy okrągłe – łotr!...

Tu potrząsnął wyraziście głową – a ciotka-panna zadrżała ze wzruszenia.

– Jak sądzę, pan mówi o Joe'em – rzekła, wysilając się na spokój.

– Tak, pani. Przeklęty ten Joe! – Pies zdradliwy ten Joe! – opowiedział starej damie – stara dama rozgniewana – zła, zawzięta! – altanka – Tupman – uściski – pocałunki. – O pani! O!

– Panie Jingle! – zawołała ciotka-panna – jeżeli przyszedł pan tu, by mnie znieważać...

– Bynajmniej! Wcale nie! – Słyszałem historię, przyszedłem uprzedzić panią o niebezpieczeństwie, ofiarować usługi, zapobiec plotkom. Oto wszystko... Pani poczytuje to za zniewagę, wynoszę się...

I wykręcił się na pięcie, jakby dla wykonania pogrózki.

– Cóż mam począć? – zawołała biedna ciotka, zalewając się łzami. – Mój brat będzie piorunował!

– Naturalnie.

– O, panie Jingle, co tu począć?

– Powiedz pani, że tłustemu chłopcu śniło się – odrzekł pan Jingle.

Promień otuchy rozjaśnił myśli ciotki-panny, gdy usłyszała tę radę. Pan Jingle dostrzegł to i umiał z tego skorzystać.

– Ba, ba! Rzecz bardzo prosta: chłopak nicpoń – miła kobieta – chłopaka oćwiczą – pani dadzą wiarę, koniec afery... Wszystko się ułoży.

Czy prawdopodobieństwo uniknięcia skutków tego odkrycia nie w porę było tak przyjemne dla ciotki-panny, czy też gorycz jej smutków złagodziła się, gdy nazwano ją miłą kobietą, dość że zwróciła do rozmówcy swą twarz z wyrazem wdzięczności i okrytą lekkim rumieńcem.

Przebiegły gentleman westchnął głęboko, utkwiał na kilka chwil wzrok w twarzy ciotki-panny, wpatrywał się w nią melo dramatycznie, po czym szybko odwrócił oczy.

– Pan, zdaje się, jest nieszczęśliwy, panie Jingle – rzekła dama żalonym głosem. – Czy mogę panu okazać moją wdzięczność tym, że zapytam o przyczynę jego smutku, by mu przynieść ulgę?..

– Ach! – zawołał pan Jingle, powtórnie spojrzawszy melodramatycznie. – Ulżyć! Ulżyć! Gdy miłość pani otoczyła człowieka niegodnego takiego szczęścia! Człowieka, który nawet teraz ma niegodny zamiar pozyskania względów siostrzenicy anioła. Ale nie! To mój przyjaciel, nie chcę odsłaniać wad jego. Miss Wardle, żegnam panią!

I kończąc ten monolog, najgładszy, jaki kiedykolwiek wygłosił, pan Jingle przyłożył do oczu resztki chustki, o której już raz wspomnieliśmy, i zwrócił się ku drzwiom.

– Zatrzymaj się pan, panie Jingle – rzekła z mocą ciotka-panna.

– Pan zrobiłeś aluzję do pana Tupmana. Wytłumacz się pan.

– Nigdy! – zawołał pan Jingle teatralnym tonem. – Nigdy!

I by przekonać, że nie chce, by go wypytywano, wziął krzesło i siadł tuż koło ciotki-panny.

– Panie Jingle – zaczęła znowu ciotka-panna – błagam pana, zaklinam, byś mi odkrył ogromną tajemnicę otaczającą pana Tupmana.

– Ach! – zawołał pan Jingle, wlepiając wzrok w twarz ciotki-panny – co za widok! Cudna istota! Ofiara! Brudna chciwość!

Przez kilka sekund zdawał się walczyć ze wzruszeniami różnorodnej natury, potem rzekł głosem stłumionym i cichym:

– Tupman kocha tylko pieniądze pani.

– Nędznik! – zawołała ciotka-panna z energicznym oburzeniem.

Wątpliwości pana Jingle’a były rozwiązane; miała pieniądze.

– Więcej – dodał – kocha inną.

– Inną – szepnęła ciotka. – Kogo?

– Młodą panienkę... czarne oczy... siostrzenicę Emilię.

Nastąpiło milczenie. Jeżeli bowiem istniała w całym świecie istota rodzaju żeńskiego, wobec której Racheli odczuwałaby zazdrość głęboką, śmiertelną, to była nią właśnie ta siostrzenica. Czerwoność wystąpiła jej na twarzy i szyi – w milczeniu potrząsnęła głową z wyrazem nieubłaganej wzdąrdy.

W końcu, przygryzając swe wąskie usta i podnosząc się nieco, rzekła słodko-kwaśnym głosem:

– To niemożliwe. Nie mogę temu uwierzyć.

– Niech pani uważa na nich!

– Zrobię to! – rzekła ciotka.

– Niech pani śledzi jego spojrzenia.

– Dobrze.

– Jak szepce.

– Dobrze.

– Usiądzie przy niej.

– Niech siada.

– Będzie się do niej umizgał.

– Niech się umizga.

– Będzie się do niej zalecał.

– Niech się zaleca.

– I zostawi panią na koszu!

– Mnie na koszu! – wrzasnęła ciotka-panna. – On mnie na koszu! – tu zadrżała z gniewu i rozpaczy.

– Potrafi pani opanować się?

– Potrafię.

– Okaże pani stanowczość?

– Okażę.

– Nie zechce go pani potem?

– Nigdy!

– Poszuka pani innego kochanka?

– Poszukam.

– Ja nim będę.

Pan Jingle upadł na kolana i pozostał w tej pozycji przez pięć minut. Gdy wstał, miał już nominację na kochanka ciotki-panny, co prawda jeszcze warunkowo, dopóki zdrada pana Tupmana nie zostanie udowodniona.

Dowodów miał dostarczyć pan Jingle i dokonał tego podczas obiadu. Miss Rachelaledwie wierzyć mogła własnym oczom. Pan Tracy Tupman siadł koło Emilii, zerkał na nią, uśmiechał się, szeptał, współzawodnicząc z panem Snodgrassem. Ani jednego wyrazu, ani jednego spojrzenia nie zwrócił ku tej, która przeszłego wieczora była damą jego serca.

„Przeklęty chłopak! Przeklęty! – myślał pan Wardle, gdyż dowiedział się od matki o całej historii. – Przeklęty chłopak spał niezawodnie, wszystko to śniło mu się”.

„Zdrajca! – myślała ciotka-panna. – Drogi panie Jingle, pan mnie nie zwiodłeś. O! Jak pogardzam tym nędznikiem!”

Niepojętą zmianę w postępowaniu pana Tupmana rozumieją czytelnicy, gdy zapoznają się z następującą rozmową:

Wieczorem, tego samego dnia, scena odbywa się w ogrodzie. Dwie osoby przechodzą się w odosobnionej alei. Jedna krótka i gruba, druga chuda i długa. Są to panowie Tupman i Jingle.

Pan Tupman rozpoczyna dialog zapytaniem:

– Czy dobrze się sprawiłem?

– Doskonale! Wybornie! Sam bym lepiej nie odegrał tej roli.

Jutro trzeba robić to samo aż do dalszego rozkazu.

– Czy Rachelą żąda tego?

– Naturalnie. To jej nie bawi, ale trzeba. Brat surowy; boi się.

Za kilka dni podejrzenia rozwieją się, starych wyprowadzimy w pole, ona uwieńczy twe szczęście.

– Nie ma pan innego zlecenia?

– Miłość – najkłiwsza miłość! – najśłodsze uczucie – skłonność niewzruszona. Czy mam powiedzieć jej co od pana?

– Mój kochany panie – odrzekł w prostocie ducha pan Tupman, serdecznie ściskając rękę swego przyjaciela – wyrażaj jej pan moją najgłębszą miłość. Powiedz, jak mi trudno to ukrywać. Powiedz, co tylko można najczulszego, ale dodaj, iż czuję potrzebę roli, którą mi wskazała dziś rano za radą pana. Powiedz, że przyklaskuję jej roztropności i uwielbiam jej przezorność.

– Powiem. Czy już wszystko?

– Wszystko. Dodaj pan tylko, iż gorąco wzdycham do chwili, w której będzie do mnie należeć, kiedy wszelkie udawanie stanie się zbyteczne.

– Dobrze, dobrze. Czy już wszystko?

– O, mój przyjacielu – rzekł biedny Tupman, znowu ściskając rękę swego powiernika – o, mój przyjacielu! Przyjmij najszczerze dzięki za twe bezinteresowne usługi i przebac, jeśli kiedykolwiek, choć w myśli, popełniłem niesprawiedliwość podejrzewając, że możesz mi szkodzić. Mój drogi przyjacielu! Czy będę się mógł kiedykolwiek odwdzińczyć ci za takie usługi?

– Nie mówmy o tym – rzekł pan Jingle – nie mów... I nagle urwał, jakby coś sobie przypomniał.

– *À propos*! – zawołał potem. – Czy nie mógłby mi pan pożyczyć dziesięć funtów, co? Bardzo pilny interes. Za trzy dni zwrócę.

– Sądzę, iż mogę uczynić panu tę przysługę – odrzekł pan Tupman w prostocie swego serca. – Za trzy dni, mówi pan?

– Jeszcze tylko trzy dni – wszystko ułoży się – po kłopotach!

Pan Tupman wyłożył pieniądze na dłoń towarzysza, który schował je, sztuka po sztuce, do kieszeni, gdy skierowali się ku domowi.

– Uważaj pan! Ani jednego spojrzenia! – pouczał pan Jingle.

– Nie spojrzę! – rzekł pan Tupman.

– Ani słowa!

– Ani sylaby!  
– Jak największa atencja w stosunku do siostrzenicy... dla ciotki raczej opryskliwy... tylko w ten sposób oszukacie starych!

– Będę się miał na baczności – rzekł pan Tupman głośno.

„I ja będę się miał na baczności” – powiedział pan Jingle w duchu. I weszli do domu.

Scena obiadowa powtórzyła się wieczorem i przez trzy następne obiady i wieczory. Czwartego wieczora pan Wardle wyglądał na bardzo zadowolonego, gdyż przekonał się, że pana Tupmana obwiniono fałszywie. Ten także był zadowolony, gdyż pan Jingle powiedział mu, że wszystko wkrótce się skończy, pan Pickwick był bardzo szczęśliwy, gdyż był to jego stan zwykły, a pan Snodgrass nie był nim, gdyż zazdrościł panu Tupmanowi; stara dama była w bardzo dobrym humorze, gdyż wygrywała w wista; na koniec pan Jingle i miss Wardle byli zachwyceni z powodów tak wielkiej wagi dla wątków tej prawdziwej historii, iż opowiemy o nich w rozdziale następnym.

## Rozdział dziewiąty

### *Odkrycie i pogoń*

Podano wieczerzę, ustawiono krzesła przy stole, butelki i szklanki uporządkowano na bufecie, słowem – wszystko zapowiadało jedną z najbardziej miłych chwil w ciągu doby.

– Gdzie jest Rachela? – zapytał pan Wardle.

– I pan Jingle? – dodał pan Pickwick.

– A to dziwne! – rzekł gospodarz. – Jak się to stało, żeśmy dotąd nie zauważyli ich nieobecności. Od dwóch najmniej godzin nie słyszę ich głosu. Emilio, zadzwoń no, moja kochana!

Rozległ się dzwonek i wszedł pyzaty chłopiec.

– Gdzie jest panna Rachela?

Nic nie wiedział.

– Więc gdzie jest pan Jingle?

I tego nie umiał powiedzieć.

Wszyscy się zdziwili. Było już późno. Minęła jedenasta, pan Tupman śmiał się w duchu, gdyż był pewny, że gdzieś w kącie pan Jingle rozmawia z ciotką-panną. A to szczególna zabawa! Cha! cha! cha!

– To nic – rzekł pan Wardle po krótkiej pauzie. – Jestem pewny, że zaraz przyjdą, a z kolacją nie zwykłem czekać na nikogo.

– Rozumna zasada! – zawołał pan Pickwick. – Doskonała!

– Siadajcie, państwo, siadajcie – mówił dalej gospodarz.

– I owszem – rzekł pan Pickwick.

Siedli.

Podano olbrzymi kawał wołowiny na zimno; pan Pickwick otrzymał sporą jej porcję. Właśnie podniósł widelec do ust i miał już je otworzyć dla wprowadzenia odpowiedniego kawałka, gdy wtem powstał w kuchni wielki hałas. Pan Pickwick podniósł głowę i położył widelec; pan Wardle przestał krajać i mimo woli upuścił nóż, który sterczał już w mięsie. Spojrzał na pana Pickwicka, pan Pickwick spojrział na niego.

W korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki. Drzwi jadalnego otworzyły się i służący, który czyścił buty pana Pickwicka w dniu jego przybycia, wpadł na środek pokoju, a za nim pyzaty chłopiec i reszta służby.

– Co to wszystko znaczy? – zapytał gospodarz.

– Czy zapaliły się sadze? – zapytała stara dama.

– Nie, babciu! – krzyknęły obie panny.

– Co się stało? – krzyknął pan domu.

Służący odsapnął, a potem rzekł zdyszonym głosem:

– Pojechali, panie... dali nogę.

W tej chwili zauważono, że pan Tupman położył nóż i widelec i zbladł okropnie.

– Kto pojechał? – zapytał gniewnie pan Wardle.



– Pan Jingle i miss Rachel, w powozie pocztowym, spod „Błękitnego Lwa” w Muggleton! Byłem tam, ale nie mogłem ich zatrzymać; więc przybiegłem tu, by powiedzieć panu.

– I to ja zapłaciłem za podróż – zawołał pan Tupman, wstając ze zrozpaczoną miną. – Wyłudził ode mnie dziesięć funtów!

Łapcie go! Oszukał mnie! Tego za wiele! Zemszczę się! Nie zniosę tego!

I wygłaszając bez związku tysiące wykrzykników tej samej treści, nieszczęśliwy gentleman w przystępie strasznego gniewu biegał dokoła stołu.

– Niech nas Bóg ma w swej opiece! – mówił pan Pickwick patrząc ze zdziwieniem i przestachem na ekscentryczne ruchy swego przyjaciela. – Oszalał! Co tu począć?

– Co począć? – odrzekł stary pan Wardle, który zwrócił tylko uwagę na ostatnie słowa swego gościa. – Zaprzęgajcie konia do bryczki! „Pod Błękitnym Lwem” wezmę pocztę i puszcę się za nimi w pogoń! Gdzie ten łotr Joe?

– Jestem tu, ale to nie ja jestem łotr – odezwał się pyzaty chłopiec.

– Dajcie mi go tu! – ryknął pan Wardle rzucając się ku nieszczęśliwemu chłopcu. – On był zapłacony przez tego infamisa Jingle’a, by zmylić ślad, i dlatego opowiadał androny o mojej siostrze i panu Tupmanie. (Tu pan Tupman padł na krzesło).

Dajcie mi go tu!

– Trzymajcie ojca! – krzyknęły razem wszystkie kobiety, a wśród ich przerażonych głosów słyhać było wyraźnie szlochanie pyzatego chłopca.

– Nie pozwolę, by mnie trzymano! – krzyknął choleryczny starzec. – Panie Winkle, usuń pan ręce! Panie Pickwick, puść mnie pan!

W tej chwili zamieszania i nieładu piękny zaiste widok przedstawiała filozoficzna postawa pana Pickwicka. Majestatyczna słodycz jaśniała na jego twarzy, chociaż nieco rozognionej wysiłkiem przy hamowaniu gwałtowności pana Wardle’a, którego formalnie objął w pół obiema rękami. Przez ten czas Joe został podrapany, wyszturchany i wypędzony z pokoju przez kobiety. Po jego zniknięciu puszczono pana Wardle’a i w tejże chwili oznajmiono, że powóz już gotów.

– Nie puszczajcie go samego! – krzyczały kobiety. – Jeszcze kogo zabije!

– Ja z nim pojedę – rzekł pan Pickwick.

– Pan jest zacnym człowiekiem – odrzekł pan Wardle, ściskając mu rękę. – Emmo, daj szal panu Pickwickowi, by sobie obwiązał szyję. Spiesz się! Pilnujcie tu babki, moje dzieci. No, czy pan gotów?

Gdy usta i podbródek pana Pickwicka okręcono szalem, gdy wsadzono mu na głowę kapelusz, a na ramiona narzucono okrycie, filozof odpowiedział twierdząco.

Dwaj przyjaciele wsiedli do bryczki, a pan Wardle krzyknął:

– Ruszaj, Tomie!

I powóz szybko potoczył się po wąskich ulicach, wpadając w rowy i uderzając w płoty, tak że w każdej niemal chwili mógł się rozlecieć w kawałki.

– Czy dawno wyjechali? – zapytał pan Wardle, stanąwszy u bramy „Błękitnego Lwa”, koło której mimo spóźnionej pory zebrało się nieco ludzi.

– Nie więcej niż trzy kwadranse! – odpowiedzieli razem wszyscy obecni.

– Powóz i cztery konie, natychmiast! Bryczka niech tu zostanie.

– Spieszcie się, dzieci! – krzyknął oberżysta. – Powóz i cztery konie! Prędko! Prędko!

Stajenni pobiegli, chłopcy pobiegli! Latarnie błyskały, gdy służba uwijała się tu i tam: kopyta koni uderzały o nierówny bruk dziedzińca; karetka turkotała, gdy wyciągano ją z wozowni. Ruch, gwar, zamieszanie.

– Cóż? Czy będzie gotów tej nocy? – krzyczał pan Wardle.

– Powóz jest już na dziedzińcu, panie – odrzekł oberżysta.

Rzeczywiście powóz już stał; zaprzężono konie, pocztylioni wsiedli na nie, a podróżni do powozu.

– Pocztylion! – zawołał pan Wardle. – Siedem mil do następnej stacji w pół godziny. Pocztylioni użyli biczów i ostróg, garsoni skłonili się; podróżni ruszyli szalonym pędem.

„Piękne położenie! – pomyślał pan Pickwick, gdy nadszedł czas refleksji. – Piękne położenie dla dożywotniego prezydenta Klubu Pickwicka. Ciemny wóz, szalone konie, piętnaście mil na godzinę i po północy!”

Przez trzy czy cztery pierwsze mile dwaj przyjaciele pogrążeni w dumaniach nie przemówili do siebie ani słowa; lecz gdy konie, rozgrzawszy się, poczęły gnać jak wichler, pana Pickwicka zanadto ożywiła szybkość ruchu, by mógł być niemy.

– Sądzę, że dopędzimy ich – tak zaczął.

– Spodziewam się – odrzekł jego towarzysz.

– Piękna noc – ciągnął dalej pan Pickwick, spoglądając na świecący jasno księżyc.

– Tym gorzej, bo im także księżyc przyświeca do ucieczki, a za godzinę już zajdzie.

– Nie bardzo będzie miło jechać tak szybko po ciemku.

– Niewątpliwie – odrzekł sucho pan Wardle.

Chwilowe uniesienie pana Pickwicka poczęło nieco opadać na myśl o niedogodnościach i niebezpieczeństwach wyprawy, w której przyjął udział tak lekkomyślnie. Z niechętnych tych rozmyślań wyrwały go głosy pocztylionów:

– Hej! hej! hej! hej! – krzyczał pierwszy.

– Hej! hej! hej! hej! – ryczał drugi.

– Hej! hej! hej! hej! – wrzeszczał pan Wardle, połowę ciała wysunawszy z powozu.

– Hej! hej! hej! hej! – powtórzył pan Pickwick, przyłączając się do chóru krzyzących, chociaż nie miał najmniejszego wyobrażenia, co to wszystko znaczy.

Wśród tych powszechnych krzyków powóz stanął.

– Co się stało? – zapytał pan Pickwick.

– Rogatka – odpowiedział stary Wardle – dowiemy się czegoś o zbiegach.

Po pięciu minutach, spędzonych na kołataniu i bezustannym krzyczeniu, wyszedł z domku strażniczego starsuszek ubrany tylko w spodnie i koszulę i otworzył roгатkę.

– Jak dawno przejeżdżał tędy powóz? – zapytał pan Wardle.

– Jak dawno?

– Tak, jak dawno?

– Doprawdy, że nie wiem. I dawno, i niedawno, tak jakoś pośrodku.

– Czy przynajmniej przejeżdżał?

– A! Przejeżdżał, przejeżdżał powóz.

– Ile czasu odtąd upłynęło, mój przyjacielu – rzekł pan Pickwick. – Godzina?

– A, bardzo być może – odpowiedział strażnik.

– Może dwie godziny? – zapytał pierwszy pocztylion.

– Może i dwie godziny – odrzekł zapytany z powątpiewaniem.

– W drogę! – krzyknął rozgniewany pan Wardle – dość już czasu straciliśmy z tym niedołęgą.

– Niedołęga! – powtórzył strażnik drwiąco, spoglądając na powóz malejący, w miarę jak się oddalał. – No nie, nie taki niedołęga, jak myślicie. Straciliście tu dziesięć minut i wiecie akurat tyle, co przedtem. Jeżeli wszyscy koledzy po drodze wzięli po gwinei, a zarobią ją w połowie tak uczciwie jak ja, to nie dopędzisz ich i do świętego Michała, mój ty gruby panie...

Po tym ironicznym monologu stary strażnik zamknął roгатkę, wszedł do domku i zarygłował drzwi za sobą.

Tymczasem nasi podróżni pędzili bez wytchnienia. Księżyc, jak to przepowiedział pan Wardle, szybko zachodził za czarne chmury, od niejakiego już czasu przesuwające się po

niebie, które teraz połączyły się w jedną czarną masę. Duże krople deszczu uderzały w okna powozu, jakby zapowiadając nadejście burzy. Wiatr, wiejący prosto w oczy, na wąskiej drodze przemieniał się w wichurę i smutno jęczał pomiędzy drzewami. Pan Pickwick zapiął starannie surduty, wcisnął się wygodnie w kąty i zapadł w głęboki sen, z którego wyrwał go wkrótce ustanie wszelkiego ruchu, odgłos dzwonka i donośne krzyki:

– Koni! Koni natychmiast!

Ale tu nastąpiła innego rodzaju zwłoka. Pocztylioni spali snem tak dziwnie głębokim, iż potrzeba było więcej niż pięciu minut, by każdego obudzić. Masztalerz zgubił klucz od stajni, a gdy go wreszcie znaleziono, dwaj zaspani chłopcy poprzemieniali

uprzęż tak, że trzeba było na nowo rozpoczynać całą operację zaprzęgnięcia. Gdyby pan Pickwick był sam, przeszkody te, mnożące się na każdym kroku, rychło by położyły kres pogoni; ale stary Wardle nie zrażał się łatwo. Tyle rozwinął dobrej woli, popychając jednego, szturchając drugiego, tu podając łańcuch, tam zapinając sprzączkę, że powóz był gotowy do drogi w nierównie krótszym czasie, aniżeli można było spodziewać się, zważywszy na takie trudności.

Zacząła się więc znowu podróż, w warunkach bez wątpienia niezbyt zachęcających. Do stacji było 15 mil, noc ciemna, wiatr gwałtowny, deszcz ulewny. Niepodobieństwem było jechać prędko, walcząc przeciw tylu przeszkodom; toteż dojechano dopiero po dwóch godzinach. Ale tu ukazał się przedmiot, który ożywił nadzieję i podniósł nieco upadającego ducha podróżnych.

– Kiedy ten powóz przybył tu? – zapytał stary Wardle wskazując na jeszcze mokrą bryczkę stojącą na dziedzińcu.

– Dopiero przed kwadransem – odpowiedział stajenny, do którego zwrócone było to pytanie.

– Z damą i gentlemanem? – zapytał znowu pan Wardle drżący od niecierpliwości.

– Tak, panie.

– Gentleman we fraku, długonogi, szczupły?

– Tak, panie.

– Dama w średnim wieku, twarz chuda, skóra i kości? Co?

– Tak, panie.

– Pickwick, to oni! – zawołał stary gentleman.

– Byliby prędzej tu przyjechali – mówił dalej stajenny – ale złamał się im dyszel.

– To oni! – krzyczał Wardle. – Na Jowisza! Powóz i cztery

konie! Natychmiast! Dopędzimy ich jeszcze przed następną stacją. Hej! Pocztylion! Prędko! Każdemu po gwinię! Spieszcie się! Spieszcie się, dzieci!

Zachęcając w taki sposób, stary gentleman biegał to na prawo, to na lewo, zajmując się wszystkimi szczegółami z energią, która udzieliła się nawet panu Pickwickowi. Pod wpływem tego filozof zaplątał swe nogi w uprzęży, przycisnął koło brzuchem wyobrażając sobie i wierząc mocno, że znakomicie przyczynia się do przyśpieszenia odjazdu.

– Właż pan, właż prędzej – zawołał stary Wardle, siadając do powozu i zamykając za sobą drzwiczki.

Pan Pickwick znajdował się z drugiej strony i nim miał czas zdać sobie sprawę z tego, o co chodziło, uczuł, jak go podnosi stary gentleman i wpycha posługacz stajenny. Konie ruszyły natychmiast z kopyta.

– No, teraz to jedziemy! – zawołał pan Wardle z zadowoleniem.

O tym, że jechali dzielnie, dostatecznie przekonywała pana Pickwicka ta okoliczność, iż nieustannie wchodził w styczność albo z twardymi bokami powozu, albo ze swym towarzyszem.

– Trzymaj się pan mocno – rzekł barczysty starzec do filozofa, który właśnie uderzył głową w sam środek jego przestronnej kamizelki.

– Nigdy w życiu tak mną nie trzęsło – odrzekł pan Pickwick.

– Nie zważaj pan na to – odpowiedział jego towarzysz. – To się prędko skończy.

Pan Pickwick wsunął się w ką, jak mógł najgłębiej, a powóz potoczył się jeszcze prędezej.

W ten sposób ujechali około trzech mil, gdy pan Wardle, który od kilku minut trzymał głowę za oknem, cofnął ją, całą obryzganą błotem, i zawołał zadyszany z niecierpliwości:

– Oto są!

Pan Pickwick wysunął natychmiast głowę za drugie okno i ujrzał w niewielkiej odległości powóz pędzący równie chyżo.

– Prędezej! prędezej! – wrzeszczał stary gentleman. – Po dwie gwinee pocztylionom! Dopędzajcie ich! Dopędzajcie!

Konie z pierwszego powozu biegly z największą szybkością, konie pana Wardle’a pędziły zawzięcie za nimi.

– Widzę jego głowę! – zawołał choleryczny starzec. – Niech mnie Bóg skarże, jeżeli nie widzę jego głowy!

– I ja także – odrzekł pan Pickwick. – To on!

Nie mylił się. W oknie pierwszego powozu najdokładniej było widać twarz pana Jingle’a, zupełnie pokrytą błotem od kół. Ruchy jego rąk, którymi gwałtownie wymachiwał ku pocztylionom, przekonywały, że zachęcał ich do pośpiechu.

Napięcie stało się ogromne. Pola, drzewa, płoty tylko migały obok nich z szybkością wichru. Już dojeżdżali do pierwszego powozu, słyszeli wśród turkotu kół głos pana Jingle’a łającego pocztylionów... Stary Wardle pienił się ze złości; sypał tuzinami „łotrów, łajdaków”; zaciskał pięści i groził nimi przedmiotowi swego oburzenia; ale na obraźliwe wyrazy pan Jingle odpowiadał tylko drwiącym uśmiechem, potem okrzykiem triumfu, gdy konie, powolne wzrastającej energii bicza i ostróg, podwoiły szybkość i zostawiły goniących nieco w tyle.

Pan Pickwick cofnął głowę od okna, pan Wardle, zmęczony krzykiem, uczynił to samo, gdy wtem gwałtowne wstrząśnięcie rzuciło ich ku przodowi powozu. Rozległ się okropny trzask, koło odleciało i powóz przewrócił się.

Po kilku chwilach zamieszania, podczas których słyhać było tylko tupanie koni i brzęk tłukących się szyb, pan Pickwick poczuł, jak go gwałtownie wyciągano spod szczątek powozu, a gdy stanął na nogach i wyplątał głowę z szala, co w bardzo znacznym stopniu utrudniało funkcjonowanie jego okularów, wtedy dopiero ocenił cały rozmiar klęski. Dniało i scena cała była najdoskonalej oświetlona światłem porannym.

Stary Wardle stał przy nim bez kapelusza, w podartym ubraniu. U stóp jego leżał pogruhotany powóz. Pocztylioni obryzgani błotem, obciążwszy postronki, stali przed końmi. O sto kroków na przedzie widać było drugi powóz, który zatrzymał się na odgłos katastrofy. Jego pocztylioni z drwiącą miną spoglądali z wysokości swych siodeł na przeciwników, a tymczasem pan Jingle patrzył z widocznym zadowoleniem na ruinę swych prześladowców.

– A co? – zawołał bezczelny komediant. – Czy nikt nie potłukł się? Gentleman już w pewnym wieku — odpowiedniej ciężkości — to niebezpieczne — bardzo niebezpieczne.

– Kanalia! – wrzasnął pan Wardle.

– A! tak! – odrzekł pan Jingle, a potem dodał mrugając okiem i z chytrą miną wskazując na wnętrze powozu: – Dobrze się ma, składa swoje uszanowanie, prosi, byście się panowie nie fatygowali! Ukłon staremu Tuppy... Może chcecie przysiąść z tyłu? W drogę, pocztylioni!

Pocztylioni wsiedli na konie, powóz potoczył się, a pan Jingle, wysunawszy rękę za drzwiczki, począł machać chustką na znak pożegnania.

Dotychczas cała ta awantura nie zamąciła zawsze spokojnego umysłu pana Pickwicka; nawet wywrócenie się powozu i własnej jego osoby. Ale nie mógł znieść cierpliwie bezwstydu człowieka, który, pożyczwszy pieniędzy u jego wiernego zwolennika, pozwalał sobie skracać jego nazwisko na Tuppy. Poczzerwieniał aż do samych okularów i mocno odetchnąwszy rzekł powolnym i poważnym głosem:

– Jeżeli kiedykolwiek spotkam tego człowieka, to...

– Tak, tak – przerwał mu pan Wardle – wszystko to bardzo piękne, ale gdy my tu rozmawiamy, oni dostaną indult i pobiorą się w Londynie.

Pan Pickwick zamilkł i zachował zemstę w głębi serca.

– Jak daleko stąd do pierwszej stacji? – zapytał pan Wardle jednego z pocztylionów.

– Sześć mil, czy tak, Tomie?

– Cokolwiek więcej.

– Trochę więcej niż sześć mil, panie.

– Nie ma sposobu, trzeba iść piechotą, panie Pickwick – rzekł Wardle.

– Nie ma sposobu – powtórzył ten prawdziwie wielki mąż.

Z rozkazu pana Wardle'a jeden z pocztylionów pojechał konno naprzód, by zamówić inny powóz, drugi zaś pozostał, by pilnować rozbitego powozu. Tymczasem stary gentleman i pan Pickwick śmiało puścili się w drogę, starannie okręciwszy się szalami i nasunąwszy kapelusze na uszy, by, o ile można, chronić się od deszczu, który znowu poczynął padać.

## Rozdział dziesiąty

### *przeznaczony na rozproszenie wszelkich wątpliwości (jeżeli jakie istniały) co do bezinteresowności pana Jingle 'a*

Istnieje dotąd w Londynie wiele starych oberży, które służyły za główną kwaterę najznakomitszym dylizansom w owych czasach, kiedy to dylizanse odbywały podróże w sposób poważny i uroczysty. Ale oberże te podupadły już, dziś dają przytułek tylko powozom do wynajęcia. Na próżno czytelnik szukałby tych dawnych gospod pomiędzy „Złotymi Krzyżami”, „Złotymi Bykami” lub „Złotymi Ustami”, podnoszącymi dziś dumnie czoło na pięknych ulicach Londynu. Jeżeli chciałby zobaczyć to, co z nich pozostało, powinien by udać się do najgorszych dzielnic miasta, a tam w jakim odległym zakątku ujrzy je jeszcze, stojące z ponurym uporem pośród nowoczesnych budynków.

W Borough zwłaszcza jest jeszcze z pół tuzina takich starych domostw, które bez zmiany zachowały szczególną swą fizjonomię, uniknąwszy zarówno szalu nowoczesnych upiększeń, jak i zakusów prywatnej spekulacji. Są to wielkie, obszerne, dziwaczne stare budynki z galeriami, korytarzami i schodami, szerokimi i staromodnymi dostatecznie, by dostarczyć tematu do całych setek niesamowitych opowieści, gdybyśmy kiedyś stanęli przed tą smutną koniecznością i musieli je wymyślać. Ba, trwałoby to chyba aż do końca świata, gdybyśmy chcieli wyczerpać wszystkie te niezliczone a prawdziwe opowiadania, zwłaszcza o starym Moście Londyńskim i jego najbliższym sąsiedztwie w okolicy Surrey.

Na dziedzińcu „Białego Jelenia”, oberży może najznakomitszej pomiędzy tymi gotyckimi oberżami, rano, na drugi dzień po nieszczęsnych wypadkach, które opisaliśmy w poprzedzającym rozdziale, pewien mężczyzna zajęty był pracowitym zeskrobywaniem błota z pary butów. Człowiek ten miał na sobie kraciatą kurtkę z mankietami z czarnego perkalu i guzikami z zielonego szkła, spodnie z grubego sukna i kamasze, na szyi niedbale okręconą jaskrawoczerwoną chustkę i stary biały kapelusz na lewej stronie głowy. Przed osobą tą stały dwa rzędy butów: jeden czystych, drugi zabłoconych. Dostawiając nową parę do rzędu czystych osoba ta za każdym razem zatrzymywała się na chwilę, by popatrzeć na dzieło swoje z widocznym zadowoleniem.

Na dziedzińcu nie było ani hałasu, ani ruchu, jaki charakteryzuje zajazdy, w których przystają dylizanse. Dwa czy trzy kabriolety, dwie czy trzy bryczki pocztowe stały pod dachem. Trzy czy cztery wozy, naładowane towarami do wysokości drugiego piętra zwyyczajnych domów, mieściły się pod ogromną szopą w jednym kącie dziedzińca; jeden z powozów, który miał zapewne tego rana wyruszyć w podróż, wytoczono.

Budynki wznoszące się po dwóch stronach równoległoboku ozdobione były podwójnym rzędem galerij z potężnymi drewnianymi podporami; na galerie te wychodził podwójny szereg drzwi do pokojów. Dwa rzędy sznurów od dzwonek ciągnęły się nad drzwiami pod małym daszkiem łupkowym. Od czasu do czasu tupanie koni lub szczęk łańcuchów oznajmiał tym, których by to mogło obchodzić, że przy końcu dziedzińca znajduje się stajnia. Jeżeli do tego obrazu dodamy kilku ludzi w płóciennych bluzach, śpiących na

pakach towarów, kilka worów wełny i innych tego rodzaju artykułów, tudzież kupy siana, to będziemy mieli dokładny, o ile możności, opis wewnętrznej strony dziedzińca „Białego Jelenia” przy High Street, Borough, w ówporanek, o którym mowa.

Rozległ się głos jednego z dzwonek i na galerii drugiego piętra ukazała się zwinna służąca, zapukała do jednych drzwi, weszła do pokoju i otrzymawszy zlecenie krzyknęła z galerii:

– Sam!

– Jestem – odpowiedział człowiek w białym kapeluszu.

– Nr 22 żąda butów.

– Niech panna zapyta nr 22, czy chce mieć je zaraz, czy też zechce poczekać, bym je wyczyścił.

– No, no. Samie! Bez tych konceptów – dobrotliwie odrzekła dziewczyna – gentleman potrzebuje butów natychmiast.

– Słowo honoru! panna jest wyborna – odparł czyścibut. – Popatrz no panna na te buty. Jedenaście par i jeden trzewik, należący do nru 6, z drewnianym szcudłem. Buty muszą być oddane o wpół do dziewiątej, a trzewik o dziewiątej. Cóż to za nr 22, który tak chce wszystkich ubiec? Nie, nie – po kolei, jak mówił mistrz Jan Wiesidełko do gentlemanów, których miał wieszać. Przykro mi, że musiał pan czekać, ale zaraz się z panem załatwię.

Tak mówiąc, człowiek w białym kapeluszu zaczął pracować nad butami ze zdwojonym pośpiechem.

Znów rozległ się głos innego dzwonek i stara oberżystka spod „Białego Jelenia” ukazała się zakłopotana, na przeciwległej galerii.

– Sam! – krzyknęła. – Gdzie ten próżniak? Ten... A! Jesteś tu!

Sam! Dlaczego nie odpowiadasz?

– Czyżby to było grzecznie odpowiadać, kiedy pani nie skończyła jeszcze? – odrzekł Sam trochę ostro.

– Masz wyczyścić natychmiast te trzewiki dla nru 17 i zanieść je do salonu nr 5, na dole.

To powiedziawszy oberżystka rzuciła na dziedziniec damskie trzewiki i odeszła.

– Nr 5 – rzekł Sam biorąc trzewiki i wyjmując z kieszeni kawałek kredy, by zanotować ten numer na podeszwie. – Damskie trzewiki i salon... założę się, że ta pani nie wozem tu przyjechała.

– Przyjechała dziś rano – odezwała się służąca z galerii – dorożką, z gentlemanem, i on to właśnie potrzebuje owych butów. Ale prędko! Co cię to wszystko obchodzi?

– Czemuś mi panna nie powiedziała od razu? – zawołał Sam z wielkim oburzeniem, szukając rzeczonych butów w kupie obuwia. – Skąd mogłem wiedzieć, że to nie zwyczajna nasza praktyka trzypensowa. Osobny pokój i do tego dama! Jeżeli w jego skórze mieści się prawdziwy gentleman, to mi pewno da szylinga, nie licząc komisowego.

Zachwycony tymi pocieszającymi uwagami, Samuel począł czyścić z takim zapalem, że w kilka minut tak butom, jak i trzewikom nadał połysk niepospolity, mogący napełnić zadością nawet serce czcigodnego pana Warrena (gdyż czyścidle do butów dla zajazdu „Pod Białym Jeleniem” dostarczała firma Day i Martin). Potem udał się czyścibut z wzorowymi okazami swej sztuki pod drzwi nr 5.

– Wejść! – odpowiedział głos męski na pukanie Sama.

Sam, ukloniwszy się, jak mógł najpiękniej, znalazł się w obecności damy i gentlemana zabierających się do śniadania. Uprzejmie więc ustawiwszy buty przy nogach gentlemana, a trzewiki przy nogach damy, cofnął się ku drzwiom.

– Garson! – zawołał gentleman.

– Jestem, panie – odrzekł Sam, zamykając drzwi i trzymając rękę na klamce.

– Czy nie znasz tego... jakże się to nazywa?... Doctors' Commons?

– Znam, panie.

– Gdzie to jest?

– Paul’s Churchyard, panie. Niska arkada od ulicy na lewo, tuż obok księgarnia, po drugiej stronie oberża, a w środku stoi przy drzwiach dwóch pośredników podejmujących się wyrabiania indultów dla tych, którzy tego potrzebują.

– Indultów? – powtórzył gentleman.

– Tak, ślubnych indultów – powtórzył Sam. – Dwa indywidua w białych frakach zdejmują kapelusze, gdy pan wchodzi, i mówią: – Indult, panie, indult? – Śmieszni ludzie i ich panowie także! Nie więcej warci od adwokatów, u których zasięgają rady procesujący się w sądzie.

– A cóż oni robią? – zapytał gentleman.

– Co oni robią? Oni, panie, wyprowadzają ludzi w pole! To byłoby jeszcze nie najgorsze. Wmawiają w stare mózgownice rzeczy, o jakich im nigdy się nie śniło. Mój ojciec, panie, był stangretem, stangretem wdowcem, panie, dostatecznie otyłym, by się odważyć na wszystko. Zdumiewająco otyły jest mój ojciec. Gdy mu żona umarła, zostawiła mu czterysta gwinei – dobrze! Idzie ojciec do Commons, by się zobaczyć z prawnikiem i dostać *quibus*. Dzielną postawę ma mój ojciec! Buty z cholewami, w butonierce bukiet, kapelusz z szerokimi brzegami, zielony szal – skończony gentleman! Idzie pod arkadę, myśląc, gdzie by ulokować pieniądze. Dobrze! Nadchodzi pośrednik. Dotyka kapelusza: – Czy nie o indult, panie? – Co takiego? – pyta mój ojciec. – Pozwolenie na małżeństwo – powiada. – Niech mnie Bóg skarże – mówi mój ojciec – jeżeli kiedy pomyślałem o tym. – Sądzę, że panu potrzebny indult – mówi komisjoner. Mój ojciec zatrzymuje się i odrobinę się namyśla: – Nie – powiada – niech diabli wezmą! Za stary jestem. A przy tym zanadto otyły – powiada. – O, ba! panie – mówi tamten. – Czy tak pan myślisz? – pyta ojciec. – Jestem tego pewny – odpowiada. – Przeszłego poniedziałku ożeniliśmy gentlemiana dwa razy większej korpulencji. – Czy tak? – pyta mój ojciec. – A tak! Pan obok niego jesteś jak szczapa. Tędy, panie, tędy!

I mój ojciec idzie za nim, jak oswojona mała za katarynką, do ciemnego biura, gdzie siedział jakiś jegomość pomiędzy zatłuszczonymi papierami i blaszanymi skrzynkami i pracował nad tym, by sądono, że coś robi. – Siadaj pan, ja tymczasem napiszę świadectwo – mówi prawnik. – Dziękuję panu! – mówi mój ojciec, siada i wytrzeszczywszy oczy, z otwartymi ustami przygląda się napisom na skrzynkach. – Jak się pan nazywa? – pyta prawnik. – Tony Weller – mówi mój ojciec. – Parafia pańska? – pyta tamten. – Belle Savage – odpowiada mój ojciec, bo zwykle zajeżdżał do tej oberży i nic nie znał się na parafiach. – A jak się nazywa dama? – zapytał prawnik. Tu mój ojciec zapomniał języka w gębie. – Niech mnie diabli wezmą, jeżeli wiem! – powiada. – Pan nie wie?

– pyta prawnik. – Wiem tyle, co i pan – powiada ojciec. – Czy nie można by dodać nazwiska potem? – powiada. – Niepodobna – mówi prawnik. – Bardzo dobrze – mówi ojciec, pomyślawszy nieco. – Pisz pan: pani Clarke. – Clarke, co więcej? – mówi prawnik, maczając pióro w kałamarzu. – Zuzanna Clarke z oberży „Pod Markizem Granby” w Dorking – mówi mój ojciec. – Sądzę, że weźmie mnie, gdy się oświadczę. Nigdy nie wspominał jej o tym, ale weźmie, jestem tego pewny. – Otóż w ten sposób indult został napisany. I rozumie się, że wzięła; ale co najgorsze, trzyma go do dziś dnia, a ja nie widziałem nawet, jak wygląda tych czterysta gwinei. Nie ma nadziei. Bardzo pana przepraszam – dodał Sam pod koniec swego opowiadania – ale jak raz zacznę mówić o tym kłopotcie, to już nie mogę zatrzymać się, jak nowa taczka z dobrze nasmarowanym kołem.

To rzekłszy i zaczekawszy jeszcze chwilę, by się przekonać, czy nie będzie potrzebny, wyszedł z pokoju.

– Pół do dziesiątej! Już czas! – rzekł wówczas gentleman, którym był pan Jingle, czego zdaje się, nie mamy potrzeby mówić.



– Czas na co? – zapytała ciotka-panna wdzięcząc się.

– Czas wyrobić indult, drogi aniele. Potem trzeba będzie dać znać do kościoła. Jutro rano będziemy już należeć do siebie – odpowiedział pan Jingle, ściskając rękę ciotki-panny.

– Indult!... – krzyknęła Rachela i zarumieniła się.

– Indult – powtórzył pan Jingle.

Cwałem, cwałem, biegnę, lecę. Biorę indult i powracam!

– Jak się pan spieszy! – rzekła Rachela.

– Spieszy! Zobaczysz pani, jak nam lecieć będą godziny, dni, tygodnie, miesiące, lata, gdy się połączymy. Pioruny, błyskawice, lokomotywy o sile tysiąca koni nie lecą tak szybko.

– Czy nie moglibyśmy... czy nie moglibyśmy wziąć ślubu przed jutrem? – zapytała Rachela.

– Niepodobna! Trzeba dać znać do kościoła! Dziś indult – ceremonia jutro!

– Strasznie się obawiam, by nas brat nie wyszedł.

– Nas wyszedł? Żarty! Za silne wstrząśnienie przy wywrocie! Zresztą nadzwyczajna ostrożność: wysiedliśmy z pocztowego powozu, szli piechotą, wzięli fiakra, przybyli do Borough; ostatnie to miejsce, gdzie nas szukać będą. O! Pomysł doskonały.

– Nie baw pan długo – rzekła ciotka-panna z afektacją, widząc, że pan Jingle bierze swój kapelusz z zadartym rondem.

– Długo? Z dała od pani? O okrutna piękności!

I pan Jingle podszedł z rozczuloną miną ku Racheli, wycisnął na jej ustach niewinny pocałunek, po czym lekko wymknął się z pokoju.

– Luby kochanek! – rzekła ciotka-panna, gdy zamykał drzwi.

„Śmieszna stara wariatka!” – pomyślał pan Jingle, wychodząc.

Przykre to zadanie rozwodzić się nad przewrotnością naszego rodzaju. Nie będziemy więc śledzić wątku rozmyślań pana Jingle’a w drodze do Doctors’ Commons. Dość, gdy powiemy, że uniknął zasadzki indywiduów w białych fartuchach, strzegących wejścia do tego zaczarowanego miejsca, i dotarł do samego biura generalnego wikarego. Tam zaopatrzył się w uprzejme pismo biskupa z Canterbury: „Wiernym nam i miłym Alfredowi Jingle i Racheli Wardle pozdrowienie”. Starannie schował do kieszeni ten mistyczny dokument i z triumfem powrócił do Borough.

Był jeszcze w drodze, gdy dwóch gentlemanów otyłych i jeden gentleman chudy weszło na dziedziniec oberży „Pod Białym Jeleniem”, szukając wzrokiem kogokolwiek, komu by mogli zadać pewną ilość pytań. Pan Samuel Weller, urzędowy czyścibut „Białego Jelenia”, był właśnie zajęty w tej chwili czernieniem pary butów należących do właściciela pewnej dzierżawy, który po przeżyciach targu w Borough pokrzepiał się małym śniadaniem złożonym z kilku funtów zimnego mięsa i z większej ilości szklanicy piwa. Do niego więc zwrócił się chudy gentleman.

– Mój przyjacielu – odezwał się.

„Ten, zdaje się, lubi bezpłatne konsultacje. W przeciwnym razie nie byłby we mnie tak rozmówiony od pierwszego wejrzenia” – pomyślał sprytny chłopak, ale poprzestał na zapytaniu: – Co, panie?

– Mój przyjacielu! – powtórzył chudy gentleman z pojednawczym „hm!” – macie tu teraz wielu podróżnych, co?

Sam spojrzał na pytającego. Był to niewielki człowieczek, z miną zakłopotaną, twarzą śniadą i kościstą, której małe oczy, ciągle mrugające po obu stronach chudego inkwizytor-skiego nosa, zdawały się grać w chowanego przy pomocy tego organu. Czarny jego frak mocno uwydatniał białosc koszuli i wąskiej chustki na szyi, na czarnych zaś spodniach jaśniał złoty łańcuch z brelokami, a buty błyszczwały jak oczy. W rękę trzymał kozłowe rę-

kawiczki, a gdy mówił, wsadzał obie ręce pod poły fraka z miną człowieka przywykłego do stawiania pytań.

– Wiele roboty, co? – rzekł mały człowieczek.

– A tak, sporo, panie – odrzekł Sam. – Nie zbankrutujemy ani też nie zrobimy fortuny. Jadamy duszoną baraninę bez kaparów, a gdy dorwiemy się do wołowiny, to dodajemy chrzanu.

– A! – zawołał mały człowieczek – widzę, że żartowniś z siebie? Co?

– Mój starszy brat dotknięty był tą chorobą – odrzekł Sam. – Sypialiśmy razem, może to zaraźliwe...

– Szczególny stary dom! – zaczął znów mały człowieczek spoglądając dokoła.

– Trzeba było nas uprzedzić o przybyciu, porobiono by reperacje – odrzekł nie zmieszany pucybut.

Rozmawiający, zdawało się, był nieco zbity z tropu tymi ironicznymi odpowiedziami. Nastąpiła krótka narada między nim a dwoma tłustymi gentlemanami; potem chudy jego-ność wziął szczyptę tabaki z dużej srebrnej tabakierki i miało się wrażenie, że zamierzał na nowo rozpocząć rozmowę, gdy jeden z jego towarzyszy, który oprócz uprzejmej powierzchowności posiadał parę okularów i parę czarnych kamaszy, zbliżył się i powiedział, wskazując na drugiego tłustego gentlemana:

– Rzec się ma tak: mój przyjaciel da pół gwinei, jeżeli zechcesz odpowiedzieć na jedno lub dwa...

– Ależ kochany panie! Kochany panie! – przerwał mały człowieczek. – Pozwól pan, proszę bardzo, kochany panie! Pierwszą zasadą, jaką należy zachować w podobnych wypadkach, jest to, że jeżeli oddaje pan sprawę w ręce człowieka kompetentnego, nie należy mieszać się mu pod żadnym pozorem do jego czynności. Trzeba powierzyć się z zupełnym zaufaniem. Doprawdy, panie...

Tu zwrócił się do drugiego tłustego gentlemana, mówiąc:

– Zapomniałem nazwiska pańskiego przyjaciela...

– Pickwick – rzucił pan Wardle, gdyż on to był we własnej osobie.

– A! Pickwick. Doprawdy, panie Pickwick, niech mi pan daruje, kochany panie. Z największą przyjemnością wysłucham prywatnie zdania pańskiego, jakie pan ma, jako *amicus curiae*, ale sam pan powinieś zrozumieć niesłuszność swej interwencji w tej chwili, zwłaszcza co do argumentu *ad captandam*, jakim jest ofiara gwinei. Doprawdy, kochany panie, doprawdy... – I mały człowieczek przybrał minę poważną, zażywszy szczyptę tabaki w sposób bardzo przekonujący.

– Jedyńm moim życzeniem – odrzekł pan Pickwick – było jak najprędzej doprowadzić do końca tę nieprzyjemną sprawę.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – rzekł mały człowieczek.

– Dlatego też – mówił dalej pan Pickwick – zrobiłem użytek z argumentu, który moje doświadczenie każe mi poczytywać za najskuteczniejszy w każdym wypadku.

– Tak, tak – odrzekł mały człowieczek – dobrze, bardzo dobrze, to prawda, ale pan powinieś być mnie go podać. Pan wie, jestem tego pewny, jak nieograniczone zaufanie należy pokładać w swym pełnomocniku. Jeżeli trzeba przytoczyć autorytet, to pozwól mi pan powołać się na znany wypadek Barnwella...

– Niech sobie panowie nie kręcą głowy tym Jerzym Barnwellem –

przerwał Sam, którego mocno dziwił cały dialog. – Cały świat zna jego historię, a ja, jak mnie pan widzi, zawsze byłem zdania, że raczej młoda kobieta zasługiwała na powieszenie. Ale to wszystko jedno; to nie należy do rzeczy. Chcecie, panowie, bym przyjął pół gwinei? Bardzo dobrze, nie mam nic przeciwko temu – cóż mogę więcej zrobić? Prawda, panie? (Pan Pickwick uśmiechnął się). Więc idzie tylko o to, bym wiedział, czego, u licha, chcecie ode mnie, jak tam ktoś powiedział, ujrzawszy upiora.

– Chcielibyśmy wiedzieć... – zaczął pan Wardle.

– Ależ mój kochany panie! — przerwał mały człowieczek z zakłopotaną miną. Pan Wardle wzruszył ramionami i zamilkł.

– Chcielibyśmy dowiedzieć się – zaczął uroczyście mały człowieczek – i zwracam to pytanie do pana, by nie wzbudzać niepotrzebnych domysłów w obergerzy: chcielibyśmy wiedzieć, kto się tu obecnie znajduje?

– Kto się tu znajduje? Jest para butów węgierskich pod numerem 13 – odrzekł Sam, w którego umyśle lokatorowie reprezentowani byli przez obuwie zostające pod jego bezpośrednim nadzorem. – Jest drewniane szcudło pod numerem 6, dwie pary półbucików w sali wspólnej. Są buty z cholewami, tu na dole, i pięć par butów w pokoju gościnnym.

– Więcej nie ma? – zapytał mały człowieczek.

– Zaczekaj no pan trochę – odrzekł Sam przypominając sobie. – Tak, jest jeszcze para butów *a' la* Wellington; dobrze przechodzonych, i damskie trzewiki pod nrem 5.

– Co to za trzewiki? – zapytał z pośpiechem pan Wardle, który, jak i pan Pickwick, zgubił się w tym dziwnym katalogu mieszkańców obergerzy.

– Trzewiki z prowincji.

– Czy jest nazwisko szewca?

– Brown.

– Skąd?

– Z Muggleton.

– To oni! – wykrzyknął pan Wardle. – Przysięgam, żeśmy ich znaleźli!

– Pst! – szepnął Sam. – Wellingtony poszły do Doctors' Commons.

– Oho! – zawołał mały człowieczek.

– Tak, tak, po indult.

– W czas przybywamy – zawołał pan Wardle. – Pokaż nam ich pokój, nie ma chwili do stracenia.

– Ależ, proszę pana, kochany panie, bardzo proszę – rzekł mały człowieczek. – Roztropność! Roztropność!

To mówiąc, wyjął z kieszeni czerwoną jedwabną sakiewkę, a z niej suwerena i znacząco spojrzął na Sama, który uśmiechnął się wymownie.

– Pokaż nam pokój natychmiast, lecz nie anonsując – rzekł mały człowieczek – a będzie twój.

Sam rzucił w kąć but, który trzymał, i poprowadził naszych znajomych przez długi, ciemny korytarz, zatrzymał się i wyciągnął rękę.

– Oto masz – rzekł cicho adwokat, kładąc suwerena na dłoni przewodnika.

Sam zrobił jeszcze kilka kroków i znowu zatrzymał się przy drzwiach.

– Czy tu? – zapytał mały człowieczek. Sam skinął głową potwierdzająco. Stary Wardle otworzył drzwi i wszyscy trzej weszli do pokoju właśnie w tej samej chwili, gdy pan Jingle, który już powrócił, pokazywał indult ciotce-pannie.

Rachela krzyknęła głośno, pochyliła się na krzesło i zakryła twarz rękami. Pan Jingle zmiął indult i włożył go do kieszeni. Goście wtenczas wystąpili na środek pokoju.

– Pan jesteś wielki łotr! – zawołał stary Wardle zadyszany od gniewu. – Pan jesteś...

– Kochany panie, mój kochany panie! – przerwał mały człowieczek, kładąc na stole swój kapelusz. — Proszę pana, uważaj pan. *Scandalum magnum...* – infamia... – sprawa o obrazę honoru... – Uspokój się pan, proszę.

– Jak pan śmiałeś uwozić moją siostrę z mego domu? – zaczął znowu pan Wardle.

– Tak, tak, bardzo dobrze – odrzekł mały człowieczek. – O to może go pan pytać. Jak pan śmiałeś uwozić jego siostrę, co, panie!

– A to co za diabeł! – krzyknął pan Jingle głosem tak gwałtownym, że mały człowieczek mimowolnie cofnął się o dwa czy trzy kroki.

– Co za diabeł? Łotrze! To mój adwokat, pan Perker. Perker! Chcę wytoczyć proces temu wagabundzie, chcę, aby go uwięziono... chcę... chcę... niech mnie Bóg skarże... chcę go zniszczyć. A ty – mówił dalej pan Wardle, zwróciwszy się do swej siostry – ty, Rachelo! W twoim wieku! Kiedy już powinnaś była znać świat! O czym myślałaś, uciekając z tym urwisem? Weź kapelusz i ubieraj się. Każcie sprowadzić powóz i podać rachunek tej pani.

– Jestem, panie! – odrzekł Sam, który na gwałtowne dzwonienie pana Wardle’a nadbiegł z szybkością mogącą się wydać podejrzaną każdemu, kto by nie wiedział, że całą tę scenę czyścibut widział przez dziurkę od klucza.

– Bierz kapelusz – powtórzył pan Wardle.

– Nie rób, pani, tego – zawołał Jingle. – Wynoś się pan stąd! Nie ma pan tu co robić. Dama jest wolna i jest panią swych czynów. Ma skończone dwadzieścia jeden lat.

– Dwadzieścia jeden lat! – zawołał pan Wardle z pogardą. – Ma więcej niż czterdzieści!

– Nieprawda! – zawołała ciotka-panna, której oburzenie przemogło chęć zemdlenia.

– Prawda – odrzekł pan Wardle. – Masz pięćdziesiąt lat, jak jeden dzień.

Ciotka-panna krzyknęła przeraźliwie i straciła przytomność.

Pan Pickwick ze zwykłą swą słodyczą przywołał gospodynię domu i poprosił o szklanekę wody.

– Szklanekę! – wrzasnął impetyczny starzec. – Przynieście wiadro i całe wylejcie na nią. To ją ochłodzi.

– Fe! Jaki z pana brutal! – zawołała ze współczuciem właścicielka hotelu. Potem, po mnóstwie wykrzykników w rodzaju: – Biedna kobiecina! Uspokój się, pani, uspokój! Wypij, pani, trochę tego, to panią wzmocni. Nie martw się, pani. Biedna istota! – itd. i przy pomocy służącej poczęła skraplać skronie ciotki-panny, trzepać ją po rękach, łaskotać w nos, rozsznurowywać gorset, słowem – robić wszystko, co robią czule matrony damom usiłującym mieć ataki nerwowe.

– Powóz gotów, panie – rzekł Sam ukazując się we drzwiach.

– No! Chodźmy! – rzekł pan Wardle. – A ją niech zanosą do powozu.

Na tę propozycję atak rozpoczął się z nową gwałtownością.

Już właścicielka hotelu miała zaprotestować przeciw takiemu postępowaniu i już nawet zapytała z oburzeniem, czy pan Wardle poczytuje sobie za pana wszelkiego stworzenia, gdy wmieszał się pan Jingle.

– Garson! – zawołał. – Sprowadź konstabla.

– Czekał pan! Czekał – rzekł mały Perker. – Zważ pan, że...

– Nie chcę na nic zważać – rzekł pan Jingle. – Ona jest niezależna. Zobaczmy, kto się ośmieli uprowadzić ją stąd wbrew jej woli.

– Nie chcę, by mnie uprowadzono – szepnęła omdlała dama. – Nie chcę! (Tu znów nastąpił okropny atak nerwowy).

– Moi kochani panowie – rzekł mały adwokat, biorąc na stronę pana Wardle’a i pana Pickwicka – znajdujemy się w położeniu bardzo krytycznym. Jest to wypadek przykry; nie znałem dotąd podobnie przykrego wypadku; bo, prawdę mówiąc, nie mamy żadnego prawa kontrolowania tej damy. Uprzedziłem, nim tu przyszedliśmy, moi kochani panowie, że nie ma innego sposobu, tylko ugoda.

– Jaką pan chce zrobić ugodę? – zapytał pan Pickwick.

– Widzi pan, kochany panie, przyjaciel pański jest w położeniu bardzo nieprzyjemnym, nadzwyczaj nieprzyjemnym. Powinien więc przystać na poniesienie pewnych strat pieniężnych.

– Wolę zapłacić aniżeli znosić taką hańbę! Niżeli cierpieć, by ta kobieta, chociaż wariatka, była nieszczęśliwa przez całe życie.

– Sądzę, że da się to ułożyć – rzekł mały, zakłopotany człowieczek. – Panie Jingle, czy nie zechce pan pójść z nami na chwilkę do sąsiedniego pokoju?

Pan Jingle przystał na to, poszli więc we czterech.

– Teraz, mój panie – rzekł mały człowieczek starannie zamykając drzwi – czy nie ma sposobu porozumienia się w tej sprawie? Chodź no pan tu, pod okno, rozmówimy się w cztery oczy. Tu, panie, tu! Siadaj pan. Teraz, kochany panie, między nami mówiąc, wiemy, kochany panie, żeś porwał tę damę z miłości do jej majątku. Niech pan nie marszczy brwi, kochany panie, to się na nic nie przyda. Mówię panu, że między nami mówiąc, my wiemy o tym. Obaj jesteśmy ludzie światowi i obaj wiemy bardzo dobrze, że nasi znajomi, tu obecni, nie są nimi. Prawda, panie?

Twarz pana Jingle’a rozjaśniała się stopniowo podczas tej przemowy, a nawet zdawało się, że lewa jego powieka jakby mrugnęła odrobinę.

– Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! – mówił dalej pan Perker, dostrzegłszy wrażenie, jakie sprawił. – Teraz faktem jest, że dama nie będzie miała nic albo nie bardzo wiele, aż do śmierci matki... osoby wielkiego zdrowia, kochany panie.

– Już stara! – odrzekł pan Jingle lakonicznie, ale z energią.

– Tak, to prawda – odrzekł adwokat, lekko odkaslnąwszy – ma pan słusność, kochany panie, już bardzo podeszła w latach. Ale pochodzi ze starej rodziny, kochany panie, starej w całym tego słowa znaczeniu. Przodek jej rodziny przybył do hrabstwa Kent za czasów inwazji Juliusza Cezara i od tego czasu jeden tylko z Wardle’ów nie dożył osiemdziesięciu pięciu lat i to dlatego tylko, że został ścięty z rozkazu króla Henryka. Stara dama ma dopiero siedemdziesiąt trzy lata, kochany panie.

Mały człowieczek zatrzymał się i zażył tabaki.

– A więc? – zapytał pan Jingle.

– A więc, kochany panie... Czy pan nie zażywa tabaki? Ma pan słusność, to kosztowne przyzwyczajenie. A więc, kochany panie, pan jesteś przystojny, światowy, na drodze do fortuny... Czy ma pan jaki kapitał?

– Co? – zapytał pan Jingle.

– Pan mię nie rozumie?

– Niezupełnie.

– Czy nie sądziłby pan... przechodzę do faktu, kochany panie, czyby nie był pan zdania, że pięćdziesiąt gwinei i wolność byłoby przyjemniejsze aniżeli miss Wardle i nadzieje?

– Niepodobna! – odrzekł pan Jingle wstając. – Dwa razy tyle byłoby też za mało.

– Nie, nie, kochany panie – odparł mały adwokat, zatrzymując go za guzik – to piękna, okrągła sumka. Człowiek taki jak pan może ją potroić w bardzo krótkim czasie. Z pięćdziesięcioma gwineami można zrobić niejedno, kochany panie.

– Ze stu pięćdziesięcioma jeszcze więcej – odrzekł zimno pan Jingle.

– No, no, kochany panie, nie traćmy czasu na rozszczepianie włosa na czworo. Powiedzmy... powiedzmy osiemdziesiąt!... – zdecydował adwokat.

– Mało!

– Czekał no pan, czekaj! Ile pan chce?

– Sprawa kosztowna – wydatki, konie pocztowe dziesięć gwinei, indult trzy gwinee – dwadzieścia, stracone korzyści sto gwinei – sto dwadzieścia. Strata honoru mojego i damy...

– No, no, kochany panie, no! – przerwał adwokat z ironiczną miną – nie mówmy o dwóch ostatnich artykułach. Wszystko razem czyni sto dwadzieścia gwinei. Niech będzie okrągłe sto.

– Sto dwadzieścia.

– No, no! Napiszę panu czek – rzekł mały człowieczek, siadając przy stole i biorąc się do pisania. – Czek płatny pojutrze; a przez ten czas zabierzemy damę? – dodał zapytując wzrokiem pana Wardle’a.

Ten kiwnął ponuro na znak zgody.

– Sto – powtórzył mały człowieczek.

– I dwadzieścia – dodał pan Jingle.

– Ale, kochany panie! – zawołał adwokat.

– Daj mu je pan – przerwał pan Wardle – i niech idzie do diabła razem z nimi!

Czek został napisany przez małego gentlemiana i schowany do kieszeni przez pana Jingle’a.

– Teraz wynoś się pan natychmiast! – zawołał pan Wardle, wstając.

– Mój kochany panie... – zaczął znowu adwokat.

– I wiedz pan o tym – ciągnął dalej pan Wardle nie zważając, że mu przerywano – i wiedz pan, że nic na świecie, nawet honor mojej rodziny, nie zmusiłby mnie do przystania na ten układ, gdybym nie miał tego przekonania, że im prędzej będziesz miał pieniądze, tym prędzej diabli cię wezmą.

– Mój kochany panie... – zaczął znowu perswadować adwokat.

– Siedz pan cicho – rzekł jego gniewny klient – a pan wynoś się...

– W drogę! Bez zwłoki! – odparł beznamietny pan Jingle. – *Adieu*, Pickwick!

Gdyby jaki bezinteresowny widz mógł widzieć przy końcu tej rozmowy zachowanie się znakomitego męża, którego nazwisko zdobi tytuł naszego dzieła, to zdziwiłby się, że ogień oburzenia tryskający mu z oczu nie stopił mu szkielek okularów. Nozdrza rozdęły mu się, pięści zacisnęły mimowolnie, gdy nędznik nazwał go tak familiarnie. Ale się pohamował i nie zmiażdżył go.

– Masz pan! – ciągnął dalej zatwardziały zbrodniarz, rzucając indult pod nogi pana Pickwicka. – Zmieńcie nazwisko, zabierzcie damę, przyda się dla Tuppy.

Pan Pickwick był filozofem. Ale, niech kto co chce mówi, i filozofowie nie są niczym więcej jak ludźmi odzianymi w zbroję mądrości.

Morderczy cios przebił filozoficzny pancerz naszego bohatera i głęboko zranił mu serce. W napadzie wściekłości pan Pickwick cisnął na chybił trafił kałamarzem, którym posługiwał się pan Perker, i sam rzucił się w tym kierunku. Ale przeciwnik jego znikł i pan Pickwick znalazł się w objęciach Sama.

– Oho! – zawołał znakomity czyścibut. – Ruchomości muszą być niedrogie w pańskich okolicach. Oto atrament sam piszący. Wypisał na ścianie nazwisko pana. Teraz daj pan pokój! Na co się zdało biec za człowiekiem, który jest już na pewno na drugim końcu Borough?

Umysł pana Pickwicka, jak wszystkich osobistości prawdziwie wielkich, zawsze był dostępny perswazjom, a ponieważ rozumował mądrze i szybko, więc wystarczyło jednej chwili zastanowienia, by przekonać się o bezużyteczności tego gniewu. Pan Pickwick uspokoił się więc równie prędko, jak się wzburzył, i łagodnym wzrokiem spojrzął na swych przyjaciół.

Czy mamy tu przytaczać lamentacje panny Wardle, gdy się dowiedziała, w jaki sposób opuścił ją kochanek? Czyż mamy kreślić tu szczegółowo przebieg tej rozzwierającej sceny, tak ślicznie opisaną przez pana Pickwicka? Jego notatnik leży otwarty przed nami, niewielka żółta plama świadczy, ile mu łez wycisnęła sympatia dla ludzkości. Jedno słowo i notaty te będą w rękach drukarza. Ale nie! Oprzemy się tej myśli! Nie będziemy zasmucać czytelników obrazami okropnych cierpień.

Na drugi dzień ciężki powóz z Muggleton powiózł powoli i smutno dwóch przyjaciół i opuszczoną damę.

Cienie nocne od dawna już wszystko zaległy, gdy przybyli do Manor Farm.

## Rozdział jedenasty

### *opisujący inną podróż i odkrycie starożytnego zabytku oraz zawierający postanowienie pana Pickwicka asystowania przy wyborach – Rękopis starego księdza*

Całonocny wypoczynek wśród ciszy Dingley Dell, a rano godzina oddychania świeżym balsamicznym powietrzem wiejskim zatarły zupełnie u pana Pickwicka ślady znużenia, jakiego doznało jego ciało, i usunęły niepokój, który poruszył jego umysł. Od dwóch dni znakomity ten człowiek nie widział swych przyjaciół i uczniów, gdy więc wracając z przechadzki spotkał panów Winkle'a i Snodgrassa, błogie wzruszenie, z jakim podszedł do nich, by powiedzieć im „dzień dobry”, zaledwie zdołałaby pojąć pospolita wyobraźnia. Radość była obopólna. Bo któż, w samej rzeczy, mógł spoglądać na rozpromienione oblicze pana Pickwicka i nie doznać wielkiego wrażenia? A jednak zdawało się, że jakaś chmura zaciemnia czoła jego zwolenników. Mieli miny tajemnicze, niezwykle, a zarazem niepokojące. Wielki człowiek spostrzegł to, ale nie mógł odgadnąć przyczyny.

Uściskawszy ręce dwóch młodych ludzi i gorąco wygłosiwszy powitanie, pan Pickwick zapytał:

– Jak się ma pan Tupman?

Pan Winkle, do którego zwrócone były te wyrazy, nie dał żadnej odpowiedzi. Odwrócił głowę i zdawało się, pogrążył się w melancholijnym rozmyślaniu.

– Snodgrass – zaczął znowu pan Pickwick z ożywieniem – jak się ma nasz przyjaciel? Czy chory?

– Nie – odparł pan Snodgrass i łza zabłysła mu na czulej powiece, jak kropla deszczu na oknie. – Nie, nie jest chory.

Pan Pickwick spoglądał kolejno to na jednego, to na drugiego.

– Winkle, Snodgrass! – zawołał potem, dostatecznie napatrzywszy się. – Co to wszystko znaczy? Gdzie nasz przyjaciel? Co się stało? Powiedzcie, błagam was, zaklinam! Ale co mówię? Rozkazuję wam, mówcie!

W postawie i akcencie pana Pickwicka było tyle godności i powagi, iż niepodobna było opierać się.

– Opuścił nas – odrzekł pan Snodgrass.

– Opuścił? – zawołał pan Pickwick.

– Opuścił – powiedział pan Snodgrass.

– Gdzie jest? – zapytał pan Pickwick.

– Możemy tylko czynić pewne przypuszczenia na podstawie tego pisma – odrzekł pan Snodgrass, wyjmując z kieszeni list i wręczając go swemu mistrzowi. – Wczoraj rano, gdyśmy otrzymali wiadomość od pana Wardle'a, że powróci w nocy wraz ze swą siostrą, zauważyliśmy, że melancholia zaciemniająca duszę naszego przyjaciela jakby się jeszcze powiększyła. Wkrótce znikł. Na próżno szukaliśmy go potem przez cały dzień. Wieczorem masztalerz z zajazdu „Pod Koroną” w Muggleton przyniósł ten list. Przyjaciel nasz wrę-

czył go jeszcze rano, ale zalecił go nam oddać dopiero wtedy, gdy cienie nocy osłonią naturę.

Pan Pickwick otworzył list. Było to pismo pana Tupmana i zawierało, co następuje:

*Kochany Pickwicku!*

*Ty, który przebywasz w sferach wyższych nad ludzkie słabości, Ty nie wiesz, jaki cios fatalny w nas uderza, gdy opuszczanas istota cudna i czarowna, gdy staniemy się ofiarą potwora, który ukrywał przewrotność pod maską przyjaźni. Obyś tego nigdy nie doznał!*

*Listy, adresowane do oberży „Pod Skórzaną Butelką „w Cobham w Kent, będą mi odsyłane, jeśli tylko będę żył. Usuwam się z tej części świata, która stała mi się wstrętą. Jeżeli opuszczę świat zupełnie, pożałujcie mnie i przebaczenie mi. Życie, mój przyjacielu, stało się dla mnie nieznośne! Ogień palący w naszym wnętrzu jest jak hak, na którym wisi ogromny ciężar zabiegów i cierpienia świata; gdy tego ognia nam zabraknie, ciężar staje się zbyt wielki, byśmy go mogli udźwignąć, i znużeni, padamy na ziemię... Możesz to powiedzieć Racheli... Ach! to imię!...*

*Tracy Tupman*

– Jedziemy natychmiast – rzekł pan Pickwick, składając list. – W żadnym razie nie moglibyśmy tu pozostać po tym, co zaszło. Ale teraz obowiązkiem naszym jest odszukać przyjaciela.

Wypowiedziawszy te szlachetne słowa, pan Pickwick poszedł do domu.

O jego zamiarze wszyscy się wkrótce dowiedzieli. Prośby gospodarza, by się zatrzymał, były bardzo usilne, ale bezskuteczne.

– Ważne sprawy – odpowiedział – czynią mój wyjazd niezbędnym.

Był przy tym stary wikary.

– Więc postanowił pan opuścić nas? – rzekł do pana Pickwicka, biorąc go na stronę, a gdy filozof odparł twierdząco, dodał:

– Oto – powiedział stary gentleman – mały rękopis, który miałem nadzieję sam odczytać panu. Znalazłem go po śmierci jednego z moich przyjaciół, lekarza w szpitalu wariatów w naszym hrabstwie, pośród rozmaitych innych papierzysków, które mogłem wedle uznania przechować lub zniszczyć. Z trudem chce mi się wierzyć, by ten rękopis nie był sfałszowany, chociaż wiem z całą pewnością, że to nie jest pismo mego przyjaciela. Jednak, bez względu na to, czy to jest autentyczny utwór maniaka, czy powieść oparta tylko na bredzeniu chorego umysłu (co wydaje mi się bardziej prawdopodobne), proszę, przeczytaj pan i sam osądź.

Pan Pickwick wziął rękopis i pożegnał się z uprzejmym starcem po tysiącnych zapewnieniach szacunku i poważania.

Daleko trudniej było rozstać się z mieszkańcami Manor Farm, gdzie nasi podróżnicy byli podejmowani z taką gościnnością i takimi względami. Pan Pickwick ucałował młode panny. Chcielibyśmy powiedzieć – jak gdyby były jego własnymi córkami, ale porównanie to nie byłoby zupełnie dokładne, ponieważ w całowaniu tym było nieco więcej ognia. Uściskał starą damę z synowską czułością i wsunąwszy do ręki służącym realne dowody swej życzliwości, poklepał je po rumianych policzkach w sposób wielce patriarchalny. Następnie, jeszcze serdeczniejsze i jeszcze dłuższe oświadczenia wymieniono z samym gospodarzem i panem Trundle'em. Tymczasem pan Snodgrass znikł i kilkakrotnie trzeba go było wołać, zanim wyszedł z ciemnych korytarzy.

Wkrótce potem ukazała się miss Emilia, a oczy jej, zwykle tak błyszczące, były jakby nieco przyćmione. Na koniec trzej przyjaciele wyzwolili się z miłych objęć gospodarstwa i oddalając się powoli, rzucali poza siebie czułe spojrzenia. Utrzymują nawet, że pan Snodgrass rzucał w powietrze niezliczone mnóstwo całusów ku jakiemuś białemu przedmiotom i poruszającemu się w jednym z okien, aż do chwili, w której na skrócie ulicy stary



dom znikł podróżnym z oczu. Przedmiot, o którym mowa, był bardzo podobny do kobiecej chustki.

W Muggleton znajomi nasi wzięli powóz do Rochester, a gdy przybyli do tej miejscowości, boleść ich złagodniała dostatecznie, by mogli zjeść obiad ze smakiem. Wkrótce potem, zasięgnąwszy potrzebnych informacji o drodze, w którą mieli się udać, wolnym krokiem poszli do Cobham.

Był prześliczny wieczór czerwcowy. Drogę, wijącą się w cieniu lasu, ożywiały śpiew ptaków i orzeźwiający oddech wiatru, bluszcze i mchy zdobiły pnie starych drzew, ziemię pokrywała zielona murawa, miękka jak jedwabny kobierzec. Wyszędłszy z lasu podróżni nasi znaleźli się w otwartym parku, wśród którego wznosił się starożytny zamek, zbudowany w oryginalnym i malowniczym stylu czasów Elżbiety. Piękny i rozległy widok roztaczał się dokoła pomiędzy olbrzymimi dębami i wiązami, liczne stado sam pasło się na świeżej łące, a od czasu do czasu przestraszona łania przebiegła drogę lekka jak cień chmury szybko przesuwał się po krajobrazie oblanym gorącym światłem słońca.

– Gdyby wszyscy cierpiący na taką chorobę, jak nasz przyjaciel, schronili się do tej okolicy – rzekł pan Pickwick, spoglądając dokoła – to sądzę, że dawne przywiązanie do świata rychło by im powróciło.

– I ja tak sądzę – odpowiedział pan Winkle.

– Doprawdy – dodał pan Pickwick, gdy po półgodzinnym marszu stanęli we wsi – doprawdy, że miejsce to, chociaż wybrane przez mizantropa, jest, zdaje się, najpiękniejsze i najpočetnějsze ze wszystkich, jakie widziałem.

Pan Winkle i Snodgrass bez żadnych zastrzeżeń przyłączyli się do tych pochwał.

Wkrótce potem, wy pytawszy się o „Skórzaną Butelkę”, podróżnicy nasi skierowali się ku tej oberży, o dość dobrej powierzchowności jak na wiejską gospodę, i poszli dowiadywać się, czy nie ma tu gentlemiana nazwiskiem Tupman.

– Tomie – zawołała oberżystka – zaprowadź panów do sali. Pod przewodnictwem barczystego parobka trzej przyjaciele weszli do długiego, niskiego pokoju, którego ściany ozdobione były szeregiem starych portretów i oleodruków niezgrabnie kolorowanych; dokoła stało mnóstwo skórzanych krzeseł fantastycznego kształtu i o olbrzymich poręczach. U końca sali wyróżniał się stół, przykryty śnieżnej białości obrusem, przystrojony pulchnym drobiem, smażoną szynką, kuflem świeżego piwa itd. Przy tym to pończym stole siedział pan Tupman, bynajmniej nie mający miny człowieka, który usunął się od świata.

Ujrawszy swych przyjaciół położył nóż i widelec i podszedł ku nim z ponurą twarzą.

– Nie spodziewałem się widzieć was tutaj – powiedział ujawszy rękę pana Pickwicka. – Bardzo mi miło.

– Ach! – zawołał pan Pickwick, siadając i ocierając czoło spotniałe od przechadzki. – Skończ obiad, a potem wyjdziemy razem. Chcę rozmówić się z tobą, z tobą samym.

Pan Tupman spełnił, co mu zlecono, a pan Pickwick, odświeżywszy się porządnym łykiem piwa, czekał na przyjaciela. Nie więcej niż w godzinę załatwiono się z obiadem, po czym obaj wyszli razem. Przez pół godziny można ich było widzieć, jak chodzili po cmentarzu; przez ten czas pan Pickwick zwalczał postanowienie pana Tupmana. Zbyteczne byłoby przytaczać tu jego argumenty, jakież bowiem język zdoła oddać wyraz i siłę, które towarzyszyły całej akcji wielkiego mówcy? Niemniej zbyteczne jest mówić o tym, czy pan Tupman był już znudzony samotnością, czy też niepodobieństwem było oprzeć się wymownym naleganiom. Dość, że nie oparł się.

Niewiele go obchodziło – mówił – gdzie będzie wlec nędzne resztki swego istnienia; ale ponieważ jego przyjaciele przywiązują tyle wagi do jego skromnego współdziałania, przystanie na dzielenie z nimi ich prac.

Pan Pickwick uśmiechnął się, potem wymienili uścisk ręki i powrócili do swych towarzyszy.

W tej to właśnie chwili pan Pickwick zrobił nieśmiertelne odkrycie, które na zawsze pozostanie przedmiotem dumy jego przyjaciół i przedmiotem zazdrości wszystkich badaczy starożytności we wszystkich częściach świata. Wyszli za bramę oberży i nie zważając, dokąd idą, oddalili się nieco od wsi. Gdy wracali, wzrok pana Pickwicka padł na niewielki kamień, rozbity i na wpół zapadły w ziemię przed jedną z chat.

Pan Pickwick zatrzymał się.

– To szczególne! – powiedział.

– Co tu szczególnego? – zapytał pan Tupman, pilnie przypatrując się wszystkim otaczającym go przedmiotom, wyjąwszy ten, o który chodziło. – Co to jest?

Ten ostatni wykrzyknik wyrwał mu się z piersi na widok pana Pickwicka, który, zachwycony odkryciem, ukląkł przed małym kamieniem i chustką ścierał zeń kurz.

– Tu jest napis! – wykrzyknął pan Pickwick.

– Czy być może? – zawołał pan Tupman.

– Już widzę coś niecoś – mówił pan Pickwick, trzymając kamień z całą siłą i pilnie przypatrując mu się przez okulary – widzę krzyż i B, a dalej T. To bardzo ważne! – ciągnął dalej, wstając. – Jest to napis bardzo starożytny. Tego nie można zaniedbać.

To rzekłszy, pan Pickwick zastukał do drzwi chaty. Otworzył je wieśniak.

– Mój przyjacielu – uprzejmym tonem zapytał filozof – czy nie wiesz, skąd się tu wziął ten kamień?

– Nie, panie, nie wiem – odpowiedział grzecznie zapytany. – Był on tu długo przede mną i dawniej jeszcze, niż pamięta najstarszy człowiek w całej wsi.

Pan Pickwick z triumfem spojrzał po swych towarzyszach.

– Sądzę, że nie jesteś do niego bardzo przywiązany – mówił dalej, drżąc z niepokoju. – Nie miałbyś chyba nic przeciwko temu, by go sprzedać?

– O!... Ale któż go kupi? – odrzekł wieśniak, z wyrazem twarzy, o którym był pewno zdania, że jest bardzo przebiegły.

– Dam ci za niego natychmiast pół gwinei – rzekł pan Pickwick — jeżeli tylko zechcesz wydobyć go z ziemi.

Gdy wykopano mały kamień przy pomocy łopaty, pan Pickwick z wielką trudnością i ku zdumieniu całej wsi podniósł go własnymi rękami, zaniósł do oberży i starannie wymywszy położył na stole.

Radosne uniesienie pickwickczyków nie miało już granic, gdy ujrzeni, że pomyślny skutek uwieńczył ich cierpliwość i wytrwałość, mycie i odskrobywanie.

Kamień był kanciasty i nadłuczony, litery niekształtne, można jednak było wyczytać następujący fragment napisu:

B I L S  
T U M P  
S J E G  
O Z N  
A K

Źrenice pana Pickwicka zamigotały rozkoszą, gdy zasiadł przy stole i wzrokiem objął odkopany skarb. Dosięgnął najwyższego celu swej ambicji. W hrabstwie, o którym wiadomo, że posiada liczne zabytki starożytności, we wsi, w której istniały jeszcze pewne ślady dawnych czasów, on, prezydent Klubu Pickwicka, odkrył szczególnie ciekawy napis o niezaprzeczonej starożytności, który zupełnie uszedł uwagi wszystkich uczonych będących tu przed nim. Zaledwie mógł wierzyć własnym zmysłem.

– To – powiedział – skłania mię do kroków stanowczych. Jutro wracamy do miasta.

– Jutro! – wykrzyknęli jego zwolennicy, pełni uwielbienia.

– Jutro – powtórzył pan Pickwick. – Skarb ten powinien być bezzwłocznie umieszczony w miejscu, gdzie będzie go można należycie zbadać i dokładnie pojąć. Jeszcze inny powód zmusza mię do tego. Za kilka dni będą wybory do parlamentu w Eatanswill. Pewien gentleman, którego niedawno poznałem, pan Perker, jest agentem jednego z kandydatów. Będziemy oglądać i studiować scenę obchodzącą każdego, kto jest Anglikiem.

– Pojedziemy z panem! – zawołały razem trzy głosy, będące jakby jednym głosem.

Pan Pickwick powiódł wzrokiem dokoła. Przywiązanie i gorliwość jego uczniów zapaliły mu w głowie ogień entuzjazmu.

Czuł, że był ich mistrzem.

– Uczcijmy – zawołał – uczcijmy to szczęśliwe odkrycie przyjacielską uczcią.

Ta nowa propozycja również przyjęta została jednogłośnie. Pan Pickwick umieścił ważny kamień w sosnowej skrzynce, którą mu dała oberżystka, usiadł w fotelu przy wyższym końcu stołu, po czym cały wieczór poświęcono wesołości i rozmowom.

Już minęła jedenasta, godzina niezwykła dla małej wsi Cobham, gdy pan Pickwick udał się do przygotowanego dlań pokoju.

Zapalił firanki i postawiwszy świecę na stole, począł głęboko zastanawiać się nad wypadkami dwóch ubiegłych dni.

Miejsce i czas nadawały się do tego rodzaju rozmyślań, a pana Pickwicka wyrwał z nich dopiero odgłos kościelnego zegara z wolna wydzwaniającego północ. Pierwsze uderzenie obilo mu się o uszy w sposób uroczysty i zarazem ponury; ale gdy zegar umilkł, cisza wydała mu się nieznośna. Miał uczucie, jakby utracił drogiego przyjaciela. Jego nerwy były wzburzone; czuł to; rozebrał się więc prędko, postawił świecę na kominie i położył się.

Wszyscy doświadczali tego nieprzyjemnego stanu, w którym uczucie znużenia walczy na próżno z bezsennością. Taki był stan pana Pickwicka w tej chwili. Przewracał się z боку na bok, uporczywie trzymał oczy zamknięte, jakby w ten sposób chciał zwabić sen; wszystko na próżno. Czy pochodziło to z niezwykłego znużenia, jakiego doświadczył, czy z gorąca, czy grogu, czy od zmiany łóżka, dość że sen ciągle odbiegał od jego powiek, a myśli mimowolnie i uporczywie krążyły dokoła okropnych obrazów, które widział w jałdarnym pokoju, i starych baśni opowiadanych w ciągu wieczora. Po półgodzinnych próżnych usiłowaniach doszedł do przekonania, że nie zdoła usnąć.

Wstał więc i ubrał się częściowo. „Wszystko jest lepsze – pomyślał – niż leżeć tu, dręczony najstraszliwszymi fantazjami”. Wyjrzał przez okno – było okropnie ciemno. Począł chodzić tam i z powrotem po pokoju – czuł się jednak niezmiernie samotny.

Już kilka razy odbył drogę od okna do drzwi i z powrotem, gdy nagle przyszedł mu na myśl rękopis wikarego. Doskonała myśl! Choć nie był może bardzo interesujący, mógł go jednak ukołysać do snu! Wyciągnął go więc z kieszeni płaszcza, przysunął mały stolik do łóżka, poprawił światło, włożył okulary i zaczął czytać. Dziwny to rękopis – kartki jego były poplamione i wysmarowane. Także tytuł miał w sobie coś niesamowitego, a pan Pickwick nie mógł się powstrzymać, by nie rzucić strwożonych spojrzeń po pokoju. Po chwili zastanowienia zrozumiał jednak nierozsądną poddawanie się takim uczuciom. Znów poprawił światło i zaczął czytać, co następuje:

## RĘKOPIS WARIATA

Tak! Wariat! Przed kilku laty serce moje zmartwiało na dźwięk tego wyrazu! Dźwięk ten wzbudziłby we mnie strach, który nachodził mnie czasami... Krew z sykiem i drżeniem przeciskała mi się wtedy przez żyły, aż na skórze występowały zimne krople potu i dzwoniły, tłukąc się o siebie, drżące ze strachu kolana. Teraz go lubię! To piękne przezwisko. Pokażcie mi monarchę, którego gniewne zmarszczki czoła budzą kiedykolwiek strach

równy jak błysk oczu wariata – którego topór i stryczek byłyby równie pewne jak uścisk wariata. Ho! ho! wielka to rzecz – być wariatem! Żeby na ciebie patrzano przez żelazne kraty jak na dzikiego lwa! Szczerysz zęby, wyjesz przez całą długą noc, wesoło dzwonisz ciężkimi kajdanami, przewracasz się i koziółkujesz na sianie przy dźwiękach tej dziarskiej muzyczki! Hura! Niech żyje dom wariatów! Och, niezwykle to miejsce!

Pamiętam dni, kiedym się bał, że jestem obłąkany. Kiedy budziłem się ze snu i padałem na kolana błagając, żeby mi oszczędzono przekleństwa mego rodu... kiedy unikałem szczęścia i wesołości... kiedy ukrywałem się w samotności, przez długie, milczące godziny śledząc postęp, jaki robiła gorączka w moim zniszczonym mózgu. Wiedziałem, że obłęd wmieszał mi się w krew, wżarł się w szpik kości, że poprzednie pokolenie uniknęło zarazy i że ja jestem pierwszy, w którym ona znowu odżyje. Wiedziałem, że tak być musi; że tak zawsze było i będzie. I kiedym, wciśnięty w ciemny kątek gwarne go pokoju, patrzył, jak ludzie szepcą i zwracają na mnie oczy, wiedziałem, że rozmawiają o człowieku skazanym, skazanym na szaleństwo, i uciekałem, by myśleć w samotności.

Czyniłem tak latami. Długie, długie były to lata... Noce bywają długie, czasami bardzo długie – ale są niczym w porównaniu z niespokojnymi nocami i strasznymi snami, jakie przeżywałem wtedy. Na samo wspomnienie robi mi się zimno. Wielkie, ponure postacie z chytrymi, kpiącymi twarzami pełzały po kątach pokoju i pochylały się nocami nad moim łóżkiem. Kusily mię, żebym zwariował... Szeptaly mi, że posadzka w starym domu, w którym umarł mój dziadek, przesiąknięta jest jego krwią, przelaną jego własnymi rękami w przystępie szaleństwa. Zatykałem uszy palcami, ale krzyczały mi nad głową, aż cały pokój drżał od ich wrzasku, że w pokoleniu poprzedzającym dziadka obłęd ścichł, ale że dziadek żył długie lata z rękoma przykutymi do ziemi, z obawy, żeby nie rozszarpał sam siebie w kawały. Wiedziałem, że mówią prawdę, wiedziałem dobrze. Dowiedziałem się o tym dawno, chociaż starali się to ukryć przede mną.

Ha! ha! Byłem chytry! Za chytry dla nich, chociaż uważali mię za wariata.

Nareszcie przyszło to na mnie. Nie rozumiem, czego się bałem. Teraz mogłem dopiero żyć między ludźmi, śmiać się i bawić z nimi w najlepsze! Wiedziałem, że jestem obłąkany, ale oni nawet nie podejrzewali tego! Jakże się cieszyłem na myśl, że spletałem im figła za te wszystkie szeptany, za te miny, kiedy jeszcze nie byłem obłąkany! Wtedy tylko bałem się, że zwariuję! Jakże śmiałem się wesoło sam do siebie na myśl, że tak doskonale umiem zachować tajemnicę! Że moi kochani przyjaciele opuściliby mię natychmiast, gdyby dowiedzieli się prawdy! Wstrzymałem się, żeby nie krzyczeć z uniesienia, kiedy podczas obiadu z którymś z przyjaciół przychodziło mi nagle na myśl, jak by ten człowiek zbladł i szybko uciekł, gdyby wiedział, że jego drogi przyjaciel jest wariatem! Że posiada on całą siłę wariata i połowę chęci zatopienia ostrego noża w jego sercu! O, to było wesołe życie.

Posypały się na mnie bogactwa, otoczył mię dobrobyt. Używałem. A radość moją tyśiąckrotnie zwiększała świadomość, że dobrze ukrywam tajemnicę... Odziedziczyłem majątek. Prawo – nawet sokolookie prawo – pozwoliło się oszukać i oddało spore tysiące w ręce wariata! Gdzie był spryt ludzi zdrowych na umyśle?! Gdzież zręczność prawników, umiejętność wynajdywania kruczków?! Chytrność wariata oszukała wszystkich.

Miałem pieniądze. Jak ubiegano się o moje względy! Traciłem je. Jak mię za to chwailono! Jak ci trzej pyszni bracia poniżali się przede mną! Stary, siwowłosy ojciec również. Co za nagła zmiana! Tyle szacunku! Tyle przyjaźni! Ubóstwiał mię! Stary miał córkę, młodzi siostrę, wszyscy pięcioro byli niezamożni. Ja byłem bogaty. Kiedy ożeniłem się z panienką, widziałem uśmiech triumfu na twarzach jej ubogich krewnych. Zastanawiali się nad swoim chytrym planem i piękną nagrodą, jaka ich spotka. To ja mogłem się uśmiechać! Uśmiechać? Śmiać się mogłem i rwać włosy, i tarzać się po ziemi z uciechy! Nie przypuszczali, że wydali ją za wariata!

Stój! Gdyby wiedzieli – czy byłiby ją oszczędzili? Szczęście siostry przeciw pieniądzom szwagra... Piórko, które rzucam na wiatr, przeciw ciężkim kajdanom zdobiącym moje ciało...

W jednym dałem się podejść... mimo całej swojej chytrości. Gdybym nie był obłąkany – chociaż my, wariaci, jesteśmy sprytni, pomimo to czasem dajemy się oszukać – wiedziałbym, że lepiej byłoby dla dziewczyny, gdyby złożyli ją w ciasnym i zimnym grobie, niż to, że wprowadziłem ją jako godną zazdrości małżonkę do mego bogatego, kapiącego od złota domu. Wiedziałbym, że serce jej należy do innego, ciemnookiego chłopca, którego imię szepnęła kiedyś w niespokojnym śnie. I wiedziałbym, że ją poświęcono, aby ochronić od nędzy siwowłosego starca i trzech pysznych braci!

Nie pamiętam dziś postaci ani twarzy, ale wiem, że była prześliczna. Wiem. W ciche księżycowe noce, kiedy budzę się ze snu, a wszystko wkoło mnie dyszy spokojem, widzę ją, jak stoi bez ruchu w kącie mojej celki... Wysmukła postać z długimi, czarnymi włosami spływającymi po plecach. Nieziemski powiew rozwiewa jej sploty, a oczy utkwione we mnie nie drgają i nie zamykają się...

Ha! Krew nabiega mi do serca, gdy to piszę! To postać jej! Twarz jej bardzo blada, a oczy wielkie, szkliste! Znam je dobrze... Postać ta nie rusza się nigdy. Nigdy nie marszczy się ani nie drży, jak ci wszyscy, którzy zapełniają ten dom... ale jest dla mnie straszliwsza od nich, straszliwsza nawet od upiorów, które straszły mnie przed wielu laty. Przychodzi wprost z grobu... i tak przypomina śmierć...

Przez rok blisko patrzyłem, jak twarz ta blednie. Przez rok blisko patrzyłem na łzy spływające po smutnych policzkach. I nigdy nie znałem powodu. Wreszcie odkryłem go. Nie kochała mnie nigdy. Nie myślałem, że jest inaczej! Ale ona nienawidziła mojego bogactwa, gardziła dobrobytem, którym ją otoczyłem. Tego nie oczekiwałem! Kochała innego. To nigdy nie przyszło mi do głowy. Dziwne uczucie ogarnęło mnie i myśli, narzucone tajemną siłą, wirowały mi w mózgu. Nie nienawidziłem jej, chociaż nienawidziłem chłopca, którego wciąż opłakiwała. Litowałem się – tak, litowałem się nad marnym życiem, na które skazali ją jej zimni i pyszni krewni! Wiedziałem, że nie może żyć długo, ale myśl, że przed śmiercią da życie innej istotce, z góry skazanej na zagładę, istotce napiętnowanej od urodzenia szaleństwem – przyspieszyła moją decyzję. Postanowiłem ją zabić.

Przez wiele tygodni myślałem o truciznie. Potem o rzece, potem o ogniu. Piękny byłby to widok: nasz wielki dom w płomieniach i żona wariata rozsypująca się w popiół! Jakie by to było zabawne! Wyznaczono by wielką nagrodę za wyratowanie jej i zdrowy na umyśle człowiek rzuciłby się w płomień – a wszystko przez chytrość wariata! Często myślałem nad tym, ale w końcu porzuciłem ten plan. Och, ta radość ostrzenia brzytwy – dzień po dniu próbowania ostrza, rozkosz myślenia, jaką zada ono ranę.

Wreszcie upiory, które tyle razy szeptały mi już nad uchem, że czas nadszedł, włożyły mi do rąk otwartą brzytwę. Ująłem ją mocno. Ostrożnie wyszedłem z łóżka i pochyliłem się nad moją śpiącą żoną. Twarz miała ukrytą w dłoniach. Usunąłem je delikatnie... opadły na piersi... Płakała... ślady łez widniały jeszcze na policzkach. Była spokojna i pogodna. Nawet uśmiechała się, kiedy na nią spojrzałem. Delikatnie położyłem jej dłoń na ramieniu. Drgnęła. To nie był sen... drzemała... Nachyliłem się bliżej. Krzyknęła i zbudziła się.

Jeden ruch mojej ręki, a nigdy z ust jej nie wyrwałby się jęk ani krzyk. Ale ja stropiłem się – cofnąłem się. Oczy jej utkwione były we mnie. Nie wiem dlaczego, ale lękałem się, bałem się tych oczu! Wiłem się pod ich spojrzeniem. Wstała z łóżka, wciąż patrząc na mnie. Drżałem. Nie śmiałem się ruszyć. Brzytwę trzymałem w ręce. Skierowała się ku drzwiom. Odwróciła się i oderwała oczy od mojej twarzy. Urok przestał działać. Podbiegłem i schwyciłem ją za ramię. Krzycząc, upadła na podłogę.

Teraz mogłem ją spokojnie zabić. Ale w domu powstał hałas. Słyszałem odgłosy kroków na schodach. Schowałem brzytwę, otworzyłem drzwi i głośno wołałem o pomoc.

Weszli, podnieśli ją i ułożyli na łóżku. Leżała bez ducha przez wiele godzin. A kiedy wróciło jej życie, spojrzenie i mowa, rozsądek opuścił ją i zaczęła dziko majaczyć.

Sprowadzono lekarzy. Wielcy panowie, którzy zajeżdżali przed mój dom doskonałymi powozami, zaprzężonymi we wspaniałe konie, w asyście wytwornej służby. Przez wiele tygodni nie odstępowali jej łoża. Zwołali wielkie konsylium, naradzali się przyciszonymi i uroczystymi głosami. Jeden z nich, najznakomitszy i najmądrzejszy, wziął mię na stronę i ostrożnie przygotował na cios: oznajmił mnie, wariatowi, że żona moja jest obłąkana. Stał blisko mnie w otwartym oknie, patrzył mi w oczy, dotykał mego ramienia. Bez wysiłku mogłem go wyrzucić na ulicę. Byłaby to znakomita zabawa. Ale chodziło mi o moją tajemnicę, więc pozwoliłem mu odejść. W parę dni później powiedzieli mi, że muszę ją otoczyć specjalną opieką. Ja! Wyszedłem w otwarte pole, gdzie nikt nie mógł mię słyszeć, i śmiałem się do rozpuku!

Umarła nazajutrz. Siwowłosy starzec poszedł za nią do grobu. Dumni bracia wylali parę łez nad ciałem tej, której cierpienia śledzili za życia, jakby mieli żelazne nerwy. Wszystko to było strawą dla mojej tajemniczej radości; jadąc do domu śmiałem się za moją białą chustką, aż łzy nabiegały mi do oczu!

Ale chociaż dopiąłem celu i zabiłem ją, niespokojny byłem i nieswój. Czułem, że tajemnica moja musi się niedługo wydać. Nie mogłem ukryć dzikiej radości i zadowolenia, które gotowało się we mnie i kazało mi, gdy sam byłem w domu, skakać, klaskać w ręce i głośno krzyczeć. Kiedy wychodziłem i patrzyłem na ludzi, albo w teatrze, kiedym słuchał muzyki i patrzył na tańczących, rozpierała mnie taka radość, że gotów byłem rzucić się między nich i szarpać ich w kawały. Alem zaciskał zęby. Mocno opierałem się nogami o podłogę. Wpijałem ostre paznokcie w ręce. Ukrywałem radość. Nikt nie wiedział jeszcze, że byłem wariatem.

Pamiętam – jest to jedna z ostatnich rzeczy, jakie pamiętam – bo teraz mieszam rzeczywistość ze snami, mam ciągle mnóstwo roboty, ciągle mi się śpieszy i nie mogę odzielić snu od rzeczywistości – taka dziwna mieszanina się z nich wytworzyła – pamiętam, jakem się ostatecznie zdradził. Ha! Ha! Zdaje mi się, że jeszcze teraz widzę ich przerażone spojrzenia, czuję łatwość, z jaką odtrącam ich, siłę, z jaką waliłem pięściami w ich pobladłe twarze... A potem uciekłem szybko jak wichur – a oni z krzykiem biegli za mną. Kiedy dziś pomyślę o tym, czuję w sobie siłę olbrzyma. Patrzcie, jak te żelazne sztaby gną się w moich rękach. Mógłbym je zgąć łatwo jak gałązkę, ale tyle tu jest długich galerii i tyle drzwi, nie wiem, czy nie błędzę. Ale nawet gdybym się wydostał, wiem, że na dole są żelazne drzwi i wrota, że je zamykają. Wiedzą, jaki ja jestem mądry wariat, są dumni, że mię tu mają, chcą mię pokazywać innym!

Niech sobie przypomnę. Tak. Wychodziłem. Wróciłem do domu. Późno. Najdumniejszy z trzech braci czekał na mnie. – Ważne sprawy – powiedział. Dobrze pamiętam. Nienawidziłem tego draba całą nienawiścią wariata. Wiele, wiele razy ręce mię swędziły, by z nim skończyć! Powiedziano mi, że przyszedł. Szybko pobiegłem na górę! Chciał mi powiedzieć słówko. Odesłałem służbę. Było późno. Zostaliśmy sami. Pierwszy raz!

Z początku starannie odwracałem od niego oczy: wiedziałem, że myśli (jakże mię to cieszyło!), iż szaleństwo pali się w nich jak ogień. Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Wreszcie przemówił. Moje hulanki i dziwne uwagi, na które pozwalałem sobie bezpośrednio po śmierci jego siostry, obrażają jej pamięć. Łącząc rozmaite szczegóły dochodzi do przekonania, że ją krzywdziłem. Pragnie wiedzieć, czy postanowiłem nadal obrażać jej pamięć i hańbić jej rodzinę. Pytanie to każe mu zadać mundur, jaki nosi!

Człowiek ten miał jakiś urząd w armii, kupiony za moje pieniądze i nieszczęście jego siostry. Człowiek ten stał na czele sprzysiężenia, które miało mię usidlić i zagrabić moje dobra. Ten człowiek był głównym narzędziem zmuszenia siostry do poślubienia mnie!

Dobrze wiedział, że serce oddała tamtemu chłopcu! Jego mundur! Była to liberia jego degradacji! Utkwiłem w nim oczy, nie mogłem inaczej, ale nie powiedziałem ani słowa.

Zauważyłem zmianę, jaka zaszła w nim pod moim spojrzeniem.

Był odważny, ale krew odpłynęła mu z twarzy i odsunął swoje krzesło. Przysunąłem swoje. Gdy się zaśmiałem... było mi bardzo wesoło... zauważyłem, że drży. Bał się mnie.

– Bardzo kochałeś siostrę, póki żyła – powiedziałem. – Bardzo.

Obejrzał się niepewnie. Widziałem, że chwycił za poręcz krzesła.

– Ty łotrze! – krzyknąłem. – Znam cię! Odkryłem twoje piekielne zamiary! Wiem, że serce oddała innemu, zanim zmusiłeś ją do poślubienia mnie! Wiem! Wiem!

Krzyczałem raczej, niż mówiłem. Czulem, jak ogień biegnie mi przez żyły, a dobrze znane upiory szepcą, żebym mu wyrwał serce.

– Niech cię piekło pochłonie! – zawołałem i rzuciłem się na niego: – Zabiłem ją! Jestem wariat! Giń! Krwi! Krwi! Chcę twojej krwi!

Odbiłem krzesło, którym rzucił we mnie ze strachu. Zwarłem się z nim, z hałasem upadliśmy na posadzkę.

Piękna to była walka. Bo był wysoki, silny i walczył o życie. A ja, silny jak każdy wariat, pragnąłem go zabić. Wiedziałem, że nie ma siły równej mojej, nie myliłem się. Nie myliłem się – znowu! Chociaż wariat! Bronił się coraz słabiej. Ukląłem na nim. Dwoma rękami ścisnąłem mu gardło. Twarz jego stała się purpurowa. Oczy wyszły z orbit... Wywieszony język zdawał się urągać mi... Ścisnąłem silniej...

Drzwi otworzyły się nagle. Z hałasem wbiegli jacyś ludzie. Krzyczeli do siebie głośno, żeby ująć wariata.

Tajemnica się wydała. Teraz walczyłem o swobodę i wolność. Zerwałem się, zanim ktoś zdążył dotknąć mnie ręką, rzuciłem się między napastników, utorowałem sobie drogę silnym ramieniem, jak gdybym miał topór w rękę. Dopadłem do drzwi. Zbiegałem ze schodów. W jednej chwili byłem na ulicy.

Biegłem szybko. Nikt nie śmiał mię zatrzymać. Słyszałem za sobą odgłos biegnących kroków, zdwoiłem szybkość. Ale słabłem coraz bardziej i w końcu czułem, że umieram. Alem pędził przez błota i strumyki, przez płoty i mury, z dzikim krzykiem, który podchwytowały dziwaczne istoty uwijające się koło mnie, aż zappełniło się nimi całe powietrze... Czulem, że płynę na ramionach demonów, a demony niesie wiatr, iż płynę z taką szybkością, że mi się aż w głowie mąci...

Wreszcie rzuciły mię z rozmachem na ziemię... Kiedym się rozbudził, znalazłem się w tej oto celi, dokąd słońce zagląda rzadko, a księżyc czasami tylko po to, by wyraźniej rysowały się cienie i ciemne postacie po kątach. Kiedy leżę i nie śpię, słyszę dziwne krzyki i jęki ze wszystkich stron. Co to jest – nie wiem. Nie wydaje ich jednak ta blada postać... Ani ich nie słyszy... Od wczesnego zmierzchu do pierwszego brzasku stoi nieruchomo w tym samym miejscu, słuchając muzyki moich żelaznych kajdan i patrząc, jak rzucam się na moim posłaniu ze słomy...

Rękopis kończył się następującym dopiskiem – inną ręką:

Nieszczęśliwy, którego szaleństwo zostało opisane powyżej, służyć może za smutny dowód, do jak zgubnych rezultatów prowadzi źle w dzieciństwie skierowana energia oraz wybryki młodości, pociągające za sobą konsekwencje, których nigdy niepodobna naprawić. Bezmyślne hulanki, zabawy i wybryki lat młodzieńczych spowodowały gorączkę i delirium. Pierwszym przejawem tego ostatniego było dziwaczne przypuszczenie oparte na dobrze znanej teorii medycznej, gorąco bronionej przez jednych, a zwalczanej przez innych, że obłęd był dziedziczny w jego rodzinie. Rezultatem tego było stałe zamroczenie umysłu, chorobliwe zaćmienie, które ostatecznie przeszło w ostry szal. Mamy pewne dane, by przypuszczać, że opis wypadków, aczkolwiek zmienionych w chorobliwej wyobraźni, odpowiada rzeczywistości. Dziwne się tylko wydaje tym, którzy znali wybryki jego mło-

dości, że namiętność, nie kontrolowana przez rozsądek, nie doprowadziła go do wielu innych, równie okropnych czynów.

Świeca zgasła panu Pickwickowi w chwili, gdy skończył czytać rękopis wikarego. Ponieważ zgasła nagle, bez uprzedniego drżenia i skwierczenia, wywarło to niemałe wrażenie na filozofie. Szybko zrzucił te części ubrania, które był włożył na siebie, gdy się zerwał ze swego niewygodnego łóżka, i obejrzawszy się dookoła z niepokojem, wskoczył do łóżka, po czym natychmiast zasnął.

Gdy się obudził, było już późno, a słońce wspaniale świeciło w jego sypialni. Smutek, który go tak dręczył z wieczora, znikł wraz z ciemnością nocy; myśli i uczucia pana Pickwicka były tak wesołe jak sam poranek. Po należyтым śniadaniu czterej filozofowie w towarzystwie człowieka niosącego kamień w sosnowej skrzynce skierowali się ku Gravesend, skąd rzeczy swe wysłali do Rochester. Około pierwszej stanęli w Gravesend (rzeczy kazali już z Rochester wysłać do Londynu) i szczęśliwym trafem znaleźli jeszcze miejsca w dylizansie, tak że cali i zdrowi stanęli w swym rodzinnym mieście tego jeszcze wieczora.

Trzy czy cztery dni następne upłynęły na niezbędnych przygotowaniach do podróży do miasta Eatanswill; ale ponieważ ważna ta wyprawa wymaga osobnego rozdziału, więc pozostałego tu miejsca użyjemy na określenie w niewielu słowach historii zabytku odkrytego przez pana Pickwicka.

Z pamiętników klubu dowiadujemy się, że pan Pickwick mówił o swym odkryciu na ogólnym zebraniu klubu, które odbyło się nazajutrz po jego przybyciu i na którym zachwyił umysły swych słuchaczy mnóstwem genialnych i uczonych pomysłów dotyczących treści napisu. Z pamiętników dowiadujemy się także, że pewien zręczny artysta wykonał rysunek kamienia, który potem odlitografowano i przedstawiono Królewskiemu Towarzystwu Badaczy Starożytności w Londynie tudzież innym uczonym towarzystwom; że zazdrość i współzawodnictwo zrodziło mnóstwo zdań sprzecznych z sobą w tym względzie; że sam pan Pickwick napisał broszurę obejmującą dziewięćdziesiąt sześć stronic bardzo drobnego druku, w której znaleźć można dwadzieścia siedem stronic rozmaitych wersji napisu. Dalszym następstwem tego było, że trzech członków klubu wydziedziczyło swych pierwotnych synów i zapisało im tylko prawnie zastrzeżonego szylinga, a to dlatego, ponieważ wazyli się podać w wątpliwość archeologiczną wartość odkrycia; że pewien entuzjastyczny zwolennik badań nad starożytnościami pozbawił się życia z rozpacz, gdyż nie mógł odgadnąć sensu napisu, że pan Pickwick mianowany został członkiem siedemnastu uczonych towarzystw, tak krajowych, jak i zagranicznych, za dokonanie powyższego odkrycia; że żadne z siedemnastu uczonych towarzystw nie mogło zrozumieć w napisie ani joty i dlatego wszystkie zgodziły się na to, iż zabytek jest niezmiernie ciekawy.

Prawda, że pan Blotton (nazwisko jego będzie w wiecznej pogardzie u wszystkich uprawiających to, co jest tajemnicze a szczytne), że pan Blotton, powiadamy, drobiazgowy i niedowierzający, jak zwykle umysły pospolite, pozwolił sobie zapatrywać się na całą sprawę z punktu widzenia zarazem ubliżającego, jak i śmiesznego. Pan Blotton w nikczemnym zamiarze zaćmienia świetnego imienia Pickwicka przedsięwziął we własnej osobie podróż do Cobham, a po powrocie pozwolił sobie ironicznie oświadczyć w klubie; iż widział wieśniaka, u którego kupiono kamień, że człowiek ten uważał go rzeczywiście za stary, ale najuroczyściej zaprzeczał starożytności napisu i zapewniał, że sam wyrył w wolnych chwilach te najkształtniejsze litery, które po prostu znaczyły Bil Stumps (takie nosił nazwisko), jego znak. Pan Blotton dodawał, że Stumps, nie bardzo biegły w ortografii, porozdzielał niewłaściwie wyrazy.

Członkowie Klubu Pickwicka, jak się można było tego spodziewać po tak znakomitym i uczonym stowarzyszeniu, wysłuchali tej historii z pogardą, na jaką zasługiwała; następnie wypędzili upartego nieuka Blottona, panu Pickwickowi zaś ofiarowali złote okulary jako



dowód swego uwielbienia i zaufania. W uznaniu tego pan Pickwick kazał wymalować się w całej postawie i w sali zgromadzeń klubu zawiesić ten swój portret, którego, nawiasem mówiąc, nie miał żadnej ochoty potem usunąć, gdy jego model po kilku latach znacznie się postarzał.

Pan Blotton został wydalony, ale nie przyznał się do przegranej. Siedemnastu towarzystwom uczonym przesłał on broszurę, w której powtórzył wyżej wspomnianą historię i dość jasno udowodnił, że członków wszystkich siedemnastu uczonych towarzystw uważa za wielkich niedołęgów.

Na taką bezczelną konkluzję siedemnaście towarzystw opanowało zrozumiałe wzburzenie i pojawiło się mnóstwo nowych broszur. Uczone towarzystwa zagraniczne korespondowały z uczonymi towarzystwami krajowymi, uczone towarzystwa krajowe przetłumaczyły na język angielski broszury zagranicznych towarzystw uczonych; uczone towarzystwa zagraniczne przetłumaczyły na wszelkie języki broszury uczonych towarzystw krajowych, i tak to zaczął się ów uczony spór, znany całemu światu pod nazwą „kontrowersji pickwickowskich”.

Potwarcze usiłowania, których celem było przyćmienie pana Pickwicka, spadły na głowę nikczemnego ich twórcy. Siedemnaście uczonych towarzystw jednogłośnie uznało, że uparty Blotton był niczym więcej jak tylko zarozumiałym nikczemnikiem, i napisały przeciw niemu mnóstwo pamfletów. Koniec końców, kamień istnieje dotąd – nieczytelny pomnik wielkości pana Pickwicka i drobiazgowości jego antagonistów.

## Rozdział dwunasty

*zawiera bardzo poważne postanowienia pana Pickwicka stanowiące epokę zarówno w jego życiu, jako też i w niniejszej historii*

Chociaż niezbyt obszerne, mieszkanie pana Pickwicka przy ulicy Goswell było za to czyste i wygodne, przede wszystkim zaś pozostawało w doskonałej harmonii z jego geniuszem spostrzegawczym. Jego bawialny pokój znajdował się na dole, sypialnia na pierwszym piętrze od frontu, w ten sposób, czy był na dole, czy też przed zwierciadłem do górnika na górze, mógł w równej mierze badać naturę ludzką we wszystkich jej fazach, i to w miejscu, które nieustannie roztaczało przed nim bujne życie ludu ulicznego. Gospodyni jego, pani Bardell, niepokieszona wdowa i jedyna egzekutorka testamentu swego nieboszczyka męża, była to kobieta pulchna, o powabnym obliczu, wiecznie czymś zajęta. Do tych zalet fizycznych dodać należy cenne jej przymioty moralnej natury: wskutek szczęśliwych studiów i długiej praktyki przeistoczyła ona w wytworny talent owo szczególne uzdolnienie, jakie otrzymała od natury, ów dar do wszystkiego, co dotyczyło kuchennej umiejętności. W domu jej nie było ani dzieci, ani kur, ani służących. Jeden wielki człowiek i jeden mały chłopiec uzupełniali liczbę mieszkańców. Pierwszym był nasz bohater, drugim własne dzieło samej pani Bardell. Wielki człowiek powracał do domu punktualnie o godzinie dziesiątej wieczorem i wkrótce potem zanurzał się we francuskim łóżku. Co do młodego Bardella, to jego dziecięce gry i gimnastyczne ćwiczenia były ograniczone wyłącznie do przestrzeni sąsiednich chodników i rynsztoków. Czystość więc i spokój panowały w całym budynku, a wola pana Pickwicka stanowiła w nim prawa.

Rano, w przeddzień zamierzonego wyjazdu do Eatanswill, postępowanie naszego filozofa musiało wydawać się szczególnie tajemnicze i niewytłumaczone każdemu, kto znał jego podziwiania godną równość charakteru i jego domowe zwyczaje. Przechadzał się po swoim pokoju krokiem przyśpieszonym. Co trzy minuty wysuwał głowę przez okno, ciągle spoglądał na zegarek i okazywał rozmaite inne symptomy zniecierpliwienia, bardzo u niego niezwykle. Widocznie zanosilo się na fakt wielkiej wagi. Ale cóż to mógł być za fakt? Sama pani Bardell odgadnąć tego nie umiała.

– Pani Bardell – rzekł wreszcie pan Pickwick, gdy miła ta dama miała już skończyć strzeptywanie kurzu, za długo trwające w pokoju filozofa.

– Co, panie? – odrzekła pani Bardell.

– Syn pani długo coś nie wraca.

– To prawda, ale też stąd do Borough kawał drogi.

– A tak – odpowiedział pan Pickwick i znowu zapadł w milczenie.

– Pani Bardell – zaczął po kilku minutach.

– Co, panie?

– Czy sądzi pani, że utrzymanie dwóch osób kosztuje więcej niż jednej?

– O! Panie Pickwick! – odrzekła pani Bardell, rumieniąc się aż do sztarek swego czepka, gdyż zdawało się jej, że dostrzegła w oczach swego lokatora coś jak matrymonialne mruganie. – O! Panie Pickwick, co za pytanie!

– No, jak pani myśli?

– To zależy – odpowiedziała pani Bardell, przysuwając trzepaczkę w kierunku łokcia pana Pickwicka – więc zależy, jak panu wiadomo, od osoby i jeżeli jest to osoba dbała i oszczędna...

– Wielka prawda! Ale osoba, którą mam na myśli (tu spojrzął na panią Bardell), posiada, jak sądzę, te przymioty. Ma przy tym wielką znajomość świata i wiele sprytu. Będzie mi niezmiernie przydatna.

– O! Panie Pickwick! – szepnęła pani Bardell, znów rumieniąc się.

– Jestem o tym przekonany! – mówił dalej filozof ze wzrastającą energią, jak to się zwykle działo, gdy mówił o przedmiocie zajmującym – jestem tego pewny i jeżeli mam powiedzieć całą prawdę, pani Bardell, to już rzecz postanowiona.

– Wielki Boże! – krzyknęła pani Bardell.

– Może pani wyda się to dziwne – mówił dalej ujmujący pan Pickwick, rzucając na kobietę wzrok pełen zadowolenia – może wyda się pani dziwne, że nie zasięgałem jej rady w tym względzie i nawet nigdy o tym nie mówiłem aż do chwili, w której wyprawiłem jej syna?

Pani Bardell mogła tylko wzrokiem odpowiedzieć na to, od dawna bowiem wielbiła już pana Pickwicka jak bóstwo, do którego nie godziło się jej nawet przybliżyć; i oto naraz bóstwo zstępuje ze swego piedestału i bierze ją w objęcia. Pan Pickwick robił jej po prostu propozycję, która była wynikiem obmyślanego planu, gdyż wysłał jej małego chłopca do Borough, by zostać z nią sam na sam. Co za delikatność! Jakie względy!

– No – rzekł filozof – co pani myśli o tym?

– Ach? Panie Pickwick – odrzekła pani Bardell, drżąc ze wzruszenia – pan jest bardzo dobry!

– To pani zaoszczędzi pracy, prawda?

– O! Nigdy nie myślałam o tym; zresztą będę pracować więcej niż kiedykolwiek, by się przypodobać panu. Ale pan jest taki dobry! Pan pomyślał o mojej samotności!

– A! Prawda! Nie pomyślałem o tym... Gdy będę w mieście, będziesz pani miała zawsze z kim porozmawiać. Tak, tak!

– To pewna, że powinnam poczytywać się za kobietę bardzo szczęśliwą.

– A syn pani?

– Niech Bóg błogosławi to kochane dziecko! – przerwała pani Bardell w macierzyńskim uniesieniu.

– On także będzie miał towarzysza – ciągnął dalej pan Pickwick, wdzięcznie uśmiechając się – i to wesołego towarzysza, który, jestem tego pewny, nauczy go więcej figłów w jednym tygodniu, aniżeli sam nauczył się w ciągu roku.

– O! Co za drogi człowiek – szepnęła pani Bardell.

Pan Pickwick zadrżał.

– O! Drogi przyjacielu!

I bez dalszych ceremonii dama zerwała się z krzesła, objęła rękami szyję pana Pickwicka, czemu towarzyszył potok łez i nawałnica szlochów.

– Niech mnie Bóg ma w swej opiece! – zawołał pan Pickwick, zdumiony niesłychanie.

– Pani Bardell! Dobra pani! Boże Wszechmocny! Co za położenie! Ależ pani, proszę! Puść mię pani! Gdyby kto nadszedł!

– Cóż mi to obchodzi! – zawołała w szale pani Bardell. – Nigdy pana nie opuszczę! Kochane, szlachetne serce!

I wymawiając te wyrazy przytuliła się do pana Pickwicka jak bluszcz do dębu.

– Boże! Miej mię w swojej opiece! – zawołał pan Pickwick, szamocąc się. – Słyszę, że ktoś idzie po schodach. Puść mię, moja dobra pani! Zaklinam panią, puść mię!

Ale prośby i przedstawienia pozostały bez skutku, gdyż dama zemdlała w objęciach filozofa i nim miał czas usadowić ją na krzesle, młody Bardell wprowadził do pokoju panów Tupmana, Winkle'a i Snodgrassa.

Pan Pickwick skamieniał. Stał on z miłym ciężarem na rękę i spoglądał w osłupieniu na swych przyjaciół, nie robiąc żadnego znaku powitania, nie mogąc dać im żadnych wyjaśnień. Ci znowu patrzyli ze zdumieniem na niego, a mały Bardell z niepokojem spoglądał na wszystkich, nie wiedząc, co to ma znaczyć.

Zdumienie pickwickczyków było tak wielkie, a zmieszanie pana Pickwicka tak okropne, że i on, i oni mogliby trwać w tym samym położeniu, dopóki by omdlała nie przyszła do siebie, gdyby czuły jej syn nie przyśpieszył rozwiązania pięknym i rozrzewniającym wybuchem miłości synowskiej. Młody ten człowiek, ubrany w kurtkę z wielkimi miedzianymi guzikami, naprzód stał, niepewny i zmieszany, we drzwiach: ale myśl, że matce jego wyrządzono jakąś krzywdę, stopniowo o władnęła jego na wpół rozwiniętym umysłem. Uznawszy pana Pickwicka za stronę zaczepną, krzyknął dziko i rzuciwszy się głową naprzód, zaatakował tego nieśmiertelnego gentlemana w okolicach między grzbietem a nogami, szczypiąc i bijąc, o ile mu pozwalała na to siła i gwałtowność uniesienia.

– Weźcie tego smarkacza! – zawołał pan Pickwick w przystępie rozpaczy. – Oszalał!

– Co się stało? – zapytali trzej pickwickczycy, wielce zdumieni.

– Albo ja wiem! – odrzekł mentor z niesmakiem. – Zabierzcie tego bębna.

Pan Winkle odniósł w przeciwny kąt pokoju interesującego chłopca, który krzyczał i szamotał się co miał sił.

– Teraz – mówił pan Pickwick – dopomóżcie mi sprowadzić na dół tę kobietę.

– Ach! Już mi lepiej – westchnęła słabo pani Bardell.

– Pozwól, pani, podać sobie rękę – rzekł pan Tupman, zawsze ugrzeczniony.

– Dziękuję panu, dziękuję! – zawołała dama głosem spazmatycznym, po czym sprowadzono ją na dół w towarzystwie tak bardzo przywiązanego do niej syna.

– Pojąć nie mogę – zaczął pan Pickwick, gdy przyjaciele jego wrócili – pojąć nie mogę, co się tej kobiecie stało... Chciałem po prostu oznajmić jej, że przyjmę służącego, gdy wtem wpadła w jakiś szczególny paroksyzm, w którym ją zastaliście. To bardzo dziwne...

– Niezawodnie – odpowiedzieli trzej przyjaciele.

– Postawiła mnie w położeniu bardzo kłopotliwym – mówił dalej filozof.

– Tak, tak – powtórzyli jego uczniowie, lekko chrząkając i spoglądając na siebie z wyrazem powątpiewania. Nie uszło to uwagi pana Pickwicka. Dostrzegł tę nieufność; widocznie niewinność jego budziła zastrzeżenia.

Po kilku chwilach ogólnego milczenia pan Tupman odezwał się:

– Tam, w przedpokoju, czeka jakiś człowiek.

– Pewno ten, o którym była mowa – odrzekł pan Pickwick – posyłałem po niego do Borough. Panie Snodgrass, bądź tak dobry i każ mu wejść.

Pan Snodgrass wykonał to zlecenie i Samuel Weller ukazał się bezzwłocznie.

– Sądzę, że mnie poznajesz? – rzekł pan Pickwick.

– Niby! – odpowiedział Sam, mrugnawszy protekcyjnie. – A to urwis, tamten, za sprytny dla pana, co? Zadrwił sobie ze wszystkich, a znikł, zanim starczyło czasu, by sięgnąć po tabakierkę – co?

– Nie o to teraz chodzi – odrzekł żywo filozof – mam do pomówienia o czym innym. Usiądź.

– Dziękuję panu – odrzekł Sam i usiadł bez dalszych ceremonii, postawiwszy uprzednio na podłodze swój stary, biały kapelusz. – Nie bardzo to świetne – mówił dalej, wskazując na swe nakrycie głowy i przyjemnie uśmiechając się do pickwickczyków – ale doskonale

w noszeniu. Gdy miał rondo, był pięknym boliwarem: od czasu jak go nie ma, jest lżejszy, a przy tym każda dziura przepuszcza świeże powietrze; to także coś warte. Nazywam go kapeluszem z wentylacją.

– Teraz – rzekł pan Pickwick – pomówmy o sprawie, dla której cię tu wezwałem.

– Owszem, panie. Zaczynamy od środka – jak tam ktoś mówił do dziecka, które pokłnęło grosz.

– Najpierw chciałbym wiedzieć, czy masz jakie powody, by być niezadowolonym ze swego obecnego zajęcia?

– Nim odpowiem na to pytanie, chciałbym wiedzieć przede wszystkim, czy masz pan lepsze dla mnie?

Promień łagodnej życzliwości rozjaśnił rysy pana Pickwicka, gdy odpowiedział:

– Chcę wziąć cię na służącego.

– Czy tak? – zapytał Sam.

Pan Pickwick skinął twierdząco.

– Płaca?

– Dwanaście gwinei rocznie.

– Ubranie?

– Dwa ubrania.

– Robota?

– Służyć mi i podróżować z tymi gentlemanami.

– Zdejmcie kartę! – rzekł Sam z naciskiem. – Jestem w służbie u jednego gentlemana i zgadzam się na warunki.

– Przyjmujesz moją propozycję?

– Naturalnie. Jeżeli ubrania tak mi będą odpowiadać jak miejsce, to wszystko pójdzie jak z płatka.

– Rozumie się, że przedstawiś dobre świadectwa.

– Spytaj się pan oberżystki spod „Białego Jelenia”, ona panu powie.

– Możesz przyjść dziś wieczorem?

– Z ubrania mogę skorzystać natychmiast, jeżeli tu jest! – zawołał Sam, wielce uradowany.

– Wracaj wieczorem o ósmej – rzekł pan Pickwick – a jeżeli świadectwa będą zadowalające, pomyślimy o ubraniu.

Pomijając pewną miłosną awanturkę, której jednocześnie okazała się winną jedna z dziewcząt hotelowych, konduita pana Wellera była zawsze wzorową. Pan Pickwick nie wahał się więc przyjąć go do służby i z szybkością i energią, jakimi nacechowane były zawsze nie tylko kroki publiczne, ale nawet i prywatne czyny tego niepospolitego człowieka, zaprowadził bezzwłocznie nowego służącego do jednego z tych dogodnych składów, gdzie można dostać gotowe, przenoszone już ubranie i gdzie formalność brania miary nie jest znana. Przed końcem dnia jeszcze Sam Weller ubrany był w szaraczkowy frak z guzikami K. P., w czarny kapelusz z kokardą, kraciatą kamizelkę, krótkie spodnie i kamasze tudzież w wiele innych rzeczy, których wyliczać tu nie będziemy.

I nazajutrz rano ten tak nagle przeistoczony człowiek mówił do siebie, siadając na wierzchu dyliżansu jadącego do Eatanswill:– Doprawdy, że jeszcze nie wiem z pewnością, czy mam być lokajem, groomem czy strzelcem; mam jakąś pośrednią fizjonomię. Ale to wszystko jedno; użyję świeżego powietrza, zwiedzę kawał kraju i nie będę miał wiele do roboty. To bardzo mi odpowiada. Dlatego hasłem moim: niech żyją pickwickczycy!

## Rozdział trzynasty

### *Wiadomość o Eatanswill, o stronnictwach rozdzielających je tudzież o wyborze członka do parlamentu przez ten gród staro- żytny, lojalny i patriotyczny*

Szczerze wyznajemy, że aż do chwili, w której zagłębiliśmy się w ogromne stopy papierów Klubu Pickwicka, nigdyśmy nie słyszeli o Eatanswill. Przyznajemy się również z taką samą szczerością, że na próżno szukaliśmy dowodów rzeczywistego istnienia takiej miejscowości. Wiedząc, jak głęboką wiarę pokładać należy we wszystkich notatach pana Pickwicka i nie wając się przeciwstawiać naszym myśli twierdzeniom tego wielkiego człowieka, zasięgaliśmy co do tego przedmiotu zdania wszystkich autorytetów, do jakich tylko można było się odwołać. Zbadaliśmy wszystkie nazwy w wykazie miast mających prawo do wybierania do parlamentu, ale Eatanswill nie znaleźliśmy; najstaranniej przejrzelismy wszystkie mapy hrabstw, wydane przez znakomitych naszych wydawców, i rezultat naszych poszukiwań był ten sam.

Zniewoleni przeto jesteśmy do przypuszczenia, że w żywej trosce, by nie ubliżyć nikomu, i przez poczucie delikatności, którą był obdarzony w wysokim stopniu, pan Pickwick z rozmysłem nadał fikcyjną nazwę zamiast rzeczywistej tej miejscowości, w której robił swoje spostrzeżenia.

Utwierdza nas w tym mniemaniu okoliczność mogąca sama w sobie wydawać się błąhą i nic nie znaczącą, ale która, rozważana z naszego punktu widzenia, godna jest zanotowania... W notatach pana Pickwicka zostało zapisane, że miejsce dla niego i dla jego uczniów zamówione było w dyliżansie udającym się do Norwich, ale wyraz ten został natychmiast wykreślony, prawdopodobnie, by nie dać wskazówki, w jakiej stronie znajduje się to miasto, o którym mowa. Nie odważymy się więc robić wniosków co do tego i będziemy nadal prowadzić naszą historię bez przerwy, ograniczając się do bogatych materiałów, ukazujących dowodnie charakter tych wydarzeń.

Zdaje się, że mieszkańcy Eatanswill, jak i wielu innych małych miejscowości, poczytywali siebie za niezmiernie ważnych dla państwa, a każde indywiduum, w uznaniu wagi przywiązywanej do dawanego przez siebie przykładu, czuło się zobowiązane do należenia duszą i ciałem do jednego z dwóch stronnictw dzielących gród, to jest do błękitnych lub żółtych. Owóz błękitni nie zaniechali żadnej sposobności, by przeciwstawić się żółtym; żółci zaś ze swej strony nie zaniechali żadnej sposobności, by przeciwstawić się błękitnym, tak że gdy żółci i błękitni stawali oko w oko na jakimkolwiek publicznym zgromadzeniu, w ratuszu, na rynku czy na targowicy, natychmiast powstawały kłótnie i wzajemne łajania. Zbyteczne jest dodawać, że w Eatanswillu wszystko stawało się sprawą stronnictw. Gdy żółci doradzali zaopatrzyć targowicę w nowe latarnie, błękitni zwoływali zgromadzenia publiczne, na których piętnowali ten szalony pomysł. Gdy błękitni proponowali zbudowanie nowej studni przy głównej ulicy, żółci powstawali jak jeden człowiek przeciwko

takiej niegodziwej myśli. Były sklepy błękitne i sklepy żółte, oberże błękitne i oberże żółte, w samym kościele jedna strona była błękitna, druga żółta.

Każde z tych potężnych stronnictw, rzecz oczywista, miało swój organ i dlatego dwa dzienniki wychodziły w mieście. „Gazeta Eatanswillska” i „Eatanswillska Niepodległość”. Pierwsza popierała zasady błękitne, druga stała na gruncie stanowczo żółtym. Obydwie gazety były znakomite. Co za piękne artykuły polityczne! Jaka dowcipna i śmiała polemika! – „Gazeta”, nasza nikczemna antagonistka... „Niepodległość”, ten dziennik niesmaczny i godny pogardy... „Gazeta” to pismo kłamliwe i brudne... „Niepodległość”, skandaliczna i potworna... Takiego rodzaju zajmujące rekryminacje tuzinami zapełniały kolumny każdego numeru, budząc w miejscowych mieszkańcach najgorętsze uczucia zadowolenia lub oburzenia.

Pan Pickwick ze zwykłą swą przezornością i bystrością umysłu wybrał dla zwiedzenia grodu tego epokę wyjątkową... Nigdy jeszcze nie było tak zaciętej walki. Szanowny Samuel Slumkey ze Slumkey Hall był kandydatem błękitnych. Horacjusz Fizkin Esq., z Fizkin Lodge pod Eatanswill, ustępując naleganiom przyjaciół, przyzwolił podać siebie za kandydata popierającego interesy żółtych. „Gazeta” oznajmiła wyborcom eatanswillskim, że oczy nie tylko Anglii, ale całego cywilizowanego świata na nich są zwrócone. „Niepodległość” zaś zapytywała tonem stanowczym, czy wyborcy eatanswillscy zasługują jeszcze na nazwę wielkich obywateli, czy też stali się niewolniczymi narzędziami despotyzmu, nie zasługującymi na miano Anglików i dobrodziejstwa wolności. Nigdy jeszcze tak wielkie wzburzenie nie wstrząsnęło miastem.

Już był wieczór, gdy pan Pickwick i jego towarzysze wraz z Samuelem Wellerem wysiedli z dyliżansu w Eatanswill. Wielkie błękitne chorągwie powiewały w oknach oberży „Pod Miejskim Herbem”, a napisy wystawione w oknach oznajmiały olbrzymimi literami, że tam zasiada komitet szanownego Samuela Slumkey. Grupa gapiów, zgromadzonych przed drzwiami oberży, przypatrywała się zachryplemu człowiekowi stojącemu na balkonie i zdającym się przemawiać na korzyść pana Samuela Slumkey z takim zapalem, iż poczerwieniała mu cała twarz. Ale siła i piękno argumentów cierpiały nieco wskutek tego, że na rogu ulicy nieustannie huczał odgłos czterech ogromnych bębnow ustawionych przez komitet pana Fizkina. Obok mówcy stał mały, zakłopotany człowieczek, który od czasu do czasu zdejmował kapelusz i dawał znak zgromadzonym, by klaskali. Wtedy zgromadzeni klaskali z wielką regularnością i entuzjazmem, a ponieważ zachryplą człowiek mówił ciągle, chociaż twarz czerwieniała mu coraz bardziej, można więc było mniemać, że cel jego został osiągnięty, tak samo, jak gdyby słyszano to, co mówił.

Zaledwie pickwiczczy wyśledli z pojazdu, zostali natychmiast otoczeni przez grupę „prawych i niezależnych”, którzy bezzwłocznie wydali trzykrotny ogłuszający okrzyk. Okrzyk ten, powtórzony przez resztę zgromadzenia (bo tłum nie ma bynajmniej potrzeby wiedzieć, dlaczego krzyczy), zmienił się w ryk triumfu, tak przeraźliwy, że człowiek z poczerwieniałą twarzą, stojący na balkonie, nagle urwał mowę.

- Hura! – wrzasnął tłum na zakończenie.
- Jeszcze jeden okrzyk! – zawołał z balkonu mały, zakłopotany człowieczek.
- I tłum znów ryknął, jakby miał gardło z lanego żelaza, a płuca z hartowanej stali.
- Niech żyje Slumkey! – wrzasnęła tłuszcza.
- Niech żyje Slumkey! – powtórzył pan Pickwick, zdejmując kapelusz.
- Precz z Fizkinem! – wrzasnął tłum.
- Tak, rozumie się – zawołał pan Pickwick.
- Hura!

I znów rozległ się ryk taki sam jak we wszystkich menażeriach, gdy nadchodzi pora żywienia zwierząt.

- Co to za Slumkey? – zapytał cicho pan Tupman.

- Nie wiem – odparł tym samym tonem pan Pickwick.
- Cicho! Nie zadawajcie żadnych pytań. W takich razach należy robić to, co wszyscy.
- Ale przypuśćmy, że są dwa stronnictwa – zauważył pan Snodgrass.
- Krzyczcie z silniejszymi – odrzekł pan Pickwick.

Całe tomy nie zdołałyby więcej powiedzieć. Weszli do oberży; tłum wydając nagle hałaśliwe okrzyki rozsunął się na prawo i na lewo, by ich przepuścić. Przede wszystkim należało zapewnić sobie pomieszczenie na noc.

- Czy możemy tu dostać łóżka? – zapytał pan Pickwick garsona.
  - Nie wiem, panie. Obawiam się, że wszystkie są zajęte. Zresztą pójde, dowiem się.
- Odszedł, ale powrócił niebawem i zapytał, czy gentlemani są błękitni.

Ponieważ dla pana Pickwicka i jego towarzyszy obojętna była sprawa kandydatów, więc rozstrzygnięcie tego stawało się trudne. W tym dylemacie przyszedł panu Pickwickowi na myśl nowy jego przyjaciel, pan Perker.

- Czy znasz gentlemana nazwiskiem Perker?
- Znam, panie; jest to agent szanownego pana Samuela Slumkey.
- On jest błękitny, jak sądzę?
- O tak, panie.

– Więc i my jesteśmy błękitni – rzekł pan Pickwick; ale zauważywszy, że garson z pewnym powątpiewaniem przyjął to wyznanie wiary politycznej, dał mu swój bilet wizytowy i polecił, by go natychmiast wręczył panu Perkerowi, jeżeli ten jest w domu. Garson znikł, lecz wkrótce ukazał się znowu, poprosił pana Pickwicka, by poszedł za nim, i wprowadził go do wielkiej sali, w której pan Perker siedział przy długim stole za stosem ksiąg i papierów.

– Cha! Cha! Cha! Kochany panie! – zawołał mały człowieczek, wstając na przyjęcie pana Pickwicka. – Bardzo jestem szczęśliwy, że pana widzę... Siadaj pan, proszę... Więc doprowadził pan do skutku swój projekt? Przyjechał pan, by być obecnym przy wyborach, czy tak?

Pan Pickwick odpowiedział twierdząco.

– Są to wybory bardzo trudne, kochany panie.

– To mnie cieszy – odrzekł pan Pickwick zacierając ręce. – Lubię patrzeć na zapał patriotyczny, mniejsza o to, po czyjej stronie. Więc to są wybory trudne?

– O, nadzwyczaj trudne. Zamówiliśmy wszystkie miejsca w oberżach i przeciwnikom naszym pozostawiliśmy tylko piwiarnie... To mistrzowska sztuka, kochany panie. Co pan powie na to? ‘

Mówiąc to mały człowieczek uśmiechnął się uprzejmie, wsuwając sobie w nozdrza ogromną szczyptę tabaki.

– A jaki jest prawdopodobny rezultat wyborów?

– Wątpliwy, kochany panie, dotąd wątpliwy. Ludzie Fizkina mają trzydziestu trzech głosujących w wozowniach „Białego Jelenia”.

– W wozowniach! – zawołał pan Pickwick, niezmiernie zdziwiony tym zamachem stanu.

– Trzymają ich tam w zamknięciu, dopóki nie będą potrzebni, ażeby, jak pan może domyślić się, nie dopuścić nas do nich, ale choćbyśmy mieli możliwość rozmówienia się z nimi, nie na wiele by się to nam przydało, gdyż utrzymują ich ciągle w stanie podpitym! O! Agent Fizkina to zręczny człowiek! Bardzo zręczny.

Pan Pickwick zrobił wielkie oczy, ale nic nie odpowiedział.

– Pomimo to – mówił dalej pan Perker, zniżając głos – pomimo to nie tracimy nadziei. Wczoraj wieczorem dawaliśmy tu herbatę. Czterdzieści pięć kobiet, kochany panie; gdy odchodziły, ofiarowaliśmy każdej po zielonej parasolce.

– Parasolce! – zawołał pan Pickwick.



– Tak, tak, kochany panie; czterdzieści pięć zielonych parasolek, po siedem szylingów i sześć pensów sztuka. Wszystkie kobiety są zalotne; parasolki te sprawiły efekt nie do uwierzenia: zapewniliśmy sobie wszystkich mężów i połowę braci. To mój pomysł, kochany panie, tylko mój. Grad, deszcz czy pogoda, nie zrobisz pan piętnastu kroków w mieście, by nie spotkać pół tuzina zielonych parasolek.

Tu mały adwokat wpadł w wielki paroksyzm wesołości, przerywanej dopiero ukazaniem się na scenie trzeciej osoby.

Był to człowiek długi i chudy. Włosy jego, ognistorudawej barwy, zdawały się skłaniać ku siwiznie; na twarzy malowała się uroczysta powaga i niezmiernie głęboka myśl. Ubrany był w długi, ciemny surdut i w czarne sukienne spodnie. Podwójna lornetka kołysała mu się na piersiach; na głowie miał nadzwyczaj niski kapelusz z nadzwyczaj szerokim rondem. Nowo przybyły przedstawiony został panu Pickwickowi jako pan Pott, redaktor „Gazety Eatanswillskiej”.

Po kilku wstępnych uwagach pan Pott zwrócił się do pana Pickwicka i rzekł z uroczystą miną:

– Czy wybory te wzbudzają wielkie zainteresowanie w stolicy?

– Tak sędzę – odrzekł pan Pickwick.

– Do zainteresowania tego, pochlebiam sobie – mówił pan Pott, spoglądając na pana Perkera w taki sposób, jakby żądał potwierdzenia swych słów – do zainteresowania tego, jak mogę sobie pochlebić, i ja przyczyniłem się moim artykułem w ostatnią sobotę.

– Nie ulega wątpliwości – zapewniał mały człowieczek.

– Prasa, panie – mówił dalej pan Pott – to potężne narzędzie. Pan Pickwick najzupełniej zgodził się z tym zapatrywaniem.

– Ale pochlebiam sobie, panie, że nigdy nie nadużył ogromnej władzy, jaką posiadam. Pochlebiam sobie, że szlachetnego narzędzia, które mi opatrność do rąk dała, nigdy nie nadużywałem przeciw nietykalnej świętości prywatnego życia, przeciw osobistej reputacji jak kwiatek delikatnej i kruchej. Pochlebiam sobie, panie, że poświęciłem całą swoją energię... poświęciłem... usiłowaniami... słabym może, tak jest, przyznaję, usiłowaniami słabym, by zaszczerpać zasady, które, których... dla których...

Zdawało się, że wydawcy „Gazety Eatanswillskiej” poplątał się język; pan Pickwick przyszedł mu z pomocą, mówiąc:

– Tak, panie, niezawodnie.

– I pozwól pan, że go zapytam, że zapytam pana, jako człowieka bezstronnego, co publiczność Londynu myśli o mojej polemice z „Niepodległością”?

Tu wmieszał się pan Perker, mówiąc z drwiącym nieco uśmiechem, który jednak nie był przypadkowy:

– Nie ulega wątpliwości, że publiczność londyńska bardzo się tym zajmuje.

– Polemika ta – mówił dalej dziennikarz – będzie trwała, dopóki mi pozostanie odrobina zdrowia i sił, odrobina tego talentu, jakim obdarzyła mnie natura. Tej polemice, panie, choćby jeszcze bardziej poruszała umysły i roznamiętniała ludzi tak, że byliby zdolni do pełnienia prozaicznych obowiązków powszedniego życia, tej polemice, panie, poświęcę całe moje istnienie, dopóki nie zmiażdżę mymi nogami „Eatanswillskiej Niepodległości”. Pragnę, panie, by ludność Londynu, by lud mego kraju wiedział o tym, że może liczyć na mnie, że go nie opuszczę, że postanowiłem wytrwać do końca!

– Postanowienie pana jest bardzo wzniosłe! – zawołał pan Pickwick i gorąco uściśnął rękę szlachetnego dziennikarza.

– Widzę, panie – odrzekł pan Pott, zadyszany od gwałtownych wzruszeń patriotycznych – widzę, że pan jest człowiekiem dużego rozumu i talentu. Bardzo rad jestem, że szczerzyć się mogę znajomością z człowiekiem takim jak pan.

– A ja, panie – odrzekł pan Pickwick – czuję się bardzo wzruszony tą pańską opinią. Pozwól pan, że go przedstawię moim towarzyszom podróży, członkom korespondentom klubu, którego szczytę się być założycielem.

Gdy pan Pott oświadczył, że będzie tym zachwycony, pan Pickwick podszedł do swych trzech przyjaciół i formalnie ich przedstawił redaktorowi „Gazety Eatanswillskiej”.

– Teraz, mój kochany Pott – rzekł mały pan Perker – zachodzi pytanie, co pocniemy z naszymi tu obecnymi przyjaciółmi?

– Sądzę, że możemy zostać w tym domu – rzekł pan Pickwick.

– Ani jednego wolnego łóżka, panie, ani jednego!

– To bardzo przykre – zawołał pan Pickwick.

– Nadzwyczaj – powtórzyli jego towarzysze.

– Jeżeli o to chodzi – powiedział pan Pott – mam pewną myśl, która, jak się spodziewam, da się urzeczywistnić. „Pod Srebrnym Pawiem” są dwa łóżka, a w imieniu pani Pott śmiało powiedzieć mogę, że będzie zachwycona, gdy da u siebie gościnę panu Pickwickowi i jednemu z jego towarzyszy, jeżeli dwaj inni gentlemani i ich służący zechcą pomieścić się, jak będą mogli, „Pod Srebrnym Pawiem”.

Po długich naleganiach ze strony pana Potta i oświadczeniach ze strony pana Pickwicka, iż nie może robić subiekcji szanownej małżonce redaktora, uznano, że jest to jedyny sposób załatwienia sprawy, zgodzono się więc na niego. Zjadłszy wspólnie obiad „Pod Miejskim Herbem” i umówiwszy się, że wszyscy przybędą tam nazajutrz rano, by wziąć udział w pochodzie szanownego pana Samuela Slumkey, przyjaciele nasi wyruszyli: panowie Tupman i Snodgrass „Pod Srebrnego Pawia”, panowie Pickwick i Winkle pod gościnnie dach pana Potta.

Domowe kółko pana Potta składało się z niego samego i jego żony. Wszyscy ludzie, których potężny geniusz wyniósł na wyższy szczebel w świecie, miewają jakąś słabość, która wydaje się jeszcze większą wskutek kontrastu, jaki tworzy z ich pozycją publiczną. Jeżeli pan Pott miał jakąś słabość, to niezawodnie tę, że był zanadto uległy lekko pogardliwej woli swej małżonki. Ale nie mamy żadnego prawa rozwodzić się nad tym faktem, tym bardziej że w tym wypadku pani Pott użyła wszystkich swych czarów, przyjmując dwóch gentlemanów przyprowadzonych przez męża.

– Moja droga – rzekł pan Pott – pan Pickwick, pan Pickwick z Londynu.

Pani Pott z wdziękiem przyjęła ojcowskie uściśnięcie ręki pana Pickwicka, a tymczasem pan Winkle, którego wcale nie przedstawiono, kłaniał się raz po raz w ciemnym kącie, czego nie zauważono.

– Mój kochany... – rzekła dama.

– Co, moja droga? – zapytał redaktor.

– Przedstawże i drugiego gentlemana.

– Po milion razy przepraszam – rzekł pan Pott. – Pozwól pan... pani Pott, pan...

– Winkle – rzekł pan Pickwick.

– Winkle – powtórzył pan Pott i ceremonia przedstawiania została zakończona.

– Musimy bardzo przeprosić panią – rzekł pan Pickwick – za naruszenie porządku domowego.

– Nie mówmy o tym – rzekła żywo żeńska połowa pana Potta. – Zapewniam pana, że oglądanie nowych twarzy wielką sprawia mi przyjemność, gdyż żyję tu z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, nie widząc na tym odludziu nikogo.

– Nikogo, moja droga? – zawołał pan Pott z ironią.

– Nikogo, prócz ciebie – odparta żona nieco ostro.

– W samej rzeczy, panie Pickwick – zaczął znów redaktor, objaśniając żale swojej żony – w samej rzeczy pozbawieni jesteśmy wielu przyjemności, których w innych warunkach

moglibyśmy używać. Moje stanowisko, jako redaktora „Gazety Eatanswillskiej”, miejsce, jakie to pismo zajmuje w kraju, ciągle zagłębianie się w wir spraw politycznych...

Pani Pott przerwała mężowi słowami:

– Mój kochany!

– Co, moja droga?

– Wybierz do rozmowy taki przedmiot, który by mógł także zająć tych panów.

– Ależ mój aniele! – rzekł z pokorą pan Pott – pana Pickwicka bardzo to zajmuje.

– Szczęśliwy, jeśli może go zajmować – odparła pani Pott znacząco – ale mnie nudzi śmiertelnie ta wasza polityka, wasze kłótnie z „Niepodległością” i wszystkie tym podobne głupstwa. Dziwi mnie to, Pott, że możesz wyrywać się z tymi niedorzecznościami.

– Moja kochana – szepnął nieszczęśliwy mąż.

– Głupstwo!... Nie mówmy o tym. Czy grasz pan w *écarté*, panie Winkle?

– Rad bym był bardzo nauczyć się tej gry od pani – odpowiedział ugrzeczniony picwickczyk.

– Dobrze! Przesuń pan ten stół do okna, bym już nie słyszała więcej tej polityki.

– Joanno! – zawołał pan Pott na służącą, która wniosła świecę.

– Zejdź do biura i przynieś mi rocznik gazety za rok zaprzeszły. Przeczytam panu – mówił dalej zwracając się do pana Pickwicka – przeczytam panu kilka artykułów wstępnych, które napisałem w owej epoce o znowie żółtych, dążących do zamianowania nowego poborcy rogatekowego. Spodziewam się, że zajmie to pana.

– Bardzo chętnie posłucham – odrzekł pan Pickwick.

Życzenia jego zostały spełnione. Służąca powróciła z plikiem gazet, a redaktor, zasiadłszy koło swego gościa, rozpoczął bezzwłocznie czytanie.

Przeglądaliśmy notaty pana Pickwicka w nadziei, że znajdziemy przynajmniej streszczenie tych znakomitych utworów; ale na próżno. Mamy jednak powody przypuszczać, że siła i świeżość stylu najzupełniej go zachwyciły, gdyż pan Winkle zauważył, że mistrz jego miał oczy, jakby z nadmiaru zadowolenia, zamknięte przez cały czas czytania.

Wiadomość, że podano kolację, położyła koniec grze i prezentacji piękności „Gazety Eatanswillskiej”. Pan Winkle poczynił już znaczne postępy w łaskach pani Pott. Dama ta była teraz w cudownym humorze i nie zaniedbała powiedzieć poufnie swemu rozmówcy, że pan Pickwick jest bardzo miłym staruszkiem... W tego rodzaju wyrażeniach jest pewna familiarność, na którą by sobie nigdy nie pozwolił ten, kto by znał należycie kolosalny umysł filozofa. Jednak zachowaliśmy je tutaj, gdyż w rozculający sposób i dowodnie przekonywają o łatwości, z jaką mistrz zjednywał sobie wszystkie serca oraz jak wielkie miał poważanie u wszystkich klas społeczeństwa.

Była już późna noc, panowie Tupman i Snodgrass spali twardo pod skrzydłami „Srebrnego Pawia”, gdy nasi dwaj znajomi udali się do swych pokojów. Sen rychło opanował ich zmysły; ale chociaż uczynił on pana Winkle’a nieczułym na wszystkie ziemskie przedmioty, twarz i postawa pięknej pani Pott długo jeszcze nie dawały spokoju jego rozbudzonej fantazji.

Ruch i gwar następnego poranka wystarczyły najzupełniej, by usunąć z najbardziej nawet poetycznej wyobraźni wszystkie inne myśli prócz myśli o wyborach. Huk bębnow, głosy trąb i rogów, krzyki pospólstwa, tętent koni rozlegały się na ulicach od świtu; od czasu do czasu utarczka między maruderami obu stronnictw rozweselała i urozmaicała przygotowania do ceremonii.

Sam ukazał się we drzwiach sypialnego pokoju pana Pickwicka właśnie w chwili, gdy ten kończył cię ubierać.

– No! Cóż, Samie! – rzekł filozof. – Wszyscy dziś w ruchu?

– O! Czyste wyścigi, panie. Nasi partykularzyści, którzy zgromadzili się „Pod Miejskim Herbem”, tyle już tam nakrzyczeli, że wszyscy pochrypli.

– A bardzo są przywiązani do swego stronnictwa?  
– Nigdy nie widziałem podobnego przywiązania.  
– Energiczni, co?  
– Myślę, że tak. Nigdy nie widziałem, by kto pił i żarł z taką energią. Sądzę, że niejeden z nich pęknie.  
– To wynika ze źle zrozumianej wspaniałomyślności tutejszych obywateli.  
– Bardzo być może – odrzekł Sam krótko.  
– A! – zawołał pan Pickwick, spoglądając przez okno – piękne chłopcy, silne, świeże.  
– Bardzo świeże, to pewna. Dwóch garsonów spod „Srebrnego Pawia” i ja wypompowaliśmy ogromną ilość wody na wszystkich tych, którzy wczoraj byli na wieczerzy.  
– Pompowaliście wodę na niezależnych?  
– Tak, panie. Chrapali całą noc tam, gdzie wczoraj poupadali, popiwszy się śmiertelnie. Dziś rano jednego po drugim braliśmy pod pompę i – patrz pan! – wszyscy teraz wyglądają doskonale. Komitet dał nam po szylingu za głowę.  
– Czy podobna, by robiono takie rzeczy! – zawołał pan Pickwick, pełen zdumienia.  
– Ba! panie, to jeszcze nic.  
– Nic?  
– Nic a nic, panie. W nocy przed ostatnimi wyborami przeciwna partia przekupiła służącą spod „Miejskiego Herbu”, by ta zaprawiła grog czterem wyborcom, którzy przez noc bawili w oberży.  
– Co rozumiesz przez zaprawienie grogu?  
– Dodanie opium z blekotem – odparł Sam. – Niech mię Bóg skarzę, jeżeli od tego nie spali przynajmniej ze dwanaście godzin po wyborach. Próbowano jednego z nich przywieźć na taczkach i wnieść do lokalu wyborczego, ale diabła tam! Burmistrz nie chciał przyjąć jego głosu; więc go odwieźli z powrotem i położyli do łóżka.  
– Co za szczególne sposoby! – mruknął pan Pickwick w połowie do siebie, a w połowie do służącego.  
– Nie taka jeszcze krotoczwila wydarzyła się memu ojcu podczas wyborów w tym miejscu, panie – rzekł Sam.  
– A co takiego? – zapytał pan Pickwick.  
– Tak to było, panie. Onego czasu jeździł on tu dylizansem z Londynu. Nadchodzą wybory i jedno stronnictwo zamawia go do transportowania wyborców ze stolicy. W wilię dnia, gdy miał wyruszyć w drogę, komitet drugiego stronnictwa najspokojniej posyła po niego. Idzie tedy z komisjonerem, który go wprowadza do ogromnego pokoju. Kupa gentlemanów, góry papieru, piór itd. – Ach, pan Weller – mówi prezydent – cieszę się, że widzę pana. Jak się pan ma? – powiada. – Bardzo dobrze, dziękuję panu – powiada mój ojciec. – Spodziewam się, że i pan nie chudnie – powiada. – Dziękuję, nieźle idzie – powiada gentleman i obaj wytrzeszczają na siebie ślepią. – Pan mnie nie poznaje? – pyta tamten. – Nie mogę powiedzieć, bym pana kiedy widział – odpowiada ojciec. – O! ja pana znam – mówi tamten.  
– Znałem pana małym jeszcze chłopcem. – To wszystko jedno – mówi mój ojciec – wcale sobie pana nie przypominam. – To dziwne – mówi tamten. – Bardzo dziwne – mówi ojciec. – Pan musi mieć bardzo słabą pamięć, panie Weller – mówi tamten. – Nieświetną, to prawda – mówi mój ojciec. – Tak się domyślałem – mówi tamten, potem nalewa mu szklankę wina i zaczyna rozwodzić się nad sposobem, w jaki powozi, i wprowadza mego ojca w doskonały humor, a w końcu pokazuje mu banknot na dwadzieścia funtów szterlingów. – Kiepska droga stąd do Londynu – powiada. – Gdziekolwiek trafiają się złe miejsca – mówi mój ojciec. – A zwłaszcza koło kanału, jak mi się zdaje – mówi gentleman. – Co do drogi, to tam jest kiepska – mówi ojciec. – No, panie Weller – mówi tamten – pan jesteś doskonałym woźnicą i co zechcesz, możesz zrobić ze swymi końmi, to wiadomo. My

wszyscy jesteśmy dla pana wielce życzliwi, panie Weller. Otóż w razie, gdyby panu przypadkiem coś się wydarzyło, jak będziesz wiózł wyborców, w razie, gdybyś wyrzucił się w kanał, nie robiąc im zresztą nic złego, przeznaczamy to dla pana – powiada. – Panie, jesteś pan nadzwyczaj łaskaw – mówi mój ojciec – i wypiję za zdrowie pana jeszcze jedną szklankę – powiada. – Cóż pan powie na to – mówi dalej Sam, patrząc na swego pana z trudnym do opisanego wyrazem bezczelności – czy da pan wiarę, że akurat w dniu, w którym ojciec wiózł wyborców, dylizans

wyrzucił mu się w tym właśnie miejscu i wszyscy podróżni wlecieli do kanału?

– Ale ich zaraz wydobyto? – zapytał żywo pan Pickwick.

– Co do tego – odparł Sam bardzo powoli – to mówiono, że jednego gentlemana brakowało. Wiem dobrze, że wyłowiono jego kapelusz, ale czy była w tym kapeluszu głowa, tego z pewnością powiedzieć nie mogę. Co mię dziwi, to mianowicie ta okoliczność, że dylizans wyrzucił się właśnie w tym miejscu i w tym samym dniu, jak to gentleman ojcu powiedział.

– Jest to szczególny wypadek, niewątpliwie – odparł pan Pickwick – ale wyczyść no mi kapelusz, Samie, gdyż słyszę, że pan Winkle woła mnie na śniadanie.

Pan Pickwick zszedł do jadalnego pokoju, gdzie znalazł śniadanie i wszystkich zgromadzonych. Jadło znikło bardzo szybko; kapelusze gentlemanów przyozdobiono w ogromne błękitne kokardy wyrobu pięknych rąk samej pani Pott; pan Winkle podjął się towarzyszenia tej damie na dach domu znajdującego się koło mównicy, pan Pickwick zaś z panem Portem udali się pod „Miejski Herb”. Jakiś członek komitetu pana Slumkeya przemawiał z okna tego hotelu do sześciu uliczników i jednej dziewczyny, których co chwila nazywał pompatycznie mężami Eatanswill; w odpowiedzi na to sześciu uliczników klasnęło zawzięcie.

Dziedzieniec hotelowy przedstawiał mniej dwuznaczne symptomy sławy i potęgi eatanswillskich błękitnych. Był tam cały las chorągwi i sztandarów z dewizami zastosowanymi do okoliczności, wypisanymi złotymi literami, a wysokimi na cztery stopy przy odpowiedniej szerokości. Była tam także cała orkiestra trębaczy, fagocistów i doboszy, ustawionych po czterech w szereg i sumiennie zarabiających swą płacę; zwłaszcza dobosze byli bardzo obrotni. Był oddział konstablów z niebieskimi łaskami i cały tłum wyborców z niebieskimi kokardami. Byli wyborcy konni i wyborcy piesi. Był kryty czterokonny powóz dla szanownego Samuela Slumkeya. Chorągwie powiewały, muzykanci grali, konstable klęli, członkowie komitetu perorowali, tłum wrzeszczał, konie rżały i tupały, pocztylioni pocili się, a wszystko to i wszyscy ci ludzie, zebrani w tym miejscu, znaleźli się tu dla korzyści, honoru, sławy i specjalnego użytku szanownego Samuela Slumkeya ze Slumkey Hall, jednego z kandydatów na reprezentanta miasta Eatanswill w Izbie Gmin Parlamentu Zjednoczonych Królestw.

Rozległy się długie i hałaśliwe okrzyki, po czym jedna z błękitnych chorągwi, z napisem „Wolność prasy”, zakołysała się konwulsyjnie, gdy tłum w jednym z okien ujrzał rudą głowę pana Potta. Ale entuzjazm przeszedł wszystko, gdy szanowny Samuel Slumkey we własnej osobie, w butach z cholewami i błękitnej chustce na szyi, wystąpił i ujął za rękę szanownego Potta oraz melodramatycznymi ruchami wyraził swą wieczną wdzięczność za usługi oddane mu przez „Gazetę Eatanswillską”.

– Czy wszystko gotowe? – zapytał następnie szanowny Samuel Slumkey pana Perkera.

– Gotowe, kochany panie – odparł mały człowieczek.

– Spodziewam się, że nic nie zapomniano?

– Nie, kochany panie, żadnej drobnostki. Jest dwudziestu ludzi należycie wymytych, którym pan uściśniesz rękę we drzwiach; jest sześcioro dzieci na rękach matek, które pan pogłaszczesz po głowie i o które spytasz pan, ile mają lat. Zwłaszcza pamiętaj pan o dzieciach, kochany panie. Takie postępowanie sprawia zawsze dobry efekt.

– Pomyślę o tym – rzekł szanowny Samuel Slumkey.

– A może też pan, kochany panie – dodał przewidujący mały człowieczek – może będzie pan mógł... nie mówię, by to było konieczne... ale gdybyś pan mógł zdecydować się ucałować jedno z dzieci, to by wywarło ogromne wrażenie.

– Czy nie byłby ten sam skutek, gdybyś pan podjął się tego? – zapytał pan Samuel Slumkey.

– Obawiam się, że nie, kochany panie. Ale gdybyś pan sam to zrobił, sądzę, że uczyniłoby to pana bardzo popularnym.

– Bardzo dobrze – odrzekł szanowny Samuel Slumkey z rezygnacją – i to przebedziemy, jeżeli potrzeba.

– Pochód! Pochód! – wołało dwudziestu członków komitetu.

Wśród okrzyków tłumu, muzykantów, konstablów, członków komitetu, pieszych i konnych, powozy zajęły swe miejsca. Każdy powóz dwukonny zawierał tylu gentlemanów, usadowionych i stojących, ilu tylko zmieścić się mogło. W przeznaczonym dla pana Perker'a powozie usiedli panowie Pickwick, Tupman, Snodgrass i pół tuzina członków komitetu.

Nastąpiła chwila uroczystego milczenia, nabrzmiałego oczekiwaniem, kiedy szanowny Samuel Slumkey wsiądzie do swego koczka.

Nagle tłum wydał okrzyk.

– Wsiadł! – zawołał mały Perker, tym mocniej wzruszony, że położenie, w którym się znajdował, nie pozwalało mu widzieć, co się dzieje na przedzie.

Inny okrzyk, jeszcze głośniejszy.

– Podaje rękę wyborcom! – rzekł mały agent.

Znowu okrzyk, nierównie głośniejszy.

– Pogłaskał dzieci go głowach! – mówił dalej pan Perker, drżąc ze wzruszenia.

Grzmot oklasków rozdarł powietrze.

– Pocałował jedno! – zawołał zachwycony mały człowieczek.

Drugi grzmot.

– Pocałował drugie!

Trzeci grzmot ogłuszający.

– Wszystkie całuje! – wrzasnął roznamietniony mały gentleman i w tej chwili pochód ruszył, witany okrzykami tłumu.

Z jakiego powodu dwa pochody zetknęły się i jak ukończyło się wynikłe stąd zamieszanie, tego nie podejmujemy się opisywać, gdyż na samym początku starcia panu Pickwickowi wtłoczono kapelusz na oczy, nos i usta, zaaplikowawszy mu żółtą chorągwią potężne uderzenie w łeb. Według tego, co znakomity filozof mógł wywnioskować przy pomocy skąpego światła przeciskającego się pomiędzy jego policzkami a kapeluszem, zdawało mu się, że został otoczony ze wszystkich stron przez gniewne i drapieżne fizjonomie, gęsty obłok kurzawy i ściśnięty przez tłum walczących. Opowiadał, że z powozu został porwany przez jakąś niewidzialną siłę i sam osobiście wziął udział w walce, ale z kim, jak i co, tego w żaden sposób nie mógł określić. Na koniec wypchnięty został na drewniane stopnie przez osoby z tyłu stojące, a gdy zdjął kapelusz, znalazł się pośród przyjaciół w pierwszym rzędzie na lewo od mównicy. Prawa strona przeznaczona była dla stronnictwa żółtego, środek zaś dla burmistrza i jego asystentów. Jeden z nich potrząsał ogromnym dzwonem: bardzo to dowcipny środek do nakazywania ciszy.

Tymczasem pan Horacjusz Fizkin i szanowny Samuel Slumkey z rękami na sercach zajęci byli kłanianiem się z największą grzecznością wzburzonemu morzu głosów, zalewającemu plac, z którego podnosiła się burza stękań, krzyków, gwizdań, ryku, mogących zrobić zaszczyt trzęsieniu ziemi.

– Oto Winkle – rzekł pan Tupman do swego uczonego przyjaciela, ciągnąc go za rękaw.

– Gdzie? – zapytał pan Pickwick wsadzając okulary, które na szczęście miał dotąd w kieszeni.

– Tam – odrzekł pan Tupman – na dachu tego domu.

I rzeczywiście, w szerokim dymniku pan Winkle i pani Pott siedzieli wygodnie na krzesłach, poruszając chustkami, by dać się poznać; pan Pickwick odpowiedział na te pozdrowienia, posławszy damie całusa.

Wybory jeszcze się nie zaczęły, a ponieważ beczynny tłum jest w ogóle usposobiony do wesołości, ten czyn filozofa wystarczył, by się posypały tysiące żartów.

– Hej! Stary lisie! Czy to pięknie umizgać się do kobiet?

– O? Co za grzesznik!

– Nosi okulary, by lornetować zamężne kobiety!

– Łotr! Mizdrzy się przez szkła!

– Pilnuj swojej żony, Pott!

A za każdym takim dowcipem następował wielki wybuch śmiechu.

Ponieważ konceptom tym towarzyszyły szkaradne porównywania pana Pickwicka do starego kozła i inne tym podobne i ponieważ prócz tego zmierzały one do pokrzywdzenia honoru niewinnej damy, oburzenie naszego bohatera było niesłychane; ale gdy w tej samej chwili wezwano do uciszenia się, pan Pickwick poprzestał na obrzuceniu tłumy spojrzeniem pogardy i litości, co wywołało jeszcze większy śmiech.

– Cicho! – ryknęli asystenci burmistrza.

– Whiffin, wezwij, by się uciszono – zawołał burmistrz z pompatyczną miną, odpowiadającą jego wzniosłemu stanowisku. Wezwany, powolny temu rozkazowi, wykonał drugi koncert na dzwonie, po czym pewien gentleman z tłumy krzyknął na całe gardło: Fifine! – co spowodowało nowy wybuch śmiechu.

– Gentlemani! – rzekł burmistrz, nadając możliwie największą donośność swemu głosowi – gentlemani! Bracia! Obywatele miasta Eatanswill! Zebraliśmy się dziś tu dla wyboru nowego reprezentanta na miejsce ostatniego naszego...

Tu burmistrzowi przerwał głos z tłumy:

– Wszelkiej pomyślności panu burmistrzowi! Niech zawsze przebywa pomiędzy gwoździami i rondlami, na których zrobił majątek.

Ta aluzja do handlowych przedsięwzięć mówcy spowodowała huragan wesołości, który przy akompaniamencie dzwonu nie pozwolił słyszeć ani słowa z przemówienia burmistrza, wyjąwszy jednak ostatni frazes, którym dziękował słuchaczom za uprzejmą uwagę, z jaką go wysłuchano. To wyrażenie wdzięczności przyjęte zostało nowym wybuchem wesołości, trwającym około kwadransa.

Słuszny, wychudzony gentleman w białej, sztywnej chustce, okrutnie krępującej mu szyję, wystąpił wtedy na arenę, wśród przerywań tłumy, radzącego mu, by posłał kogo do domu po głos, który zapewne zapomniał pod poduszką. Gentleman ten prosił o pozwolenie przedstawienia właściwej i odpowiedniej osoby dla reprezentowania w parlamencie wyborców eatanswillskich; a gdy oświadczył, że osobą tą był Horacjusz Fizkin z Fizkin Lodge pod Eatanswillem, fizkiniści poczęli klaskać, a slumkeyiści szemrać tak długo i hałaśliwie, że polecający kandydata zamiast przemawiać mógł śpiewać jakąkolwiek pijacką piosenkę i nikt by się tego nie domyślił.

Gdy już przyjaciele Horacjusza Fizkina Esq. zrobili użytek ze swego prawa pierwszeństwa, wystąpił mały, choleryczny człowieczek, o twarzy czerwonej jak goździk, także w tym celu, by wymienić inną właściwą i odpowiednią osobę do reprezentowania w parlamencie wyborców eatanswillskich; ale natura tego człowieka była zanadto wrażliwa, by mu mogła pozwolić spokojnie przepłynąć między falami głosów tłumy... Po kilku okresach ozdobionych metaforami choleryczny gentleman począł piorunować na przerywających mu, a potem rozpoczął kłótnię z gentlemanami znajdującymi się w pobliżu mównicy. Na-

tenczas ze wszech stron powstał hałas, co zniewoliło go do wyrażenia swych uczuć za pomocą pantomimy; wreszcie ustąpił miejsca innemu mówcy, który miał poleczone popieranie wniosku przedmówcy. Ten w ciągu pół godziny wygłaszał mowę pisaną, której żadna już wrzawa nie zdołała zaszkodzić, bo zawczasu przesłał ją w odpisie do „Gazety Eatanswillskiej”, gdzie przedrukowano ją co do słowa.

Na koniec ukazał się Fizkin Esq. z Fizkin Lodge pod Eatanswillem w celu przemówienia do wyborców, ale natychmiast muzykanci, wynajęci przez szanownego Samuela Slumkeya, zaczęli wykonywać ze szczególną siłą jakąś fanfarę. Odwzajemniając się za tę uwagę, tłum żółty począł walić po głowach i plecach tłum błękitny; tłumowi błękitnemu zachciało się znów uwolnić się od niedogodnego sąsiedztwa tłumy żółtego i wskutek tego wywiązała się bójka, którą na próżno usiłowalibyśmy opisać. Sam burmistrz nie zdołał położyć jej końca; nic także nie pomogło wydanie dwunastu konstabliom rozkazu pochwylenia głównych wiczych, których było najmniej dwudziestu pięciu; zamieszanie nie ustawało. Wśród tego harmideru Horacjusz Fizkin Esq. z Fizkin Lodge i przyjaciele jego dawali się coraz więcej opanowywać złości; Horacjusz Fizkin tonem wyzywającym zapytał swego przeciwnika, Samuela Slumkeya ze Slumkey Hall, czy muzykanci ci grają z jego rozkazu. A gdy szanowny Samuel Slumkey ze Slumkey Hall odmówił odpowiedzi na to pytanie, Horacjusz Fizkin Esq. z Fizkin Lodge pokazał pięść szanownemu Samuelowi Slumkeyowi ze Slumkey Hall i wskutek tego krew szanownego Samuela Slumkeya zawrzała i wyzwał na śmiertelny bój Horacjusza Fizkina Esq. z Fizkin Lodge.

Burmistrz, ujrzawszy to pogwałcenie wszystkich obowiązujących ustaw i wszystkich zasad, zarządził nową fantazję na dzwonie i oświadczył, że obowiązek nakazuje mu zawezwać przed siebie Horacjusza Fizkina Esq. z Fizkin Lodge i szanownego Samuela Slumkeya ze Slumkey Hall do złożenia przysięgi, iż nie naruszą pokoju Jej Królewskiej Mości. Wskutek takiej strasznej groźby wdali się w sprawę przyjaciele dwóch kandydatów i gdy oba stronnictwa wyklóciły się należyście, po upływie trzech kwadransów Horacjusz Fizkin Esq. przyłożył rękę do kapelusza, spoglądając na szanownego Samuela Slumkeya; szanowny Samuel Slumkey przyłożył rękę do kapelusza, spoglądając na Horacjusza Fizkina Esq. – muzykanci przestali grać, tłum po części uspokoił się i Horacjusz Fizkin mógł dalej mówić.

Mowy obu kandydatów, chociaż różniące się co do wszystkich innych punktów, zgadzały się w tym, że oddawały należny i rozrzewniający hołd zasługom i szlachetności wyborców eatanswillskich. Każdy z kandydatów wynurzył głębokie swe przekonanie, iż nigdy nie istniało w świecie zgromadzenie ludzi bardziej niezależnych, oświeconych, bardziej patriotycznych, cnotliwych, bezinteresownych nad tych, którzy przyrzekli głosować za nim; każdy dał niejasno do zrozumienia, iż podejrzewa wyborców przeciwnego stronnictwa o pozostawanie pod wpływem brudnych motywów i oddawanie się poniżającemu nałogowi pijaństwa, co czyni ich zupełnie niegodnymi wykonywania funkcji powierzonych ich honorowi dla dobra ojczyzny. Fizkin objawił gotowość spełnienia wszystkiego, co mu zostanie zaproponowane; Slumkey oświadczył, iż nie uczyni nic z tego, czego się odeń zażąda. Jeden i drugi podnieśli to, że rolnictwo, przemysł, handel i pomyślność Eatanswillu zawsze droższe będą ich sercu nade wszystko w świecie. Każdy na koniec był szczęśliwy, iż mógł oświadczyć, że dzięki zaufaniu, jakie pokłada w rozsądku wyborców, pewny jest swego wyboru.

Po tych przemowach rozpoczęto głosowanie przez podniesienie rąk; burmistrz zawyrokował na korzyść szanownego Samuela Slumkeya ze Slumkey Hall Horacjusz Fizkin Esq. z Fizkin Lodge zażądał głosowania imiennego; wskutek tego zarządzone zostało głosowanie imienne. Następnie przegłosowano podziękowanie burmistrzowi za takt okazany w przewodniczeniu, a burmistrz, który stał przez cały czas trwania czynności, podziękował zgromadzonym, życząc z całego serca, ażeby krzesło przewodniczącego nie było tylko



czym wyrazem. Pochody znowu się uporządkowały i powozy z wolna potoczyły się pomiędzy tłumem, który to klaskał, to gwizdał, według tego, co mu nakazywało jego usposobienie lub kaprys.

Przez cały czas głosowania miasto było w stanie jakiegoś gorączkowego entuzjazmu. Wszystko odbywało się w sposób najliberalniejszy. Napoje spirytusowe były szczególnie tanie we wszystkich szynkach. Po mieście roznoszono nosze dla dogodności wyborców, którzy by doznawali chwilowego zawrotu głowy, ponieważ przez cały czas trwania walki wyborczej ten rodzaj choroby rozwijał się pomiędzy głosującymi z zadziwiającą i przerażającą szybkością; często widywano ich leżących na bruku w stanie zupełnej bezwładności. W ostatnim dniu mała tylko liczba wyborców jeszcze nie głosowała. Byli to ludzie oględni, kalkulujący, jeszcze nie przekonani należycie dowodami stronnictw, chociaż odbywali liczne konferencje z jednym i drugim. Na godzinę przed zamknięciem głosowania pan Perker upraszał o zaszczyt prywatnego porozumienia się z tymi szlachetnymi i inteligentnymi patriotami. Argumenty, jakich użył, były krótkie, ale skuteczne. Ci, którzy się spóźnili, poszli głosować wszyscy razem, a gdy tego dokonali, szanowny Samuel Slumkey ze Slumkey Hall wyszedł z urny wyborczej.

## Rozdział czternasty

*zawierający krótkie opisanie towarzystwa zgromadzonego „Pod Srebrnym Pawiem”, a przy tym historię opowiedzianą przez komiwojażera*

Po napatrzeniu się na walki i kłopoty życia politycznego zawsze z nową przyjemnością zwracamy następnie uwagę na spokój życia prywatnego. Chociaż w rzeczywistości pan Pickwick nie bardzo się trzymał tej lub owej partii, roznamiętniał go jednak do pewnego stopnia entuzjazm Potta, jak to widzimy z opisu czynności wyborczych, któreśmy opowiedzieli według jego pamiętnika. Podczas gdy pan Pickwick tym był zajęty, pan Winkle nie pozostawał bezczynny. Poświęcał on cały swój czas przechadzkom i małym romantycznym wycieczkom z panią Pott, gdyż jak tylko nadarzała się sposobność, miła ta dama nie zanedbywała szukać ulgi od nudnej jednostajności, na którą narzekała tak gorzko. Gdy pan Pickwick i pan Winkle w ten sposób zupełnie zaaklimatyzowali się w domu redaktora, panowie Tupman i Snodgrass musieli z konieczności radzić sobie, jak mogli. Niewiele zajmując się sprawami publicznymi, dla urozmaicenia wolnych chwil musieli uciekać się do rozrywek, jakie można było znaleźć „Pod Srebrnym Pawiem”. Rozrywki te stanowiła niewinna gra w karty na pierwszym piętrze i gra w kręgle na tylnym podwórzu. Dzięki poświęceniu Sama, podróżni nasi zostali stopniowo wtajemniczeni w sposoby takiego przepędzania czasu, daleko bardziej atrakcyjne, aniżeli przypuszczają ludzie pospolicci. W ten sposób skracali sobie długie godziny bezczynności, chociaż po większej części pozbawieni byli towarzystwa pana Pickwicka. Zwłaszcza wieczory „Pod Srebrnym Pawiem” szczególnie podobały się dwom przyjaciółom i przedstawiały dla nich tyle pojęć, iż mieli dość siły, aby oprzeć się usilnym zaproszeniom wymownego, chociaż gadatliwego dziennikarza. Wieczorami mianowicie w kawiarni hotelowej zbierało się kółko oryginałów, których charakter i maniery dawały panu Tupmanowi szerokie pole do spostrzeżeń, a mowy ich i czyny zwykle notował pan Snodgrass.

Większość ludzi zdaje sobie po największej części sprawę z tego, co rozumie się przez kawiarnię. Kawiarnia „Pod Srebrnym Pawiem” nie wyłamała się spod ogólnych reguł. Był to wielki pokój, którego skąpe umeblowanie wyglądało niewątpliwie lepiej, gdy było nowe. Ciekawa kolekcja krzesel, o kształtach dziwacznych a rozmaitych, ustawiona była dokoła wielkiego stołu na środku sali i dokoła mnóstwa małych stołów: okrągłych, kwadratowych i trójkątnych, podłoga zaś pokryta była tureckim dywanem, którego rozmiary miały się tak do powierzchni pokoju, jak damska chusteczka do podłogi hallu. Ściany ozdobione były trzema wielkimi mapami geograficznymi i szeregiem rozmaitych płaszców pozawieszanych na kołkach. Na kominku leżała książka pocztowa, historia hrabstwa Kent, bez okładek, śmiertelne szczątki pstrąga w szklanej trumnie i drewniany kałamarz z kawałkiem pióra i połową opłatka do pieczętowania. Bufet miał zaszczyt dźwigać mnóstwo rozmaitych przedmiotów, pomiędzy którymi szczególną uwagę zwracały: bardzo brudny gąsior, dwa czy trzy bicze, tyleż płaszców podróżnych, noże, widelce, a przede

wszystkim musztarda. Na koniec, atmosfera zgęszczona dymem tytoniowym nadawała brunatną barwę wszystkim przedmiotom, głównie zaś czerwonym i zapyłonym firankom, smutno wiszącym u okien.

Tam to panowie Tupman i Snodgrass pili i palili tytoń wieczorem po wyborach, wraz z wielu innymi chwilowymi mieszkańcami zajazdu.

– No, panowie – zawołał *ex abrupto* słuszny i barczysty mężczyzna około czterdziestki, posiadający jedno tylko, ale czarne oko, błyszczące złośliwością i dobrym humorem. – No, panowie! Nasze szlachetne zdrowie! Zawsze taki toast wznoszę w kompanii, ale w głębi mej duszy piję za zdrowie Marii. Prawda, Mario?..

– Daj mi pan spokój! Szkaradny pan jesteś – odpowiedziała służąca, której widocznie pochlebił ten komplement.

– Nie odchodź, Mario – zaczął znowu jednooki.

– Daj mi pan spokój, jest pan impertynent.

– Nie płacz, gdy będziesz zmuszona mnie porzucić, Mario – mówił dalej mężczyzna o jednym oku, gdy dziewczyna wychodziła z pokoju – zaraz pójde cię odszukać, nie martw się, moja droga... – Mówiąc to, mrugnął samotnym okiem w stronę kompanii, ku wielkiemu zadowoleniu pewnego starszawego gentlemana z glinianą fajką i twarzą jednakowo zakopconymi.

– Kobiety to dziwne stworzenia – rzekł człowiek z zakopconą twarzą po chwili milczenia.

– O, wielka prawda! – zawołał inny jegomość o twarzy miedzianorudej, ukrytej poza cygarem.

Po tych filozoficznych uwagach nastąpiło znów milczenie.

– A jednak, wiecie, panowie, są na świecie rzeczy dziwniejsze niż kobiety – zaczął znów człowiek o jednym czarnym oku, nakładając z powagą ogromnych rozmiarów holenderską fajkę.

– Czy pan żonaty? – zapytała zakopcona twarz.

– O ile wiem, nie.

– Domyślałem się.

Mówiąc to człowiek o zakopconej twarzy wpadł w wielką wesołość spowodowaną własną odpowiedzią; naśladował go w tym gentleman o głosie łagodnym i spokojnej twarzy, który uważał za swój obowiązek przytakiwać każdemu zapatrywaniu.

– A jednak, panowie – rzekł poetyczny pan Snodgrass – kobiety są rozkoszą i radością naszego istnienia.

. – To prawda – odpowiedział gentleman o łagodnej twarzy.

– Kiedy są w dobrym humorze – dodała twarz okopcona.

– O, wielka prawda – rzekł gentleman łagodny.

– Odrzucam to zastrzeżenie! – zaczął znowu pan Snodgrass, którego myśli nagle przeniosły się do Emilii Wardle. – Odrzucam je z pogardą. Pokażcie mi mężczyznę, który by powiedział cokolwiek przeciw kobietom, a ja śmiało oświadczę, że nie jest mężczyzną. – Wymawiając te wyrazy pan Snodgrass wyjął z ust cygareto i gwałtownie uderzył w stół zaściśniętą pięścią.

– Tęgi argument! – rzekł łagodny gentleman.

– Zawierający twierdzenie, któremu zaprzeczam – przerwała twarz okopcona.

– I w tym, co pan mówisz, jest także bez wątpienia wiele prawdy – odrzekł łagodny.

– Zdrowie pańskie! – zaczął znów kupiec o jednym oku, zwracając się przyjaźnie do pana Snodgrassa.

Pickwickczyk odpowiedział na tę grzeczność, jak należało.

– Lubię słyseć dobre argumenty – mówił dalej komiwojażer – argumenty dobitne, jak pański. To bardzo budujące. Ale ta mała dyskusja o kobietach przypomina mi pewną histo-

rię, którą słyszałem od mego wuja. I dlatego to właśnie powiedziałem przed chwilą, iż są na świecie rzeczy dziwniejsze niż kobiety.

– Chciałbym usłyszeć tę historię – rzekł gentleman o miedzianorudej twarzy poza cygarem.

– Naprawdę? – zapytał komiwojażer i począł palić fajkę z wielką gwałtownością.

– I ja także – odrzekł pan Tupman, który po raz pierwszy przemówił, a zawsze chętnie powiększał bagaż swego doświadczenia.

– I pan także? Dobrze! Opowiem ją panom. Ale to niewarte zachodu, bo jestem pewny, że nie dacie jej wiary.

Podczas gdy kupiec mówił to, jego samotne oko mrugało szczególnie tajemniczo.

– Jeżeli pan mię zapewni, że prawdziwa, to, naturalnie, będę wierzył – rzekł pan Tupman.

– Dobrze, pod tym warunkiem opowiem ją. Czyście słyszeli kiedy o domu handlowym Bilson i Slum? Zresztą, czyście słyszeli czy nie, to mniejsza, gdyż panowie ci dawno już usunęli się od interesów. Już minęło osiemdziesiąt lat od czasu, jak historia ta wydarzyła się pewnemu komiwojażerowi tego domu; był on bliskim przyjacielem mego wuja, a wuj mój opowiadał mi ją prawie tymi samymi słowami, jak ją teraz usłyszycie. Dał jej tytuł:

## OPOWIEŚĆ KOMIWOJAŻERA

– Pewnego wieczora w zimie, w chwili gdy zmrok zapadał, można by było widzieć na drodze przechodzącej przez płaszczyznę Marlborough jednokonkę, a w tej jednokonce człowieka popędzającego swą zmęczoną klacz. Mówię, że można by było widzieć i nie ulega żadnej wątpliwości, że widziano by, gdyby tylko przechodziła tamtędy jakaś osoba, która by nie była ślepa. Ale było tak zimno, ciemno i słotno, że oprócz deszczu, który padał, ani psa nie było na dworze. Jeżeliby jaki komiwojażer z tych czasów spotkał był tę małą jednokonkę z szarym pudłem i czerwonymi kołami, tę klacz bułaną, długonogą i kapryśną – od pierwszego rzutu oka powiedziałby, że powożącym tym ekwipażem był niezawodnie Tom Smart z wielkiego domu handlowego Bilson i Slum z Cateaton Street w City, ale ponieważ nie było tam żadnego komiwojażera w pobliżu, nikt więc nie wiedział, dlaczego Tom Smart, jego szara jednokonka, czerwone koła i kapryśna klacz jednostajnie kuśtykały teraz razem, zachowując tę tajemnicę, od której nikt by zresztą nie zmańdrał. Nawet na tym smutnym świecie wiele jest miejsc nierównie weselszych aniżeli płaszczyzna Marlborough, gdy wieje wiatr gwałtowny. Jeżeli dodacie do tego ponury wieczór zimowy, drogę błotnistą i nierówną, deszcz zimny i gęsty, i drogą doświadczenia sprawdzicie to na własnej osobie, to pojmiecie całą siłę obrazu.

Wiatr nie wiał ani w oczy, ani z tyłu, chociaż i to już źle, ale w poprzek drogi, ukośnie pędząc deszcz, jak linie nakreślone w naszych zeszytach, byśmy należycie pochylali litery. Gdy na chwilę przycichł, podróżnik począł sobie roić, że wycieńczony gwałtownością (wiatr, nie podróżnik) ustał na koniec. Ale puff! i znowu zaczynał ryczeć i świstać w od dali, staczać się z pagórków, gnać po płaszczyźnie i przybliżając się ze wstrząsającą gwałtownością wirować dokoła bryczki i konia, ciskać w oczy i w uszy kłębami ostrego i zimnego deszczu, wilgotny i lodowaty swój oddech wdmuchiwać aż do szpiku kości, potem popędziwszy dalej ryczeć i gwizdać jakby naigrawając się z ludzkiej słabości i pyszniąc się swoją potęgą.

Bułana klacz babrała się w błocie zwiesiwszy uszy i od czasu do czasu potrząsając głową, zapewne dla wyrażenia wstrętu, jakim przejmowało ją w najwyższym stopniu nieuprzejme zachowanie się żywiołów. Ale ciągle szła dobrym krokiem. Wtem usłyszawszy nadlatujący z dala wicher zatrzymała się nagle, rozstawiła cztery nogi i mocno oparła się o grunt, aby nie być zdmuchniętą. Widocznie wskutek specjalnej łaski opatrności tak sobie

postąpiła, gdyż bryczka była lekka, Tom Smart tak drobny, a kapryśna klacz tak zmęczona, że raz pochwyceni przez huragan, wszyscy troje niezawodnie potoczyliby się jedno przez drugie aż do samych krańców ziemi albo tam, gdzie by ich wiatr zagnał. Otóż, przyjmując jedno czy drugie przypuszczenie, bardzo jest prawdopodobne, że w obu wypadkach ani kapryśna klacz, ani Tom Smart, ani szara jednokonka o czerwonych kołach nigdy by się już wówczas na nic zdać nie mogli.

– Na moje strzemiączka i moje faworyty! – zawołał Tom Smart (miewał on czasem brzydki zwyczaj klęcia) – na moje strzemiączka i moje faworyty! – zawołał Tom. – Jeśli to nie piękny czas, to niech mię diabli roztrzęsą!

Zapytacie mię, zapewne, dlaczego Tom Smart, który i tak już był dostatecznie roztrzęsiony, wyraził życzenie, by został raz jeszcze poddany podobnemu procesowi. Nie wiem dlaczego, wiem tylko, że Tom Smart tak się wyraził, a przynajmniej opowiadał memu wujowi, iż się tak wyraził, co na jedno wychodzi.

– Niech mnie diabli roztrzęsą – rzekł Tom Smart, a klacz parsknęła, jak gdyby najzupełniej podzielała to zdanie.

– No, stara! – zaczął znów Tom, głaszcząc jej szyję końcem bicia. – Niedaleko ujedziemy tej nocy. Zatrzymajmy się lepiej w pierwszej z brzegu oberży. A więc, moja stara, im prędzej pobiegiesz, tym prędzej będzie koniec temu utrapieniu. Hej! Hej! Wio! Wio!

Czy kapryśna klacz do tego stopnia przywykła do głosu swego pana, iż zrozumiała jego myśli, czy też uważała, że zimniej jest stać na miejscu aniżeli iść, tego powiedzieć nie mogę, ale to pewna, że zaledwie Tom przestał mówić, podniosła uszy i poczęła biec. Kłusowała tak szybko i tak wstrząsała jednokonką, iż Tom co chwila oczekiwał, kiedy czerwone koła rozsypią się, a on sam wypadnie na rozmokłą ziemię. Chociaż dobrze powoził, nie był jednak w stanie wstrzymać jej biegu, aż do chwili, w której zmyślne stworzenie samo zatrzymało się przed oberżą na prawo od drogi, około dwóch mil od pagórków Marlborough.

Podróżny nasz, kładąc bicz i oddając lejce parobkowi stajennemu, uważnie wpatrywał się w dom. Był to dziwny stary budynek z małych kamieni ciosanych, ujętych w bloki składane na krzyż. Okna z ostrymi daszkami wychodziły na drogę, drzwi były niskie; ażeby wejść do domu, trzeba było zejść pod ciemny ganek po dwóch dość stromych schodach, zamiast iść do góry, jak się to teraz praktykuje. Ale pomimo to oberża miała przyjemny wygląd; z okna w sali wybiegało wesołe światło, łyskające na drodze aż do przeciwległego płotu; i inne jeszcze światło, to drżące i słabe, to żywe i jasne, błyszczało spoza zasuniętych firanek okna tejże sali; miła wskazówka, że paliło się na kominie. Rozpatrzywszy się w tych drobnych znamionach okiem doświadczonego podróżnika, Tom zeskoczył tak lekko, jak tylko mu pozwalały na wpół przemarzłe członki, i wszedł do domu.

Nie upłynęło kilka minut, a już siedział w sali naprzeciw bufetu koło dobrego ogniska, na które składała się mała miara węgla kamiennego i chrustu w takiej ilości, że można było zrobić zeń dziesięć bardzo przyzwoitych pęków. Paliwo to, nawalone do połowy kominka, skrzyło się, trzaskało i buchało z hałasem, który by wystarczył do rozgrzania serca każdego rozsądnego – człowieka. Miłe to było, ale nie na tym koniec: oto zwinna, młoda dziewczyna bystrooka i o zgrabnej nóżce, rozścielała na stole obrus doskonałej białości. Więcej jeszcze: Tom, z nogami w pantoflach, wspartymi na kominku, plecami zwrócony do otwartych drzwi, widział w zwierciadle nad kominkiem prześliczną perspektywę bufetu, z ponętym szeregiem serów, szynek, wędlin i butelek ze złotymi napisami, słoików z marynatami i konserwami, a wszystko ustawione było na półkach w sposób nadzwyczaj nęcący. Otóż wszystko to było bardzo ponętne; ale jeszcze i nie na tym koniec, bo za bufetem zasiadła do herbaty ponętniejsza nad wszystko wdówka, przy najpiękniejszym małym stoliczku obok najcudniejszego ognia, jaki sobie można wyobrazić, a wdówka ta, mająca zaledwie czterdzieści osiem lat i o twarzy tak pociągającej jak bufet sam, była widocznie panią i właścicielką oberży, najwyższą władzą wszystkich uroczych posiadłości. Na nie-

szczęście był i brzydki cień na tym pięknym obrazie, a mianowicie słuszny mężczyzna, bardzo słuszny, w brunatnym surducie z ogromnymi metalowymi guzikami, z czarnymi wąsami i takimiz kręconymi włosami. Pił herbatę obok wdowy i jak można było odgadnąć bez wielkiej domyślności, znajdował się na prostej drodze do owładnięcia samą wdówką wmówiwszy w nią, by mu oddała na wieczne czasy przywilej zasiadania za tym bufetem.

Z charakteru Tom nie był bynajmniej ani cholerykiem, ani zazdrosnym, a jednak z tego czy z owego powodu, słuszny mężczyzna w brunatnym surducie wzburzył mu nieco żółć, która stanowiła także część jego jestestwa. Szczególnie gniewało go to, że od czasu do czasu dostrzegał w zwierciadle pewne czułości, niewinne, ale czułe, wymieniane między wdówką i słusznym mężczyzną, które były widocznym dowodem, że wysoki mężczyzna cieszył się względami damy, i to w stopniu odpowiadającym jego wzrostowi. Tom lubił gorący poncz, mogę nawet powiedzieć, iż go bardzo lubił, toteż upewniwszy się, że klacz jego ma dobry owies i dobrą podściółkę, podjadłszy sobie tak, że nie zostawił ani kawałka z doskonałej przekąski, którą mu wdówka przyrządziła własnymi rękami, zażądał szklanki grogu na próbę. Otóż, jeżeli było coś, co wdówka umiała przyrządzić lepiej niż wszystko inne, to był to właśnie ten artykuł. Pierwsza szklanka tak szczęśliwie przypadła do gustu Tomowi, iż nie omieszkął zażądać drugiej. Poncz gorący, panowie, jest to rzecz bardzo przyjemna we wszystkich okolicznościach; ale w tej starej sali, tak czyściutkiej, przed tak wesołym ogniem, przy szumie wichru hulającego na dworze tak, że aż trzeszczało wiązanie starego domu, Tom uznał swój poncz za bezwzględnie doskonały. Zażądał trzeciej szklanki, potem czwartej, potem piątej; nie wiem z pewnością, czy nie kazał dać sobie jeszcze jednej po tej ostatniej. Jakkolwiek było, im więcej pił ponczu, tym bardziej oburzał się na słusznego mężczyznę.

„Co za piekielny bezwstyd! – pomyślał Tom w duchu. – Co ten pysk szkaradny ma tu do czynienia za tym ślicznym bufetem? Gdyby wdówka miała choć trochę dobrego smaku, niezawodnie znalazłaby sobie przystojniejszego chłopca”.

Tu oczy Toma przestały patrzeć w zwierciadło i zwróciły się ku szklance z ponczem. Wychylił ją, bo poczynił być sentymentalny, i kazał podać sobie drugą.

Smart, moi panowie, zawsze odczuwał wielką skłonność do trybu życia właściwego oberżom. Od dawna już marzył o tym, jak by zasiadł za bufetem należącym do niego, w długim, zielonym surducie, aksamitnych spodniach z lampasami i butach z wykładanymi cholewami. Miał też wysoką ambicję prezydowania przy ucztach; sądził, że przemawiałby pięknie w sali jadalnej, będącej jego własnością, i że znakomity dawałby przykład współbiesiadnikom pijąc nieustraszenie. Wszystko to nagle ujrzał w myśli, gdy pociągnął ponczu przy kominku, i czuł się rzetelnie oburzony na słusznego mężczyznę, który zdawał się być na drodze do pozyskania tego pięknego domu, podczas gdy on, Tom Smart, dziś był od niego dalej niż kiedykolwiek. Wskutek tego, zapytując sam siebie przy dwóch ostatnich szklankach, czy nie ma prawa pokłócić się ze słusznym mężczyzną o to, że tak wkradł się w łaski ciepłej wdówki, Tom Smart doszedł ostatecznie do tej konkluzji, niezbyt zadowolającej, że był biedakiem, którym pomiatano, którego prześladowano, i że najlepiej będzie, jeżeli sobie pójdzie spać.

Przystojna dziewczyna poszła przed Tomem po szerokich schodkach; ręką osłaniała świecę, by ją zabezpieczyć od przeciągu, który w starych budynkach, tak nieregularnych jak opisana oberża, znalazłby tysiąc sposobów do pohulania, nie mając wcale zamiaru zgaszenia świecy. A jednak świeca zgasła, co dało nieprzyjaciołom Toma Smarta powód do utrzymywania, że on, a nie wiatr, zgasił świecę i że pod pozorem zapalenia jej pocałował służącą. Tak czy owak, dość że świeca została na nowo zapalona i Tom został doprowadzony do apartamentu przygotowanego na jego przyjęcie. Młoda dziewczyna powiedziała mu dobranoc i zostawiła go samego.

Znalazł się w ogromnym pokoju. Łóżko mogło służyć dla całego batalionu; dwie dębowe poczerniałe szafy mogłyby objąć bagaże niewielkiej armii; ale co najwięcej pociągnęło uwagę Toma, to szczególnego rodzaju fotel z wysokim oparciem, miną napuszoną, rzeźbiony w sposób najdziwaczniejszy, obity czerwonym adamaszkiem w wielkie liście, gdy nogi jego starannie były owinięte w małe czerwone worki, jak gdyby miał podagrę w stopach.

Innym razem Tom powiedziałby po prostu, że ze wszystkich niezwykłych foteli ten jest najbardziej niezwykły, ale w fotelu tym było coś – nie mógł powiedzieć, co mianowicie – coś, czego nigdy nie dostrzegł w żadnym meblu, coś, co przykuwało wzrok do niego. Tom siadł przy ogniu i więcej niż pół godziny trzymał oczy wlepione w ten fotel. Przeklęty stary grat! Pomimo największych wysiłków, nie mógł jednak nie patrzeć na niego...

– Słowo daję – rzekł Tom, rozbierając się powoli i ciągle spoglądając na stary fotel, z tajemniczą miną stojący przy łóżku – nigdy w życiu nie widziałem nic tak dziwnego; nadzwyczajnie dziwny! – I zwiesił głowę z miną znamionującą wielką mądrość, i znów spojrział na fotel; ale chociaż patrzył i patrzył, nic nie wypatrzył i nie zrozumiał. A więc wlaźł do łóżka, okrył się ciepło i zasnął.

W pół godziny potem zerwał się ze snu, w którym widział mnóstwo słusznych mężczyzn i szklanek z ponczem. Pierwszym przedmiotem, który się ukazał jego rozespanej wyobraźni, był ów dziwny fotel.

– Nie chcę patrzeć na niego – rzekł Tom do siebie, starannie mrużąc oczy i siłąc się wmówić w siebie, że zaśnie powtórnie. Niepodobna! Mnóstwo najdziwaczniejszych foteli zaczęło tańczyć mu przed oczami, podnosić nogi, skakać, jeden przez drugi i broić tysiące podobnych figlów.

„Lepiej już widzieć jeden fotel rzeczywisty aniżeli dwa albo trzy tuziny urojonych” – pomyślał wysuwając głowę spod kołdry.

Przedmiot jego podziwu stał ciągle przed nim fantastycznie oświetlony drżącym ogniem kominka.

Tom ostro wpatrzył się w fotel i wkrótce dostrzegł, że zmienia on kształty. Rzeźba na grzbiecie przybrała rysy starczej i pomarszczonej twarzy ludzkiej, adamaszek w szerokie liście przeistoczył się w staroświecką kamizelkę, nogi wydłużyły się i obuły w czerwone pantofle – wreszcie sam fotel przedstawił się jako bardzo stary i bardzo brzydki gentleman z zeszłego wieku, trzymający się pod boki. Tom siadł na łóżku i przetarł oczy, by odpędzić złudzenie. Ale nie, fotel rzeczywiście był starym gentlemanem, i co więcej, począł mrugać spoglądając na Toma.

Tom, rozumie się, był śmiały, a oprócz tego miał w sobie pięć szklanek ponczu. Choć zrazu nieco wypadł z równowagi, poczuł wkrótce, że żółć mu się burzy, gdy dostrzegł, że starożytny gentleman zerka na niego bezwstydnie. W końcu postanowił skończyć z tym i gdy tylko stara twarz poczęła szybciej mrugać, Tom rzekł tonem rozgniewanym:

– Po co, u licha, wyrabiasz wszystkie te grymasy?

– Bo mi się tak podoba, Tomie Smart – odrzekł fotel albo stary gentleman, jak chcecie. I nie tylko, że nie przestał mrugać, ale jeszcze począł wyszczerzać zęby jak stara, zgrzybiała małpa.

– Skąd znasz moje nazwisko, ty stary dziadku do orzechów? – zapytał Tom, nieco zaniepokojony, chociaż chciał udawać zucha.

– No, no, Tomie! Tak się nie mówi do solidnego hiszpańskiego mahoni. Niech mię Bóg skarże! Nie godzi się tak traktować nawet prostego stołka olchowego.

– Nie miałem zamiaru ubliżyć panu – odpowiedział nierównie pokorniejszym tonem.

– Dobrze! dobrze! – zawołał stary – wierzę temu, Tomie, wierzę.

– Panie!

– Znam całą twoją historię. Tomie, znam całą. Nie jesteś bogaty, Tomie.

– Prawda, ale skąd pan to wiesz?

– Mniejsza o to. Słuchaj, Tomie, ty za bardzo lubisz poncz.

Już Tom chciał oświadczyć, że od ostatnich swoich imienin nie brał kropli do ust, gdy oczy jego spotkały oczy fotela. Tom zarumienił się i zamilczał.

– Tomie! Wdówka to piękna kobiecina, smaczna kobiecina, co?

Mówiąc to, stary wyrzucił oczy, mlasnął językiem i podniósł jedną ze swych kruchych nóg z miną tak rozpustną, iż Tomowi nie w smak poszła podobna lekkomyślność, zwłaszcza w takim wieku.

– Tomie! – zaczął znowu stary gentleman – ja jestem jej opiekunem.

– Czy tak?

– Znałem jej matkę, Tomie, i babkę także. Szalała za mną. To ona uszyła mi tę kamizelkę.

– Oho!

– I te pantofle także! – mówił dalej stary, podnosząc jeden ze swych worków. – Ale nie opowiadaj o tym, Tomie, nie chcę, by wiadano, jak była do mnie przywiązana; mogłoby to doprowadzić do nieporozumień w rodzinie.

Mówiąc to, stary rozpustnik miał minę tak bezwstydną, że Tom twierdził później, iż bez żadnego wyrzutu sumienia usiadłby na nim.

~ Niegdyś szalały za mną kobiety. Niemalże też piękności trzymałem na mych kolanach całymi godzinami. Cóż ty na to, Tomie?

Stary gaduła zamierzał mówić dalej, zapewne, by opowiedzieć którą z przygód swej młodości, gdy wtem dostał ogromnego napadu kaszlu.

„Dobrze ci tak, stary libertynie!” – pomyślał Tom, ale nie powiedział nic.

– Ach! – odjęknął wreszcie stary – teraz mię trapi choroba. Starzeję się, Tomie. Niedawno zrobiono mi szkaradną operację: wsadzono mi w grzbiet łąkę. Była to okropna próba. Tomie.

– Wyobrażam sobie – rzekł Tom Smart.

– Ale nie o to chodzi, Tomie; chcę, byś się ożenił z wdówką.

– Ja, panie?

– Ty.

– Niech Bóg błogosławi twoje białe włosy! – rzekł Tom (fotel zachował jeszcze część swego owłosienia). – Ale ona mnie nie zechce.

I Tom westchnął mimowolnie, bo pomyślał o bufecie.

– Eh, ba! – rzekł stary gentleman stanowczo.

– Nie! Nie! Tu inny wiatr wieje: jest tam jakiś przekłety łotr, ogromnego wzrostu, z czarnymi faworytami!

– Tomie! – odpowiedział stary uroczyście. – On się z nią nigdy nie ożeni!

– O! Gdybyś był pan na dole, mój stary panie, to inaczej byś mówił.

– Ba, ba! Znam całą tę historię...

– Jaką historię?

– Całusy kradzione za drzwiami i tam dalej – odrzekł starzec spoglądając tak bezwstydnie, że aż krew w Tomie zawrzała, bo pytam się panów, czy jest coś wstrętniejszego niż to, że człowiek w tym wieku tak się wyraża zamiast zająć się czymś właściwszym.

– Wiem o tym, Tomie, niejedna robiła tak samo, ale koniec końców nic z tego nie wynikło.

– Pan musiał w swoim czasie widzieć ciekawe rzeczy?

– Może masz słuszość, Tomie – odpowiedział stary, wykrzywiwszy się w sposób wielce skomplikowany, potem zaś, westchnąwszy głęboko, dodał: – Niestety! Jestem ostatni z rodu.

– A miał pan liczną rodzinę? – zapytał Tom Smart.



– Było nas dwunastu zuchów, dobrze zbudowanych, a prostych jak głoska I. To nie to, co wasze terażniejsze pokurcze. A przy tym tak nas wysztafirowano (choć nie powinien bym mówić tego o sobie), że aż serce się radowało.

– Cóż się stało z innymi?

Stary gentleman zasłonił sobie łokciem oczy i odpowiedział smutno:

– Pomarli, Tomie, pomarli! Ciężka wypadła nam służba, a nie wszyscy mieli moje zdrowie. Podostawali reumatyzmu w nogach i w rękach, tak że podnoszono ich do kuchni i innych szpitali. Jeden z nich wskutek długiej służby i złego obchodzenia się tak się roztrząsał, iż postanowiono go spalić; przykry to koniec, Tomie.

– Okropny! – potwierdził Tom Smart.

Stary gentleman zamilkł. Walczył, widocznie, z naporem uczuć, po chwili zaś tak przemówił:

– Nie o to chodzi, Tomie. Ten słuszny mężczyzna to łotr i awanturnik. Gdyby ożenił się z wdówką, sprzedałby zaraz wszystkie ruchomości i drapnąłby. Cóż by potem nastąpiło? Zostałaby opuszczona, zrujnowana, a ja umarłbym z przeziębienia gdzieś na tandecie...

– Tak, ale...

– Nie przerywaj mi, Tomie. O tobie mam zupełnie inne zdanie. Wiem, że gdybyś raz osiedlił się w szynku, tobyś go już nie porzucił, dopóki by była choć jedna kropla do wypicia.

– Bardzo jestem panu wdzięczny za taką opinię.

– Dlatego też – mówił dalej stary gentleman dyktatorskim tonem – dlatego też ty się z nią ożenisz, a nie on.

– A któż mu w tym przeszkodzi? – zapytał Tom żywo.

– Mała okoliczność: on ma już żonę.

– Jakże tego dowiodę? – zawołał Tom, na wpół wyskakując z łóżka.

– On nie domyśla się, że w prawej kieszeni spodni znajdujących się w tej szafie jest list jego nieszczęśliwej żony, która go zaklina, by powracał i dał jeść swoim sześciorgu... zapamiętaj to dobrze, Tomie, swoim sześciorgu dzieciom, samym niedorostkom jeszcze.

Gdy stary gentleman uroczyście domawiał te wyrazy, rysy jego stawały się coraz mniej wyraźne, a cała postać nikła z wolna. Oczy Toma jakby zaszły mgłą; staroświecka kamizelka gentlemana przeistoczyła się w adamszkową poduszkę, czerwone pantofle w worki, na koniec cała osoba przybrała postać starego fotela. W tej chwili ogień zgasł na kominku, a Tom Smart upadł na poduszki i zasnął głęboko.

Poranek wyrwał go z letargicznego snu, który nim owładnął po zniknięciu starego gentlemana. Usiadł na łóżku i przez kilka minut na próżno starał się sobie przypomnieć wydarzenia poprzedniego wieczora. Wtem wszystko stanęło mu w pamięci. Spojrzał na fotel. Był to sobie zwykły, stary sprzęt gotycki, ponury i fantastyczny, ale trzeba było mieć wyobraźnię nierównie bujniejszą aniżeli Tom, by dopatrzeć się w nim jakiegoś podobieństwa do człowieka.

– Jak się masz, stary? – zapytał Tom, odważniejszy już w dzień, jak się to wielu ludziom zdarza.

Ale fotel stał nieruchomy i nic nie odpowiedział.

– Brzydki ranek! – mówił dalej Tom. Ani słowa. Fotel nie chciał się wdawać w pogawędkę.

– O jakiej to szafie mówiłeś? – zapytał znów Tom.

To samo milczenie: fotel ani pisnął.

„Zresztą sam sobie poradzę” – pomyślał Tom; wyskoczył z łóżka i zbliżył się do jednej z szaf. Klucz był w drzwiach: przekręcił go i otworzył je. W szafie wisiały spodnie; Tom wsunął rękę do kieszeni i wydobyl list, o którym mówił mu stary gentleman.

– Szczególna historia – rzekł Tom spoglądając naprzód na fotel, potem na szafę, w końcu na list – dziwna historia.

Ale choć patrzył i patrzył, niczego się nie dopatrzył; pomyślał więc, iż najlepiej zrobi, gdy się ubierze i bezzwłocznie skończy sprawę ze słusznym mężczyzną.

Zszedłszy na dół, badawczym okiem pana obejrzał oberżę myśląc, iż bardzo być może, że wszystkie te pokoje, z tym, co zawierają, zostaną jego własnością. Słuszny mężczyzna stał przy ponętym bufecie z rękami założonymi w tył, jak gdyby był u siebie. Uśmiechał się do Toma z miną roztargnioną. Pospolity obserwator mógłby wnosić, iż uczynił to dlatego jedynie, by pokazać swe białe zęby, ale Tomowi wydawało się, że to pycha tak się w nim uśmiecha, zaśmiał mu się więc prosto w oczy i przywołał gospodynię.

– Dzień dobry pani – rzekł, zamykając drzwi małego pokoiku, gdy weszła wdówka.

– Dzień dobry panu – odrzekła dama – co pan życzy sobie na śniadanie?

Tom nic nie odpowiedział, bo myślał właśnie, jak tu rozpocząć interes.

– Jest doskonała szynka – zaczęła znowu wdówka – wyborny kapłon na zimno. Co mam przysłać panu?

Po tych wyrazach Tom przestał rozmyślać, a jego uwielbienie dla wdowy jeszcze bardziej wzrosło. „Miła osoba – powiedział sobie w duszy – przewidująca i uprzejma”.

– Pani – zapytał – kto jest ten mężczyzna, który siedział za bufetem?

– Nazywa się Jinkins – odrzekła wdówka, rumieniąc się cokolwiek.

– Wysoki mężczyzna...

– Bardzo przystojny mężczyzna – odpowiedziała wdówka, rumieniąc się jeszcze więcej – i bardzo dobrze wychowany.

– Hm! – mruknął Tom.

– Czy pan życzy sobie czego? – zapytała znowu wdówka, nieco zakłopotana zachowaniem się Toma.

– A życzę, życzę sobie – odrzekł Tom. – Bądź pani tak dobra, usiądź na chwilę.

Wdówka zdawała się być bardzo zdziwiona, ale usiadła. Tom usiadł przy niej. Nie wiem, jak się to stało, moi panowie, a mój wuj miał zwyczaj utrzymywać, że i sam Tom Smart tego nie wiedział, ale w ten czy inny sposób dłoń jego znalazła się w ręce wdówki i pozostała tam przez cały czas rozmowy.

– Moja kochana pani – rzekł Tom, gdyż umiał przypodobać się – moja kochana pani, doprawdy, że warta jesteś pani dobrego męża.

– Mój panie! – zawołała wdówka, jak mogła najuprzejmiej, taki bowiem początek mowy był co najmniej niezwykły, by nie powiedzieć więcej, zwłaszcza jeżeli zważymy, że do wczorajszego wieczora nigdy nie widziała Toma.

– Nie jestem pochlebcą, kochana pani. Pani warta jesteś doskonałego męża, a kto nim zostanie, ten będzie bardzo szczęśliwym człowiekiem.

Podczas gdy Tom to mówił, oczy jego mimowolnie oderwały się od oblicza wdówki i poczęły błąkać się po rozmaitych wygodnych sprzętach otaczających go dokoła.

Wdówka przybrała minę jeszcze więcej zakłopotaną; zrobiła ruch, by wstać, ale Tom lekko uściskał jej rękę, jak gdyby chciał ją powstrzymać – i pozostała. Wdowy, moi panowie, rzadko są lękliwe; tak utrzymywał mój wuj.

– Jestem panu bardzo zobowiązana za jego pochlebne zdanie – rzekła uśmiechając się – i jeżeli kiedy wyjdę za mąż...

– Jeżeli? – przerwał Tom spoglądając na nią szelmowsko prawym kątem swego lewego oka. – Jeżeli...

– Otóż, jeżeli pójdę za mąż, spodziewam się, że będę miała tak dobrego męża, jak go pan przedstawia.

– To jest Jinkinsa?

– Ależ panie! – zawołała wdowa.

- No, no! nie mów mi pani o nim, znam go... – rzucił domyślnie Tom Smart.
- Jestem pewna, iż wszyscy, którzy go znają, nie mogą o nim powiedzieć nic złego – zaczęła znowu wdowa, nieco zaintrygowana tajemniczą miną Toma.
- Hm! – mruknął komiwojażer.
- Wdowa poczęła przypuszczać, że właśnie nadeszła pora rozplakać się. Wyjęła więc chustkę i zapytała, czy Tom ma zamiar obrażać ją, czy sądzi, że przystoi jednemu gentlemanowi obmawiać drugiego gentlemana; dlaczego, jeżeli ma co powiedzieć, nie powie tego jej kawalerowi, jak mężczyzna mężczyźnie, zamiast przeproszać biedną kobietę itd.
- I jemu powiem parę słów – odrzekł Tom. – Tylko chciałbym, byś pani przedtem mnie wysłuchała.
- Dobrze! Mów pan – odrzekła wdówka, uważnie patrząc mu w oczy.
- Zdziwię panią – mówił dalej Tom, sięgając do kieszeni.
- Jeżeli tym, że Jinkins nie ma pieniędzy, to rzecz wiadoma – i nie ma pan potrzeby się trudzić.
- Ba! To jeszcze nic! Ja także nie mam pieniędzy! Ale nie o to chodzi.
- Ach! Mój Boże! O cóż więc? – zawołała biedna kobieta.
- Nie przestraszaj się pani – rzekł Tom, wyjmując list. – I nie krzycz pani – ciągnął dalej, powoli rozwijając papier.
- Nie, nie! Tylko pokaż pan.
- Czy nie zrobi się pani niedobrze i czy nie będzie żadnych podobnych ekstrawagancji? – spytał Tom.
- Nie, przyrzekam panu.
- I nie rzuci się pani do wspólnej sali, by mu powiedzieć słowa prawdy? – dodał Tom.
- Bo widzi pani, nie warto się irytować.
- Nie, nie, tylko daj mi pan ten list.
- Oto jest – odrzekł Tom Smart, kładąc papier na rękę wdówki.
- Lamentacje biednej kobiety, gdy go przeczytała, mogłyby przebić kamienne serce. Tom zawsze miał serce czułe, toteż zostało przebite na wylot. Wdówka rzuciła się na krzesło i załamała rękę.
- O, zdrado! O, przewrotności męska! – zawołała.
- Tak, tak, kochana pani; ale uspokój się.
- Nie! nie chcę się uspokoić – łkała wdówka. – Nigdy nie znajdę człowieka, którego bym tak kochała!
- Owszem, owszem, kochana pani! – zawołał Tom Smart, wylewając ogromny potok łez nad stroskaną kobietą. Potem w uniesieniu współczucia objął jej kibić, a wdówka w przystępie boleści uściśniła mu rękę, spojrzała w oczy i uśmiechnęła się przez łzy. Tom pochylił się ku niej, spojrzał w oczy i także uśmiechnął się wśród płaczu.
- Nie mogłem nigdy dowiedzieć się, czy w tej chwili pocałował wdówkę. Często mówił wujowi, że nie uczynił tego, ale ja mam w tym względzie wielką wątpliwość. Między nami mówiąc, panowie, przypuszczam, że ją pocałował.
- Nie wiem, jak tam dalej było, dość że Tom wyrzucił wysokiego mężczyznę za drzwi, a w miesiąc później ożenił się z wdówką. Często widziano go potem, jak jeździł po okolicy w szarym kabriolecie z czerwonymi kołami, aż po wielu latach usunął się od interesów i wyjechał z żoną do Francji, po czym dom zburzono.
- Po kupcu przemówił stary, ciekawy gentleman.
- Za pozwoleniem, czy mogę zapytać, co się stało ze starym fotelem?
- Zauważono, że w dzień ślubu bardzo skrzypiał, ale Tom Smart nie umiał powiedzieć, czy z radości, czy też skutek cielesnej niemocy. Zawsze jednak przypuszczał, że to z tego ostatniego powodu, bo więcej nie słyszano go już.
- I wszyscy uwierzyli tej historii? – zapytała okopcona twarz, nabijając fajkę.

- Wszyscy, wyjąwszy nieprzyjaciół Toma. Ci utrzymywali, że było to wszystko blagą.
- Inni mówili, że był pijany i że mu się to wszystko śniło.
- A Tom Smart twierdził przeciwnie?
- Rozumie się.
- A wuj pana?
- Zgadzał się z Tomem.
- W takim razie obaj byli zuchy co się zowie – rzekła zakopcona twarz.
- O, zuchy – odrzekł komiwojażer. – Prawdziwe zuchy.

## Rozdział piętnasty

*w którym znajduje się prawdziwy wizerunek dwóch osób dystyn-  
gowanych i dokładny opis wielkiego śniadania w miejscu ich pobytu  
–Rzeczone śniadanie doprowadza do spotkania dawnych znajomych  
i do początku następnego rozdziału*

Sumienie pana Pickwicka wyrzucało mu, iż zaniedbał cokolwiek swoich przyjaciół „Pod Srebrnym Pawiem”. Właśnie gdy rano na trzeci dzień po wyborach zamierzał ich odwiedzić, wszedł jego wierny sługa i wręczył mu bilet wizytowy, na którym znajdował się następujący napis gotyckimi literami:

*PANI LEO HUNTER  
PIECZARA, EATANSWILL*

- Osoba czeka – rzekł Sam lakonicznie.
- Czy tylko o mnie pyta?
- O pana, osobiście i bez zastępstwa, jak mówił tajny sekretarz diabła, gdy przyszedł po doktora Fausta – brzmiała odpowiedź Sama Wellera.
- A więc to jest gentleman? – zapytał pan Pickwick.
- Jeżeli to nie jest gentleman, to przynajmniej bardzo staranne jego naśladownictwo – odparł Sam.
- Ależ to bilet wizytowy damy.
- A pomimo to wręczył mi go mężczyzna. Czeka w salonie i mówi, że musi widzieć się z panem, choćby miał czekać cały dzień.
- Dowiedziawszy się o tym postanowieniu pan Pickwick zeszedł do salonu. Siedział tam człowiek o dostojnej minie, który ujrawszy naszego filozofa wstał i przemówił tonem głębokiego szacunku:
  - Pan Pickwick, jak sądzę?
  - Tak jest, panie.
  - Pozwól mi pan na ten zaszczyt, że uścisknę jego rękę. Pozwól mi pan ją uścisknąć – rzekł dostojnie wyglądający mężczyzna.
  - Z przyjemnością – odrzekł pan Pickwick.
- Nieznamomy, uściskawszy podaną mu rękę, tak mówił dalej:
  - Panie! Sława mówi o panu jako o uczonym badaczu starożytności. Rozgłos jego odkryć obił się o uszy pani Hunter, żony mojej, panie; ja jestem mąż, także Hunter.
- Tu poważny człowiek zatrzymał się, sądząc, że wiadomość ta sprawi ogromne wrażenie na panu Pickwicku; ale widząc, że filozofa najzupełniej nie wyprowadza to z równowagi, ciągnął dalej:

– Moja żona, panie, pani Hunter, dumna jest z tego, iż liczy pomiędzy swymi znajomymi wszystkich znakomitych podróżników i ludzi geniuszu. Pozwól mi pan na tej liście umieścić także nazwisko pana Pickwicka i członków klubu, który został przezeń założony.

– Bardzo mi będzie miło poznać damę o takich przymiotach ducha – odparł pan Pickwick.

– Jutro rano dajemy wielkie śniadanie, urządzamy zabawę wiejską dla wielkiej liczby osób, które wsławiły się swymi dziełami i talentem. Zrób pan tę przyjemność pani Hunter, by mogła pana jutro oglądać u siebie.

– Z wielką chęcią.

– Pani Hunter daje często podobne śniadania, uroczystości rozumu i ucztę duszy, jak się z wielką oryginalnością wyraził jeden z jej gości, który dedykował jej sonet o tych śniadaniach.

– Czy osoba ta wsławiła się swymi dziełami, czy też talentami? – zapytał pan Pickwick.

– I jedno, i drugie. Wszyscy znajomi pani Hunter są sławni; ambicja jej polega na tym, by nie mieć innych znajomości.

– Bardzo to szlachetna ambicja – zauważył pan Pickwick.

– Gdy powiem pani Hunter, że uwaga ta wyszła z ust pana, żona moja będzie dumna z tego. W towarzystwie pana znajduje się gentleman, który podobno napisał kilka małych poematów wielkiej piękności?

– Mój przyjaciel, pan Snodgrass, ma wielki zmysł do poezji.

– To tak jak pani Hunter. Ona, panie, uwielbia poezję, szaleje za nią. Mogę powiedzieć, iż cała jej dusza, cały umysł przesiąknięty jest poezją. Sama napisała kilka prześlicznych rzeczy. Zapewne czytał pan jej odę „Do konającej żabki”?

– Nie zdaje mi się – odparł pan Pickwick.

– Zdumiewa mię pan – rzekł pan Hunter. – Oda ta wywarta ogromne wrażenie. Ukazała się po raz pierwszy w „Magazynie dla Dam” i podpisana była literą L. z dziewięcioma gwiazdkami. Początek jej brzmi:

*Ach, czy mogę bez żalości  
Patrzeć, jak – ofiara złości –  
Giniesz w pierwszej swej młodości,  
Mała, biedna, drżąca –  
Żabko konająca!*

– Ładne – zauważył pan Pickwick.

– Piękne – rzekł pan Hunter – i takie proste.

– Bardzo – odparł pan Pickwick.

– Następna strofa jest jeszcze bardziej wzruszająca; pozwoli pan, że ją wygłoszę.

– Jak pan sobie życzy – odparł pan Pickwick.

– Brzmi ona tak – mówił dostojsny pan coraz dostojsniej:

*Powiedz, czy cię chłopcy dzicy,  
Z błota na środek ulicy,  
Psem wyszczuli, okrutnicy?  
O, boleści wrząca –  
Żabko konająca!*

- Bardzo piękne – rzucił pan Pickwick.
- I jakie trafne, mój panie – rzekł pan Hunter. – Ale usłyszysz pan samą panią Hunter, jak deklamuje ten utwór. Ona jedna potrafi nadać temu właściwy wyraz. Jutro będzie go deklamowała w stylowym kostiumie.
- Jako co?
- Jako Minerwa. Ach, zapomniałem panu powiedzieć – wszyscy mają być w kostiumach.
- O, nieba – rzekł pan Pickwick, spojrzawszy po sobie – niemożliwe.
- Niemożliwe? Bynajmniej; to się da łatwo zrobić – rzekł pan Hunter. – Salomon Lucas, Żyd przy ulicy Wielkiej, ma tysiąc najrozmaitszych kostiumów. Może pan wybrać ubiór najbardziej mu odpowiadający: Platon, Zenon, Epikur, Pitagoras – wszyscy byli założycielami klubów.
- Wiem o tym; ale ponieważ nie mogę porównywać się do tych znakomitości, więc też nie powinienem przywłaszczać sobie ich ubioru.
- Dostojny pan zamyślił się głęboko, a po kilku minutach powiedział:
- Zastanowiwszy się należycie, nie wiem, czy pani Hunter nie będzie przyjemniej, gdy będzie mogła przedstawić swym gościom osobę tak jak pan znakomitą raczej w ubiorze, który zwykle nosi, aniżeli w szatach jej niewłaściwych. Sądzę, iż mogę wziąć na siebie odpowiedzialność za to i przyrzec panu w imieniu pani Hunter, iż zrobi wyjątek dla pana. Tak jest, panie, jestem pewny, iż mogę mu to przyrzec.
- W takim razie bardzo mi będzie przyjemnie skorzystać z zaproszenia – odparł pan Pickwick.
- Ale ja panu czas zajmuję – rzekł nagle dostojny gentleman. – Znam wartość czasu i nie chcę go panu zabierać. Powiem więc pani Hunter, iż z pewnością może liczyć na pana jak również na pańskich znakomitych przyjaciół. Dumny jestem z poznania tak sławnej osobistości. Ani kroku, panie! ani słowa!
- I nie dając panu Pickwickowi czasu na odpowiedź pan Hunter poszedł dostojnie ku drzwiom.
- Filozof wziął kapelusz i udał się „Pod Srebrnego Pawia”, ale pan Winkle już tam opowiedział o śniadaniu kostiumowym.
- Pani Pott będzie także! – To były pierwsze słowa, którymi powitał swego mistrza.
- A! – odparł pan Pickwick.
- W postaci Apollina. Tylko pan Pott nie zgadza się na tunikę.
- Ma słuszność! Ma zupełną słuszność – rzekł uczonego męża uroczyście.
- Tak, toteż weźmie białą atlasową suknię w złote muszki.
- Ale czy w takim razie nie będzie trudno poznać, kogo przedstawia? – zapytał pan Snodgrass.
- Dlaczego?! – zawołał pan Winkle z oburzeniem. – Przecież będzie trzymała lirę!
- Prawda! Zapomniałem o lirze – rzekł pan Snodgrass.
- A ja – rzekł pan Tupman – przebiorę się za bandytę.
- Co! – krzyknął pan Pickwick podskakując.
- Za bandytę – powtórzył łagodnie pan Tupman.
- Pan nie ma chyba zamiaru – rzekł pan Pickwick, przypatrując się swemu przyjacielowi z uroczystą surowością – nie ma pan chyba zamiaru, panie Tupman, powiedzieć, że chcesz przywdziać zieloną kurtkę aksamitną z połami na dwa cale?
- Właśnie mam taki zamiar – odrzekł z ogniem pan Tupman – i dlaczegoż by nie? Pytam pana.
- Ponieważ – odpowiedział pan Pickwick, wielce wzburzony – ponieważ jest pan za stary.
- Za stary! – krzyknął pan Tupman.

– A jeżeli potrzeba jeszcze jednego powodu: ponieważ jesteś pan za otyły!...  
 Twarz pana Tupmana poczerwieniała.

– Panie! – zawołał. – Pan mnie obraża!

– Panie! – odparł pan Pickwick tym samym tonem – jeżeli pan stanie przede mną w zielonej aksamitnej kurtce z połami na dwa cale, będzie to dla mnie obrazą nierównie większą.

– Panie! Jest pan impertynentem! – rzekł pan Tupman.

– To określenie odpowiada przede wszystkim panu — odparł pan Pickwick.

Pan Tupman zrobił parę kroków naprzód i spojrzał na pana Pickwicka wzrokiem wyzywającym. Pan Pickwick odpowiedział spojrzeniem skoncentrowanym za pomocą okularów. Jego twarz wyrażała mężne wyzwanie. Panowie Snodgrass i Winkle stali nieruchomi, jak skamieniali, na widok takiej sceny między takimi ludźmi.

Po krótkiej przerwie pan Tupman zaczął znowu tonem znacznie niższym, ale wielce dobitnym:

– Powiedział pan – zaczął pan Tupman głosem głębokim, powoli – że jestem stary.

– Powiedziałem.

– I otyły.

– Nie cofam tego.

– I impertynent.

– Bo jesteś pan impertynentem.

Nastała straszliwa pauza.

– Moje przywiązanie do pańskiej osoby – zaczął pan Tupman, drżąc ze wzruszenia, a jednocześnie zakasując rękawy – jest wielkie, bardzo wielkie, ale muszę natychmiast zemścić się na tej oto osobie.

– Występuj pan! – odparł pan Pickwick.

Pod wpływem wzburzającego dialogu nieśmiertelny ten człowiek stanął w postawie człowieka chorego na żołądek, przekonany niewątpliwie, tak jak to przypuszczali dwaj świadkowie tej sceny, że była to postawa odporna.

Na szczęście pan Snodgrass rzucił się między dwóch zapaśników z narażeniem się na otrzymanie jednocześnie policzków od obu.

– Co? – zawołał, odzyskując nagle dar słowa, którego pozbawił go był na chwilę nadmiar zdumienia. – Co? Panie Pickwick! Pan? Pan, na którego zwrócone są oczy świata? Panie Tupman!

Pan? Uświetniony jego imieniem, jak my wszyscy? Wstyd, panowie, wstyd!

Jak ślady ołówka ustępują łagodnemu naciskowi elastycznej gumy, tak samo niezwykle zmarszczki, które zebrały się na gładkim i otwartym czole pana Pickwicka, znikwały stopniowo podczas przemówienia jego młodego przyjaciela. Jeszcze mówił, a już fizjonomia przybrała swój zwykły błogi wyraz.

– Zanadto się uniosłem – powiedział. – Tupman! Podaj mi rękę!

Czarna chmura okrywająca twarz pana Tupmana znikła przy tych słowach, gorąco uściśnął rękę swego przyjaciela mówiąc:

– Zanadto się uniosłem.

– Nie, nie! – odparł pan Pickwick. – To ja jestem winien. Włóżysz dziś zieloną kurtkę aksamitną.

– Za nic! Za nic! – zawołał pan Tupman.

– Dla mnie to zrobisz, że włożysz – rzekł pan Pickwick.

– Jeżeli tak, to zgoda.

Ułożono więc, iż panowie Tupman, Winkle i Snodgrass przywdzieją kostiumy fantastyczne. Tak to namiętność doprowadziła pana Pickwicka do postępowania sprzecznego z



jego zdrowym rozsądkiem. Trudno by znaleźć bardziej przekonywający dowód łagodności jego charakteru, choćby wszystkie zdarzenia, o których mowa w tym rozdziale, były zmyślane.

Pan Hunter nie przesadził w opisie zasobów Salomona Lucasa.

Kostiumów miał on wiele, bardzo wiele; być może, iż nie były ściśle klasyczne ani zupełnie nowe, nie przedstawiały też ubiorów żadnego wieku ani kraju, ale za to były mniej więcej suto wyszywane złotem, a cóż jest świetniejszego nad złoto? Można by im też zarzucić, że nie sprawiały wiele efektu przy świetle dziennym – ale cały świat wiedział, iż tym świetniej błyszczeć będą przy świecach. Jeżeli więc kto daje bal kostiumowy w dzień, wskutek czego kostiuny nie błyszczą, jak by błyszczały przy świecach, wina tego nie spada na naszytka i galony, ale na osoby dające bal w dzień. Tak rozumował Salomon Lucas.

Pod jego wpływem panowie Tupman, Winkle i Snodgrass przystali na wzięcie kostiumów, jakie zalecił im jego gust i doświadczenie.

W zajeździe „Pod Herbem Miejskim” wynajęli pickwickczy

powóz; inny powóz tego samego zakładu miał zawieźć państwa Pott do miejsca pobytu pani Hunter. Delikatnie wywdzięczając się za otrzymane zaproszenie, pan Pott przepowiedział z góry w „Gazecie Eatanswillskiej”, że rezydencja pani Hunter przedstawiać będzie niezwykle czarowny widok, urozmaicony i miły, świetne zebranie piękności i talentów, ujmujący obraz uprzejmości, a przede wszystkim przepychu, umiarkowanego najwykwintniejszym smakiem, zbytu, upiękzonego doskonałą harmonią i najlepszym tonem, obok którego bajeczne cuda „Tysiaca i jednej nocy” wydadzą się tak mroczne i ponure, jak umysły grubiańskich osobistości ośmielających się jadem zazdrości kłaść przygotowania do zabawy robione przez znakomitą i cnotliwą damę, na której ołtarzu składa się ten znakomity hołd uwielbienia. Ostatni ten frazes był ostrym sarkazmem wymierzonym przeciw „Niepodległości”, która, jako nie zaproszona na śniadanie, w ostatnich swych czterech numerach usiłowała wydrwić całą uroczystość, drukując większymi literami dowcipy na ten temat.

Nadszedł poranek. Wspaniale wyglądał pan Tupman w aksamitnej kurtce, niesłychanie obcisłej. Górne części nóg jego zawarte były w aksamitnych spodniach, dolne ujęte w bardzo skomplikowane bandaże, do jakich wszyscy bandyci mają szczególne a niepojęte zamiłowanie. Miło było widzieć jego wąsy podkreślone do góry i wielki wykładany kołnierz od koszuli, z którego wyglądały jego pełne policzki; rozkosz sprawiał jego kapelusz podobny do głowy cukru i przewiązany wstążkami wszystkich kolorów, który to kapelusz bandyta musiał umieścić na kolanach, gdyż żaden śmiertelnik nie utrzymałby go na głowie w powozie. Wygląd osoby pana Snodgrassa był równie przyjemny i ujmujący. Miał on kaftan atlasowy i jedwabną tunikę, a głowę ocieniał mu grecki hełm; był to, jak wiadomo całemu światu (a jeżeli nie całemu światu, to panu Salomonowi Lucasowi), zwyczajny i autentyczny ubiór trubadura od czasów najdawniejszych aż do chwili, gdy ostatecznie znikł z powierzchni ziemi. Wszystko to było miłe, ale nic nie da się porównać z wrzaskiem pospólstwa, kiedy powóz ruszył za powozem pana Potta, kiedy powóz pana Potta zatrzymał się przed drzwiami jego mieszkania, kiedy drzwi tego mieszkania otworzyły się i ukazały wielkiego dziennikarza ubranego w mundur rosyjskiego policjanta z ogromnym knutem w ręce. Był to taktowny symbol surowej i silnej władzy posiadanej przez „Gazetę Eatanswillską”, i okropnej kary, jaka zagrażała jej przeciwnikom politycznym.

– Brawo! – zawołali panowie Tupman i Snodgrass, ujrzawszy tę chodzącą alegorię.

– Brawo! – odezwał się głos pana Pickwicka z głębi sali.

– Hu! hu! Pott! Chi! chi! Pott! – wrzeszczał tłum.

Podczas tych powitań redaktor wszedł do powozu, uśmiechając się z pewnego rodzaju uprzejmą godnością dowodzącą, iż czuł swą władzę i umiał ją sprawować.

Po redaktorze ujrano, jak wyszła z domu pani Pott, która byłaby najzupełniej podobna do Apollina, gdyby nie miała na sobie sukni. Prowadził ją pod rękę pan Winkle, którego

dzięki jego czerwonemu ubiorowi nie można było wziąć za kogo innego jak za strzelca, gdyby nie był podobny równocześnie do listonosza londyńskiego. Na koniec ukazał się pan Pickwick przy oklaskach uliczników równie hałaśliwych jak poprzednie, ponieważ jego spodnie i kamasze wydawały im się także zabytkami starożytności.

Oba powozy skierowały się ku posiadłości pani Hunter: na koźle tego, w którym znajdował się pan Pickwick, siedział Samuel Weller, który miał pomagać służbie.

Cały tłum, mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta, dzieciaki i starcy, zgromadzeni, by przypatrzeć się kostiumom, doznali największej rozkoszy ujrawszy pana Pickwicka pod rękę, z jednej strony z bandytą, z drugiej zaś z trubadurem. A gdy pan Tupman, chcąc wystąpić w całej okazałości, począł czynić wysiłki, by osadzić na głowie swój kapelusz, powstał hałas tak niesłychany, jakiego nigdy ani przedtem, ani potem nie słyszano.

Wspaniałe przygotowania do uroczystości najzupełniej sprawdziły prorocze pochwały pana Potta o bajecznych cudach „Tysiaca i jednej nocy”, a jednocześnie zadawały kłam przewrotnym insynuacjom jadowitej „Niepodległości”.

Ogród, zajmujący przeszło pół morgi przestrzeni, pełen był gości. Nigdy nie błyszczała piękność, elegancja i literatura takim blaskiem! Młoda dama pisująca poezje do „Gazety Eatanswillskiej” była ubrana lub raczej rozebrana za odaliskę. Opierała się na rękę gentelmana pisującego artykuły krytyczne, który bardzo właściwie przywdział mundur feldmarszałka, wyjąwszy palone buty. Mnóstwo było tu geniuszów tej samej miary i wszyscy rozsądni ludzie uważali się za szczęśliwych, że mogli ich tu spotkać. Więcej jeszcze! Było tam z pół tuzina lwów londyńskich, autorów, prawdziwych autorów, którzy ponapisywali już całe księgi i wydrukowali je. Można było widzieć, jak przechadzali się niczym prości śmiertelnicy, uśmiechali się, rozmawiali, a nawet prawili niedorzeczności, ożywiane niewątpliwie tym pełnym przychylności zamiarem, by ich zrozumieli ludzie, wśród których się znajdowali. Prócz tego była tu orkiestra w kartonowych złożonych kapeluszach, czterech śpiewaków, tak zwanych włoskich, w odpowiednich ubiorach, i około tuzina wynajętych lokajów, także w odpowiednich ubiorach, mówiąc nawiasem, bardzo brudnych. Na koniec, a zarazem przede wszystkim była tu pani Hunter w stroju Minerwy, przyjmująca gości i jaśniejąca dumą i zadowoleniem, iż mogła zgromadzić tylu znakomitych ludzi.

– Pan Pickwick! – oznajmił służący, i znakomity filozof podszedł ku prezydującej bogini, trzymając pod rękę bandytę i trubadura.

– Co? Gdzie? – zawołała pani Hunter z udanym zachwytem.

– Tu, pani – rzekł pan Pickwick słodkim głosem.

– Czy być może, że rzeczywiście oglądam pana Pickwicka we własnej osobie?!

– We własnej osobie, pani – odrzekł filozof, kłaniając się bardzo nisko. – Pozwoli pani przedstawić autorce „Konającej zębki” przyjaciół moich: panów Tupmana, Winkle’a i Snodgrassa.

Niewiele osób, które same na sobie tego nie wypróbowały, pojmie, jak trudno jest kłaniać się w obcisłych, zielonych aksamitnych spodniach, za ciasnej kurtce i kapeluszu podobnym do głowy cukru lub też w błękitnym jedwabnym kaftanie, zwłaszcza gdy wszystkie te przedmioty robione były nie na tego, kto je nosi, i włożone bez najmniejszej uwagi na stosowne rozmiary ubioru i ubranego. Nigdy nie widziano takich wykrętaków, jakie wykonywał pan Tupman, by się okazać zwinnym, nigdy nie widziano tak szczególnej sytuacji, jak u jego towarzyszy kostiumowych.

– Panie Pickwick – rzekła pani Hunter – musi mi pan przyrzec, iż pozostanie pan przy mnie przez cały dzień. Jest tu ze sto osób, którym koniecznie muszę pana przedstawić.

– Pani tak łaskawa – odrzekł pan Pickwick.

– Najpierw, oto moje córeczki: prawie zapomniałam o nich – rzekła Minerwa, niedbale wskazując na dwie panny, doskonale rozwinięte, mogące mieć od dwudziestu do dwudziestu dwóch lat, obie w dziecinnych sukienkach (czy to dla wybitniejszego wykazania ich

skromności, czy też dlatego, by mama wydała się młodsza – pan Pickwick mówi o tym niejasno).

– Prześliczne! – zawołał pan Pickwick, gdy dwoje miłych dzieci oddaliło się po prezentacji.

– Panie! – zauważył pan Pott z majestatyczną miną – to dlatego, że podobne są jak dwie krople wody do matki.

– Milcz pan, szkaradny człowieku! – zawołała wesoło pani Hunter, uderzając redaktora wachlarzem. (Minerwa z wachlarzem).

– Tak jest, droga pani Hunter – zaczął znowu pan Pott, będący urzędową trąbą Pieczary. – Wiesz pani dobrze, iż zeszłego roku, gdy portret pani znajdował się na wystawie, wszyscy zapytywali, czy to portret pani, czy też jej młodszej córki; tak trudno było dopatrzeć się różnicy.

– Ale choćby i tak było, dlaczego powtarza pan to przed obcymi? – odparła Minerwa, powtórnie uderzając wachlarzem lwa „Gazety Eatanswillskiej”.

– Hrabio! Hrabio! – zawołała następnie na jakieś indywiduum, przechodzące niedaleko, w cudzoziemskim uniformie i z ogromnymi wąsami.

– A! chce pani czegoś ode mnie? – rzekł hrabia podchodząc.

– Chcę zaznajomić ze sobą dwie znakomitości. Panie Pickwick, miło mi jest przedstawić panu hrabiego Smorltorka. – Pani Hunter szepnęła do ucha filozofowi: – Znakomity cudzoziemiec zbierający materiały do wielkiego dzieła o Anglii. – Hrabia Smorltork, pan Pickwick.

Pan Pickwick skłonił się hrabiemu z całym uszanowaniem przynależnym tak znakomitej osobie; hrabia wyjął swój notatnik.

– Jak pani powiedziała, pani Hunter? – spytał hrabia, uśmiechając się uprzejmie do wniebowziętej pani Hunter. – Pig Wig czy Big Wig, jak się to u was nazywa... adwokat, co? – i hrabia zapisał pana Pickwicka do swego notatnika jako gentelmana, którego nazwisko pochodzi od profesji, jaką uprawia, gdy pani Hunter przerwała:

– Nie, panie hrabio – rzekła dama – Pickwick.

– A, rozumiem! – odrzekł hrabia – Peek – imię, Weeks – nazwisko. Doskonale, wspaniale. Jak się pan ma, panie Weeks?

– Dziękuję, bardzo dobrze – odrzekł pan Pickwick z właściwą sobie łagodnością. – Jak długo bawi pan w Anglii?

– Od dawna... od bardzo dawna... coś około dwu tygodni.

– I jak długo jeszcze pan zabawi?

– Tydzień.

– Będzie pan miał dużo roboty, chcąc zebrać potrzebne materiały – uśmiechnął się pan Pickwick.

– Och, już je mam! – odrzekł hrabia.

– Doprawdy? – zdziwił się pan Pickwick.

– Mam je tutaj – rzekł hrabia uderzając się w czoło. – W domu wielkie dzieło – mnóstwo notat, muzyka, malarstwo, poezja, polityka... wszystko.

– To jedno pojęcie, polityka – rzekł pan Pickwick – stanowi przedmiot trudnych i długich studiów.

– A! – zawołał hrabia, wyjmując notatnik – doskonale – świetny początek rozdziału! Rozdział czterdziesty drugi. To jedno pojęcie, polityka, stanowi przedmiot... – i uwaga pana Pickwicka znalazła się w notatkach hrabiego Smorltorka z wariantami i dodatkami, które miały swe źródło w jego bogatej fantazji lub były wynikiem niedostatecznej znajomości języka.

– Hrabio! – powiedziała pani Hunter.

– Pani Hunter? – odrzekł hrabia.

– Pan Snodgrass, przyjaciel pana Pickwicka i poeta.

– Chwileczkę! – zawołał hrabia, znowu wyciągając notatnik. – Rozdział: poezja, ustęp: przyjaciele-poeci, nazwisko: Snodgrass; bardzo dobrze. Przedstawiony panu Snodgrass – wielki poeta, przyjaciel Peeka Weeks... przez panią Hunter, autorkę czułego poematu... jak go pani nazwała? Żabka? Kochająca żabka. Bardzo pięknie. – Hrabia schował notatnik i odszedł ze zmarszczonymi brwiami, przekonany, że wzbogacił swoje notatki o parę cennych informacji.

– Wspaniały człowiek ten hrabia Smorltork! – rzekła pani Hunter.

– Zdrowo myślący filozof – rzekł Pott.

– Głowa otwarta, umysł jasny – rzekł pan Snodgrass.

Chór osób stojących opodał podjął pochwały wygłoszone pod adresem hrabiego Smorltorka, poważnie pokiwał głowami i zawołał jednocześnie: – Bardzo!

Entuzjazm dla hrabiego Smorltorka, wzrastając z każdą chwilą, mógłby być trwać do końca uroczystości, gdyby trzej tak zwani włoscy śpiewacy nie byli ugrupowali się dokoła solisty, by wyglądać malowniczo, i nie rozpoczęli swych narodowych śpiewów. Przyznać trzeba, iż pieśni te nie przedstawiały wielkich trudności w wykonaniu; cała bowiem tajemnica polegała na tym, że trzej tak zwani śpiewacy włoscy waczeli, podczas gdy czwarty miauczał. Gdy zajmujący ten występ zakończył się, ku powszechnemu zadowoleniu, natychmiast wystąpił jakiś młodzian, który przewijał się przez nogi wybranego w tym celu krzesła, przeskakiwał przez nie, przelażił pod nim, padał z nim razem, słowem – robił z krzesłem wszystko, tylko nie to, do czego jest ono przeznaczone. Po tych sztukach splótł sobie nogi na kształt krawata i założył je na szyję, dając tym praktyczny dowód, iż łatwo jest z człowieka stać się najzupełniej podobnym do ropuchy – same czyny budzące w zgromadzonych widzach niebywały zachwyt i zadowolenie.

Potem słabym piskiem rozbrzmiewał głos pani Pott, a słuchacze jej, pełni ugrzecznienia, wyobrażali sobie, że słyszą śpiew najzupełniej klasyczny i najzupełniej odpowiadający jej kostiumowi, ponieważ Apollo był kompozytorem, a kompozytorowie rzadko śpiewają własne utwory i nie mniej rzadko utwory innych. Na koniec wystąpiła pani Hunter i przedeklamowała swoją nieśmiertelną odę „Do konającej żabki”. – Brawo – i – jeszcze – dało się słyszeć zewsząd, pani Hunter przedeklamowała więc odę po raz drugi i miała już deklamować po raz trzeci, ale większość gości sądząc, że pora już coś przekąsić, poczęła wołać, że nie godzi się nadużywać uprzejmości pani Hunter. Na próżno pani Hunter zapewniała, że gotowa jest przedeklamować

odę swoją raz jeszcze; przyjaciele byli zanadto grzeczni, zanadto dyskretni, zanadto dbali o jej zdrowie, by pozwolić na to. Otworzono więc salę, w której zastawione było śniadanie, i wszyscy, którzy już przedtem bywali u pani Hunter, rzucili się tam tłumnie, by pierwsi stanąć w szeregu. Wiedziano bowiem, iż znakomita ta dama miała zwyczaj przyrządzać śniadanie na pięćdziesiąt osób, a zapraszać po trzysta, czyli innymi słowy: karmić znakomite lwy, pozostawiając drobniejsze zwierzęta ich własnemu przemysłowi.

– Gdzie jest pan Pott? – zapytała pani Hunter, sadowiąc wyżej rzeczony lwy koło siebie.

– Jestem! – zawołał z najodleglejszego końca pokoju redaktor, nie mający żadnego widoku na zjedzenie czegokolwiek, chyba gdyby gospodyni sama się nim zajęła.

– Zechce pan może przyjść tu?

– O! Niech pani nie troszczy się o niego – odezwała się pani Pott możliwie najśłodszy głosem. – Jemu jest tam bardzo dobrze. Nieprawdaż, mój drogi, że ci tam dobrze?

– Dobrze, mój aniele – odrzekł nieszczęśliwy pan Pott ze smutnym uśmiechem.

Niestety! Na cóż mu się przydał jego knut? Potężne ramię, które z olbrzymią siłą karmiło nim ludzi stojących na świeczniku, sparaliżowane zostało jednym spojrzeniem wszechwładnej pani Pott.

Pani Hunter z triumfem spoglądała dokoła. Hrabia Smorltork zajęty był zapisywaniem nazw potraw; pan Tupman z gracją, jakiej nigdy nie okazywał żaden włoski bandyta, podawał damom sałatę z morskich raków, pan Snodgrass wysadził młodego człowieka kierującego żądłem krytyki w „Gazecie Eatanswillskiej” i zajęty był teraz namiętną rozprawą z młodą damą, która uosabiała poezję; na koniec pan Pickwick był uniwersalnie przyjemny. Niczego, zdawało się, nie braknie temu wyborowemu towarzystwu, gdy wtem pan Hunter, którego czynność w takich razach polegała na staniu przy drzwiach i rozmawianiu z gośćmi mniejszej wagi, krzyknął z całej siły do Minerwy:

– Moja droga! Pan Karol Fitz-Marshall.

– Nareszcie! – zawołała pani Hunter. – Z jakąż niecierpliwością wyglądałam go! Pano-  
wie! Pozwólcie przejść panu Fitz-Marshall. Mój kochany! Poproś pana Fitz-Marshall, by  
zaraz tu przyszedł; muszę go wyłajać za to, że się spóźnił.

– Jestem, droga pani – odezwał się czysty głos. – Jak można najprędzej – tłum ogromny  
– pokoje pełne – trudno przecisnąć się – bardzo trudno.

Nóż i widelec wypadły z rąk panu Pickwickowi. Spojrzał na pana Tupmana, któremu  
także wypadł z ręki nóż i widelec i który wyglądał teraz tak, jakby chciał ukryć się pod  
ziemię.

– Ach! – zawołał ów głos, gdy jego właściciel torował sobie przejście między ostatnimi  
dwudziestu pięcioma Turkami, oficerami, rycerzami i Karolami Drugimi, którzy tworzyli  
ostatnią barykadę między nim a stołem. – Ubranie wyprasowane – warto opatentować ten  
wynałazek – ani jednej fałdy na fraku – znakomity ścisk – cha! cha! – dobry pomysł –  
dziwny pomysł – prasować ubranie na człowieku – operacja nużąca – bardzo nużąca.

Wymawiając ostatnie oderwane frazesy, młody człowiek w mundurze oficera marynar-  
ki dotarł już do stołu i ukazał zdumionym oczom pickwickczyków postawę i autentyczne  
rysy pana Alfreda Jingle’a.

Zaledwie miał czas ująć rękę podaną mu przez panią Hunter, gdy oczy jego spotkały  
oburzone źrenice pana Pickwicka.

– Ach! Ach! – zawołał. – Zapomniałem – nie dałem rozkazów poczytlionom – wrócę za  
chwilę.

– Służący albo i pan Hunter powie im, co trzeba, panie Fitz – Marshall – rzekła pani  
domu.

– Nie! Nie! – Ja sam – to nie potrwa długo – powrót w okamgnieniu – odrzekł pan Jin-  
gle i znikł w tłumie. Pan Pickwick wstał, pełen oburzenia.

– Pani – powiedział – pozwól pani zapytać, kto jest ten młody człowiek i gdzie miesz-  
ka?

– Jest to bardzo bogaty gentleman, którego pragnę przedstawić panu. Hrabiemu także  
miło będzie poznać go.

– Tak, tak, bądź pani pewna – odrzekł pan Pickwick żywo. – Gdzie on mieszka?

– W Bury, w hotelu „Pod Aniołem”.

– W Bury?

– Tak, stąd kilka mil... ale mój Boże! Panie Pickwick, pan nas nie opuści? Pan nas nie  
może opuścić!

Nim pani Hunter wymówiła te wyrazy, pan Pickwick wpadł między tłum i znalazł się w  
ogrodzie. Wkrótce przybył i pan Tupman, który biegł za nim.

– To się na nic nie zdało – już pojechał!

– Wiem – odrzekł pan Pickwick z zapalem – pojedę za nim!

– Za nim! Ale dokąd?

– „Pod Anioła” w Bury. Czyż nie możemy przypuszczać, że i tam wyprowadza kogoś w  
pole? Raz oszukał zacnego człowieka i myśmy byli mimowolną przyczyną; drugi raz to

mu się nie uda, jeżeli potrafimy przeszkodzić! Chcę zedrzeć z niego maskę. Sam! Gdzie mój służący?

– Jestem tu, panie – rzekł Sam wychodząc z ustronnego miejsca, gdzie właśnie zajęty był badaniem wnętrza butelki madery, którą na parę godzin przedtem zwędził ze stołu. – Oto jest pański sługa, dumny z tego tytułu, jak mówił do publiczności żywy szkielet, którego pokazywano za trzy pensy.

– Chodź ze mną natychmiast! – zawołał pan Pickwick. – Tupman! Jeżeli zabawię dłuższy czas w Bury, przyjedziesz tam, gdzie ci napiszę. Teraz bądź zdrow!

Próżne były wszelkie perswazje: pan Pickwick był wzburzony i powziął postanowienie nieodwołalne.

Pan Tupman powrócił do swych towarzyszy, a w godzinę potem utopił całkiem wspomnienie o panu Alfredzie Jingle, czyli Fitz-Marshallu, w butelce wina szampańskiego i wesołym kontredansie.

Tymczasem pan Pickwick i Samuel Weller, siedząc na wierzchu dyliżansu, widzieli, jak co chwila zmniejszała się odległość między nimi a starym miastem, pocziwym miastem Bury Saint Edmunds.

## Rozdział szesnasty

### *Opisujący zbyt wiele wypadków, by je tu można było streścić*

W całym roku nie ma miesiąca, w którym natura byłaby tak urocza jak w sierpniu. Wiosna ma wiele uroku, kwietny i świeży maj jest niewątpliwie pięknym miesiącem, ale wdzięk swój zawdzięcza poniekąd kontrastowi zimą. Sierpień nie ma tych prerogatyw. Nadchodzi, gdy w pamięci mamy jeszcze pogodne niebo, zielone pola, balsamiczne wonie kwiatów – gdy wspomnienia śniegu, lodu i mroźnych wiatrów znikły z naszej pamięci, jak znikły z powierzchni ziemi – a jednak co to za rozkoszna pora roku! Sady i pola dzwonią odgłosami pracy; drzewa uginają się pod brzemieniem owoców, ciężkie gałęzie niemal dotykają ziemi; zboże, związane w snopki lub poruszane tchnieniem wiatru, jakby stęsknione do sierpa, wyłaca krajobraz; łagodny spokój unosi się nad całą ziemią; urok tej pory roku, zda się, ogarnia nawet kopiasto naładowany wóz, który posuwa się tak bezgłośnie po ściernisku, że ruch jego pochwycić może tylko wzrok.

Gdy dyliżans toczy się szybko wśród pól i sadów, grupy kobiet i dzieci, wiążących snopy lub zbierających do koszów owoce, zatrzymują się na chwilę, ręką osłaniają opalone twarze i ciekawie spoglądają na jadących; kilku silniejszych chłopczyków, za młodych jeszcze, by pracować, ale zanadto niespokojnych, by można ich było pozostawić w domu, wygląda z koszów, gdzie ich osadzono; żniwiarz zatrzymuje kosę, wyprostowuje się, zakłada ręce i patrzy także na powóz przebiegający tuż koło niego. Konie zaprzężone do wozu rzucają ospałe spojrzenie na piękny zaprzęg powozu. Wzrok ich mówi, jak tylko wzrok koński powiedziec potrafi: „Przyjemnie na to patrzeć! Ale wolę iść powolutku po polu niż pędzić do siódmego potu po zapyłonym gościńcu!”. Odwracasz się na zakręcie drogi: kobiety i dzieci powracają do pracy, żniwiarz chwyta za kosę, konie zaprzężone do wozu ruszają z miejsca, wszystko znowu wre życiem.

Podobna scena nie mogła nie wywrzeć wpływu na delikatny a wrażliwy umysł pana Pickwicka. Zajęty postanowieniem zdemaskowania pana Jingle'a i odkrycia jego prawdziwego charakteru, zrazu nasz filozof był milczący i zamyślony, zastanawiał się bowiem nad tym, jakich ma użyć sposobów, ale powoli uwagę jego poczęły zajmować przedmioty, które widział dokoła, i w końcu nabrał tak dobrego humoru, jak gdyby przedsiębrał podróż w najprzyjemniejszym celu.

- Śliczny krajobraz, Samie – rzekł do swego służącego.
- Niech się schowają dachy i kominy – odrzekł Sam, dotykając ręką kapelusza.
- Sądzę – zaczął znowu pan Pickwick z uśmiechem – że przez całe swe życie nie widziałeś nic innego tylko kominy i dachy, cegły i wapno.
- Nie zawsze, panie, byłem służącym w oberży – odrzekł Sam, potrząsając głową – dawniej byłem woźnicą.
- Kiedyż to?
- Jak tylko na zbity łeb wyrzucono mnie na świat, bym grał w ciuciubabkę z kłopotami. Najpierw byłem popychadłem u gospodarza na wsi, potem u furmana, potem byłem komi-

sjonerem, a potem służącym w oberży. Teraz jestem sługą gentlemana. Może kiedyś sam zostanę gentlemanem z fajką w ustach i altanką w ogrodzie. Kto wie? Mnie by to nie zdziwiło.

– Jesteś prawdziwym filozofem, Samie – zauważył pan Pickwick.

– To już, panie, jest coś takiego w całej naszej rodzinie. Mój ojciec ma także ku temu skłonności. Kiedy macocha zaczyna zrzędzić, on zaczyna gwizdać; macocha burzy się jak zupa mleczna i tłucze mu fajkę, ojciec najspokojniej bierze drugą. Wtedy macocha wrzeszczy, ile ma sił, i dostaje ataku nerwowego; ojciec nie rusza się i najspokojniej pali fajkę, dopóki macocha nie przyjdzie do siebie. To, panie, filozofia.

– Albo przynajmniej doskonały jej równoważnik – odrzekł śmiejąc się pan Pickwick. – Takie zasady musiały ci wychodzić na dobre w tym koczowniczym życiu.

– Spodziewam się. Uciekłszy ze wsi, nim wstąpiłem do furmana, przez parę tygodni sypiałem w nie umeblowanym apartamencie.

– W nie umeblowanym apartamencie?

– Tak, pod arkadami mostu Waterloo. Piękna sypialnia; dziesięć minut drogi do centrum miasta. Jeżeliby można jej co zarzucić, to chyba to, że zanadto jest przewiewna. Dziwne widziałem tam rzeczy.

– Domyślam się – odrzekł pan Pickwick z zainteresowaniem.

– Rzeczy, które by przeszły czule serce pana i wyszły drugą stroną. Nie znajdzie pan tam żebraków z zawodu – ci umieją sobie radzić – a tylko młodych nędzarzy, mężczyzn i kobiety, dopiero początkujących; w ogóle są to biedacy bez przytułku, zmęczeni, umierający z głodu i tarzający się z bólu po kątach tego smutnego miejsca; biedacy, których nie stać nawet na kawałek sznurka za dwa pensy.

– A co to jest sznurek za dwa pensy? – zapytał pan Pickwick.

– Oberża, panie, w której za łóżko płaci się dwa pensy za noc...

– Dlaczegoż takie łóżko nazywa się sznurkiem?

– Ach, jaki pan jeszcze niedoświadczony? Gdy gentlemani utrzymujący te hotele otworzyli swoje lokale, urządzali łóżka na podłodze, ale w ten sposób nie robili interesów. Zamiast spać tyle, ile należy się za dwa pensy, lokatorowie wylegiwali się tam przez pół dnia. Toteż teraz właściciele mają sznurki i zawieszają łóżka na trzy stopy nad podłogą, a łóżka są płócienne.

– No?

– Ano! Korzyść jest widoczna. Co rano, o szóstej, spuszcza się sznurki – i bęc! Wszyscy lokatorowie są już na ziemi. To doskonale budzi: wszyscy nabierają dobrego humoru i wynoszą się jak przyzwoici ludzie... Za pozwoleniem pana – rzekł Sam – czy to nie Bury?

– Tak jest – odparł pan Pickwick.

Wkrótce potem dyliżans potoczył się po czystych ulicach schludnego miasteczka i stanął przed oberżą przy szerokiej ulicy, prawie naprzeciw starego opactwa.

– To oberża „Pod Aniołem” – rzekł pan Pickwick, spoglądając na szyld. – Tu wysiądziemy, Samie. Ale musimy postępować ostrożnie. Zażądaj osobnego pokoju i nie wymieniaj mego nazwiska, rozumiesz mnie?

– Jak wyrocznie, panie – odrzekł Sam, mrugając znacząco. Potem zabrał rzeczy pana Pickwicka, które w pośpiechu rzucił do tylnej skrzyni, gdy wsiadali do eatanswillskiego dyliżansu, i znikł, by spełnić dane polecenie. Osobny pokój łatwo się znalazł, a pan Pickwick bezzwłocznie został doń wprowadzony.

– Teraz, Samie – rzekł filozof – trzeba przede wszystkim...

– Zamówić obiad – dorzucił Sam – już późno.

– Masz słuszność – odrzekł pan Pickwick, spoglądając na zegarek. – Masz słuszność, Samie.



– Gdybym był na miejscu pana, tobym po tym wszystkim wyspał się należycie przez całą noc i dopiero wtenczas zaczął zasięgać wiadomości o tym filucie. „Nic tak nie orzeźwia umysłu jak sen” – mówiła jedna służąca, połykając kieliszek anyżówki.

– Sądzę, że masz słuszość; ale przede wszystkim chciałbym upewnić się, czy ten łotr znajduje się w tym hotelu i czy nie ma zamiaru wyjeżdżać.

– Niech pan mnie to zostawi. Pójdę zamówić panu porządny obiad i zapytam się w kuchni. W pięć minut dowiem się o wszystkim od tutejszego czyścibuta.

– Bardzo dobrze – rzekł pan Pickwick, po czym Sam oddalił się.

W pół godziny potem filozof siedział już przy bardzo smacznym obiedzie, a po upływie kwadransa Sam zraportował mu, że pan Fitz-Marshall zatrzymał osobny pokój do dalszego rozporządzenia; że obecnie pojechał na wieczór w sąsiedztwo, kazał czekać na siebie i zabrał ze sobą swego służącego.

– Teraz, panie – mówił dalej Sam – gdybym mógł pomówić z tym jego służącym, dowiedziałbym się wszystkiego o jego panu.

– A to w jaki sposób?

– O, panie. Wszyscy służący obgadują panów!

– Zapomniałem o tym.

– Wtenczas będzie pan wiedział, co należy przedsięwziąć, i podług tego postąpimy.

Ponieważ plan taki wydał się najlepszy, został więc przyjęty.

Sam oddalił się za pozwoleniem swego pana, by przepędzić wieczór, jak mu się spodoba. Zwrócił więc swe kroki do bufetu i wkrótce potem przez zgromadzonych w sali został obwołany prezydującym. Doszedłszy do tego zaszczytnego stanowiska, rozwinął tyle zdolności, że huczne śmiechy zebranych dolatywały aż do sypialni pana Pickwicka i skróciły normalny czas jego snu co najmniej o trzy godziny.

Nazajutrz rano Sam Weller zajął się uspokajaniem gorączkowego wzruszenia (pozostałość po wczorajszym wieczorze) i zaaplikował sobie tusz, umówiwszy się za jednego pensa z pewnym gentlemanem ze stajni, iż ten będzie mu pompował wodę ze studni na twarz i głowę aż do zupełnego odrestaurowania zdolności umysłowych. Podczas tego medycznego zabiegu uwagę jego zajął młody człowiek, siedzący na dziedzińcu na ławce. Ubrany był w fioletową liberię i czytał księgę podobną do modlitewnika, co mu jednak nie przeszkadzało od czasu do czasu zerkać na Sama, jakby go zajmowała niesłychana operacja, której się ten poddawał.

„A to jakiś oryginał, sądząc z wyglądu” – pomyślał Sam, gdy oczy jego po raz pierwszy spotkały się z oczami nieznanego w fioletowej liberii, odznaczającego się bladą, szeroką i płaską twarzą, zapadłymi oczami i ogromną głową, z której spadały pukle czarnych, połyskujących włosów.

„A to oryginał” – pomyślał Sam Weller i począł myć się dalej, nie myśląc o nim więcej.

Tymczasem człowiek w fioletowej liberii spoglądał ciągle to na Sama, to na modlitewnik, jak gdyby miał ochotę rozpocząć rozmowę. W końcu, by mu to ułatwić, Sam przemówił pierwszy, familiarnie kiwnąwszy głową.

– Jak się masz, kochaneczku?

– Szczęśliwy jestem, iż mogę powiedzieć, że nieźle – odpowiedział fioletowy człowiek miarowym głosem i starannie zamknął swą księgę. – Spodziewam się, że i pan ma się nieźle.

– Ech! Byłoby mi jako tako, gdybym się nie czuł jak chodząca butelka wódki – odparł Sam. – Czy mieszkasz tutaj?

Fioletowy człowiek odpowiedział twierdząco.

– Dlaczego więc nie byłeś wczoraj razem z nami? – Zapytał Sam, wycierając sobie twarz ręcznikiem. – Wydaje mi się, że się lubisz pobawić; wyglądasz jak pstrąg w koszu – dodał ciszej nieco.

– Wyjeżdżałem z moim panem.

– A jak się twój pan nazywa? – zapytał żywo Sam Weller, którego twarz poczerwieniała pod podwójnym wpływem: zdziwienia i tarcia rękami.

– Fitz-Marshall! – odrzekł fioletowy człowiek.

– Podaj łapę! – zawołał Sam, podchodząc ku niemu. – Mam ochotę zaznajomić się z tobą; twoja fizjonomia podoba mi się, mój ty czopie.

– A to szczególne – odrzekł fioletowy człowiek z wielką prostotą. – Pańska tak mi się spodobała, iż miałem ochotę przemówić do pana od pierwszej chwili, jak go ujrzałem pod pompą.

– Czy być może?

– Na honor! Czyż to nie szczególne, co?

– Bardzo szczególne – odrzekł Sam, ciesząc się w duchu z dobroduszości nieznanego. – A jak ci na imię, mój patriarcho? – Hiob.

– Piękne imię. Jedyne, o ile wiem, którego nie skrócono!...  
A nazwisko?

– Trotter – odrzekł nieznanemu. – A wy?

Sam przypomniał sobie rozkaz swego pana i odpowiedział:

– Nazywam się Welker, a mój pan Wilkins. Czy łykniesz czego na śniadanie, mości Trotter?

Trotter najzupełniej przychylił się do tej miłej propozycji i włożywszy książkę do kieszeni poszedł z Welkerem do bufetu. Tu zaczęła się dyskusja nad zaletami bardzo przyjemnej mieszaniny zawartej w cynowej wazie, a składającej się z esencji kwiatu goździkowego i pewnej ilości holenderskiej jałowcówki fabrykowanej w Anglii.

– Dobre masz miejsce? – zapytał Sam, po raz drugi napełniając szklanekę swego towarzysza.

– Złe – odpowiedział Hiob oblizując się – bardzo złe.

– Niemożliwe!

– Tak jest. A co najgorsze, to mój pan chce się żenić.

– Nie może być!

– Tak, i jeszcze gorzej. Chce porwać bogatą dziedziczkę z pewnej pensji.

– A to smok! – rzekł Sam, znowu napełniając szklanekę towarzysza. – Pensja ta pewno jest w tym mieście, nie?

Zapytanie to postawione zostało najobojętniejszym tonem, jaki tylko można sobie wyobrazić. A jednak Hiob Trotter jasno okazał swym postępowaniem, iż zauważył, z jakim niepokojem nowy jego przyjaciel czekał na odpowiedź. Wypróżnił swą szklanekę, spojrzawszy tajemniczo na Sama, kolejno mrugnął jednym i drugim małym okiem i ostatecznie zrobił ręką znak, jak gdyby poruszał jakąś urojoną pompę, dając tym do zrozumienia, iż uważa swego towarzysza za wścibskiego, który bardzo chętnie wypompałby z każdego jego sekrety.

– Nie, nie, takich rzeczy nie mówi się wszystkim. To tajemnica, wielka tajemnica.

Wymawiając te słowa fioletowy człowieczek przewrócił swą szklanekę, w ten sposób dowcipnie dając do zrozumienia swemu towarzyszowi, że już nie pozostało nic dla ugaszenia pragnienia. Sam zrozumiał to napomnienie i uznając jego delikatność kazał po raz drugi napełnić cynową wazę. Rozkaz ten rozjaśnił radością małe oczki fioletowego człowieka.

– A więc to tajemnica? – zaczął znów Sam.

– Coś takiego – odrzekł Hiob popijając.

– Twój pan musi być bogaty? – zapytał Sam.

Trotter uśmiechnął się, trzymając w lewej ręce szklanę, po czterykroć uderzył prawą ręką po kieszeniach swych fioletowych spodni, jak gdyby chciał dać tym do zrozumienia, że i pan jego może uczynić to samo, nie przestraszając nikogo dźwiękiem pieniędzy.

– A! – zaczął znów Sam. – Tak się rzeczy mają?

Fioletowy człowiek pochylał głowę w znaczący sposób.

– A czy nie pomyślałeś o tym, mój stary, że byłbyś wielkim łotrem, gdybyś pozwolił swemu panu porwać pannę?

– Wiem o tym – odparł Hiob Trotter wzdychając głęboko i zwróciwszy ku Samowi zmartwioną twarz dodał: – wiem o tym i to mi właśnie ciąży, ale cóż mam począć?

– Co począć? – zawołał Sam. – Wyśpiewać wszystko przełożonej pensji.

– Któż mi uwierzy? Młoda panna uchodzi za wzór rozsądku i skromności: powie, że nieprawda, mój pan powie to samo. Więc któż mi uwierzy? Stracę miejsce i będą mnie prześladować jako oszczercę lub coś w tym rodzaju. Oto, co na tym zarobię!

– Jest racja – mruknął Sam – jest racja w tym, co mówisz.

– Gdybym znał jakiego porządnego gentlemana, który by zechciał zająć się tą sprawą, mógłbym mieć nadzieję, że przeszkodzę memu panu w porwaniu. Ale i tu zachodzi trudność, panie Welker. Nie znam w tych stronach żadnego takiego gentlemana, a gdybym nawet znał, to można stawiać dziesięć przeciw jednemu, że i ten by mi nie uwierzył.

– Chodź ze mną! – zawołał Sam, zrywając się nagle i chwytając swego towarzysza za rękę. – Mój pan jest właśnie takim gentlemanem, jakiego potrzeba.

Po lekkim oporze Hiob Trotter został wprowadzony do pokoju pana Pickwicka i przedstawiony po krótkim streszczeniu rozmowy, którą przytoczyliśmy.

– Przykro mi bardzo, że zdradzam mego pana – mówił fioletowy człowiek, przykładając do oka czerwoną chustkę wielkości około trzech cali kwadratowych.

– Uczucie to przynosi ci wiele zaszczytu – odpowiedział pan Pickwick. – Ale to jest twoim obowiązkiem...

– Wiem, że jest to moim obowiązkiem – odparł Hiob wielce wzruszony. – Wszyscy powinniśmy się starać spełniać nasze obowiązki, panie, i ja też staram się o to. Ale ciężka to próba zdradzać swego pana, którego suknie się nosi, którego chleb się je, nawet gdy człowiek ten jest łotrem.

– Zacny z ciebie chłopak – rzekł pan Pickwick, bardzo rozczulony – zacny chłopak!

– No! no! – zauważył Sam, z wielką niecierpliwością patrzący na łyzy Trottera – dość już tych wodotrysków, to na nic się nie zda.

– Sam! – zawołał pan Pickwick tonem wyrzutu – przykro mi, że tak mało masz szacunku dla uczuć tego młodego człowieka.

– Bardzo to piękne uczucie, panie, tak piękne, iż szkoda nawet tak je rozpraszać; sądzę, że lepiej by zrobił, gdyby je zachował w sobie, zamiast przemieniać na ciepłą wodę, tym bardziej że do niczego to nie prowadzi. Łzami nikt nigdy nie nakręcił zegarka ani też nie puścił w ruch maszyny. Następny raz, gdy przyjdiesz na świat, mój stary, nabij sobie łeb tą prawdą, a tymczasem wpakuj do kieszeni tę twoją czerwoną płachtę. Nie jest na tyle piękna, byś nią potrząsał w powietrzu, jakbyś był linoskoczkiem.

– Sam ma słuszność – zauważył Pickwick, zwracając się ku Hiobowi. – Sam ma słuszność, chociaż jego sposób wyrażania się jest nieco pospolity, a czasami niezrozumiały.

– Ma najzupełniejszą słuszność, panie – odrzekł Trotter – więcej nie poddam się już tej słabości.

– Bardzo dobrze – odparł nasz mędrzec. – A teraz powiedz, która to pensja?

– Jest to stary dom z czerwonej cegły, zaraz za miastem, panie.

– A kiedy ten niegodziwy zamiar ma być doprowadzony do skutku? Kiedy ma nastąpić porwanie?

– Tej nocy, panie.

- Tej nocy?
- Tej jeszcze nocy. I to mię właśnie tak niepokoi.
- Trzeba bezzwłocznie zapobiec temu. Pójdę zaraz zobaczyć się z damą prowadzącą zakład – rzekł pan Pickwick.
- Przepraszam pana, ale to na nic się nie zda – rzekł Hiob.
- Dlaczego?
- Mój pan jest bardzo przebiegły.
- Wiem o tym.
- I tak się wkradł w łaski starej damy, iż ta niczemu nie uwierzy, co by na niego mówiono, choćby pan przysięgał na obu kolanach. Zresztą, nie ma pan innych dowodów oprócz zeznań służącego; mój pan nie omieszka powiedzieć, że mnie oddalił i że ja w ten sposób chcę się zemścić.
- Cóż zrobić? – zapytał pan Pickwick.
- Nic nie zdoła przekonać starej damy, chyba to, że złapałaby mego pana na gorącym uczynku.
- Ale – zauważył pan Pickwick – obawiam się, że złapać go na gorącym uczynku będzie nadzwyczaj trudno.
- Zdaje mi się, panie – rzekł Hiob po chwili namysłu – zdaje mi się, że to rzecz bardzo łatwa.
- A to jak?
- Mój pan pozyskał sobie dwie służące, które dziś wieczorem o dziesiątej godzinie mają nas wpuścić do kuchni. Gdy wszyscy pokładą się spać, panna wyjdzie z sypialni, konie pocztowe będą w pogotowiu, i w drogę!
- A więc? – zapytał pan Pickwick.
- A więc sędzę, panie, że gdyby pan czekał na nas w ogrodzie sam...
- Sam? Dlaczego sam?
- Sędzę, że tej starej damie nie będzie w smak, gdy tak niemiłe odkrycie zostanie dokonane wobec wielu osób: a przy tym młoda panna... wyobraź pan sobie jej zmieszanie.
- Masz najzupełniejszą słuszność. Uwaga ta przekonywa o delikatności twych uczuć. Mów dalej.
- Otóż sędzę, panie, że gdyby zaczekał pan sam w ogrodzie, mógłbym potem wprowadzić pana do domu, równo o wpół do dwunastej; wtedy właśnie nadejdzie pora, by popsuć szyki temu złemu człowiekowi, który na swoje nieszczęście okłamał mnie.
- Tu Trotter westchnął.
- Nie martw się tym – rzekł pan Pickwick.
- Hiob uklonił się bardzo nisko i wbrew poprzednim przedstawieniom Sama oczy jego znów napęłniły się łzami.
- Nigdy nie widziałem takiego płaksy – rzekł Sam. – Niech mię Bóg skarże, jeżeli w jego głowie nie ma zawsze odkręconego kranu.
- Sam! – zawołał pan Pickwick z wielką surowością – trzymaj język za zębami.
- Słucham pana – odparł Sam Weller.
- Nie podoba mi się ten plan – mówił dalej nasz filozof po głębokim namyśle. – Dla czegoż by nie porozumieć się z krewnymi tej panny?
- Bo mieszkają, panie, o pięćdziesiąt mil stąd.
- Tak, to przeszkoda – zauważył Sam na stronie.
- A przy tym ten ogród... – zaczął znowu pan Pickwick – jak dostać się do niego?
- Mur jest bardzo niski, panie. Służący może pana podsadzić...
- Służący może mnie podsadzić – powtórzył machinalnie pan Pickwick – ale czy będziesz na pewno przy drzwiach, o których mówiłeś?

– Nie może się pan omylić. Tylko jedne drzwi wychodzą na ogród; zapukaj pan do nich; jak tylko wybije oznaczona godzina, ja odemknę natychmiast.

– Nie podoba mi się ten plan – znowu powtórzył pan Pickwick – ale muszę go przyjąć, bo nie widzę innego, a tu idzie o los tej młodej osoby. Pójdę!

W ten sposób po raz drugi wrodzona dobroć pana Pickwicka wplątała go w sprawę, której nie pochwałał jego zdrowy rozsądek.

– Jak się nazywa dom? – zapytał.

– Westgate House, panie. Gdy wyjdzie pan za miasto, skręci pan trochę na prawo; dom odosobniony, stoi niedaleko drogi, a na drzwiach wypisana jest jego nazwa na miedzianej tablicy.

– Wiem – odpowiedział pan Pickwick – zauważyłem ten dom, gdy po raz pierwszy zwiedzałem to miasto. Możesz liczyć na mnie...

Gdy Trotter uklonił się i zabierał się do wyjścia, pan Pickwick wsunął mu gwineę w rękę.

– Porządny jesteś człowiek – powiedział – i podziwiam dobroć twego serca. Żadnych podziękowań. Pamiętaj, o pół do dwunastej!

– Nie zapomnę, panie – odrzekł Hiob Trotter i wyszedł.

– Słuchaj no, kolego – rzekł mu Sam, idący za nim – to nie taka zła rzecz ta płaczliwość. Za taką cenę ja sam gotów jestem płakać jak rylna podczas deszczu. Jak ty to robisz.

– To idzie z serca, panie Welker – odrzekł Hiob uroczyście. – Żegnam pana.

„A to ci dopiero płaksa! – pomyślał Sam Weller patrząc za odchodzącym. – Ale mniejsza o to, zawsze wyciągnęliśmy go na słowo”.

Nie możemy powiedzieć stanowczo, jakie myśli zajmowały w tej chwili Trottera, ponieważ ich nie znamy.

Tymczasem dzień minął, nastąpił wieczór. Przed dziesiątą Sam zaraportował swemu panu, że pan Jingle i Hiob wyszli razem, że rzeczy ich zostały spakowane i że zamówili powóz pocztowy. Widocznie zamach przechodził w stadium wykonania, jak to przepowiedział Trotter.

Wybiło pół do jedenastej. Czas był już na pana Pickwicka, aby udał się na delikatną wyprawę. By nie mieć trudności przy przełazeniu przez mur, nie chciał wziąć płaszcza, jak mu zaproponował Sam, i wyszedł ze swym wiernym sługą. Była pełnia, ale księżyc zasłonięty był chmurami; noc była piękna i pogodna, ale nadzwyczaj ciemna; ścieżki, płoty, pola, domy i drzewa okrywał gęsty mrok; powietrze było ciężkie i gorące; od czasu do czasu błyskawice oświetlały chmury, i to było jedynym światłem rozdzierającym ciemności, w które wszystko było spowite. Żaden odgłos, z wyjątkiem odległego szczekania psów, nie mącił ciszy.

Awanturnicy nasi znaleźli dom, rozpoznali napis na miedzianej blasze, obeszli mur i zatrzymali się przed ogrodem.

– Samie – rzekł pan Pickwick – pomożesz mi przeleźć mur, a potem wrócisz do oberży.

– Dobrze, panie.

– I będziesz czekał na mnie.

– Słucham pana.

– Potrzymaj mi nogę, a gdy powiem – hop! podnieś mię lekko.

– Jestem gotów, panie.

Ułożywszy te punkty wstępne, pan Pickwick uchwycił się za wierzch muru i powiedział: hop! Sam wykonał rozkaz jak najściślej, ale czy to dlatego, że ciało filozofa podzielało w pewnym stopniu elastyczność jego umysłu czy też pojęcia jego pana, dość że bezpośrednim skutkiem jego pomocy było to, że filozof przeleciał przez mur, po drugiej zaś

stronie, rozgniółszy trzy krzaki truskawek i jeden krzak róży, znakomity gentleman rozciągnął się na ziemi jak długi.

– Czy się pan nie skaleczył? – zapytał Sam, gdy tylko przyszedł nieco do siebie ze zdumienia spowodowanego nagłym zniknięciem filozofa.

– Nie, ja się nie skaleczyłem – odpowiedział mu głos zza muru – przeciwnie, sędzę, że to ty mnie skaleczyłeś.

– Spodziewam się, że nie.

– Bądź spokojny – odpowiedział nasz mędrzec, podnosząc się – to nic... trochę podrapałem się. Odejdź, bo nas usłyszą.

– Wszelkiej pomyślności, panie.

– Bądź zdrow.

Sam odszedł cicho, pozostawiając pana Pickwicka samego w ogrodzie.

W różnych oknach domu błyszczały jeszcze światła lub też migały na schodach, jakby oznajmiając, że mieszkańcy udają się na spoczynek. Nie mając żadnej ochoty zbliżyć się do domu przed oznaczoną godziną, pan Pickwick wcisnął się w kąć i czekał.

Znajdował się teraz w położeniu, które by osłabiło odwagę niejednego bohatera. A jednak pan Pickwick nie czuł ani niepokoju, ani zniechęcenia; wiedział, że zamiary ma uczciwe, i wierzył nieograniczenie w szlachetne uczucia Trottera. Niewątpliwie, położenie jego było nieszczególnie, żeby nie powiedzieć przykre: ale umysł filozoficzny łatwo znajduje ucieczkę w rozmyślaniu. Wskutek natężenia władz umysłowych pan Pickwick znalazł się w stanie pewnego rozmarzenia, z którego wyrwał go dźwięk zegara sąsiedniego kościoła; było pół do dwunastej. „Już czas” – pomyślał, podchodząc bliżej. Spojrzał na dom: światła znikły, okiennice pozamykano; niezawodnie wszyscy spali. Na palcach podszedł ku drzwiom i zapukał. Dwie czy trzy minuty upłynęły bez odpowiedzi. Zapukał powtórnie, nieco mocniej, potem po raz trzeci, jeszcze mocniej. Na koniec na schodach dał się słyszeć odgłos kroków; przez dziurkę od klucza błysnęło światło świecy, odsunięto z wolna zasuwki, drzwi otwierały się.

Drzwi otwierały się powoli, a w miarę jak się otwierały, pan Pickwick coraz bardziej cofał się za nie, ostrożnie wychylając głowę, by zobaczyć, kto idzie... Ale jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast Trottera ujrzał nie znaną sobie służącą ze świecą w ręce. Pan Pickwick cofnął głowę z szybkością, która by zaszczyt przyniosła nawet magikowi.

– Saro! – zawołała służąca, zwracając się do kogoś w głębi domu – to pewnie kot. Misiu! Misiu! Kić, kić, kić!

Gdy żadne zwierzę nie zjawilo się na to wezwanie, służąca z wolna zamknęła drzwi i zasunęła zasuwki, pozostawiając pana Pickwicka pod murem.

„To bardzo dziwne – pomyślał smutno filozof. – Nie kładą się spać dłużej niż zazwyczaj. Źle, że to właśnie dzisiaj tak się stało, bardzo źle”.

Rozmyślając w ten sposób pan Pickwick ostrożnie cofnął się do kąta, gdzie przedtem był ukryty, i postanowił czekać, dopóki nie będzie wskazane powtórzyć sygnału.

Zaledwie pięć minut upłynęło, gdy po silnej błyskawicy zahuczał grzmot, potem znów okropnie błysnęło i zagrzmiało jeszcze głośniejsze; wreszcie lunął deszcz, przykrzejszy niż błyskawice i grzmoty.

Pan Pickwick wiedział dobrze, że drzewo jest niebezpiecznym sąsiadem podczas burzy, a oto miał jedno drzewo po prawej swej stronie, drugie po lewej, trzecie przed sobą, czwarte z tyłu. Zostając w tym miejscu mógł łatwo paść ofiarą pioruna, gdyby zaś wyszedł na środek ogrodu, mógłby się zdradzić i oddano by go konstablom. Parę razy próbował przeskoczyć przez mur, ale ponieważ nie miał nikogo do pomocy, jedynym wynikiem tych wysiłków było sute zlanie potem całej jego osoby i nieskończona ilość zadrapań i sińców na łokciach i kolanach.

– Co za okropne położenie – powiedział sam do siebie, zaniechawszy tych ćwiczeń, by obetrzeć czoło i rozetrzeć kolana. Jednocześnie spojrzął na dom i nie dostrzegłszy światła ucieszył się, że już wszyscy śpią; postanowił zatem powtórzyć sygnał.

Na palcach poszedł po rozmokłym piasku, zapukał do drzwi, wstrzymał oddech i począł słuchać przyłożywszy ucho do dziurki od klucza. Żadnej odpowiedzi. To szczególne! Zastukał powtórnie. Znowu nasłuchuje: w głębi domu słychać szepty, a potem głos jakiś zapytał:

– Kto tam?

„To nie Hiob – pomyślał pan Pickwick, przyciskając się do ściany. – To głos kobiety”. Zaledwie doszedł tej konkluzji, gdy okno na pierwszym piętrze otworzyło się i trzy czy cztery kobiece głosy powtórzyły to samo pytanie.

Pan Pickwick nie śmiał się ruszyć. Widoczne było, że wszyscy w domu pobudzili się. Postanowił więc pozostać w miejscu, gdzie był ukryty, dopóki wszystko nie uspokoi się, a następnie zaś chciał zrobić nadludzki wysiłek, by przeskoczyć przez mur lub zginać.

Jak wszystkie postanowienia pana Pickwicka, tak i to było najlepsze, jakie w obecnym położeniu mógł uczynić; ale na nieszczęście opierało się ono na przypuszczeniu, że mieszkańcy domu nie ośmielą się otworzyć drzwi. Jakże więc mocno rozczarował się nasz filozof usłyszawszy, że odsuwają się zasuwki, i widząc, jak drzwi otwierają się z wolna, ale coraz szerzej. Wykonał wtedy odwrót, krok za krokiem, aż do swego kąta, ale na próżno tulił się do ściany; objętość jego osoby nie pozwoliła drzwiom otworzyć się całkowicie.

– Kto tam? – krzyknął ze schodów liczny chór cienkich głosów. Składały się nań głosy: starej panny, przełożonej zakładu, trzech guwernantek, pięciu sług rodzaju żeńskiego i trzydziestu pensjonarek, na wpół ubranych i okrytych całym lasem papilotów.

Jak łatwo można się domyślić, pan Pickwick nie odpowiedział na to – kto tam? – a wtenczas chór zaczął z innego tonu, zawodząc: Boże! Boże! Ja się tak boję!

– Kucharko! – powiedziała stara panna z wielką godnością na najwyższym stopniu schodów, z tyłu za całą grupą. – Kucharko! Dlaczego nie wyjdiesz do ogrodu?

– Ach, proszę pani! Nie mam najmniejszej chęci do tego.

– Boże, Boże! Jaka ona głupia! – krzyknęło trzydzieści pensjonarek.

– Kucharko! – powtórzyła stara panna z wielką godnością. – Proszę nie rezonować! Każę ci natychmiast zobaczyć, co się dzieje w ogrodzie!

Teraz kucharka zaczęła płakać; jedna ze służących powiedziała, że nie godzi się tak postępować z ludźmi, i za taką buntowniczą uwagę natychmiast wymówiono jej służbę.

– Kucharko! Czy słyszysz? – krzyknęła stara panna, tupiąc nogą.

– Kucharko! Czy słyszysz, co pani mówi? – krzyknęły wszystkie trzy guwernantki.

– Co za nędzna istota! – krzyknęło trzydzieści pensjonarek. Nieszczęśliwa kucharka, wypchnięta naprzód, zrobiła parę kroków, trzymając świecę tak, iż nic nie była w stanie zobaczyć.

Następnie oświadczyła, że w ogrodzie nie ma nikogo i że to musiał być wiatr. Wskutek tego drzwi miano już zamknąć, gdy wtem jedna ciekawsza pensjonarka ośmieliła się spojrzeć przez szparę przy zawiasach i krzyknęła okropnie.

W mgnieniu oka kucharka, służąca i jeszcze parę odważniejszych cofnęło się ku schodom.

– Co się stało, panno Smithers? – zapytała stara panna, podczas gdy rzeczona panna Smithers dostała ataku nerwowego jak cztery panny naraz.

– Boże! Boże! Kochana panno Smithers! – zawołało razem dwadzieścia dziewięć pensjonarek.

– Och! Mężczyzna! Mężczyzna za drzwiami! – krzyknęła panna Smithers przerywanym głosem.

Gdy stara panna usłyszała te przerażające słowa, natychmiast wykonała odwrót aż do swego sypialnego pokoju, zamknęła drzwi na dwa spusty, po czym zrobiło się jej niedobrze. Tymczasem pomocnice jej, pensjonarki i służące rzuciły się ku schodom. Nigdy nie słyszano tyle krzyku, nie widziano tylu załamanych rąk i zemdleń. Wśród tego zamieszania pan Pickwick wyszedł ze swej kryjówki i stanął przed spłoszonymi gołębicami.

– Panie! Kochane panie! – przemówił.

– Ach! Nazywa nas kochanymi paniami! – krzyknęła najbrzydsza i najstarsza z guwernantek. – Boże! Co za nędznik!

– Panie! – wołał pan Pickwick przyprowadzony do rozpaczy swym trudnym położeniem. – Wysłuchajcie mnie! Nie jestem złodziejem. Wszystko, czego żądam, to przełożonej...

– O! Co za potwór drapieżny! – zawołała druga guwernantka:

– Chce panny Tomkins!

Teraz jęki stały się powszechne.

– Uderzcie na alarm! – zawołało z pół tuzina głosów.

– Nie! Nie! – krzyknął pan Pickwick – spojrzycie tylko na mnie. Czyż mam minę złooczyńcy? Drogie panie! Możecie mię związać, zamknąć, jeśli wam się podoba, ale wysłuchajcie mnie, co powiem, tylko wysłuchajcie!

– Jak pan dostałeś się do ogrodu? – zapytała jedna ze służących.

– Przywołajcie przełożoną, a wszystko opowiem, wszystko!

– krzyczał dalej pan Pickwick z całych płuc. – Zawołajcie i uspokójcie się, wszystko usłyszycie!

Czy to dzięki wyrazowi twarzy pana Pickwicka, czyjego wymowie, czy też nieprzewycięzonej dla umysłów kobiecych chęci usłyszenia czegoś tajemniczego, tego nie wiemy, ale najrozsądniejsze niewiasty w zakładzie, w liczbie czterech czy pięciu, zdołały w końcu odzyskać względny spokój. Wezwały więc pana Pickwicka, by bezzwłocznie poddał się osobistemu aresztowaniu gwoili powszechnego bezpieczeństwa; filozof przystał na to i by móc rozmówić się z panną Tomkins, wszedł do szatni, w której przychodzące pensjonarki zawieszały swe kapelusze i okrycia. Gdy go starannie zamknięto, spłoszone owieczki poczęły z wolna odzyskiwać odwagę. Pannę Tomkins ocucono z omdlenia, wyprowadzono z pokoju i konferencja rozpoczęła się.

– Powiedz pan, coś robił w moim ogrodzie? – zapytała panna Tomkins słabym głosem.

– Przyszedłem tu, aby uprzedzić panią, że jedna z jej pensjonarek ma uciec dzisiejszej nocy – odpowiedział pan Pickwick z głębi gabinetu.

– Uciec! – krzyknęła panna Tomkins, trzy guwernantki, trzydzieści pensjonarek i pięć służących. – A z kim?

– Z przyjacielem pani, panem Fitz-Marshall.

– Moim przyjacielem! Nie znam żadnego pana Fitz-Marshall.

– Więc z panem Jingle...

– Nigdy w życiu nie słyszałam tego nazwiska.

– A więc oszukano mnie! – zawołał pan Pickwick. – Jestem ofiarą zmywy! Poślij pani do oberży „Pod Aniołem”, jeżeli słowa moje nie znajdą u niej wiary. Zaklinam, poślij, pani, do oberży „Pod Aniołem” i każ przywołać służącego pana Pickwicka...

– Zdaje mi się, że to jakiś porządny człowiek, kiedy trzyma służącego... – rzekła panna Tomkins do nauczycielki kaligrafii i rachunków.

– Mnie się raczej zdaje – odrzekła nauczycielka połączonej kaligrafii i rachunków – że to służący jego trzyma. Zdaje mi się, że to wariat, a służący pilnuje go.

– Może ma pani słuszość – odpowiedziała stara panna. – Niech dwie służące pójdą do oberży „Pod Aniołem”, a reszta niech zostanie i strzeże nas.



Wyprawiono więc dwie służące po Samuela Wellera, a trzy zostały dla ochrony miss Tomkins, nie licząc trzech guwernantek i trzydziestu pensjonarek. A pan Pickwick siedział w zamknięciu za całą górą „butersznytów” i z całym hartem i filozoficznym spokojem, na jaki stać go było, oczekiwał powrotu wysłanek.

W tym przykrym położeniu upłynęło mu półtorej godziny; gdy dwie służące powróciły, pan Pickwick, oprócz głosu Sama, rozpoznał jeszcze dwa inne głosy, jakby znane mu, do kogo jednak należały, tego, mimo najlepszych chęci, nie mógł sobie przypomnieć.

Nastąpiła krótka konferencja; drzwi otworzyły się, pan Pickwick wyszedł z zamknięcia i znalazł się wobec całego pensjonatu, Sama, starego Wardle’a i jego przyszłego zięcia.

– Drogi przyjacielu! – zawołał pan Pickwick, rzucając się ku panu Wardle’owi i chwytając go za rękę. – Drogi przyjacielu! Na rany boskie, zaklinam cię, wytłumacz tym panom przykre, okropne położenie, w jakim się znalazłem. Zapewne dowiedziałeś się o wszystkim od mego służącego. Powiedzże im, że nie jestem ani zabójcą, ani szalonym.

– Już powiedziałem, drogi przyjacielu, już powiedziałem – orzekł pan Wardle, ściskając prawą rękę filozofa, podczas gdy pan Trundle ścisnął lewicę.

– A ci, którzy powiedzą albo już powiedzieli, że pan jest nim – zawołał Sam, występując naprzód – ci nie powiedzieli prawdy, ale coś zupełnie przeciwnego. I jeżeli są tu mężczyźni, mniejsza o to, wielu, to dam im tego dowody najzupełniej przekonywające, tu, w tym samym pokoju, jak tylko te szanowne damy zechcą usunąć się i każą swym ludziom wystąpić jednemu po drugim!

Wygłosiwszy tak rycerskie wyzwanie z wielkim zapałem, Sam Weller uderzył energicznie pięścią w dłoń i spojrzał na pannę Tomkins, z wielką uprzejmością mrugnawszy okiem. Ale rycerskość Sama nie wywarła wielkiego wrażenia na tej cnotliwej osobie, która z oburzeniem usłyszała przypuszczenie, iż w domu jej mogą znajdować się mężczyźni.

Sprawę pana Pickwicka załatwiono prędko, lecz nie zdołano wydobyć z niego ani słowa, ani podczas powrotu do oberży, ani też gdy zasiadł ze swymi przyjaciółmi przy dobrym ogniu do wieczerzy, której wielce potrzebował. Zdawało się, że był oszołomiony i w najwyższym stopniu zdumiony. Raz tylko, raz jeden, zwrócił się do pana Wardle’a z zapytaniem:

– Skąd się pan tu wzięłeś?

– Ułożyliśmy się z panem Trundle’em, że zapolujemy sobie pierwszego dnia tego miesiąca. Przybyliśmy tu dzisiaj w nocy i bardzo nas zdziwiła wiadomość, że pan się tu znajduje – mówił dalej wesoły starzec, uderzając pana Pickwicka po ramieniu. – Bardzo mię to cieszy. Zapolujemy tu sobie doskonale i damy panu Winkle’owi sposobność zrehabilitowania się. Dobrze, stary?

Pan Pickwick nic nie odpowiedział. Nie pytał nawet o swych przyjaciół w Dingley Dell. Wkrótce potem poszedł spać, rozkazawszy Samowi, by przyszedł zabrać świecę, gdy zadzwoni.

Po jakimś czasie ozwał się głos dzwonka i Sam Weller stanął przed swym panem.

– Sam! – zawołał pan Pickwick, poprawiając kółdę.

– Słucham pana – odpowiedział sługa.

Nastąpiło milczenie; Sam poprawił świecę.

– Sam! – powtórzył pan Pickwick, jakby z rozpaczliwym wysiłkiem.

– Słucham pana – powtórzył sługa.

– Gdzie jest ten Trotter?

– Hiob, panie?

– Tak.

– Pojechał.

– Ze swym panem, jak sędzę.

– Z panem czy kolegą, czy... już nie wiem, z kim. Razem drapnęli. To dobra parka, panie!

– Jingle zwietrzył mój projekt i wyprawił tego łotra, by nas wywieść w pole – rzekł pan Pickwick, którego te wyrazy niemal dławily.

– Akurat tak, panie.

– Wszystko to było zmyślone.

– Od początku do końca, panie. Wyfrycowano nas. W każdym razie bardzo sprytnie.

– Nie sądzę, by drugi raz potrafili nam się tak łatwo wymknąć, Samie?

– I ja nie sądzę, panie.

– Gdzie tylko spotkam tego Jingle'a – zawołał pan Pickwick, podnosząc się i zadając poduszce straszliwy cios – nie tylko, że go zdemaskuję, jak na to zasługuje, ale ukarzę własnoręcznie. Tak! Zrobię to – albo nie nazywam się Pickwick!

– A ja, jak pochwycę tego mazgaja z czarną czupryną, to jeżeli mu nie wydobędę rzeczywiście wody z jego ślepiów, nie nazywam się Weller. Dobranoc panu!

## Rozdział siedemnasty

*wskazuje, że atak reumatyzmu w niektórych wypadkach może pobudzić do czynności twórczych*

Aczkolwiek pan Pickwick obdarzony był konstrukcją zdolną wytrzymać wiele pracy i znużenia, nie potrafił oprzeć się skomplikowanym atakom nieprzyjaznych wypadków, na jakie był wystawiony ostatniej nocy, jak to opisuje poprzedni rozdział. Niebezpieczna to rzecz i niezwykła moknąć na deszczu w nocy, a potem schnąć w dusznej szatni. Pan Pickwick uległ atakowi reumatyzmu.

Ale chociaż siły wielkiego męża zmożone były cierpieniem, duch zachował swój dawny wigor. Myślał jak dawniej sprężysto, a dobry humor powrócił mu. Opuściło go nawet pewne zmieszanie, które wywołała ostatnia przygoda, i z serdecznym śmiechem, bez gniewu i wstydu mógł słuchać aluzji pana Wardle'a.

Przez dwa dni pan Pickwick był przykuty do łóża, a Sam nie odstępował go ani na krok. Pierwszego dnia starał się zabawić swego pana anegdotami i rozmową. Na drugi dzień pan Pickwick zażądał pióra i atramentu i przez cały dzień usilnie nad czymś pracował. Trzeciego dnia, kiedy mógł już siedzieć w łóżku, posłał Sama do pana Trundle'a i pana Wardle'a z prośbą, aby jeśli chcą, wypili wieczorem wino w jego pokoju. Zaproszenie to przyjęto z przyjemnością, a kiedy goście zasiedli przy winie, pan Pickwick, rumieniąc się raz po raz, odczytał im następujące opowiadanie, które, jak twierdził, napisał podczas swej niedyspozycji, opierając się na bezpretensjonalnej opowieści Sama.

### ZAKRYSTIANIN OPOWIEŚĆO WIERNEJ MIŁOŚCI

Żył sobie raz w dość znacznej odległości od Londynu w maleńkim miasteczku maleńki człowieczek imieniem Nataniel Pipkin; był on zakrystianem w tym maleńkim miasteczku i mieszkał w maleńkim domku przy malutkiej uliczce, gdzie stał także malutki kościółek. Codziennie od dziewiątej do czwartej uczył on małych chłopców. Nataniel Pipkin był nieszkodliwym i dobrodusznym stworzeniem o zadartym nosie i krzywych nogach: miał wadę w oczach i wadę w nogach. Cały czas swój dzielił między kościół i szkołę i święcie wierzył, że na całej kuli ziemskiej nie ma nikogo mądrzejszego od proboszcza, nic piękniejszego nad zakrystię i nic lepiej zorganizowanego nad jego własną szkołę. Raz tylko jedyny w życiu Nataniel Pipkin widział biskupa, prawdziwego biskupa, z rękoma ukrytymi w szerokich rękawach i z głową nakrytą ogromną peruką. Widział, jak biskup chodzi, słyszał, jak biskup mówi, a w czasie konfirmacji, której asystował z niezwykłym przejęciem, biskup położył mu rękę na głowie, co tak biednego Pipkina wzruszyło, że zemdlął i musiano go wynieść z zakrystii.

Było to wielkie zdarzenie, najpotężniejszy przełom w życiu Nataniela Pipkina, jedyny wypadek, który zmącił bieg jego życia. Aż pewnego razu, kiedy właśnie Nataniel Pipkin

zastanawiał się nad rozwiązaniem trudnego dodawania, które zadał pewnemu rozswawolonemu chłopakowi, podniósł swe krzywe oczy w górę i ujrzał nimi oblicze panny Marii Lobbs, jedynej córki znakomitego siodlarza z przeciwległej strony ulicy. Oczy Pipkina zatrzymywały się na tej cudnej twarzy nieraz już przedtem, w kościele i na ulicy. Ale oczy panny Marii Lobbs nigdy nie były tak piękne ani policzki tak hoże jak podczas tego niezwykłego zdarzenia. Nic więc dziwnego, że Nataniel Pipkin nie mógł oderwać oczu od twarzy panny Lobbs; nic też dziwnego, że panna Lobbs, dostrzegłszy, iż przypatruje się jej młody człowiek, natychmiast cofnęła się z okna i zapuściła żaluzję. Nie można się też dziwić, że Nataniel Pipkin natychmiast rzucił się na zuchwałego chłopca i wytłukł go, ile mu tylko podyktowało jego zbolące serce. Wszystko to jest bardzo naturalne i nie ma w tym nic dziwnego.

Dziwne jest w tym wszystkim tylko to, że ani nieśmiałość, ani nerwowość, ani skromne dochody pana Pipkina nie mogły go od tej chwili powstrzymać od starań o rękę i serce jedynej córki dumnego Lobbsa, starego Lobbsa, znakomitego siodlarza, który jednym pociągnięciem pióra mógł kupić całe miasteczko i nigdy nie liczył się z wydatkami! Tego Lobbsa, o którym mówiono, że ma nieprzebrane skarby zamknięte w małej żelaznej szkatułce, od której klucz zawsze leżał na kominku w bawialni! Tego Lobbsa, który na uroczystych przyjęciach podawał prawdziwy srebrny imbryk i przy tym srebrny dzbanek do śmietanki, i takąż cukiernicę, i który mówił, że wszystkie te skarby przejdą na tego, kogo wybierze serce jego córki. Powtarzano, że było rzeczą nader zdumiewającą, iż Nataniel Pipkin odważył się podnieść wzrok na pannę Lobbs. Ale miłość jest ślepa. Nataniel zaś miał wadę wzroku i, być może, te dwa fakty razem wzięte przeszkodziły mu widzieć rzeczy we właściwym świetle.

Gdyby Lobbsowi przyszedł do głowy choćby cień myśli, że Pipkin ośmiela się żywić podobne uczucia, rozbiłby w puch pokój szkolny, zmiotł z powierzchni ziemi nauczyciela i uczynił jeszcze wiele tym podobnych a okrutnych rzeczy, które wprost trudno byłoby opisać. Straszny był bowiem stary Lobbs, kiedy obrażono jego dumę i zagrała w nim krew. A umiał kłać! Tak potworne potoki przekleństw wypływały czasem z ust tego człowieka, kiedy wyrzucał lenistwo swemu kościstemu i cienkonogiemu terminatorowi, że Nataniel Pipkin słysząc to, pocił się ze strachu, a uczniom włosy stawały dęba.

Tak to było. Dzień w dzień, kiedy kończyły się lekcje i uczniowie rozchodzili się, Nataniel Pipkin siadał przy oknie, udawał, że czyta, i ukradkiem szukał pięknych oczu panny Lobbs. Niewiele dni tak spędził, a już owe piękne oczy pojawiały się w oknie, pozornie bardzo zajęte czytaniem. Napełniało to serce Nataniela Pipkina pociechą i rozkoszą. Znaczyło to dla Nataniela

Pipkina tyle, że mógł siedzieć tak godzinami i patrzeć na piękną twarzączkę ze spuszczonej oczami. Ale rozkosz jego nie miała granic, kiedy te oczy podnosiły się i wysyłały promienie w jego kierunku. Pewnego razu, wiedząc, że stary Lobbs wyszedł, Pipkin odważył się przesłać Marii pocałunek ręką. A Maria Lobbs, zamiast zamknąć okno i zapuścić żaluzję, uśmiechnęła się i przesłała mu również pocałunek. Wobec tego Nataniel postanowił, że niech się stanie, co chce, uczucia swoje zadeklarować musi natychmiast.

Nie było nigdy piękniejszej nóżki, weselszego usposobienia, wdzięczniejszej kibici i powabniejszej twarzączki wśród wszystkich ziemianek! W jasnych oczach Marii Lobbs były błyski, które dotrzeć by potrafiły do serc daleko mniej czułych niż Nataniela Pipkina. A tyle było radości w jej uśmiechu, że najzagorzalszy mizantrop musiał się uśmiechnąć. Nawet sam stary Lobbs w przystępie najbardziej szewskiej pasji nie mógł ostać się uśmiechom swej córki. A kiedy Maria i kuzynka jej, Kasia, nieznośna, zuchwała, ale czarująca osóbką, zawzięły się na starego rymarza, ten nie umiał im niczego odmówić, nawet gdyby zażądały od niego części jego niezmiernych skarbów ukrytych przed okiem ludzkim w żelaznej skrzyni.

Mocno zabiło serce Nataniela Pipkina, kiedy w parę dni później przechadzając się po łące, gdzie często samotnie marzył o piękności Marii, ujrzał przed sobą obie piękne dziewczyny. Ale chociaż często postanawiał sobie, że przy pierwszym spotkaniu z Marią podbiegnie do niej i oświadczy jej swą gorącą miłość, kiedy teraz ujrzał ją niespodziewanie, poczuł, że cała krew napłynęła mu do twarzy, a niezwykle drżenie nóg zmieniło mu zwyczajną krzywą ich pozycję. Kiedy dziewczyny zatrzymywały się, aby obejrzeć jakiś kwiat polny lub posłuchać śpiewu ptaków, Nataniel udawał, że wpada w zachwyt, chociaż nawet i nie bardzo udawał. Myślał sobie, co się stanie, kiedy dziewczęta nagle się obróca, do czego przecież musi dojść, i staną z nim twarzą w twarz. Lecz choć bał się do nich podejść, za nic w świecie nie chciał ich stracić z oczu. Szedł prędzej, kiedy one szły prędzej, zatrzymywał się, kiedy one się zatrzymywały. I chodziłby tak do zmroku, gdyby w końcu Kasia nie odwróciła się i w zachęcający sposób nie skinęła Natanielowi dłonią. Było coś w zachowaniu Kasi, czemu nie można się było oprzeć, wobec tego Nataniel Pipkin przyjął zaproszenie. Po wielu rumieńcach Nataniela i nieopanowanych wybuchach śmiechu zepsutej kuzynki, Nataniel upadł na kolana na zroszoną trawę i oświadczył, że nie wstanie dopóty, dopóki Maria Lobbs nie uzna go za narzeczonego. Wesoły śmiech Marii Lobbs rozbrzmiał w cichym powietrzu wieczornym, zbytnio zresztą jego spokoju nie naruszając. Śmiech ten brzmiał tak cudnie; coraz więcej śmiała się też nieznośna kuzyneczka i coraz mocniej rumienił się biedny Nataniel Pipkin. Wreszcie Maria Lobbs, wzruszona miłością małego człowieczka, odwróciła głowę i szepnęła do kuzynki, aby ta powiedziała – a w każdym razie Kasia tak powiedziała – że czuje się bardzo zaszczycona oświadczeniami pana Pipkina. A ponieważ wszystko to było powiedziane bardzo uroczyście i Nataniel Pipkin wracał do domu z Marią Lobbs, a nawet na pożegnanie wywalczył sobie jej pocałunek, poszedł więc spać jako człowiek szczęśliwy i przez całą noc śnił, że udało mu się zmiękczyć serce starego Lobbsa, otworzyć żelazną skrzynkę i poślubić Marię.

Następnego dnia Pipkin zobaczył starego Lobbsa wyjeżdżającego na swym siwym koniu. Po wielu rozmaitych znakach w oknie, dawanych przez zepsutą kuzyneczkę, znakach, których pan Pipkin w żaden sposób nie mógł zrozumieć, przybiegł do niego kościsty terminator na cienkich nogach i oznajmił, że stary pan Lobbs wróci dopiero w nocy, panie zaś proszą Pipkina na herbatę o godzinie szóstej. Ani uczniowie, ani Nataniel Pipkin nie wiedzą więcej od nas, w jaki sposób dnia tego przeszły lekcje. Jakoś jednak przeszły i kiedy chłopcy się rozbiegli, pan Nataniel Pipkin ubierał się do godziny szóstej. Nie można powiedzieć, żeby dużo czasu zabierał mu wybór garnituru, bo właściwie nie było z czego wybierać. Ale najtrudniejszą i najważniejszą rzeczą było włożenie i należyte obciążenie tegoż garnituru.

Zebrało się milutkie kółko, złożone z Marii Lobbs jej kuzynki Kasi i jeszcze trzech czy czterech wesołych i różowych pańienek. Nataniel Pipkin mógł się naocznie przekonać, że słuchy o bogactwie starego Lobbsa nie są przesadzone. Podano solidny z czystego srebra imbryk, takież dzbanuszek do śmietanki i cukiernicę, łyżeczki z prawdziwego srebra i filiżanki z chińskiej porcelany, a także talerzyki, aby na nie kłaść ciastka i grzanki. Solą w oku dla Pipkina był tylko kuzyn Marii, a brat Kasi, nazywany przez Marię „Heniem”. Kuzyn ten starał się zupełnie zagarnąć dla siebie Marię Lobbs i siedział z nią ustawicznie przy jednym końcu stołu. Rozkoszna to rzecz patrzeć na miłość w rodzinie, ale i ta miłość może posunąć się za daleko. Nataniel Pipkin nie mógł zwalczyć w sobie myśli, że Maria Lobbs bardzo musi kochać swoich krewnych, jeżeli jednemu kuzynowi poświęca tyle uwagi. Po herbacie kuzyneczka Kasia zaproponowała grę w ślepą babkę.

Z tego czy innego powodu pan Nataniel Pipkin był ciągle „ślepą babką” i ilekroć dotknął kuzyna Henia, wyczuwał, że tuż koło niego znajduje się Maria Lobbs. I chociaż kuzyneczka Kasia oraz inne dziewczęta szczypały go, ciągnęły za włosy i robiły mnóstwo innych miłych rzeczy, Maria Lobbs nie zjawiała się nigdy w jego pobliżu. Raz nawet Nata-

niel Pipkin usłyszał odgłos pocałunku – na to mógłby przysiąc... Zaraz potem nastąpiło jakieś lekkie szamotanie się Marii Lobbs i stłumione śmiechy jej przyjaciółek. Wszystko to było przykre, bardzo przykre i nie wiadomo, co zrobiłby Nataniel Pipkin, gdyby nagle coś nie zwróciło wszystkich jego myśli w innym kierunku.

Tą okolicznością, która nadała inny kierunek jego myślom, było głośnie stukanie do drzwi wejściowych, a tą osobą, która to czyniła, był stary Lobbs we własnej osobie, który, powróciwszy niespodziewanie, tłukł w drzwi jak stolarz zabijający trumnę; Lobbs był głodny. Gdy tylko ostrokościsty terminator doniósł tę hiobową wieść, natychmiast wszystkie panienki uciekły do sypialni Marii, a Nataniel i kuzynek Henio zostali wepchnięci do szafy, ponieważ nie znaleziono dla nich na razie innego schowka. Maria Lobbs i kuzyneczka Kasia, usunawszy naprędce nakrycia i doprowadziwszy pokój do porządku, otworzyły drzwi staremu Lobbsowi, który nie przestawał się dobijać.

Na nieszczęście stary Lobbs, kiedy był głodny, bywał zły jak pies. Pipkin słyszał, jak Lobbs kipi ze złości. Ilekroć ostrokościsty terminator wchodził do pokoju, Lobbs natychmiast zaczynał mu wymyślać w sposób dziki, zgoła saraceński, prawdopodobnie tylko dlatego, aby uwolnić swe piersi od pokładów przekleństw, które się w nich nagromadziły. W końcu postawiono przed panem Lobbssem jakąś tam odgrzewaną kolację i rymarz mógł powrócić do zwykłej swej formy. Opustoszywszy talerze, pocałował córkę i zażądał fajki.

Natura obdarzyła Nataniela Pipkina nogami zgiętymi w formie litery X. Ale kiedy usłyszał, że Lobbs żąda fajki, kolana ścisnęły się tak mocno, jak gdyby miały zgnieść się wzajemnie. Właśnie bowiem w tej szafie, gdzie on się znajdował, wisiała inkrustowana srebrna fajka o długim cybuchu, którą nieraz widywał w ustach Lobbsa. A widywał ją codziennie w tych samych ustach, rano i wieczorem, przez długich pięć lat. Dziewczeta pobiegły najpierw po fajkę na dół, potem na górę, szukały jej wszędzie, gdzie by się podziać mogła, a przez cały ten czas stary Lobbs przeklinał w sposób niewiarygodny. Wreszcie przypomniał sobie o szafie i podszedł do niej.

Na próżno człowieczek tak mały jak Nataniel Pipkin zatrzymywałyby drzwi szafy od wewnątrz, gdyby tak wielki człowiek jak Lobbs chciał je od zewnątrz otworzyć. Stary Lobbs raz a dobrze pociągnął drzwi, które się natychmiast otworzyły prezentując Nataniela Pipkina w całej jego okazałości, drżącego od stóp do głowy. Boże, zlituj się nad nami! Jakież straszne spojrzenie rzucił Lobbs wyciągając Pipkina za kołnierz i trzymając go na odległość wyprężonego ramienia.

– Co ty tu, u diabła, robisz? – spytał stary Lobbs straszonym głosem.

Nataniel Pipkin nie był w stanie nic odpowiedzieć, więc stary Lobbs trząśł nim przez kilka minut, aby ułatwić mu uporządkowanie myśli.

– Czego tu chcesz? – ryczał Lobbs. – Pewnie przyszedł do mojej córki!

Stary Lobbs powiedział to jako drwinę – nie przyszłoby mu bowiem nawet do głowy, żeby Pipkin miał przyjść w tym celu! Jakież było jego oburzenie, kiedy biedny Pipkin odpowiedział:

– Tak, panie Lobbs. Przyszedłem do pańskiej córki. Kocham ją, panie Lobbs.

– Ach, ty smoluchu! Krzywooki bękarcie – zawołał Lobbs, rażony tą odpowiedzią. – Co to ma znaczyć? Powtórz mi to wyraźnie. O, do diabła, utrę cię na maść.

Jest wielce prawdopodobne, że w przystępie gniewu stary Lobbs wykonałby swoją pogroźkę, gdyby ramienia nie zatrzymało nieoczekiwane zjawisko w postaci kuzyna Henia, który wyszedłszy ze swej szafy, powiedział:

– Nie mogę na to pozwolić, mój panie, aby ta niewinna osoba, którą zaproszono na zwyczajną panięską zabawę, brała na siebie w sposób bohaterski winę (o ile to można nazwać winą), którą ja popełniłem i za którą gotów jestem przyjąć odpowiedzialność. To ja, mój panie, kocham pańską córkę i przyszedłem, aby się z nią zobaczyć.

Stary Lobbs szeroko otworzył oczy – nie szerzej jednak niż Nataniel Pipkin.

– Ty? – zawołał stary Lobbs i aż mu oddech zapało.

– Ja.

– Zabroniłem ci przychodzić do mojego domu już od dawna.

– Tak, zabronił mi pan! Więc musiałem to robić po kryjomu.

Wstydić się muszę za starego Lobbsa, ale mam wrażenie, że kropnąłby kuzynka, gdyby nie to, że piękna Maria schwyciła go za ramię.

– Nie zatrzymuj go, Mario! – odpowiedział młody człowiek.

– Jeżeli chce mnie uderzyć, niech bije! Ale ja za żadne skarby świata nie dotknę ani jednego włosa na jego siwej głowie!

Usłyszawszy to stary spuścił oczy, a kiedy je podniósł, spotkał się z oczyma córki. Powiedziałem już parę razy, że były to bardzo piękne oczy, a i teraz urok ich nie zmałał, choć pełne były łez. Stary Lobbs chciał uniknąć tego wzroku, odwrócił głowę, ale na szczęście tym razem spotkał oczy kuzyneczki, która, trochę śmiejąc się z Nataniela Pipkina, a trochę bojąc się o brata, wyglądała tak wdzięcznie, że żaden mężczyzna, stary czy młody, nie mógłby oprzeć się jej urokowi. Pieszczotliwie ujęła za ramię starego pana i coś mu szepnęła do ucha. Chcąc nie chcąc stary Lobbs musiał się uśmiechnąć, a jednocześnie łzy spłynęły mu po policzkach.

W pięć minut później sprowadzono z sypialni dziewczęta, które weszły krygując się i chichocząc. I kiedy młodzież weseliła się, jak mogła, stary Lobbs wziął do ręki fajkę i zapalił ją; dziwna rzecz: zdawało mu się, że fajka nigdy jeszcze bardziej mu nie smakowała.

Nataniel Pipkin poszedł po radę do głowy, co uważał za najrozsądniejsze, i działając według obmyślonego planu, powoli wkradł się w łaski starego Lobbsa, który nauczył go palić. Przez wiele lat później siadywali w ogródku, paląc i pijąc do woli. Wkrótce potem zebrał owoce swego przywiązania do rodziny Lobbsów, gdyż w księgach parafialnych znajdujemy jego nazwisko jako świadka ślubu Marii Lobbs z kuzynkiem Heniem. Z innych znów dokumentów dowiadujemy się, że w dzień ich ślubu został wpakowany do kozy, ponieważ w stanie silnego zatrucia alkoholem dopuścił się wielu ekscesów na ulicy, w czym dopomagał mu ostrokościsty terminator na cienkich nogach.

## Rozdział osiemnasty

*zwięźle przedstawiający – po pierwsze, siłę ataków nerwowych,  
po drugie, wpływ okoliczności*

Jeszcze przez dwa dni po śniadaniu u pani Hunter trzej pickwickowcy pozostali w Eatanswill, z niecierpliwością wyczekując wiadomości o swym szanownym mistrzu. Panowie Tupman i Snodgrass znów pozostawieni zostali sobie samym, gdyż pan Winkle, ustępując uprzejmym naleganiom pana Potta, mieszkał ciągle u niego i wszystek swój czas poświęcał towarzystwu miłej jego żony. By szczęście tych dwojga uczynić całkowitym, sam pan Pott od czasu do czasu przyjmował udział w ich rozmowach. Zwykle zajęty szerokimi planami, mającymi na celu dobro publiczne i obalenie „Niepodległości”, wielki ten człowiek nie zwykł był zstępować z wyżyn inteligencji ku nizinom zamieszkałym przez zwykle umysły. Lecz w tym wypadku, jakby dla uczczenia pana Pickwicka, rozjaśniał czoło, schylał się, zstępował ze swego piedestału i zgadzał się na chodzenie po ziemi.

Takie było postępowanie tego znakomitego publicysty wobec pana Winkle’a. Łatwo zatem pojmujemy zdziwienie tego ostatniego, gdy pewnego poranka, kiedy pan Winkle był sam w jadalnym pokoju, usłyszał, że drzwi otwierają się z trzaskiem, i ujrzał wchodzącego majestatycznie pana Potta, który odtrącił podaną sobie rękę, zazgrzytał zębami, by uczynić swe słowa jeszcze bardziej gryzącymi, i powiedział głosem ostrym, podobnym do skrzyknięcia piły:

– Wężu!

– Co?! – zawołał pan Winkle, z drżeniem zrywając się z krzesła.

– Wężu! – powtórzył pan Pott podnosząc głos. A potem zniżając go nagle dodał: – Powiedziałem, że jesteś pan wężem. Spodziewam się, iż pan mnie zrozumiał.

Otóż jeżeli ktoś rozstał się z kimś o godzinie drugiej nad ranem wśród obopólnych wynurzeń najserdeczniejszej życzliwości, a o pół do dziesiątej rano słyszy, że mianują go wężem, to nie jest rzeczą nierozsądną wyprowadzić wniosek, iż w pomienionym czasie musiało się coś zdarzyć, i to coś bardzo nieprzyjemnego. Tak też myślał i pan Winkle. Spojrzał więc na pana Potta badawczym wzrokiem i zgodnie z życzeniem wyrażonym przez tego gentlemiana, począł wysilać się na zrozumienie tego węża, ale na próżno. Po głębokim milczeniu, trwającym kilka minut, powiedział:

– Wąż, panie Pott? Co pan przez to rozumie? To chyba żarty?

– Żarty, panie! – zawołał redaktor czyniąc ręką ruch zdradzający gwałtowną chęć rzućenia na głowę swego gościa imbryka ze stali „Brytania” – żarty, panie!... Ale nie! Będę spokojny; chcę być spokojny, panie!...

I na dowód, że jest spokojny, pan Pott rzucił się na krzesło, pieniać się ze złości.

– Kochany panie... – zaczął pan Winkle.

– Kochany panie! Jak pan śmie nazywać mnie kochanym panem? Jak pan śmie patrzeć na mnie wymawiając te wyrazy?



– Ależ, mój panie, kiedyśmy już do tego doszli, to jak pan śmie patrzeć mi w twarz, nazywając mnie wężem?

– Bo pan nim jesteś!

– Proszę o dowód! – zawołał pan Winkle wzburzony. – Proszę o dowód!

Ponura i groźna chmura zaciemniła twarz redaktora; wyjął z kieszeni numer „Niepodległości” i przez stół podał panu Winkle’owi, palcem wskazując jedno miejsce...

Zdumiony pickwickczyk wziął dziennik i przeczytał głośno, co następuje:

– Nasz ciemny i bezecny rywal był w niesmacznych swych spostrzeżeniach nad ostatnimi wyborami na tyle niegodziwy, iż gwałcił świętość prywatnego życia i robił bardzo jasne aluzje do osobistych spraw naszego ostatniego kandydata, pana Fizkina, który, nawiasem mówiąc, mimo niezasłużonej klęski następnym razem z całą pewnością odniesie zwycięstwo. Do czego to zmierza nasz nikczemny rywal? I cóż by powiedział na to ten nędznik, gdybyśmy, gardząc jak on przyzwoitością, podnieśli zasłonę, która na szczęście dla niego, kryje brudy jego prywatnego życia przed światem? Co by powiedział, gdybyśmy wydrukowali następujące wiersze, nadesłane nam w chwili, gdyśmy oddawali dziennik pod prasę, pióra jednego z najdowcipniejszych naszych współpracowników?.

## WIERSZ DO MIEDZIANEGO GARNKA

*O, ty garnku<sup>7</sup> miedziany, sadzą zakopcony!  
Zamiast ślęczyć po nocach nad twą bazgraniną  
Lepiej byś dopilnował twojej własnej żony,  
Która z biedy znaj duj e pociechę jedyną  
W tym, że gdy z sąsiedniej wieży  
Zegar północ uderzy,  
Wśród ciszy wydzwaniając tink, tinkle, tinkle, tinkle,  
Miejsce twe przy niej zastępuje...*

– No i cóż?! – zawołał pan Pott uroczyście. – Co, zbrodniarzu, co rymuje się z *tinkle*?

– Co rymuje się z *tinkle*? – przerwała pani Pott, która w tej chwili weszła do pokoju i słyszała tylko ostatnie wyrazy. – Co rymuje się z *tinkle*? Sądzę, że Winkle.

To mówiąc, pani Pott uśmiechnęła się z wielkim wdziękiem do wzruszonego pickwickczyka i podała mu rękę. Zmieszany młody człowiek miał już zamiar uścisnąć tę rękę, gdy między nich rzucił się oburzony pan Pott.

– Stój! – krzyknął. – Jeszcze podajesz mu rękę w mojej obecności!

– Panie Pott! – zawołała zdziwiona małżonka.

– Kobiето niegodna! Patrz tu! Patrz tu! Wiersz do miedzianego garnka... to ja! Pani, która znajduje pociechę, to jesteś ty!

I w gwałtownym uniesieniu, miarkowanym nieco wyrazem twarzy swej małżonki, pan Pott rzucił jej pod nogi numer „Niepodległości”.

– I cóż z tego, panie? – zawołała pani Pott, schylając się, zdziwiona, by podnieść dziennik. – I cóż z tego?

Pan Pott wiał się pod pogardliwym wzrokiem swojej żony. Robił rozpaczliwe wysiłki, by zebrać całą swą odwagę, ale na próżno.

Gdy się czyta ten krótki frazes: – I cóż z tego? – ma się wrażenie, iż nie zawiera on nic przerażającego. Ale ton, jakim był wymówiony, wzrok, który mu towarzyszył, zdawały się zapowiadać w przyszłości zemstę zawieszoną na włosku nad głową redaktora, i to warło magiczny efekt.

Najniezręczniejszy obserwator zauważyłby w strwożonej postawie redaktora gorącą chęć ustąpienia swoich butów każdemu, kto zgodziłby się w nie wleźć.

Pani Pott przeczytała wiersz, krzyknęła i jak długa padła na dywan przy kominku, a leżąc poczęła krzyczeć i uderzać piętami w posadzkę z gwałtownością, która nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do delikatności jej uczuć w tej chwili.

– Moja kochana – bąknął pan Pott, bardzo zmieszany – nie powiedziałem przecież, że temu wierzę. Ja... nie...

Ale głos nieszczęśliwego męża zagłuszyły krzyki jego miłej połowicy.

– Ależ – zaczął pan Winkle. – Moja droga, błagam, uspokój się!

Na próżno. Krzyki i uderzenia piętami jeszcze bardziej się wzmożyły.

– Moja kochana – przemówił znowu redaktor – bardzo mi przykro... Jeżeli nie masz względu na swe zdrowie, to przynajmniej, moja droga, miej wzgląd na mnie. Za chwilę cały tłum stanie pod naszymi oknami...

Im goręcej pan Pott błagał, tym głośniejsze krzyczała jego żona. Na szczęście miała pani Pott przy sobie rodzaj straży przybocznej w osobie młodej damy, której rzekomy obowiązkami było pomaganie przy toalecie, ale która była bardzo przydatna w tysiącach innych przypadków, głównie zaś w dopomaganiu miłej swej pani, gdy chodziło o przeciwstawianie się wszelkim życzeniom i skłonnościom biednego dziennikarza. Histeryczne krzyki pani Pott dotarły wkrótce do uszu rzeczonyj straży przybocznej i sprowadziły ją do pokoju z szybkością zagrażającą wyszukanej harmonii jej czepka i włosów.

– O moja droga pani! Droga pani! – zawołała młoda osoba, klękając koło rozciągniętej na podłodze pani Pott. – O, droga pani! Co się stało?

– Twój pan... ten potwór... – wybełkotała chora.

Pott wyraźnie stchórzył.

– Wstydź się pan! – zawołała straż przyboczna tonem wyrzutu. – Jestem pewna, że pan o śmierć ją przypawi! O, biedaczka!

Pan Pott zmiękł jeszcze bardziej. Przeciwna partia nie ustawała w atakach.

– O! Nie opuszczaj mnie! Nie opuszczaj mnie. Goodwin! – szepnęła pani Pott, z konwulsyjną siłą chwytając za rękę młodą osobę. – Ty jedna mnie kochasz, Goodwin!

Na taką czułą apostrofę panna Goodwin ze swej strony odegrała małą tragedię i załza się łzami.

– Nigdy, pani! Nigdy! – zawołała. – Ach! Panie, miej się pan na bacności... powinienś być pan ostrożniejszy! Pan nie wie, ile wyrządzasz pani złego... Pożałujesz pan kiedyś tego... Wiem o tym... Zawsze to mówię!

Nieszczęśliwy pan Pott spoglądał na swoją połowicę z miną wystraszoną, ale nie mówił nic.

– Goodwin... – rzekła pani Pott łagodnym głosem.

– Słucham panią.

– Gdybyś wiedziała, jak ja kochałam tego człowieka.

– Nie dręcz się, pani, tym wspomnieniem!

Pan Pott zrobił przerażoną minę. Wtedy nadeszła dla przeciwnika chwila zadania stanowczego ciosu.

– A teraz – łkała pani Pott – teraz! Za tyle miłości! Być tak traktowaną! Zapoznaną! Pokrzywdzoną! Wobec trzeciej osoby, obcej! Ale nie poddam się temu. Goodwin – mówiła dalej pani Pott, podnosząc się przy pomocy młodej panny. – Mój brat, porucznik, ujmie się za mną... Rozwiędę się, Goodwin!

– Naturalnie! On na to zasługuje – rzekła Goodwin.

Jakie były myśli redaktora, gdy usłyszał o rozwodzie, tego nigdy nie powiedział. Poprzestał tylko na bolesnych i żalonych słowach:

– Mój aniele, chciej mnie wysłuchać.

Nowy wybuch łkań był odpowiedzią; pani Pott stała się teraz jeszcze bardziej nerwowa i zapytywała przerywanym głosem, dlaczego przyszła na świat, dlaczego wyszła za męża, krótko mówiąc – pragnęła informacji co do mnóstwa innych kwestii tego rodzaju.

– Moja droga – przedstawiał jej pan Pott – nie poddawaj się tym bolesnym uczuciom. Nigdy nie wierzyłem, by wiersz ten miał jakąś podstawę; nigdy! Byłem tylko zirytowany, mogę powiedzieć – rozszłoszczony na wydawców „Niepodległości”, którzy mieli bezczelność wydrukować coś podobnego. Oto wszystko.

Mówiąc to pan Pott rzucił błagalny wzrok na niewinny powód tego zajścia, jakby go chciał prosić, by nic nie wspominał o „wężu”.

– A jakie pan przedsięwzięcie kroki, by otrzymać satysfakcję – zapytał pan Winkle, który nabierał odwagi widząc, że pan Pott ją traci.

– O, Goodwin – szepnęła pani Pott. – Czy on obje redaktora „Niepodległości”? Czy zrobi to, Goodwin?

– Cicho, cicho. Uspokój się, pani, proszę! Niezawodnie obje, jeżeli pani życzy sobie tego.

– Niezawodnie – powtórzył pan Pott widząc, że jego połowica szykuje się do powtórnego zemdlenia. – Naturalnie, że obje...

– Kiedy, Goodwin, kiedy? – mówiła dalej pani Pott nie wiedząc jeszcze, czy ma zemdleć.

– Naturalnie, że bezzwłocznie – odrzekł redaktor – nim się dzień skończy.

– O, Goodwin! – zaczęła znowu dama. – Jest to jedyny środek, by odeprzeć oszczerstwo i ukazać mnie światu w prawdziwym świetle.

– Niezawodnie, pani! żaden mężczyzna, jeżeli jest mężczyzną, nie może tego odmówić – odparła Goodwin.

Ale ataki nerwowe wciąż jeszcze unosiły się na horyzoncie, pan Pott powtórzył raz jeszcze, że to uczyni: lecz pani Pott była tak przygnębiona tą jedyną myślą, iż cześć jej mogłaby być podana w wątpliwość, że jeszcze z jakich dwanaście razy omal znów nie dostała ataku nerwowego. Nastąpiłoby to niemal na pewno, gdyby nie wytrwałe wysiłki panny Goodwin i błagania strony pokonanej. W końcu, gdy nieszczęśliwy pan Pott został ostatecznie zmaltretowany i usunięty na należne mu stanowisko, pani Pott zrobiło się lepiej i we troje zasiedli do śniadania.

– Spodziewam się – rzekła pani Pott z uśmiechem promieniejącym spoza śladów łez – spodziewam się, panie Winkle, że nikczemna potwarz tego dziennika nie skróci pańskiego pobytu u nas.

– Spodziewam się, że nie – dodał pan Pott, w duszy swej gorąco pragnąc, aby gość jego udławił się kawałkiem mięsa, który niósł do ust, i aby na tym skończyły się jego wizyty. – Spodziewam się, że nie.

– Państwo są bardzo łaskawi – odrzekł pan Winkle – ale dziś rano otrzymałem od pana Tupmana kartkę z zawiadomieniem, iż pan Pickwick wzywa nas, byśmy przybyli do Bury... Musimy odjechać dziś po południu.

– Ale pan wróci – rzekła pani Pott.

– O! Na pewno – odparł pan Winkle.

Śniadanie ukończono w milczeniu, gdyż każdy z biesiadników przeżywał swe osobiste zmartwienia. Pani Pott żałowała, że traci wielbiciela; pan Pott żałował nierozważnego przyrzeczenia, iż obje redaktora „Niepodległości”; pan Winkle żałował umizgów, które go postawiły w tak kłopotliwym położeniu. Nadchodziło południe i po pożegnaniu oraz przyrzeczeniu powrotu pan Winkle oddalił się.

„Jeżeli kiedy tu powróci, otruję go!” – pomyślał pan Pott odchodząc do gabinetu, gdzie wykuwał gromy swej wymowy.

„Jeżeli kiedy zadam się z tymi ludźmi – pomyślał pan Winkle idąc «Pod Srebrnego Pawa» – to warto będzie dać mi w skórę”.

Przyjaciele jego byli gotowi; wkrótce nadjechał dylizans, a po upływie pół godziny trzej pickwickowcy byli już u kresu swej podróży. Ponieważ jednak o drodze tej już mówiliśmy, przeto nie uważamy za stosowne podawać pięknego i poetyckiego jej opisu pióra pana Snodgrassa.

We drzwiach oberży „Pod Aniołem” czekał na nich Sam Weller i zaraz wprowadził ich do apartamentu pana Pickwicka.

Tu ku wielkiemu zdziwieniu pana Winkle’a i pana Snodgrassa i ku niezmiernemu zmieszaniu pana Tupmana zastali starego pana Wardle’a i pana Trundle’a.

– Jak się pan ma? – zawołał wesoło starzec, ściskając rękę pana Tupmana. – No, no; nie przybieraj pan sentymentalnej miny. To się na nic nie przyda, stary kolego. Z przywiązania do niej pragnąłbym, byś się z nią ożenił, ale w interesie pana cieszę się, że się tak stało. Taki zuch jak pan znajdzie coś lepszego.

Pocieszając w ten sposób pana Tupmana, pan Wardle uderzył go po ramieniu, śmiejąc się z całego serca.

– A wy, panowie, jakże się miewacie? – mówił dalej stary gentleman, ściskając ręce panów Winkle’a i Snodgrassa. – Mówiłem już panu Pickwickowi, iż zapraszam was wszystkich na Boże Narodzenie. Będziemy mieli wesele, prawdziwe wesele!

– Wesele! – zawołał pan Snodgrass blednąc.

– Tak, tak. Ale nie przerażaj się pan – odrzekł uprzejmy starzec – to tylko Trundle, którego tu widzicie, i Bella.

– A! Tylko to! – odrzekł pan Snodgrass, któremu ulżyło na sercu. – Winszuję panu. Jak się ma Joe?

– Joe? Bardzo dobrze, ciągle śpi – odparł stary gentleman.

– A szanowna matka pana? A wikary? A inni?

– Doskonale.

– Panie – zapytał pan Tupman, siląc się na spokój – gdzie jest... gdzie jest ona? – A mówiąc to, zakrył sobie twarz ręką.

– Ona? – odrzekł stary gentleman, pochylając głowę filuternie. – Zapewne pyta pan o moją siostrę?

Pan Tupman skinieniem dał do zrozumienia, iż rzeczywiście pytanie jego dotyczy nie-szczęsnej Racheli.

– O! Wyjechała; mieszka teraz u jednej z naszych krewnych, daleko. Nie mogła dłużej znieść widoku moich córek. Ale otóż i obiad; pewno głodni jesteście po podróży, bo ja i bez tego jestem głodny. A więc do roboty!

Obiadowi oddano pełną sprawiedliwość, a gdy podano deser i wszyscy się wygodnie rozsiadli, pan Pickwick opowiedział przygody, jakie go spotkały, i triumf, jakim uwięziony został niecny podstęp szatańskiego Jingle’a. Zwolennicy znakomitego męża niemal skamienieli z oburzenia.

– A na dobitek – dodał mistrz – reumatyzm, który złapałem, sprawił, że okulałem.

– Mnie także wydarzyła się awantura – rzekł pan Winkle z uśmiechem i na żądanie pana Pickwicka opowiedział o złośliwym paszkwile „Niepodległości” i wynikłym z tej przy-czyny niepokoju w domu redaktora „Gazety Eatanswillskiej”.

Czoło pana Pickwicka zachmurzyło się podczas tego opowiadania. Przyjaciele jego dostrzegli to i gdy pan Winkle zamilkł, zachowali głębokie milczenie. Po chwili mistrz z uniesieniem uderzył w stół zaciśniętą pięścią i przemówił, jak następuje:

– Czy to nie dziwne zrzędzenie losu, że wchodząc w czyjś dom wnosimy weń coś w rodzaju zamieszania. Powiedzcie, czy nie mam powodów przypuszczać, że przyjaciele moi są lekkomyślni, co gorsza, wprost źli – o, jak trudno powiedzieć coś takiego! – gdy widzi

się, jak w każdym domu, dokąd przybędą, znika spokój serca i szczęście domowe jakiejś łatwowiernej kobiety. Czy nie...

Według wszelkiego prawdopodobieństwa pan Pickwick mówiłby na ten temat jeszcze przez dłuższy czas, gdyby ukazanie się Sama z listem nie przerwało jego wymownych stów. Potarł więc ręką czoło, zdjął okulary, przetarł je również i znowu włożył na nos. Wystarczyło to, by przybrał zwykły swój łagodny wygląd i zapytał:

– Cóż to przynosisz mi, Samie?

– Przychodzę z poczty, panie, znalazłem tam list, który od dwóch już dni leżał.

– Nie znam tego pisma – rzekł pan Pickwick, otwierając list. – Niech niebo ma nas w swej opiece! Co to takiego? To chyba sen!... To... to być nie może!

– Cóż takiego? – zapytali wszyscy biesiadnicy.

– Spodziewam się, że nikt nie umarł? – rzekł pan Wardle przerażony wyrazem twarzy pana Pickwicka.

Filozof nic nie odpowiedział, ale podając przez stół list, poprosił pana Tupmana, by go odczytał głośno; sam zaś padł na krzesło, zdumiony i przerażony, że aż litość brała.

Pan Tupman drżącym głosem przeczytał list następującej treści:

*Freeman's Court, Cornhill 28 sierpnia 1827*  
*Bardell contra Pickwick*

*Do Pana Samuela Pickwicka*  
*Szanowny Panie!*

*Mając polecenie pani Marty Bardell wytoczyć Panu proces o niedotrzymanie przyrzeczenia małżeństwa, za co skarżąca żąda 1 500 funtów odszkodowania, ośmielamy się uwiadomić Szanownego Pana, że skarga przeciw niemu wniesiona została do sądu Common Pleas, a zarazem upraszamy o powiadomienie nas odwrotną pocztą, jakie jest nazwisko adwokata pańskiego w Londynie, któremu Szanowny Pan sprawę tę powierzy. Pozostajemy najniższymi Pana sługami*

*Dodson et Fogg*

Nieme zdziwienie, z jakim wysłuchano pisma, miało w sobie coś tak uroczystego, iż zdawało się, że każdy z obecnych obawiał się przerwać milczenie i kolejno spoglądał to na swego sąsiada, to na pana Pickwicka. W końcu pan Tupman powtórzył mechanicznie:

– Dodson et Fogg.

– Bardell contra Pickwick – szepnął pan Snodgrass w roztargnieniu.

– Spokój serc, domowe szczęście łatwowiernej kobiety... – mruknął pan Winkle.

– To zмова! – zawołał pan Pickwick, odzyskując na koniec mowę. – Niegodziwa zмова tych dwóch drapieżnych adwokatów, Dodsona i Fogg. Pani Bardell nigdy by tego nie zrobiła: ani serce, ani prawo nie mogłoby jej tego doradzić. To śmieszne! Śmieszne!

– Co do jej serca – zaczął pan Wardle z uśmiechem – to naturalnie, pan jesteś jego najlepszym sędzią; ale co do prawa, to nie chcę pana straszyć, powiem jednak, że Dodson i Fogg są lepszymi sędziami aniżeli my wszyscy.

– To nikczemne usiłowanie, by wydrwić ze mnie pieniądze.

– Tak myślę – odrzekł krótko i sucho pan Wardle.

– Kto słyszał, bym zachowywał się wobec niej inaczej, niż przystało lokatorowi wobec właścicielki domu? – mówił pan Pickwick z wielkim uniesieniem. – Kto mnie widział kiedy z nią? Nikt! Nawet obecni tu moi przyjaciele.

– Wyjąwszy raz jeden – przerwał pan Tupman.

Pan Pickwick zbladł.

– A – zaczął znowu pan Wardle – to rzecz ważna; spodziewam się, że nie było w tym nic podejrzanego?

Pan Tupman spojrział trwożliwie na swego mistrza.

– Tak – powiedział – nie było nic podejrzanego, ale... nie wiem, jak to się stało... to tylko pewne, że trzymał ją w swych objęciach.

– Sprawiedliwe nieba! – zawołał pan Pickwick, gdy nagle cała znana nam scena przyszła mu na myśl. – To prawda! Prawda! Cóż to za fatalny zbieg okoliczności!

– Nasz przyjaciel usiłował ją pocieszyć – dodał pan Winkle z uśmiechem cokolwiek złośliwym.

– Tak, to prawda – powtórzył pan Pickwick. – Nie mogę temu zaprzeczyć.

– O! O! – zawołał pan Wardle – to rzecz podejrzana! A! Pickwick! A! Łotrze!

I wybuchnął śmiechem, aż szklanki zatrzęsły się na stole.

– Co za okropny stek pozorów! – wykrzyknął pan Pickwick, wsparłszy podbródek na dłoniach. – Winkle! Tupman! Przebaczone mi moje niedawne wyrzuty. Wszyscy jesteśmy ofiarą okoliczności, a ja największą!

Po tej mowie obrończej pan Pickwick ukrył całą głowę w dłoniach i począł namyślać się; pan Wardle tymczasem kiwał głową i mrugał na całe towarzystwo.

– Jakkolwiek bądź jest – rzekł pan Pickwick, podnosząc głowę i uderzając ręką w stół – muszę wszystko to wyjaśnić! Zobaczę tego Dodsona i Fogga. Pojadę do Londynu... jutro.

– O! jutro niepodobna, zanadto kulejesz – rzekł pan Wardle.

– No to pojutrze.

– Pojutrze, przyrzekłeś, że będziesz z nami na śniadaniu u sir Geoffreya Manning, jeżeli już nie chcesz towarzyszyć nam na polowaniu.

– No, to do dnia następnego. Sam!

– Jestem, panie!

– Zamów na czwartek dwa miejsca w dylizansie do Londynu.

– Dobrze, panie.

Sam oddalił się, by wypełnić ten rozkaz. Idąc z wolna ulicą, z rękami w kieszeni i oczyma w ziemię utkwionymi, tak mówił do siebie:

– Szczególny człowiek ten mój imperator. Umizgać się do pani Bardell! Kobiety mającej już podrostka! Tacy to zawsze ci starzy kawalerowie. Nigdy jednak nie spodziewałem się tego po nim, nigdy.

Tak moralizując, Sam Weller kierował swe kroki do biura pocztowego.

## Rozdział dziewiętnasty

### *Szczęśliwy dzień nieszczęśliwie zakończony*

Ptaki przywitały poranek 1 września jako jeden z najpiękniejszych w tej porze roku, nie wiedziały bowiem, na swoje szczęście, o ogromnych przygotowaniach w celu wytępienia ich, dzięki czemu mogły zachować spokój ducha i poczucie bezpieczeństwa. Niejedna młoda kuropatwa biegała wesoło po łące z całym wdziękiem pierwszej młodości i niejedna stara kuropatwa okrągłym swym okiem pogardliwie spoglądała na tę lekkomyślność, jak przystoi na ptaka doświadczonego i rozsądnego. I te, i tamte, nie wiedząc nic o niebezpieczeństwie, kapały się, upojone rozkoszą istnienia, w świeżym porannym powietrzu. A za kilka godzin trupy ich miały już leżeć na sianie! Ale sza! Czas już skończyć ten ustęp, bo stajemy się zanadto sentymentalni.

Ograniczając się do prostego stwierdzenia faktów przyznać musimy, że ranek był piękny – tak piękny, że z trudem uwierzyłbyś, iż minęło już kilka miesięcy krótkiego angielskiego lata. Łąki, pola i drzewa, pagórki i bagna cieszyły oczy głębią swej zieleni. Zaledwie kilka liści opadło, zaledwie gdzieś zółta barwa mieszała się z barwą lata ostrzegając, że jesień za pasem. Niebo było bez chmur. Słońce grzało i świeciło: śpiew ptaków i brzęczenie tysięcy owadów napępiały powietrze. Ogródki przed domami, usiane kwieciami rozmaitych barw i odcieni, błyszcząły w porannej rosie jak klejnoty. Wszystko nosiło jeszcze piętno lata, którego barwy nie zdążyły zblednąć.

Taki był ów poranek, kiedy otwarty powóz, w którym siedzieli trzej pickwickczycy (pan Snodgrass wolał zostać w domu), pan Wardle, pan Trundle z Samem Wellerem na koźle, zatrzymał się przed bramą przy drodze. Stał tam słuszny, chudy leśniczy i chłopak na pół obuty w skórzane kamasze. Obaj mieli torby myśliwskie wielkich rozmiarów i stali otoczeni przez sforę wyłów.

– Powiedz mi pan – przemówił po cichu pan Winkle do pana Wardle’a – czy oni myślą, że nabijemy zwierzyny pełne te dwie torby?

– O! Pan napelnisz jedną, a ja drugą! A kiedy zabraknie już miejsca w torbach, mamy jeszcze kieszenie naszych kurtek myśliwskich.

Pan Winkle wysiadł z powozu i nic na to nie odpowiedział, ale pomyślał, że jeżeli towarzystwo zechce zostać na świeżym powietrzu, dopóki on nie napelni jednej torby, to narazi się na poważne niebezpieczeństwo przeziębienia.

– Cyt, Juno, cyt, staruszko! Leżeć, Dafne, leżeć! – mówił pan Wardle pieszcząc psy. – Sir Geoffrey naturalnie jeszcze w Szkocji, co, Marcynie?

Strzelec odpowiedział twierdząco, ze zdumieniem spoglądając na pana Winkle’a, trzymającego swą strzelbę tak, jakby chciał, by jego własna kamizelka oszczędziła mu trudu pociągania za cyngiel, i pana Tupmana, który znowu trzymał swoją, jakby był przestraszony; jest nawet wielkie prawdopodobieństwo, że tak by można określić jego stan ducha. Pan Wardle dostrzegł niepokój strzelca i powiedział:

– Moi przyjaciele jeszcze nie są wprawni, ale to nic!... Z czasem będą z nich dzielni myśliwi... Mój przyjaciel, pan Winkle, ma już nawet nieco doświadczenia.

Na ten komplement pan Winkle słabo się uśmiechnął i w swej wstydlivej skromności tak począł wywijać strzelbę, iż gdyby była nabita, niezawodnie sam by się zastrzelił.

– Jeżeli pan będzie tak majstrował nabita bronią – rzekł nadąsany strzelec – to niech mnie Bóg skarże, jeżeli z którego z nas nie narobi pan bigosu.

Przestraszony tym pan Winkle zmienił natychmiast pozycję i w pośpiechu wprowadził lufę w bardzo ścisły kontakt z głową Sama.

– Hola! – zawołał Sam, podnosząc z ziemi kapelusz i pocierając sobie skronie – w ten sposób od jednego razu napelni pan zwierzyną całą torbę i coś jeszcze ponadto.

Na te słowa chłopiec w skórzanych kamaszach wybuchnął śmiechem, próbując jednocześnie przybrać wygląd tak poważny, jakby to nie on się śmiał. Pan Winkle majestatycznie zmarszczył brwi.

– Marcinie – zapytał pan Wardle – gdzie kazałeś chłopcu czekać na nas ze śniadaniem?

– Pod dębem na łące, to jest już na gruntach kapitana Boldwiga.

– Bardzo dobrze. No, to już czas. W południe spotkamy się.

Pan Pickwick pragnął widzieć polowanie głównie dlatego, iż niepokoił się o życie i całość członków pana Winkle'a. A przy tym w tak piękny poranek przykro mu było zostać samemu. Więc z żalną miną odpowiedział:

– Ba, sądzę, że już tak być musi.

– Czy gentleman nie myśliwy? – zapytał drugi strzelec.

– Nie – odparł pan Wardle – a przy tym kuleje.

– Bardzo bym chciał pójść z wami – rzekł pan Pickwick.

Nastąpiło krótkie milczenie współczucia. Mały chłopak przerwał je, mówiąc:

– Tam za płotem są taczki. Jeżeli służący gentlemana zechce powieźć go ścieżką, to mógłby być z nami, przez płot przeniesiemy go.

– Bardzo dobrze – pośpieszył dodać Sam, który także pragnął widzieć polowanie. – Dobrze mówisz, mój malcze. Zaraz sprowadzę taczki!

Ale tu powstała nowa trudność. Słuszny strzelec stanowczo zaprotestował przeciw udziałowi w polowaniu gentlemana w taczkach, oświadczając, że byłoby to niesłychanym pogwałceniem wszelkich myśliwskich reguł i zwyczajów.

Sprzeciw był poważny. Ułagodzony jednak strzelca, wsuwając mu coś w łapę, a on sam ulżył swemu sercu biorąc w obroty głowę małego chłopca, który doradził użycie tacek, po czym karawana ruszyła. Na przedzie szedł pan Wardle ze strzelcem; pan Pickwick w taczkach, popychanych przez Sama, stanowił straż tylną.

– Stój, Samie! – krzyknął pan Pickwick, zaledwie przeszli pierwszą miedzę.

– A co tam? – zapytał pan Wardle.

– Nie ruszę się z miejsca – odpowiedział pan Pickwick – jeżeli Winkle nie będzie inaczej trzymał strzelby.

– Jakże ją mam trzymać? – zapytał nieszczęśliwy pan Winkle.

– Lufą do dołu.

– To nie po myśliwsku – zauważył pan Winkle.

– Co mi tam, że nie po myśliwsku! Nie mam ochoty, by z powodu jakiejś formalności zastrzelono mię w taczkach.

– Założyłbym się, że ten pan wpakuje komuś nabój, zanim się spostrzeże – mruknął wysoki strzelec.

– Dobrze, dobrze! – odrzekł nieszczęśliwy pan Winkle, odwracając strzelbę – wszystko mi jedno...

– Wzajemne ustępstwa stanowią urok życia – zauważył Sam i pochód ruszył dalej.

Zaledwie zrobiono sto kroków, gdy pan Pickwick znowu krzyknął:

– Stójcie!

– Cóż tam znowu? – zapytał pan Wardle.



- Strzelba pana Tupmana jest tak samo niebezpieczna.
- Co? Niebezpieczna? – zawołał pan Tupman, wielce przestraszony.
- Niebezpieczna, jeżeli ją pan tak będzie trzymał jak obecnie. Przykro mi, ale nie mogę jechać dalej, jeżeli nie zniżysz jej tak jak pan Winkle.
- Sądzę, że dobrze pan zrobi – dodał strzelec – bo w przeciwnym razie wsadzisz pan nabój we własną albo cudzą kamizelkę.
- Pan Tupman z pośpiechem, pełnym najdalej idącej uprzejmości, nadał swej strzelbie żądane położenie; znowu ruszono z miejsca. Dwaj amatorzy polowania szli z odwróconymi strzelbami, jak dwu żołnierzy na pogrzebie.
- Wtem psy stanęły; strzelcy także.
- Co się temu psu stało w nogę? – zapytał pan Winkle. – Tak zabawnie stoi!
- Jak to? – łagodnie zdziwił się pan Wardle. – Nie poznaje pan? Nie widzi pan, że wystawia?
- Wystawia – powiedział pan Winkle oglądając się dokoła, jakby w nadziei, że odkryje jakieś szczególne piękno w krajobrazie, który sprytnie psy, zdawało się, również interesuje.
- Wystawia! Cóż on takiego może wystawiać?
- Otwieraj pan szeroko oczy! – powiedział pan Wardle, zbyt podekscytowany, by w takiej chwili odpowiadać na pytania. – Lekko! Pil!
- Dało się słyszeć trzepotanie skrzydeł tak gwałtowne, że pan Winkle aż cofnął się, jakby do niego strzelano. Potem rozległy się dwa strzały.
- Gdzie one są? – zawołał pan Winkle w największym zapale, oglądając się na wszystkie strony. – Gdzie są? Powiedzcie mi, kiedy trzeba będzie strzelić! Gdzie są?
- Oto są – odrzekł pan Wardle wskazując na dwie kuropatwy przyniesione przez psy.
- Nie, nie te!... Ale tamte – zaczął znów pan Winkle, zaciętrzewiony.
- Tamte są już daleko – odrzekł zimno pan Wardle, nabijając strzelbę.
- Za pięć minut znajdziemy inne stado – rzekł strzelec. – Jeżeli gentleman zacznie teraz strzelać, to nabój jego wyleci w czas z lufy.
- Cha, cha, cha! – zaśmiał się Sam.
- Sam! – zawołał pan Pickwick, dotknięty kontuzją swego ucznia.
- Słucham pana.
- Nie śmieć się.
- Dobrze, panie – odrzekł służący, lecz aby sobie to wynagrodzić, począł za taczkami wyrabiać najdziwaczniejsze miny gwoźli wyłącznie przyjemności chłopca, który zachichotał głośno i zaraz został za to wyszturchany przez strzelca jedynie dlatego, by sam szturchający miał pretekst do odwrócenia się i ukrycia własnej ochoty do śmiechu.
- Brawo, stary! – zawołał pan Wardle do pana Tupmana. – Tym razem przynajmniej w porę strzeliłeś!
- O, tak – rzekł pan Tupman z dumną świadomością dokonanego czynu – pociągnąłem za cyngiel.
- Grackość się pan spisał. Trafisz w coś następnym razem, jeżeli będziesz dobrze mierzył.
- Tak, to bardzo łatwo – rzekł pan Tupman. – Ale jak to bije w ramię! Prawie pchnęło mię w tył! Nie miałem pojęcia, że mała broń może tak szarpać!
- O! – rzekł stary gentleman, uśmiechając się – z czasem przyzwyczaisz się pan do tego. A teraz, czyśmy gotowi? Jak tam z taczkami?
- Wszystko dobrze, panie – odrzekł Sam.
- Więc w drogę!
- Niech się pan mocno trzyma! – powiedział Sam Weller, pchając taczki.
- Aj! aj! – odrzekł pan Pickwick i ruszyli z miejsca, jak można było najszybciej.
- Cofnij się pan ze swoją taczka! – zawołał pan Wardle.

– Słucham pana – powiedział Sam odsapnąwszy.  
– Teraz, Winkle – powiedział stary gentleman – idź pan za mną... ostrożnie... A nie spóźnij się tym razem!

– Nie bój się pan – odpowiedział pan Winkle. – Czy wystawiają?

– Nie, nie, nie w tej chwili! Spokojnie! Spokojnie! Byliby zbliżyli się ostrożnie, gdyby pan Winkle, chcąc wykonać swoją strzelbą jakąś dziwną ewolucję, nie wywinał nią tak, że wystrzeliła i cały nabój przeszedł ponad głową małego chłopca, akurat w tym miejscu, gdzie by znajdowała się głowa słusznego strzelca, gdyby stał był przy panu Winkle’u.

– Na Boga! Po coś pan strzelił? – zawołał pan Wardle, gdy tymczasem ptactwo rozlatywało się na wszystkie strony.

– Jak żyję, nie widziałem takiej strzelby – odrzekł biedny pan Winkle, spoglądając na kurek, jakby to coś pomogło. – Sama strzela.

– A! Sama strzela! – powtórzył pan Wardle, nieco zirytowany. – Daj Boże, by kogo sama nie zastrzeliła!

– Dojdzie i do tego – zauważył strzelec.

– Co pan przez to rozumie? – zapytał z goryczą pan Winkle.

– Nic, nic, panie. Ja nie mam rodziny, a matka tego chłopca zawsze coś dostanie od sir Geoffreya, jeżeli chłopiec zostanie zabity na jego gruncie. Nabij pan ją znowu! Nabij!

– Odbierzcie mu strzelbę! – zawołał z taczek pan Pickwick, przerażony ponurym przypuszczeniem strzelca. Odbierzcie mu strzelbę, czy słyszycie?

Ale nikt nie wykonał tego polecenia; pan Winkle, spojrzawszy buntowniczo na filozofa, nabił strzelbę i poszedł naprzód.

Winniśmy nadmienić, powołując się na autorytet pana Pickwicka, że sposób obchodzenia się z bronią pana Tupmana był nierównie racjonalniejszy od sposobu pana Winkle’a. Nie umniejsza to bynajmniej powagi pana Pickwicka, jaką był we wszystkich sprawach dotyczących polowania. Albowiem, jak to pan Pickwick sprytnie zauważył, od niepamiętnych czasów zdarza się, że najlepsi i najzdolniejsi filozofowie, będący prawdziwym kagancem wiedzy w kwestiach teoretycznych, nie potrafią zastosować jej praktycznie.

Jak większa część znakomitych odkryć, tak i ten sposób wydawał się bardzo prosty. Z bystrością człowieka genialnego pan Tupman zrobił w krótkim czasie spostrzeżenie, iż o dwie główne chodzi sprawy: 1-o, o wystrzelenie bez uszkodzenia siebie, 2-o, o wystrzelenie bez uszkodzenia kogokolwiek z obecnych. Jeżeli więc kto na to się zdobył, że uzyskał możliwość wystrzału, to najlepiej w takim razie – zamknąć oczy i strzelać na wiatr.

Raz po dokonaniu takiego bohaterskiego czynu pan Tupman otworzył oczy i ujrzał na ziemi zranioną kuropatkę. Już miał wieszować panu Wardle’owi jego wciąż pomyślnych strzałów, gdy ten podszedł do niego i gorąco ściskając mu rękę powiedział:

– Tupman, do tej kuropatwy mierzył pan?

– Nie, nie!

– O, do tej! Zauważyłem to! Widziałem, jak mierzyłeś, i otwarcie powiem: najlepszy strzelec nie trafiłby jej lepiej. Pan nie jesteś takim nowicjuszem, jak sądziłem; przyznaj się pan, żeś już nieraz polował.

Na próżno pan Tupman protestował z uśmiechem skromności. Sam ten uśmiech pożyczony był za dowód czegoś przeciwnego; od tej chwili reputacja jego była ustalona.

Przez ten czas pan Winkle otaczał się ogniem, hukiem i dymem, nie osiągnąwszy żadnego godnego zanotowania rezultatu. Czasami walił ładunkiem przed siebie, to znowu puszczał go tak nisko nad ziemią, że życiu psów zagrażało poważne niebezpieczeństwo. Jako przykład fantastycznego strzelania był to widok wielce interesujący i ciekawy. Jako strzelanie do określonego celu – przedsięwzięcie chybione. Przywykliśmy uważać za prawdę, że każda kula gdzieś trafi. Do strzałów pana Winkle’a nie dałoby się tego zasto-

sować, kule jego były bezdomne, urągały prawom przyrodzonym, błędziły po świecie i nigdzie nie trafiały.

– No! – rzekł pan Wardle, podchodząc do taczek i ocierając z potu swą wesołą, zaczerwienioną twarz – gorąco dziś, co?

– Gorąco – odrzekł pan Pickwick. – Słońce okropnie dopieka, nawet mnie. Nie wiem, jak tam wam.

– Ba! Gorąco! Ale to nic. Już przeszło południe; czy widzisz ten zielony pagórek?

– Widzę – rzekł pan Pickwick.

– Tam będziemy jedli śniadanie. Na Boga! Chłopak jest już tam z koszykiem.

– Widzę go – odrzekł pan Pickwick, którego twarz rozpromieniła się. – Porządny chłopak! Dam mu szylinga za fatygę. No! Samie! Tocz mnie!

– Niech się pan trzyma – odrzekł Sam, ożywiony widokiem śniadania. – A ostrożnie, młody kirasjerze! Jeżeli cenisz moje drogie życie, to mię nie wywracaj – jak mówił gentleman do pacholka wiozącego go pod szubienicę.

Po tym szczęśliwym zacytowaniu myśli Sam ruszył szybkim krokiem, dotoczył zręcznie swego pana na szczyt wzgórka, wysadził go z taczek i umieścił koło kosza z jadem, które, nie tracąc chwili, począł wyładowywać.

– Pasztet z cielęciny – mówił Sam, układając jedzenie na trawie. – Bardzo to dobra rzecz taki pasztet z cielęciny, jeżeli znamy damę, która go przyrządziła, i jeżeli mamy pewność, że to nie jest pasztet z kota. A zresztą, cóż to szkodzi, skoro w smaku tak są podobne do siebie, że nawet amatorzy pasztetów nie czują różnicy?

– Nie czują różnicy, Samie? – zapytał pan Pickwick.

– Nie, panie – odrzekł Sam, dotykając kapelusza. – Mieszkałem raz w jednym domu z pewnym pasztetnikiem, człowiekiem przyjemnym i wcale niegłupim. Ten umiał robić pasztety! Mniejsza o to, z czego. Raz, kiedyś się już z nim zaprzyjaźnił, mówię mu: – Ależ macie tu stado kotów, panie Brook. – A! – odpowiada – to prawda; wiele mam kotów – powiada, mrugnawszy do mnie – są ludzie, co lubią koty. Ale to – powiada – jeszcze nie ich pora, trzeba czekać do zimy. – Nie ich pora? – Nie – powiada. – Gdy owoc dojrzewa, kot chudnie. – Cóż to pan wygaduje? – powiadam. – Nic z tego nie rozumiem. – Widzi pan – powiada – nie chcę należeć do zmowy rzeźników podnoszących cenę mięsa dla ubogich ludzi. Panie Weller – powiada, ściskając mi rękę uprzejmie i szepcząc do ucha – panie Weller – powiada – nie powtarzaj pan tego; ale przyprawa to wszystko; wszystkie moje pasztety są z tych szlachetnych zwierząt – powiada wskazując na pięknego kotka. – Przyrządzam je jak wołowinę, cielęcinę albo siekankę, według gustu konsumenta. Lepiej jeszcze – powiada – mogę zrobić wołowinę z cielęciny albo cielęcinę z siekanek, albo z obu baraninę, byle mi na trzy minuty przedtem konsument powiedział, czego sobie życzy.

– Musiał to być człowiek bardzo pomysłowy – rzekł pan Pickwick z lekkim dreszczem.

– O, bardzo! A wyroby miał doskonałe – odrzekł Sam, wypróżniając kosz dalej.

– Ozór, czyli język, to dobra rzecz, jeżeli nie jest to tylko język kobiecy. Chleb, szynka, ładna jak malowanie. Wołowina na zimno. Bardzo dobra. A co tam jest w tych naczyniach, mój ty świszczypało?

– W tym piwo, a w tym zimny poncz – odrzekł chłopak zdejmując z pleców dwa duże dzbany kamienne razem związane sznurem.

– A to mi dopiero śniadanie, gdy tak jedno łączy się z drugim – zaczął znów Sam, z wielkim zadowoleniem oglądając wszystkie specjały. – Teraz niech panowie zaczynają, jak mówili Anglicy do Francuzów, nasadzając bagnety.

Nie potrzeba było drugi raz powtarzać zaproszenia, by towarzystwo oddało sprawiedliwość specjałom, ani nalegać, by Sam, strzelec i dwaj chłopcy zasiedli na murawie w niewielkiej odległości i także zabrali się do jedzenia. Stary dąb udzielał swego miłego cienia obu grupom, przed nimi zaś roztaczał się wspaniały widok pól poprzedzielanych laskami.

– Cudownie! Cudownie tu! – zawołał pan Pickwick, którego wyrazista twarz pod wpływem promieni słonecznych nabrzękła tak, że skóra poczęła na niej pękać.

– Ano tak, tak, stary przyjacielu – rzekł pan Wardle. – A może by tak jeszcze szklaneczkę ponczu?

– Z największą przyjemnością – odparł pan Pickwick, a gdy wypił, twarz mu się rozjaśniła, świadcząc o szczerości odpowiedzi danej panu Wardle’owi. – Dobry! – powtórzył, mlaskając językiem – bardzo dobry! Wypiję jeszcze szklanekę. Smaczny! Bardzo smaczny!... No, panowie! – zawołał następnie, nie puszcżając z rąk dzbana. – Zdrowie naszych przyjaciół z Dingley Dell!

Toast ten spełniono przy głośnych okrzykach.

– Teraz powiem wam, jak się wezmę do tego, by uzyskać zręczność myśliwską – rzekł pan Winkle, zjadając szynkę. – Umieszczę na słupie wypchaną kuropatkę i będę się ćwiczył w strzelaniu do niej, poczynając od krótkich odległości i stopniowo odsuwając się. To wyborny sposób.

– Panie – rzekł Sam – znam pewnego gentlemana, który tak zrobił i który zaczął od czterech kroków; ale nigdy nie mógł postąpić kroku dalej, bo od pierwszego strzału tak dobrze trafił w ptaka, że nie zostało z niego ani piórka.

– Sam! – zawołał pan Pickwick.

– Jestem, panie.

– Bądź tak dobry, zachowaj swe anegdoty, aż dopóki ich od ciebie nie zażądam – rzekł pan Pickwick.

– Dobrze, panie.

Sam umilkł, ale tak komicznie mrugał okiem, niedostatecznie zasłoniętym kuflem piwa, który trzymał przy ustach, że dwóch chłopców opanował konwulsyjny śmiech i sam strzelec raczył uśmiechnąć się.

– Doprawdy, że ten zimny poncz jest doskonały – rzekł pan Pickwick, czule spoglądając na kamienny dzban – a dzień nadzwyczaj gorący i... Tupman, mój kochany przyjacielu, może by tak jeszcze szklaneczkę?

– Bardzo chętnie – odrzekł pan Tupman. Wypiwszy tę szklanekę, pan Pickwick wychylił potem jeszcze drugą, dlatego tylko, by przekonać cię, czy nie ma w ponczu pomarańczowych skórek, bo od pomarańczowych skórek zawsze mu się robi niedobrze. Przekonawszy się, że ich w ponczu nie było, wypił znów szklanekę za zdrowie pana Snodgrassa; potem czuł się w obowiązku wznieść toast na cześć nieznanego fabrykanta ponczu.

Ten szereg szklanek ponczu wywarł widoczny wpływ na mędrca. Oblicze jego jaśniało najszczerzą radością; uśmiech igrał na ustach, dobry humor skrzył się w oczach. Ulegając stopniowo skombinowanemu wpływom podniecającego płynu i gorąca, zapragnął koniecznie przypomnieć sobie pewną pieśń, którą słyszał będąc dzieckiem; a że próżne były wszelkie jego w tej mierze usiłowania, musiał odświeżyć sobie pamięć jeszcze kilkoma szklankami, co wywarło skutek wręcz przeciwny, bo nie tylko nie przypomniał sobie pieśni, ale nie mógł sobie też przypomnieć żadnego artykułowanego dźwięku. W końcu, gdy z trudem stanąwszy na nogach, począł wypowiadać wzruszającą mowę do zebranych, nagle upadł na taczki i natychmiast zasnął.

Kosz zapakowano z powrotem, ale przekonano się, że niepodobieństwem jest rozbudzić pana Pickwicka. Naradzano się, czy Sam ma go dalej wieźć uśpionego, czy też lepiej pozostawić go na miejscu aż do powrotu z polowania. W końcu zgodzono się na to ostatecznie, a ponieważ zamierzano polować tylko godzinę, Sam zaś bardzo nalegał, by go wzięto, urządzono, że pan Pickwick pozostanie w taczkach, a potem weźmie się go do domu. Towarzystwo oddaliło się więc, a filozof nasz najspokojniej chrapał w cieniu dębu.

Że pan Pickwick byłby chrapał w cieniu aż do powrotu swych przyjaciół, albo też, że byłby chrapał, aż mroki wieczora położyłyby się na łące, zdaje się, nie ulega wątpliwości,

o ile przyjmujemy, że mógłby to uczynić bez przeszkody. Lecz tak się niestety nie stało. Złożyło się inaczej.

Kapitan Boldwig był to mały, gwałtowny człowieczek w niebieskim surducie, zapiętym aż po sam podbródek, wznoszący się nad czarnym stojącym kołnierzem. Gdy raczył przechadzać się po swojej posiadłości, czynił to zawsze w towarzystwie wielkiej laski z ołowianą gałką oraz ogrodnika i jego pomocnika, współzawodniczących z sobą w płaszczeniu się przed panem. Tej to (ekipie, nie lasce) wydawał kapitan Boldwig rozkazy szorstko i z należyтым poczuciem własnej dostojności. Siostra bowiem żony kapitana była za markizem, więc dom jego nazywał się willą, jego pola – majątkiem ziemskim i wszystko u kapitana było bardzo wielmożne, bardzo imponujące i bardzo pańskie.

Zaledwie upłynęło pół godziny od czasu, jak pan Pickwick zasnął, gdy nadszedł mały kapitan ze swą eskortą, robiąc tak wielkie kroki, na jakie pozwalały mu krótkie nogi i wielkie poczucie dostojności. Stanąwszy pod dębem, wydał policzki bardzo pańsko i wypuścił z nich powietrze niezmiernie dostojnie, potem zaś spojrzął po okolicy, jakby okolica powinna była być niezmiernie uradowana tym, że on na nią patrzy; wreszcie, uderzywszy mocno kijem o ziemię, przywołał ogrodnika.

– Hunt! Wywałkować jutro ten trawnik.

– Słucham jaśnie wielmożnego pana.

– I trzymać to miejsce w porządku.

– Słucham jaśnie wielmożnego pana.

– I przypomnij mi, by umieścić tu tablicę z napisem grożącym żelazami na wilki każdemu, kto ośmieli się chodzić po moim gruncie. Rozumiesz?

– Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

– Przepraszam jaśnie wielmożnego pana – rzekł pomocnik ogrodnika, podchodząc z kapeluszem w rękę.

– Co tam, Wilkins?

– Zdaje mi się, jaśnie wielmożny panie, że tu dziś byli jacyś ludzie.

– A! – zawołał kapitan, rzucając dokoła gniewne spojrzenie.

– Tak, jaśnie wielmożny panie, sądzę, że jedli tu obiad.

– Diabli! Tak jest! – krzyknął kapitan, ujrawszy skórki chleba na trawie. – Żarli tu, na moim gruncie! A, wagabundy! Gdybym ich złapał!...

– Przepraszam jaśnie wielmożnego pana, ale... ale...

– Ale co? – ryknął kapitan. Idąc za nieśmiałym wzrokiem Wilkinsa, ujrzał taczki, a w nich pana Pickwicka.

– Coś za jeden, łotrze?! – spytał kapitan, dźgając pana Pickwicka grubą lachą. – Jak się nazywasz?

– Zimny poncz! – mruknął pan Pickwick i znowu usnął.

– Co?! – krzyknął kapitan.

Milczenie.

– Jak powiedział, że się nazywa? – spytał kapitan.

– Zdaje się, że Poncz – odrzekł Wilkins.

– To bezczelność, bezczelna zuchwałość! – powiedział kapitan Boldwig. – Teraz udaje, że śpi! – mówił dalej w największej

pasji. – Upił się. Pijany cham. Odwieź go, Wilkins, odwieź go natychmiast!

– Gdzie go mam zatoczyć, psze pana? – nieśmiało spytał Wilkins.

– Do wszystkich diabłów! – ryknął kapitan.

– Słucham – powiedział Wilkins.

– Stój! – zawołał kapitan.

Wilkins zatrzymał się.

– Zatocz go do zagrody, gdzie się zapędza zajęte bydło, a zobaczymy, czy się nazywa Poncz. Nie pozwolę drwić z siebie – nie, nie pozwolę drwić. Zabrać go.

Wskutek tego dyktatorskiego zlecenia zabrano pana Pickwicka, a kapitan Boldwig, pełen oburzenia, poszedł dalej.

Ogromne było zdziwienie naszych myśliwych, gdy powróciwszy ujrzeli, że pan Pickwick znikł i nawet zabrał z sobą taczki. Był to najbardziej tajemniczy i niepojęty fakt, o jakim kiedykolwiek słyszano. Byłoby już dość dziwne, gdyby kulawy człowiek nagle wstał i poszedł; ale gdyby się okazało, że ot tak, dla zabawy, pcha przed sobą ciężkie taczki – wydawałoby się to niemal cudem. Przeszukali każdy kąt, razem i w pojedynkę; wołali, krzyczeli, śmiali się, hukali – wszystko bez rezultatu. Ani śladu pana Pickwicka. Po kilku godzinach bezowocnych poszukiwań doszli do wniosku, że muszą wrócić do domu bez niego.

Tymczasem naszego filozofa, głęboko uspięnego w taczkach, zatoczono do wsi i umieszczono w ogrodzeniu w towarzystwie rozmaitych zwierząt. Wszyscy chłopcy wiejscy i trzy czwarte mieszkańców okrzykiwały go czekając, aż się obudzi. Ich niezmiernie zadowolone, jakie odczuwali, gdy patrzyli, jak mędrca toczono, jeszcze się zwiększyło, gdy ten, krzyknąwszy kilkakrotnie, by przywołać Sama, usiadł następnie w taczkach i spojrzął z trudnym do opisanego zdziwieniem na rozweselone twarze otaczających go ludzi.

Ogólny wybuch śmiechu powitał jego przebudzenie, pytanie zaś: – Gdzie jestem? – wywołało nowy wybuch, jeszcze głośniejszy, o ile to było możliwe.

– To ci zabawa! – ryczał tłum.

– Gdzie jestem?! – zawołał Pan Pickwick.

– W zagrodzie dla bydła! – wrzasnęła hałastra.

– W jaki sposób się tu dostałem?! Co zrobiłem? Skąd mię przywieźli?!

– Boldwig! Kapitan Boldwig! – brzmiała jedyna odpowiedź.

– Zabierzcie mnie stąd! – wołał filozof. – Gdzie mój służący? Gdzie moi przyjaciele?

– Nie masz pan przyjaciół! Hura! – I najpierw rzępa, potem parę ziemniaków, potem jajo, potem kilka innych drobnych przedmiotów dały wyraz wesołości wielogłowego tłumu.

Trudno odgadnąć, jak długo trwałaby ta scena i ile by ucierpiał pan Pickwick, gdyby nagle hałas powozu toczącego się drogą nie zwrócił powszechnej uwagi. Powóz zatrzymał się przy zagrodzie, a stary Wardle i Sam wysiedli z niego. Pierwszy utorował sobie drogę do pana Pickwicka prędzej, niżby to opisać i przeczytać było można, po czym usadowił go w powozie, drugi staczał tymczasem walkę z miejscowym strażnikiem.

– Biegnijcie po wójta! – krzyknęło około tuzina głosów.

– Aha! Biegnijcie! – odpowiedział Sam wskakując na kozioł – a pokłońcie mu się ode mnie, od pana Wellera, powiedzcie, że mu nadwerżył strażnika i że jak sobie sprawi nowego, to mu i tego uszkodzę. Bywajcie zdrowi!

– Jak tylko przyjadę do Londynu, rozpocznę kroki przeciwko kapitanowi Boldwigowi o bezprawne zatrzymanie – rzekł pan Pickwick, gdy powóz skierował się ku miastu.

– Zdaje mi się, żeśmy przekroczyli granice jego posiadłości – rzekł pan Wardle.

– Nic mię to nie obchodzi. Zaskarżę kapitana.

– Nie zrobisz tego – rzekł Wardle.

– Owszem, jakim... – ale ponieważ oblicze pana Wardle'a miało wyraz żartobliwy, pan Pickwick zmitygował się i spytał: – A dlaczego?

– Ponieważ oni mogliby zwrócić ostrze przeciwko niektórym z nas – rzekł pan Wardle, z trudem wstrzymując śmiech. – I okazałoby się, że niektórzy nadużyli zimnego ponczu.

Wbrew woli pana Pickwicka, uśmiech rozjaśnił jego oblicze. Uśmiech przeszedł w śmiech, śmiech w ryk, a ryk w powszechny ryk. Chcąc zachować dobry humor zatrzymali się w pierwszej przydrożnej gospodzie, zamówili po szklance brandy z wodą dla każdego, a jedną szczególnie mocną dla Sama.

## Rozdział dwudziesty

*z którego przekonywamy się, że pp. Dodson i Fogg znajdują się na interesach, w którym znajduje się czuły opis spotkania Samuela Wellera z ojcem, od dawna nie widzianym; rozdział ten pokazuje również, jak wytworne towarzystwo zbierało się „Pod Sroką i Ogarkiem” i że następny rozdział będzie doskonały*

W parterowym pokoju ponurego domu w głębi Freeman Court w Cornhill siedziało czterech dependentów pp. Dodsona i Fogg, oskarżycieli prywatnych Jej Królewskiej Wysokości przy westminsterskim sądzie Bench i Common Pleas oraz adwokatów przy Wysokim Sądzie. Wzmiankowani dependenci mieli w ciągu dnia tyleż sposobności do oglądania słońca, ile jej może mieć człowiek siedzący na dnie wcale głębokiej studni. Byli jednak pozbawieni możliwości oglądania gwiazd wśród dnia, co gwarantuje tamta wyjątkowa sytuacja.

Pokój dependentów pp. Dodsona i Fogg był ciemny, ponury i czuć w nim było wilgoć. Przepierzenie broniło dependentów od zetknięcia się z gawiedzią. W pokoju znajdowało się kilka starych krzeseł drewnianych, stojak na parasole, haki do wieszania kapeluszy, parę półek, na nich pliki brudnych papierów, kilka starych pak sosnowych z papierowymi etykietami i całe baterie flaszek atramentu rozmaitego kształtu i wielkości. Szklane drzwi wychodziły na pasaż w dziedzińcu. Za tymi drzwiami ukazał się pan Pickwick w towarzystwie Sama Wellera. Było to w piątek po wypadkach wiernie opisanych w poprzednim rozdziale.

– Czemu nie wchodzić? – odpowiedział jakiś głos zza przepierzenia na delikatne pukanie pana Pickwicka. Pan Pickwick i Sam Weller weszli posłusznie.

– Czy panowie Dodson i Fogg są u siebie? – zapytał uprzejmie pan Pickwick podchodząc w kierunku przepierzenia, z kapeluszem w rękę.

– Pana Dodsona nie ma, a pan Fogg jest bardzo zajęty – odpowiedział głos. Głowa z piórem za uchem, do której ów głos należał, spojrziała sponad przepierzenia na pana Pickwicka.

Głowa ta była rozczochrana. Włosy barwy piasku, skrupulatnie przedzielone i wygłansowane pomadą, w drobnych kosmykach spadały na twarz płaską, ozdobioną małymi oczkami, a ujętą w brudny kołnierzyk oraz wymorusany halsztuk.

– Pana Dodsona nie ma w domu, a pan Fogg jest bardzo zajęty – powtórzył człowiek, do którego należała głowa.

– Kiedy pan Dodson powróci? – spytał pan Pickwick.

– Nie wiem.

– A pan Fogg czy długo będzie zajęty?

– Nie mogę powiedzieć.

Tu człowiek poprawił z rozmachem pióro, drugi zaś dependent, który właśnie mieszał proszek Seidlitz'a pod biurkiem, roześmiał się z uznaniem.

– Chyba zaczekam – powiedział pan Pickwick. Nie odpowiedziano mu. Więc usiadł nie proszony i słuchał głośnego cykania zegara i przyciszonej rozmowy dependentów.

– Pyszna heca, co? – powiedział jeden z gentlemanów w brązowej kurtce z guzikami, konkludując w ten sposób jakieś opowiadanie o przygodzie z poprzedniego wieczora.

– Bycza! Bycza! – dodał człowiek mieszejący proszek Seidlitz'a.

– Tom Cummins przydykował – ciągnął człowiek w brązowej kurtce. – Było w pół do czwartej, kiedy zajechał do Somers Town tak straszliwie wstawiony, że nie mogłem znaleźć dziurki od klucza i musiałem dzwonić na starą. Ciekaw jestem, co by stary Fogg zrobił, gdyby się o tym dowiedział, co? Miałbym się z pyszna, co?

Na samo to przypuszczenie dependencji roześmiali się chórem.

– Miałem tu dziś rano hecę z Foggiem – powiedział człowiek w brązowej kurtce. – Kiedy Jack porządkował papiery na górze, wy obaj poszliście do urzędu stemplowego, a Fogg czytał tutaj listy, wszedł ten drab, któremu posłaliśmy pozew w sprawie Camberwella – wiecie, o kim mówię? Jakże mu tam?

– Ramsey – powiedział dependent, który rozmawiał z panem Pickwickiem.

– Ach, Ramsey, stary wyga! – Panie – mówi Fogg, patrząc na niego dumnie, a wiecie, jak umie patrzeć! – Tak – mówi Ramsey, wkładając rękę do kieszeni i wyciągając z niej pieniądze. – Dług dwa funty pięć, koszty trzy funty dziesięć – proszę! – i sapnął jak miech, kładąc pieniądze zawinięte w skrawek papieru. Stary Fogg spojrzał najpierw na pieniądze, później na niego, a potem odchrząknął we właściwy sobie sposób. Wiedziałem, że coś będzie. – Czy pan nie wie, że wypełniliśmy deklarację, co podnosi kosztą rzeczywiste? – Niech pan tego nie mówi! – zawołał Ramsey, cofając się. – Termin upłynął dopiero wczoraj wieczorem! – Owszem, mówię to! – rzekł Fogg. – Prawda, panie Wicks, że pan Jackson poszedł wypełnić deklarację w sprawie Bullman-Ramsey. – Oczywiście, odpowiedziałem, że tak. Fogg odchrząknął i spojrzał na Ramseya. – Mój Boże – odpowiedział Ramsey. – A ja zrobiłem szalony wysiłek, aby wydobyć te trochę pieniędzy, i wszystko na próżno! – Nie na próżno – odpowiedział Fogg zimno. – Radzę panu trochę jeszcze pogrzebać, jeszcze trochę wydobyć i wrócić tu na czas! – Nie mogę więcej

wydobyć – odpowiedział Ramsey, uderzając pięścią w stół. – Tylko niech mi pan nie grozi! – mówi Fogg udając, że wpada w gniew. – Wcale panu nie grożę! – odpowiada Ramsey. – Owszem, grozi pan! Proszę wyjść, proszę wyjść z biura i wrócić wtedy, kiedy nauczy się pan odpowiednio zachowywać! – Ramsey jeszcze chciał coś powiedzieć, ale Fogg nie dał mu przyjść do słowa, więc schował pieniądze do kieszeni i wyszedł. Tylko tamten wyszedł, Fogg zwraca się do mnie ze słodkim uśmiechem i wyjmuje deklarację z kieszeni. – Słuchaj, Wicks – mówi Fogg – weź dorożkę, jedź do Temple, jak możesz najprędzej, i wypełń deklarację! Koszta są prawie pewne. To człowiek solidny, ma dużą rodzinę i zarabia 25 szylingów tygodniowo. Jeżeli nie będzie chciał zapłacić, to zapłacą za niego jego własni czeladnicy. Musimy z niego wyciągnąć, ile się da, panie Wicks! To po prostu chrześcijański uczynek, panie Wicks! Mając tak dużą rodzinę i nędzne dochody, będzie na przyszłość ostrożniejszy w pożyczaniu. Prawda, panie Wicks? – I, wychodząc, uśmiechnął się tak dobrodusznie, że aż przyjemnie było na niego patrzeć. – To doskonały businessman! – rzekł Wicks tonem najgłębszego podziwu. – Doskonały, nieprawdaż?

Trzech innych jak najchętniej zgodziło się na tę opinię, a opowiadanie podobało im się niezmiernie.

– Mili chłopcy – szepnął pan Weller do swojego pana. – Ładnie się tu bawią.

Pan Pickwick skinął głową potakująco i chrząknął, aby zwrócić na siebie uwagę młodych gentlemanów za przepierzeniem. Ci, ulżywszy sobie rozmową między sobą, postanowili zwrócić nieco uwagi na przybyłych.



– Ciekaw jestem, czy Fogg już wolny – powiedział Jackson.  
– Zobaczę – odparł Wicks, lekko zeskakując z krzesła. – Kogo mam oznajmić?  
– Pickwick – odpowiedział znakomity bohater tych przygód. Jackson poszedł na górę i natychmiast wrócił oznajmiając, że pan Fogg przyjmie pana Pickwicka za pięć minut. Dokonawszy tego wrócił do swego biurka.

– Powiedział, że jak się nazywa? – spytał Wicks.

– Pickwick – odpowiedział Jackson. – Oskarżony w sprawie Pickwick *contra* Bardell. Szuranie nogami, zmieszane ze stłumionym śmiechem, dało się słyszeć za przepierzeniem.

– Panie – odezwał się Sam cicho. – Biorą pana na fundusz!

– Biorą na fundusz? Co to znaczy? – zapytał pan Pickwick. Za całą odpowiedź Sam wskazał palcem na przegrodę, a pan Pickwick podniósłszy głowę przekonał się o prawdziwości faktu: czterej dependenci spoglądali na niego wesoło, z wielkim zainteresowaniem przypatrując się postawie i rysom tego Iowelasa, tego wielkiego burzyciela spokoju serc niewieścich... Lecz skutek ruchu pana Pickwicka cztery głowy znikły, po czym bezwzględnie dało się słyszeć skrzypienie piór suwanych po papierze z niezmienną szybkością.

Odgłos dzwonka przywołał jednego z dependentów do apartamentu pana Fogg. Wkrótce oznajmiono panu Pickwickowi, że adwokat może go przyjąć.

Pan Pickwick poszedł po schodach. Na pierwszym piętrze na jednych z drzwi wypisane było olbrzymimi literami to imponujące słowo: Fogg. Jackson zapukał i na wezwanie: – Wejść! – wprowadził pana Pickwicka do pokoju.

– Czy pan Dodson powrócił? – zapytał Fogg.

– W tej chwili powrócił!

– Poproś go pan do mnie.

– Zaraz, panie – odpowiedział Jackson i wyszedł.

– Proszę siadać – rzekł następnie pan Fogg do pana Pickwicka. – Oto dzisiejsze dzienniki. Mój wspólnik przyjdzie za chwilę i pomówimy o sprawie.

Pan Pickwick usiadł, ale zamiast czytać dzienniki, zaczął przypatrywać się adwokatowi. Był to człowiek już w starszym wieku, o pociągłej twarzy, jarosz, w czarnym surducie, ciemnych spodniach i krótkich czarnych kamaszkach, słowem – istota, która, zdawało się, stanowiła integralną część biurka, przy którym siedziała, i która czuła i myślała tyle właśnie co ono. Po upływie kilku minut wszedł pan Dodson, osoba otyła i barczysta, o ostrym spojrzeniu i doniosłym głosie. Rozmowa zaczęła się natychmiast.

– Pan Pickwick – rzekł pan Fogg do swego wspólnika.

– A! Oskarżony w procesie Bardell *contra* Pickwick.

– Tak jest – odrzekł filozof.

– Co pan nam proponuje? – zapytał Dodson.

– A! – zawołał Fogg, wkładając ręce do kieszeni i rzucając się na krzesło. – Co pan proponuje, panie Pickwick?

– Cicho, Fogg – powiedział Dodson. – Niech pan Pickwick mówi.

– Przyszedłem tu – odrzekł mędrzec, spoglądając łagodnie na obu – przyszedłem tu, by wynurzyć panom wielkie zdumienie, jakiego doznałem otrzymawszy ich list, i zapytać, jaki może być powód procesu przeciwko mnie?

– Powód?! – zaczął Fogg, ale powstrzymał go Dodson.

– Panie Fogg – powiedział Dodson. – Ja mówię.

– Przepraszam pana, panie Dodson – powiedział pan Fogg.

– Jaki powód? – spytał pan Dodson, przybierając minę wysoce moralną. – O powód niech pan spyta własne sumienie. My rządymy się wyłącznie oświadczeniami naszej klientki. Oświadczenia te mogą być fałszywe lub prawdziwe. Wiarogodne lub niewiarogodne. Jeżeli są prawdziwe, to są tym samym wiarogodne; nie waham się oznajmić panu,

że podstawy naszego oskarżenia są mocne i nie dam nimi wstrząsnąć! Pan może być człowiekiem albo bardzo nieszczęśliwym, albo bardzo przewrotnym. Ale gdyby mię pod przysięgą, jako sędziego, spytano, co o tym sędzę, mógłbym powiedzieć tylko jedno. – Tu Dodson, z miną obrażonej cnoty, wyprostował się całą swą postacią, po czym spojrzał na Fogga, który wsadził głębiej ręce do kieszeni i potrząsając głową powiedział z miną mędrca: – Naturalnie!

– Otóż, panie – powiedział pan Pickwick, a wyraz bóleści wykrzywił jego rysy – zapewniam pana, że mam tylko ogromnego pecha, przynajmniej w tej sprawie!

– Mam nadzieję, że tak – powiedział Dodson. – Spodziewam się, że tak. Jeżeli pan jest rzeczywiście niewinny w tej sprawie, jest pan najbardziej pechowym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Cóż pan na to, panie Fogg?

– Jestem pańskiego zdania – powiedział pan Fogg, uśmiechając się niedowierzająco.

– Pozew dotyczący tej sprawy – ciągnął Dodson – wydany został według przepisów. Panie Fogg, gdzie księga *Praecipe* ?

– Proszę – powiedział pan Fogg podając wielką księgę oprawną w pergamin.

– Oto początek – podjął Dodson – Middlesex. Capias Marta Bardell, wdowa, *contra* Samuel Pickwick. Odszkodowanie 1500 funtów. Dodson i Fogg. Sierpień 28. 1830. Wszystko w porządku, panie! – Dodson odkaslnął i spojrzał na Fogga, który powtórzył: – W porządku! – po czym obaj spojrzeli na Pickwicka.

– Więc panowie chcecie dać mi do zrozumienia, że rzeczywiście zamiarem ich jest wytoczyć mi proces?

– Dać panu do zrozumienia? Oczywiście! – powiedział Dodson, niemal uśmiechając się, o ile pozwalała mu na to jego powaga.

– I że odszkodowanie obliczono na 1500 funtów? – ciągnął pan Pickwick.

– Pozwoli pan, że dodam – odpowiedział Dodson – iż gdyby to od nas zależało, powiększylibyśmy tę sumę trzykrotnie.

– Zdaje mi się, że pani Bardell powiedziała wyraźnie – rzucił Fogg, spoglądając na Dodsona – iż nie zgodzi się na mniejszą sumę.

– Niewątpliwie – surowo potwierdził Dodson. Rozpoczęli dopiero akcję i kompromis był im nie na rękę, nawet gdyby pan Pickwick zdradził ochotę do ustępstw.

– Ponieważ nie proponuje pan żadnych warunków – powiedział Dodson, wygładzając prawą ręką kartę pergaminu, a lewą machając przed panem Pickwickiem papierową kopią – służę panu pozwem. Oto oryginał, panie!

– Bardzo dobrze, panowie, bardzo dobrze – powiedział pan Pickwick, którego osoba i gniew powstały jednocześnie. – Mój adwokat odpowie panom.

– Bardzo nam będzie miło – powiedział Fogg zacierając ręce.

– Bardzo! – dodał Dodson otwierając drzwi.

– Ale zanim odejdę, panowie – mówił podniecony pan Pickwick, odwracając się od drzwi – pozwolę sobie powiedzieć, że ze wszystkich kruczków haniebnych i niegodnych...

– Za pozwoleniem! Zaraz! – zawołał Dodson z wielkim ugrzecznieniem. – Panie Wicks, panie Jackson!

– Jesteśmy – odpowiedzieli obaj dependenci.

– Chciejcie tylko wysłuchać, co gentleman mówi – powiedział Dodson. – A więc mówi pan, że ze wszystkich kruczków haniebnych i niegodnych...

– Tak jest, panie – mówił pan Pickwick, bardzo rozgniewany – ze wszystkich haniebnych, jakie wynajdują ludzie bez czci i wiary, ten kruczek jest najhaniebniejszy i najniegodniejszy. Powtarzam to.

– Czy słyszy pan, panie Wicks? – zapytał Dodson.

– Nie zapomni pan, panie Jackson? – dodał Fogg.

– Może zechce pan nazwać nas oszustami? – powiedział Dodson. – Owszem, panie, jeżeli mu to zrobi przyjemność!

– Tak – powiedział Pickwick. – Jesteście oszuści!

– Bardzo dobrze – powiedział pan Dodson. – Mam nadzieję, że pan słyszał, panie Wicks?

– O tak, panie! – odpowiedział Wicks.

– Może pan zechce pozwolić sobie na więcej? – dodał Fogg. – Prosimy! Prosimy! Pozwól pan sobie! Może zechcesz pan nazwać nas złodziejami albo znieważać czynnie kogoś z nas? Owszem, jeżeli to tylko zrobi panu przyjemność! Nie będziemy stawiać oporu! Prosimy, prosimy!

Ponieważ Fogg stanął w sposób nader kuszący, blisko zaciśniętych pięści pana Pickwicka, jest wielce prawdopodobne, że filozof uległby jego namowom, gdyby Sam, słysząc całą poprzednią rozmowę, nie wbiegł po schodach i nie schwycił swego pana za rękę.

– Niech pan da spokój! – powiedział. – Wolant to doskonała gra, ale nie z prawnikami, chyba że pan jest rakieta, a oni piłką! Chodźmy, proszę pana! Jeżeli chcesz pan ulżyć swemu sercu, to wyjdźmy na dziedziniec i niech pan mnie wyszturcha. Bo z prawnikami to za kosztowna zabawa!

To mówiąc, Sam bez ceremonii wyprowadził pana Pickwicka na podwórze, a potem na Comhill, zdecydowany iść za swoim panem, gdzie ten mu każe.

Pan Pickwick szedł bezmyślnie. Minął Mansion House i skierował się do Cheapside. Sam Weller zaczął się już dziwić, dokąd zmierzają, kiedy pan Pickwick odezwał się:

– Idę natychmiast do pana Perkera, Sam!

– Właśnie tam powinniśmy byli iść już wczoraj! – odezwał się Sam.

– Zdaje mi się! – powiedział pan Pickwick.

– Jestem tego pewny! – powiedział Sam.

– Dobrze, dobrze, Samie – powiedział pan Pickwick. – Zaraz tam pójdziemy, ale ponieważ zirytowałem się, chciałbym więc przedtem napić się grogu. Gdzie by to znaleźć, Samie?

Sam Weller posiadał niezwykłą i wyjątkową znajomość Londynu. Odpowiedział bez wahania:

– Drugi dziedziniec na prawo, ostatni dom po tej samej stronie; radzę panu zająć stolik przy kominku, nie ma nóg w środku, jak wszystkie inne – to jest bardzo niewygodne.

Według tych wskazówek pan Pickwick poszedł do oberży. Podano mu grog; Sam usiadłszy w przyzwyczajonej odległości przy tym samym stole, otrzymał kufel portera.

Sala, w której się znaleźli, była bardzo skromnie umeblowana i wyglądała, jakby była pod specjalną opieką stangretów od dyliżansów; wielu gentlemanów, należących do tej uczzonej profesji, piło tam i paliło fajki. Pomiędzy nimi znajdował się pewien mężczyzna, otyły i czerwony, w starszym już wieku.

Siedział on naprzeciw pana Pickwicka i zwrócił jego uwagę. Otyły człowiek palił fajkę z wielką gwałtownością, a zawsze po sześciu pociągnięciach wyjmował ją z ust i przypatrywał się naprzód Samowi, a potem panu Pickwickowi, po czym zanurzał twarz w półkwaterek i wlewał w siebie z niego tyle, ile półkwaterek zawierał. Dokonawszy tego, znów przypatrywał się Samowi i panu Pickwickowi. Po chwili znów pociągnął z fajeczki – jakie sześć razy – zamyślał się i znów patrzył na Sama i na pana Pickwicka. Wreszcie otyły człowiek, położywszy nogi na krześle, oparł się plecami o mur i nie przestając pykać fajki, wpatrywał się w nowo przybyłych, jak gdyby chciał ich najdokładniej wystudiować.

Ewolucje otyłego mężczyzny zrazu uszły uwagi Sama: ale widząc, że oczy pana Pickwicka od czasu do czasu zwracają się ku nieznanemu, i on też począł mu się przypatrywać, po chwili jednak przysłonił oczy ręką, jak gdyby, poznawszy po części przedmiot, który miał przed sobą, chciał upewnić się o jego tożsamości. Ale wkrótce rozwiały się jego

wątpliwości, gdyż otyły mężczyzna, puściwszy gęsty dym spoza potężnego szala, okręcającego mu szyję, odezwał się głosem ochrypłym, jakby próbując bruchomówstwa:

– No i cóż, Sammy?

– Kto to jest, Samie? – zapytał pan Pickwick.

– Nigdy bym temu nie uwierzył, panie – odrzekł Sam, szeroko otwierając oczy – to stary.

– Stary! – zaczął znowu pan Pickwick. – Jaki stary?

– Mój ojciec, panie. Jak się masz, mój antyku?

Po tym czułym wynurzeniu synowskich uczuć Sam zrobił na ławie koło siebie miejsce dla otyłego człowieka, który zasiadł z fajką w ustach i kuflem w rękę.

– No, Sammy – rzekł ojciec – nie widziałem cię od dwóch lat.

– Tak, tak, stary zuchu. A jak się ma macocha?

– Macocha, Sammy, powiem ci – rzekł pan Weller senior głosem bardzo uroczystym – powiem ci, że świat nie widział miłszej osoby nad nią, jak długo była wdową – bo już jestem przecież jej drugim mężem. Miła to była istota, Sammy, i dziś tyle mogę powiedzieć, że ponieważ była z niej arcymiła wdówka, to wielka szkoda, że zmieniła stan. Na żonę niezdatna, Sammy.

– Ba! Czy tak? – zapytał Weller junior. Weller senior pochylił głowę i uśmiechnął się.

– Za drugim razem nie udała mi się sztuka, Sammy, nie udała się za drugim razem. Bierz przykład z twojego ojca, mój chłopcze, i dopóki żyjesz, wystrzegaj się wdów, zwłaszcza trzymających oberże, Sammy.

Udzieliwszy z wielkim namaszczeniem takiej ojcowskiej rady, Weller senior wydobyl z kieszeni blaszaną puszkę, nabił sobie fajkę, zapalił ją od ognia z poprzedniej fajki i począł pykać z wielką gwałtownością.

Po długiej pauzie zwrócił się do pana Pickwicka w tej samej materii.

– Z przeproszeniem szanownego pana, ale mniemam, że nie dotknę pana osobiście; czyś pan nie zahaczył o jaką wdowę?

– Jeszcze nie – odrzekł pan Pickwick, uśmiechając się. Tymczasem Sam objaśnił ojcu na ucho swój stosunek do filozofa.

– Z przeproszeniem szanownego pana – rzekł Weller uchylając kapelusza – spodziewam się, że nie ma pan powodu, aby być niezadowolonym z Sammy’ego?

– Najmniejszego – odrzekł pan Pickwick.

– To mnie bardzo cieszy, panie. Wiele pracowałem nad jego edukacją, panie. Wypuszczałem go na ulicę, gdy jeszcze był małym bębem, aby sam umiał sobie radzić. To jedyny sposób, by młody człowiek nabrał rozumu.

– Sądziłbym, że trochę niebezpieczny – zauważył pan Pickwick z uśmiechem.

– I nie bardzo pewny – dodał Sam – niedawno przekonałem się o tym.

– Nie może być?! – rzekł ojciec.

– Tak jest! – odrzekł syn i jak można najkrócej opowiedział, jak go Trotter wyprowadził w pole.

Weller słuchał tego opowiadania z największą uwagą; gdy je skończył, zapytał:

– Czy jednym z tych klejnotów nie będzie mężczyzna chudy, z czarnymi włosami i galopującą wymową?

Pan Pickwick nie bardzo zrozumiał ten rysopis, ale na wszelki wypadek powiedział, że tak.

– Drugi urwis, z ogromną głową, ma fioletową liberię?

– Tak, tak! To oni! – zawołali razem pan i sługa.

– W takim razie wiem, gdzie się wśrubowali. Obaj znajdują się teraz w Ipswich i dobrze się mają.

– Nie może być! – zawołał z kolei pan Pickwick.

– To fakt – odrzekł Weller – a oto, jak się o tym dowiedziałem. Od czasu do czasu zastępuję jednego kolegę, jeżdżącego do Ipswich. Właśnie jechałem tam, nazajutrz po nocy, kiedy pan złapałeś reumatyzm. „Pod Murzynkiem” w Chelmsford przyjąłem ich, bo tam się zatrzymali, i powiozłem prościutko do Ipswich. Tam, powiedział mi fioletowy fagas, mają mieszkać przez dłuższy czas.

– Pojadę za nimi! – zawołał pan Pickwick.

– A czy jesteś pewny, mój gubernatorze – rzekł Sam do ojca – że to są oni?

– Najpewniejszy, Sammy. Raz, że to są szczególnie ludzie, a po wtóre, że dziwiła mnie poufalskość gentlemana z jego sługą. Więcej jeszcze: siedzieli zaraz za mną i słyszałem, jak cieszyli się, że wyfrycowali jakiegoś starego pryka!

– Starego kogo? – zapytał pan Pickwick.

– Starego pryka, panie, i w mózgowicy mojej widzi mi się, że to o panu była mowa.

Właściwie nie ma nic krzywdzącego w wyrażeniu „stary pryk”, ale w każdym razie nie jest to wyrażenie oznaczające wielki szacunek. Wszystkie przykrości, jakich doznał od pana Jingle’a, przyszyły na myśl panu Pickwickowi podczas opowiadania Weller. Teraz już lada piórko mogło przechylić szalę, i „stary pryk” to sprawił.

– Pojadę za nimi! – zawołał filozof, uderzając pięścią w stół.

– Pojutrze jadę do Ipswich, panie – rzekł Weller – dylizans odchodzi spod „Byka” w Whitechapel. Jeżeli pan chce jechać, to najlepiej jechać ze mną.

– Bardzo dobrze – odrzekł pan Pickwick. – Napiszę do moich przyjaciół, by także tam przyjechali. Ale nie odchodź pan tak prędko, panie Weller. Może pan jeszcze czego się napije?

– Pan bardzo łaskaw – odrzekł Weller, zatrzymując się. – Można by kieliszek wódki za zdrowie szanownego pana i za pomyślność Sama.

– Pewnie, że można by – zawołał pan Pickwick. – Jedna wódka!

Przyniesiono żądany napój i pan Weller, uprzejmie skinąwszy Pickwickowi i kiwnąwszy na Sama, wlał zręcznie do gardła spory kielich tak, jakby nie był on większy od naparstka.

– Doskonale wykonane, papo! Ale musisz być ostrożny, stary zuchu, bo złapiesz podagrę.

– Na podagrę wynalazłem niezawodne lekarstwo – odrzekł Weller, stawiając kieliszek na stole.

– Niezawodne lekarstwo na podagrę! – zawołał pan Pickwick, szybko wydobywając swój notatnik. – Cóż to za lekarstwo?

– Podagra, panie, jest to choroba powstająca z wielkich wygod i komfortu. Jeżeli pan dostanie kiedy napadu podagry, niech pan natychmiast ożeni się z wdową o pięknym mocnym głosie, umiejacą nim należycie władać – podagra zniknie bez śladu. To kapitalny przepis, panie. Używam go regularnie i zaręczam, że usuwa wszelkie choroby wynikające z nadmiaru wesołego życia.

Po udzieleniu tego nieocenionego sekretu Weller raz jeszcze wypróżnił kielich, mrugnął okiem, westchnął głęboko i wyszedł.

– No, Samie, co myślisz o tym, co mówił twój ojciec? – zapytał pan Pickwick z uśmiechem.

– Co myślę, panie? Myślę, że mój ojciec jest ofiarą małżeństwa, jak ze łzami w oczach mówił kapelan Sinobrodego, kiedy go grzebał.

Trudno było znaleźć odpowiedź na te słowa, wobec tego pan Pickwick skierował się do Gray’s Inn. Ale zanim tam dobrnął, wybiła godzina ósma. Niepowstrzymany potok gentlemanów w brudnych białych kapeluszach i zniszczonych ubraniach, płynący do wszystkich wyjść, uświadomił go, że większość tych biur już zamknięto.

Wdrapawszy się na dwie kondygnacje bardzo brudnych schodów, pan Pickwick przekonał się o słuszności swoich przypuszczeń. Drzwi kancelarii pana Perkera były zamknięte. Śmiertelna cisza, która była jedyną odpowiedzią na liczne pukania Sama Wellera, oznajmiła im, że dependenci już się rozeszli.

– A to przyjemność, Samie! – powiedział pan Pickwick. – Nie mam ani godziny do stracenia, muszę go natychmiast zobaczyć. Nie zmrużę dzisiejszej nocy oka, dopóki nie będę mógł stwierdzić z całym spokojem, że oddałem swoją sprawę w ręce specjalisty.

– O, właśnie idzie jakaś staruszka! Może ona będzie wiedziała, gdzie kogo znajdziemy! Hej, starsza pani! Gdzie są ludzie pana Perkera?

– Ludzie pana Perkera – odpowiedziała chuda, wynędzniała staruszka, przystanąwszy, żeby złapać oddech. – Ludzie pana Perkera wyszli. A ja idę sprzątać biuro.

– Czy pani jest służącą pana Perkera? – spytał pan Pickwick.

– Nie, jestem praczką – odpowiedziała staruszka.

– A – powiedział pan Pickwick, a potem rzekł na boku do Sama: – To bardzo ciekawe, Samie, że w tych instytucjach służące nazywają praczkami.

– Ponieważ ich panowie mają śmiertelną awersję do oczyszczania czegokolwiek.

– To dziwne – rzekł pan Pickwick, patrząc na starszą kobietę, której postać, zarówno jak i biuro (właśnie je otworzyła), zdradzały zdecydowany wstręt do wody i mydła. – Czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę pana Perkera?

– Nie, nie mogę – odrzekła ponuro – poszedł do miasta!

– To istne nieszczęście! – odpowiedział pan Pickwick. – A czy nie wie pani, gdzie jego dependent?

– Owszem, wiem, ale nie podziękowałby mi za to, gdybym powiedziała – rzekła praczka.

– Mam bardzo ważny interes – powiedział pan Pickwick.

– Nie może pan poczekać do jutra? – spytała kobieta.

– Nie bardzo – odpowiedział pan Pickwick.

– Dobrze — powiedziała stara. — Gdyby zaszło coś ważnego, kazał mi powiedzieć, gdzie jest. Więc przypuszczam, że mam prawo to zrobić. Idźcie, panowie „Pod Srokę i Ogarek” i spytajcie w barze o pana Lowtena. Wtedy pokażą wam, który to jest Lowten. A to właśnie będzie dependent pana Perkera.

Kierując się tymi wskazówkami i otrzymawszy dalsze, z których wynikało, że wyżej wymieniona gospoda leży w dzielnicy sądowej, zadowoleni, że znajdują się w pobliżu Clare Market i niedaleko tyłów New Inn, pan Pickwick i Sam jakoś szczęśliwie zeszli po karkołomnych schodach i dobrnęli „Pod Srokę i Ogarek”.

Ta faworyzowana oberża, w której pan Lowten i jego koledzy odprawiali swe wieczorne uczyty, była właściwie tym, co ludzie zwykle nazywają karczmą. Że gospodarz należał do typu ludzi, którzy kiedyś zrobią majątek, dowodził fakt, że umieszczony przy oknie szynkwias, przypominający kształtem lektykę, wydzierżawił szewcowi; że zaś był przy tym filantropem, widać było z tego, iż na progu swojej własnej oberży pozwalał jakiemuś obdartusowi sprzedawać rozmaite delikatesy. W oknach, zawieszonych firankami barwy szafranowej, wisiało parę ogłoszeń mówiących o cydrze z Devonshire i o gdańskiej wódce. Wielka czarna tablica dużymi literami głosiła wszem wobec, że w piwnicach tego zakładu znajduje się pół miliona baryłek mocnego portera. Wywoływała ona w umyśle każdego gościa miłe zainteresowanie, w jakim kierunku prowadzić mogą te piwnice. Jeżeli dodamy do tego, że zewnętrzny szyld ozdobiony był na wpół zatartym wizerunkiem sroki, jednym okiem zezującej na kawałek czegoś brązowego, co najstarsi ludzie od dzieciństwa nauczyli się czcić jako ogarek, to będziemy mieli już wszystko, co dotyczy zewnętrznego wyglądu tego zakładu.

Gdy pan Pickwick stanął przed szynkwasem, zza wąskiej lady wynurzyła się nagle starsza kobieta, ukazując się w całej swej okazałości.

– Czy jest tutaj pan Lowten? – zapytał pan Pickwick.

– Tak, jest – odpowiedziała oberżystka. – Karolciu, zaprowadź gentlemana do pana Lowtena!

– Gentleman nie może teraz tam wejść – rzekł z przejęciem czerwonowłosy chłopiec. – Pan Lowten śpiewa teraz komiczne piosenki i nikogo nie puszcza do siebie. Ale zaraz skończy, proszę jaśnie pana!

Zaledwie czerwonowłosy chłopak powiedział to, gdy hałaśliwe bicie w stoły i dzwonięcie w szklanki dało znać, że pieśń została skończona. Pan Pickwick wyraziwszy życzenie, aby Sam do woli dogodził sobie w szynkowni, pozwolił się zaprowadzić do pana Lowtena.

Po zaanonsowaniu, że „gentleman chce mówić z jaśnie panem”, tłusty młody człowiek, który wypełniał sobą krzesło u szczytu stołu, z pewnym zdumieniem spojrzął w kierunku, skąd dochodził głos. Zdumienie młodego człowieka nie zmniejszyło się bynajmniej, kiedy oczy jego spoczęły na indywiduum, którego przedtem nigdy w życiu nie widział.

– Bardzo przepraszam – powiedział pan Pickwick – i przykro mi, że przeszkadzam także reszcie gentlemanów, ale przybywam w bardzo ważnej sprawie. Jeśli pan pozwoli zająć sobie pięć minut czasu, tu w kąciku, będę panu niezmiernie wdzięczny.

Tłusty młodzieniec wstał i przesunąwszy sobie krzesło do kąta, tuż obok krzesła pana Pickwicka, uważnie wysłuchał jego bolesnej opowieści.

– A – rzekł po skończeniu – Dodson i Fogg – twardą mają rękę! Kapitalni businessmani, ci Dodson i Fogg!

Pan Pickwick przyznał, że Dodson i Fogg mają twardą rękę, potem pan Lowten ciągnął dalej:

– Perker wyjechał i wróci prawdopodobnie pod koniec tygodnia. Ale jeśli pan chce, żebyśmy zajęli się pańską sprawą, proszę mi zostawić kopię pozwu, a ja zrobię wszystko, co potrzeba, zanim Perker wróci.

– Właśnie po to przyszedłem – powiedział pan Pickwick, podając dokument. – Jeżeli zajdzie coś niespodziewanego, zechce pan łaskawie napisać – *poste restante*, Ipswich.

– Doskonale – odpowiedział dependent pana Perkera, a zauważywszy, że spojrzenie pana Pickwicka wędruje wzdłuż stołu, dodał: – Może się pan do nas przysiadzie na jakieś pół godzinki? Mamy tu dzisiaj kapitalną kompanię. Jest tam główny dependent od Samkina i Greena, kancelista od Smithersa i Price’a i jeszcze jeden od Pimkina i Thomasa, który na chwilę wyszedł – świetnie śpiewa piosenki! Jest jeszcze Jack Bamber i paru innych. Przebywa pan zawsze we wsi? Może zechce się pan do nas przysiąść?

Ta doskonała sposobność studiowania natury ludzkiej była pokusą zbyt silną, aby pan Pickwick mógł się jej oprzeć. Pozwolił się tedy doprowadzić do stołu, gdzie go w odpowiedni sposób przedstawiono i podano mu krzesło w sąsiedztwie prezydującego. Po czym pan Pickwick zażądał szklanki swego ulubionego napoju.

Wbrew temu, czego oczekiwał pan Pickwick, zapadło głębokie milczenie.

– Przypuszczam, że nie jest to dla pana przykre? – zapytał sąsiad z prawej strony, gentleman w koszuli ozdobionej mozaikowymi spinkami i z ogromnym cygarem w ustach.

– Bynajmniej – odpowiedział pan Pickwick. – Bardzo lubię cygara, chociaż sam nie palę...

– Przykro by mi było twierdzić to samo o sobie – odezwał się gentleman z przeciwnej strony stołu. – Palenie zastępuje mi dach nad głową i wikt.

Pan Pickwick spojrzął na mówiącego i pomyślał, że pewnie i opierunek...

Nastąpiła pauza. Pan Pickwick, jako człowiek obcy, najwidoczniej zepsuł nastrój.

– Pan Grundy zechce zaszczyścić towarzystwo piosenką – rzekł przewodniczący.

– Nie zechce – odpowiedział pan Grundy.

– Dlaczego? – zapytał przewodniczący.  
– Bo nie może – odparł pan Grundy.  
– To niech pan powie lepiej: nie chce! – rzekł przewodniczący.  
– No, więc nie chce – odpalił pan Grundy. Zdecydowana odmowa pana Grundy’ego zaszczytowania towarzystwa piosenką znowu wywołała milczenie.  
– Więc nikt nas nie zechce rozweselić! – powiedział przewodniczący.  
– A czemu pan nas nie rozwesela, panie prezesie? – spytał młody zezowaty człowiek z bokobrodami, w szeroko otwartej (brudnej) koszuli, siedzący przy końcu stołu.  
– Słuchajcie! słuchajcie! – odrzekł jegomość z mozaikowymi spinkami, palący cygaro.  
– Ponieważ znam tylko jedną piosenkę i właśnie już ją śpiewałem. A tylko pieśń „Niech krążą szklanice” może być śpiewana dwa razy tej samej nocy.

Była to replika nieodparta, znów więc zapadło milczenie.

– Byłem dziś wieczorem, moi panowie – zaczął pan Pickwick mając nadzieję, że wciągnie do rozmowy całe towarzystwo – byłem dziś wieczorem w miejscu, które wy, moi panowie, wszyscy dobrze znacie, ale gdzie ja nie byłem od dawna i dlatego mało je znam. Mówię, panowie, o Gray’s Inn. Ciekawe to zakątki w naszym wielkim Londynie te stare gospody.

– O, na Boga! – rzekł szeptem przewodniczący, nachylając się przez stół do pana Pickwicka. – Poruszył pan temat, na który przynajmniej jeden z nas zawsze gotów rozprawić. Łatwo naciągnie pan na to starego Jacka Bambera. Bamber o niczym innym nigdy nie mówi, jak o Gray’s Inn; mieszka tam od wieków i na wpół od tego zwariował!

Indywidualność, o którym wspomniał Lowten, był to żółty, przygarbiony człowiek. Miał zwyczaj garbić się silnie, kiedy nic nie mówił, i z tego zapewne powodu pan Pickwick nie zwrócił na niego z początku uwagi. Kiedy teraz mały człowiek podniósł swoją zmarszczoną twarz i utkwiał w panu Pickwicku szare oczy o pytającym wyrazie, pan Pickwick nie mógł się dość nadziwić, że mógł przez chwilę nie zwrócić na niego uwagi. Na twarzy małego człowieka gościł stale zgryźliwy uśmiech. Oparł brodę na długiej, kościstej dłoni, której palce posiadały niezwyklej długości paznokcie. A kiedy pochylił głowę na bok i spojrział spod szarych krzaczastych brwi, dziwna chytryść zabłysła w jego spojrzeniu, chytryść trudna do zniesienia dla patrzącego w te oczy.

Ta właśnie postać wystąpiła teraz na widownię i wylała z siebie całą kaskadę słów. Ponieważ rozdział ten jest już dostatecznie długi, a mały człowieczek jest osobistością znakomitą, będzie wyrazem szacunku dla niego i wygodą dla nas, jeżeli pozwolimy mu przemawiać w rozdziale następnym.



## Rozdział dwudziesty pierwszy

*w którym mały człowieczek zajmuje się swoim ulubionym tematem  
i opowiada historię o dziwacznym kliencie*

– Aha – powiedział stary jegomość, którego opisaliśmy w końcu poprzedniego rozdziału. – Któż to mówi o Inn?

– To ja – odpowiedział pan Pickwick. – Zauważyłem, że to bardzo dziwne miejsce.

– Pan? – pogardliwie powiedział stary jegomość. – Cóż pan może wiedzieć o tych czasach, kiedy młodzi ludzie zamykali się w samotnych izdebkach, ażeby czytać i czytać, studiować i studiować, aż im się rozum mieszał od tych studiów? Siły ich ducha tak się wyczerpywały, że nawet wstający ranek ich nie orzeźwiał. Aż umierali niemal z przeciwnego naturze przywiązania do owych suchych ksiąg! Należąc do innej epoki i będąc z innego pokolenia, cóż pan może wiedzieć o tym, ilu z nich zjadły suchoty albo pożarła gorączka? Taki bowiem był rezultat bujnego życia i rozpasanych zabaw w tych pokoikach! A jak pan myśli, ilu ludzi, którzy nadaremnie błagali o litość w przedpokojach adwokatów, szukać musiało potem spokoju w falach Tamizy albo w więzieniach? O, to niezwykle domy! Gdyby płyty, którymi wyłożone są ściany, mogły mówić i posiadały pamięć, i gdyby wyszły z tych ścian i opowiedziały, co wiedzą, byłaby to, zaiste, straszliwa opowieść o życiu! I chociaż teraz Gray's Inn jest miejscem zwyczajnym, naprawdę jest to dzielnica niesamowita i wolałbym usłyszeć wiele najstraszliwszych baśni niż poznać jedną prawdziwą historię tych murów.

Coś tak dziwnego było w nagłym wybuchu energii tego człowieka i w tym, co tę energię wywołało, że pan Pickwick nie zdobył się na żadną uwagę w odpowiedzi. Stary jegomość opanował wybuch gwałtowności i przybierając poprzedni wyraz twarzy, powiedział:

– Spójrzmy na to z innego punktu; z punktu zwykłego, wcale nie romantycznego. Cóż to za wyszukane miejsce tortur! Pomyślcie o tych nędzaczach, którzy wyprzedawali się, zapożyczali, naciągali swych przyjaciół, aby móc się zaciągnąć na listę profesji, która nigdy nie dawała im kawałka chleba. Czekanie, nadzieja, strach, nędza, ubóstwo, rozczarowanie, zamieranie nadziei, koniec kariery, może samobójstwo albo ostatnia nędza, łachmany, pijactwo... Czyż nie mam racji? – Tu stary człowiek zatarł ręce i prawie radośnie spojrzął przed siebie, że znalazł nowy sposób oświetlenia swego ulubionego tematu.

Pan Pickwick patrzył na starego z wielkim zainteresowaniem, a reszta kompanii uśmiechała się w milczeniu.

– Mówicie o niemieckich uniwersytetach! – ciągnął stary. – Ba, ba! Dość macie chyba romantyki w odległości łokcia od każdego z was! Tylko że o niej nikt nie myśli.

– Nigdy nie sądziłem, że jest coś romantycznego w tym właśnie przedmiocie – rzekł pan Pickwick z uśmiechem.

– Na pewno pan nie myślał! – powiedział stary. – Na pewno! Jeden z moich przyjaciół mawiał: – Cóż dziwnego w tych pokoikach? – Bardzo dziwne to pokoje! – odpowiedziałem. – Wcale nie – odrzekł mój przyjaciel. – Samotne! – powiadam mu. – Nie – odpowia-

da mój przyjaciel. – I co pan powie? Pewnego ranka mój przyjaciel nagle umarł na apopleksję. Poszedł otwierać drzwi i uderzył głową o skrzynkę do listów. I utkwivszy w niej, pozostał tak osiemnaście miesięcy. Wszyscy myśleli, że wyjechał.

– A jak go znaleziono? – zainteresował się pan Pickwick.

– Ponieważ od dwóch lat nie płacił czynszu, egzekutorzy postanowili wylamać drzwi. A więc wylamują zamek, otwierają, a tu straszny, zakurzony szkielet w granatowym surducie, granatowych spodniach i jedwabnych pończochach pada w ramiona tego, który stał pierwszy. Dziwne, co? Chyba dziwne, nie? – Tu mały człowieczek jeszcze bardziej pochylił głowę na bok i z niewymowną radością zatarł ręce.

– Znam także inny wypadek – ciągnął dalej, opanowawszy nieco śmiech. – Zdarzył się on w Clifford's Inn. Pewien hultaj, wynajmujący tam lokal, zamknął się jednego ranka w alkówce i zażył arszeniku. Gospodarz myślał, że uciekł. Otworzył drzwi i wywiesił ogłoszenie. Przyszedł drugi, wynajął, umeblował i zamieszkał. Z jakichś przyczyn nie mógł spać: ciągle był jakiś nieswój i niespokojny. – To okropne – mówi. – Zrobię w tamtym pokoju sypialnię, a tu bawialnię!

Zmienił umeblowanie i odtąd spał bardzo dobrze, ale za to wieczorami nie mógł czytać. Czuł się zdenerwowany, niespokojny, ciągle poprawiał świece i oglądał się dokoła. – Nic nie rozumiem – rzekł pewnego dnia, powróciwszy wieczorem do domu. Wypił szklanek zimnego grogu i oparł się plecami o ścianę, aby mieć pewność, że nic nie stoi za nim. – Nic nie rozumiem – powtórzył. Wtem oczy jego zatrzymały się na drzwiach małego alkierzyka, zawsze zamkniętych. Wtedy dreszcz przebiegł mu po całym ciele. – Nieraz już to odczuwałem – powiada. – Coś jest nie w porządku z tym alkierzem! – Zdobył się na odwagę, wziął w rękę pogrzebacz, otworzył drzwi... aż tu w kącie alkierza stoi trup poprzedniego lokatora, z małą flaszką zaciśniętą w dłoni – a miał twarz!... – Mały człowieczek skończył, obejrzał się dokoła, spoglądając na zdziwione audytorium z uśmiechem pełnym zadowolenia.

– Niezwykłe rzeczy opowiada nam pan – powiedział pan Pickwick, patrząc na twarz staruszka przez okulary.

– Niezwykłe?! – powtórzył staruszek. – Nonsens. Uważa pan to za niezwykle, ponieważ nie wie pan, o co chodzi. To są rzeczy zabawne, ale nie niezwykle!

– Zabawne?! – zawołał mimo woli pan Pickwick.

– Zabawne. A może nie? – odpowiedział mały człowieczek z szatańskim błyskiem w oczach; po czym natychmiast zaczął mówić dalej:

– Znałem ja i innego człowieka... niech sobie przypomnę... tak... przed czterdziestu laty... wynajął stare, zniszczone mieszkanie w jednym z najstarszych domów w Inns... Od wielu lat już zamknięte. Mnóstwo babskich plotek przywiązanych było do tego miejsca – rzeczywiście, miejsce to nie było wesołe. Ale lokator był ubogi, a mieszkanie tanie, było to więc wystarczającym powodem, by je wynajął, chociażby było dziesięć razy gorsze. Zmuszono go jednak do zakupu starych gratów, które znajdowały się w tym mieszkaniu... między innymi do kupna wielkiej szafy na papiery, z oszklonymi drzwiami osłoniętymi od wewnątrz firanką. Rzecz zupełnie mu niepotrzebna, żadnych bowiem papierów nie posiadał, wszystko zaś, co miał do ubrania, nosił na sobie, co go bynajmniej zbytnio nie obciążało. Wprowadził się więc z wszystkimi swoimi rzeczami – nie było tego dużo – i cztery krzesła, które miał, ustawił tak, jak gdyby ich było dwanaście. Usiadł sobie wieczorem przed kominkiem i wypił jedną szklaneczkę whisky z dwóch galonów, które wziął był na kredyt. Myślał sobie właśnie, czy zapłaci za tę whisky, a jeżeli zapłaci, to kiedy; wtem oczy jego zatrzymały się na szklanych drzwiach szafy. – Ach! – powiada. – Żeby nie potrzebował być kupić tej wstrętnej szafy od tandeciarza, miałbym pieniądze na coś potrzebniejszego. Powiem ci coś, staruszko – rzekł zwracając się do szafy, ponieważ nie miał z kim mówić. – Gdybym wiedział, że nigdy nie będziesz mi na nic potrzebna, bez namysłu

porąbałbym cię i spalił. – Zaledwie to powiedział, aż tu z szafy wydobywa się coś na kształt jęku. Z początku się przestraszył, ale zaraz potem pomyślał, że to może jęczy młodzieniec, zajmujący sąsiedni pokój, ponieważ młodzieniec ów jada obiady na mieście. Wziął pogrzebacz i poprawił ogień. Jęk się powtórzył. Jedna połowa szklanych drzwi otworzyła się i wewnątrz szafy ukazało bladą postać stojącego tam człowieka. Była to postać wysoka i chuda, a miała wyraz twarzy stroskany i przerażony. Lecz w barwie jej skóry i w całej postawie było coś, co mówiło, że tacy nie chodzą po ziemi. – Kto to? – Nie rzucaj we mnie pogrzebaczem! Gdybyś nawet trafił, pogrzebacz przeszedłby przeze mnie i uderzyłby w ścianę szafy... Jestem duchem. – Więc czego tu chcesz? – mówił lokator. – W tym pokoju – odpowiedział duch – nastąpił mój upadek; i ja, i moje dzieci zostaliśmy żebrakami. W tej szafie przez wiele, wiele lat składano papiery. W tym pokoju, kiedy szalałem z rozpaczą i kiedy zagaśł dla mnie ostatni promyk nadziei, dwie złe harpie rozszarpały wszystko, co zebrałem w ciągu całego życia, nie pozwalając, aby grosz pozostał dla mego nieszczęśliwego potomstwa. Wystraszyłem je z tego miejsca – i od tego czasu włóczę się po nocach (odżywam tylko wtedy) i odwiedzam miejsca moich klęsk. Mieszkanie to należy do mnie. Zostaw je mnie. – Jeżeli będzie się pan upierał przy tym, by się tu zjawiać – mówił lokator, który podczas przemowy ducha zdążył już oprzytomnieć – to oczywiście z wielką przyjemnością ustąpię panu. Ale, jeśli wolno, chciałbym zadać panu jedno pytanie. – Proszę, niech pan mówi – poważnie powiedział duch. – Otóż – powiada lokator – nie chodzi mi specjalnie o pana, ale dotyczy to wszystkich duchów, o jakich kiedykolwiek słyszałem. Postępowanie panów wydaje mi się trochę nierozsądne. Panowie macie możliwość zwiedzania najpiękniejszych miejscowości na ziemi – bo chyba dla was nie istnieje przecież przestrzeń – dlaczego więc włóczycie się właśnie po tych miejscach, gdzie byliście najnieszczęśliwsi? – Słusznie! Nigdy nie przyszło mi to na myśl! – powiedział duch.

– Widzi pan – ciągnął lokator – to przecież bardzo niewygodny pokój. Sądząc po tej szafie, śmiało mogę powiedzieć, że jest tu sporo pluskiew; jestem przekonany, że znalazłby pan daleko wytworniejsze *quartier*. Już nie mówię o klimacie Londynu, który jest rzeczywiście bardzo nieprzyjemny. – Ma pan najzupełniejszą rację – grzecznie odparł duch. – Naprawdę nigdy nie przyszło mi to do głowy. Powinienem zmienić klimat! – I rzeczywiście, mówiąc to, zaczął znikać: nóg prawie już nie było widać. – Panie, panie! – wołał lokator za znikającym. – Może by był pan łaskaw powiedzieć gentlemanom, którzy włóczą się po starych opuszczonych domach, ażeby zaprzestali tego? Oddałby pan w ten sposób wielką usługę społeczeństwu. – Z wielką chęcią – odpowiedział duch. – Co za głupcy z nas! Naprawdę głupcy! Nie rozumiem, jak mogliśmy być tak tępi. – Z tymi słowami duch zniknął. – I, co najdziwniejsze – dodał mały człowieczek, obrzucając cały stół spojrzeniem – że nigdy nie wrócił.

– Niezłe to opowiadanie, jeżeli prawdziwe – powiedział gentleman ozdobiony mozaikowymi spinkami. I zapalił świeże cygaro.

– Jeżeli! – zawołał mały człowieczek z nieskończone pogardliwym wyrazem twarzy. – Przypuszczam – rzekł zwracając się do Lowtena – że także moją historię z dziwnym klientem, która zdarzyła mi się, kiedy byłem jeszcze dependentem, nazwie ten pan nieprawdziwą. Teraz nie dziwiłbym się już niczemu.

– Nie będę mówił o tym, czego nie słyszałem – powiedział właściciel mozaikowych ozdób.

– Chciałbym usłyszeć tę opowieść – rzekł pan Pickwick.

– Ach, tak! Niech pan opowie! – dodał Lowten. – Nikt jej nie słyszał oprócz mnie! A ja nie bardzo ją pamiętam.

Stary człowiek rozejrzał się po stole, błysnął oczami groźnie, niesamowicie i jakby z triumfem, że wyczyta na każdej twarzy wyraz zaciekawienia. Po czym potarłszy brodę i utkwivszy wzrok w pułap, jakby w ten sposób chciał zebrać wszystko w pamięci, rozpoczął, co następuje:

## OPOWIEŚĆ O DZIWNYM KLIENCIE

– Mniejsza o to, skąd i jak dowiedziałem się o tej historii – zaczął stary. – Gdybym chciał ją opowiedzieć w takim porządku, w jakim do mnie doszła, musiałbym zacząć od środka, a doszedłszy do końca wrócić do początku. Wystarczy, że wiele wypadków rozegrało się w moich oczach. O innych wiem, że rzeczywiście miały miejsce, i żyją jeszcze ludzie, którzy je pamiętają.

Na ulicy Wielkiej, w dzielnicy Borough, koło kościoła św. Jerzego, po tej samej stronie co kościół, stoi, jak to przeważnie wszyscy wiedzą, najmniejsze z naszych więzień za długi, Marshalsea. Choć w ostatnich czasach bardzo się zmieniło i niczym nie przypomina brudnego kanału, jakim było przedtem, to nawet w tej zmienionej postaci stanowi małą pokusę dla dziwaków i małą pociechę dla uwięzionych. Osądzony na śmierć zbrodniarz ma tyle powietrza i ruchu w Newgate, co niewypłacalny dłużnik w Marshalsea.

Może to moje dziwactwo, a może nie umiem oddzielić tego miejsca od dawnych wspomnień związanych z nim, ale nie znoszę tej dzielnicy Londynu. Ulica jest szeroka, sklepy obszerne, turkocą przejeżdżające wozy, dzwonią kroki przechodniów, panuje tu hałas jak w handlowej dzielnicy, od rana do nocy, a jednak pomimo to jest tu martwo i niemiło. Ubóstwo i rozpusta przylgnęły do gwarnych ulic. Nędza i nieszczęście gnieźdzą się w niskim gmachu więziennym. Coś ponurego i smutnego zawisło nad tą dzielnicą – przynajmniej w moich oczach – i nadaje jej koloryt brudu i opuszczenia.

Wiele par oczu, które od dawna zakrył już grób, patrzyło na tę ulicę wesoło, po raz pierwszy przeszedłszy wrota Marshalsea: rozpacz bowiem rzadko kiedy idzie w parze z pierwszym ciosem wymierzonym przez zły los. Człowiek ufa nie wypróbowanym przyjaciołom, pamięta, że często ofiarowywali mu się z pomocą, kiedy niczego od nich nie potrzebował. Ma nadzieję (nadzieję, szczęście niedoświadczonych) i jakkolwiek nadzieja ta słabnie po otrzymaniu pierwszego ciosu, po jakimś czasie budzi się jednak to uczucie znowu w jego piersi, zakwita w niej, aż w końcu zwiędnie, zetknąwszy się z rozczarowaniem i zapomnieniem. Jak szybko te same oczy zapadały się w głąb i patrzyły z twarzy wynędzniałej z głodu, zwiędłej z braku słońca, zrozpaczonej w poczuciu, że dla uwięzionego za długi nie ma żadnej nadziei odzyskania wolności! Dawna surowość prawa złagodniała dzisiaj, ale jeszcze i teraz dzieją się rzeczy, od których serce ściska się boleśnie!

Przed dwudziestu laty chodnik ten wydeptały stopy pewnej matki i jej dziecięcia, co z nastaniem ranka dzień po dniu przychodzili do wrót więzienia. Czasami po noty bóleści i niedostatku zjawiali się przed bramą o godzinę za wcześnie. Wtedy matka brała dziecko łagodnie w ramiona i szli na most. Podnosiła wysoko maleństwo, żeby mogło się napatrzeć na błyski wody i odbicie słońca na falach, nacieszyć się miłym widokiem, jaki rzeka przedstawiała o tej godzinie. Ale zwykle zszadzała wkrótce malca na ziemię i chowała twarz w szalu, aby zakryć łzy, które zaciemniały jej wzrok. Nigdy bowiem wyraz zainteresowania ani radości nie pojawił się na mizernej twarzyczce. Wspomnienia dziecka były nieliczne i jednostajne; wszystkie wiązały się z nędzą i nieszczęściem rodziców: jak to godzinami siadywało na kolanach matki, z dziecinnym współczuciem patrząc na jej łzy, jak potem samo szło płakać gdzieś w ciemny kącik. Twarda rzeczywistość tego świata – jego najgorsze prywatacje, głód i pragnienie, nędza i niedostatek – wszystko to poznało ono od pierwszego dnia życia i pierwszych błysków świadomości, i chociaż chłopak miał wygląd dziecka, brakowało mu wesołego śmiechu, radości i błyszczących oczu malca...

Ojciec i matka spoglądali na dziecko, a potem na siebie, z niepokojem, który bali się nawet wyrazić słowami. Zdrowy, silny mężczyzna, mogący znieść najcięższą pracę i trudy, ginął w atmosferze więziennej. Delikatna i wątła kobieta upadła pod brzemieniem cierpień moralnych i fizycznych. Malutkie serce dziewczyny było złamane.

Nadeszła zima, a z nią tygodnie deszczów i chłódów. Nieszczęśliwa kobieta przeniosła się do nędznego mieszkanka w pobliżu więzienia. I chociaż zmianę tę wywołała rosnąca wciąż nędza, czuła się teraz szczęśliwsza, bo była bliżej niego. Przez dwa miesiące ona i jej mały towarzysz czekali codziennie na otwarcie bramy. Pewnego dnia nie przyszła – pierwszy raz. Nadszedł następny poranek i przyszła – ale sama. Dziecko umarło.

Ludzie, którzy zimno mówią o takiej stracie nieszczęśliwych rodziców, ludzie, którzy pocieszają ich, że dziecko przestało cierpieć, im zaś ubędzie kłopotów – ludzie ci nie rozumieją, czym jest taka strata! Milczące spojrzenie, pełne miłości i oddania, kiedy wszystkie inne oczy się odwróciły – to ostoja, pociecha, ukojenie w najgorszym strapieniu! Nie kupisz go za żadne pieniądze, nie zdobędziesz żadnym wysiłkiem! Dziewcina godzinami siadywała u stóp rodziców, trzymając w chudych rączkach ich dłonie i cierpliwie podnosząc ku nim swą twarzyczkę. Patrzyli, jak niemal z dnia na dzień gasnęła im w oczach. I chociaż krótkie jej życie było pełne udręki, teraz zaś przeniesiono ją do miejsca spoczynku i radości, której, mimo że była dzieckiem, nigdy nie zaznała – byli przecież jej rodzicami i strata, jaką ponieśli, głęboko wżarła im się w duszę.

Jasne było dla tych, którzy patrzyli w twarz matki, że i jej troski i nieszczęścia przetnie wkrótce śmierć. Towarzysze więzienni jej męża uciekli przed jego nowym nieszczęściem i zostawili mu na wyłączny użytek małą izdebkę, którą przedtem dzielił z dwoma więźniakami. Zamieszkała z nim w tej celce i tak płynęło jej życie – bez nadziei, bez radości.

Pewnego wieczora zemdląca w ramionach męża, zaniósł ją więc do otwartego okna, aby ocuciło ją powietrze. Promienie księżyca oświetliły jej rysy w tak szczególny sposób, że zdarzał pod jej ciężarem jak bezsilne dziecko.

– Posadź mnie, Jurku – powiedziała słabo. Zrobił, co kazała, a usiadłszy przy niej, zakrył twarz rękoma i wybuchnął płaczem.

– To bardzo źle, że cię opuszczam, Jurku – powiedziała. – Ale taka jest wola Boga i musisz się jej poddać przez wzgląd na mnie. O! jakże mu dziękuję, że zabrał naszego malca! Jest szczęśliwy, jest w niebie! Cóż począłby bez matki?

– Nie umrzesz, Mario, nie możesz umierać! – zawołał mąż, zrywając się. Zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, gryząc pięści. Potem siadł przy niej i objąwszy ją ramieniem ciągnął już o wiele spokojniej: – Uspokój się, najdroższa! Proszę, błagam! Jeszcze będziesz żyła!

– Nie, nie, Jurku! – odpowiedziała umierająca kobieta. – Niech mnie pochowają przy moim kochanym chłopczyku, ale obiecaj mi, że jeżeli kiedykolwiek wyjdiesz z tego straszego miejsca i będziesz bogaty, przeniesiesz nas oboje na jakiś wiejski cmentarz, daleko stąd, bardzo daleko, gdzie będziemy mogli leżeć spokojnie! Drogi Jurku! Obiecaj mi!

– Obiecuję! Obiecuję! – zawołał mężczyzna, rzucając się przed nią na kolana. – Mów do mnie, Mario! Powiedz choć słówko! Spójrz na mnie!

Urwał. Ramię, które obejmowało jego szyję, nagle zaczęło sztywnieć. Głębokie westchnienie wyrwało się z piersi nieszczęśliwej, wargi poruszyły się, uśmiech zakwitł na twarzy... Ale wargi te były blade, a uśmiech rozwiął się natychmiast. Był teraz sam na świecie.

Tej nocy, w ciszy i samotni swego opuszczonego pokoju nieszczęśliwy człowiek klęczał długo przy zwłokach zmarłej małżonki i wzywał Boga na świadka swojej strasznej przysięgi, że od tej chwili poświęci się cały zemście za śmierć żony i dziecka. Że odtąd do ostatniego tchnienia wszystkie siły poświęci temu tylko celowi. Że zemsta jego będzie

straszna. Że nienawiść jego nie umrze i nie osłabnie. Że po całym świecie będzie prześladował swoich krzywdzicieli.

Rozpacz bezgraniczna i namiętność prawie nieludzka dokonały takich strasznych zmian w jego twarzy i całej postaci, że towarzysze niedoli z trudem go poznali nazajutrz, gdy ich mijał. Oczy miał przekrwione i błyszczące, twarz śmiertelnie bladą, a postać zgarbioną jak starzec. W przystępie bólu zagryzł dolną wargę tak mocno, że krew spływała mu po brodzie, barwiąc koszulę i chustkę na szyi. Ani jednej łzy, ani jednej skargi... ale niespokojny wzrok i szybkość, z jaką przemierzał dziedziniec, zdradzały gorączkę, która go pożerała.

Ciało żony musi być natychmiast, bez zwłoki, usunięte z celi. Przyjął wyrok spokojnie i uznał konieczność tego zarządzenia. Prawie wszyscy towarzysze niedoli zebrali się, aby wziąć udział w tej ceremonii. Cofnęli się na widok wdowca. Nieszczęśliwy szybko poszedł naprzód i stanął sam jeden na placu przy bramie, sprzed której usunął się tłum, tknięty nagle delikatnością.

Jacyś ludzie wnieśli na ramionach prostą trumnę. W tłumie zapanowała śmiertelna cisza, przerywana tylko cichymi lamentami bab i odgłosem kroków niosących trumnę. Doszli do miejsca, gdzie stał wdowiec: zatrzymali się. On położył dłoń na trumnie i machinalnie poprawił całun, dał znak, żeby szli dalej. Klucznicy więzienni zdejmowali kapelusze na widok trumny... za chwilę wielka brama zamknęła się za nią... Spojrzał nie widzącymi oczyma na tłum i upadł bez czucia na ziemię.

Chociaż przez wiele tygodni po tym wypadku dniem i nocą nie opuszczała go gorączka, nie odeszła go świadomość straty, jaką poniósł, nie zapomniał o niej ani na chwilę. Sceny zmieniały się przed jego oczyma, krajobrazy płynęły jakby nieprzerwanym strumieniem, wypadki następowały po wypadkach – wszystko tak szybko jak w obłądzeniu. Ale wszystko to było w ten czy inny sposób związane z tym, co zajmowało jego umysł. Płynął po wielkim, bezkresnym morzu, nad którym wisiało czerwone jak krew niebo; wzburzone fale wściekle uderzały o boki okrętu. Przed nim pokazał się drugi okręt walczący z nawałnicą; żagle na masztach wisiały w strzępach, po pokładzie uwijały się jakieś postacie, od czasu do czasu fala zmywała którąś z nich w morze. Płynęli gnani wichrem z siłą, której nic nie mogłoby się oprzeć. Wreszcie okręt płynący na przedzie zaczął tonąć. Ze spiętrzonych fal wyrwał się krzyk – przejmujący krzyk setek tonących, którzy ślepo walczyli o życie. Krzyk ten głużył nawet ryk rozwścieczonych żywiołów, zdawało się, że przenikał niebo i wody. Ale co to? Jakaś biała głowa z twarzą wykrzywioną bólem unosi się nad falami i rozpaczliwie woła o pomoc. Jedno spojrzenie – i nasz bohater rzuca się z okrętu, i płynie do tonącego. Już dopływa. Już jest przy nim. To rysy tamtego! Stary widzi zbliżającą się pomoc i błagalnie wyciąga ramiona. Ale on chwytą go mocno i wpycha w wodę. Niech tonie! Niech tonie! Niech sto razy tonie! Stary walczy coraz słabiej... Nie żyje... Zabił go! Dotrzymał przysięgi!

Sypkie piaski bezkresnej pustyni. Idzie boso, sam. Piasek zasypuje go i oślepia. Delikatne drobne ziarenka zatykają mu pory skóry. Drażni go to do szaleństwa. Olbrzymie masy piasku, nagromadzone przez wiatr i oświetlone palącym słońcem, piętrzą się przed nim jak płomienie kolumny. Kości ludzi, którzy znaleźli śmierć w tej pustyni, leżą pod nogami. Wszystko oświetlone jest jakimś dziwnym blaskiem. Dokąd wzrok jego sięga – nic, tylko obrazy śmierci i grozy... Na próżno chce krzyżeć... język przysechł mu do podniebienia. Na wół oszalały biegnie przed siebie, czując w sobie jakąś nadprzyrodzoną siłę, przediera się przez piaski, aż wyczerpany pragnieniem i zmęczeniem rzuca się na ziemię. Dziwny chłód orzeźwia go. Co to za szmer?! Woda! Tak, woda! Jasny strumyk płynie u jego stóp. Pije chciwie i upadłszy na brzeg, z rozkoszą wyprostowuje nogi. Podniósł go odgłos zbliżających się kroków. Stary, siwowłosy człowiek zbliża się do niego. Chce zaspokoić pragnienie. Znowu on! Otacza ramieniem ciało starego, zatrzymuje go. Ten wyrzywa się, błaga

o wodę, o jedną kroplę wody! To uratuje mu życie! Ale on mocno trzyma starego i patrzy na jego powolne konanie. A kiedy martwe ciało opadło mu na piersi, odpycha je nogą.

Gdy opuściła go gorączka i wróciła przytomność, obudził się bogaty i wolny. Dowiedział się, że ojciec, który chciał pozwolić mu umrzeć w więzieniu, który pozwolił umrzeć najdroższemu mu istotom, umrzeć z nędzy i rozpacz, na które medycyna nie zna lekarstwa – ojciec ten zmarł. Znalaziono go pewnego dnia o świcie w łóżku. Zrobił wszystko, co mógł, by syn jego stał się żebrakiem, ale dufny w swoje zdrowie i siły, aż do ostatniej chwili, nie napisał aktu wydziedziczenia, a teraz może zgrzyta na tamym świecie zębami ze złości, wiedząc, że całe jego bogactwo przeszło na syna. Więzień obudził się, żeby to usłyszeć... obudził i dla czegoś więcej: żeby pamiętać, dlaczego żyje, żeby pamiętać, że wrogiem był rodzony ojciec jego żony – człowiek ten wpakował go do więzienia, a kiedy córka i wnuczek na klęczkach błagali go o litość, wyrzucił ich za drzwi! Och, jakże gardził swoją słabością, która nie pozwoliła natychmiast spełnić zemsty!

Kazał się zawieźć z miejsca swojej udręki do cichej miejscowości nad morzem. Nie w nadziei, że odzyska spokój i równowagę ducha, gdyż obie te rzeczy przestały być mu dostępne, ale żeby odzyskać siły i móc myśleć o swoich ukochanych. I tu jakiś zły duch podsunął mu sposobność do wykonania najgorszej, najokrutniejszej zemsty.

Było lato. Pograżony w smutnych myślach, wychodził nad wieczorem ze swego samotnego mieszkania i wędrując wąską ścieżyną nad urwiskiem, szedł ku skale, która najbardziej odpowiadała stanowi jego ducha. Tam ukrywając twarz w dłoniach, siedział godzinami, czasami aż noc zapadła zupełnie, a długie cienie skał nad jego głową pograżały wszystko w ciemności.

Pewnego wieczora siedział również na swojej ulubionej skale. Od czasu do czasu podnosił głowę, żeby spojrzeć na mewę lub utkwic wzrok w szkarłatnej ścieżce, która, zdawało się, miała swój początek na środku oceanu, a kończyła się tam, gdzie słońce zachodziło... Nagle ciszę przerwał rozpaczliwy krzyk. Nasłuchiwał, czy się nie myli... krzyk powtórzył się, jeszcze bardziej rozpaczliwy – zerwał się na równe nogi i pobiegł w kierunku, skąd go krzyk dochodził.

Sprawa była jasna: na brzegu leżała garstka odzieży, w niewielkiej odległości od niego sterczała nad falami głowa ludzka... Jakiś stary człowiek wyrwijąc sobie włosy z głowy biegał po brzegu. Chory, któremu wróciły już siły, zrzucił surdut i pobiegł w stronę morza, mając zamiar skoczyć do wody i ratować tonącego.

– Na litość boską, przedaj, panie! Na pomoc! Na pomoc! Mój syn! Mój jedyny syn! – zawołał starzec rozpaczliwie, biegnąc ku niemu. – Jedyny mój syn umiera w moich oczach!

Usłyszawszy głos starca, nieznajomy zatrzymał się i stanął, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

– Wielki Boże! – zawołał stary człowiek, cofając się – Heyling!

Tamten uśmiechnął się milcząco.

– Heyling! – wołał stary. – Mój drogi! Mój najdroższy! Spójrz! Popatrz! – Nieszczęśliwy ojciec z trudem chwycił powietrze i pokazywał miejsce, gdzie młodzieniec ostatkiem sił walczył o życie.

– Boże! – wołał starzec. – Jeszcze krzyczy! Jeszcze żyje! Heyling! Wyratuj go!

Tamten uśmiechnął się znów i stał nieruchomo jak posąg.

– Skrzywdziłem cię! – wołał starzec, padając na kolana i składając ręce. – Zemścij się! Weź moje życie! Zepchnij mnie do wody i jeżeli człowiek może nie walczyć o życie, umrę, nie poruszywszy nogą ani ręką. Zrób to, Heyling, ale nie daj zginąć memu chłopcu. Nie pozwól, żeby umarł tak młodo, Heyling!

– Słuchaj – zawołał Heyling, chwytając starca za piersi. – Chcę życie za życie – teraz mogę je wziąć! Dziecię moje umarło w oczach ojca, śmierć jego była o wiele boleśnieszka

od śmierci tego młodego potwarcy, który nie wahał się skrzywdzić swojej siostry! Śmiałeś się w oczy swojej córce, kiedy... a teraz, kiedy śmierć dotyka ciebie – cierp! Coś myślał wtedy? – Patrz! Patrz! Napatrz się teraz!

Tu wskazał na morze. Słaby krzyk nad powierzchnią wody. Ostatni rozpaczliwy wysiłek tonącego... fale poruszyły się... i miejsce, w którym zniknął tonący, wygładziło się tak, że trudno było poznać nawet, gdzie się to stało...

W trzy lata później prywatny powóz zatrzymał się przed drzwiami adwokata, który w tych czasach nie cieszył się opinią zbyt skrupulatnego w interesach. Z karety lekkim krokiem wysiadł jakiś gentleman i oznajmił, że chce się widzieć z adwokatem w bardzo ważnej sprawie prywatnej. Chociaż widać było wyraźnie, że nie przeszedł jeszcze wiosny życia, twarz miał bladą, ponurą i smutną. I nie trzeba było przenikliwego wzroku businessmana, aby poznać od razu, że choroby i zmartwienia dokonały większych zmian w jego obliczu, niż mogłyby uczynić lata.

– Chciałbym, żeby pan przeprowadził dla mnie pewien interes – zaczął nowo przybyły.

Adwokat skłonił się uniżenie i spojrzał na wielki pakiet, który przybysz trzymał pod pachą. Gość zauważył to spojrzenie i powiedział:

– Nie jest to zwykła sprawa, a papiery te zdobyłem po wielkich trudach i staraniach.

Adwokat znów z niepokojem spojrzał na pakiet. Gość z wolna rozwiązał sznurek, którym obwiązany był pakiet, i zaczął wyciągać rozmaite kwity, zobowiązania oraz kopie innych dokumentów.

– Człowiek, którego nazwisko jest tu wymienione, pożyczył kiedyś na te kwity wielkie sumy pieniędzy. Było to przed kilku laty. Między nim a człowiekiem, od którego pieniądze te pochodziły (a od którego odkupiłem kwity te za sumę trzy lub czterokrotnie przewyższającą ich wartość), zapadła umowa, że kwity te będą co jakiś czas odnawiane, dopóki nie wygaśnie termin płatności. To nie jest jednak nigdzie wyszczególnione. W ostatnich czasach człowiek ten poniósł wielkie straty. Jeżeli przedstawi mu się od razu te kwity — zbankrutuje.

– Suma sięga wielu tysięcy funtów – powiedział adwokat, rzuciwszy okiem na dokumenty.

– Tak – odparł klient.

– Jakże pan ma plany? – spytał adwokat.

– Plany! – zawołał nieznajomy. – Mam zamiar zastosować każdą ustawę, użyć każdego kruczka, jaki chytróść zdolna jest wymyślić, a łotrostwo w czyn wprowadzić. Uciec się do środków zarówno godnych, jak niegodnych, do najsurowszego prawa komentowanego przez najsprytniejszych specjalistów. Chciałbym, żeby umierał jak ostatni nędzarz i żebrak. Chcę go zrujnować, sprzedać jego majątności, pozbawić domu i dachu nad głową; niech spędzi stare lata w więzieniu i umrze jak pies!

– Ale koszty, kochany panie, koszty tego wszystkiego – powiedział adwokat, otrząsnawszy się ze zdumienia. – Jeżeli pozywający jest kimś podstawionym, kto będzie płacił?

– Żądaj pan, ile chcesz – powiedział przybysz. Ręce tak mu drżały ze wzruszenia, że z trudem trzymał pakiet. – Żądaj pan, ile chcesz. Nie bój się pan wymienić sumy. Zrozum, człowieku, że nie będę uważał jej za wygórowaną, jeżeli osiągniesz cel!

Adwokat wymienił sporą sumę, na chybił trafił, jako zaliczkę, którą musi pobrać na wypadek ewentualnych strat. Bardziej zresztą chodziło mu o to, żeby się przekonać, jak daleko sięga hojność klienta, niżby otrzymać to, czego żądał. Przybysz wypisał bez słowa czek na całą sumę i wyszedł..

Było to królewskie wynagrodzenie i adwokat przekonawszy się, że można zaufać dziwnemu klientowi, zabrał się poważnie do pracy. Od tego dnia pan Heyling przez dwa blisko lata był codziennym gościem w kancelarii adwokata... Wertował papiery, w miarę jak napływały; czytał je starannie; oczy błyszczały mu z zadowolenia, gdy piszący list błagał o



zwłokę, przedkładał, że czeka go nieodwołalna ruina, jeżeli przeciwnicy nie zechcą się ułożyć. Na wszystkie błagania o trochę wyrozumienia otrzymywał jedną odpowiedź: trzeba płacić. Ziemia, domy, meble – wszystko poszło na wyegzekwowanie licznych pretensji, które stopniowo napływały. A starzec dostałby się do więzienia za długi, gdyby nie udało mu się zmylić czujności policji i uciec.

Nieubłagana nienawiść Heylinga, bynajmniej nie zaspokojona rezultatem dotychczasowej akcji, wzrastała, w miarę jak postępowała ruina jego wroga. Kiedy dowiedział się o ucieczce starego, wściekłość jego nie miała granic. Zgrzytał zębami z gniewu, wrywał sobie włosy i wymyślał tym, którzy mieli czuwać nad starym. Uspokajał się tylko, gdy mu obiecywano ujęcie zbiega. Rozesłano szpiegów we wszystkich kierunkach. Zastosowano wszystkie środki, jakie tylko się nasunęły. Na próżno. Upłynęło pół roku, a stary się nie odnalazł.

Wreszcie kiedyś późną nocą Heyling, którego nie widziano od kilku tygodni, zjawił się nagle w prywatnym mieszkaniu adwokata i kazał mu powiedzieć, że jakiś gentleman ma do niego bardzo pilny interes. Zanim adwokat, który poznał jego głos, zdążył polecić służącej, by poprosiła pana Heylinga, ten wbiegł po schodach i zjawił się w salonie, blady i zdyszany. Zamknawszy drzwi, by nikt nie podsłuchiwał ich rozmowy, upadł na krzesło i powiedział cichym głosem:

– Cicho! Znalazłem go!

– No? – powiedział adwokat. – Doskonale, kochany panie! Doskonale!

– Ukrył się w nędznym mieszkaniu w Campden Town – powiedział Heyling. – Może to dobrze, żeśmy na jakiś czas stracili go z oczu, bo mieszkał tam sam... Samiuteńki, w nędzy! Jest biedny! Bardzo biedny!

– Doskonale – powiedział adwokat. – Oczywiście każe go pan jutro aresztować?

– Tak! – odrzekł Heyling. – Nie! Pojutrze! Pan dziwi się, że odkładam – dodał. – Ale coś sobie przypomniałem. Pojutrze przypada ważna rocznica w jego życiu... niech będzie pojutrze.

– Doskonale! – powiedział adwokat. – Może napiszemy instrukcję dla oficerów policji?

– Nie. Każ mu pan przyjść tu o ósmej wieczorem. Sam z nim pójde.

Spotkali się o umówionej porze. Wsiedli do dorożki i kazali się wieźć na róg Pancras Road, przy której stoi parafialny dom pracy. Już się ściemniło, zanim dojechali. Idąc wzdłuż ślepego muru przy szpitalu weterynaryjnym weszli w małą boczną uliczkę, która w owym czasie nazywała się Małą Kolegialną i która wówczas była zupełnie pusta, otoczona tylko parkanami i placami.

Naciągnawszy na twarz kaptur płaszcza, Heyling zatrzymał się przed najlichszym domkiem i ostrożnie zastukał do drzwi. Natychmiast otworzyła je jakaś stara kobieta. Heyling szepnął do oficera, żeby poczekał na ulicy, i ostrożnie wdrapał się po schodach. Otworzył drzwi frontowego pokoju i wszedł.

Przedmiot jego poszukiwań, nie ustającej nigdy nienawiści, teraz zgarbiony, stary człowiek, siedział przy odrapanym stole, na którym paliła się nędzna świeca. Drgnął na dźwięk otwierających się drzwi i wstał.

– Co jeszcze! Co jeszcze? Jakież jeszcze nieszczęście? — spytał stary. – Czego pan tu chce?

– Słówko zamienić z panem – odpowiedział Heyling. To mówiąc usiadł po przeciwnej stronie stołu i odrzucił kaptur z twarzy.

Staremu jakby odebrało mowę. Opadł na krzesło, splótł ręce i patrzył na przybysza wzrokiem, w którym był strach i groza.

– Akurat przed sześciu laty – zaczął Heyling – upomniałem się o życie, któreś mi pan był winien za życie mojego dziecka. Nad zwłokami pańskiej córki przysiągłem żyć po to, aby się zemścić. Ani na chwilę nie sprzeniewierzyłem się swojej przysiędze. Ale gdybym

nawet osłabł, to jedno wspomnienie zbolejących, cichych oczu, gdy umierała, lub wspomnienie wygłodzonej twarzyczki mojego dziecka dodałoby mi nowego bodźca. Pamięta pan chyba pierwszy akt mojej zemsty; dziś nadszedł ostatni. Starzec zadrżał i ramiona opadły mu bezwładnie.

– Jutro opuszczam Anglię – ciągnął Heyling. – Dziś skazuję pana na śmierć za życia – na co pan skazał ją – na bezterminowe więzienie.

Podniósł oczy na twarz starego i umilkł. Potem poświecił mu w twarz, ostrożnie opuścił świecę i wyszedł z pokoju.

– Niech pani pójdzie do starego – powiedział do kobiety, która otworzyła mu drzwi. Potem dał znak oficerowi, żeby z nim wyszedł na ulicę. – Zdaje się, że jest chory.

Stara zamknęła drzwi i szybko pobiegła na górę. Starzec nie żył:

Pod wielką płytą mogilną, na jednym z najcichszych i najbardziej ustronnych cmentarzy w hrabstwie Kent, na którym bujne kwiaty mieszają się z trawą, tworząc jeden z najpiękniejszych ogrodów w Anglii, spoczywają kości młodej matki i jej miłego dziecka. Ale popioły ojca nie połączyły się z ich popiołami. Od opisanej powyżej nocy adwokat nigdy w życiu nie otrzymał już znaku od swego dziwaczego klienta.

Skończywszy mówić, stary jegomość poszedł zdecydowanym krokiem do wieszadła w kącie pokoju i włożył kapelusz i płaszcz. Potem nie mówiąc słowa, wyszedł. Ponieważ gentleman w mozaikowych spinkach usnął, a większość towarzystwa była zaabsorbowana wesołą czynnością, jaką jest kapanie roztopionego łoju do szklanek z grogiem, pan Pickwick wycofał się niepostrzeżenie i zapłaciwszy rachunek za siebie i za Sama Wellera, wyszedł w towarzystwie tego gentlemana z gospody „Pod Sroką i Ogarkiem”.

## Rozdział dwudziesty drugi

### *Dzień pana Pickwicka w Ipswich i romantyczna przygoda z damą w średnim wieku i żółtych papilotach*

– Czy to są ruchomości twego gubernatora? – zapytał Weller swego syna na trzeci dzień po przytoczonej poprzednio rozmowie, gdy Sam z kufrem i torbą zjawił się na dziedzińcu oberży „Pod Bykiem” w Whitechapel. – Jakiś ty domyślny! – odparł pan Weller młodszy, składając swe brzemie i siadając na nim. – Gubernator zaraz tu przybędzie.

– Zapewne dorożką? – odrzekł ojciec.

– A tak! Za osiem pensów może przecież kupić sobie to, że go dwie mile trząść będą bezlitośnie – odparł syn. – Jak się ma macocha?

– Szczególnie, Sammy, szczególnie – odrzekł Weller poważnie. – Niedawno zabrnęła pomiędzy metodystów i stała się diabelnie pobożna. To istota zanadto dobra dla mnie. Czuję, że nie jestem jej godzien.

– Ha! – zawołał Sam. – Zbyt wielka skromność z twojej strony.

– Tak jest! – odparł ojciec, westchnąwszy. – Zajmuje się teraz jakimś nowym wynalazkiem: dorośli ludzie rodzą się niby drugi raz. Zdaje mi się, że nazywa to nowym życiem. Bardzo bym chciał zobaczyć, Sammy, jak ten wynalazek funkcjonuje. Bo gdyby twoja macocha naprawdę na nowo się narodziła, zaraz oddałbym ją do mamki. Wiesz, co one zrobiły niedawno? – ciągnął pan Weller po chwili milczenia, przykładając wielokrotnie palec do nosa – wiesz, co one zrobiły niedawno?

– Nie wiem; a co? – odparł Sam.

– Urządziły uroczystą herbatkę. Raz staję przed naszą oberżą i widzę małą kartkę z napisem: „Bilety po dwa szylingi, zgłaszać się do komitetu. Pani Weller, sekretarz”. Wchodzę do domu. Komitet zasiada w pokoju od dziedzińca.

Czternaście kobiet! Chciałbym, żebyś je usłyszał, Sammy! Wydawały zarządzenia, uchwały podatkowe, kontrybucje i tym podobne bzdury. Dobrze. Macocha twoja namawiała mnie, bym poszedł na posiedzenie; poszedłem licząc na to, że zobaczę coś śmiesznego. Płacę za bilet. W piątek o szóstej wieczorem wybieram się z żoną, ubrawszy się galanto.

Przychodzimy na pierwsze piętro; tam przygotowano filiżanek na jakieś trzydzieści osób. Gromada kobiet poczyną szeptać spoglądając na mnie, jak gdyby nigdy dotąd nie widziały gentlemiana w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat i odpowiedniej tuszy. Wtem słyszę wielki ruch na schodach. Ukazuje się chudy, długi jegomość z czerwonym nosem, w białej chustce na szyi i wyśpiewuje: – Oto idzie pasterz odwiedzić swą wierną trzodę. – Następnie zjawia się jegomość tłusty, biały i uśmiecha się jak małpa. – Pocałunek pokoju – powiada pasterz i całuje wszystkie kobiety po kolei. Gdy skończył, zaczyna to samo czerwono nosy. Wtedy przychodzi mi na myśl, że i ja mogę zrobić to samo, zwłaszcza że koło mnie siedzi dama szczególnie przystojna. Ale wtem zjawia się herbata i twoja macocha, która dotąd była zajęta na dole jej przyrzadzaniem. Więc zaczęto śpiewać hymn, a potem pić i jeść; ale jak pić i jeść! Chciałbym, byś widział, jak pasterz obrabiał szynkę i ciasta.

Czerwononosy także nie był z tych, których chciałbyś mieć na wikcie za ileś tam na miesiąc. Dobrze. Załatwiwszy się z pozywieniem, znowu beczą hymn, potem pasterz zaczyna kazanie. Kazanie piękne, zważywszy zwłaszcza, iż miał już niewątpliwie początki niestrawności po szynce i ciastach. Wtem zatrzymuje się, ryczy: Gdzie jest grzesznik? Gdzie jest nędzny grzesznik? – Wszystkie kobiety spoglądają na mnie i poczynają wzdychać. To wydało mi się dziwne, ale jeszcze nic nie mówiłem. Po chwili kaznodzieja zatrzymuje się znów, wpatruje się we mnie i mówi: Gdzie jest grzesznik? Gdzie jest nędzny grzesznik? – Kobiety zaczynają znów wzdychać, tylko dziesięć razy głośniej. Mnie zaczyna już trochę rozpierać oburzenie, robię więc parę kroków naprzód i mówię: – Mój przyjacielu, czy to do mnie stosujesz tę obserwację? – A on zamiast przeprosić mnie, jak to się praktykuje między gentlemanami, staje się jeszcze bardziej bezczelny. Nazywa mnie naczyniem, Sammy, naczyniem zatracenia i jakoś tam jeszcze, tak że aż krew się we mnie całkiem wzburzyła. Wydzielał mu wtedy dwa czy trzy szturchańce, tyleż z drugiej strony czerwono-nosemu, potem wynoszę się. Wtedy to chciałbym, byś słyszał wrzaski kobiet, Sammy, gdy wyciągały pasterza spod stołu... – Ale oto i gubernator we własnej osobie.

Rzeczywiście pan Pickwick wysiadł z powozu i wchodził na podwórze.

– Piękny poranek, panie – powiedział pan Weller starszy.

– Bardzo piękny! – odparł pan Pickwick.

– Rzeczywiście bardzo piękny – dodał jakiś rudowłosy jegomość z wścibskim nosem i niebieskimi okularami. Wygramolił się z powozu jednocześnie z panem Pickwickiem. – Pan jedzie do Ipswich?

– Jadę – odpowiedział pan Pickwick.

– Szczególny zbieg okoliczności. Ja również tam jadę!

Pan Pickwick ukłonił się.

– Ma pan miejsce na zewnątrz?

Pan Pickwick skłonił się znów.

– Boże wielki! To szczególnie! Ja także mam miejsce na imperiale – powiedział czerwono-włosy jegomość, który miał minę ważnego, sprytnego, tajemniczego człowieka (miał również zwyczaj mówiąc pochylać głowę, jak to robią ptaki), uśmiechnął się, jak gdyby udało mu się zrobić odkrycie, które uszczęśliwi cały świat.

– Miło mi, że będę w towarzystwie pana – powiedział pan Pickwick.

– A! – zawołał nowo przybyły. – To doskonale się składa dla nas obu, prawda? Towarzystwo, widzi pan, towarzystwo to... to rzecz zupełnie odmienna od samotności, prawda?

– Jest to prawda, której niepodobna zaprzeczyć – powiedział pan Weller, mieszając się do rozmowy z miłym uśmiechem. – Nazywam to jasnym postawieniem kwestii, jak powiedział hycel, kiedy kucharka zarzuciła mu, że nie jest gentlemanem.

– A! – powiedział czerwono-włosy gentleman, przyglądając się Wellerowi od stóp do głowy. – Czy to pański przyjaciel?

– Właściwie nie – powiedział pan Pickwick przyciszonym głosem. – To mój służący, ale pozwalam mu na pewną swobodę w zachowaniu. Mówiąc między nami, to wielki oryginał i dumny jestem z niego.

– A! – powiedział czerwono-włosy gentleman. – To rzecz gustu... Ja osobiście nie lubię nic oryginalnego. Nie widzę po prostu potrzeby, by istniało coś oryginalnego. Pozwól pan, że zapytam o nazwisko?

– Oto mój bilet wizytowy – odpowiedział filozof, którego poczynąła bawić wścibskość nieznajomego.

– A! – rzekł rudowłosy, chowając bilet – pan Pickwick. Bardzo mi miło. A to mój bilet, panie. Nazywam się Magnus. Prawda, że to piękne nazwisko?

– Bardzo piękne – odrzekł pan Pickwick, tłumiąc śmiech.

– A przy tym mam i imię bardzo piękne: Piotr, Piotr Magnus. To dźwięczy pięknie.

– Bardzo pięknie.  
– Szczególne są zwłaszcza litery początkowe: *P. M, post meridiem*. Gdy się śpieszę, podpisuję się nieraz na listach do dobrych znajomych po prostu „popołudnie”. To bardzo bawi moich znajomych.

Wtem wszedł stajenny z oznajmieniem, że dyliżans gotów.

– A rzeczy moje już włożone? – zapytał pan Magnus.

– Włożone, panie.

– I czerwona torba?

– I torba, panie.

– I druga torba, w pasy?

– Jest w walizie.

– I paczka w szarym papierze?

– Pod kozłem.

– I skórzane pudło na kapelusze?

– I to jest.

– Więc siadaj pan – rzekł pan Pickwick.

– Za pozwoleniem pana – powiedział pan Magnus – za pozwoleniem pana, panie Pickwick! Nie mogę wyjechać w tym stanie niepewności! Z zachowania się tego człowieka wnioskuję, że pudła nie ma w powozie!

Solenne zapewnienia oberżysty nie zyskały wiary u pana Magnusa, musiano wyciągnąć skórzane pudło spod wszystkich pakunków i dopiero wtedy przekonał się, że rzeczywiście zostało włożone do wozu. Kiedy już się upewnił co do losu swego nakrycia głowy, ogarnęły go nagle złe przeczucia, że zapomniano o czerwonej torbie, następnie, że ukradziono pasiastą torbę, a wreszcie, że paczka w szarym papierze rozwiązała się. W końcu, kiedy się naocznie przekonał o bezpodstawności każdego ze swych przypuszczeń, zgodził się wleźć na imperiał, przy czym oznajmił, że teraz, kiedy wszystko już w porządku, czuje się zadowolony i szczęśliwy.

– Trochę pan nerwowy, co? – spytał pan Weller senior patrząc, jak pan Magnus gramoli się na dach dyliżansu.

– Tak... zawsze boję się o drobiazgi... Ale teraz jest mi już dobrze... zupełnie dobrze!

– To całe szczęście – odrzekł pan Weller. – Sammy, dopomóż swemu panu wsiąść! Drugą nogą, panie, tak! Teraz podaj mi pan rękę! Hop! Musiałeś pan być lżejszy, gdyś był przy piersi u matki!

– To bardzo prawdopodobne! – wesoło powiedział pan Pickwick, siadając.

– Skacz na kozioł, Sammy – powiedział Weller. – No, William, otwieraj! Uwaga na sklepienie, panowie! Na głowy, jak się to mówi! Starczy, William! – i dyliżans ruszył w kierunku Whitechapel, ku radości całej gawiedzi tej gęsto zaludnionej dzielnicy.

– Niezbyt miłe sąsiedztwo – powiedział Sam, dotykając ręką kapelusza, od czego zwykle zaczynał rozmowę ze swoim panem.

– Rzeczywiście, Samie! – powiedział pan Pickwick, patrząc na ciasne i ruchliwe uliczki, którymi przejeżdżali.

– Dziwne to, proszę pana – ciągnął Sam – że nędza i ostrygi zawsze idą w parze.

– Nie rozumiem cię, Sam! – powiedział pan Pickwick.

– Chcę powiedzieć, proszę pana – tłumaczył się Sam – że im biedniejsza dzielnica, tym większe wydaje się zapotrzebowanie na ostrygi. Proszę, niech pan spojrzy. Prawie w każdym domu stragan z ostrygami. Ulica jest formalnie zapchana nimi. Mam wrażenie, że kiedy nędza bardzo dokuczy komu, to wybiega on z mieszkania i z rozpacy objada się ostrygami.

– Oczywiście – powiedział Weller starszy. – Tak samo jest z marynowanym łososiem.

– To bardzo ciekawe fakty. Nigdy nie zauważyłem ich dotąd – powiedział pan Pickwick. – Na pierwszym postoju zaraz to sobie zanotuję.

Tymczasem dojechali do rogatki przy Mile End. Przez dalsze dwie czy trzy mile panowała głęboka cisza, po czym pan Weller starszy, odwracając się do pana Pickwicka, powiedział:

– A taki szczupak to dobrze sobie żyje.

– Kto? – spytał pan Pickwick.

– Szczupak.

– Co pan rozumie przez słowo szczupak? – zapytał Piotr Magnus.

Stary mówi o wartowniku przy rogatce – wyjaśnił Weller młodszy.

– A! rozumiem! – powiedział pan Pickwick. – Bardzo ciekawe życie. Bardzo urozmaicone! Bardzo wygodne!

– Wszystko to są ludzie zniechęceni do życia – powiedział pan Weller senior.

– A? – spytał pan Pickwick.

– Tak jest. Odsunęli się od świata i żyją na rogatkach. Trochę dlatego, że szukają samotności, a trochę, żeby mścić się na ludziach przez pobieranie myta.

– Jak Boga kocham! – zawołał pan Pickwick. – Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– Fakt, proszę pana – powiedział Weller. – Gdyby to byli gentlemani, powiedzielibyśmy, że to mizantropi, ale tak – mówi się po prostu: szczupaki.

Takimi rozmowami, posiadającymi jednocześnie czar rozrywki i pożytku, łagodził pan Weller uciążliwość podróży trwającej większą część dnia. Tematów do rozmowy nigdy nie zabrakło, gdyż jeżeli nawet w elokwencji pana Wellera następowała pauza, natychmiast wypełniały ją gorące domagania się pana Magnusa, który pragnął poznać historię życia wszystkich towarzyszy podróży, przy czym na każdym postoju wyrażał obawę o los dwóch torb, skórzanego pudła na kapelusze i paczki w szarym papierze.

Przy głównej ulicy Ipswich, po lewej stronie drogi, parę kroków za otwartym placikiem przed ratuszem, znajduje się oberża znana szeroko i daleko jako oberża „Pod Wielkim Białym Koniem”. Nad głównymi jej drzwiami mieści się jego ogromny kamienny wizerunek, przedstawiający czworonożne to zwierzę z rozwianą grzywą i ogonem, podobne nieco do piwowarskiego konia, który dostał pomieszania zmysłów. Oberża ta słynna jest z tego, z czego słynie jakiś nagrodzony na wystawie wół albo zapisany w historii okolicy burak, albo olbrzymi wieprz – mianowicie ze swej potwornej wielkości. Posiada ona cały labirynt korytarzy i mnóstwo pokoi, wilgotnych i źle oświetlonych, tudzież taką samą ilość małych gabinetów. Tu właśnie zatrzymał się dylizans i tu wysiedli pan Pickwick, Sam i pan Piotr Magnus.

– Czy pan zatrzyma się tu? – zapytał pan Magnus filozofa, zabrawszy wszystkie swe rzeczy.

– Tak jest, panie.

– Boże wielki! – zawołał pan Magnus. – Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się coś równie dziwnego! Ja także tu się zatrzymam. Spodziewam się, że będziemy razem jedli obiad?

– Z przyjemnością! Ale przedtem muszę się dowiedzieć, czy nie ma tu moich przyjaciół. Garson – czy nie ma tu gentlemana nazwiskiem Tupman?

Korpulentny jegomość z serwetką sprzed tygodnia pod pachą i w pończochach z tej samej epoki na nogach, nie śpiesząc się, przerwał swoje zajęcie, które można by określić jako gapienie się na ulicę, i zwrócił się do pana Pickwicka. Przez chwilę przyglądał się gentlemanowi od stóp do głowy, po czym powiedział z emfazą:

– Nie.

– Ani gentlemana nazwiskiem Snodgrass? – pytał pan Pickwick.

– Nie.

– Ani pana Winkle’a?

– Nie.

– Przyjaciele moi jeszcze nie przyjechali – powiedział pan Pickwick. – Będziemy więc jedli obiad we dwóch. Proszę wskazać nam osobny pokój.

Na to uprzejme żądanie korpulentny człowiek kazał posługaczom wnieść bagaże gentlemanów, a minawszy długi i ciemny korytarz, wprowadził ich do wielkiego, paskudnie umeblowanego pokoju, w którym mały ogienek na kominku robił bohaterskie wysiłki, by być wesołym, lecz tlił się zaledwie, poddając się smutkowi otoczenia. Po godzinie podano podróżnym kawałek ryby i porcję wołowiny, a gdy sprzątnięto ze stołu, pan Pickwick i pan Magnus przysunęli sobie krzesła do kominka i dla dogodzenia oberżycie zamówili butelkę porto, najgorszego, jakie kiedykolwiek pili, ale za to za najwyższą cenę, jaką kiedykolwiek zapłacili – a dla dogodzenia sobie uraczyli się grogiem.

Pan Magnus z natury był bardzo rozmowny, wpływ grogu zaś tak nań podziałał, że wypowiedział wszystko, co miał na sercu. Nagadawszy się o sobie, swej rodzinie, stosunkach, przyjaciółach i interesach, pan Magnus przez kilka minut wpatrywał się w milczeniu w twarz pana Pickwicka, a potem zapytał wstydlawie:

– A teraz, jak pan myśli, po co tu przyjechałem?

– Daję panu słowo, iż nie potrafię tego odgadnąć; zapewne w jakimś interesie.

– Odgadł pan, ale niezupełnie. No, próbuj pan dalej!

– Wybacz pan, ale doprawdy, że nie potrafię, choćbym myślał całą noc.

– No, no! Chi, chi! – zaśmiał się pan Magnus – co pan powie na to, gdy mu wyjawię, iż przyjechałem oświadczyć się pewnej damie! Chi! chi! chi! Co?

– Odpowiem – odrzekł nasz przyjaciel z najsłodszymszym uśmiechem – odpowiem, iż prawdopodobnie powiedzie się panu.

– O! Panie Pickwick! Czy doprawdy pan tak myśli?

– Tak myślę.

– E! Żartuje pan!

– Nie, nie żartuję!

– Otóż powiem panu w sekrecie, iż i mnie się tak zdaje. Nawet powiem panu, chociaż jestem zazdrosny jak tygrys, że dama znajduje się tu, w tej oberży. – To mówiąc, pan Magnus zdjął swoje szafirowe okulary, by mrugnąć okiem, po czym znowu je włożył.

– Więc dlatego – rzekł pan Pickwick z uśmiechem – wybiegał pan co chwila podczas obiadu?

– Ts!... Dlatego. Ale niegłupim iść do niej teraz.

– A to czemu?

– Nie można tak zaraz. Jutro będę miał więcej szans. W torbie podróżnej mam ubranie, a w pudle kapelusz, które, spodziewam się, sprawią wielki efekt.

– O!

– Tak, tak, panie. Nie wierzę, by kto mógł mieć taki frak i taki kapelusz!

Nastąpiło milczenie, pan Magnus pogrążył się w zadumie. Po chwili powiedział:

– To cudna istota! Mieszka osiemnaście mil stąd. Dowiedziałem się, że tu dziś przybędzie, i natychmiast postanowiłem skorzystać z tej okoliczności... Moim zdaniem, oberża jest bardzo odpowiednim miejscem, by niezameżonej kobiecie zrobić propozycję małżeńską. W czasie podróży kobieta bardziej odczuwa swe osamotnienie niż u siebie w domu. Co pan o tym myśli?

– Myślę, że to bardzo możliwe – odparł zapytany.

– Ale proszę mi wybaczyć – rzekł pan Magnus. – Z natury jestem bardzo ciekawy; po co pan tu przyjechał? Rumieniec wystąpił na twarz pana Pickwicka.

– Powód mego tu przybycia – odpowiedział – wcale nie jest przyjemny. Przybyłem tu, by wykazać przewrotność i fałszywość osoby, w której honorze pokładałem całe zaufanie.

– Ach! To niemiła rzecz! To pewno dama! A, a! Łotrzyk z pana! Łotrzyk! Ale nie oddawaj się pan rozpaczy. Ja wiem, co to znaczy być zdradzonym; zdarzyło mi się to już kilka razy.

– Dziękuję panu za współczucie w sprawie, którą uważa pan za przyczynę mego wzburzenia – odrzekł filozof, kładąc swój zegarek na stole – ale...

– Nie, nie mówmy o tych przykrych rzeczach – przerwał pan Magnus, a potem spojrzawszy na zegarek, zawołał: – Boże! Już po północy! A ja jeszcze nie śpię! Jutro będę blade wyglądać! Która godzina u pana, panie Pickwick?

– Po dwunastej.

Przerażony tym, pan Magnus zadzwonił na służącą. Gdy wreszcie torba w pasy, torba czerwona, skórzane pudło na kapelusze i paczka w szarym papierze przetransportowane zostały do sypialni, właściciel ich wziął wykładany laką lichtarz i ruszył aż na koniec domu, a tymczasem pan Pickwick i taki sam lichtarz przeprowadzony został przez cały labirynt pogmatwanych korytarzy w przeciwną stronę oberży.

– Oto jest pokój pana – rzekła służąca.

Była to dość duża sala o dwóch łóżkach, w której palił się ogień – w każdym razie znacznie miłsze miejsce pobytu, niż tego mógł się pan Pickwick spodziewać, sądząc po krótkich doświadczeniach poczynionych „Pod Wielkim Białym Koniem”.

– Rozumie się – rzekł pan Pickwick – że w tym drugim łóżku nikt nie śpi.

– Nikt, panie – odrzekła dziewczyna.

– Bardzo dobrze. Powiedz mojemu służącemu, iż go dziś nie potrzebuję. Jutro rano niech mi przyniesie gorącej wody.

Służąca wyszła, a pan Pickwick usiadł w fotelu i zamyślił się. Najpierw pomyślał o swoich przyjaciółkach – kiedy się z nimi zobaczy? Potem myśli jego pobiegły do pani Marty Bardell. A od tej damy, oczywiście, powędrowały do brudnej kancelarii panów Dodsona i Fogga. Od panów Dodsona i Fogga skoczyły po przekątnej w sam środek historii o dawnym kliencie, potem wróciły „Pod Wielkiego Białego Konia” w Ipswich, co ostatecznie przekonało pana Pickwicka, że zasypia. Wstał więc i począł się rozbierać, ale nagle przypomniał sobie, że zostawił zegarek na stole w jadalni.

Był to ulubiony zegarek pana Pickwicka. Nosił go w zaciszu swojej kamizelki dłużej, niż chcielibyśmy mu to na tym miejscu wypominać. Myśl, że mógłby zasnąć nie słysząc jego tykania pod poduszką lub na pantofelku nad łóżkiem, nigdy nie powstała w jego głowie. Ponieważ było już późno, nie chciał dzwonić na służbę. Narzucił surdut, który zdjął przed chwilą, i wzięwszy lichtarz ostrożnie zaczął schodzić na dół.

Im więcej schodów mijał pan Pickwick, wydawało mu się, że jest ich tym więcej. Za każdym razem, gdy natrafiał na wąski korytarz i wieszował sobie, że jest już na parterze, nowa kondygnacja schodów zjawiała się przed jego zdumionymi oczyma. Wreszcie trafił na kamienną sień – pamiętał, że przez nią wszedł do oberży. Przeszedł jeden korytarz po drugim. Zaglądał do każdego pokoju. Wreszcie, gdy już stracił nadzieję i postanowił dać pokój poszukiwaniom, otworzył drzwi pokoju, w którym spędził wieczór, i ujrzał swoją własność leżącą na stole.

Pan Pickwick triumfalnie schwycił zegarek i puścił się w powrotną drogę do sypialni. Ale jeżeli schodzenie po schodach połączone było z wieloma trudnościami i niepewnością, to wchodzenie po nich było o wiele kłopotliwsze. Całe rzędy drzwi, przed nimi trzewiki rozmaitego autoramentu, wielkości i kształtu, krzyżowały się w rozmaitych kierunkach. Kilkanaście razy pan Pickwick ostrożnie kręcił kluczem we drzwiach do jego drzwi podobnych, ale gdy z wewnątrz odpowiadano: – Ki diabeł? – albo: – Czego? – cofał się na palcach z prawdziwie cudowną szybkością. Już ogarniała go rozpacz, gdy nagle zatrzymał się przy drzwiach na wpół otwartych i zajrzał. Nareszcie! W pokoju stały dwa łóżka – doskonale pamięta ich sytuację! a na kominku tlił się ogień. Świeca – nie była długa, gdy mu



ją wręczono – stopniała i zagała właśnie w chwili, gdy wchodził. – Mniejsza o to – powiedział pan Pickwick. – Mogę się rozebrać przy ogniu kominka!

Łóżka stały na prawo i na lewo od drzwi. Od ściany dzieliło je wąskie przejście, akurat tak szerokie, by można było swobodnie wejść i rozebrać się – jeżeli ktoś wolał tę stronę. Stało tam również trzcinowe krzesło. Zasuńawszy starannie firanki łóżka od zewnątrz, pan Pickwick przykucnął na twardym krzeselku i leniwie uwolnił się z trzewików i pończoch. Następnie zdjął surdut, kamizelkę, chustkę na szyję i wyjąwszy ostrożnie szlafmycę wsunął ją sobie na głowę, wiążąc pod brodą tasiemki, które zawsze zdobią tę część garderoby. Podczas tej czynności przypomniał sobie swoją wędrówkę po korytarzach i roześmiał się tak serdecznie, że zaiste, miło byłoby każdemu patrzeć, jak uśmiech rozjaśnia jego łagodną twarz wychylającą się ze szlafmycy.

„Co za pomysł! – powiedział pan Pickwick do siebie, śmiejąc się tak, że prawie cały schował się w szlafmycę. – Co za pomysł! Zabłądzić w korytarzach i tłuc się po schodach! Nigdy nie zdarzyło mi się nic podobnego! Zabawne! Strasznie zabawne!” Tu pan Pickwick uśmiechnął się znów i nawet miał zamiar roześmiać się, zaczął się też w najlepszym usposobieniu rozbierać dalej, gdy przerwało mu tę czynność zdarzenie wprost niesłychane. Ni mniej, ni więcej tylko do pokoju weszła jakaś osoba i postawiła na stole świecę.

Śmiech, który wykrzywił usta pana Pickwicka, zamienił się w wyraz największego zdumienia. Osoba weszła do pokoju tak szybko i cicho, że pan Pickwick nie miał czasu krzyknąć, żeby przeszkodzić temu. Kto to mógł być? Złodziej? Ktoś, kto widział, jak szedł po schodach z cennym zegarkiem w rękę? Co tu począć?!

Chcąc śledzić tajemniczego gościa, a samemu nie być przez niego widzianym, musiał pan Pickwick wdrapać się na łóżko i wyrzeć przez szparę w firankach. Zdecydował się na ten manewr. Podtrzymując firanki tak, żeby wystawała tylko głowa w szlafmycy, pan Pickwick nałożył okulary i zebrawszy całą swoją odwagę – wyrzął.

Omal nie zemdlął z przerażenia. Przed zwierciadłem stała dama w średnim wieku, ozdobiona papilotami z żółtej bibułki, które właśnie doprowadzała do porządku. Ze wszystkiego można było wnosić, że nowo przybyła najspokojniej przygotowuje się do spędzenia nocy w tym samym pokoju! Przyniosła ze sobą świecę z abażurkiem i w obawie przed pożarem postawiła ją w miednicy napełnionej wodą. Świeca ta błyszcziała jak olbrzymia latarnia morska w morzu stosunkowo bardzo małym.

„Niech Bóg ma mnie w swojej opiece! Co za okropność” – pomyślał pan Pickwick.

Dama ruszyła się i w tej samej chwili głowa filozofa z szybkością marionetki skryła się za firanki.

„Nigdy nie słyszałem o tak okropnej awanturze – powiedział sobie w duchu biedny pan Pickwick, którego szlafmyca oblała się zimnym potem. – Nigdy! To coś strasznego!”

Jednak nie mogąc oprzeć się chęci zobaczenia, co się dzieje w pokoju, znowu wysunął głowę zza firanek.

Położenie pogarszało się. Dama w średnim wieku ułożywszy starannie włosy ukryła je pod nocnym czepkiem i poczęła patrzeć na ogień w sposób melancholijny i rozmarzony.

„Tak dłużej być nie może – rozumował sobie pan Pickwick. – Z postępowania tej damy wnoszę, że wszedłem nie do swojego pokoju. Jeżeli przemówię, narobi gwałtu w całym domu; jeżeli pozostanę, skutki mogą być jeszcze straszliwsze”.

Pan Pickwick, nie potrzebujemy tego powtarzać, był jednym z najskromniejszych i najdelikatniejszych śmiertelników. Sama myśl, że tej damie pokaże się w szlafmycy, przyprowadziła go o dreszcz, ale te przeklęte tasiemki spletały się w węzeł, którego za żadną cenę nie mógł teraz rozsupłać. A jednak musiał wyjść z ukrycia! Pozostał mu tylko jeszcze jeden wybieg. Ale tu znalazł, iż trzeba raz stanowczo rozwiązać zawilóść. Cofnął się więc za firanki i głośno chrząknął:

– Hm, hm!

Na te niespodziewane dźwięki dama drgnęła, ale wkrótce przyszło jej na myśl, iż nie ma powodu do strachu, i gdy pan Pickwick myśląc, iż co najmniej zemdląca z przerażenia, odważył się spojrzeć zza firanek, dama znowu patrzyła w ogień na kominku, melancholijna i rozmarzona.

„Odważna kobieta” – pomyślał pan Pickwick, cofając głowę.

– Hm, hm! — powtórzył raz jeszcze.

Te ostatnie dźwięki, aż nazbyt podobne do tych, którymi dziki olbrzym Blumberbore, jak mówi bajka, zwykle wyrażał mniemanie, iż czas już nakryć do stołu, były zbyt wyraźne, by to można było uważać za przywidzenie wyobraźni.

– Boże! – krzyknęła dama – co to jest!

– To tylko gentleman, pani – odezwał się pan Pickwick zza firanek.

– Gentleman! – zawołała przerażona dama. „Stało się!” – pomyślał pan Pickwick.

– Mężczyzna w moim pokoju! – krzyknęła dama i rzuciła się ku drzwiom.

Pan Pickwick słyszał szelest sukni, gdy podchodziła do drzwi. Jeszcze chwila, a cały dom będzie na nogach.

– Pani! – zawołał w przystępie rozpacz, pokazując głowę. – Pani!

Wysuwając głowę zza firanek, pan Pickwick nie miał niezawodnie żadnego określonego celu. A jednak ukazanie się jego wywarło dobry skutek. Dama, która już była przy samych drzwiach, na widok filozoficznej szlafmicy cofnęła się w głąb pokoju i ze strachem poczęła przyglądać się panu Pickwickowi, który patrzył na nią także ze strachem.

– Nędzniku! – zawołała wreszcie dama, zasłaniając sobie oczy ręką. – Co pan tu robi?

– Nic pani!... Nic a nic!... – odpowiedział pan Pickwick z zapalem.

– Nic! – powtórzyła dama, szeroko otwierając oczy.

– Nic, pani! Na honor, nic! – powtórzył pan Pickwick, potrząsając tak energicznie głową, że chwost na szlafmicy tańczył jak opętany. – Czuję się nadzwyczaj zmieszany przemawiając do damy w szlafmicy (tu dama szybko zerwała własny nocny czepek z głowy), schowałbym się pod ziemię ale nie mogę rozwiązać węzła (tu pan Pickwick pociągnął ze straszliwą siłą tasiemki, na dowód prawdy swych słów). Teraz, pani, widoczne jest dla mnie, iż wszedłem do niewłaściwego pokoju. Znajdowałem się tu dopiero od pięciu minut, zanim pani weszła.

– Jeżeli ta niepojęta historia jest prawdziwa – odrzekła dama, łkając gwałtownie – to natychmiast opuści pan ten pokój.

– Owszem, pani, z największą przyjemnością.

– Natychmiast, panie! – powtórzyła dama.

– Oczywiście – szybko potwierdził pan Pickwick. – Ja... ja... jestem niepokieszony – mówił dalej, ukazując się przy łóżku – że jestem mimowolną przyczyną niepokieszony pani i wzburzenia; po prostu niepokieszony, pani.

Dama wskazała drzwi.

W tym krytycznym momencie, w położeniu tak kłopotliwym, jeden z wielkich przymiotów pana Pickwicka ukazał się w całej pełni. Chociaż w pośpiechu wsadził sobie kapelusz na szlafmicy, sztylpy i kamasze wziął do rąk, a surdut pod pachę, nic nie zdołało zmniejszyć jego galanterii.

– Nadzwyczaj mi przykro – rzekł, kłaniając się bardzo nisko.

– Jeżeli tak, to wyjdź pan! – odparta dama.

– Natychmiast, pani, w tej chwili – rzekł filozof, otwierając drzwi i upuszczając trzewiki – ale pochlebiam sobie – mówił dalej, podnosząc obuwie i z głębokim ukłonem zwracając się do damy – pochlebiam sobie, że nieskazitelny charakter i szacunek, jaki mam dla płci pani, przemówią za mną...

Ale nie skończył tej sentencji, gdyż dama wypchnęła go na korytarz, zamknęła drzwi i zaryglowała je.

Chociaż filozof nasz mógł odczuwać pewne zadowolenie, iż przykra jego awantura zakończyła się w taki sposób, obecne wszakże jego położenie nie było wcale do pozazdroszczenia.

Znajdował się sam, na pół ubrany na korytarzu nieznanego domu i w nocy. Trudno było przypuszczać, aby wśród ciemności potrafił znaleźć swój pokój, gdy go nie mógł odszukać przy świetle; a gdyby w swych bezowocnych poszukiwaniach narobił gdzieś choćby trochę hałasu, narażał się na zastrzelenie z pistoletu przez jakiegoś nagle przebudzonego podróżnego.

Nie pozostawało mu więc nic innego, jak pozostać tam, gdzie był, aż do świtu.

Toteż zrobiwszy jeszcze kilka kroków, usiadł w kącie, by czekać poranka, jak można najfilozoficzniej.

Ale nie chciał o przeznaczenie narażać go na tę nową próbę. Zaledwie kilka minut siedział w kącie, gdy ku wielkiemu swemu przerażeniu ujrzał w korytarzu człowieka ze świecą. Przerażenie to jednak rychło zmieniło się w radość, gdyż w nadchodzącym poznał wiernego swego sługę. Był to rzeczywiście Samuel Weller, który zamierzał udać się na spoczynek. Do tej chwili zabawiał się rozmową z parobkiem, który oczekiwał poczty.

– Sam! – zawołał pan Pickwick, nagle ukazując się – gdzie jest mój pokój?

Sam spojrział na swego pana z największym zdziwieniem i dopiero po trzykrotnie powtórzonym pytaniu zrobił zwrot w lewo i zaprowadził mędrca do pokoju, tak długo szukanego.

– Samie! – rzekł pan Pickwick, kładąc się do łóżka. – Dzisiejszej nocy wydarzyło mi się najciekawsze *qui pro quo*, o jakim kiedykolwiek słyszano.

– Bardzo możliwe, proszę pana! – odpowiedział Sam służebnie.

– I dlatego postanowiłem, choćbym miał sześć miesięcy mieszkać w tym domu, że już nigdy sam nie wyjdę z tego pokoju!

– To najrozsądniejsze postanowienie, jakie pan mógł zrobić! – odpowiedział pan Weller. – Pan powinien koniecznie mieć kogoś przy sobie, kiedy się pan wybiera z wizytą!

– Co chcesz przez to powiedzieć, Samuelu? – spytał pan Pickwick, podnosząc się na łóżku i wyciągając ramię, jak gdyby i on miał coś jeszcze do powiedzenia. Ale nagle zmienił zamiar, odwrócił się i rzucił służącemu: – Dobranoc!

– Dobranoc panu! – powiedział Samuel. Wyszedłszy za drzwi przystanął, pokiwał głową, przeszedł parę kroków, znów przystanął, zgasił świecę, znów pokiwał głową i w końcu udał się do swego pokoju, pogrążony w głębokich medytacjach.

## Rozdział dwudziesty trzeci

### *w którym pan Samuel Weller przygotowuje się do energicznego rozegrania meczu Weller-Trotter*

Nazajutrz rano, po nocy, w której panu Pickwickowi przydarzyła się przygoda z damą w średnim wieku i papilotach, w małym pokoju przy stajni siedział pan Weller starszy zajęty przygotowaniem do podróży. Siedział tak doskonale nieruchomo, jakby pozował do portretu.

Możliwe, że kiedyś profil pana Wellera miał wyraźny i ostry zarys, oblicze jego jednak rozlało się z czasem, do czego przyczyniło się dobre życie i skłonność do rezygnacji. Jędrne, mięsiste policzki zajęły w końcu o wiele więcej miejsca, niż im natura przeznaczyła; toteż gdy patrzyłeś na twarz pana Wellera z przodu, zaledwie dojrzeć mogłeś mały koniec rubinowego nosa. Broda jego, z tych samych przyczyn przyjęła ów kształt, jaki zwykle określa się słowem „podwójna”. Cera pana Wellera przedstawiała tę szczególną mieszaninę barw, jaką spotykamy tylko u gentlemanów jego profesji i w nie dopieczonym rostbefie. Szyję miał okręconą chustką podróżną, która zlewała się z jego brodą w sposób tak wyjątkowy, że trudno było rozróżnić, gdzie kończą się fałdy skóry, a gdzie zaczynają się fałdy chustki. Ubrany był w kamizelkę w wielkie czerwone rzuty i w zielony, głęboko wycięty surdut, ozdobiony wielkimi guzikami, z których dwa, przypadające na piersi, tak były szeroko rozstawione, że trudno je było zobaczyć jednocześnie. Włosy, krótkie, szorstkie i czarne, zaledwie wyglądały spod niskiego, brązowego kapelusza. Nogi odziane były w krótkie spodnie do kolan i w brązowe, farbowane buty. Tombakowy łańcuszek od zegarka i wielki klucz z tego samego metalu dyndały swobodnie na kamizelce.

Powiedzieliśmy, że pan Weller zajęty był przygotowaniem do podróży; rzeczywiście, pożywał się. Na stole stał przed nim kufel, talerz zimnej wołowiny i chleb bardzo przyzwoitych rozmiarów. Każdemu z tych przedmiotów Weller kolejno poświęcał swą uwagę z wzorową bezstronnością, gdy wtem dały się słyszeć kroki w korytarzu i syn stanął przed nim.

– Dzień dobry, Sammy – rzekł Weller senior.

Sam sięgnął po kufel z piwem i zamiast odpowiedzi wychylił spory łyk.

– Masz dobry spust – rzekł na to ojciec, zaglądając do wnętrza kufla, który jego pierwotny postawił na wpół wypróżniony na stole – byłaby z ciebie znakomita pijawka, gdybyś się był urodził w tej kondycji.

– Tak, sądzę, że i w tym zawodzie potrafiłbym dokonać czegoś niezwykłego – odpowiedział Sam, żywo zabierając się do wołowiny.

— Bardzo jestem oburzony, Sammy — zaczął znów Weller senior, zakreślając kuflem kółka po stole, by zamieszać resztę piwa – bardzo jestem oburzony tym, że tak cię wyfrycował ten fioletowy smyk. Aż do tego dnia myślałem, że wyrazy „Weller” i „wyfrycowany” nigdy spotkać się nie mogą.

– Z wyjątkiem wypadków, gdy chodzi o wdowy – rzekł Sam.

– Wdowy, Sammy – odrzekł ojciec, mieniać się nieco – wdowy są wyjątkiem ze wszystkich reguł. Mówiono mi kiedyś, ile to zwyczajnych kobiet warta jest jedna wdowa, gdy chodzi o wyprowadzenie w pole. Zdaje mi się, że dwadzieścia pięć, Sammy, ale bodaj czy nie więcej.

– Dwadzieścia pięć to już piękna liczba – zauważył Sam.

– Zresztą – mówił dalej Weller, nie zwracając uwagi na wtręty Sama – to zupełnie co innego. Wiesz, co powiedział adwokat o tym gentlemanie, co to bijał swoją żonę, gdy był wesoły: – W końcu, milordzie, nie jest to nic więcej, tylko słabostka. – Otóż ja powtarzam to samo w zastosowaniu do wdów; jak będziesz miał moje lata, Sammy, to także będziesz tego zdania.

– O! zdaje mi się – odrzekł syn – że nie! Zdaje mi się, że będę mądrzejszy!

– Mądrzejszy! – powtórzył Weller, uderzając pięścią w stół – mądrzejszy! Ale ja znam chłopaka, który nie ma ani czwartej części twojej edukacji, który nawet sześciu miesięcy nie wałęsał się po ulicach... a który, gdyby go tak wyfrycowano jak ciebie, zaczerwieniłby się po same białka! Nie, Sammy – temu by się nie zdarzyło coś podobnego.

Wzburzenie, jakiego doznał Weller wskutek tych refleksji, tak nań podziałało, iż zadzwonił i kazał podać jeszcze jeden kufel piwa.

– No, no! Co tu o tym rozprawać – zauważył Sam. – Co się stało, to się stało i nie ma na to lekarstwa, jak mówią Turcy, gdy przez omyłkę utną głowę jakiemu niewinnemu. Przyjdzie i na mnie kolej, gubernatorze, a jeżeli kiedy złapię tego Trottera, to popamięta on mnie!

– Spodziewam się – odrzekł Weller z powagą. – Twoje zdrowie, Sammy, i obyś co najprędzej mógł zmyć tę plamę z naszej rodziny.

By uczcić ten toast, potężny stangret przełknął od razu przynajmniej trzy ćwierci z kufła piwa, po czym resztę podał synowi.

– A teraz, Sammy – mówił dalej, spoglądając na ogromny srebrny zegarek zawieszony na grubym miedzianym łańcuchu – muszę pójść do biura po kartę podróżną i zobaczyć, jak załadowano dyliżans. Bo dyliżanse, Sammy, są jak armaty, które bacznie trzeba ładować, nim się je puści w ruch.

Na ten z dziedziny zajęć ojca wzięty dowcip Weller junior odpowiedział uśmiechem dziecięcej miłości. Jego szanowny życiodawca tak ciągnął dalej:

– Opuszczam cię, Sammy, mój chłopcze; nie wiem, kiedy znów się zobaczymy. Honor rodziny spoczywa w twoim ręku i spodziewam się, że spełnisz swoją powinność. Wiem, że można ci najzupełniej zawierzyć. Przyjm więc tę małą radę od ojca: kiedy ci minie pięćdziesiąt lat i zechcesz się żenić, mniejsza o to, z kim, to czym prędzej zamknij się w osobnym pokoju, gdy go będziesz miał, i natychmiast otruj się. Wiesz, że to rzecz pospolita; nie rób tego głupstwa. Ale otruj się, mój chłopcze, otruj się, potem będziesz mi wdzięczny za radę.

Weller poważnie spoglądał na syna, wymawiając te czułe słowa. Potem wykonał ukłon, wysuwając prawą nogę naprzód, a obcasem zataczając półkole, i znikł Samowi z oczu.

Ostatnie rady ojca rozbudziły w Samie mnóstwo ponurych myśli, wyszedł więc z oboziska i poszedł ku kościołowi św. Klemensa, by się orzeźwić nieco przechadzką... Jakiś czas chodził samotny po starych zakamarkach, wreszcie znalazł się w jakimś dziedzińcu, a chcąc wrócić, dostrzegł, iż jest tylko jedno wyjście. Zmierzał więc ku niemu, gdy wtem skamieniał na widok zjawiska, które tu zaraz opisujemy.

Sam Weller przypatrywał się domowi i pomimo zamyślenia, od czasu do czasu rzucał zabójcze spojrzenia na zalotne służące otwierające okna, gdy wtem rozwarła się zielona furka na końcu dziedzińca, a z niej wyszedł jakiś człowiek. Starannie zamknąwszy ją za sobą, zwrócił się szybko w kierunku miejsca, w którym stał Sam.

Otóż, jeżelibyśmy wzięli to jako fakt sam w sobie, nie związany z żadnymi ubocznymi okolicznościami, nie byłoby w tym nic szczególnego. W wielu miejscowościach na kuli ziemskiej ludzie wchodzą na dziedziniec, zamykając za sobą zielone furtki i szybko idą dalej, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Jasne więc jest, że musiało coś być w tym człowieku, w jego zachowaniu lub w jednym i drugim, co zwróciło uwagę pana Wellera.

Czy było tak rzeczywiście – pozostawiamy do rozsądzenia czytelnikowi, ograniczając się jedynie do wiernego opisu wyżej wymienionej osobistości.

Zamknawszy za sobą zieloną furtkę, człowiek ów począł iść szybko, jakeśmy to już powiedzieli, w kierunku Sama. Ujrawszy Sama, zawahał się, jakby nie wiedząc, co począć. Ponieważ zielona furtka była już zamknięta, a dziedziniec miał jeszcze tylko jedno wyjście – to, które było przed nim – zrozumiał, że nie pozostaje mu nic innego, jak przejść koło Sama. Nie zwolnił więc kroku i szedł, patrząc przed siebie.

Co szczególnie uderzało w tym człowieku, to dziwny i obrzydliwy sposób, w jaki wykrzywił sobie twarz. Nigdy żaden twór natury nie potrafił się tak zręcznie maskować w jednej chwili, jak twarz tego człowieka za pomocą mimiki.

– Słowo daję – rzekł Sam do siebie, widząc przybliżającego się jegomościa – że to szczególnie! Przysiągłbym, że to on!

Człowiek szedł ciągle, a w miarę jak się przybliżał, twarz jego wykrzywiła się coraz bardziej.

– Przysiągłbym, że te czarne włosy i fioletowe ubranie... ale nie! Pierwszy raz widzę taką fizys!

Podczas tego monologu pana Wellera twarz idącego nabrała demonicznego, ohydneho wyrazu. Lecz musiał przejść obok Sama i dopiero wtedy badawczy wzrok Sama rozpoznał pod tym wykrzywieniem małe oczka Trottera.

– Hej! Jegomość! – zawołał.

Niezajomy z okropną twarzą zatrzymał się, spojrzął z wielkim zdziwieniem po podwórzu, po oknach, słowem – wszędzie, tylko nie w stronę Sama; potem zrobił krok naprzód, ale znów powstrzymało go wołanie:

– Hej, hej! Jegomość!

Niepodobna było nie poznać, skąd głos wychodził; niezajomy zmuszony był spojrzeć na Sama.

– To ci się nie udało, Hiobie Trotter. No, no! Nie róbmy głupstw. Już z natury nie jesteś zbyt piękny, po co więc psuć sobie jeszcze fizjonomię. Ustawże mi natychmiast twoje ślepie w należytym miejscu, jeżeli nie chcesz, bym ci je wpakował w sam środek mózgu.

Ponieważ było widoczne, że Sam jest usposobiony tak, iż gotów jest wykonać dosłownie, co mówi, pan Trotter nadał swej fizjonomii zwykły wyraz; potem nagle zadrżał z radości i zawołał:

– Co widzę? Pan Walker!

– A! – rzekł Sam. – Cieszysz się, żeś mię spotkał?

– Czy się cieszę! – zawołał Trotter. – Jestem zachwycony! O, panie Walker! Gdybyś wiedział, jak pragnąłem spotkania! Ale to za wiele! Nie mogę powstrzymać mej radości! To za wiele.

Po wyłkaniu tych słów pan Trotter począł wylewać całe morze łez, potem objął Sama rękami za szyję i mocno uściskał z rozczulenia.

– Na bok łapy! – krzyknął Sam, mocno oburzony takim postępowaniem i na próżno usiłując wyrwać się z objęć swego entuzjastycznego znajomego. – Czego mi tak łzy na grzbiet wylewasz, ty sikawko?

– Bo tak się cieszę, żeś pana spotkał – odrzekł Hiob rozluźniając objęcia, w miarę jak zmniejszał się gniew Sama. – Ach! Panie Walker, to za wiele!

– Za wiele! I ja tak myślę. No, co mi masz do powiedzenia?

Trotter nic nie mówił, gdyż mała czerwona chustka była w ciągłym ruchu.

– Mów, co masz powiedzieć, nim ci rozwalę głowę! – powiedział Sam groźnie.

– Co? – zapytał Trotter tonem cnotliwego zdumienia.

– Co masz mi do powiedzenia?

– Ja, panie Walker?

– Nie nazywaj mnie Walkerem; nazywam się Weller, wiesz o tym.

– Niech Bóg ma pana w swojej opiece, panie Walker... chciałem powiedzieć Weller... wiele miałbym do powiedzenia, gdybyś tylko zechciał pan pójść, gdzie byśmy mogli swobodnie nagadać się. Gdybyś pan wiedział, jak pana szukałem!

– O! Wierzę – odrzekł Sam sucho.

– Tak, tak, panie. Daj mi pan rękę, panie Weller. Sam wpatrywał się przez kilka minut w Hioba, a potem, jakby mu coś szczególnego przyszło na myśl, podał rękę.

– Jak się ma szanowny pan Pickwick? – zapytał Hiob, idąc obok Sama. – O! Co to za godny gentleman, panie Weller. Spodziewam się, iż nie przeziębził się owej okropnej nocy.

Przy tych słowach wielka złośliwość błysnęła w oczach Trottera. Sam dostrzegł to i w swej zaciśniętej pięści uczuł gwałtowne świerzbienie, ale pohamował się i tylko odpowiedział, że jego pan ma się dobrze.

– O! Jak mię to cieszy! Czy jest tu?

– A twój pan?

– Niestety! jest tutaj. I co mnie martwi najwięcej, panie Weller, to że prowadzi się gorzej niż kiedykolwiek.

– A!

– O! Aż dreszcz przejmuje! To okropność!

– Na pensji panińskiej?

– Nie, nie! Nie na pensji! – odrzekł Hiob. – Nie na pensji!

– W domu z zieloną furtką? – zapytał Sam, pilnie wpatrując się w twarz Trottera.

– Nie, nie tam! – odpowiedział Trotter niezwykle żywo.

– Ale cóżeś ty tam robił? – zaczął znowu Sam przeszywając Trottera wzrokiem. – Możeś zaszedł tam przypadkiem, co?

– Widzisz pan, panie Weller, ja nie boję się wyjawić panu moich sekretów, gdyż jak pan pamięta, od razu przypadliśmy sobie do gustu. Pamięta pan, jak nam wtenczas rano było przyjemnie?

– Pamiętam o tym, pamiętam!

– Otóż – mówił dalej Hiob, przybrawszy ton człowieka zwierającego się z wielkiej tajemnicy – otóż w tym domu za zieloną furtką, panie Weller, jest wiele służących.

– Domyślałam się.

– Tak. Jest tam kuchareczka, która zaoszczędziła sobie trochę grosza, panie Weller, i chciałyby otworzyć mały sklepik korzenny, rozumie pan?

– Nie bardzo.

– Otóż, panie Weller, spotkałem ją w kaplicy, do której chodzę; piękna kapliczka, panie Weller, śpiewają tam psalmy ze zbioru pieśni pobożnych nr 4, te same, jakie mam w mojej książce, którą pan widziałeś u mnie. I zaznajomiłem się z nią, panie Weller; potem związała się między nami mały stosunek, tak że teraz mogę powiedzieć, iż mam nadzieję, że zostanę kupcem korzennym.

– Miły będzie z ciebie korzennik – odrzekł Sam, spoglądając z boku na Trottera z wielkim niesmakiem.

– Główna korzyść w tym – mówił dalej Hiob, którego oczy napęłniły się łzami – główna korzyść w tym, iż będę mógł opuścić haniebną służbę u tego nicponia i całkiem poświęcić się lepszemu i cnotliwzszemu życiu, zgodniejszemu z edukacją, jaką otrzymałem.

– Pięknie musiałeś być edukowany! – powiedział Sam.

– O, bardzo, panie Weller, bardzo! – odpowiedział Hiob.  
I przypomniawszy sobie niewinne dziecięce lata, wyjął chustkę i zalał się łzami.  
– Musiał być z ciebie miły chłopaczek! Przyjemnie było mieć takiego kolegę w szkole!  
– ciągnął Sam.  
– Tak, panie – westchnął Hiob. – Ubóstwiano mię!  
– A! – zawołał Sam. – Wcale się nie dziwię! Jakaż pociechą musiałeś być dla swojej matki!  
Przy tych słowach Hiob przyłożył koniec chusteczki do oka, potem do drugiego i znowu zalał się łzami.  
– A tobie co się stało? – zawołał Sam z oburzeniem. – To gorzej niż sikawka. Czegoś się rozbeczał? Czyś przypomniał sobie swe łotrostwa?  
– Nie mogę pohamować wzruszenia, panie Weller – zaczął Hiob po krótkiej pauzie. – Gdy sobie przypomnę, iż mój pan domyślał się, że widziałem się z panem Pickwickiem, że wyprawił mię pocztą, namówiwszy młodą pannę, by się nie przyznawała do niczego, że zjednął sobie przełożoną pensji! O! Panie Weller! To mię dreszczem przejmuje!  
– A! To tak się rzeczy mają!  
– A tak, niech mi pan wierzy – odrzekł Hiob.  
Rozmawiając w ten sposób doszli do oberży. Wtedy Sam powiedział swemu towarzyszowi:  
– Chciałbym zobaczyć się z tobą. Jeżeli będziesz mógł, to przyjdź koło ósmej „Pod Wielkiego Białego Konia”.  
– Przyjdę z przyjemnością – rzekł Hiob.  
– I dobrze zrobisz – dorzucił Sam z wymownym spojrzeniem – bo w przeciwnym razie pójde się dowiadywać po drugiej stronie zielonej furtki, a to by ci mogło zaszkodzić.  
– Niezawodnie przyjdę – powtórzył Hiob i oddalił się, serdecznie uściśnawszy rękę Sama.  
– Bądź ostrożny, Hiobie Trotter – rzekł cicho Sam spoglądając za odchodzącym – teraz ja mogę ciebie wyfrycować. Bo, jak Bóg na niebie, drugi raz nie dam się wywieść w pole.  
– Po tym monologu długo jeszcze ścigał wzrokiem Hioba, aż ten zniknął, potem zaś ruszył do swego pana.  
– Wszystko idzie dobrze – powiedział.  
– Co idzie dobrze? – zapytał pan Pickwick.  
– Znalazłem ich, panie.  
– Kogo?  
– A pańskiego znajomego i tego fioletowego płaksę.  
– Czy być może! – zawołał pan Pickwick z największą energią. – Gdzie oni są? Gdzie?  
– Tu, panie – rzekł wierny sługa i w czasie rozbierania pana Pickwicka nakreślił panu swemu plan operacyjny, według którego miano działać.  
– Ale kiedy to nastąpi? – zapytał pan Pickwick.  
– Wszystko we właściwym czasie – odparł Sam.  
Czy stało się to we właściwym czasie, czy też nie, o tym czytelnik nasz przekona się później.



## Rozdział dwudziesty czwarty

*w którym dama w papilotach jest trwożliwa, a pan Magnus zazdrosny, co oddaje picwickczyków w szpony Prawa*

Zaszedłszy do sali, w której dnia poprzedniego jadł obiad, pan Pickwick zastał tam już pana Magnusa, który przechadzał się mocno wzruszony, i zauważył, że gentleman ten przywdział na siebie większą część garderoby zawartej w dwóch torbach podróżnych i pudle, co się bardzo dodatnio odbiło na jego powierzchowności.

– Dzień dobry panu – rzekł pan Magnus. – Jakże teraz wyglądam?

– Okropnie niebezpiecznie – odrzekł filozof, przypatrując się z uśmiechem ubiorowi konkurenta.

– O! Sądzę, że to poskutkuje, panie Pickwick; posłałem już mój bilet wizytowy.

– Czy tak?

– Tak, i otrzymałem odpowiedź, że ona czekać będzie na mnie o jedenastej. O jedenastej, panie; to znaczy za kwadrans!

– O! to już niedługo!

– Tak, już niedługo... O! Panie Pickwick!

– W takich razach pewność siebie jest ważną rzeczą – rzekł pan Pickwick.

– A tak, panie. Ja mam wielką pewność siebie. Doprawdy, panie Pickwick, nie rozumiem, dlaczego bym miał mieć choć trochę obawy w tym wypadku. Bo zresztą, cóż może być prostszego? Przecież w tym nie ma nic ubliżającego. Jest to sprawa zależna od wzajemnego porozumienia się, nic więcej. Mąż z jednej strony, żona z drugiej. Takie jest moje zdanie, panie Pickwick...

– Zdanie bardzo słuszne. Ale śniadanie czeka na nas, panie Magnus.

Zabrano się do śniadania; lecz pomimo swych przechwałek pan Magnus był widocznie bardzo poruszony, co objawiało się sileniem się na żarty, utratą apetytu, skłonnością do przewrócenia imbryka i niepohamowaną chęcią spoglądania co dwie sekundy na zegar.

– Chi, chi, chi – krztusił się, udając wesołość – już tylko dwie minuty, panie Pickwick. Czy nie jestem błady?

– Nie bardzo.

Nastąpiło krótkie milczenie.

– Powiedz mi pan, panie Pickwick, czy w swoim czasie znajdował się pan kiedy w takim położeniu jak ja dziś?

– Chce pan wiedzieć, czym się kiedy oświadczał? – rzekł pan Pickwick.

– Tak.

– Nigdy! – odrzekł pan Pickwick z wielką energią – nigdy!

– W takim razie nie może pan wiedzieć, jak w takich wypadkach należy postępować! – zauważył pan Magnus.

– O! Mogę mieć o tym pewne wyobrażenie; ale ponieważ nigdy nie robiłem podobnych doświadczeń, nie mogę panu doradzić, byś postępował według moich wskazówek.

Pan Magnus znów spojrział na zegar; było pięć minut po jedenastej. Potem zwrócił się do pana Pickwicka, mówiąc:

– Mimo to byłbym panu wdzięczny, gdyby zechciał mi pan powiedzieć swoje zdanie o tym.

– Otóż, panie – rzekł uczony uroczystym tonem, który wypowiedziom jego dodawał szczególnej powagi, ilekroć było to wskazane – zacząłbym, panie, od złożenia hołdu wdziękom i przymiotom duszy. Od tego, panie, przeszedłbym do wykazania, że nie jestem godzien...

– Bardzo dobrze! – zawołał pan Magnus.

– Niegodzien, ale jej tylko, rozumie pan?.. Uważaj pan na to, gdyż aby okazać, iż nie jestem bezwzględnie niegodny, zrobiłbym krótki przegląd własnej mojej przeszłości i obecnego położenia; z tego, posługując się prawem analogii, wywiódłbym, iż mógłbym być pożądanym przez inne osoby. Następnie rozwodziłbym się nad ogniem mojej miłości i głębią przywiązania. Wtedy może bym próbował owładnąć jej ręką.

– Tak, tak, to właściwa chwila – zauważył pan Magnus.

– Potem – mówił pan Pickwick ożywiając się, w miarę jak sam przedmiot coraz wyraźniej mu się przedstawiał – potem przeszedłbym do tego prostego pytania: czy chce pani być moją żoną? Sądzę, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa dama w tej chwili odwróci głowę.

– Czy myśli pan, iż można to wziąć za znak zgody? – przerwał pan Magnus. – Bo, widzi pan, jeżeli ona w tej chwili nie odwróci głowy, to co począć?

– Sądzę, panie, że odwróci. Wtedy ja pochwyliłbym jej rękę i sądzę – ja sądzę – panie Magnus, że uczyniwszy to, a przypuszczając, że nie da odmownej odpowiedzi, odjąłbym z wolna chustkę, którą trzymać będzie przy oczach, jeżeli mnie nie myli słaba moja znajomość natury ludzkiej, i skradłbym całusa z całym zresztą należnym szacunkiem; tak jest, sądzę, że skradłbym, jestem przekonany, że dama w tej samej chwili wyszeptałaby mi do ucha wstydlive przyzwolenie.

Pan Magnus wstał, patrzył przez jakiś czas w milczeniu na pana Pickwicka, potem góra uściskał mu rękę i (zegar wskazywał dziesięć minut po jedenastej) jak opętany wybiegł za drzwi...

Pan Pickwick zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, a gdy wielka wskazówka zegara, idąc jak pan Pickwick, doszła do dwunastej, drzwi nagle otworzyły się. Filozof odwrócił się, by złożyć swe życzenia panu Magnusowi; ale zamiast niego ujrzał wesołą twarz pana Tupmana, wojowniczą postawę pana Winkle'a i natchnione rysy pana Snodgrassa. Gdy pan Pickwick witał się z nimi, wszedł pan Magnus.

– Moi przyjaciele – rzekł filozof – oto jest gentleman, o którym wam mówiłem, pan Piotr Magnus.

– Witam panów – rzekł pan Magnus widocznie w stanie wielkiej egzaltacji. – Panie Pickwick, pozwól pan, że przez chwilę pomówię z panem na osobności.

To rzekłszy pan Magnus wsunął palce w jedną z dziurek ubrania pana Pickwicka i pociągnął go za sobą ku oknu.

– Powinszuj mi pan – powiedział – poszedłem najzupełniej za pańską radą.

– Czy była dobra?

– Nie mogło być lepszej. Ona już jest moją, panie Pickwick.

– Gratuluję panu z całego serca – odrzekł filozof, ściskając rękę swego nowego znajomego.

– Trzeba, byś ją pan zobaczył... Tędy, panie. Panowie pozwolą, że oddalimy się na chwilę.

To mówiąc triumfujący kochanek pociągnął za sobą pana Pickwicka, podszedł z nim do drzwi sąsiedniego pokoju i lekko zapukał.

– Proszę wejść – odezwał się głos kobiety. Weszli.

– Miss Witherfield – rzekł pan Magnus – pozwoli pani przedstawić sobie jednego z moich najlepszych przyjaciół, pana Pickwicka... Panie Pickwick, przedstawiam pana pani Witherfield.

Dama znajdowała się w drugim końcu pokoju. Pan Pickwick uklonił się, a jednocześnie wyjął z kieszeni okulary i osadził na nosie. Ale zaledwie je tam umieścił, krzyknął ze zdziwienia i cofnął się o kilka kroków. Dama ze swej strony krzyknęła również, zakryła twarz rękami i padła na krzesło... Pan Piotr Magnus, jak skamieniały, spoglądał to na jedno, to na drugie, a twarz wykrzywiła mu się ze zdziwienia i przerażenia.

Ten teatralny efekt był wprost nie do pojęcia... Rzecz zaś cała miała się tak, iż pan Pickwick, założywszy okulary, w przyszłej pani Magnus poznał natychmiast damę, do której pokoju zablądził przeszłej nocy; dama zaś, gdy tylko pan Pickwick nałożył okulary, poznała fizjonomię, którą w nocy widziała w szlafmocy... Wskutek tego dama krzyknęła, a pan Pickwick zadrżał.

– Co to znaczy, panie Pickwick? Proszę mi powiedzieć, co to znaczy? – zawołał pan Magnus głosem podniesionym i groźnym.

– Na to pytanie nie dam panu odpowiedzi – odrzekł pan Pickwick, nieco urażony gwałtownym tonem pana Magnusa.

– Nie da pan...

– Nie dam, panie... Bez pozwolenia tej damy nie powiem nic takiego, co by mogło ją kompromitować lub budzić w niej niemiłe wspomnienie.

– Miss Witherfield – zaczął znowu pan Magnus – czy zna pani tego pana?

– Czy go znam? – odrzekła z wahaniem dama w średnim wieku.

– Tak, czy pani go zna! Pytam, czy zna go pani? – powtórzył pan Magnus gwałtownie.

– Już go widziałam – wyszeptała dama...

– Gdzie? – zapytał pan Magnus – gdzie?

– Tego – odrzekła dama podnosząc się i odwracając głowę – tego nie powiedziałabym za całe królestwo...

– Pojmuję panią – przerwał pan Pickwick – i szanuję jej delikatność. Ode mnie nikt się tego nie dowie. Bądź pani pewna.

– Wierzaj mi, pani – zaczął znowu pan Magnus z gorzkim uśmiechem – wierzaj mi, że mając na uwadze stosunki, jakie nas teraz łączą, wygląda to tak, jakby ta sprawa była dla pani dość obojętna, tak jest, pani, dość obojętna.

– Okrutny! – wyszeptała dama w średnim wieku i poczęła płakać.

Teraz wmieszał się pan Pickwick.

– Niech pan wyrzuty zwraca do mnie... Jeżeli kto ma tu sobie coś do wyrzucenia, to ja, tylko ja.

– A! to pan ma sobie coś do wyrzucenia! Rozumiem! Rozumiem! Teraz żałuje pan swego postanowienia, prawda?

– Jakiego postanowienia? – powtórzył pan Pickwick.

– Tak, panie! O! niech pan na mnie tak nie patrzy. Pamiętam, co mi pan mówił wczoraj wieczorem, że przybył pan tu, by zedrzeć maskę fałszu i obłudy z osoby, w której honorze pokładałeś pan całą ufność. Ach! panie.

Tu pan Magnus wybuchnął szyderczym śmiechem, potem zaś zdjawszy niebieskie okulary, które w przystępie zazdrości poczytał za zbyt cenne, począł okropnie przewracać swymi małymi oczkami.

– Odpowie mi pan za to! – dodał następnie z wielką złością.

– Za co mam odpowiadać? Może zechce mi pan objaśnić – zapytał pan Pickwick.

– Bynajmniej! – odpowiedział pan Magnus, szybko chodząc po pokoju. – Bynajmniej!

Musi być coś bardzo wymownego w tym słowie „bynajmniej”, nie przypominamy bowiem sobie żadnej kłótni, której byliśmy świadkami – czy to w teatrze, czy na ulicy, czy w restauracji, czy gdzie indziej – żeby właśnie w ten sposób nie odpowiadano na najbardziej zaczepne pytania. – I pan uważa się za gentlemena?! – „Bynajmniej!” – Może pan pozwoli, żebym ja zamiast pana mówił z tą damą?! – „Bynajmniej!” – Może pan chce, żebym pana rozwalił łeb? – „Bynajmniej!” – Zauważyłem również, że musi być ukryte jakieś sztyderstwo w owym uniwersalnym „bynajmniej”, budzi ono bowiem w indywiduum, do którego jest zwrócone, większe oburzenie niż każda inna otwarta obelga.

Nie będziemy twierdzić, że ów wyraz wywołał w piersi pana Pickwicka takie samo oburzenie, jakie byłby wywołał w każdej innej, prostackiej piersi. Notujemy jedynie fakt, że pan Pickwick otworzył drzwi i zawołał:

– Tupman! Proszę cię! Wejdz tutaj!

Pan Tupman niezwłocznie stawiał się, nadzwyczaj zdziwiony.

– Tupman – rzekł pan Pickwick – tajemnica delikatnej natury, dotycząca tej damy, jest powodem nieporozumienia między mną a tym gentlemanem. Ale zapewniam go tu, w twojej obecności, że tajemnica ta wcale nie dotyczy ani jego osoby, ani jego stosunków z tą damą. Po tym, co powiedziałem, nie mam potrzeby nadmieniać ci, iż jeżeli ten gentleman nie będzie wierzył moim oświadczeniom, to będzie to oznaczało, że wątpi o prawdziwość moich, co poczytam za obrazę osobistą.

To wyrzekłszy pan Pickwick rzucił na pana Magnusa spojrzenie zawierające całą encyklopedię pogróżek.

Czcigodna i pocziwa postać pana Pickwicka oraz przekonująca siła wymowy, którą odznaczał się ten znakomity mąż, nie byłyby bez wpływu na żaden rozsądny umysł. Ale niestety w tej chwili umysł pana Magnusa nie podlegał władzom rozsądku.

Pan Magnus, zamiast przyjąć, jak należy, wyjaśnienie filozofa, zaczął teraz biegać po pokoju wyrывая sobie włosy i nastroił na jeszcze wyższy ton swój gniew i groźby... Chwilowo tylko przerywał te zajęcia, ale to tylko w tym celu, by raz i drugi machnąć pięścią pod samym filozoficznym nosem pana Pickwicka.

Silny prawością swą i niewinnością, zmartwiony tym, iż wplątał tę damę w sprawę tak nieprzyjemną, pan Pickwick był także w usposobieniu mniej niż zwykle pokojowym.

W konsekwencji głosy podniosły się. Padały coraz groźniejsze słowa. Pan Magnus powiedział panu Pickwickowi, że „jeszcze o nim usłyszysz”, na co pan Pickwick z chwalebą uprzejmością odpowiedział, że „im wcześniej, tym lepiej”. Na to dama w średnim wieku wybiegła przerażona z pokoju, z którego pan Tupman wyciągnął wreszcie pana Pickwicka, zostawiając pana Magnusa samego.

Gdyby dama w średnim wieku więcej obracała się w świecie albo lepiej znała tych, którzy ustalają kanony i zwyczaje towarzyskie, wiedziałaby, że ten rodzaj okrutnych porachunków jest najniewinniejszy. Ponieważ jednak większą część życia spędziła na wsi i nigdy nie czytała sprawozdań z parlamentu, nie była więc obznajmiona z tymi subtelnościami naszej cywilizacji. Wróciwszy do swego pokoju, starannie zaryglował drzwi, poczęła rozmyślać o scenie, której była świadkiem. W wyobraźni swej widziała już okropny obraz morderstwa, widziała, jak pana Piotra Magnusa, cięższego o ćwierć funta ołowiu w piersiach, wnoszono do oberży na noszach. Im więcej rozmyślała nad tym, tym bardziej się trwożyła. W końcu postanowiła udać się do najwyższej władzy miejscowej i żądać niezwłocznego aresztowania panów Pickwicka i Tupmana.

Dama w średnim wieku miała wiele powodów, by to uczynić, najważniejszym zaś był ten, iż w ten sposób przekonywała najmocniej pana Magnusa o swym do niego przywiązaniu i o swej dbałości o jego osobę... Znała zbyt dobrze jego zazdrość, by się odważyć na najmniejsze napomknienie o rzeczywistych przyczynach nieporozumienia, sądziła zaś, że usunąwszy pana Pickwicka i nie dopuszczając do dalszych zwad, potrafi złagodzić gniew

swego przyszłego. Więc z głową napelnioną tymi myślami wzięła szal i kapelusz i poszła prosto do mieszkania burmistrza...

Jerzy Nupkins Esq. burmistrz miasta Ipswich, był wielką osobą, tak wielką, iż nawet najlepszy szybkobiegacz nie zdołałby spotkać podobnego mu, choćby szukał od wschodu do zachodu słońca, i to w dniu 21 czerwca, to jest w dniu według kalendarzy najdłuższym w całym roku. Rano tego dnia, o którym była mowa, pan Nupkins był bardzo zirytowany, gdyż w mieście doszło do rewolucji. Chłopcy z największej szkoły uknuli spisek w celu powybijania szyb u jednej z przekupek, wygwizdali strażnika, rzucali kamieniami na policję, która wystąpiła, by stłumić powstanie, była zaś reprezentowana przez człeczynę w butach z wykładanymi cholewami, który to człeczyna pełnił obowiązki policjanta najmniej od pół wieku. Pan Nupkins siedział na kanapie, pałając gniewem i majestatycznie marszcząc brwi, gdy Oznajmiono mu, iż jakaś dama chce się z nim rozmówić w interesie osobistym, ważnym i nie cierpiącym zwłoki. Pan Nupkins, przybrawszy postawę spokojną i zarazem groźną, dał rozkaz wprowadzenia damy; rozkaz ten, jak wszystkie rozkazy królów, cesarzy i innych możliwych tego świata, został bezzwłocznie wykonany. Miss Witherfield, bardzo wzruszona, stanęła przed wielkim człowiekiem.

– Muzzle! – zawołał urzędnik.

Muzzle był to służący niepoczesnej powierzchowności, z wielkim tułowiem i krótkimi nogami.

– Muzzle!

– Słucham, wasza wielmożność!

– Podaj krzesło i wyjdź z pokoju!

– Słucham, wasza wielmożność!

– Teraz racz pani przedstawić swą sprawę – rzekł burmistrz.

– Bardzo to dla mnie przykre, że muszę mówić o tej sprawie, ale obawiam się, iż odbędzie się tu pojedynek.

– Tu, w Ipswich?

– Tak.

– Pojedynek w Ipswich! — zawołał burmistrz, zdziwiony do najwyższego stopnia. – To być nie może. Nic podobnego nie może się w tym mieście zdarzyć! Czy pani znana jest energia i sprawność władz miejscowych? Czy pani nie słyszała, że czwartego maja bieżącego roku, przybrawszy tylko sześćdziesięciu specjalnych konstablów, rzuciłem się między dwóch bokserów i z narażeniem własnej osoby, wśród rozhukanej tłuszczy, powstrzymałem bójkę między Dumplingiem z Middlesex i Bantamem z Suffolk? Pojedynek w Ipswich! Nie przypuszczam, by się znalazło dwóch śmiałków, którzy by ważyli się dopuścić takiego gwałtu w tym mieście.

– Na nieszczęście to, co mówię, jest najczystszą prawdą – odrzekła dama w średnim wieku. – Byłam obecna przy kłótni.

– To coś niesłychanego! – zawołał zdumiony burmistrz. – Muzzle!

– Słucham, wasza wielmożność!

– Niech tu przyjdzie pan Jinks! Zaraz! Natychmiast! Muzzle wyszedł.

Błądy urzędnik w wieku dojrzałym, z ostrym nosem, lichy odziany i widocznie lichy karmiony, wszedł do pokoju.

– Panie Jinks! – powiedział burmistrz. – Panie Jinks!

– Słucham pana!

– Panie Jinks, ta dama przybyła tu, by zawiadomić nas o pojedyнку mającym się odbyć w naszym mieście.

Pan Jinks nie wiedząc, co odpowiedzieć, uśmiechnął się uśmiechem dependenta.

– Z czego się pan śmieje, panie Jinks? – spytał burmistrz.

Pan Jinks natychmiast spoważniał.

- Panie Jinks – powiedział burmistrz. – Pan jesteś głupi!  
Pan Jinks spojrział pokornie na wielkiego człowieka i przygryzł koniec pióra.
- Może pan widzi coś bardzo komicznego w tej wiadomości, ale ja nie! Tu nie ma żadnego powodu do śmiechu!  
Wyglodzony człowiek westchnął jak człowiek przekonany, iż rzeczywiście mało ma powodów, by być wesołym. Potem otrzymał rozkaz spisania zeznań, usiadł przy biurku.
- To ten Pickwick jest powodem wszystkiego? – zapytał burmistrz, gdy spisano zeznanie.
- Tak jest – odrzekła dama w średnim wieku.  
– A ten drugi burzyciel pokoju jak się nazywa?  
– Tupman – odrzekł pan Jinks.  
– A wyzwany opuścił miasto, jak pani mówi?  
– Tak jest – odrzekła dama w średnim wieku, odkaszlnąwszy.  
– Bardzo dobrze. To ci dwaj londyńscy awanturnicy przybyli tu, by tępić ludność Jej Królewskiej Mości, sądząc, że ramię sprawiedliwości jest bezwładne w takiej odległości od stolicy! Ale nauczmy ich! Wygotuj pan rozkaz aresztowania, panie Jinks. Muzzle!
- Słucham wasza wielmożność!  
– Czy Grummer jest na dole?  
– Tak, wasza wielmożność.  
– Przyślij go na górę.  
Posłuszny Muzzle znikł i prawie natychmiast powrócił z przedstawicielem władzy, który odznaczał się czerwonym nosem, chrypliwym głosem, tabaczkowym surdudem, butami o ogromnych cholewach i błędnym wzrokiem.
- Grummer – zapytał burmistrz – miasto spokojne?  
– Dość, wasza wielmożność — rzekł Grummer. – Umysły uspokoiły się, bo chłopcy ze szkoły poszli grać w piłkę.  
– Grummer – mówił dalej burmistrz stanowczym tonem – w takich czasach jak obecne skutkują tylko energiczne środki. Jeżeli nie będzie uszanowana władza urzędników królewskich, trzeba odczytać akt o buncie. Jeżeli władza cywilna nie jest w stanie ochraniać okien, to trzeba, by władza wojskowa ochraniała władzę cywilną i okna. Sądzę, że jest to zgodne z konstytucją, panie Jinks?
- Tak jest, niezawodnie! – odpowiedział pan Jinks.  
– Doskonale! – powiedział burmistrz, podpisując rozkaz aresztowania. – Przyprowdzisz mi tych ludzi jeszcze dzisiaj po południu. Grummer! Znajdziesz ich „Pod Wielkim Białym Koniem”. Pamiętaj sprawę Dumplinga z Middlesex i Bantama z Suffolk?
- Grummer skinął głową, jak gdyby w ten sposób chciał powiedzieć, że nie zapomni nigdy, co było zresztą bardzo prawdopodobne, ponieważ mu tę sprawę codziennie przypominano.
- Ta sprawa stoi w jeszcze większej sprzeczności z konstytucją! – mówił burmistrz. – Jest jeszcze większym naruszeniem spokoju i pogwałceniem prerogatyw Jej Królewskiej Mości. Chyba się nie mylę, panie Jinks?
- Zagwarantowanych specjalnym paragrafem Magna Charta – powiedział pan Jinks.  
– Jest to jeden z największych klejnotów w koronie angielskiej, wymuszony przez baronów na Jej Królewskiej Mości. Chyba się nie mylę, panie Jinks?  
– Ani trochę! – odparł Jinks.  
– Doskonale – powiedział burmistrz, powstając dumnie. – Prerogatywa ta nie będzie pogwałcona w tej części kraju! Grummer! Dobierz sobie pomoc i wykonaj rozkaz w najkrótszym czasie! Muzzle!  
– Jestem, wasza wielmożność!

– Wyprowadź tę damę!

Panna Witherfield oddaliła się pod wrażeniem mądrości i energii burmistrza. Pan Nupkins poszedł na śniadanie. Pan Jinks wszedł w siebie – było to jedyne miejsce, gdzie mógł wejść, posiadał bowiem tylko prawo do małej sofy w nocy. Sofa ta stała w pokoju, który za dnia służył gospodarzom za bawialnię.

Pan Grummer poszedł przelać otrzymane polecenie na innego przedstawiciela Jej Królewskiej Mości, pedela, co było zresztą jego zwyczajem.

Podczas gdy czyniono tak wielkie przygotowania, by utrzymać spokój w posiadłościach Jej Królewskiej Mości, pan Pickwick i jego przyjaciele, nie przewidując gotujących się wypadków, siedzieli przy doskonałym obiedzie i najswobodniejsza wesołość panowała w całym towarzystwie. Właśnie pan Pickwick miał opowiedzieć swe zabawne przygody nocne, gdy otworzyły się drzwi i ukazała się w nich dziwna fizys, która utkwiała błędne oczy w panu Pickwicku. Następnie cały tułów należący do tej dziwnej figury wtoczył się do sali. Fizys, błędne oczy i tułów należały do Grummera.

Miejscowy przedstawiciel władzy postępował legalnie, ale w sposób dość osobliwy.

Pierwszą jego czynnością było zamknięcie drzwi od środka, drugą staranne wytarcie sobie twarzy chustką, trzecią włożenie rzeczonyj chustki do kapelusza, czwartą na koniec wydobycie z kieszeni krótkiej pałeczki z miedzianą koroną, którym to instrumentem skinął na pana Pickwicka niby jakaś zjawia.

Pan Snodgrass pierwszy przerwał milczenie, przez kilka minut wpatrywał się w pana Grummera, potem powiedział z uśmiechem:

– To jest pokój prywatny, mój panie, prywatny pokój...

Grummer potrząsnął głową i odrzekł:

– Nie ma prywatnych pokojów dla Jej Królewskiej Mości, skoro raz przekroczone drzwi od ulicy. Tak mówi prawo. Wielu ludzi utrzymuje, że dom Anglika jest jego twierdzą. Bzdura.

Pickwickczycy spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Który tu jest pan Tupman? – zapytał pan Grummer. – Pana Pickwicka dzięki swej intuicji poznałem sam od razu.

– Ja nazywam się Tupman.

– A ja nazywam się Prawo – odpowiedział Grummer.

– Co? – zapytał pan Tupman.

– Prawo – powtórzył Grummer. – Prawo, władza cywilna i wykonawcza; taki jest mój tytuł. A oto mój rozkaz: Tupman (chrzestne imię *in blanco*), Pickwick (*idem*), jako burzyciele pokoju Jej Królewskiej Mości, na zasadzie statutów i rozporządzeń... Wszystko w porządku. A więc aresztuję was, wyżej rzeczonych Tupmana i Pickwicka.

– Co znaczy to zuchwalstwo? – zawołał pan Tupman, wstając. – Wynoś mi się pan stąd natychmiast!

– Oho! – zawołał Grummer, szybko cofając się ku drzwiom i otwierając je. – Dubbley!

– Jestem! – odezwał się gruby głos z korytarza. I w tejże chwili wsunął się przez drzwi człowiek wysokości sześciu stóp i odpowiedniej objętości.

– Dubbley – powtórzył Grummer – czy inni konstable do szczególnych pouczeń są w pogotowiu? Dubbley odpowiedział twierdząco.

– Niech wejdzie oddział będący pod twoją komendą!

Dubbley spełnił rozkaz. Pół tuzina drabów z krótkimi pałeczkami zakończonymi miedzianą koroną wpakowało się do pokoju. Pan Grummer schował swą pałeczkę i spojrzął na Dubbleya.

Dubbley schował swą pałeczkę i spojrzął na oddział; oddział schował swe pałeczki i patrzył na panów Tupmana i Pickwicka.

Filozof i jego zwolennicy zerwali się jak jeden mąż.

– Co znaczy to pogwałcenie mieszkania? – zawołał pan Pickwick.

– Kto śmie mnie aresztować? – zapytał pan Tupman.

– Czego tu chcecie, łajdaki? – zapytał pan Snodgrass. Pan Winkle nie powiedział nic, ale spojrział na Grummera wzrokiem, który by mógł przedziurawić mu mózg i wyjść drugą stroną, gdyby konstabl nie miał głowy twardszej niż żelazo; dzięki tej okoliczności wzrok pana Winkle’a nie spowodował żadnego widocznego skutku.

Gdy wykonawcy prawa spostrzegli, iż pan Pickwick i jego przyjaciele gotowi są stawić opór prawej władzy, natychmiast zakasali rękawy w sposób wielce znaczący, jakby to z natury rzeczy należało do ich zawodu i rozumiało się samo przez się, iż aresztowanych należy najpierw powalić na ziemię, a potem dopiero uprowadzić ze sobą. Demonstracja ta nie uszła uwagi pana Pickwicka. Odbył on na stronie krótką konferencję z panem Tupmanem, następnie zaś oświadczył, iż gotów jest udać się do rezydencji burmistrza, dodał jednak, iż bierze na świadków wszystkich obecnych gentlemanów, jak szkaradnie pogwałcone zostały prawa Anglika, i że będzie żądał zadośćuczynienia, jak tylko odzyska wolność. Usłyszawszy to oświadczenie wszyscy obywatele wybuchnęli głośnym śmiechem – wszyscy z wyjątkiem Grummera, który uważał, że najmniejsza krytyka świętych zarządzeń każdego urzędnika jest rodzajem bluźnierstwa i że nie należy jej tolerować.

Kiedy pan Pickwick podpisał zgodę na poddanie się prawom obowiązującym w jego ojczyźnie, a pokojówki, posługacze, oberżyci i pocztylioni zaczęli się rozchodzić, zawiedzeni w nadziei na doskonałą zabawę wobec sporu gentlemanów, nastąpiły trudności, których nie przewidziano, ponieważ pan Pickwick nie chciał iść piechotą do burmistrza.

Pomimo swego szacunku dla władzy pan Pickwick oświadczył stanowczo, iż nie ukaże się na ulicy otoczony jak jaki złoczyńca sługami sprawiedliwości. Równie stanowczo oświadczył pan Grummer, że wobec ogólnego wzburzenia umysłów (było właśnie pół-święto i chłopcy nie wrócili jeszcze do domu) nie zgadza się iść drugą stroną ulicy i wziąć od pana Pickwicka słowo honoru, że ten uda się wprost do burmistrza. Tak on, jak i pan Tupman stanowczo odmówili też płacenia za powóz pocztowy. Dysputa trwała długo i stała się bardzo gorąca. Doszło do tego, iż wobec odmowy pana Pickwicka, by pójść piechotą do pana burmistrza, władza wykonawcza była już gotowa użyć bardzo prostego sposobu, to jest zaciągnąć go tam, gdy ktoś z obecnych przypomniał sobie, że na dziedzińcu znajduje się lektyka, zrobiona kiedyś dla pewnego bardzo otyłego gentlemana cierpiącego na podagrę; dzięki temu środkowi lokomocji, panów Pickwicka i Tupmana będzie można równie dobrze dostawić na miejsce jak nowoczesnym powozem pocztowym, gdyż lektyka łatwo może pomieścić obu delikwentów.

Wydobyto więc i sprowadzono lektykę; panowie Pickwick i Tupman wsiedli do niej i zapuścili firanki, znaleziono kilku tragarzy, po czym cały orszak w bojowym szyku ruszył naprzód. Specjalni konstable otaczali lektykę, przed nią z tryumfem szli Grummer i Dubbley, panowie Snodgrass i Winkle, wzięwszy się pod ręce, postępowali za lektyką, a uliczna hałastrą stanowiła straż tylną.

Mieszkańców miasta, choć nie wiedzących dokładnie, o co chodzi, widowisko to bardzo zbudowało. Upatrywali oni w tym niez mordowane ramię prawa, które spadło z siłą dwudziestu pras hydraulicznych na dwóch łotrów z samej stolicy państwa. Dzięki potężnej maszynie, wprawionej w ruch przez ich własną straż, wpakowano do miejsca bynajmniej nie przestronnego dwóch złoczyńców. Licznymi oznakami uwielbienia witano Grummera prowadzącego pochód z pałeczką w ręku, długie i głośne były też okrzyki ulicznej hałastry i tak wśród oznak powszechnego uznania orszak posuwał się naprzód, wolno i uroczyście.

Sam Weller, ubrany w ranną kurtkę, z czarnymi bufiastymi rękawami, wracał właśnie tą drogą. Był w bardzo złym humorze, gdyż bez żadnego skutku wpatrywał się długi czas w dom za zieloną furtką. Wtem podniósł oczy i ujrzał tłum otaczający przedmiot bardzo przypominający lektykę. Chcąc rozerwać się po niepowodzeniu, jakie go spotkało, stanął



na boku, żeby przepuścić hałas, a widząc, że czegoś się cieszy, postanowił również cieszyć się, ile się tylko da.

Przeszedł Grummer, przeszedł Dubbley, przeszła lektyka i przeszła eskorta, a Sam wciąż brał udział w radości tłumu. Machał kapeluszem, jak gdyby spotkało go coś niesłychanie miłego (choć nie miał pojęcia, o co właściwie chodziło). Wtem nagle zatrzymał się, ujrawszy panów Snodgrassa i Winkle'a.

– Co się stało, panowie – zapytał – kogo to wsadzono do tej żałobnej skrzynki?

Dwaj przyjaciele odpowiedzieli jednocześnie, ale głos ich zginął w zgiełku tłumu.

– Kto tam jest w środku? – znowu zapytał Sam.

Dano powtórna odpowiedź. Tym razem Sam usłyszał wyraz: Pickwick.

Tego było mu dość. W jednej chwili bohaterski sługa utorował sobie drogę przez tłum, zatrzymał niosących lektykę i zwrócił się do Grummera:

– Hej! Stary! Coś ty tam upakował w tym pudle?

– Na bok! – zawołał majestatycznie pan Grummer, którego powagę, jak i wielu innych ludzi, wydał teraz wiatr popularności.

– Dajcie mu w łeb, jeżeli nie ustąpi! – zawołał Dubbley.

– Bardzo ci dziękuję – odezwał się Sam – żeś mię raczył zauważyć, a jeszcze bardziej wdzięczny jestem za propozycję temu drugiemu jegomościowi, który wygląda, jakby uciekł z jakiej karawany olbrzymów, ale wolałbym, byście odpowiedzieli na moje pytanie. Jak się pan ma?

Ten ostatni zwrot, wygłoszony z miną protekcyjną, zwrócony był do pana Pickwicka, którego okulary ukazały się zza firanek.

Grummer, oniemiały z oburzenia, mignął przed oczami Sama pałeczką z koroną.

– A! – zawołał Sam – to ładna sztuczka, zwłaszcza korona: bardzo podobna do królewskiej.

– Na bok! – krzyknął znów obrażony dowódca i dla nadania większej siły temu rozkazowi dotknął metalowym symbolem szyi Sama i pochwycił go za rękę.

Bohater nasz odpowiedział na ten komplement powaleniem jego autora na ziemię, wywróciwszy przedtem jednego z niosących lektykę, by mu służył za podściółkę.

Czy pana Winkle'a opanował wówczas jakiś szal na widok takiego czynu, czy też uniósł się męstwem Sama, to rzecz niewyjaśniona; to pewna jednak, iż ujrawszy padającego Grummera, wykonał napad na jakiegoś malca, stojącego tuż przy nim. Pan Snodgrass, powodowany uczuciem prawdziwie rycerskim, pragnąc nie używać żadnych podstępów, oświadczył głośno, iż zaczyna; toteż został natychmiast przytrzymany, właśnie w chwili, gdy bardzo oględnie zabierał się do zdjęcia surduta. Zresztą, by oddać sprawiedliwość, tak jemu, jak i panu Winkle'owi, musimy tu oświadczyć, iż obaj nie czynili żadnych usiłowań, by się bronić lub wyswobodzić Sama. Ten zaś, choć bronił się energicznie, uległ przewadze i został wzięty do niewoli. Orszak znów się uszykował, tragarze zajęli swe miejsca i wszystko ruszyło dalej.

Przez cały czas trwania tych operacji pan Pickwick nie posiadał się z oburzenia. Z pomocą swego towarzysza zdołał wreszcie podnieść dach lektyki, wydostał się na siedzenie, podniósł się, ile się dało, i wsparty na ramieniu pana Tupmana, począł przemawiać do tłumu. Brał go na świadka, iż służący jego został pierwszy napadnięty, wymownie rozwodząc się nad brutalnością, z jaką traktowano Sama.

W ten sposób karawana doszła do rezydencji burmistrza. Na przodzie urzędnicy, za nimi więźniowie, przy czym pan Pickwick przemawiał, a tłum krzyczał.

## Rozdział dwudziesty piąty

*który opisuje, oprócz innych przyjemnych zdarzeń, jak majestacyjny i bezstronny był pan Nupkins, jak pan Weller szybko odbił piłeczkę rzuconą przez Hioba oraz inne zdarzenia, które znajdują się w odpowiednim miejscu*

Gwałtowne było oburzenie pana Sama Wellera, gdy go zabrano przemocą. Liczne były też aluzje, które czynił do wyglądu i zachowania pana Grummera oraz jego towarzyszy. Nieustraszone były wyzwania, które rzucał pod adresem sześciu podwładnych *minorum gentium*. Pan Snodgrass i pan Winkle słuchali z ponurym skupieniem ducha potoku wymowy spływającego z ust ich mentora przez otwór w lektyce (pan Tupman czynił bezowocne wysiłki zmierzające do przerwania tego potoku przez zamknięcie lektyki). Ale gniew pana Wellera ustąpił ciekawości, gdy orszak wszedł na podwórze, na którym spotkał był Hioba Trottera. Ciekawość zaś ustąpiła uczuciu zdumienia, gdy potężny Grummer, kazawszy ludziom niosącym lektykę przystanąć, poważnym krokiem ruszył ku zielonej furcie, z której rano wynurzył się Hiob, i pociągnął mocno za rączkę dzwonka. Na ten głos wybiegła ładna i fertyczna pokojówka i podniosła ręce ku niebu na widok buntowniczej postawy więźniów, niemniej jednak zdumiona była potokiem wymowy pana Pickwicka. Potem przywołała Muzzle'a. Muzzle otworzył połowę furki, żeby mogła wejść lektyka, uwięzieni i konstable, po czym zatrzasnął ją natychmiast przed nosem pospólstwa; oburzona tym, a rozciekawiona hałastrą, ulżyła sobie bijąc w bramę i dzwoniąc przez dobrych parę godzin. W zabawie tej brali udział kolejno wszyscy, z wyjątkiem trzech czy czterech szczęśliwców, którzy odkrywszy w ścianie zakratowane okienko, przez które nic nie było widać, patrzyli przez nie z niezmordowaną wytrzymałością, z jaką ludzie płaszczą nosy o szybę apteki, wiedząc, że w głębi prywatnego mieszkania aptekarza umiera pijak przejechany na ulicy przez wóz.

Lektyka zatrzymała się przed kamiennymi schodami wiodącymi do domu i strzeżonymi po obu stronach przez dwa aloesy w zielonych skrzyniach. Wysadzony w tym miejscu, pan Pickwick ze swymi przyjaciółmi został natychmiast przyprowadzony przed oblicze czujnego pana Nupkinsa.

Scena, która się teraz rozegrała, była ogromnie przejmująca i dobrze obliczona na przerażenie winowajców i danie wysokiego wyobrażenia o surowym majestacie prawa. Za ogromnym stołem, w ogromnym krześle, wsparty na ogromnej księdze, zasiadł pan Nupkins, jeszcze bardziej ogromny, jak się zdawało, niż wszystkie te przedmioty razem wzięte. Z boku, przy stole, ukazała się głowa pana Jinksa, zajętego nadawaniem sobie miny człowieka bardzo zajętego. Po wprowadzeniu orszaku Muzzle zamknął drzwi i stanął za krzesłem swego pana, sam zaś pan Nupkins, z wielką powagą odchyliwszy się w tył, badał wzrokiem wprowadzonych delikwentów.

Pan Pickwick, przedstawiciel swych przyjaciół, stał z kapeluszem w ręku, kłaniając się z pełną szacunku grzecznością.

– Co to za jeden? – zapytał pan Nupkins wskazując palcem na filozofa.

– To Pickwick, wasza wielmożność – odrzekł Grummer.

– No, no, daj spokój, stary burczymucho – przerwał Sam, z pomocą łokci wysuwając się ku przodowi – bardzo przepraszam pana, ale ten urzędnik pański nie nadaje się wcale na mistrza ceremonii. To jest – mówił dalej, odpychając Grummera i zwracając się ku burmistrzowi z uprzejmą familiarnością – to jest pan Samuel Pickwick Esq., to pan Tumpman, to pan Snodgrass, a dalej, po drugiej stronie, obok niego, pan Winkle, gentlemani bardzo mili w obejściu, z którymi, gdy się pan pozna, będzie to pan uważał za prawdziwą przyjemność. Toteż, im prędzej pan odpędzi tego zakrystiana, tym prędzej staniemy się dobrymi przyjaciółmi. Zresztą, najpierw interes, potem rozrywka – jak powiedział król Ryszard III, gdy w Towerze zamordował już poprzedniego króla, a jeszcze nie podusił jego synów.

Ukończywszy to przemówienie, Sam począł wycierać sobie łokciem kapelusz i kiwnął panu Jinksowi, który słuchał poprzednich słów z niewysłowionym przerażeniem.

– Co to za człowiek, Grummer?! – zawołał burmistrz.

– Bardzo niebezpieczny złoczyńca, wasza wielmożność. Chciał uwolnić więźniów i atakował organa władzy. Dlatego też przytrzymałem go.

– Dobrześ zrobił. To widocznie zuchwały bandyta.

– To mój służący, panie – rzekł pan Pickwick z pewnym oburzeniem.

– A! Służący! – odpowiedział pan Nupkins. – Spisek celem powstrzymania biegu sprawiedliwości i wymordowania jej organów. Służący Pickwicka. Zapisz pan to, panie Jinks! Pan Jinks zapisał.

– Jak się nazywasz?

– Weller – odpowiedział Sam.

– Doskonale nazwisko! W sam raz do spisu w New Gate! – powiedział pan Nupkins.

Był to żart. Więc Jinks, Grummer, Dubbley i konstable oraz Muzzle wybuchnęli śmiechem i śmiali się przez jakieś pięć minut.

– Zapisz pan, panie Jinks! – powiedział burmistrz.

– Przez dwa l, stary krogulcze – dodał Sam.

W tej chwili jeden z konstablów niefortunnie wybuchnął śmiechem, za co burmistrz kazał go niezwłocznie wyrzucić. Niebezpieczna to rzecz w takich wypadkach śmiać się nie na miejscu!

– Gdzie mieszkasz?

– Tam, gdzie jestem – odparł Sam.

– Zanotuj pan to, panie Jinks! – zawołał burmistrz, którego gniew nagle się wzmógł.

– A nie zapomnij pan podkreślić! – dodał Sam.

– To włóczęga, panie Jinks – mówił burmistrz. – Włóczęga według własnego zeznania, nieprawdaż, panie Jinks?

– Niezawodnie, panie burmistrzu!

– A więc aresztuję go. Aresztuję za włóczęgotwo! – powiedział pan Nupkins.

– Bardzo sprawiedliwy i bezstronny jest sąd w tym kraju! – powiedział Sam. – Przydałaby się burmistrzowi koza przynajmniej dwa razy częściej niż innym ludziom!

Usłyszawszy to jeden z konstablów do szczególnych poruczeń wybuchnął głośnym śmiechem, ale natychmiast przybrał minę tak nienaturalnie poważną, że burmistrz bez trudu odgadł, kto się śmiał.

– Grummer! – zawołał burmistrz, czerwony z gniewu. – Jak śmiesz wybierać na konstablów ludzi nieodpowiedzialnych i nieodpowiednich, jak ten tutaj? Jak śmiesz?

– Bardzo mi przykro, wasza wielmożność!

– Przykro! – z wściekłością zawołał burmistrz. – Odpowie mi pan za to zaniedbanie obowiązków, panie Grummer! Muszę dać przykład! Zabrać mi tamtego! Jest pijany. Jesteś pijany.

– Nie jestem pijany, wasza wielmożność! – powiedział konstabl.

– Jesteś pijany – odpowiedział dobitnie burmistrz. – Jak śmiesz twierdzić, że nie jesteś pijany, kiedy ja ci mówię, że jesteś?! Przecież zalatuje od niego rumem! Sam powiedz, Grummer!

– Strasznie, wasza wielmożność! – powiedział Grummer, któremu rzeczywiście zdało się, że skądsis zalatuje rumem

– Wiedziałem, że jest pijany! – mówił pan Nupkins. – Poznałem to po jego błyszczących oczach; jak tylko wszedł do pokoju! Zauważył pan, jak mu błyszczały oczy, panie Jinks?

– Naturalnie, panie burmistrzu!

– Nie miałem dzisiaj od rana kropli w ustach! – tłumaczył się konstabl, który był najtrzeźwieszy pod słońcem.

– Jak śmiesz łąć mi w oczy! – oburzył się pan Nupkins.

– Oczywiście, panie burmistrzu – odpowiedział pan Jinks.

– Panie Jinks, aresztuję tego człowieka za ublizenie mi! Napisz pan odpowiedni rozkaz!

I konstabl zostałby aresztowany, gdyby nie to, że pan Jinks, doradca pana Nupkinsa, znający prawo lepiej od niego (miał trzyletnią praktykę w biurze jednego z adwokatów miejscowych), powiedział cicho do burmistrza, że tak czynić nie wolno. Wobec tego burmistrz palnął długą mowę i oznajmił, że przez wzgląd na rodzinę konstabla zmienia wyrok i po udzieleniu mu nagany zwalnia go ze służby. Potem przez pół godziny jeszcze łajał konstabla i w końcu kazał mu odejść. Grummer zaś, Dubbley i Muzzle oraz inni konstable szepsem unosili się nad wielkodusznością Nupkinsa.

– Teraz, panie Jinks, niech Grummer złoży przysięgę – rzekł burmistrz.

Grummer został bezzwłocznie zaprzysiężony, a ponieważ gmatwał się, a obiad u pana Nupkinsa był już gotów, więc spisanie zeznań tego znakomitego przedstawiciela władzy odbyło się bardzo szybko. Samowi Wellerowi udowodniono gwałt publiczny, panu Winkle'owi pogróżki, panu Snodgrassowi czynny opór. Po dokonaniu tego burmistrz i pan Jinks odbyli cichym głosem naradę. Następnie burmistrz odkaszlnął, zamierzając przemówić do pana Pickwicka, gdy ten odezwał się pierwszy:

– Przepraszam pana – powiedział – ale nim wyda pan wyrok, mam prawo żądać, by i mnie także wysłuchano, przynajmniej w kwestii dotyczącej mnie osobiście.

– Milcz pan – zawołał burmistrz – albo każę pana zaprowadzić do więzienia.

– Może pan to uczynić, niemniej jednak mam prawo żądać, by mię wysłuchano, żądać tego będę tak długo, dopóki nie zostanę wyprowadzony siłą.

– Wiwat zasady! – zawołał Sam.

– Sam! Bądź cicho – rzekł pan Pickwick.

– Będę niemy jak przedziurawiony bęben – rzekł Sam.

Pan Nupkins, zdziwiony takim niesłychanym zuchwalstwem, już miał odpowiedzieć z największą surowością, gdy pan Jinks pociągnął go za rękaw i szepnął mu coś do ucha. Widocznie coś mu tłumaczył, gdyż burmistrz po chwili ostrym tonem zapytał tylko pana Pickwicka:

– Co ma pan do powiedzenia?

– Naprzód – odrzekł filozof, rzucając przez okulary na pana Nupkinsa wzrok, od którego ten dostojnik zmieszał się – naprzód chciałbym wiedzieć, dlaczego ja i moi przyjaciele zostaliśmy tu przyproawdzeni?

– Czy mam mu to powiedzieć? – szepnął burmistrz do pana Jinksa.

– Sądę, że należy powiedzieć – szepnął Jinks.

– Zeznano przede mną pod przysięgą, iż zachodzi obawa, byś się pan tu nie pojedynkował, i że ten drugi, Tupman, jest współwinny w tej sprawie; dlatego też... co, panie Jinks?

– Tak, tak – potwierdził Jinks.

– Dlatego też skazuję obu panów na... sądzę, że tak, panie Jinks?

– Tak, panie.

– Skazuję na... na co, panie Jinks? – z niezadowoleniem zapytał burmistrz.

– Na przedstawienie poręczycieli – szepnął Jinks.

– Tak, na przedstawienie poręczycieli, jak miałem powiedzieć, gdy mi przerwał mój sekretarz.

– Pewnych poręczycieli – szepnął znów pan Jinks.

– Żądam dwóch pewnych poręczycieli – dodał burmistrz.

– Obywatele tutejszych – szepnął pan Jinks.

– Muszą to być obywatele tutejsi – powtórzył burmistrz.

– I właściciele nieruchomości; z kaucją po pięćdziesiąt gwinei.

– Żądam od nich dwóch kaucji, każda po pięćdziesiąt gwinei – mówił dalej burmistrz donośnym głosem i z wielką powagą. – Naturalnie muszą to być właściciele nieruchomości.

– Ale, panie – zauważył pan Pickwick, tak samo jak pan Tupman przejęty oburzeniem i zdziwieniem – ale my tu jesteśmy zupełnie obcy i tyle mamy znajomych między właścicielami tutejszych nieruchomości, co ochoty do pojedynkowania się.

– Znamy to, znamy! – rzekł burmistrz – czy tak, panie Jinks?

– Tak, panie.

– Czy ma pan co jeszcze do powiedzenia – spytał burmistrz.

Pan Pickwick miał jeszcze bardzo wiele do powiedzenia i powiedziałby to z małym pożytkiem dla swojej sprawy, a z nie większym zadowoleniem burmistrza, gdyby Sam nie był go za rękaw pociągnął na stronę i nie rozpoczął rozmowy tak interesującej, że filozof nie słyszał pytania pana Nupkinsa. Pan Nupkins nie był człowiekiem, który by takie pytanie zadawał dwa razy. Odchrząknął więc w sposób przygotowawczy i ferował wyrok wśród pełnego szacunku milczenia konstablów.

Wyrok skazywał Samuela Wellera na dwie gwinee za pierwszy gwałt i na trzy za drugi, pana Winkle'a na dwie gwinee, pana Snodgrassa na jedną, przy czym wszyscy mieli przysiąc, że nie popełnią gwałtu na żadnym poddanym Jej Królewskiej Mości, zwłaszcza na jej oddanym słudze, panu Danielu Grummerze. Panowie Pickwick i Tupman mieli złożyć poręczenie.

Gdy burmistrz przestał mówić, pan Pickwick nadał swej fizjonomii wyraz uśmiechnięty, zrobił krok naprzód i rzekł:

– Proszę pana burmistrza o udzielenie mi kilkuminutowej rozmowy na osobności. Chodzi o sprawę bardzo ważną dla niego samego.

– Co? – zawołał pan Nupkins.

Pan Pickwick powtórzył swe żądanie.

– Szczególne żądanie! – zawołał burmistrz.

– Proszę o rozmowę na osobności! – powtórzył pan Pickwick z mocą – a ponieważ od mego służącego dowiedziałem się o tym, co mam panu zakomunikować, żądam więc, by i on był obecny przy tej rozmowie.

Burmistrz spojrzął na pana Jinksa; pan Jinks spojrzął na burmistrza, konstable spojrzeli po sobie. Pan Nupkins zbladł. Może ten Weller, w chwili gdy go sumienie ruszyło, przyznał się do spisku na życie burmistrza! To była straszna myśl! Bo przecież pan Nupkins był oficjalną osobistością. Pomyślał o Juliuszu Cezarze, o panu Percevalu i zbladł jeszcze więcej. Potem spojrzął na pana Pickwicka i skinął na pana Jinksa.

– Co pan myśli o tym żądaniu? – spytał cicho.

Pan Jinks nie wiedział, co ma o tym myśleć, ale bojąc się swego patrona, uśmiechnął się tylko w sposób wyrażający powątpiewanie, potem zaś pochylił głowę.

– Panie Jinks – rzekł wtedy burmistrz z powagą – pan jesteś osioł.

Usłyszawszy to lakonicznie wyrażone zapatrywanie, pan Jinks uśmiechnął się jeszcze raz, słabiej niż poprzednio, i odszedł na bok.

Przez pewien czas pan Nupkins zastanawiał się sam, co ma robić, wreszcie wstał z miną stanowczą i wezwał pana Pickwicka i Sama do przyległego pokoju. Tam dał im znak, by podeszli aż do okna, a sam został u wejścia, trzymając się w półprzymkniętych drzwi, by w razie potrzeby móc się wycofać. Potem oznajmił, iż gotów jest wysłuchać ich oświadczeń.

– Panie – rzekł pan Pickwick – przechodzę prosto do sprawy, gdyż idzie o rzecz, która dotyczy przede wszystkim pańskiej osoby i jego honoru. Mam wszelkie powody, by przypuszczać, iż przyjmuje pan w swoim domu nikczemnego oszusta.

– Dwóch! – przerwał Samuel. – Fioletowy przewyższa wszystkich, jeżeli chodzi o magajstwo i oszukaństwo!

– Samie! – powiedział pan Pickwick. – Jeżeli mam rzecz jasno wyłożyć panu burmistrzowi, proszę cię, pohamuj się!

– Bardzo pana przepraszam – powiedział Sam – ale kiedy mowa o tym Hiobie, nie mogę się powstrzymać, żeby nie wtrącić kilku uwag.

– Jednym słowem – ciągnął filozof – proszę powiedzieć, czy mój służący nie myli się przypuszczając, że niejaki kapitan Fitz-Marshall przebywa w domu pana? Pytam pana o to, ponieważ... – ciągnął pan Pickwick widząc, że pan Nupkins chce mu przerwać gestem niezadowolenia – ponieważ wiem, że ten człowiek jest... jest...

– Cicho... ciszej... panie – przerwał pan Nupkins, zamykając drzwi. – Powiada pan, że człowiek ten jest...

– Jest włóczęgą bez żadnych zasad, nędznym awanturnikiem żyjącym na koszt społeczeństwa i oszukującym łatwowiernych...

– Niech nas Bóg ma w swojej opiece! – zawołał pan Nupkins rumieniąc się i zmieniając całkiem swoje zachowanie – niech nas Bóg ma w swojej opiece, panie...

– Pickwick – dopowiedział Sam.

– Panie Pickwick – powtórzył burmistrz – siadaj pan, proszę. Co pan mówi? Kapitan Fitz-Marshall...

– Nie jest ani kapitanem, ani Fitz-Marshall – przerwał Sam. – To komedian nazwiskiem Jingle, a jeżeli kiedy wilk chodził w fioletowym ubraniu, to był nim niezawodnie Hiob Trotter.

– Tak jest – dodał pan Pickwick, odpowiadając na spojrzenie burmistrza. – Jedynym powodem, dla którego przybyłem do Ipswich jest zdemaskowanie tego łotra, o którym mówimy.

Tu pan Pickwick opowiedział krótko wszystkie niegodziwości pana Jingle'a; jak się z nim zaznajomił, jak Jingle uwiódł pannę Wardle, jak chętnie rzekł się jej za pieniądze wynagrodzenie; jak wplątał pana Pickwicka w nocną wyprawę i jak on, pan Pickwick, czuje się w obowiązku zdrzeć z tego nikczemnika maskę, nazwisko i tytuł przybrane obecnie.

W miarę jak się rozwijało powyższe opowiadanie, wszystka krew, zwykle krążąca w ciele pana Nupkinsa, zbierała się w żyłach jego twarzy aż po końce uszu. Zaznajomił się on z kapitanem na wyścigach w sąsiedztwie, zaprosił go do siebie, przedstawił pani Nupkins i pannie Nupkins. Te, zachwycone długą listą arystokratycznych znajomości kapitana, jego dalekimi podróżami i wykwinnym obejściem, rozplywały się nad nim, występowały z nim wszędzie, chełpiły się przed znajomymi tak, że serdeczni ich przyjaciele, pani Porckenham i panny Porckenham oraz pan Sidney Porckenham, omal nie pękli z zazdrości i roz-

paczy. A po tym wszystkim okazuje się teraz, iż był to nędzny awanturник, wędrowny aktor i jeżeli nie oszust, to przynajmniej coś tak podobnego do oszusta, iż trudno było dopatrzeć się różnicy. Sprawiedliwe nieba! Co powiedzą teraz Porkenhamowie! Co to będzie za triumf dla Sidneya Porkenhama, którego konkury odrzucono dla kapitana! Jak pan Nupkins ośmieli się spojrzeć w oczy staremu Porkenhamowi na przyszłym posiedzeniu sędziów przysięgłych? A jeżeli się rozgłosi, cóż to będzie za materiał dla opozycji!

Nastąpiło długie milczenie.

– Ale z tym wszystkim – zawołał pan Nupkins rozpromieniony na chwilę – są to tylko przypuszczenia. Kapitan Fitz-Marshall ma maniery bardzo wytworne, ale mógł zrobić sobie wielu nieprzyjaciół. Czym pan udowodni prawdziwość swych oskarżeń?

– Niech pan nas obu postawi oko w oko; więcej nie wymagam. Niech stanie przede mną i mymi przyjaciółmi. Czy potrzeba innych dowodów?

– To będzie bardzo łatwo, gdyż kapitan ma tu przyjść dziś wieczorem. Wtedy nie będzie trzeba rozgłaszać całej sprawy w interesie... tylko w interesie tego młodego człowieka. W każdym razie... chciałbym się wpieryw porozumieć z panią Nupkins, czy krok taki byłby właściwy. Ale przede wszystkim, panie Pickwick, musimy załatwić sprawę urzędową. Więc zechce pan powrócić do sali.

Gdy się tam zainstalowano, burmistrz zawołał majestatycznie:

– Grummer!

– Jestem – odpowiedział Grummer z uśmiechem faworyta.

– No, no – rzekł burmistrz surowo – to nie miejsce na śmieszki; tu nie ma powodu do śmiechu. Czy zeznanie, które niedawno złożył pan, jest zupełnie zgodne z prawdą? Uważaj pan, co masz odpowiedzieć!

– Wasza wielmożność – wybełkotał Grummer...

– A! Mieszasz się! Panie Jinks, czy pan widzi, jak on się miesza?

– Widzę, panie.

– No, Grummer, powtórz swe zeznania; ale uprzedzam cię, miej się na ostrożności! Panie Jinks, spisuj pan, co będzie mówił.

Nieszczęśliwy Grummer począł powtarzać swe oskarżenie. Ale pan Jinks tak podchwytował jego wyrazy, burmistrz tak je przekręcał, iż w trzy niespełna minuty Grummer zaplątał się i rzecz tak powikłał, iż pan Nupkins stanowczo oświadczył, że niczemu nie wierzy. Wskutek tego kary zostały zniesione, a pan Jinks znalazł bezzwłocznie dwóch poręczycieli. Po ukończeniu tych czynności Grummer został oddalony: straszliwy przykład, jak niestała jest wielkość ludzka i jak mało należy ufać łasce tego świata.

Pani Nupkins była kobietą majestatyczną, w turbanie z niebieskiej gazy i kosztownej peruce. Panna Nupkins posiadała wszystko, co było po matce wysokie, z wyjątkiem turbanu, i wszystko, co było fałszywe, z wyjątkiem włosów. Otóż za każdym razem, gdy manifestowanie tych dwóch miłych właściwości stawiało matkę i córkę w niemiłym położeniu, co zdarzało się dość często, obie sprzymierzały się i zwałały wszystko na barki pana Nupkinsa. Gdy ten udał się obecnie do swej żony i powtórzył jej to, co słyszał od pana Pickwicka, pani Nupkins przypomniała sobie, iż zawsze podejrzewała coś podobnego, że zawsze mówiła, iż na tym się skończy, ale nigdy nie chciano jej słuchać, że nie wie, do prawdy, za co ją pan Nupkins ma, itd., itd.

– Czy to możliwe! – zawołała panna Nupkins, fabrykując w kątach oczu po jednej łzie bardzo chudych rozmiarów – czy podobna, by mnie narażano na taką śmieszność!

– Podziękuj papie! – odrzekła pani Nupkins. – Ileż to razy prosiłam go, by zasięgnął wiadomości o rodzinie kapitana! Żeby też raz zdobył się na coś stanowczego!

– Ależ moja kochana... – zauważył pan Nupkins.

– Nie mów do mnie, nieznośny człowieku!

– Moja droga! Tak lubiłaś kapitana Fitz-Marshalla, ciągle go zapraszałaś, przy każdej sposobności wprowadzałaś do domów naszych przyjaciół...

– Czyż nie mówiłam, Henryko! – zawołała pani Nupkins, zwracając się do córki z miną kobiety ciężko obrażonej – czyż nie mówiłam, iż twój ojciec wszystko na mnie zwali?..

Tu pani Nupkins załżała się łzami.

– O, papo! – zawołała panna Nupkins tonem wyrzutu i także załżała się łzami.

– Czy tego nie za wiele – łkała pani Nupkins – czy nie za wiele już tego, że zarzuca mi się, iż ja jestem przyczyną wszystkiego, kiedy to on właśnie wystawił nasz dom na śmiech!

– Jak się teraz pokażemy w towarzystwie? – szepnęła panna Nupkins.

– Jak spojrzymy w oczy Porkenhamom?

– Albo Griggom...

– Albo Slummintowkensom? Ale cóż to obchodzi twego ojca! Na tę straszną myśl pani Nupkins zaczęła tak płakać, jak płakać mogą tylko serca rozdarte boleścią, a panna Nupkins poszła w jej ślady.

Łzy pani Nupkins nie przestawały lać się bardzo obficie aż do chwili, kiedy uznała, iż najlepiej będzie poprosić pana Pickwicka z przyjaciółmi, by pozostał u nich aż do przybycia kapitana. Jeżeli wtedy wyda się jego oszustwo, to wypędzi się go z domu, nie rozgląszając tego powodów; Porkenhamom powie się, by wytłumaczyć jego zniknięcie, iż dzięki wpływom swej rodziny kapitan mianowany został jeneralnym gubernatorem w Sierra Leone albo Saugur-Point, albo w jakimkolwiek innym z tych zdrowych krajów, które zwykle tak zachwycają Europejczyków, iż nie wracają stamtąd prawie nigdy.

Gdy pani Nupkins przestała wylewać łzy, panna Nupkins uczyniła to samo, a pan Nupkins uważał się za szczęśliwego, iż całą rzecz załatwi się według propozycji jego żony. Wskutek tego pan Pickwick i jego przyjaciele zostali przedstawieni damom, następnie zaś zaproszeni na obiad. Co do Sama Wellera, to burmistrz, z właściwą sobie bystrością umysłu, w mgnieniu oka przekonał się, iż był to najlepszy na świecie chłopak, i powierzył go gościnnej opiece pana Muzzle'a, dając mu przy tym specjalny rozkaz, by zaprowadził Sama na dół i należycie go tam przyjął.

– Jak się pan ma? – rzekł Muzzle do Sama prowadząc go do kuchni.

– Ha! Nie zaszła żadna wielka zmiana od czasu, jak widziałem pana sterczącego za krzesłem burmistrza w sali.

– Przepraszam, że nie zwróciłem wtedy na pana uwagi, ale jak pan to zapewne zauważył, nie byliśmy sobie przedstawieni. O! Mój pan bardzo pana polubił.

– To mi figura.

– Prawda?

– Jowialny!

– I znakomity mówca. Jak mu płyną myśli, co?

– Zdumiewająco! Płyną tak szparko i tłumnie, iż stukają się głowami i nie wiadomo nawet, o co idzie.

– To właśnie wielka zaleta stylu jego mowy... Uważaj pan na ostatni stopień. Czy nie zechce pan umyć sobie rąk, nim pójdziemy do dam? Oto umywalnia; ręcznik wisi na kołku za drzwiami.

– Nie szkodzi trochę się opłukać – odrzekł Sam, nacierając ręcznik mydłem. – A dużo jest tu dam?

– W naszej kuchni dwie tylko: kucharka i dziewczyna. Do gorszej roboty mamy chłopca i dziewczkę; ale to jada obiad w pralni.

– A, to jada w pralni? – zapytał Sam.

– Tak, próbowaliśmy to sadzać z nami do stołu, ale nie mogliśmy wytrzymać, dziewczka ma maniery okropnie pospolite, a chłopiec, gdy je, tak kłapie zębami, iż niepodobna wytrzymać.



– A, cóż to za hipopotam!  
– To wstrętne! Otóż to, panie Weller, jest najnieznośniejsze na prowincji! Młodzi ludzie są tak źle wychowani. Tędy, panie, tędy...

Tak rozmawiając, Muzzle z najwykwintniejszą grzecznością wprowadził Sama do kuchni.

– Mary – rzekł do ładnej służącej – oto pan Weller, którego nasz pan przysłał z poleceniem, by go przyjęto jak można najgościnniej.

– A wasz pan zna się na tym; w dobre miejsce mnie przysłał – rzekł Sam, spoglądając z uwielbieniem na piękną służącą – ja, gdybym był panem tego domu, zawsze bym był tam, gdzie Mary.

– O, panie Weller! – zawołała Mary, rumieniąc się.

– No, a ja! – zawołała kucharka.

– Ach! Zapomniałem o pani – zawołał Muzzle. – Panie Weller, pozwól pan przedstawić sobie naszą kucharkę.

– Jak się pani ma? – zapytał Sam. – Bardzo mi przyjemnie poznać panią; spodziewam się, iż nasza znajomość będzie długotrwała – jak mówił pewien gentleman do banknotu na pięć funtów szterlingów.

Po prezentacji kucharka i Mary cofnęły się w kąt i szeptały przez dziesięć minut, a gdy wróciły robiąc miny i rumieniąc się, wszyscy zasiedli do stołu.

Swobodne maniery towarzyskie Sama wywarły znakomity wpływ na nowych jego przyjaciół, tak że w połowie obiadu był już z nimi na stopie zupełnie poufalej i, jak można najdokładniej, przedstawił im całą przewrotność Hioba Trottera.

– Nigdy nie mogłam znieść tego człowieka – rzekła Mary.

– To się rozumie – odpowiedział Sam.

– Dlaczego?

– Bo brzydota i przewrotność nigdy się nie zgodzą z wdziękami i cnotą. Nieprawdaż, panie Muzzle?

– Naturalnie.

Na te słowa Mary poczęła śmiać się zapewniając, że śmieje się z kucharki, kucharka zaś zapewniając, że tak nie jest, także zaczęła się śmiać.

– Ach! nie mam szklanki! – rzekła Mary.

– Pijmy razem z mojej – odpowiedział Sam – niech panna przyłoży tu usta, to będzie tak, jakbym ją pocałował przez prokurę.

– Fe, panie Weller.

– Dlaczego fe?

– Fe tak mówić.

– Ba! Nie ma w tym nic złego. To już tkwi w naturze. Nieprawdaż, pani kucharko?

– Niech pan będzie cicho! Pan jest impertynent – odparta zapytana z rozpromienioną twarzą.

Następnie kucharka i Mary poczęły znowu śmiać się do rozpuku, aż ta ostatnia skutkiem piwa, zimnego mięsa i śmiechu tak się zakrztusiła, że omal nie udusiła się. Ten niebezpieczny kryzys przeszła dzięki kilku szturchańcom w plecy oraz innym zabiegom, którymi w sposób wysoce uprzejmy służył jej Sam Weller.

Wśród tego usłyszano gwałtowne dzwonienie i młody gentleman, posilający się w pralni, poszedł bezzwłocznie otworzyć drzwi. Sam zalecał się do pięknej pokojówki, pan Muzzle robił honory stołu, a kucharka, która przestała na chwilę śmiać się, podniosła właśnie do ust potężny kawał mięsa, gdy drzwi otworzyły się i wszedł pan Hiob Trotter.

Napisał „wszedł”, ale właściwiej było napisać „ukazał się”. Drzwi otworzyły się i ukazał się Trotter. Byłby wszedł, a nawet miał wejść, gdy wtem ujrzał Sama. Mimo woli

cofnąwszy się parę kroków, stanął niemy i nieruchomy i spoglądał ze zdumieniem i przerażeniem na obraz, jaki miał przed oczyma.

– Otóż i on! – zawołał Sam, wstając z radością. – Tylko com tu wspomniał o jegomości; jakże się masz? Dlaczego tak rzadko tu bywasz? Wejdz no, wejdz!

To mówiąc, Sam pochwycił Hioba za fioletowy kołnierz i bez oporu wciągnął do kuchni, potem zamknął drzwi, a klucz wręczył panu Muzzle'owi, który z zimną krwią wsunął go do kieszeni od kamizelki i zapiał surdut.

– A to się dziwnie złożyło! – mówił dalej Sam – mój pan ma przyjemność spotkania twego pana na górze, a ja mam przyjemność spotkania ciebie na dole. Jakże się miewasz? Jakże tam nasz handelek korzenny, co? Doprawdy, mocno się cieszę, że cię widzę. Ty także masz zadowoloną minę. To bardzo dobrze. Prawda, panie Muzzle?

– O tak, tak! – rzekł pan Muzzle.

– Jesteś taki miły – zawołał Sam.

– Taki uprzejmy – dodał Muzzle.

– I tak szczęśliwy, że nas widzisz – rzekł Sam. – No siadajże, siadaj!...

Hiob siadł na krześle przy kominku i zwrócił swe małe oczki na Sama, potem na Muzzle'a, ale nic nie powiedział.

– No, teraz – zaczął znowu Sam – zrób mi tę przyjemność i powtórz tu, przed tymi damami, że jesteś najprzyjemniejszym gentlemanem i najlepiej edukowanym ze wszystkich, którzy kiedykolwiek używali chustek w kratę i zbioru pieśni pobożnych nr 4.

– I którzy kiedykolwiek zamyślali żenić się z kucharkami, ty

szubieniczniku! – zawołała kucharka, pełna cnotliwego oburzenia.

– Młodzieńcze – wrzasnęła Muzzle, roznamietniony tymi dwoma napomknieniami – posłuchaj, co ci powiem! Ta oto dama (wskazując na kucharkę) jest moją dobrą przyjaciółką i jeżeli roi ci się w głowie, iż będziesz razem z nią miał sklepik korzenny, to tym ranisz mnie, mój panie, ranisz w najczulsze miejsce, w jakie człowiek może być zraniony. Czy rozumiesz?

Tu Muzzle, który tak jak jego pan miał wielkie wyobrażenie o swym darze wymowy, zatrzymał się, czekając na odpowiedź; ale ponieważ Hiob widocznie nie był do niej usposobiony, Muzzle mówił dalej z ogromną powagą:

– Bardzo jest to prawdopodobne, mój panie, iż pan nie tak prędko będzie potrzebny tam, na górze, ponieważ mój pan rozprawia się właśnie z twoim panem. Więc i my możemy rozmówić się na osobności. Czy pan mnie rozumie?

Pan Muzzle znów zamilkł, czekając na odpowiedź, ale Trotter znów go zawiódł.

– A! Jeżeli tak – zaczął znów Muzzle – przykro mi, lecz muszę załatwić się z tobą wobec tych dam. Niech mnie tłumaczy konieczność. Pokoik za kuchnią jest wolny; jeżeli zechce pan tam pójść, pan Weller będzie nam służył za świadka; tam będziemy mogli dać sobie zadośćuczynienie, dopóki nie zadzwonią. Chodź pan za mną...

Mówiąc to mężny Muzzle zrobił parę kroków ku drzwiom, zdejmując po drodze surdut, by nie tracić czasu.

Ale gdy kucharka usłyszała ostatnie wyrazy śmiertelnego wyzwania i gdy ujrzała Muzzle'a gotującego się do tego szczególnego pojedynku, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się ku Trotterowi, który teraz na próżno usiłował wstać, dała mu policzek, podrapała twarz i wsunawszy obie ręce we włosy, wyrwała mu ich sporą garść. Dokonawszy tego czynu z zapalem natchnionym przez miłość do pana Muzzle'a zadrzała i padła zemdlona pod stół, gdyż była to dama obdarzona uczuciami bardzo delikatnymi.

W tej chwili odezwał się głos dzwonka.

– To na ciebie dzwonią, Hiobie Trotter – rzekł Sam i nim ten miał czas stawić opór lub uwolnić się, nawet nim zdołał zatamować krew płynącą mu z ran, Sam wziął go pod jedną

rękę, Muzzle pod drugą i tak, jeden ciągnąc, a drugi popychając, zaprowadzili go po schodach do przedpokoju.

Tu odbywała się bardzo interesująca scena.

Alfred Jingle Esq., inaczej kapitan Fitz-Marshall, stał przy drzwiach z kapeluszem w ręce, uśmiechem na ustach i twarzą bynajmniej nie zmienioną nieprzyjemnym położeniem. Naprzeciw niego stał pan Pickwick, który widocznie udzielał mu lekcji moralności, ponieważ lewa jego ręka była ukryta pod połą surduta, a prawa wyciągnięta, jak to miał zwyczaj robić zawsze, gdy przemawiał, by wywołać wrażenie. Nieco dalej stał pan Tupman, pałając oburzeniem, ale silnie przytrzymywany przez dwóch młodych przyjaciół. Na koniec w głębi pokoju stali: pan Nupkins, pani Nupkins i panna Nupkins, wszyscy z minami dumnymi i ponurymi, pełnymi groźby i oburzenia.

W chwili gdy wprowadzono Hioba, pan Nupkins deklamował z namaszczaniem:

– Cóż mi przeszkadza – mówił – kazać aresztować tych wagabundów jako łotrów i oszustów? Dlaczego unoszę się niepotrzebnym współczuciem? Cóż mi przeszkadza?

– Duma, mój stary, duma – odrzekł Jingle ze spokojem. – Zły efekt, złapaliśmy kapitała! Cha, Cha! Dobra gratka! Doskonała partia dla córki! – Za oszusta. – Rozgłosić to? – Za nic w świecie! Za wiele by gadano, za wiele.

– Nędzniku! – powiedziała pani Nupkins. – Odrzucamy z pogardą pańskie podłe insynuacje.

– Ja zawsze miałam wstręt do niego – dodała Henryka.

– O! Rozumie się. – Słuszny, młody mężczyzna – stary wielbiciel – Sidney Porkenham, bogaty – ale zawsze nie tak bogaty jak kapitan – a więc kosz – kapitan jest niezrównany, wszystkie panny szaleją za nim... Co, Hiobie?! Cha! Cha!

Tu pan Jingle począł śmiać się z całego serca. A Hiob, z zadowoleniem zacierając obie ręce, wydał pierwszy głos od czasu, jak przyszedł. Był to rodzaj cichego, drwiącego śmiechu wynikającego ze szczerzego zadowolenia.

– Panie Nupkins – rzekła starsza dama – służący nie potrzebuje słyszeć tej rozmowy. Każ wyprowadzić tych dwóch nędzników.

– Tak, tak, moja droga! Muzzle!

– Jestem, panie.

– Otwórz drzwi.

– Już, panie.

– Wyoście się stąd, nędznicy! – zawołał pan Nupkins wyniosłym tonem.

Jingle uśmiechnął się i poszedł ku drzwiom.

– Stój! – zawołał pan Pickwick.

Jingle stanął.

– Mógłbym – rzekł wtedy pan Pickwick – mógłbym srożej zemścić się za obejście, jakiego doznałem od pana i pańskiego przewrotnego przyjaciela... (Tu Hiob skłonił się z największą grzecznością i przyłożył rękę do serca). Powiadam – ciągnął dalej pan Pickwick, stopniowo roznamietniając się – powiadam, iż mógł bym srożej zemścić się; ale poprzestaję na zdarcie z was maski, ponieważ jest to moim obowiązkiem względem społeczeństwa. Chcę wierzyć, panie, iż nie zapomnisz tego umiarkowania. (W tym miejscu Hiob Trotter z komiczną powagą przyłożył rękę do ucha, jakby obawiał się stracić jeden wyraz z przemówienia pana Pickwicka). Jedno tylko chcę jeszcze dodać – mówił dalej filozof, już bardzo oburzony – a mianowicie, iż poczytuję pana za oszusta... za łotra, za największego łotra, jakiego kiedykolwiek spotkałem... wyjąwszy tego wagabundę w fioletowej liberii...

– Cha, cha! – odrzekł drwiąco Jingle. – Poczciwiec Pickwick – złote serce – dzielny stary – ale nie trzeba tak unosić się – niezdrowo – *adieu!* Nie martw się pan; może jeszcze kiedy spotkamy się. – No, Hiob! w drogę!

Mówiąc to pan Jingle nasunął kapelusz i odszedł spokojnym krokiem. Hiob zatrzymał się, spojrzął dokoła, uśmiechnął się, potem oddawszy panu Pickwickowi drwiący ukłon i spojrzawszy na Sama z trudnym do opisanego bezwstydem, poszedł za swym panem.

– Sam! – zawołał pan Pickwick widząc, że służący jego chce iść za odchodzącymi.

– Słucham pana.

– Zostań tu. Sam zawahał się.

– Zostań tu – powtórzył pan Pickwick.

– Czy nie mógłbym w ogrodzie poturbować trochę tego Hioba Trottera?

– Nie można!

– Choćby tak trochę... spuścić ze schodów?

– Stanowczo zabraniam...

Przez jedną krótką chwilę, jedyną od czasu, jak był w służbie, Sam miał minę niezadowoloną i nieszczęśliwą. Ale wkrótce przyszedł do siebie, gdyż chytry Muzzle, który ukrył się był za drzwiami, wyskoczył zza nich we właściwej chwili i bardzo zręcznie pchnął na schody pana Jingle'a i jego sługę, tak iż obaj potoczyli się na dół aż do samych aloeów.

– Teraz, panie – rzekł pan Pickwick do pana Nupkinsa – teraz, panie, spełniwszy nasze posłannictwo, ja i moi przyjaciele żegnamy pana, dziękując za gościnność. Zapewniam pana w imię i moim imieniu, iż nie przyjęlibyśmy tej gościnności, gdyby nie nakazywało nam tego poczucie naszego obowiązku. Jutro rano powracamy do Londynu; tajemnica pana znajduje się w pewnych rękach.

Zaprotestowawszy w ten sposób przeciw temu, co zaszło rano, pan Pickwick oddał głęboki ukłon damom i pomimo próśb, by został, wyszedł z pokoju ze swymi przyjaciółmi.

– Weź swój kapelusz, Samie – rzekł do służącego.

– Jest pod schodami, proszę pana – powiedział Sam i pobiegł po niego.

Kapelusz gdzieś się zapodział. Sam zmuszony był więc szukać go, a Mary mu przyświecała. Obejrząwszy wszystkie kąty, piękna służąca, zaniepokojona, gdzie by kapelusz mógł się zaprzepaścić, uklękła i przerzuciła wszystkie rupiecie złożone za drzwiami. Było tam bardzo ciasno. Niepodobna było dostać się, nie zamknąwszy wprzód drzwi.

– Mam już! – zawołała wreszcie – czy to ten?

– Zobaczymy – odrzekł Sam.

Mary postawiła świecę na podłodze, ale ponieważ świeca słabo świeciła. Sam zmuszony był także uklęknąć. Zakątek ten był szczególnie ciasny i tak się jakoś stało bez niczyjej winy, wyjąwszy chyba tego, kto dom budował, że Sam i piękna służąca znaleźli się bardzo blisko siebie.

– Tak, to ten – rzekł Sam. – *Adieu*.

– *Adieu* – odrzekła piękna służąca.

– *Adieu* – powtórzył Sam i mówiąc to, upuścił kapelusz, z takim trudem odszukany.

– Jaki pan niezgrabny! – zawołała Mary. – W ten sposób może go pan zgubić drugi raz. – I by go nie zgubił, sama włożyła mu go na głowę.

Twarz pięknej służącej była w tej chwili jeszcze piękniejsza niż zwykle. Otóż, czy z tego powodu, czy też z powodów innej natury, tak się jednak stało, że Sam ją pocałował.

– Spodziewam się, że zrobił pan to nieumyślnie! – zawołała piękna dziewczyna, rumieniąc się.

– Nie, moja droga; ale teraz zrobię to już umyślnie – i pocałował ją powtórnie.

– Sam! – zawołał pan Pickwick z góry.

– Jestem, panie – odrzekł służący, biegnąc po schodach.

– Tak długo siedzisz!

– Coś się stało z drzwiami i nie można było ich otworzyć.

Taki był pierwszy rozdział miłości Sama.

## Rozdział dwudziesty szósty

### *zawierający krótkie streszczenie sprawy Bardell contra Pickwick*

Osiągnąwszy cel podróży do Ipswich, który polegał na wykryciu niegodziwości pana Jingle'a, pan Pickwick postanowił bezzwłocznie powrócić do Londynu, by się dowiedzieć, co przedsięwzięli przeciw niemu panowie Dodson i Fogg. Przystępując do urzeczywistnienia tego zamiaru z całą przedsiębiorczością swego charakteru, filozof siadł do pierwszego odchodzącego dyliżansu nazajutrz po pamiętnych wypadkach, które w całej rozciągłości opisaliliśmy w dwóch poprzednich rozdziałach, i tegoż samego dnia wieczorem przyjechał do stolicy, cały i w najlepszym zdrowiu oraz w towarzystwie swych przyjaciół i Sama.

Tu rozstano się na pewien czas. Panowie Snodgrass, Tupman i Winkle udali się do swych mieszkań, by poczynić potrzebne przygotowania do podróży do Dingley Dell; pan Pickwick zaś i Sam stanęli w bardzo dobrej, chociaż starej oberży „Pod Jerzym i Jastrzębiem” na Lombard Street.

Pan Pickwick, zjadłszy obiad, kończył drugi kufel doskonałego porto, obwiązał sobie głowę chustką, nogi wyciągnął ku kominkowi i rozsiadł się wygodnie na krześle, gdy wejście Sama z torbą podróżną wyrwało go ze spokojnych rozmyślań.

– Sam! – zawołał filozof.

– Jestem, panie.

– Myślałem właśnie o tym, iż wiele moich rzeczy pozostało u pani Bardell, przy ulicy Goswell, i że trzeba je stamtąd zabrać.

– Bardzo dobrze – rzekł Weller.

– Złożymy je tymczasem u pana Tupmana, ale przedtem trzeba by to uporządkować. Chciałbym, abyś poszedł na ulicę Goswell i załatwił mi to wszystko.

– Czy zaraz, panie?

Zaraz... i... zaczekaj no – dodał pan Pickwick, wyjmując pieniądze. – Trzeba zapłacić czynsz. Wprawdzie termin przypada na Boże Narodzenie, ale zapłać teraz, by wszystko było w porządku. Mam prawo wymówić mieszkanie na miesiąc przed terminem. Oto jest kontrakt. Oddasz go pani Bardell. Niech odnajmie lokal, kiedy chce.

– Bardzo dobrze, panie. Więcej nic?

– Nic więcej, Samie.

Sam wolnym krokiem szedł ku schodom, jakby czekał na coś jeszcze. Powoli otworzył drzwi i już miał przekroczyć próg, kiedy pan Pickwick znowu zawołał:

– Sam!

– Jestem, panie – odrzekł służący poważnie.

– Nie będę miał nic przeciwko temu, gdy postarasz się wywiedzieć, jak pani Bardell jest obecnie wobec mnie usposobiona i czy rzeczywiście ten niegodziwy proces ma być prowadzony aż do ostateczności. Mówię ci, iż nie mam nic przeciwko temu, byś się o tym dowiedział, jeżeli będziesz mógł.

Sam skinieniem dał do zrozumienia, iż pojmuje, o co chodzi, i wyszedł z pokoju. Pan Pickwick jeszcze raz nasunął jedwabną chustkę na głowę i przygotował się do drzemki.

Sam szybkim krokiem ruszył spełnić polecenie. Około dziesiątej stanął na ulicy Goswell. W małym pokoju od frontu paliło się kilka świec, a na zasłonie w oknie widać było cienie dwóch stroików. Pani Bardell przyjmowała. Pan Weller zapukał do drzwi. Po dość długiej pauzie, w czasie której Sam gwizdał jakąś melodię, a właścicielka lokalu próbowała namówić krótką, oporną świecę, by się rozpałała, dały się słyszeć kroki i młody Bardell stanął przed Samem.

- No, młodzieńcze, jakże się miewa mama?
- Dobrze się ma – i ja także – odparł mały.
- Chwała Bogu; powiedz, że chciałbym pomówić z nią, mój ty młody fenomenie.

Wezwany w ten sposób Bardell syn postawił na schodach świecę, z którą był wszedł, i znikł za drzwiami, by oznajmić poselstwo.

Sam tymczasem dostrzegł na oknie dwa kobiece stroiki, które należały do dwóch najserdeczniejszych przyjaciółek pani Bardell. Przybyły one do niej na towarzyską herbatkę i ciepłą przekąskę składającą się z nóżek wieprzowych i smażonego sera. Podczas gdy ser smażył się na małym holenderskim kominku w sposób niesłychanie nęcący, a nóżki wieprzowe dochodziły rozkosznie w cynowej rynce, pani Bardell i dwie jej przyjaciółki pływały się w plotkach o wspólnych ich znajomych. Młody Bardell przerwał ten zajmujący przegląd, wróciwszy od drzwi i uwiadamiając o przybyciu Sama.

– Służący pana Pickwicka! – zawołała pani Bardell blednąc.

– Boże miłosierny! – wykrzyknęła pani Cluppins.

– Doprawdy, że gdybym nie była tu sama, nigdy bym temu nie uwierzyła! – oświadczyła pani Sanders.

Pani Cluppins była to kobiecina żwawa i wiecznie czymś zajęta. Pani Sanders była znów wysoka, tęga, o poważnej twarzy. One to stanowiły towarzystwo pani Bardell. Pani Bardell uznała za właściwe być wzruszoną, a ponieważ żadna z trzech dam nie wiedziała, czy wypada komunikować się z panem Pickwickiem bez pośrednictwa panów Dodsona i Fogga, więc wszystkie trzy nie wiedziały, co począć. W tym stanie wątpliwości nie pozostawało na razie nic innego, jak obić małego chłopca za to, że zastał Sama we drzwiach. Czująca matka nie zaniedbała więc tego, a chłopak począł wrzeszczeć jakby z nut.

– Nie ogłuszaj mnie, szkaradne stworzenie! – zawołała pani Bardell.

– Nie dręcz twej biednej matki – dodała pani Cluppins.

– Ma ona i bez tego niemało zmartwień – dodała ze współczuciem pani Sanders.

– Ach, biedna owieczka! – zaczęła znowu pani Cluppins. Podczas tych moralnych rozważań młody Bardell ryczał coraz głośniejsze.

– Co tu począć? – zapytała pani Bardell.

– Sądzę, że powinna go pani przyjąć, rozumie się, przy świadku – odpowiedziała pani Cluppins.

– Przy dwóch świadkach będzie legalniej – zauważyła pani Sanders, która, jak i jej przyjaciółka, po prostu pękała z ciekawości.

– Więc można go tu wezwać? – zaczęła znów pani Bardell.

Pani Cluppins uznała to za słuszne i zawołała:

– Proszę wejść, panie Weller. Niech pan tylko zamknie za sobą drzwi.

Sam przyjął zaproszenie i wszedł do pokoju, gdzie wyłożył cel swego poselstwa do pani Bardell jak następuje:

– Przykro mi, że robię pani subiekcję, jak mówił raz pewien rozbójnik do starej damy, gdy wpadł do jej domu i przypiekał ją ogniem, ale ponieważ przybyliśmy właśnie do Londynu z moim gubernatorem i wkrótce znów mamy wyjechać, więc chciałem złożyć pani moje uszanowanie.

– Nie może pan odpowiadać za czyny pana Pickwicka – zauważyła pani Cluppins, na której osoba i manieri Sama wywarły wielkie wrażenie.

– Naturalnie – odparła pani Sanders, która rzuciwszy czułe spojrzenie na rynkę, dokładnie obliczyła w myśli, ile dostałoby się jej ze smakowitych nówek wieprzowych, gdyby Sama zaproszono na herbatę.

– A zatem – mówił dalej „ambasador”, nie zważając na przerwanie – przyszedłem tu: po pierwsze, żeby wymówić mieszkanie, oto kontrakt; po drugie, żeby zapłacić czynsz, oto pieniądze; po trzecie, by prosić panią o uporządkowanie naszych rzeczy i oddanie ich osobie, którą tu przyślemy; po czwarte, by oznajmić, iż może pani, choćby zaraz, odnajdąc nasze mieszkanie. To wszystko.

– Pomimo wszystko, co zaszło – rzekła z westchnieniem pani Bardell – zawsze mówiłam i zawsze mówić będę, że pod każdym względem, z wyjątkiem jednego, pan Pickwick postępował jak prawdziwy gentleman. Pieniądże były u niego tak pewne jak w Banku Angielskim.

Mówiąc to pani Bardell przyłożyła chustkę do oczu i wyszła z pokoju, by napisać pokwitowanie.

Sam wiedział, iż najlepiej zrobi, gdy będzie milczał, bo dwie damy niechybnie zagadną go same. Ograniczył się więc do kolejnego oglądania rynki, ścian i podłogi zachowując najzupełniejsze milczenie.

– Biedna kobieta! – zawołała pani Cluppins.

– Biedna istota! – dodała pani Sanders.

Sam nie odpowiedział nic; zmiarkował, iż zmierzają do rzeczy.

– Doprawdy, że serce się kraje – zaczęła znowu pani Cluppins

– gdy pomyślę o takiej zdradzie. Nie chcę mówić nic nieprzyjemnego, ale pan Pickwick jest to stary brutal i chciałabym, by był tu i bym mogła powiedzieć mu to w oczy.

– I ja bym chciał, żeby tu był – odrzekł Sam.

– Straszna rzecz patrzeć, jak ta kobieta bierze to sobie do serca, jak niknie, jak nic jej nie cieszy, wyjąwszy chyba to, że widzi swe przyjaciółki, które przychodzą tu czasami jedynie, by ją odwiedzić i rozerwać – dodała pani Cluppins, spoglądając z ukosa na kominek holenderski i cynową rynkę. – To straszne.

– To barbarzyństwo! – dodała pani Sanders.

– Pan Pickwick, człowiek jeszcze młody, jest bardzo bogaty, a gdyby się ożenił, nie dostrzegłby nawet różnicy w wydatkach. Tu nie ma nic na jego wytłumaczenie. Dlaczego nie żeni się z nią? – mówiła dalej pani Cluppins, mieląc wprawnie językiem.

– To właśnie pytanie! – rzekł Sam.

– Pytanie? – rzekła pani Cluppins. – Gdyby o mnie chodziło, wcale bym nie pytała. W każdym razie istnieje prawo i dla nas, biednych kobiet, chociaż mężczyźni chcieliby zrobić nas niewolnicami. Pan Pickwick dowie się o tym na własny koszt, nim będzie o sześć miesięcy starszy.

Po tej pocieszającej uwadze twarz pani Cluppins rozjaśniła się i uśmiechnęła do pani Sanders, która także odpowiedziała uśmiechem.

„Więc sprawa toczy się; nie ulega wątpliwości” – pomyślał Sam, podczas gdy pani Bardell wychodziła z drugiego pokoju.

– Oto pokwitowanie – rzekła miła wdowa – i reszta pieniędzy. Może pan co pozwoli, aby się rozgrzać, tak po starej znajomości.

Sam zmiarkował, że może coś jeszcze wywiedzieć się, i przyjął zaproszenie. Pani Bardell wydobyła więc z małej szafki butelkę, ale była tak głęboko wzruszona, iż zamiast jednego kieliszka naląła cztery.

– Ach, co pani robi? – zawołała pani Cluppins.

– A to roztargnienie! – dodała pani Sanders.

– O, biedna moja głowo! – rzekła pani Bardell, smutno uśmiechając się.

Sam, jak łatwo się domyślić, zrozumiał wszystko, toteż pośpieszył oświadczyć, iż nigdy nic nie pije przed kolacją, chyba że napije się do niego dama. Nastąpiły głośne śmiechy, w końcu pani Sanders zdecydowała się uczynić zadość temu żądaniu i umaczała usta w kieliszku. Wtedy Sam oświadczył, iż należy pić kolejkę, i wszystkie damy umaczały usta. W końcu pani Cluppins zaproponowała toast – za powodzenie sprawy Bardell *contra* Pickwick – i damy wypróżniły swe kieliszki, po czym stały się bardzo rozmowne.

– Sądzę – rzekła pani Bardell – sądzą, iż pan wie, jak rzeczy stoją, panie Weller?

– Tak, słyszałem o tym – odrzekł Sam.

– Okropna to rzecz, panie Weller – rzekła pani Bardell – gdy człowiek w ten sposób staje się przedmiotem plotek w całym mieście, ale teraz widzę, iż nie mam innego środka. Moi adwokaci, panowie Dodson i Fogg, utrzymują, iż muszę wygrać. W przeciwnym razie nie wiem, co pocznę.

Sama myśl, że pani Bardell może przegrać proces, tak głęboko wzruszyła panią Sanders, iż dama ta uczuła się zmuszona nalać powtórnie swój kieliszek i wypróżnić go bezwłocznie, czując, jak to potem utrzymywała, że gdyby nie miała na tyle przytomności umysłu, by tak postąpić, niezawodnie zrobiliby się jej słabo.

– Kiedy, jak pani myśli, może to nastąpić? – zapytał Sam.

– W lutym albo w marcu – odrzekła pani Bardell.

– A ilu będzie świadków! – zawołała pani Cluppins. – A jeżeli oskarżycielka nie wygra, toż to będą złościć się panowie Dodson i Fogg! Przecież oni robią to wszystko przez spekulację, na własne ryzyko!

– Oczywiście – rzekła pani Sanders.

– Ale ona wygra! – zawołała pani Cluppins.

– Spodziewam się – dodała pani Bardell.

– Nie ulega żadnej wątpliwości – dorzuciła pani Cluppins.

– No – rzekł Sam, stawiając swój kieliszek na stole – jeśli o mnie chodzi, to mogę tylko powiedzieć, iż życzę tego pani.

– Dziękuję, panie Weller – odpowiedziała pani Bardell.

– Co się zaś tyczy panów Dodsona i Fogga, robiących takie rzeczy przez spekulację – mówił dalej Sam – oraz wszystkich podobnych im jegomościów tejże profesji *gratis* wciągających ludzi za uszy w procesy, to mogę tylko powiedzieć, iż im życzę takiej nagrody, jaką dałbym im ja sam.

– Ach! – zawołała rozczulona tymi słowami pani Bardell. – Życzę im nagrody, na jaką zasługują wszystkie szlachetne serca.

– Amen! – odpowiedział Sam. – I niech już przy tym zostanie. Życzę dobrej nocy, moje panie.

Ku wielkiej uciesze pani Sanders, pani Bardell pozwoliła Samowi odejść, nie robiąc żadnych aluzji do nóżek wieprzowych i smażonego sera, wkrótce więc przy pomocy młodzieńczych sił Bardella syna załatwiono się jak najdokładniej z wszystkimi przysmakami. Dzięki zjednoczonym wysiłkom dania zniknęły bez śladu.

Sam, przybywszy do osterzy „Pod Jerzym i Jastrzębiem”, jak najdokładniej zaraportował swemu panu o przebiegłych manewrach Dodsona i Fogga. Opowiadanie jego na drugi dzień potwierdził w całej rozciągłości pan Perker, z którym filozof nasz odbył naradę. Tymczasem pan Pickwick zaczął robić przygotowania do odjazdu na Boże Narodzenie do Dingley Dell, mając to nad wyraz miłe uczucie, iż za dwa lub trzy miesiące będzie miał w sądzie Common Pleas rozprawę o wypłacenie odszkodowania za złamanie przyrzeczenia małżeństwa. Przy tym wszystko będzie przemawiało za oskarżycielką, co przypisać należy nie tylko sile okoliczności, ale także sprytowi i obrotności panów Dodsona i Fogga.



## Rozdział dwudziesty siódmy

### *Samuel Weller odbywa pielgrzymkę do Dorking i widzi się ze swoją macochą*

Ponieważ odjazd pickwickczyków do Dingley Dell miał nastąpić dopiero za dwa dni, Sam, zjadłszy wcześniej obiad „Pod Jerzym i Jastrzębiem”, począł rozmyślać, jak tu w najlepszy sposób zużytkować wolny czas. Pogoda była prześliczna, a Sam już po dziesięciu minutach rozmyślania poczuł rozwijające się w sercu swym wielkie synowskie przywiązanie. Potrzeba odwiedzenia ojca i złożenia swego uszanowania macosze tak żywo zarysowała się w jego umyśle, iż sam się tym zdumiał, że mu pierwej nie przyszła do głowy ta moralna powinność. Pragnąc więc jak najprędzej naprawić swe dawne błędy, poszedł do pana Pickwicka i prosił go, by mu pozwolił wykonać ten chwalebny zamiar.

– Z całego serca! – odrzekł filozof, którego oczy napełniły się łzami radości na ten dowód synowskich uczuć Sama. – Z całego serca!

Sam skłonił się z wdzięcznością.

– Cieszę się – rzekł pan Pickwick – że tak dobrze pojmujesz swe synowskie obowiązki.

– Zawsze je tak pojmowałem, panie – rzekł Sam.

– To bardzo pocieszające – zauważył pan Pickwick.

– Niewątpliwie. Jeżeli coś chciałem kiedy od mego ojca, zawsze prosiłem go o to bardzo grzecznie i uprzejmie, ale jeżeli mi tego nie dał, to brałem sam, z obawy, bym się nie dopuścił czego złego, gdy nie będę miał tego, co chcę. W ten sposób uwalniałem go od mnóstwa kłopotów.

– Nie to miałem na myśli, Samie – rzekł filozof, potrząsając głową z lekkim uśmiechem.

– Robiłem to w najlepszej wierze, jak mówił jeden gentleman, który uśmiercił swą żonę, gdyż była z nim nieszczęśliwa.

– Możesz iść, Sam – rzekł pan Pickwick.

– Dziękuję panu.

I oddawszy najpiękniejszy ukłon, a potem przywdziawszy najpiękniejsze swe ubranie, Sam siadł do dylizansu i pojechał do Dorking.

Zajazd „Pod Markizem Granby” mógł za czasów pani Weller służyć za wzór najlepszym oberżom; był dość przestronny, by goście nie tłoczyli się, i dość ciasny, by się czuć można było jak u siebie. Od ulicy widać było szyld, na którym wyobrażone były barki i głowa gentlemana o apoplektycznym wyglądzie, ubranego w czerwony mundur z niebieskimi wyłogami, kilka zaś plam tego samego koloru nad trójkątnym kapeluszem – wyobrażało niebo. Nieco wyżej znajdowała się para chorągwi, pod ostatnimi zaś guzikami munduru – dwa działa. Wszystko to przedstawiało niezaprzeczenie autentyczny portret pamięci markizy Granby.

Okna oberży ozdobione były doniczkami geranium i szeregiem zaproszonych butelek. Zielone okiennice błyszcząły złotymi napisami, obiecującymi wygodne łóżka i znakomite

wina, a doborowe towarzystwo, złożone z chłopców i parobków, którzy wylegiwali się przy drzwiach stajennych, z góry już dawało wyobrazenie, jak znakomite jest piwo i wódka, które sprzedawano w tej oberży. Wysiadając z dylizansu, Sam okiem wytrawnego podróżnika przyjrzał się tym szczegółom, świadczącym o pomyślnym stanie oberży, i szybkim krokiem wszedł do środka, wielce zadowolony ze swych spostrzeżeń.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał go jakiś ostry głos kobiecy, gdy stanął przy bufecie.

Sam spojrział w kierunku głosu. Wydała go dama dość potężnej objętości, wygodnie siedząca przy kominku i mieszkami rozdmuchująca ogień, przy którym gotowała się woda na herbatę. Dama nie była sama, gdyż po drugiej stronie kominka, w staroświeckim fotelu, siedział mężczyzna, ubrany w wytarte czarne ubranie i o tak sztywnym grzbiecie jak poręcz rzezonego fotela.

Osobistość ta, która zwróciła na siebie teraz szczególną uwagę Sama, była długa i wysmukła; twarz miała wągrowatą, nos czerwony, a oczy bystre, ale złośliwe, przypominały wzrok grzechotnika. Ubrana była w bardzo krótkie spodnie i bawełniane czarne pończochy, które, jak całe ubranie, było mocno znoszone. Minę miała poważną, a biała chustka pogardliwie zwieszała się jej na kamizelkę zapiętą aż po samą brodę. Na krześle, tuż obok, leżały wytarte rękawiczki, kapelusz z szerokimi kryzami i parasol zielony i bardzo zużyty, którego wystające fiszbiny widocznie równowżyć miały brak rączki u górnego końca. Wszystko to było systematycznie ułożone, co zdawało się oznaczać, iż osobistość z czerwonym nosem, kimkolwiek była, w każdym razie nie miała zamiaru rychło odejść.

By jednak wobec rzezonego jegomościa z czerwonym nosem być sprawiedliwym, musimy zauważyć, że bynajmniej nie byłoby to dowodem wielkiego rozsądku, gdyby chciał być teraz odejść. Musiałby bowiem mieć dużo znajomych, gdyby chciał się gdzie indziej czuć równie dobrze jak tu. Ogień skrzył się w kominie, imbryk z wodą kipiał wesoło; na stole wszystko było przyrządzone do herbaty, na patelni przy ogniu piekły się zakąski. Człowiek z czerwonym nosem, uzbrojony w długi widelec, pracował z zajęciem nad przetwarzaniem sporych kawałków chleba na smaczne grzanki. Koło niego stała szklanka z wodą i palący się arak, w którym pływał kawałek cytryny; za każdym razem, gdy podnosił grzanki, by zobaczyć, czy się dobrze przypiekły, czerwono nosy przełykał parę kropli araku, uśmiechając się do damy o potężnych kształtach.

Widok tej sceny tak zajął Sama, iż pozostawił bez odpowiedzi pierwsze pytanie gospodyni, która zmuszona była powtórzyć je trzykrotnie, i to tonem coraz ostrzejszym. Wreszcie zapytał:

– Czy gubernator jest w domu?

– Nie ma go – odpowiedziała pani Weller, gdyż dama ta była właśnie ową niegdyś wdową i jedyną egzekutorką testamentu nieboszczyka Clarka. – Nie, nie ma go i nieprędko wróci...

– Widocznie pojechał? – zapytał znowu Sam.

– Może pojechał, a może i nie – odrzekła pani Weller, smarując masłem kawałek chleba, który przed chwilą ukroił czerwono nosy.

– Nie wiem tego, a co więcej, nic mnie to nie obchodzi. Odmów pan błogosławieństwo, panie Stiggins.

Czerwono nosy spełnił to życzenie i zaraz z dziką żarłocznością rzucił się na zakąski.

Widok tego człowieka od pierwszego rzutu oka naprowadził Sama na myśl, że jest to właśnie zastępca pasterza, o którym mówił mu szanowny jego ojciec, ujrzawszy zaś, jak jadł, nie miał już żadnej wątpliwości. Uznał więc za konieczne zaraz stanąć na właściwym gruncie, by móc się tu rozkwaterować. Odemknął drzwiczki wiodące za bufet, wszedł tam i powiedział spokojnie:

– Jak się matka miewa?

– A! Sądę, że to także Weller – odpowiedziała otyła dama spoglądając na Sama z miną nie bardzo życzliwą.

– Niby tak – odrzekł zmieszany Sam – spodziewam się, że ten świątobliwy gentleman przebaczy mi, gdy powiem, iż chciałbym być tym Wellerem, który jest twoim, matko.

Był to komplement obosieczny. Dawał on do zrozumienia, że pani Weller była osobą bardzo miłą, a jednocześnie, że pan Stiggins miał powierzchowność duchownego. Skutki tego też się uwidoczniły i Sam korzystając ze sposobności ucałował macochę.

– Czy dasz pokój! – zawołała pani Weller, odpychając go.

– Fe, młodzieńcze, fe! – rzekł czerwono nosy gentleman.

– Bez urazy, panie, bez urazy! – odpowiedział Sam. – Ale pomimo to ma pan słusność. To jest zabronione, gdy macocha jest młoda i piękna, prawda, panie?

– Wszystko to marność – zauważył pan Stiggins.

– Ach! To prawda! – dodała pani Weller, poprawiając czepek.

Sam pomyślał to samo, ale wstrzymał język. Zastępca pasterza nie zdawał się być zadowolony z przybycia gościa, a gdy przeszedł pierwszy ogień komplementów, pani Weller także przybrała minę mającą wyrażać, iż chętnie by obeszła się bez tej wizyty. Ale Sam był już tu i nie wypadało go wyrzucić; zaproszono go więc na herbatę.

– Jak się ma ojciec? – zapytał po chwili.

W odpowiedzi na to pani Weller rozłożyła ręce i wzniosła oczy w górę, jak gdyby był to przedmiot za przykry, by o nim można było mówić.

Pan Stiggins westchnął.

– Co się stało temu panu? – zapytał Sam.

– Boli go postępowanie twojego ojca.

– Naprawdę?

– I ma słusność – rzekła pani Weller z powagą.

Pan Stiggins wziął się do drugiej zakąski i westchnął głośno.

– Okropny to grzesznik – mówiła dalej pani Weller.

– Naczynie zatracenia! – zawołał pan Stiggins, odgryzłszy wielki, półkolisty kawałek grzanki i głucho westchnąwszy.

Sam uczuł w sobie gwałtowną chętkę dania szturchańca, co by pozwoliło świątobliwej osobie jęczeć z większą słusnością, ale stłumił tę żądzę i tylko zapytał:

– Więc stary zawsze robi swoje?

– O, tak! niestety! – odrzekła pani Weller. – Kamienne ma serce. Co wieczór ten znakomity człowiek... nie marszcz brwi, panie Stiggins; zawsze będę mówiła, żeś pan znakomity człowiek... Co wieczór ten znakomity człowiek spędza tu całe godziny, ale to nie wywiera żadnego wpływu na twego zatwardziałego ojca.

– To szczególne! – zawołał Sam. – Na mnie, gdybym był na jego miejscu, wywarłoby to wpływ nadzwyczajny.

– Młody przyjacielu – rzekł uroczyście pan Stiggins – to fakt, że twój ojciec ma serce zatwardziałe. O, mój młody przyjacielu, któż inny mógłby oprzeć się prośbom szesnastu naszych najmilszych siostr? Któż inny zamknąć by potrafił uszy na wezwanie, by wstąpił do naszego zrzeszenia, które dostarcza dzieciom Murzynów w Indiach Zachodnich flanelowych kaftaników i moralnych chustek do nosa?

– Co to jest moralna chustka do nosa? Nigdy nie widziałem takiego sprzętu – rzekł Sam.

– Jest to chustka łącząca zabawę z nauką, mój młody przyjacielu. Znajdują się na niej wyborne opowiadania, ilustrowane drzeworytami – odparł pan Stiggins.

– A! Wiem! Wiem! Widziałem to na wystawach sklepowych. Są na nich różne wierszyki, czy tak?

Pan Stiggins skinął potakująco głową i zabrał się do trzeciej grzanki.

– I nie dał się namówić tym damom? – zapytał Sam.

– Siedział – odrzekła pani Weller – zapalił fajkę i mówił, że dzieci Murzynów to... jak to on powiedział, panie Stiggins?

– Bzdura – odrzekł z niesłychanym oburzeniem zapytany.

– Powiedział, że dzieci Murzynów to bzdura – powtórzyła smutno pani Weller, po czym oboje z panem Stigginsem poczęli wzdychać na myśl o zatwardziałym grzeszniku.

Opowiedziano by jeszcze wiele innych jego zdrożności, ale ponieważ grzanki już zjedzono, a herbatę wypito, Sam zaś nie okazywał żadnej chęci do odejścia, pan Stiggins przypomniał sobie, iż koniecznie musi się zobaczyć z pasterzem, i wyszedł.

Zaledwie usunięto przybory do herbaty i przekąski, gdy londyński dyliżans wysadził przy drzwiach oberży pana Weller starszego. Wkrótce potem nogi przywiodły go do sali, a oczy oznajmiły mu o przybyciu syna.

– Ha, ha! Sammy! – zawołał ojciec.

– Ha, ha! Stary – odrzekł na to syn i uściśnęli sobie ręce.

– Rad jestem, że cię widzę – odrzekł Weller starszy. – Jakże, u licha, potrafiłeś poradzić sobie z macochą? Chciałbym mieć tę receptę.

– Cicho! – odrzekł Sam. – Jest w domu, mój stary zuchu.

– Nie słyszy. Zwykle po herbacie schodzi na dół i przez parę godzin biega po domu jak opętana. A zatem możemy sobie odwilżyć nasze wnętrza, Sammy.

To mówiąc Weller starszy przyrządził dwie szklanki grogu i nabił dwie fajki, po czym ojciec i syn zasiedli jeden naprzeciw drugiego przy ogniu. Sam w fotelu z wysokim oparciem. Stary Weller w podobnym i również wygodnym po drugiej stronie kominka. Teraz poczęli z odpowiednią powagą nasycać się podwójną przyjemnością wynikającą z grogu i spotkania się.

– Czy był tu kto? – zapytał Weller starszy po długim milczeniu.

Sam odpowiedział znaczącym pochyleniem głowy.

– Długi chłop czerwono nosy?

Sam powtórzył ten sam znak.

– Miły to człowiek, Sammy – zauważył pan Weller, gwałtownie pociągając dym z fajki.

– Tak się zdaje.

– I bardzo mocny w rachunkach – dodał pan Weller.

– Doprawdy?

– W poniedziałek pożyczą osiemnaście pensów, we wtorek prosi o szylinga dla dopełnienia pół korony, w piątek dokończą drugie pół korony, żeby było okrągłe pięć szylingów, i tak idzie dalej, podwajając się, aż dochodzi do banknotu na pięć funtów szterlingów; jakby znał jakąś piekielną buchalterię, Sammy.

Sam kiwnął głową na znak, że rozumie, co ojciec chce powiedzieć.

– Więc nie daliśmy nic na flanelowe kaftaniki? – zapytał po pauzie, w czasie której obydwaj popijali w milczeniu.

– Naturalnie, że nic. Po co Murzynom flanelowe kaftaniki? Ale, wiesz co, Sammy – dodał pan Weller, zniżając głos i pochylając się – chętnie bym dał piękną sumkę, gdyby chodziło o zrobienie u nas dla pewnych osób takich kaftanów, w jakie ubierają wariatów.

Wypowiedziawszy to zdanie, pan Weller bardzo znacząco mrugnął okiem do swego pierworodnego i powrócił do poprzedniej pozycji.

– W każdym razie szczególnie to pomysł posyłać chustki do nosa ludziom nie znającym ich użytku – zauważył Sam.

– Oni zawsze robią jakieś głupstwa. Pewnej niedzieli spacerowałem sobie po ulicy, gdy wtem, kogóż to widzę pod drzwiami kaplicy z niebieskim talerzem w rękę? Nie był to kto inny, tylko twoja macocha. Myślę, że było tam z parą gwinei, same drobniaki, a gdy ludzie wyszli z kościoła, tak poczęli sypać drobnymi, że zdawało się, iż żaden śmiertelny talerz,

który kiedykolwiek opuścił warsztat garncarski, wytrzymać by nie potrafił. I jak myślisz, Sammy, co to było?

– Składka na herbatę? – zapytał Sam.

– Nie zgadłeś; była to składka na opłacenie wody dla pasterza.

– Wody dla pasterza?

– Ni mniej, ni więcej. Od trzech kwartałów pasterz nie płacił za wodę ani grosza. Zresztą nie bardzo on jej potrzebuje; nadzwyczaj mało potrzebuje tego płynu... Zna on tylko wodę, która warta jest przynajmniej sześć razy więcej. Ale opłata za wodę nie była uiszczona i poborca zapieczętował mu kran. Idzie tedy mój pasterz do kaplicy, robi ze siebie świętego męczennika, powiada, że pragnie, by poborcy przebaczyło niebo, ale obawia się, iż mu już na tamtym świecie przygotowano niezbyt wygodne miejsce. Wskutek tego kobiety odbywają naradę, śpiewają hymny, mianują twoją macochę prezydentką, zapowiadają składkę na następną niedzielę i wszystko wręczają pasterzowi. Teraz, jeśli nie będzie miał czym opłacać wody aż do samej śmierci – kończył pan Weller – to jestem osłem, a ty drugim.

Potem przez kilka minut palił fajkę w milczeniu; wreszcie dodał:

– Co najgorsze, to, mój chłopcze, to, że ci pasterze zawracają głowy młodym dziewczętom. Niech Bóg ma w opiece ich serduszka! Biedaczki wyobrażają sobie, iż wszystko jest miodem i koniec. A wszystkie są tylko narzędziem, Sammy, wszystkie.

– I ja tak my ślę.

– Tak jest niezawodnie – mówił dalej Weller, poważnie kiwając głową. – A najbardziej mię gniewa to, że widzę, iż tracą czas i młodość na robieniu ubrań dla ludzi o miedzianej cerze, bynajmniej tych ubiorów nie potrzebujących, nigdy zaś nie zajmują się chrześcijanami koloru naturalnego, umiejącymi chodzić w spodniach. Gdybym był wszechwładnym panem, Samie, zaprząłbym kilku takich próżniaków pasterskich do dobrze naładowanych taczek i kazałbym im przez dwadzieścia cztery godziny wtaczać i staczać je po desce szerokości osiemnastu cali. To by im wypędziło te fimfy ze łba.

Wygłosiwszy taką receptę z wielkim namaszczeniem, kiwając przy tym głową i mrugając okiem, pan Weller jednym haustem wychylił swą szklanę i z wrodzoną godnością wysypał popiół z fajki.

Jeszcze nie skończył tej ostatniej czynności, gdy w korytarzu dał się słyszeć ostry głos.

– Otóż i twoja kochana macocha, Sammy – rzekł do syna, i w tej samej chwali wpadła do pokoju pani Weller.

– A! Jesteś już?! – zawołała.

– Jestem, moja droga – odrzekł pan Weller, nalewając sobie szklanę.

– A pana Stigginsa nie było tu? – zapytała pani Weller.

– Nie, moja kochana, nie było – odrzekł pan Weller, węglem zapalając sobie fajkę – co więcej, postaram się nie umrzeć ze zmartwienia, gdy tu więcej nie postanie.

– Och! Ty niepoprawny grzeszniku! – zawołała pani Weller.

– Dziękuję ci, moja droga – odparł Weller senior.

– No, no, ojciec – zauważył Sam – bez tych czułości przed obcymi. Oto właśnie powraca wielbny gentleman.

Usłyszawszy to, pani Weller szybko otarła lzy, które zamierzała wylać, a pan Weller ze zmartwioną miną odsunął swój fotel od kominka.

Pan Stiggins nie kazał się długo prosić na szklanę grogu; potem przyjął drugą, potem trzecią, potem przystał na wzięcie udziału w kolacji, by następnie znowu powrócić do grogu. Siedział po tej samej stronie co Weller starszy, który w chwilach, gdy sądził, że go żona nie widzi, aby ulżyć wewnętrznym swym uczuciom, potrząsał pięścią nad głową wielbnego zastępcy. Żart ten tym czystsza sprawiał przyjemność jego synowi, że pan Stiggins nie przestawał pociągać grogu, w szczęśliwej nieświadomości tej ożywionej pantomimy.

Rozmowę podtrzymywała w większej części sama pani Weller i wielebny gentleman, a wszystko obracało się głównie dokoła cnót pasterza, wielkich zalet jego owieczek tudzież dokoła okropnych występków i szkaradnych grzechów reszty ludzi. Czasem tylko pan Weller starszy pozwalał sobie na ironiczne komentarze i niewłaściwe drwiny.

Na koniec pan Stiggins, który, o ile można było wnosić z zewnętrznych oznak, umieścił w sobie tyle grogu, ile tylko się dało, wziął kapelusz i pożegnał się. Sama odprowadził ojciec do sypialnego pokoju. Szanowny ten gentleman, serdecznie ściskając rękę syna, miał, jak się zdawało, zamiar wypowiedzieć kilka filozoficznych uwag, usłyszawszy jednak kroki pani Weller zmienił zamiar i tylko krótko powiedział:

– Dobranoc.

Nazajutrz Sam wstał wcześniej. Zjadłszy naprędce śniadanie, gotował się do odjazdu do Londynu i miał właśnie wychodzić z domu, gdy stanął przed nim ojciec.

– Jedziesz, Sammy? – zapytał.

– Zamierzam właśnie – odparł Sam.

– Chciałbym, byś w jakikolwiek sposób zdołał okiełznać tego Stigginsa i zabrać go ze sobą.

– Czy tak? – zapytał Sam tonem wyrzutu. – Rumienię się, że jesteś moim autorem, stary kapłonie. Dlaczego pozwalasz mu wtykać jego karmazynowy nos do „Markiza Granby”?

– Ponieważ jestem żonaty. Jak się ożenisz, Sammy, wtedy zrozumiesz wiele rzeczy teraz dla ciebie niepojętych. Ale czy warto tracić tyle czasu na uczenie się takich głupstw, jak powiedział pewien sztubak, poznawszy abecadło – to pytanie! Zresztą to zależy od gustu. Co do mnie, gotów jestem powiedzieć, że nie warto.

– W każdym razie – rzekł Sam – bądź zdrów, ojczy.

– Bądź zdrów, Sammy, bądź zdrów.

– Jeszcze słowo – rzekł Sam zatrzymując się. – Gdybym był właścicielem „Markiza Granby” i gdyby to bydło, Stiggins, przyłaziło tak mię objadać, to bym...

– To co byś zrobił? – zapytał Weller z wielką ciekawością – co?

– Zatruliłbym mu grog.

– Ba – zawołał Weller, gorąco ściskając rękę syna – ale czy na pewno zrobiłbyś to, Sammy? Zrobiłbyś?

– Słowo. Z początku nie chciałbym być dla niego okrutny. Zacząłbym od wpakowania go do studni, ale nakryłbym studnię pokrywą, żeby nie dostał kataru; gdybym się jednak przekonał, że łagodne środki nie skutkują, użyłbym innej metody: perswazji.

Weller starszy spojrział na swego syna wzrokiem niewymownego uwielbienia, a potem, uściskawszy mu powtórnie rękę, odszedł powoli, snując rozmaite myśli, które nasunęły mu się wskutek oświadczenia Sama.

Sam patrzył czas jakiś za odchodzącym, aż ten zniknął za zakrętem drogi, potem zwrócił się ku Londynowi. Idąc zastanawiał się nad radą, jaką podał ojcu – i czy ojciec usłucha, czy nie? Ale szybko pocieszył się myślą, że tylko czas może na to pytanie odpowiedzieć. Tą samą pociechą chcielibyśmy obdarzyć naszych czytelników.

## Rozdział dwudziesty ósmy

*Wesoły rozdział o Bożym Narodzeniu, zawierający także opis wesela i innych zabaw; każda z nich jest dobra w swoim rodzaju, ale nie wszystkie cieszą się szacunkiem w naszych zdegenerowanych czasach*

Z pilnością pszczół i lekkością motyli czterej pickwickczycy zebrali się z rana dnia 22 grudnia owego pamiętnego roku, w którym zostały podjęte i spełnione te (wiernie spisane tutaj) przygody. Boże Narodzenie było za pasem z całym urokiem zabaw i serdecznej gościnności. Stary rok, jak grecki filozof, gromadził dokoła siebie przyjaciół, aby pośród wesołości i biesiadowania odejść z tego świata. Pogodne i wesołe były cztery serca, które wraz z wielu innymi z upragnieniem oczekiwały Gwiazdki.

Niezliczone, zaiste, są serca, dla których Boże Narodzenie jest czasem wesela i radości. Ileż to rodzin, których członkowie rozproszyli się po całym świecie w twardej walce o byt, zbiera się wtedy, przeżywając chwile radości i pogody, będących źródłem czystej i niezmażonej rozkoszy, tak dalekiej od trosk tego świata, że zarówno najbardziej cywilizowane, jak i najdziksze narody zaliczają Boże Narodzenie do chwil najszczęśliwszych, niosących błogosławieństwo i ukojenie! Ileż wspomnień, ile uspiionych sympatii budzi dzień Bożego Narodzenia.

Piszemy te słowa – a wiele mil dzieli nas od miejsca, w którym z roku na rok spędzaliśmy ten dzień w gronie najbliższych. Wiele serc, które się wtedy tak radowały, przestało już bić. Wiele oczu, które wtedy patrzyły tak radośnie – zamknęło się. Ręce, któreśmy ścisnęły – są zimne i martwe. A jednak wspomnienie starego domu, pokoju, głosów, twarzy, uśmiechów, zabaw, najbardziej trywialnych i najmniej znamienitych chwil budzi się w naszych duszach co rok, gdy zbliża się ów dzień, z taką wyrazistością, jakby to, co dawno minęło – działo się wczoraj! Szczęśliwy, szczęśliwy dniu, który potrafisz nas przenosić w czasy dzieciństwa, który potrafisz przypomnieć staremu radość młodości, który sprawiasz, że żeglarz i podróżnik, choć dzielą ich całe mile, w dniu tym wracają do swego rodzinnego domu!

Ale tak zajęliśmy się urokami Gwiazdki, że pozwoliliśmy panu Pickwickowi i jego przyjaciołom marznąć przed dylizansem w Muggleton (choć przezornie okryli się płaszczami i szalami). Torby podróżne i walizy już ułożono, a Sam Weller i stajenny siłą się wepchnąć ogromnego szczupaka do kosza, który ten potwór kilkakrotnie przewyższa swymi rozmiarami. Kosz jest pięknie wymoszczony słomą; ustawiono go na pół tuzinie baryłek z ostrygami (wszystko to stanowi własność pana Pickwicka), które umieszczono rzędem na dnie kielni. Twarz filozofa wyrażała żywe zajęcie, tymczasem Sam i stajenny wpychają szczupaka, najpierw głową, potem ogonem, potem płetwami, potem brzuchem, potem wzdłuż, potem wszerz, czemu nieugięty zwierz opiera się, jak może. Wreszcie stajennemu udaje się przypadkiem włożyć szczupaka w sam środek kosza, potem szczupak znika, a razem z nim głowa i ramiona stajennego, który, nie spodziewając się po szczupaku

takej ustepliwości, stracił nagle równowagę ku wielkiemu zadowoleniu służących hotelowych i gapiów. Na ten widok pan Pickwick wybucha niepohamowanym śmiechem, wyjmując z kieszeni szylinga i prosi stajennego, by zechciał wypić za jego zdrowie szklaneczkę grogu. Na to stajenny uśmiecha się, a panowie Tupman, Winkle i Snodgrass uśmiechają się również. Stajenny i pan Weller znikają na pięć minut, prawdopodobnie po to, aby spełnić życzenie pana Pickwicka, gdyż po powrocie mocno pachną wódką. Stangret siada na kozioł. Weller obok niego, pickwickowscy okrywają sobie nogi płaszczami, nosy wsuwają w szale, stajenni zdejmują okrycia z koni, stangret krzyczy wesoło: – Wio! – i pojechali!

Dylichans dudni po ulicach, skacze po kamieniach, aż wreszcie wyjeżdża na otwarty gościniec. Koła toczą się po twardym i zmarzniętym gruncie. Konie zachęczone lekkim dotknięciem bata, zaczynają biec kłusa z taką łatwością, jak gdyby wszystko, co im kazano ciągnąć – powóz, pasażerowie, szczupak, baryłki z ostrygami itp. – było nie cięższe od piórka. Zjechali po łagodnej pochyłości, potem wspięli się na wzgórze tak twarde i gładkie jak blok marmuru. Tak ujechali ze dwie mile. Nowe dotknięcie batem i konie puszcza się galopem, wyrzucają głowami, brzęczą uprzężą, jakby rozweselone szybkością jazdy; stangret, trzymając bat i lejce w jednej ręce, drugą zdejmuje kapelusz, kładzie go na kolanach i chustką ociera pot z czoła; trochę dlatego, że tak wypada, a trochę, by pokazać pasażerom, że wcale nie przejmuje się jazdą i że to nic trudnego powozić czwórka, gdy się ma jego doświadczenie! Zrobiwszy to niedbale (inaczej przepadłby cały efekt!), chowa chustkę do kieszeni, nakłada kapelusz, naciąga rękawice, rozstawia łokcie, strzela z bata i konie pędzą jeszcze prędzej niż przedtem.

Kilka małych domków, rozrzuconych po obu stronach gościńca, mówi, że wjeżdżają do miasta lub wsi. W jasnym powietrzu wesoło dzwonią klucze stróża przy rogatce, budzą starego gentlemana siedzącego w powozie. Gentleman spuszcza do połowy okno, wygląda nieco na świat i informuje towarzyszy, że zaraz będzie zmiana koni. Tamci budzą się i postanawiają odłożyć drzemkę, aż znowu ruszą w drogę. Dzwonią łańcuchy rogatki, żona i dzieci rogatkowego wyglądają z chałupy, patrząc na powóz, aż zniknie za zakrętem, po czym dorzucają polan do ognia – niech się rozpali, nim ojciec wróci. Ojciec zaś, wymieniwszy przyjazny ukłon ze stangretem, patrzy długo za powozem, który toczy się szybko w dal.

Wesoło gra trąbka w czystym powietrzu, gdy powóz mknie po źle brukowanych uliczkach małego miasteczka. Stangret rozluźnia lejce, aby móc je zrzucić w chwili, gdy staną konie. Pan Pickwick wychyla głowę z kołnierza płaszcza i przypatruje się woźnicy z wielkim zaciekawieniem. Zauważywszy to, stangret objaśnia pana Pickwicka, jak się miasteczko nazywa i że wczoraj był tu dzień targowy. Pan Pickwick natychmiast dzieli się tymi wiadomościami ze swymi towarzyszami podróży, którzy również wysuwają nosy z kołnierzy płaszczów i rozglądają się po okolicy. Pan Winkle, który siedzi na samym końcu, z jedną nogą w powietrzu, omal nie wypada na ulicę, gdy stangret ostro skręca koło sklepu z serami i wpada galopem na plac targowy. I zanim pan Snodgrass, który siedział przy nim, ochłonął z wrażenia, już wjechali na dziedziniec, gdzie czekają świeże konie okryte derkami. Stangret rzuca lejce i zeskakuje z kozła. Pasażerowie mający miejsca zewnętrzne wysiadają również, z wyjątkiem tych, którzy mają poważne wątpliwości, czy wgramoliliby się z powrotem. Zostają więc, gdzie siedzieli, tupią nogami, żeby się rozgrzać, z zazdrością patrzą na ogień w barze, na gałązki ostrokrzewu zawieszzonego w oknach.

Stajenny wręczył kupcowi zbożowemu mały pakiet, zawinięty w szary papier, który wyjął z torby przewieszanej przez ramię. Patrzy, czy dobrze zaprzężono konie. Rzuca na ziemię siodło, które przyjechało z Londynu na dachu dylichansu. Bierze udział w rozmowie stangreta z oberżystą na temat siwej klaczki, która we czwartek odparzyła sobie nogę. Stajenny i Sam Weller zajęli już swoje miejsca z tyłu, stangret wlaź na kozioł, gentleman



siedzący wewnątrz, który przez cały czas wyglądał przez okno, podniósł z powrotem szybę; zdjęto derki z koni; wszyscy są gotowi do drogi z wyjątkiem dwóch otyłych gentlemanów, których stangret przywołuje z pewną niecierpliwością. Stangret stajenny, Sam Weller, pan Winkle, pan Snodgrass, cała służba oraz gapie (których zebrało się więcej niż wszyscy pozostali razem wzięci), wszystko to woła na spóźnionych gentlemanów, jak może najgłośniej. Odpowiada im wołanie z głębi dziedzińca i pan Pickwick wraz z panem Tupmanem biegną, aż im dech zapiera. Wstąpili na szklaneczkę piwa, a panu Pickwickowi tak zgrabiwały ręce, że dobre pięć minut zeszło, zanim zdołał wysupłać szylinga. Stangret mówi z wyrzutem: – No, panowie! – stajenny powtarza za nim jak echo. Stary gentleman siedzący wewnątrz bardzo się dziwi ludziom, którzy wysiadają wiedząc, że czasu jest niewiele, pan Pickwick gramoli się z jednej strony, a pan Tupman z drugiej, pan Winkle krzyczy: – W porządku! – i powóz rusza. Każdy otula się szalem, stawia kołnierza od płaszcza, bruk urywa się nagle, domy znikają i znowu pędzą po otwartym gościńcu, chłodny wiatr dmie im w twarz, a w serca wstępuje spokój.

W taki to sposób dylizans z Muggleton dowiózł pana Pickwicka i jego przyjaciół do Dingley Dell. O wpół do czwartej wyładowali wszyscy, zdrowi i bez szwanku, przed „Błękitnym Lwem”, wypiwszy po drodze należytą ilość piwa i wódki, by się zabezpieczyć od zimna i szronu, okrywającego swymi pięknymi, białymi koronami drzewa i płoty.

Pan Pickwick był właśnie mocno zajęty pilnowaniem, by wyładowano szczupaka, gdy wtem uczuł, iż go ktoś lekko pociągnął za poję. Odwrócił się i poznał ulubionego pazia pana Wardle’a, lepiej znanego czytelnikom naszym pod nazwą pyzatego chłopca.

– Aha! – zawołał pan Pickwick.

– Aha, ha – powtórzył pyzaty chłopak, z zachwytem przypatrując się szczupakowi i ostrygom. Utył jeszcze więcej.

– No, mój kochany – rzekł filozof – wyglądasz jak rydz.

– Usnąłem trochę przed kominkiem – odrzekł pyzaty chłopiec, którego twarzy dwugodzinny sen nadał barwę cegły. – Mój pan przysłał mię tu z wózkiem po rzeczy państwa. Chciał także przysłać kilka wierzchowych koni, ale ponieważ jest zimno, sądził, że panowie będą woleli iść piechotą.

– Tak, tak, lepiej piechotą – odrzekł szybko pan Pickwick, gdyż przypomniał sobie, jak już raz jechał tą samą drogą. – Sam!

– Jestem, panie.

– Dopomóż służącemu pana Wardle’a ułożyć nasze rzeczy na wózku i usiądź razem z nim; my pójdziemy naprzód.

Wydawszy takie instrukcje pan Pickwick, po załatwieniu rachunku ze stangretem, wraz z przyjaciółmi poszedł wesoło najkrótszą ścieżką.

Sam, który go raz pierwszy w życiu widział pyzatego chłopca, naprzód począł oglądać go ciekawie, nic nie mówiąc. Po należytym obejrzeniu go wziął się do układania pakunków w wózku, na co Joe patrzył najspokojniej, gdyż zdaje się, sprawiało mu to ogromną przyjemność, że Sam tak zwinnie spełnia tę czynność.

– Tak – zawołał wreszcie Sam, rzucając ostatnią sztukę do wózka – to już wszystko.

– Wszystko – zauważył Joe z zadowoleniem – już wszystko...

– Wiesz, mój kochany – rzekł Sam – że można by cię pokazywać za pieniądze.

– Bardzo dziękuję za komplement – odrzekł pyzaty chłopak.

– Nie masz zapewne nic, co by cię dręczyło, prawda? – zapytał Sam.

– Nie, nic, o ile wiem.

– Gdy cię zobaczyłem, wydawało mi się przez chwilę, że dręczy cię nieszczęśliwa miłość do pewnej młodej damy, co? – ciągnął Sam dalej.

Pyzaty chłopak potrząsnął głową.

– Nie? Bardzo mię to cieszy – rzekł Sam. – A lubisz pić?

– Wolę jeść.

– Domyślałem się tego. Ale chciałem powiedzieć, czy nie zechcesz wypić kieliszka czegośkolwiek dla rozgrzania sobie żołądeczka?

Chociaż pod tą słoniną może jeszcze nie zmarzłeś.

– Ech, nie – rzekł chłopak. – Lubię czasami wypić kieliszek czegoś dobrego.

– A! Czy tak? No, to chodź.

Dwaj nowi przyjaciele udali się do bufetu, gdzie pyzaty chłopiec nie skrzywiwszy się nawet wychylił z miejsca kielich wódki, co go znakomicie podniosło w opinii Sama. Ten wypił także, po czym obaj poszli do wózka.

– Czy umiecie powozić? – zapytał paż pana Wardle’a.

– Trochę, mój synowcze.

– Weźcie więc to – odrzekł pyzaty chłopiec, oddając Samowi lejce i wskazując boczną drogę – i jedźcie ciągle prosto; nie zmylicie drogi.

To powiedziawszy położył się koło szczupaka, pod głowę podsunął jedną baryłkę z ostrygami zamiast poduszki i natychmiast zasnął.

– A to ci młodzieniec bez subiekcji! – powiedział Sam. – Słuchaj, zbudź się, ty baryło!

Ale baryła nie dała najmniejszego znaku życia. Sam usiadł więc na przodzie wózka, poruszył lejcami i stary koń powłókł się w kierunku Manor Farm.

Tymczasem pan Pickwick i jego przyjaciele, wprawivszy krew w odpowiednią cyrkulację, wesoło kroczyli naprzód. Droga była ciężka; trawa śliska i zmarznięta, powietrze szczypiące i mroźne. A szybko zapadający szary zmrok („grafitowy” wydaje mi się określeniem odpowiedniejszym, kiedy chodziło o mroźny dzień) sprawiał, że z przyjemnością myśleli o wygodach, jakie czekają ich w domu gościnnego gospodarza. Było to jedno z tych popołudni, kiedy starszym gentlemanom przychodzi na myśl, że dobrze by było zrzucić płaszcz i zabawić się w „skaczącą żabę”. Jesteśmy głęboko przekonani, że gdyby pan Tupman krzyknął: – Hops! – pan Pickwick przyjąłby z ochotą tę propozycję.

Jednak pan Tupman nie krzyknął: – Hops! – i przyjaciele nasi szli dalej w pogodnym nastroju ducha. Na zakręcie dróżki doszły ich uszu pomieszane głosy. Lecz nim zdolali zrobić przypuszczenie, do kogo głosy te należą, już znaleźli się w samym środku towarzystwa, które wyszło im naprzeciw: fakt ten obwieściło pickwickczykowi głośne hura!, które wyrwało się z ust starego pana Wardle’a, gdy ujrzał naszych przyjaciół.

Był tam pan Wardle, głośno krzyżący i jeżeli to było możliwe, jeszcze weselszy niż zwykle; była Bella i wierny jej Trundle; była wreszcie Emilia i osiem do dziesięciu innych panien przybyłych dla asystowania przy jutrzejszej uroczystości matrymonialnej, wszystkie wesołe, chociaż przejęte ważnością aktu, który miał się dokonać.

Ceremonii prezentacji dokonano rychło, a raczej prezentacja odbyła się bez wszelkich ceremonii. – Pan Pickwick w parę minut potem najswobodniej żartował z pannami, jakby je wszystkie znał był od dziecka; śmiał się z tych, które nie chciały przełazić przez płot, gdy patrzył, albo z tych, które, obdarzone pięknymi nóżkami, stały po kilka minut na samym wierzchu płota, oświadczając, że boją się zrobić najmniejszy choćby ruch. Godne jest uwagi, że pan Snodgrass udzielał panie Emilii nierównie więcej opieki, aniżeli tego wymagały okropności przełazu, chociaż przeszkoda ta wysoka była aż na cztery stopy i miała tylko kilka stopni. Na koniec zauważono, że pewna młoda panna, mająca czarne oczy i prześliczne buciki obszyte futrem, okropnie krzyżała, gdy pan Winkle podawał jej rękę, aby pomóc jej przejść.

Gdy przewyciężono trudności przełazu i znaleziono się na gładkim gruncie, pan Wardle oznajmił panu Pickwickowi, iż wszyscy razem pójdą obejrzeć urządzenie domu, w którym nowożeńcy zamieszkają po świętach Bożego Narodzenia. Usłyszawszy to, Bella i Trundle poczerwienieli oboje jak pyzaty chłopiec po wyspaniu się przed kominkiem. Tymczasem młoda panienka, czarnooka, w pięknych bucikach z futerkiem, szepnęła coś do

panny Emilii, spoglądając filuternie na pana Snodgrassa. Emilia odpowiedziała: – Czyś oszalała? – niemniej jednak poczerwieniała aż po same uszy, aż pan Snodgrass, skromny, jak wszyscy wielcy geniusze, uczył, jak mu krew uderza do głowy, i zapragnął w głębi swego serca, ażeby rzeczona panienska, wraz ze swymi czarnymi oczami, filuternością i bucikami z futerkiem, znajdowała się w tej chwili w tych dalekich krainach, gdzie rośnie pieprz.

Jeżeli pickwickczycy byli witani tak po przyjacielsku poza domem, to wystawcie sobie, z jaką serdecznością witano ich, gdy przybyli na miejsce! Nawet służący uradowali się ujrzawszy pana Pickwicka, a pokojówka Emma rzuciła na pana Tupmana spojrzenie na wół wyzywające, a tak ponętne, iż nawet statua Napoleona, umieszczona w przedpokoju, gotowa była nabrać odwagi, zejść z piedestału i uściskać dziewczynę.

Stara dama siedziała w bawialnym pokoju ze zwykłą powagą, nieszczególny jednak miała humor i co za tym idzie, była najzupełniej głucha. Nie wychodziła nigdy o tej porze i jak wiele innych dam tego samego rodzaju, poczytywała za zdradę stanu wobec domu to wszystko, co inni robili, gdy sama już tego robić nie mogła. Teraz siedziała wyprostowana w swym fotelu z miną, jak tylko można, najsurowszą. Ale niech ją tam Bóg ma w swej opiece, zawsze to jeszcze była mina życzliwa.

– Matko – rzekł pan Wardle – oto pan Pickwick, matka pewno go sobie przypomina?

– Daj pokój! – rzekła stara dama z powagą. – Nie dokuczajcie panu Pickwickowi takim starym gratem jak ja. Teraz już nikt się mną nie zajmuje, co zresztą jest bardzo naturalne.

To mówiąc potrząsnęła głową i drżącą ręką poczęła przebierać fałdy sukni.

– O! Niech pani tak nie odpycha starego przyjaciela – rzekł pan Pickwick. – Przybyłem tu umyślnie, by się nagadać z panią do woli i zagrać parę robrów wista. A przy tym pokażemy tym smarkaczom, jak się tańczy menueta.

Stara dama nagle zmiękła, ale nie lubiła okazywać od razu, że ustępuje, poprzestała więc tylko na odpowiedzi:

– Ach! Nie słyszę!

– E! Niech mama przestanie już – zawołał pan Wardle – niech mama da pokój złemu humorowi i niech mama pomyśli o Belli; biedna dziewczyna tak potrzebuje otuchy.

Pocziwa staruszka słyszała to, gdyż usta jej drżały, gdy syn mówił. Ale wiek ma swoje wady umysłowe, więc jeszcze nie udobruchała się. Poczęła tylko miąć suknię i zwróciwszy się do pana Pickwicka, powiedziała:

– O! Panie Pickwick! Inna była młodzież za naszych czasów!

– Niezawodnie! Dlatego też tak lubię wszystkich, na których pozostały jeszcze ślady tych czasów.

To mówiąc zacny nasz przyjaciel pociągnął ku sobie lekko Izabelę i złożył na jej czole pocałunek, a potem usadowił ją na małym taborecie u nóg babki. Natenczas czy to wyraz tej młodej twarzy, patrzącej na nią, przypomniawszy jej przeszłość, czy też rozczuliła ją życzliwa dobroduszość pana Pickwicka, słowem – czy z tego, czy z owego powodu, dość, że stara dama zmiękła zupełnie; objęła Bellę za szyję i cały zły humor rozplątał się w cichych łzach.

Był to przyjemny wieczór. Poważne i uroczyste były robry, które rozgrywali pan Pickwick i stara dama. Nieokiełznana wesołość panowała przy okrągłym stole. Panie oddaliły się dawno, a szklanice starego wina, smakowicie zaprawionego korzeniami, wciąż krążyły w kółko. Mocny był też sen i przyjemne marzenia po tym winie. Dziwne, że marzenia pana Snodgrassa ciągle wiązały się z panną Emilią Wardle, a główną osobą w wizjach pana Winkle'a była młoda dama z czarnymi oczami, z cudownym uśmiechem, w prześlicznych bucikach obszytych futrem...

Na drugi dzień przebudził pana Pickwicka gwar i odgłos kroków, które by mogły wyrywać ze snu nawet samego pyzatego chłopca. Filozof usiadł na łóżku i słuchał. Służące i

goście żeńskiego rodzaju uwijali się po całym domu. Tyle ze wszystkich stron żądano gorącej wody, tak błagano to o igły, to o nici, tak wykrzykiwano: – O! Bądź tak dobra, zapnij mi suknię – że pan Pickwick w nieświadomości swej zaczął przypuszczać, iż musiało zajść coś okropnego. Ale z wolna rozjaśniło mu się w głowie i przypomniał sobie, że był to dzień weselny. Okoliczność ważna, ubrał się więc bardzo starannie i poszedł do pokoju, w którym miano jeść śniadanie.

Wszystkie służące, w muślinowych sukienkach, biegały to tu, to tam, w trudnym do opisanego stanie wzruszenia i zakłopotania. Stara dama była ubrana w aksamitną suknię, która od dwudziestu lat nie widziała światła, z wyjątkiem kilku słabych promieni, które zabłąkały się aż do szafy, gdzie wisiała. Pan Trundle promieniał zadowoleniem, można było jednak zauważyć, że mocno jest wzruszony. Co do zacnego gospodarza, temu absolutnie nie udało się udawanie, iż jest spokojny i wesoły. Wyjąwszy dwie czy trzy faworytki, które pozostały na górze i miały zaszczyt oglądania panny młodej i družek, wszystkie inne panny stanęły we łzach i muślinowych sukienkach.

Wszyscy pickwiczczyki także przywdziali ubiory odpowiednie do okoliczności. Na koniec na dziedzińcu, przed bramą dały się słyszeć okropne wrzaski, wydawane przez parobków i chłopców należących do folwarku, a z których każdy ozdobiony był na piersiach białą kokardą. Sam przewodniczył tym hałasom zachętą i przykładem, ponieważ doszedł już do wielkiej popularności i tak mu było dobrze w Manor Farm, jakby był poczęty i urodzony na gruntach pana Wardle'a.

Małżeństwo to uprzywilejowany przedmiot żartów, a jednak, prawdę powiedziawszy, nie ma w nim nic tak bardzo żartobliwego. Mówiono tu tylko o samej ceremonii, prosimy jednak, by nie robiono przypuszczeń, że tkwi w tym jakiś ukryty sarkazm skierowany przeciw stanowi małżeńskiemu. Z radością, z nadzieją, jakie przynosi ze sobą małżeństwo, łączy się żal, że trzeba opuścić dom, rodzinę, przyjaciół najpiękniejszego okresu życia, by stawić czoło dalszym kolejom tegoż życia z osobą, której w każdym razie nie znamy jeszcze dokładnie. Ale dość już o tym; nie chcemy czynić tego rozdziału smutnym, a tym bardziej nie chcemy pozwalać sobie na drwiny z małżeństwa.

Powiemy więc krótko, że obrzędu ślubnego dopełnił stary proboszcz w parafialnym kościele w Dingley Dell i że imię pana Pickwicka zapisane jest w księgach kościelnych, do dziś dnia przechowywanych w zakrystii; że panna młoda podpisała się nie bardzo pewną ręką; że podpisy panny Emilii i innych panien są prawie zupełnie nieczytelne; że zresztą wszystko poszło bardzo porządnie i że młode panny osądziły, iż w ogóle ceremonia ta wcale nie jest tak straszna, jak sobie wyobrażały; a jeśli właścicielka czarnych oczu i filuternego uśmiechu uznała za właściwe oświadczyć panu Winkle'owi, że nigdy by się nie zgodziła na coś tak okropnego, to z drugiej strony mamy wszelkie powody, by przypuszczać, iż myliła się. Do tego wszystkiego dodać musimy, iż pan Pickwick pierwszy ucałował młodą mężatkę i jednocześnie zarzucił jej na szyję gruby złoty łańcuch z zegarkiem z tego samego metalu, przedmioty, których do tej chwili nie widział nikt ze śmiertelników z wyjątkiem jubilera. Na koniec dzwony kościoła zadzwoniły, jak można najweselej, i wszyscy wrócili do domu na śniadanie.

– Gdzie się stawia ciasta, ty młoda szlafmyco? – zapytał Sam pyzatego chłopca, pomagając mu ustawiać na stole te dania, z którymi dnia poprzedniego nie zdołano się jeszcze uporać.

Joe wskazał odpowiednie miejsce.

– Bardzo dobrze – rzekł Sam. – Drugi półmisek na przeciwległym końcu. Teraz wyglądamy poprawnie, jak mówił pewien papa udawszy głowę synowi, który miał zeza.

Czyniąc to znakomite porównanie Sam cofnął się o parę kroków, by przypatrzeć się przygotowaniom do uczyty. Jeszcze był pograżony w tej miłej kontemplacji, gdy towarzystwo przybyło z kościoła i wszyscy zasiedli do stołu.

– Wardle – rzekł pan Pickwick, gdy się tylko ulokowano – szklanę wina, na pamiątkę tej uroczystości.

– Z największą przyjemnością, stary kolego – odrzekł pan Wardle. – Joe... przekłety chłopak, znowu śpi!

– Nie, panie, nie śpię – odrzekł pyzaty chłopiec wyłaząc z kąta, w którym objadał się ciastkami.

– Napełnij szklanę pana Pickwicka.

– Słucham pana.

Pyzaty chłopak napełnił szklanę i stanął za krzesłem swego pana, skąd, z pewnego rodzaju radością połączoną z niepokojem, przypatrywał się ruchowi nożów i widelców, tudzież temu, jak wyborowe kawałki przechodziły z półmisków na talerze, a stamtąd do ust biesiadników.

– Niech cię Bóg błogosławi, mój stary przyjacielu – rzekł pan Pickwick.

– I ciebie także, kolego – odrzekł pan Wardle. I obaj wychylili szklanki.

– Pani Wardle – rzekł następnie pan Pickwick – my, starzy, powinniśmy także wypić ze sobą na cześć tej szczęśliwej uroczystości.

Stara dama była w tej chwili w pełni majestatu, gdyż zasiadła uroczyście na pierwszym miejscu za stołem, w aksamitnej sukni, mając po jednej stronie pannę młodą, a po drugiej pana Pickwicka.

Nasz filozof przemówił niezbyt głośno, niemniej jednak usłyszała go od razu i wychyliła kieliszek wina za jego zdrowie i pomyślność. Potem poczciwa staruszka poczęła opowiadać bardzo szczegółowo o swym własnym zamążpójściu, z dodaniem rozprawy o wysokich obcasach i kilku okolicznościach dotyczących życia i przygód śp. pani Tollinglower. W ciągu tego opowiadania śmiała się serdecznie, młode panny śmiały się z nią, pytając potem jedna drugą, dlaczego babcia stała się tak rozmowna. A gdy panny śmiały się, stara dama śmiała się jeszcze głośniejsze, oświadczając, że historię, którą opowiada, zawsze miano za wyborną, z czego znów wszyscy się śmiali, co podtrzymywało starą damę w najdoskonalszym humorze. Potem pokrajano placek weselny, który obszedł cały stół, a panny odkładały po kawałku na bok, by potem włożyć go pod poduszkę, co pozwala zobaczyć we śnie swego przyszłego męża; wszystko to wywołało mnóstwo żartów i rumieńców.

– Panie Miller, szklaneczkę wina! – rzekł pan Pickwick do swego dawnego znajomego, gentlemana z głową podobną do gruszki.

– Z największą przyjemnością – odrzekł tenże uroczystym tonem.

– Czy pozwolą panowie i mnie przyłączyć się do kompanii? – rzekł stary duchowny.

– I mnie także – dodała jego żona.

– I mnie także! I mnie także! – zawołało z końca stołu dwóch ubogich krewnych, którzy jedli i pili, ile weszło, śmiejąc się ze wszystkiego, co kto mówił.

Pan Pickwick, rozpromieniony uprzejmością, wyrażał szczerze swoje zadowolenie po każdym nowym przystąpieniu do toastu, po czym, wstając nagle, zawołał:

– Panowie i panie!

– Słuchajcie! Słuchajcie! Słuchajcie! – krzyknął Sam uniesiony ogólną egzaltacją.

– Niech wejdą wszyscy domownicy – rzekł pan Wardle – i dajcie każdemu po szklance wina, by wypił z nami toast. Pickwick! Słuchamy!

Wśród powszechnej ciszy pan Pickwick zaczął:

– Panowie! I panie... Nie... nie, nie powiem: panowie i panie, powiem raczej: moi przyjaciele! Moi kochani przyjaciele – jeżeli damy pozwolą na to...

Tu panu Pickwickowi przerwały huczne oklaski dam, którym zawtórowali mężczyźni, a podczas których właścicielka czarnych oczu wyraźnie oświadczyła, że uściskałaby tego kochanego pana Pickwicka; pan Winkle z wielką galanterią zapytał, czy nie można by zro-

bić tego przez prokurę, ale młoda czarnooka dama odpowiedziała mu: – Jeszcze czego – chociaż jej odpowiedzi towarzyszyło spojrzenie wyraźnie mówiące: „Spróbuj”.

– Moi kochani przyjaciele! – zaczął znów pan Pickwick – wznoszę zdrowie nowożeńców, niech Bóg im błogosławi! (Łzy i oklaski). Mój młody przyjaciel, Trundle, jest, jak sądzę, zacnym i dzielnym młodzieńcem, a wiem, że jego żona jest bardzo miłą i ząną osobą, zdolną przenieść w inną sferę szczęście, które roztaczała dokoła siebie w ciągu lat dwudziestu w domu rodzicielskim (tu pyzaty chłopiec wybuchnął wielkim płaczem, na co Sam ujął go za kołnierz i wyprowadził z pokoju). Chciałbym – mówił dalej pan Pickwick – chciałbym być dość młody, by zostać mężem jej siostry (oklaski). Ale ponieważ tak nie jest, cieszę się, iż jestem dość stary, by być ojcem obu, aby nie podejrzewano mnie o jakie ukryte zamiary, jeżeli powiem, że je uwielbiam obie, że je szanuję i kocham (oklaski i łkania). Ojciec nowo zaślubionej, mój dobry przyjaciel, tu obecny, jest to charakter szlachetny, i dumny jestem z tego, że go znam (wielki hałas).

Człowiek to zacny, niezależny, serdeczny, gościnny, hojny (wielki krzyk ubogich krewnych przy każdym z tych przymiotników, a zwłaszcza przy dwóch ostatnich). Oby córka jego miała tyle szczęścia, ile on sam jej życzy, oby w spoglądaniu na to szczęście znajdował wszystką rozkosz, jakiej jest godzien. Takie są, jestem tego pewny, życzenia nas wszystkich. Pijmy więc za zdrowie nowożeńców, życząc im długiego życia i wszelkiej pomyślności!

Pan Pickwick przestał mówić wśród prawdziwej burzy oklasków. Szczególnie płuca domowników odznaczały się przy tym swym czynnym i doniosłym udziałem pod dowództwem Sama. Potem pan Wardle wznosił zdrowie pana Pickwicka, a pan Pickwick starej damy. Pan Snodgrass wznosił zdrowie pana Wardle, a pan Wardle pana Snodgrassa. Jeden z ubogich krewnych wznosił zdrowie pana Tupmana, drugi pana Winkle’a, wszyscy uctowali i weselili się aż do tajemniczego zniknięcia dwóch ubogich krewnych pod stołem, co oznajmiło towarzystwu, że czas rozejść się.

W myśl rady pana Wardle’a męska część towarzystwa wybrała się na przechadzkę, by wyparować z siebie wino. Tylko dwaj ubodzy krewni pozostali przez cały dzień w łóżku, by osiągnąć ten sam rezultat, lecz wobec bezowocności tych usiłowań musieli leżeć dalej. Sam utrzymywał bezustanną wesołość pomiędzy służbą, a pyzaty chłopak kolejno to jadł, to spał...

Obiad był tak serdeczny i hałaśliwy jak śniadanie, potem nastąpił deser i nowe toasty, potem herbata, wreszcie bal.

Największa sala w Manor Farm ma miły wygląd, dobrą długość, ciemne parapety, wysoki gzyms u kominka, a kominek sam takich rozmiarów, że nasze dorożki razem z końmi mogłyby tam wygodnie wjeżdżać. U jej końca, w altanie z zieleni, siadło dwoje skrzypków i jedyna w Muggletonie harfiarka. We wszystkich kątach, wszędzie, gdzie tylko mogły zmieścić się, błyszczały stare, srebrne, ciężkie świeczniki. Dywany zdjęto z podłogi, ogień buchał w ogromnym kominku, wesołe śmiechy i gwar rozlegały się wszędzie.

Jeżeli coś mogło jeszcze podnieść interesujący charakter tej miłej sceny, to nieprawdopodobny fakt, że pan Pickwick ukazał się tym razem bez kamaszy, po raz pierwszy w życiu, jak jednogłośnie utrzymują najdawniejsi jego przyjaciele.

– Czy zamierzasz tańczyć? – zapytał go pan Wardle.

– Naturalnie, przecież dlatego ubrałem się odpowiednio – odrzekł filozof, uprzejmie ukazując swe jedwabne pończochy i zgrabne trzewiki.

– Pan w jedwabnych pończochach – zawołał wesoło pan Tupman.

– Dlaczego by nie? – odparł pan Pickwick z ogniem, zwracając się do swego przyjaciela. – Pytam się pana, dlaczego by nie?

– O! W samej rzeczy – odrzekł pan Tupman – nie ma żadnego powodu, byś ich pan nie nosił.

– Tak sędzę, panie, tak sędzę – zawołał pan Pickwick żywo.

Pan Tupman chciał zaśmiać się, ale zauważył, iż dotknął przedmiotu zbyt poważnego. Przybrał więc sam ton poważny i oświadczył, że pończochy są bardzo piękne.

– Spodziewam się – odrzekł na to filozof, ostro wpatrując się w pana Tupmana – spodziewam się, że pan w tych pończochach nie widzi nic nadzwyczajnego?

– O nie, bynajmniej! – pośpieszył odpowiedzieć pan Tupman.

A gdy oddalił się, pan Pickwick przybrał zwykłą swą uprzejmą minę.

– Jesteśmy gotowi – rzekł pan Pickwick, stanąwszy ze starą damą w pierwszej parze i ze trzy razy ruszywszy już z miejsca, w niecierpliwym oczekiwaniu rozpoczęcia tańca.

– No! – zawołał pan Wardle – teraz!

Skrzypce i harfa odezwały się, pan Pickwick posuwicie wystąpił ze swą tancerką, ale przerwały mu powszechne oklaski i głosy: – Stójcie! Stójcie!

– Co to znaczy? – zapytał filozof, wracając na swe miejsce, gdy harfa i skrzypce umilkły.

– Gdzie jest Arabella Allen? – zawołało pół tuzina głosów.

– I Winkle? – dodał pan Tupman.

– Jesteśmy – odrzekł pan Winkle, wychodząc z miłą swą tancerką z wgłębienia u jednego z okien; gdy to mówił, trudno było stanowczo zdecydować, kto z dwojga był mniej zarumieniony: on czy też młoda, czarnooka panna.

– Dziwi mię, dlaczego nie stanąłeś dotąd na swoim miejscu – rzekł doń pan Pickwick z niezadowolaniem.

– Cóż w tym dziwnego? – odrzekł pan Winkle.

– Zresztą masz słusność – powiedział na to pan Pickwick, spoglądając wymownie na Arabellę. – Masz słusność; w każdym razie nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Nie było więcej czasu, by zajmować się tym małym wypadkiem, gdyż w tej chwili ozwały się skrzypce i harfa. Pan Pickwick puścił się w tany najpierw od środka sali, unosząc się ku jej końcowi, aż do kominka, potem znów z powrotem – *poussette* tam, *poussette* tu – długie szurganie – następna para – *change* – powtórzenie całej figury – nowe zaproszenie, by rozpocząć turę.

Potem następna para i znów następna, i jeszcze następna – nie, czegoś tak wspaniałego nigdy nie widziano; a w końcu, gdy zabawa dosięgła szczytu i wszystkich czternaście par w kompletnym zmęczeniu wycofało się wraz ze starą damą, a pani pastorowa zastąpiła babkę, pan Pickwick nie ustępował, chociaż już jego wysiłków nie było potrzeba; i jak długo grała muzyka, on tańczył bezustannie, uśmiechając się do swej tancerki z niesłychaną uprzejmością.

Na długo przed tym, zanim pan Pickwick skończył swój taniec, nowożeńcy wynieśli się cichaczem. Pomimo to jednak po jakimś czasie wszyscy pozostali zasiedli do sutej wieczery, po której długo jeszcze biesiadowano za stołem. Toteż gdy pan Pickwick na drugi dzień obudził się dość późno, niejasno tylko przypomniał sobie, iż z osobna i poufnie zaprosił około czterdziestu pięciu osób na obiad do oberży „Pod Jerzym i Jastrzębiem”, co, jak sam słusznie uznawał, dowodziło w sposób prawie niezaprzeczony, iż ubiegłej nocy nie tylko tańczył.

Następny dzień przeszedł również wesoło, a gdy nadszedł wieczór, Sam zapytał Emmy:

– Więc, mówi panna, że cała rodzina zbierze się na zabawę w kuchni?

– Tak, panie Weller – odrzekła Emma. – Zawsze tak obchodzimy Wigilię Bożego Narodzenia. Nasz pan nie zaniedbałby tego zwyczaju za nic.

– Wasz pan ma w ogóle bardzo zdrowy sąd o wszystkim. Nigdy nie widziałem człowieka tak rozsądnego i takiego skończonego gentlemana.

– Wielka prawda – odrzekł pyzaty chłopiec, mieszając się do rozmowy. – Ma śliczne wieprzki.

A gdy to mówił, pewien rodzaj zachwytu błyszczał mu w oczach.

– A! Przebudziłeś się! – zawołał Sam. Pызaty chłopiec kiwnął głową.

– Otóż powiem ci, mój ty młody boa dusicielu – zaczął znowu Sam z naciskiem – że jeżeli nie będziesz spał trochę mniej i jeżeli nie postarasz się mieć trochę więcej ruchu, to gdy staniesz się już mężczyzną, narazisz się na taką samą nieprzyjemność, na jaką naraził się stary gentleman z harcapem.

– Cóż mu się stało? – zapytał Joe niepewnym głosem.

– Zaraz ci powiem. Była to jedna z tak obszernych osobistości, jakich niewiele; po prostu byk tuczny, który od czterdziestu pięciu lat nie widział własnych swych butów.

– Wielki Boże! – zawołała Emma.

– Tak, droga panno, nie widział. I gdyby postawiono przed nim na stole model jego własnych nóg, toby ich nawet nie poznał. Chodził codziennie do swego biura przystrojony w piękny złoty łańcuch, zwieszający mu się prawie na półtorej stopy, i ze złotym zegarkiem w kieszeni, który wart był... boję się, bym nie powiedział za wiele – słowem, który wart był tyle, ile może być wart wielki, gruby, okrągły zegarek, tak samo gruby i okrągły jak ów gentleman, tylko że miał stosunkowo większy cyferblat. – Lepiej byś zrobił, gdybyś nie nosił tego zegarka – mówili mu przyjaciele – zobaczysz, że ci go ukradną. – A chciałbym – powiada – widzieć złodzieja, który by był w stanie wyciągnąć go z kieszeni; bo ja sam, niech mię Bóg ma w swojej opiece – powiada – żadną miarą nie mogę go stamtąd wydobyć, tak jest tam przyciśnięty, że gdy chcę wiedzieć która godzina, to muszę zaglądać do okna zegarmistrza. – To mówiąc tak się śmiał, że obawiano się, by nie pękł. Tak tedy z głową upudrowaną i harcapem toczył się po ulicy ze swym złotym łańcuchem i zegarkiem, który omal nie rozpląszczył się w kieszeni. A nie było w całym Londynie złodzieja, który by już nie ciągnął za ten łańcuch, ale łańcuch nigdy nie chciał się zerwać, a zegarek wyleżeć. Znudziło to w końcu złodziejów, a tłusty gentleman, powracając do domu, śmiał się tak, iż mu się kołysał harcap jakby wahadło wielkiego zegara. Na koniec pewnego dnia, gdy się tak toczył najspokojniej, spostrzega pewnego rzezimieszka, znanego mu z widzenia, idącego z małym chłopcem o bardzo wielkiej głowie. – Znów chcą próbować – pomyślał stary gentleman – ale nie uda im się! – Więc zaczyna drwić sobie, wtem mały chłopiec puszcza rękę złodzieja i uderza starego gentlemana w sam środek brzucha tak silnie, iż ten z bólu omal nie rozpadł się na dwoje. Gentleman poczyna krzyczeć: – Mordercy! – a złodziej mówi mu do ucha: – Już go mam! – Zegarek i łańcuch znikły. A co najgorsze, że od tej pory organa trawienia starego gentlemana zostały nadwyrężone na cały dalszy ciąg jego życia. Toteż zapamiętaj to sobie, mój młody żarłoku, i staraj się, byś nie bardzo utył.

Gdy Sam ukończył to moralne opowiadanie, które żywo zajęło pызatego chłopca, poszli w trójkę do kuchni.

Tu już wszyscy byli zgromadzeni, według dorocznego zwyczaju, ściśle przestrzegane od niepamiętnych czasów przez przodków pana Wardle'a. Gospodarz własnoręcznie zawiesił ogromną gałąź jemioli na samym środku sufitu, co było powodem mnóstwa scen, zamieszania i walk. Wśród powszechnego gwaru i tłoku pan Pickwick z galanterią, która by przyniosła zaszczyt potomkowi samej pani Tollinglower, ujął starą damę za rękę, podprowadził pod mistyczną gałąź i ucałował z wielkim ugrzeczniem i uszanowaniem. Stara dama poddała się temu aktowi grzeczności z całą godnością odpowiadającą tak uroczystemu obrzędowi. Ale młode panny nie były tak głęboko przejęte przesadnym uszanowaniem dla starego zwyczaju, może też wyobrażały sobie, że smak pocałunku podnosi to, że niełatwo go otrzymać; krzyczały więc, wyrwały się, kryły się po kątach, groziły i błagały, jednym słowem, robiły wszystko, tylko nie uciekały z kuchni, aż do chwili, w której nawet najbardziej przedsiębiorczy gentlemani omal nie zaniechali przedsięwzięcia. Wtedy nagle damy spostrzegły, iż bezużyteczny był dalszy opór, i dobrowolnie pozwołyły się ucałować. Pan Winkle pocałował młodą czarnooką pannę; pan Snodgrass pannę Emilię. Ubodzy



krewni ucałowali każdego nie wyłączając najbrzydszych panien, które w powszechnym zamieszaniu mimowolnie same włożyły pod jemiolę. Co do Sama, to ten, nie widząc konieczności podsuwania się aż pod mistyczną gałąź, całował Emmę

i inne służące w każdym kącie, gdzie tylko mógł je złapać. Pan Wardle stał przy kominu przypatrując się tej scenie z najżywszym zadowoleniem, pyzaty zaś chłopiec, korzystając ze sposobności, konsumował wszystkie po kolei ciasta, które jedna z bawiących się osób odłożyła sobie na bok.

Na koniec krzyki ucichły, twarze oblał rumieniec, loczki się porozkręcały; pan Pickwick uściskawszy starą damę, jak rzekliśmy wyżej, stanął pod jemiolą z uśmiechem przypatrując się temu, co się dokoła działo. Wtem młoda czarnooka panna, poszeptawszy z kilku innymi pannami, rzuciła się ku filozofowi, pochwyciła go obiema rękami za szyję i serdecznie ucałowała w lewy policzek. Na ten znak tłum młodych panienek otoczył uczonego filantropa i nim ten miał czas zastanowić się i zmiarkować, o co chodzi, od każdej otrzymał pocałunek.

Piękny był to widok: pan Pickwick w środku tej grupy, pociągany to w jedną, to w drugą stronę, całowany w podbródek, w nos, w okulary, podczas głośnych i ochoczych śmiechów. Ale wkrótce widok stał się nierównie piękniejszy, gdy pan Pickwick z zawiązanymi chustką oczami rzucił się począł na ściany, meble i wszelkie sprzęty, zgłębiając z wielkim wdziękiem wszystkie tajemnice ślepej babki aż do chwili, kiedy złowił jednego z ubogich krewnych. Wtedy zajął się wyłącznie uciekaniem od ślepej babki, co wykonywał ze zwinnością wywołującą oklaski całego towarzystwa.

Ubodzy krewni łapali tych, którzy, jak im się wydawało, tego właśnie pragnęli, i pozwolili łapać siebie tym, którzy za długo byli ślepą babką.

Gdy miano dosyć ślepej babki, zaczęto wyciągać rodzyнки z płonącego ponczu, a gdy dość już poparzone sobie palce, wszyscy usiedli przy tęgim ogniu, do sutej wieczerzy i ogromnej bowli piwa zmieszanego z winem, nieco mniejszej od zwykłej miednicy, ale w której pieczone jabłka tak nęcąco i wesoło syczały i pękały, że niepodobna było temu się oprzeć.

– Wszystko to – rzekł pan Pickwick – jest bardzo miłe.

– To niezmienny zwyczaj – odrzekł pan Wardle. – Wszyscy słudzy i robotnicy zasiadają z nami razem do stołu w Wigilię Bożego Narodzenia. Tak sobie biesiadujemy wspólnie aż do północy, by powitać przyjście Chrystusowe, i spędzamy czas na zabawach i opowiadaniach. Trundle, mój chłopcze, dorzuć no drzewa!

Miliony iskier buchnęły w kominie, gdy poruszono ognisko, a czerwony płomień rozpostarł ciepło i światło po całej kuchni i każdą twarz oświecił wesoło blaskiem.

– No – powiedział pan Wardle. – Teraz zdałaby się piosenka. Chyba sam ją zaśpiewam w braku lepszego śpiewaka!

– Brawo! – zawołał pan Pickwick.

– Napelnijcie szklanki! – powiedział pan Wardle. – Dobre dwie godziny upłyną, zanim pozwolę wam zobaczyć dno naczynia przez warstwę tego pięknego płynu. Nalejcie! I – śpiewam!

To powiedziawszy wesoły staruszek, bez dalszych wstępów, zaśpiewał sympatycznym, niskim głosem:

## PIEŚŃ WIGILIJNA

*Co mi tam wiosna! Niech jej wiatry budzą  
Pęki stokrotek, pierwiosnków, sasanek –  
Niechaj je karmi swym zdrażliwym deszczem  
I niech j e mrozi, nim zabłyśnie ranek.*

*Bo zmienny elf, czego chce, sam nie wie:  
Każdej godziny, każdej chwili inny  
W twarz ci się śmieje, by śmiech zmienić w grymas  
I zwarzyć płatki swej dziatwy niewinnej!*

*Niech letnie słońce w domu swym się kryje,  
Nie pójdę za nim do złotej komory!  
Niech się zastania chmurą, ja się śmieję  
I drwię – bo co mi złe jego humory!  
Dzkie szaleństwo, to jest mu najdroższe,  
Spalone żarem i gorączką, dziecię –  
A miłość, nazbyt silna, nie trwa długo,  
Wy to najlepiej, smutne serca, wiecie.*

*Noc żniw łagodna, nad którą się pali  
Spokojny księżyc, gołębica świata,  
Ma dla mnie więcej czaru i uroku  
Niż blask południa i płomienie lata.  
Ale mnie smutkiem każdy liść przejmuję,  
Co, zdarty wichrem, szeleści na drodze;  
Więc niech mię jesień swym pięknem nie zwodzi,  
Ja się z jej czarem nigdy nie pogodzę!*

*Ja śpiewam krzepkie Boże Narodzenie,  
Którego mężne serce wiernie bije.  
Napelniam szklanę po brzeg, by radośnie  
Wzniesć jego zdrowie trzykrotnym: —Niech żyje!  
Więc by się śmiało stare jego serce,  
Niech ta biesiada czci go i wesele.  
Będziemy jeść i pić, dopóki starczy,  
I rozstaniemy się —jak przyjaciele.*

*Jeśli dokucza mrozem, zbyt jest szczere  
I prawe, by to ukrywać przed nami.  
Nie wstyd na twarzy, nawet najdumniejszej,  
Zobaczyć znak ten, bo ten znak nie plami.  
A więc znów śpiewam, niech głos w pułap bije,  
A ściany echem powtórzą me pienie:  
Zacny staruszek, tak długo czekany,  
Król pór – niech żyje Boże Narodzenie!*

Pieśń oklaskiwano głośno – przyjaciele i podwładni to najlepsze audytorium; ubodzy krewni wpadli w bezgraniczne uniesienie. Znów dorzucono do ognia i znów krążyć zaczęły szklanki.

– A to ci sypie śnieg – powiedział jeden z mężczyzn przyciszonym głosem.

– Śnieg? – spytał pan Winkle.

– Zimna, paskudna noc, panie! – odpowiedział tamten. – Wiatr dmie po polach i idą takie straszne, białe chmury!

– Co Jem mówi? – zapytała stara dama. – Czy się co stało?

– Nic, nic, matko! – powiedział pan Wardle. – Powiedział, że jest zadymka i że strasznie zimno. Poznać to po tym, jak huczy w kominie.

– A! – powiedziała stara dama. – Pamiętam taką samą zadymkę, wiele lat temu, akurat na pięć lat przed śmiercią twego ojca. Też było Boże Narodzenie. Pamiętam, że ojciec twój opowiadał nam wtedy historię o złych duchach, które porwały starego Gabriela Gruba.

– Historię o czym? – zainteresował się pan Pickwick.

– Ach, taka sobie historia o starym grabarzu – powiedział pan Wardle. – Tutejsi ludzie przypuszczają, że go porwały duchy.

– Przypuszczają! – zawołała stara dama. – Czyż podobna temu nie wierzyć? Przypuszczają! Słyszałeś chyba od dziecka, że go porwały duchy, i jeszcze nie wiesz, że tak było?

– Dobrze, matko, niech będzie, jak chcesz! – powiedział, śmiejąc się pan Wardle. – Porwały go duchy i skończyło się.

– A nie! Upewniam pana! – powiedział pan Pickwick. – Muszę się dowiedzieć, jak go porwały, dlaczego i – w ogóle wszystko!

Wardle uśmiechnął się, gdyż wszystkie głowy pochylili się z ciekawością, po czym nalawszy szklanki pewną ręką i wzniosłszy zdrowie pana Pickwicka, zaczął.

Ale niech Bóg ma w swojej opiece naszego wydawcę! Jakież długi rozdział napisaliśmy! Zapomnieliśmy o takiej drobnej restrykcji, jak „rozdziały” – słowo daję! Musimy więc duchom poświęcić nowy! Dużo miejsca, ale żadnych względów dla duchów, panie i panowie, jeśli łaska!

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

### *Historia o upiorach, które porwały grabarza*

W starej wsi klasztornej niedaleko stąd, dawno, dawno temu, tak dawno, że chyba historia ta musi być prawdziwa – bo przecież nasi dziadkowie już w nią wierzyli – mieszkał zakrystian i grabarz w jednej osobie, Gabriel Grub. Nie jest wcale rzeczą konieczną, by ktoś, dlatego tylko, że jest grabarzem i żyje w otoczeniu pomników śmierci, musiał być melancholikiem i człowiekiem ponurym. Spotyka się między nimi najweselszych ludzi na świecie. Sam miałem kiedyś honor przyjaźnić się z karawaniarzem, który w prywatnym życiu, gdy nie spełniał obowiązków, był wesoły jak szczygieł, śpiewał najzartobliwsze piosenki i jednym haustem potrafił wychylić szklanekę czegoś dobrego. Ale Gabriel Grub, jakby dla zaprzeczenia tym możliwościom, był człowiekiem ponurym i smutnym; zadowalał się towarzystwem własnym i starej oplataniej flaszki, którą przechowywał w wielkiej kieszeni swej kapoty. Na każdą zaś wesołą twarz patrzył z trudnym do opisanego wyrazem głębokiej pogardy i złośliwości.

Pewnego dnia wigilijnego, nieco przed zmierzchem, Gabriel wziął do rąk rydel, zapalił latarkę i poszedł na cmentarz. Jutro miał wykończyć grób, a że czuł się tego wieczora jakось samotnie, przyszło mu na myśl, że może praca go rozerwie. Idąc dobrze znaną sobie drogą, widział przez okna domów zapalone światła w pokojach, ogień trzaskający wesoło i twarze zebrane koło kominka, widział przygotowania do następnego dnia, wdychał apetyczne zapachy, jakie buchały z kuchni. Widok ten gniewem i goryczą napełniał serce Gabriela Gruba. A kiedy na ulicy pokazała się gromadka dzieci, do których natychmiast przyłączyło się jeszcze pół tuzina kędzierzawych główek, i cała ta rozbawiona hałastrą pobiegła na górę bawić się w zwykłe gry świąteczne, Grub uśmiechnął się ponuro, mocniej ścisnął rydel i przyszła mu na myśl szkarlatyna, odra grypa, koklusz i wiele jeszcze innych prawdziwych pociech dla serca grabarza.

W tym miłym usposobieniu szedł dalej. Zgryźliwie odpowiadał na pozdrowienia przechodniów, którzy go od czasu do czasu mijali, wreszcie skręcił w ciemną uliczkę prowadzącą na cmentarz. Gabriel od dawna już cieszył się, że będzie szedł tamtędy, była to bowiem ponura, smutna, a więc miła uliczka; mieszkańcy wioski omijali ją, chyba że słońce mocno świeciło. Ogarnęło go zatem wielkie oburzenie, kiedy zobaczył przed sobą ulicznika wesoło śpiewającego piosenkę! W takim miejscu! W miejscu, które nazywano ulicą Trumienną już w owych zamierzchłych czasach, kiedy włóczyli się po niej ostrzyżeni do skóry, małpiogłowi mnisi! Gabriel przyśpieszył kroku i natknął się na malca, który biegł szybko, żeby połączyć się ze swymi towarzyszami na głównej ulicy, śpiewał zaś trochę dlatego, by dodać sobie odwagi, a trochę dla wprawy! A śpieszył, ile miał tchu w piersiach! Gabriel zapędził chłopaczka w róg zaułka i uderzył go pięć czy sześć razy latarnią po głowie – niech się nauczy modulować głos! Malec uciekł, trzymając się za głowę, teraz śpiewał zupełnie z innego tonu! Gabriel roześmiał się z zadowolenia i wszedł na cmentarz, zamknąwszy za sobą furtkę.

Zdjął kapotę, postawił na ziemi latarnię i wszedł w nie dokończony grób, gdzie pracował kilka godzin z całym poświęceniem. Ale mróz ścisnął ziemię i niełatwo było kopać ją i odrzucać. I chociaż świecił księżyc, był jakoś dziwnie mały i słabo tylko oświecał grób, na który kościółek rzucał cień. W innych wypadkach przeszkody te zepsułyby humor Gabrielowi Grubowi; ale dziś był tak zadowolony z tego, że przeszkodził malcowi śpiewać, że nie martwił się małymi postępami swojej pracy. Skończywszy na tę noc kopanie, spojrzął w grób i mruknął zabierając swoje narzędzia:

*Wygodne mieszkanie daje boże pole!  
Trochę trawy w górze, trochę gliny w dole:  
Wygodne mieszkanie, wygodne mieszkanie:  
Sześć stóp zimnej ziemi, gdy życia nie stanie!  
Jeden kamień w nogach, drugi kamień w głowach,  
Ot, pańska uczta robactwu gotowa!*

– Cha! Cha! – zaśmiał się Gabriel Grub, siadając na płaskiej płycie grobowej, gdzie najbardziej lubił odpoczywać. Wyciągnął oplataną flaszkę. – Grób w dzień Gwiazdki! Grób na Gwiazdkę! Gwiazdkowy podarunek! Cha! Cha!

– Cha! Cha! – odpowiedział jakiś głos tuż koło niego.

Gabriel, trochę zaniepokojony, znieruchomiał właśnie w chwili, gdy podnosił flaszkę do ust. Obejrzał się. Coś się działo koło najstarszego pomnika. Nie było już cicho i spokojnie jak zwykle na cmentarzu. W zagłębieniach rzeźby i między kamieniami kościółka błyszczały sople lodowe. Ziemia pokryta była białym całunem – powiedziałbyś, że leżą pod nim zwłoki nieboszczyków. Najmniejszy szmer nie przerywał ciszy tego krajobrazu. Zdawało się, że nawet dźwięki zamierały. Wszędzie panował chłód i cisza.

– To musiało być echo! – powiedział Gabriel, podnosząc flaszkę do ust.

– To nie było echo – odpowiedział głęboki głos.

Gabriel zerwał się i stanął jak przyrośnięty do miejsca – ogarnął go lęk i zdumienie. Oczy jego bowiem zatrzymały się na postaci, na widok której krew ścięła się w żyłach.

Na wysokim nagrobku, tuż przy nim, siedziała dziwna, nieziemska postać; Gabriel poznał natychmiast, że to niemożliwe, by należała do tego świata. Długie, fantastyczne nogi, które z łatwością dosięgnęłyby ziemi, były podkurczone i skrzyżowane w dziwny, fantastyczny sposób; zylaste ramiona były obnażone. Ręce spoczywały na kolanach. Przysadzisty tułów okrywała postrzępiona zasłona. Krótka kurtka zwisała na grzbiecie. Kołnierz pocięty był w kawałki, które upiór związał na kształt krawata. Obuwie jakby jeszcze wydłużało jego nogi. Na głowie miał wysoki jak głowa cukru kapelusz ozdobiony jednym jedynym piórem. Kapelusz pokrywała sadź. Duch miał taką minę, jak gdyby było mu na tym kamieniu bardzo wygodnie i jakby siedział na nim z paręset lat. Wysunął koniec języka i śmiał się do Gabriela Gruba tak, jak tylko duch śmiać się potrafi.

– To nie było echo! – powtórzył duch.

Gabriel Grub stał jak sparaliżowany, nie mógł nic odpowiedzieć.

– Przyszedłem kopać grób, proszę pana – bąknął.

– Kto włóczy się po cmentarzu w taką noc?! – zapytał upiór.

– Gabriel Grub! Gabriel Grub! – zawołał dziki chór głosów, które zdawało się, wypełniały cmentarz. Gabriel obejrzał się, przerażony, i nic nie zobaczył.

– Co masz we flaszcze? – zapytał upiór.

– Holenderską wódkę, panie! – powiedział grabarz, drżąc jeszcze bardziej. Kupił ją bowiem od szmuglerów i przestraszył się, że może ten duch należy do departamentu ceł.

– Kto pija wódkę holenderską sam jeden na cmentarzu w taką noc jak ta? – zapytał duch.

– Gabriel Grub! Gabriel Grub! – odpowiedziały znowu głosy. Duch spojrział złowrogo na przerażonego grabarza i podniósłszy głos zapytał:

– W takim razie kto jest naszą zdobyczą?

Na to pytanie niewidzialny chór odpowiedział tak zgodnie jak chór śpiewający w kościele przy akompaniamencie organów – chór ten uderzył jak wiatr o uszy grabarza i zamarł w oddali. Ale odpowiedź brzmiała jak poprzednio: – Gabriel Grub! Gabriel Grub!

Duch uśmiechnął się jeszcze bardziej ponuro i zwrócił się do Gabriela:

– I cóż ty na to powiesz, Gabrielu? Grabarz ustami chwycił powietrze.

– I cóż ty o tym myślisz, Gabrielu? – ciągnął duch, machając nogami po obu stronach pomnika i patrząc na swoje wykrzywione kończyny z takim zadowoleniem, z jakim patrzyłby na parę eleganckich trzewików na Bond Street.

– To – to bardzo ciekawe... sir... – odpowiedział grabarz, prawie nieżywy ze strachu. – Bardzo ciekawe i bardzo piękne... ale chyba pójdę dokończyć moją robotę, jeżeli pan pozwoli!

– Robotę? – zapytał duch. – Jaką znowu robotę?

– Grób, panie! Kopię grób! – wybełkotał grabarz.

– A, grób? – zawołał duch. – Kto kopie groby w dzień, w którym wszyscy weselą się i radują?

I znów tajemnicze głosy odpowiedziały: – Gabriel Grub! Gabriel Grub!

– Obawiam się, że moi przyjaciele upominają się o ciebie – powiedział duch, wypychając językiem policzki, a był to niezwykle język! – Obawiam się, że moi przyjaciele upominają się o ciebie, Gabrielu!

– Dopraszam się łaski pana – jękał się Gabriel. – Nie mają chyba prawa do tego... nie znają mnie... przecież ci gentlemani nigdy mię na oczy nie widzieli!

– Owszem! – odpowiedział duch. – Wszyscy znamy człowieka z ponurą twarzą i złośliwym uśmiechem, który szedł dzisiaj ulicą rzucając złe spojrzenia na dzieci i silnie ścisnął rydel! Znamy człowieka, który uderzył po głowie malca, bo mu w sercu zazdrościł wesołości, na jaką jego nie stać! Znamy go! Znamy!

Tu duch wybuchnął głośnym, dźwięcznym śmiechem, który echo podchwyciło dwudziestokrotnie. Potem potrząsnął nogami, stanął na głowie, albo raczej na czubku swego wysokiego kapelusza, na samym szczycie pomnika: następnie dał szczupaka, upadł u stóp grabarza i usiadł na podkurczonych nogach jak krawiec.

– Ja... ja... muszę już odejść, proszę pana – bełkotał grabarz.

– Odejść? Gabriel Grub chce odejść! Cha, cha, cha!

Kiedy duch się zaśmiał, grabarz zauważył wspaniałą iluminację w kościółku, jak gdyby cały kościółek stanął w płomieniach. Po chwili światło zgasło, organy zagrały uroczyste i na cmentarzu zjawiły się gromady duchów, zupełnie podobnych do pierwszego, które zaczęły natychmiast grać w „żabkę” za pomnikami. Nie zatrzymywały się ani na chwilę, skakały przez najwyższe nagrobki z cudowną wprost zręcznością. Pierwszy duch okazał się znakomitym skoczkiem – nikt nie mógł się z nim zrównać! Pomimo że drżał ze strachu, grabarz nie mógł nie zauważyć, że kiedy inni zadowalali się zwykłymi grobowcami, pierwszy wybierał specjalnie wysokie grobowce rodzinne, otoczone żelazną balustradą, a skakał przez nie z taką łatwością, jakby to były zwykłe kamienie przydrożne.

Gra doszła do najwyższego nateżenia. Organy grały coraz szybciej. Duchy skakały coraz częściej. Potrącały się, fikały kozły na ziemi, odbijały się od kamieni grobowych jak piłki. Grabarz czuł, że w głowie mu się miesza od tych skoków, że nogi pod nim drżą, gdy patrzy na migające przed nim duchy. Nagle – król upiorów porwał go za kołnierz i zapadł się z nim pod ziemię.

Kiedy Gabriel Grub złapał wreszcie oddech (od szybkiej jazdy w dół aż go zatchnęło), znalazł się w obszernej pieczarze, którą wypełniały tłumy duchów, wstrętnych i ponurych.

Na samym środku pieczary, na wzniesieniu, siedział jego przyjaciel z cmentarza; obok niego stał Gabriel Grub, znieruchomiały ze strachu.

– Zimna noc – powiedział król upiorów – bardzo zimna! Szklaneczkę czegoś ciepłego! Żywo!

Na ten rozkaz pół tuzina mniejszych upiorów z wiecznym uśmiechem na twarzach (Gabriel Grub przypuszczał, że to dworacy) szybko zniknęli i wrócili za chwilę, niosąc kielich płynnego ognia. Podano go królowi.

– Aha! – zawołał upiór, który miał przezroczyste policzki i gardło, po czym natychmiast przełknął płomienny napój.

– Ciepły, nie ma co mówić! Poczęstować tym samym pana Gruba!

Nadaremnie biedny grabarz wymawiał ‘się, że nigdy nie pije nic ciepłego w nocy – jeden upiór trzymał go, drugi lał mu płynny ogień w gardło. Całe towarzystwo pokładało się ze śmiechu, gdy grabarz krztusił się, kaszłał i ocierał łyzy, które obficie spływały mu z oczu, gdy wychylił pałący napój.

– A teraz – powiedział król upiorów, z fantazją pakując grabarzowi koniec swego wysokiego kapelusza w oko, czym mu sprawił niewymowny ból – teraz pokażcie temu panu parę ilustracji do nieszczęść i smutków – z tych, co to mamy na składzie!

Zaledwie upiór powiedział to, wielka chmura zasłaniająca głąb pieczary usunęła się i ukazała w oddali małe, ale czyste i schludne mieszkanko. Gromadka dzieci bawiła się koło ognia, czepiała się sukni matki i skakała po krzesłach. Matka wstała i rozsunała firanki, jak gdyby wypatrywała kogoś. Skromna wieczerza stała na stole. Koło kominka postawiono fotel. Ktoś zastukał do drzwi; matka otworzyła, a dzieci klaszcząc w ręce otoczyły ojca. Był zmoczony i zziębnięty, strząsnął śnieg z płaszcza, zaczął się rozbierać. Kiedy zasiadł przy kominku, dzieci otoczyły go kołem, matka przysunęła sobie krzesło, mieli miny szczęśliwe i zadowolone.

Ale nagle obraz zmienił się – prawie niepostrzeżenie. Oto mała sypialnia, w której umiera najładniejsze dziecko. Rumieńce ustąpiły z jego policzków, a blask z oczów. A kiedy grabarz spojrział na nie z życzliwością – rzecz nie znana mu dotychczas – dziecko umarło. Braciszkowie i siostrzyczki obstąpili łóżeczko i ujęli małe rączki, zimne i sztywne! Odkoczyli ze strachem! Ze zgrozą patrzyli w drobną twarzyczkę! Bo chociaż spokojna była i piękna, widzieli, że dziecko nie żyje i patrzy na nich teraz z nieba, jako aniołek, błogosławi ich...

Znów chmura zasłoniła obraz i znów nastąpiła zmiana. Ojciec i matka byli już starzy i bezsilni... a gromadka otaczająca ich zmniejszyła się prawie o połowę. Ale zadowolenie i radość widać było na każdej twarzy i we wszystkich oczach, gdy zebrani koło kominka wspominali dawne czasy i przeszłość. Powoli, stopniowo zapadł w grób ojciec, a wkrótce ta, która dzieliła z nim wszystkie troski i zmartwienia, poszła za nim. Nieliczna gromadka, która ich przeżyła, klęczy przy grobie i zrasza łzami trawę. Potem wszyscy rozchodzą się – smutni i przygnębieni, ale bez rozpaczy, bez lamentów, gdyż wiedzą, że się kiedyś spotkają. I znów żyją jak inni... wesołość i pogoda wróciły. Chmura zakryła obraz przed wzrokiem grabarza.

– No, i cóż ty na to?! – zapytał upiór, zwracając swoją szeroką twarz do Gabriela.

Gabriel mruknął coś w rodzaju, że to bardzo ładne, i zaraz się tego zawstydził, bo upiór utkwiał w nim swoje złe oczy.

– Ty nikczemniku! – zawołał upiór tonem najwyższej pogardy. – Ty nikczemniku! – Widocznie miał ochotę dorzucić coś więcej, ale oburzenie odjęło mu mowę, więc podniósłszy nad głowę jedną ze swoich giętkich nóg, wymierzył Gabrielowi Grubowi potężnego kopniaka. Natychmiast wszystkie upiory jak na zawołanie zebrały się koło nieszczęśliwego grabarza i tu na ziemi zaczęły go bić bez litości, zgodnie z obyczajami dworaków, którzy biją, gdy Jego Królewska Mość bije, i głaszczą, gdy Jego Królewska Mość głaszcze.

– Jeszcze mu pokazać – zawołał upiór.

Na ten rozkaz chmura rozstąpiła się i ukazał się żyzny i wspaniały krajobraz – do dziś dnia można go oglądać, gdyż jest to miejsce odległe o pół mili od tej klasztornej wioski. Słońce świeciło na błękitnym niebie, woda błyszczała w jego promieniach, drzewa zdawały się zieleńsze, kwiaty weselsze w tym łagodnym blasku. Woda szumiała radośnie, liście drzew szeptały tajemniczo, ptaki śpiewały na gałęziach, a skowronek gdzieś wysoko obwieszczał, że świt się zbliża. Tak, switało. Wesoły, jasny świt letni. Każdy najmniejszy listek, najdrobniejsze źdźbło trawy czuło, że wstępuje w nie życie. Mrówka wyruszyła na swoją codzienną wędrówkę. Motyle unosiły się i igrały w słońcu. Miliardy owadów rozposzcierały swoje przeźrocyste skrzydełka i rozkoszowały się krótkim szczęściem. Ludzie ruszali się rażniej, podnieceni urokiem tej sceny. Wszystko tchnęło pięknem i radością.

– Ty nędzniku! – zawołał król upiorów z większą pogardą niż poprzednio. Tu znów kopnął go nogą. I znów dworacy upiora poszli za jego przykładem.

Kilkakrotnie chmura podnosiła się i opadała i wiele nauczył się w ten sposób Gabriel Grub; chociaż ramiona bolały go od kopnięć upiorów, patrzył z zainteresowaniem, którego nic nie było w stanie zmniejszyć. Widział, jak ludzie, którzy ciężko pracowali i zdobywali kawałek chleba w pocie czoła, weseli byli i szczęśliwi. I że nawet najgłupszy człowiek uznać musi, iż słodkie oblicze natury jest nigdy nie wysychającym źródłem radości i wesela. Widział ludzi, których w dzieciństwie wychowywano delikatnie, jak z radością znosili niedostatek, jak wyżsi byli ponad cierpienia, pod których brzemieniem inni byliby się ugięli, tylko dlatego, że mieli w swoich duszach źródło szczęścia, spokoju, zadowolenia. Widział niewiasty najdelikatniejsze i najtkliwsze z wszystkich stworzeń boskich, jak przewyciężały smutki, przeciwności i klęski, ponieważ miały we własnych sercach źródła miłości i poświęcenia. I widział ludzi takich jak on sam, których irytuje i gniewa wesołość i szczęście innych ludzi, którzy są jak chwasty ziemi. I przeciwstawiając wszystko, co jest dobrego na ziemi, całemu złu, doszedł do przekonania, że pomimo wszystko dobrą i pożyteczną rzeczą jest ten nasz świat! W tej samej chwili, kiedy tylko sformułował to zdanie, chmura, która zasłoniła ostatni obraz, spadła mu nagle na mózg i Gabriela Gruba ogarnęło zmęczenie. Jeden po drugim duchy mu zniknęły sprzed oczu i w końcu stary zasnął.

Dzień wstał. Gabriel Grub zbudził się. Leżał jak długi na płycie cmentarnej, obok pusta butelka, przy niej leżała kapota, latarnia i rydel – tak jak je rzucił poprzedniego wieczora. Pomnik, na którym zobaczył pierwszego upiora, wznosił się nad nim, a grób, nad którym pracował wczoraj, nie był jeszcze skończony. Z początku zaczął wątpić o realności swoich widzeń, ale ostry ból w ramieniu, kiedy próbował wstać, mówił wyraźnie, że kopano go rzeczywiście. Rozejrzał się dokoła, szukając na śniegu śladów nóg upiorów, ale potem przyszło mu na myśl, że były to przecież duchy i nie mogły pozostawić po sobie śladów. Wstał więc, o ile mu na to pozwalał ból w ramieniu, strzepnął sadz z kapoty i spojrzął na wioskę.

Ale był już innym człowiekiem. Nie mógł myśleć spokojnie, że ma wrócić tam, gdzie go wyśmiewają lub zwątpią o jego nawróceniu. Wahał się kilka chwil. A potem zawrócił i poszedł przed siebie – gdzie indziej pracować na kawałek chleba.

Butelkę, rydel i latarnię znaleziono na cmentarzu. Dużo mówiono o tym, jaki los spotkał grabarza, ale wkrótce zgodzono się, że go porwały upiory... Niedługo też czekano: znalazł się wiarogodny świadek, kobieta, która wyraźnie widziała, jak pędził na karym koniu, ślepym na jedno oko, z lwią grzywą i niedźwiedzim ogonem... W końcu święcie w to uwierzono. A nowy grabarz pokazywał nawet ciekawym spory kawałek żelaznej chorągiewki, którą upiorny rumak odłupał uderzeniem kopyta, unosząc Gabriela w powietrze, a którą to relikwię nowy grabarz znalazł w dwa lata później na cmentarzu.

Na nieszczęście historiom tym zaprzeczył poniekąd fakt, że coś w dziesięć lat później zjawił się Gabriel Grub we własnej osobie. Był to stary, schorowany, zgarbiony człowiek.



Opowiedział swoją historię proboszczowi i wójtowi. Z biegiem czasu uznano ją za fakt historyczny i w tej formie przetrwała do naszych czasów. Ci, którzy wierzyli w rumaka i chorągiewkę, raz zawiódłszy się, niełatwo uwierzyli w drugą wersję; robili więc domyślne miny, wzruszali ramionami i szeptali, że Gabriel wypił trochę za dużo holenderskiej wódki, a potem upadł na płytę grobową, jego zaś opowiadanie o tym, co widział w pieczarze upiorów, tłumaczyli w ten sposób, że zwiedził kawał świata i zmądrzał. Zdanie to, które swego czasu miało wielu zwolenników, w końcu poszło w zapomnienie.

Ale mniejsza o to! Ponieważ Gabriel Grub do końca życia cierpiał na reumatyzm, z historii tej wyciągamy taki morał (jeżeli nie stać nas na coś jeszcze mądrzejszego): jeżeli człowiek jest odludkiem i w samotności upija się w dzień Bożego Narodzenia, niech upiory nie mają nad nim litości albo niech dadzą mu taką nauczkę, jaką dały Gabrielowi Grubowi w pieczarze!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO